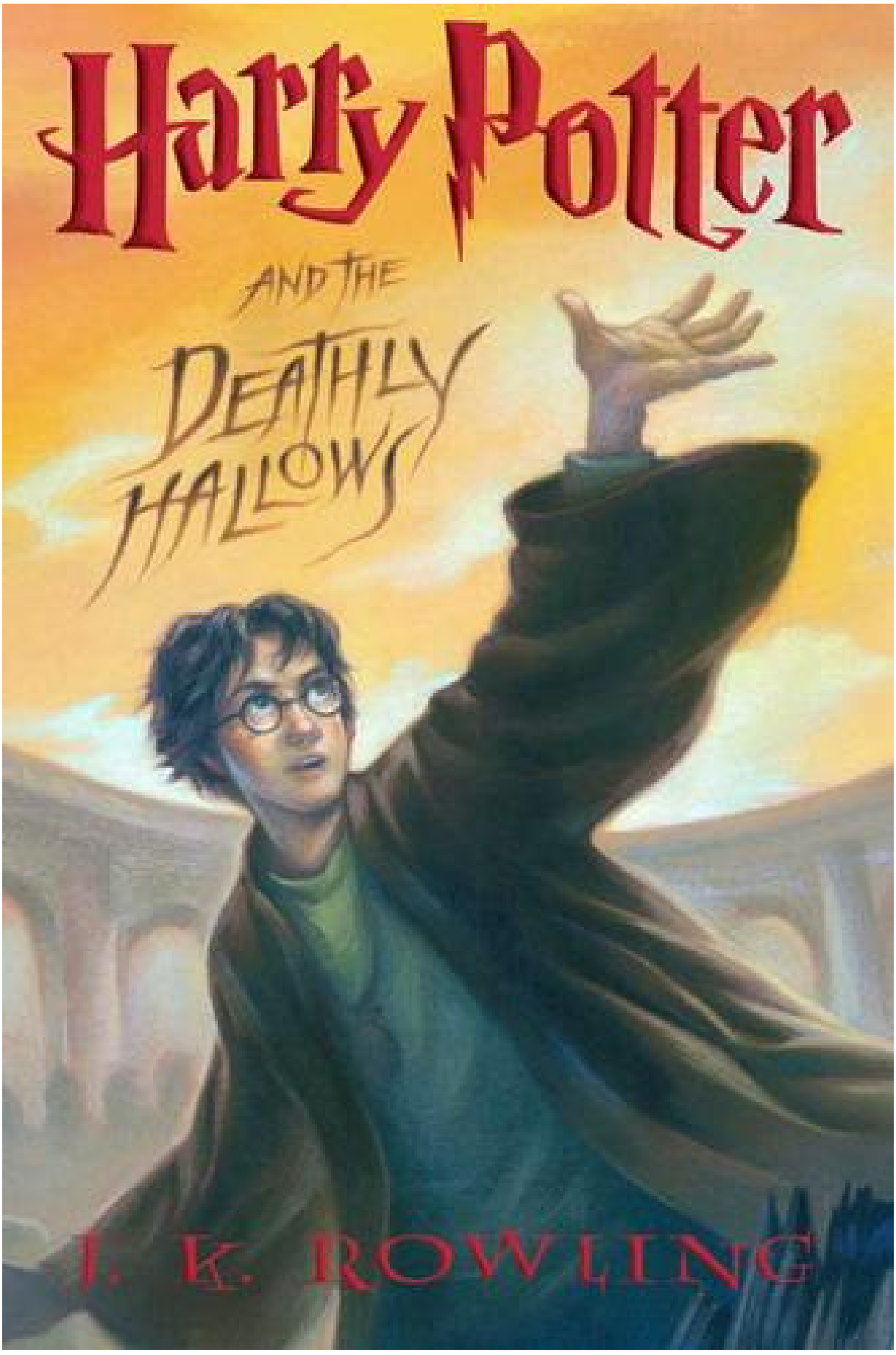
Harry Potter
AND THE
DEATHLY HALLOWS
J. K. ROWLING

Dedykacja

Dedykacja
tej książki
rozbita
jest
na siedem:
Dla Neila,
Jessici,
Davida,
Kenzie,
Di,
Annie
i dla Ciebie,
jeśliś
wytrwał
z Harrym
do
samego
końca

Dziedziczny grzechu nasz!
Klątwa to twoja straż,
O ty najkrwawsza z ran!
Komu wytchnienie dasz?
Któż twego bólu pan?

Tylko Atrydów płód,
Rozetnie dawny wrzód:
Dziedzicu, dom swój lecz!
Bogów tu wzywam wprzód,
By twój nie chybił miecz.

O mieszkańcy tych podziemnych stref!
Jeśli dotarł do was przysiąg zew,
Dajcie dzieciom pomścić ojca krew!

Ajschylos, Ofiarnice
tłum. J.Kasprowicz

Śmierć to tylko podróż, a przyjaciele, wyruszając za morze, wciąż pozostają w nas, bowiem są oni niezbędną częścią miłości i życia, czyli tego, co wszechobecne. Przyjaciele widzą swe twarze w boskim zwierciadle, a ich związek jest wolny i czysty. To największa zaleta przyjaciół, bo choć mówi się, że umarli, ich przyjaźń i wsparcie są, w najlepszym tego słowa znaczeniu, zawsze obecne, bo nieśmiertelne.

William Penn, Owoce samotności
tłum. P. Darski

Rozdział 01
Czarny Pan rośnie w siłę

Tłumaczenie: Ishq

Dwaj mężczyźni pojawili się znikąd, o parę jardów od siebie, na wąskiej alei zalanej światłem księżyca. Przez moment tkwili w bezruchu, celując w siebie różdżkami, a po chwili, rozpoznawszy siebie nawzajem, schowali różdżki pod szaty i ruszyli szybkim krokiem w tym samym kierunku.

- Nowiny? - zapytał wyższy.

- Najlepsze - odparł Severus Snape.

Z lewej strony alejka ograniczona była przez dzikie, płożące się jeżyny, z prawej przez wysoki, starannie przystrzyżony żywopłot. Krokom obydwu mężczyzn towarzyszył łopot peleryn.

- Już myślałem, że się spóźnię - rzekł Yaxley, jego nieruchoma twarz to pojawiała się w jasnym świetle księżyca, to ginęła w cieniu konarów zwieszających się nad drogą. - Było trudniej, niż się spodziewałem. Ale mam nadzieję, że będzie zadowolony. Bo ty wydajesz się tego pewny?

Snape przytaknął, ale nie podjął tematu. Skręcili w prawo, w szeroki podjazd odchodzący od alei. Wysoki żywopłot zakręcał wraz z nimi i biegł dalej, poza wspaniałą bramą z kutego żelaza, zagradzającą przejście. Żaden z nich jednak nie zwolnił kroku, w milczeniu każdy uniósł lewą rękę, niejako w geście powitania i przeszli przez bramę, jakby ciemny metal był jedynie dymem.

Cisowy żywopłot wygłuszał ich kroki. Gdzieś po prawej stronie coś zaszeleściło, Yaxley uniósł różdżkę, celując w mrok ponad głową towarzysza, ale okazało się, że źródłem hałasu był tylko śnieżnobiały paw, kroczący majestatycznie po żywopłocie.

- Ten Lucjusz to umie się urządzić. *Pawie...* - prychnął Yaxley, chowając różdżkę.

Elegancka rezydencja ukazała się na końcu prostej alei, w otaczającej ciemności błyszczały światła zza kryształowych szyb w oknach na parterze. Gdzieś w ciemnym ogrodzie szemrała fontanna. Żwir chrzęścił im pod stopami, gdy Snape i Yaxley śpieszyli w kierunku drzwi frontowych, które otwarły się przed nimi, choć nie było przy nich nikogo widzialnego. Korytarz był duży, słabo oświetlony i wystawnie urządzony, cudowny dywan przykrywał większość kamiennej podłogi. Oczy wiszących na ścianach portretów o bladych twarzach śledziły przechodzących mężczyzn. Zatrzymali się przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami, prowadzącymi do następnej komnaty, na ułamek sekundy zawahali się, a potem Snape nacisnął brązową klamkę.

Wielki salon wypełniali milczący ludzie, siedzący przy długim, rzeźbionym stole. Pozostałe meble beztrosko zsunięto pod ściany. Pokój oświetlony był tylko ogniem buzującym w eleganckim kominku, nad którym umieszczono lustro w złoconych ramach. Snape i Yaxley zatrzymali się na chwilę w progu. Gdy ich oczy przyzwyczaiły się do ciemności, zauważyli najdziwniejszy element scenografii: postać ludzką, wiszącą do góry nogami nad stołem i obracającą się powoli. Nieprzytomny człowiek, jakby zawieszony na niewidzialnej linie, odbijał się zarówno w lustrze, jak i w gładkiej, wypolerowanej powierzchni stołu. Żadna z osób siedzących przy stole nie zwracała uwagi na ten szczególny widok, z wyjątkiem bladego młodzieńca, zajmującego miejsce niemal dokładnie pod zawieszonym ciałem. Wydawało się, że chłopak nie może się powstrzymać od nieustannego zerkania na nie.

- Yaxley, Snape. - Wysoki, czysty głos dobiegł wprost sprzed kominka, nowo przybyli z początku mogli dostrzec jedynie sylwetkę mówiącego. Jednak gdy się zbliżyli, zajaśniała w ciemności jego twarz, bezwłosa, przypominająca pysk węża - z wąskimi szczelinami w miejsce nosa i czerwonymi oczami o pionowych źrenicach. Był tak blady, że wydawało się, że emituje z siebie perłowy blask.

- Severusie, tutaj - rzekł Voldemort, wskazując miejsce po swojej prawicy. - Yaxley, koło Dołohowa.

Obaj mężczyźni zajęli wskazane miejsca. Większość zgromadzonych śledziła wzrokiem Snape'a i to do niego pierwszego odezwał się Voldemort.

- A więc?

- Mój panie, Zakon Feniksa zamierza przenieść Harry'ego Pottera z obecnej kryjówki w następną sobotę, o zmroku.

Zainteresowanie wokół stołu stało się niemal namacalne. Niektórzy zamarli, inni zaczęli się kręcić, wszyscy wpatrywali się w Snape'a i Voldemorta.

- W sobotę... O zmroku - powtórzył Voldemort. Czerwone oczy wpatrywały się w czarne oczy Snape'a tak intensywnie, że niektórzy z obserwujących ich śmierciożerców odwrócili wzrok, najwyraźniej bojąc się, że oni sami mogliby paść ofiarą tego spojrzenia. Jednakże Snape spokojnie patrzył w twarz Voldemorta, a po chwili pozbawione warg usta Czarnego Pana rozciągnęły się w czymś na kształt uśmiechu.

- Dobrze. Bardzo dobrze. A ta informacja pochodzi...

- ...ze źródła, o którym była mowa - odparł Snape.

- Mój panie...

Yaxley wychylił się, by spojrzeć wzdłuż długiego stołu na Snape'a i Voldemorta. Wszystkie twarze odwróciły się do niego.

- Mój panie, słyszałem co innego.

Yaxley czekał, lecz Voldemort nie odrzekł nic, więc kontynuował:

- Ten auror, Dawlish, dał cynk, że nie będą przenosić Pottera aż do trzydziestego, do wigilii siedemnastych urodzin chłopaka.

Snape się uśmiechnął.

- Moje źródło donosi, że Zakon zamierza rozpuścić fałszywe tropy, to musi być jeden z nich. Najprawdopodobniej na Dawlisha zostało rzucone zaklęcie *Confundus*. To nie byłby pierwszy raz, powszechnie wiadomo, że on jest podatny.

- Zapewniam cię, mój panie, Dawlish wydawał się całkiem pewny.

- Jeśli został potraktowany *Confundusem*, to oczywiste, że jest pewny - powiedział Snape. - Zapewniam cię, Yaxley, że Biuro Aurorów nie bierze już udziału w ochronie Harry'ego Pottera. Zakon uważa, że przeniknęliśmy do Ministerstwa.

- No to przynajmniej w jednym się nie mylą - zachichotał nerwowo przysadzisty mężczyzna siedzący nieopodal Yaxleya, tu i ówdzie wzdłuż stołu odpowiedziały mu podobne chichoty.

Voldemort nawet się nie uśmiechnął. Powędrował wzrokiem do ciała unoszącego się powoli nad głowami zgromadzonych i wydawał się zatopiony we własnych myślach.

- Mój panie - ciągnął Yaxley. - Dawlish uważa, że cały zastęp aurorów weźmie udział w transportowaniu chłopaka...

Voldemort uniósł dużą, białą dłoń i Yaxley umilkł natychmiast, patrząc niechętnie, jak Czarny Pan odwraca się do Snape'a.

- Gdzie zamierzają teraz ukryć chłopaka?

- W domu jednego z członków Zakonu - odrzekł Snape. - To miejsce, zdaniem mego informatora, będzie objęte taką ochroną, jaką Zakon i Ministerstwo razem wzięte są w stanie mu zapewnić. Uważam, że kiedy już się tam znajdzie, małe będą szanse, by go tam dopaść, mój panie, oczywiście, o ile Ministerstwo nie upadnie do przyszłej soboty, co mogłoby dać nam szansę odkrycia i unieszkodliwienia takiej ilości zabezpieczeń, by przedrzeć się przez resztę.

- I cóż, Yaxley? - zapytał Voldemort przez stół, ogień z kominka wywoływał dziwne błyski w jego czerwonych oczach. - Czy Ministerstwo upadnie do przyszłej soboty?

Ponownie wszystkie oczy zwróciły się do Yaxleya, który ukrył głowę w ramionach.

- Mój panie, mam dobre wieści w tej kwestii. Udało mi się - z trudnością i wielkim wysiłkiem - rzucić zaklęcie *Imperius* na Piusa Thicknesse.

Wielu z siedzących wokół Yaxleya było pod wrażeniem, jego sąsiad, Dołohow, mężczyzna o długiej, wykrzywionej twarzy, poklepał go po plecach.

- Niezły początek - powiedział Voldemort. - Ale Thicknesse to tylko jeden człowiek. Scrimgeour musi być otoczony naszymi ludźmi, zanim zaczniemy działać. Jedna nieudana próba zamachu na życie ministra poważnie opóźni mój plan.

- Tak, mój panie, to prawda, ale jak wiesz, jako szef Departamentu Przestrzegania Prawa Thicknesse jest nie tylko w stałym kontakcie z ministrem, ale również z pozostałymi szefami departamentów. Myślę, że teraz, kiedy mamy pod kontrolą urzędnika tak wysokiej rangi, będzie łatwiej zdobyć pozostałych, by działając razem doprowadzili do upadku Scrimgeoura.

- O ile nasz przyjaciel Thicknese nie zostanie zdemaskowany, zanim przekabaci resztę. W każdym razie, nadal pozostaje bardzo wątpliwym, że ministerstwo będzie moje do przyszłej soboty. Jeśli zaś nie dopadniemy chłopaka w jego kryjówce, musimy tego dokonać podczas podróży.

- Tutaj też mamy przewagę, mój panie - odparł szybko Yaxley, najwyraźniej zdeterminowany, by uzyskać choć ślad aprobaty. - Mamy swoich ludzi w Departamencie Magicznego Transportu. Jeśli Potter spróbuje się aportować lub skorzystać z sieci Fiuu, natychmiast się tego dowiemy.

- Nie zrobi nic z tych rzeczy - wtrącił Snape. - Zakon unika każdego środka transportu kontrolowanego przez Ministerstwo, nie ufają niczemu, co ma z nim związek.

- Tylko lepiej - rzekł Voldemort. - Będzie więc poruszał się po otwartej przestrzeni. O wiele łatwiej będzie go schwytać.

Voldemort spojrzał znów na obracające się powoli ciało i kontynuował:

- Sam zajmę się chłopakiem. Za dużo popełniono błędów, jeśli o niego chodzi. Niektóre można nawet nazwać moimi. To, że Potter wciąż żyje, to bardziej wina moich błędów, niż jego zasług.

Zgromadzeni wokół stołu przyglądali się swemu panu z obawą, że każdy z nich może zostać obarczony winą za przedłużającą się egzystencję Harry'ego Pottera. Voldemort jednak, wciąż wpatrzony w nieprzytomne ciało przed sobą, zdawał się bardziej zwracać do samego siebie, niż do któregokolwiek z nich.

- Byłem zbyt beztroski, więc szczęście i przypadek, ci bezlitośni wrogowie każdego stratega, pokrzyżowały moje plany. Lecz teraz jestem mądrzejszy i wiem, czego nie wiedziałem wcześniej. To ja muszę zabić Harry'ego Pottera i tak też się stanie.

Jakby w odpowiedzi na te słowa, rozległ się nagły skowyt, rozdzierający, żałosny wrzask pełen bólu. Wielu z siedzących przy stole spojrzało w dół, jęk ten bowiem zdawał się pochodzić spod ziemi.

- Glizdogonie - rzekł Voldemort tym samym cichym, zamyślonym głosem, nie odrywając oczu od wciąż unoszącego się nad stołem ciała. - Czyż nie mówiłem ci, byś uciszył naszych więźniów?

- Tak, m - mój panie - wydyszał niski mężczyzna siedzący w połowie stołu. Siedział skulony na swoim krześle tak bardzo, że wydawało się, że stoi ono puste. Teraz zerwał się z miejsca i wybiegł z pokoju, zostawiając po sobie tylko dziwną, srebrzystą smugę.

- Jak już mówiłem - ciągnął Voldemort, przyglądając się spiętym twarzom swoich zwolenników - jestem teraz mądrzejszy. Wiem, na przykład, że muszę pożyczyć różdżkę od jednego z was, zanim udam się zabić Pottera.

Na otaczających go twarzach malował się szok - równie dobrze mógłby ogłosić, że chciałby pożyczyć czyjeś ramię.

- Nie ma ochotników? Popatrzmy... Lucjuszu, nie widzę powodu, dla którego miałbyś jeszcze posiadać różdżkę.

Lucjusz Malfoy podniósł wzrok. W świetle kominka jego skóra wydawała się żółtawa i woskowa, a oczy zapadłe i podkrążone.

- Mój panie? - Głos miał zachrypnięty.

- Twoja różdżka, Lucjuszu. Proszę o twoją różdżkę.

- Ja...

Malfoy spojrzał na swoją żonę. Wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, równie blada jak mąż, blond włosy spływały jej na plecy, ale pod stołem przez jedną, ulotną chwilę zacisnęła szczupłe palce na jego nadgarstku. Poczuwszy jej dotyk, Malfoy wsunął dłoń w fałdy szaty, wyjął różdżkę i podał ją Voldemortowi, który uniósł ją do oczu i przyjrzał się jej dokładnie.

- Cóż to jest?

- Wiąz, mój panie - wyszeptał Malfoy.

- A rdzeń?

- Smok... Serce smoka.

- Dobrze - mruknął Voldemort. Wyciągnął swoją własną różdżkę i porównał jej długość z długością różdżki Malfoya. Lucjusz odruchowo wyciągnął dłoń, jakby oczekiwał, że dostanie różdżkę Voldemorta w zamian za swoją własną. Trwało to ledwie ułamek sekundy, ale nie uszło uwadze Czarnego Pana. Czerwone oczy zwęziły się złośliwie.

- Mam ci dać moją różdżkę, Lucjuszu? Moją różdżkę?

Niektórzy zachichotali.

- Dałem ci wolność, Lucjuszu, czy to ci nie wystarczy? Lecz zauważyłem, że ostatnio ty i twoja rodzina nie wydajecie się najszczęśliwsi... Czyżby to moja obecność w twoim domu była tego przyczyną, Lucjuszu?

- Nie, ależ nie, mój panie!

- Tak kłamać, Lucjuszu...

Miękki, syczący głos wydawał się jeszcze brzmieć w powietrzu nawet wtedy, gdy okrutne usta znieruchomiały. Niejeden ze zgromadzonych czarodziejów z trudnością powstrzymał dreszcz, gdy ten syk stawał się coraz głośniejszy, a coś ciężkiego prześlizgnęło się po kamiennej podłodze.

Spod stołu wynurzył się wielki wąż, wpełzając po krześle Voldemorta. Wydawało się, że grube jak udo mężczyzny cielsko nie ma końca, aż wreszcie wąż ułożył się na ramionach Voldemorta, lustrując zgromadzonych nieruchomymi oczami o pionowych źrenicach. Voldemort pogłaskał go długim, chudym palcem, nie odrywając wzroku od Lucjusza Malfoya.

- Dlaczegóż to Malfoyowie wydają się tacy nieszczęśliwi? Czyż nie twierdzili przez tyle lat, że o niczym tak nie marzą, jak o moim powrocie?

- Oczywiście, mój panie - odrzekł Lucjusz Malfoy. Ręka mu drżała, gdy ocierał pot z górnej wargi. - Marzyliśmy o tym... Naprawdę, marzymy.

Po lewicy Malfoya jego żona przytaknęła sztywno, wciąż nie patrząc ani na Voldemorta, ani na wielkiego węża. Po prawicy jego syn, Draco, który wciąż wpatrywał się w nieprzytomne ciało nad stołem, zerknął na Voldemorta i szybko odwrócił wzrok, zbyt przerażony, by nawiązać kontakt wzrokowy.

- Mój panie - odezwała się zdławionym z emocji głosem ciemnowłosa kobieta. - To dla nas zaszczyt gościć cię w naszej siedzibie rodowej. Nic lepszego nie mogło nas spotkać.

Zajmowała miejsce koło swojej siostry, a niepodobieństwo fizyczne szło w parze z zupełnie odmiennym zachowaniem. Podczas gdy jasnowłosa Narcyza siedziała sztywno i obojętnie, ciemnowłosa Bellatriks pochyliła się w stronę Voldemorta, jakby same słowa nie były w stanie oddać jej żądzy bliskości.

- Nic lepszego... - powtórzył Voldemort przechylając głowę, jakby rozważał jej słowa. - To wiele znaczy w twoich ustach, Bellatriks...

Jej twarz pokryła się rumieńcem, a w oczach zalśniły łzy radości.

- Mój pan wie, że zawsze mówię prawdę!

- Nic lepszego... Nawet w porównaniu z tym jakże szczęśliwym wydarzeniem, które, jak słyszałem, w tym tygodniu miało miejsce w waszej rodzinie?

Bellatriks gapiła się na niego z otwartymi ustami, wyraźnie skonfundowana.

- Nie rozumiem, mój panie?

- Mówię o twojej siostrzenicy, Bellatriks. I waszej, Lucjuszu i Narcyzo. Właśnie poślubiła wilkołaka, Remusa Lupina. Musicie być bardzo dumni.

Zgromadzeni wokół stołu wybuchnęli drwiącym śmiechem, wielu kręciło się na swoich miejscach, wymieniając rozbawione spojrzenia, niektórzy uderzali pięściami w stół. Wielki wąż, któremu najwidoczniej nie spodobało się to zamieszanie, otworzył paszczę i syknął wściekle, ale śmierciożercy zdawali się tego nie słyszeć, rozradowani poniżeniem Bellatriks i Malfoyów. Twarz Bellatriks, jeszcze przed chwilą zaróżowiona ze szczęścia, pokryła się brzydkimi, czerwonymi plamami.

- Ona nie jest naszą siostrzenicą, mój panie! - wrzasnęła, przekrzykując te wybuchy wesołości. - My - Narcyza i ja - nie spojrzałyśmy nawet na naszą siostrę, odkąd wyszła za tego mugola. Ta gówniara nie ma nic wspólnego z naszą rodziną, podobnie jak bestia, za którą wyszła!

- A co ty na to, Draco? - Głos Voldemorta był cichy, lecz bez trudu przebijał się przez panującą wrzawę. - Będziesz niańczył szczeniaczki?

Ogólna wesołość jeszcze wzrosła. Przerażony Draco Malfoy spojrzał na ojca, który wpatrywał się intensywnie w swoje kolana, by po chwili podchwycić spojrzenie matki. Narcyza potrząsnęła głową niemal niezauważalnie, po czym znów zapatrzyła się w przeciwległą ścianę.

- Dość - rzucił Voldemort, głaszcząc rozzłoszczonego węża. - Wystarczy.

Śmiech zamarł natychmiast.

- Wiele z naszych najstarszych rodów z czasem zostało zbrukanych - rzekł, podczas gdy Bellatriks wpatrywała się w niego wstrzymując oddech. - Musicie oczyścić swoje drzewo rodowe, by wciąż było zdrowe, nieprawdaż? Odciąć te części, które zagrażają reszcie.

- Tak, mój panie - szepnęła Bellatriks, a jej oczy znów zamgliły się łzami wdzięczności. - Przy pierwszej nadarzającej się okazji!

- Nadarzy się okazja - odparł Voldemort. - Tak w twojej rodzinie, jak i na świecie... Wyplenimy zarazę, która zagraża nam wszystkim, aż wreszcie pozostanie tylko czysta krew...

Voldemort uniósł różdżkę Lucjusza Malfoya, wycelował w obracającą się powoli postać zawieszoną ponad stołem i delikatnie machnął. Postać poruszyła się, odzyskując przytomność i jęcząc zaczęła walczyć z niewidzialnymi więzami.

- Poznajesz naszego gościa, Severusie? - zapytał Voldemort.

Snape podniósł wzrok i spojrzał na odwróconą do góry nogami twarz. Wszyscy śmierciożercy również spoglądali na więźnia, jakby właśnie uzyskali pozwolenie na przyjrzenie się jakiejś ciekawostce przyrodniczej. Odwróciwszy się twarzą do kominka, wisząca kobieta krzyknęła łamiącym się z przerażenia głosem.

- Severusie! Pomóż mi!

- Ach tak - rzekł Snape, gdy więzień powoli obracał się w drugą stronę.

- A ty, Draco? - Voldemort wciąż głaskał węża wolną ręką. Draco nerwowo przytaknął. Teraz, gdy uwięziona kobieta odzyskała przytomność, młody Malfoy nie mógł zmusić się, by na nią spojrzeć.

- Ale przecież nie chodziłeś na jej zajęcia - ciągnął Voldemort. - Dla tych z was, którzy jeszcze tego nie wiedzą, naszym gościem jest dziś Charity Burbage, która do niedawna uczyła w Szkole Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie.

Pomruk zrozumienia przeszedł przez stół. Gruba, zgarbiona kobieta o ostrych zębach, zachichotała.

- Taaak... Profesor Burbage uczyła dzieci czarownic i czarodziejów wszystkiego o mugolach... Że wcale bardzo nie różnią się od nas...

Jeden ze śmierciożerców splunął na podłogę. Charity Burbage znów odwróciła się do Snape'a.

- Severusie... Proszę... Proszę...

- Cisza - warknął Voldemort i z kolejnym machnięciem Malfoyowej różdżki Charity zamilkła, jak zakneblowana. - Nieusatysfakcjonowana zatruwaniem umysłów magicznych dzieci, w zeszłym tygodniu profesor Burbage opublikowała w „Proroku Codziennym" żarliwą obronę szlam. Czarodzieje, jej zdaniem, muszą zaakceptować tych złodziei ich wiedzy i magii. Malejąca liczba czystokrwistych czarodziejów jest, jak zauważa profesor Burbage, nad wyraz pożądanym zjawiskiem... Uważa ona, że powinniśmy się wszyscy zbratać z mugolami... Bez wątpienia również z wilkołakami.

Tym razem nikt się nie roześmiał, w głosie Voldemorta niewątpliwie pobrzmiewał gniew i wzgarda. Po raz trzeci Charity Burbage odwróciła się do Snape'a. Łzy płynęły jej po twarzy i ginęły we włosach. Snape spojrzał na nią obojętnie.

- *Avada kedavra!*

Błysk zielonego światła rozświetlił każdy kąt komnaty. Charity opadła na stół z głośnym łoskotem. Kilkoro śmierciożerców odsunęło się na swoich krzesłach, a Draco zsunął się ze swojego na podłogę.

- Nagini, obiadek - rzekł miękko Voldemort, a wielki wąż spełzł z jego ramion i sunął po wypolerowanym drewnie.

Rozdział 02
In Memoriam

Tłumaczenie: spike

Harry krwawił. Zaciskając prawą dłoń w swojej lewej i przeklinając pod nosem, otworzył ramieniem drzwi sypialni. Rozległ się brzęk tłuczonej porcelany - nadepnął na filiżankę zimnej herbaty, stojącą na podłodze w korytarzu.

- Co, do chol...?

Rozejrzał się dokoła; półpiętro domu numer cztery przy Privet Drive było puste. Filiżanka była przypuszczalnie Dudleyowym pomysłem na sprytną pułapkę. Trzymając krwawiącą rękę w górze, Harry wolną dłonią zebrał skorupy naczynia i wrzucił je do wypełnionego już kosza na śmieci w swoim pokoju. Następnie poczłapał do łazienki, by opłukać palec pod kranem.

To było głupie, bezcelowe i ponad miarę denerwujące, że czekały go jeszcze cztery dni bez możliwości wykorzystywania magii... ale musiał się przyznać przed sobą samym, że i tak nie dałby sobie rady z tym postrzępionym rozcięciem. Nigdy nie uczył się, jak leczyć rany i teraz, kiedy o tym pomyślał - zwłaszcza w świetle swych rychłych planów - wyglądało to na poważny brak w jego magicznej edukacji. Notując sobie w pamięci, by zapytać Hermionę, jak to się robi, wytarł papierem toaletowym z podłogi tyle herbaty, ile się dało, po czym wrócił do sypialni, zatrzaskując za sobą drzwi.

Harry spędził poranek, opróżniając całkowicie swój szkolny kufer, po raz pierwszy odkąd spakował go sześć lat temu. Na początku każdego roku przeglądał zaledwie górne trzy czwarte zawartości, wymieniając rzeczy, pakując nowe, pozostawiając przy tym na dnie kupę różnorakich śmieci - stare pióra, zasuszone oczy żuków lub pojedyncze skarpety (już zdecydowanie za małe). Kiedy kilka minut wcześniej zanurzył rękę w tym bałaganie, poczuł kłujący ból w serdecznym palcu, a gdy cofnął dłoń, zobaczył pełno krwi.

Tym razem był już ostrożniejszy. Przyklękając ponownie obok skrzyni, obmacał uważnie dno i po wyciągnięciu starej plakietki, mrugającej słabo napisami „Kibicuj Cedrikowi Diggory'emu" i „Potter cuchnie", pękniętego, mocno zużytego fałszoskopu oraz złotego medalionu, wewnątrz którego ukryta była notka podpisana „R.A.B.", w końcu odkrył ostry przedmiot, o który się skaleczył. Rozpoznał go natychmiast. Był to długi na dwa cale fragment magicznego zwierciadła, jakie dostał od swego ojca chrzestnego. Harry odłożył szkło na bok i ostrożnie obmacał kufer w poszukiwaniu reszty, ale z

ostatniego prezentu Syriusza nie pozostało nic więcej, poza szklanym pyłem, który przylgnął do najniższej warstwy śmieci niczym błyszczący żwir.

Harry usiadł i obejrzał odłamek lusterka, ale zobaczył w nim jedynie swoje jasne, zielone oko, spoglądające na niego z odbicia. Odłożył go więc na wierzch porannego wydania „Proroka Codziennego", który leżał nie przeczytany na łóżku i próbował odpędzić nagły przypływ gorzkich wspomnień, ukłucia żalu i tęsknoty, przywołane odnalezieniem tego kawałka lustra.

Opróżnienie kufra do reszty, wyrzucenie bezużytecznych przedmiotów i posortowanie pozostałych na dwie kupki - tych, których aktualnie potrzebował i tych niepotrzebnych, zajęło Harry'emu kolejną godzinę. Jego szkolne szaty, strój do quidditcha, kociołek, pergamin, pióra i większość podręczników piętrzyły się w kącie. Nie zamierzał ich brać ze sobą. Zastanawiał się, co jego wuj i ciotka z nimi zrobią - pewnie spalą je w środku nocy, jakby były dowodem jakiejś straszliwej zbrodni. Przepakował swoje mugolskie ubranie, pelerynę - niewidkę, zestaw do przyrządzania eliksirów, niektóre książki, album ze zdjęciami, otrzymany niegdyś od Hagrida, stos listów i różdżkę do starego plecaka. Do przedniej kieszeni włożył Mapę Huncwotów i medalion. Medalion znalazł się na honorowym miejscu nie ze względu na jego wartość materialną - nie przedstawiał bowiem żadnej wartości - ale ze względu na cenę, jaką przyszło zapłacić za jego zdobycie.

Pozostawał jeszcze spory stos gazet spoczywających na biurku obok klatki z Hedwigą. Przypadała jedna na każdy dzień, jaki Harry spędził tego lata w domu na Privet Drive.

Podniósł się z podłogi, przeciągnął i podszedł do biurka. Hedwiga ani drgnęła, gdy zaczął przeglądać gazety, odrzucając je jedna po drugiej na kupkę śmieci. Sowa spała, albo przynajmniej udawała, że śpi. Była zła na Harry'ego za to, że chwilowo ograniczał jej czas, który mogła spędzać poza klatką.

Kiedy kupka gazet stopniała, Harry zwolnił, szukając pewnego konkretnego numeru, wydanego niedługo po jego powrocie na Privet Drive. Pamiętał, że na pierwszej stronie była niewielka wzmianka o rezygnacji Charity Burbage, nauczycielki mugoloznawstwa w Hogwarcie. W końcu udało mu się znaleźć gazetę. Otwierając ją na stronie dziesiątej, opadł na krzesło i wczytał się ponownie w artykuł, którego szukał.

WSPOMNIENIE O ALBUSIE DUMBLEDORE
Elphias Doge

Spotkałem Albusa Dumbledore w wieku lat jedenastu, naszego pierwszego dnia w Hogwarcie. Nasze wzajemne przyciąganie wynikało niewątpliwie z faktu, że obaj czuliśmy się outsiderami. Niedługo przed przybyciem do szkoły przechodziłem smoczą ospę i chociaż kontakt ze mną nie groził już zarażeniem, moja pokryta krostami twarz i zielonkawy odcień skóry nie zachęcały do bliższego kontaktu. Albus z kolei przybył do Hogwartu z brzemieniem niechcianego rozgłosu. Zaledwie rok wcześniej jego ojciec, Persival, został skazany z powodu okrutnego ataku na trójkę młodych Mugoli, co bardzo nagłośniono.

Albus nigdy nie próbował zaprzeczać, że jego ojciec (który miał dokonać żywota w Azkabanie) popełnił tę zbrodnię. Wręcz przeciwnie, kiedy zdobyłem się na odwagę, by o to spytać, zapewnił mnie, iż wiedział o winie swego ojca. Poza tym jedynym razem, Dumbledore odmówił rozmawiania o tej smutnej sprawie, choć wielu próbowało sprowokować go do zwierzeń. Niektórzy, w rzeczy samej, pochwalali postępowanie jego ojca oraz zakładali, że i Albus nienawidzi Mugoli. Bardziej nie mogli się mylić: jak przyzna każdy, kto znał Albusa, nigdy nie okazał on nawet najmniejszych antymugolskich skłonności. W rzeczy samej, jego zaciekłe poparcie dla praw Mugoli w następnych latach zyskało mu wielu wrogów. Jednak w ciągu zaledwie kilku miesięcy dokonania Albusa zaczęły przyćmiewać złą sławę jego ojca. Zanim upłynął pierwszy rok w szkole, nie był już dłużej znany jako syn nienawidzącego Mugoli ojca, ale - ni mniej ni więcej - najzdolniejszy uczeń, jaki kiedykolwiek przestąpił progi Hogwartu. Ci z nas, którzy mieli przywilej zostać jego przyjaciółmi, czerpali korzyści z jego przykładu, nie wspominając o

pomocy, czy poparciu, których Albus zawsze chętnie udzielał. Wyznał mi wiele lat później, że już wtedy wiedział, iż największą przyjemność będzie czerpał z nauczania.

Nie tylko co roku zdobywał wszystkie nagrody, jakie oferowała szkoła, ale wkrótce już regularnie korespondował z najbardziej znamienitymi osobistościami magicznego świata tamtego okresu, wliczając Nicolasa Flamela, słynnego alchemika, Bathildę Bagshot, wybitnego historyka i Adalberta Wafflinga, teoretyka magii. Kilka z jego opracowań znalazło się w naukowych publikacjach, takich jak „Transmutacja Dziś", „Wyzwania Uroków", czy „Praktyczny Warzyciel". Wydawało się, że otwiera się przed nim świetlana przyszłość i czeka go kariera. Zastanawiano się już tylko, kiedy zostanie ministrem magii. Jednak, mimo iż wielokrotnie w późniejszych latach spodziewano się, że obejmie urząd, Albus nigdy nie miał ministerialnych ambicji.

Trzy lata po tym jak rozpoczęliśmy naukę w Hogwarcie, do szkoły trafił brat Albusa, Aberforth. Zupełnie nie byli do siebie podobni. Aberforth nie był typem mola książkowego i w przeciwieństwie do Albusa, wszelkie spory wolał raczej rozstrzygać w pojedynkach, niż przez sensowną dysputę. Jednak nieprawdziwe są sugestie, jakoby bracia nie byli przyjaciółmi. Znosili swoją obecność na tyle dobrze, na ile dwóch tak różnych chłopców jest w stanie się znosić. Trzeba przyznać uczciwie Aberforthowi, że życie w cieniu Albusa nie było łatwym doświadczeniem. Nawet będąc jego przyjacielem, należało się liczyć z ryzykiem bycia nieustannie przyćmiewanym przez niego, z pewnością więc i dla jego brata nie było to przyjemne.

Kiedy Albus i ja opuściliśmy Hogwart, zamierzaliśmy odbyć razem tradycyjną podróż po świecie, odwiedzając i obserwując zagranicznych czarodziejów, zanim każdy z nas pójdzie swoją drogą. Jednak przeszkodziła nam w tym tragedia. W przeddzień rozpoczęcia naszej podróży zmarła Kendra, matka Albusa, pozostawiając go głową i jedynym żywicielem rodziny. Opóźniłem swój wyjazd na tyle długo, by złożyć kondolencje na pogrzebie Kendry, po czym wyruszyłem w podróż samotnie. Nie było mowy o tym, by Albus mi towarzyszył, skoro miał pod opieką młodszego brata i siostrę, a pozostawiono im w spadku niewielką ilość pieniędzy.

W tym okresie mieliśmy ze sobą słaby kontakt. Słałem do Albusa listy, opisując całkiem wyczerpująco cuda moich podróży, począwszy od tego, jak ledwie uszedłem z życiem chimerom w Grecji, po eksperymenty egipskich alchemików. Jego zaś korespondencja nie wspominała zbyt wiele o codziennym życiu, które, jak przypuszczałem, musiało być frustrująco nudne dla tak zdolnego czarodzieja. Zatopiony w moich własnych doświadczeniach, zbliżając się do końca mojej rocznej wyprawy, ze zgrozą przyjąłem wiadomość o kolejnej tragedii, jaka wstrząsnęła rodziną Dumbledore'ów - o śmierci jego siostry, Ariany.

Mimo iż Ariana od dłuższego czasu była słabego zdrowia, ten cios, który nastąpił tak szybko po stracie matki, wywarł głęboki wpływ na obu braci. Wszyscy bliscy znajomi Albusa - i ja również zaliczałem się do tych szczęśliwców - zgadzali się, że śmierć Ariany i fakt, że Albus czuł się za nią osobiście odpowiedzialny (choć oczywiście nie ponosił żadnej winy za jej zgon), odcisnęły swe piętno na jego życiu.

Powróciłem do domu, by ujrzeć młodego człowieka, który doświadczył cierpień osoby o wiele starszej. Albus okazywał więcej rezerwy, był o wiele mniej pogodny. Na domiar złego, strata Ariany doprowadziła nie do umocnienia więzów między Albusem i Aberforthem, ale do ich oddalenia od siebie. (W miarę upływu czasu miało się to zmienić - po latach nawiązali, jeśli nie serdeczne, to przynajmniej uprzejme stosunki.) Jednakże od tamtej pory Albus rzadko mówił o swoich rodzicach, czy o Arianie, a jego przyjaciele nauczyli się o nich nie wspominać.

Inni ludzie będą opisywać jego triumfy w kolejnych latach. Niezmierzony wkład Dumbledore'a w całość magicznej wiedzy, wliczając odkrycie dwunastu zastosowań smoczej krwi, będzie przynosił korzyści przyszłym pokoleniom, tak samo jak mądrość, którą okazał przy wielu wyrokach, w czasie, gdy pełnił funkcję przewodniczącego Wizengamotu. Do dziś mówi się, że żaden z czarodziejskich pojedynków nie dorównuje temu, jaki rozegrał się pomiędzy Dumbledore'em a Grindelwaldem w 1945. Ci, którzy byli świadkami tego wydarzenia, pisali o grozie, jaką czuli, przyglądając się walce tych dwóch niezwykłych czarodziejów. Triumf Dumbledore'a i jego konsekwencje dla czarodziejskiego świata uważane są za punkt zwrotny w historii magicznej, odpowiadający wagą

wprowadzeniu Międzynarodowej Ustawy o Tajności, czy upadkowi Tego, Którego Imienia Się Nie Wypowiada.

Albus Dumbledore nigdy nie grzeszył pychą czy próżnością. W każdym, nieważne jak mało znaczącym, na pierwszy rzut oka potrafił znaleźć coś cennego, i wierzę, że to cierpienia z dzieciństwa ukształtowały w nim jego wielkie człowieczeństwo oraz współczucie dla innych. Będzie mi brakować jego przyjaźni bardziej, niż jestem to w stanie wyrazić, jednak moja strata jest niczym, w porównaniu do straty całego świata czarodziejów. Nie ulega wątpliwości, że był najbardziej inspirującym i najbardziej kochanym dyrektorem Hogwartu. Umarł tak jak żył: pracując dla dobra ogółu, do swej ostatniej godziny zawsze tak samo chętny wyciągnąć dłoń do małego chłopca ze smoczą ospą, jak tego dnia, kiedy go poznałem.

Harry skończył czytać, ale nadal patrzył na zdjęcie Dumbledore'a, towarzyszące artykułowi. Na twarzy dyrektora malował się znajomy, uprzejmy uśmiech, ale gdy zerkał znad swoich okularów w kształcie półksiężyców, nawet z druku wydawał się wzrokiem prześwietlać Harry'ego, w którym smutek mieszał się z uczuciem upokorzenia.

Choć zdawało mu się, że znał Dumbledore'a całkiem dobrze, odkąd przeczytał to pośmiertne wspomnienie, zmuszony był przyznać, że tak naprawdę prawie w ogóle go nie znał. Ani razu nie próbował sobie wyobrazić dzieciństwa, czy młodości Dumbledore'a. Jakby od zawsze był taki, jakiego go znał Harry - czcigodny, siwowłosy starzec. Wizja nastoletniego Dumbledore'a była po prostu zbyt osobliwa, podobnie jak próba wyobrażenia sobie głupiej Hermiony, czy przyjacielskich sklątek tylnowybuchowych.

Nigdy nie pomyślał o tym, by zapytać Dumbledore'a o jego przeszłość. Bez wątpienia byłoby to dziwne, niemal impertynenckie, ale w końcu ogólnie wiadomo było, że Dumbledore brał udział w tym legendarnym pojedynku z Grindelwaldem, a Harry nawet nie pomyślał, by spytać go, jak to wyglądało. Nie pytał też o inne słynne osiągnięcia Dumbledore'a. Nie, zawsze tematem rozmów był Harry. Przeszłość Harry'ego, przyszłość Harry'ego, plany Harry'ego... i teraz wydawało mu się, że choć jego przyszłość była tak niebezpieczna i niepewna, stracił bezpowrotnie wiele okazji, by wypytać Dumbledore'a o jego przeszłość. Nawet mimo tego, że jedyne osobiste pytanie, jakie kiedykolwiek zadał dyrektorowi, było zarazem jedynym pytaniem, na które, jak podejrzewał, Dumbledore nie odpowiedział szczerze:

- Co pan profesor widzi, jak patrzy w to lustro?

- Ja? Widzę siebie, trzymającego parę grubych, wełnianych skarpet.

Po kilku minutach zamyślenia Harry wydarł artykuł z „Proroka", złożył go ostrożnie i wcisnął pomiędzy strony pierwszego tomu „Praktycznej magii obronnej i jej użycia przeciwko czarnej magii". Następnie rzucił resztę gazety na kupkę śmieci i rozejrzał się po pokoju. Sypialnia wyglądała o wiele schludniej. Jedynymi rzeczami nie na swoich miejscach były: dzisiejsze wydanie „Proroka Codziennego" i leżący na nim odłamek rozbitego lustra.

Harry przeszedł na drugą stronę pokoju, zsunął fragment lustra z gazety i rozłożył ją. Odbierając zwinięte pismo od sowy pocztowej tego ranka, zaledwie zerknął na nagłówki i odrzucił gazetę na bok, zauważając, że nie ma w niej słowa na temat Voldemorta. Harry był pewien, że ministerstwo wywiera nacisk na „Proroka", by zatajał wszelkie wieści o nim. I dopiero teraz zobaczył to, co umknęło jego uwadze.

W poprzek dolnej połowy pierwszej strony, nad zdjęciem wyglądającego na udręczonego Dumbledore'a, kroczącego gdzieś w pośpiechu, umieszczony był mniejszy nagłówek:

DUMBLEDORE - W KOŃCU PRAWDA?

Już w przyszłym tygodniu szokująca historia geniusza ze skazą, uważanego przez wielu za największego czarodzieja swego pokolenia. Przeciwstawiając się popularnemu wizerunkowi spokojnego, siwobrodego mędrca, Rita Skeeter odkrywa burzliwe dzieciństwo, samowolną młodość, ciągnące się przez całe życie rodowe waśnie i karygodne sekrety, które Dumbledore zabrał ze sobą do grobu. DLACZEGO człowiek, który mógł być ministrem magii, był zadowolony, pozostając zwykłym dyrektorem

szkoły? CO było prawdziwym celem sekretnej organizacji, znanej pod nazwą Zakonu Feniksa? JAK naprawdę zginął Dumbledore?

Odpowiedzi na te pytania, jak i na wiele innych można znaleźć w szokującej nowej biografii „Życie i kłamstwa Albusa Dumbledore", autorstwa Rity Skeeter, z którą ekskluzywny wywiad przeprowadziła Betty Braithwaite, strona trzynasta.

Harry w pośpiechu otworzył gazetę i odnalazł stronę trzynastą. Artykuł okraszony był zdjęciem ukazującym kolejną znajomą twarz: kobietę w okularach wysadzanych klejnotami, z wyszukanie zakręconymi blond lokami i zębami odsłoniętymi w grymasie, który najwyraźniej miał być zwycięskim uśmiechem, machającą palcami w jego kierunku. Starając się zignorować budzące mdłości zdjęcie, Harry zagłębił się w lekturze.

Przy bliższym kontakcie Rita Skeeter jest o wiele milsza i łagodniejsza, niż sugerowałby cięty język artykułów, jakie wyszły spod jej sławnego pióra. Powitawszy mnie w holu swego przytulnego domu, prowadzi mnie wprost do kuchni, na filiżankę herbaty, kawałek babki i oczywiście, o czym nie trzeba nawet wspominać, gorącą porcję najświeższych plotek.*

- No cóż, to jasne, że postać Dumbledore'a jest marzeniem każdego biografa - mówi Skeeter. - Jakże długie, pełne wrażeń miał życie. Jestem pewna, że moja książka będzie pierwszą z bardzo wielu.

Skeeter z pewnością była szybka. Jej dziewięciusetstronicowa książka została ukończona zaledwie cztery tygodnie po tajemniczej śmierci Dumbledore'a w czerwcu. Pytam ją, w jaki sposób zdołała tego dokonać tak niezwykle prędko.

- Och, jeśli jesteś dziennikarzem od tak dawna jak ja, dotrzymywanie krótkich terminów staje się twoją drugą naturą. Wiedziałam, że świat czarodziejów domaga się pełnej historii i chciałam być pierwszą, która sprosta temu wyzwaniu.

Wspominam ostatnie, szeroko publikowane uwagi Elphiasa Doge'a, Specjalnego Doradcy Wizengamotu i wieloletniego przyjaciela Albusa Dumbledore'a, według którego „książka Skeeter zawiera mniej faktów, niż karta z pudełka czekoladowych żab".

Skeeter odrzuca głowę do tyłu i śmieje się.

- Poczciwy Dodgy! Pamiętam, jak przeprowadzałam z nim kilka lat temu wywiad na temat praw trytonów. Kompletnie zramolały, myślał chyba, że siedzimy na dnie jeziora Windermere, bo powtarzał wciąż, bym uważała na pstrąga.

A mimo to oskarżenia Elphiasa Doge'a odbiły się echem w wielu miejscach. Czy Skeeter naprawdę myśli, że cztery krótkie tygodnie to wystarczający czas, by uchwycić pełen obraz długiego i niezwykłego życia Dumbledore'a?

- O, moja droga - promienieje Skeeter, szturchając mnie czule w kostkę - wiesz dobrze sama, jak wiele informacji można uzyskać dzięki wypchanej sakiewce galeonów, zignorowaniu zwykłego „nie" i dobremu, ostremu samonotującemu piórze. I bez tego ludzie ustawiali się w kolejce, by dorzucić nieco brudu na temat Dumbledore'a. Wiesz, nie każdy uważa, że był on taki wspaniały - wielu ważnym osobom nadepnął na odcisk. Ale stary Dodgy Doge może zsiąść ze swego hipogryfa, bo miałam dostęp do takiego źródła, że większość dziennikarzy oddałaby swoje różdżki, by się do niego dostać; do kogoś, kto nigdy wcześniej nie wypowiadał się publicznie, a kto był blisko Dumbledore'a w czasie najbardziej burzliwego i niepokojącego okresu jego młodości.

Znaczny rozgłos, który towarzyszy biografii autorstwa Skeeter z pewnością sugeruje, iż ci, którzy wierzą, że Dumbledore wiódł życie bez skazy, przeżyją niemały szok. Pytam, jakie były największe niespodzianki, jakie udało jej się odkryć.

- Oj, Betty, nie pytaj o to, nie mam zamiaru wyjawiać wszystkich ważnych momentów, zanim ktokolwiek kupi książkę - śmieje się Skeeter. - Ale mogę obiecać, że jeśli ktoś nadal myśli, że Dumbledore był nieskazitelny jak biel jego brody, może się spodziewać gorzkiej pigułki. Powiedzmy chociażby, że nikt z tych, którzy wysłuchiwali jego gromów miotanych na Sama Wiesz Kogo, nigdy by nie przypuszczał, że w młodości on sam parał się czarną magią! I jak na czarodzieja, który spędził swoje późniejsze lata jako orędownik powszechnej tolerancji, sam nie był zbyt tolerancyjny, kiedy był młodszy! O tak, Albus Dumbledore miał niezwykle mroczną przeszłość, nie wspominając nawet o bardzo podejrzanej rodzinie, nad zatuszowaniem sprawek której tak ciężko pracował.

Pytam Skeeter, czy ma na myśli brata Dumbledore'a, Aberfortha, skazanego przez Wizengamot za niewłaściwe użycie magii, co spowodowało mały skandal piętnaście lat temu.

- Och, Aberforth jest jedynie wierzchołkiem tej kupy łajna - śmieje się Skeeter. - Nie, nie, mówię tu o czymś znacznie gorszym, niż brat z tendencjami do zabawiania się z kozami, nawet o czymś gorszym niż znęcający się nad Mugolami ojciec - Dumbledore i tak nie mógł wyciszyć obu tych spraw, bo zajął się nimi Wizengamot. Nie, to matka i siostra zaintrygowały mnie, i nie trzeba było kopać głęboko, by odkryć źródło paskudztwa... ale jak mówię, na komplet szczegółów będziesz musiała poczekać aż ukażą się rozdziały: od dziewiątego do dwunastego. Nic dziwnego, iż Dumbledore nigdy nie wspominał, w jaki sposób jego nos został złamany - to wszystko, co w tej chwili mogę powiedzieć.

Jednakże, pomimo rodzinnych sekretów, czy Skeeter zaprzecza zdolnościom, jakie powiodły Dumbledore'a do wielu magicznych odkryć?

- Miał z pewnością rozum - przyznaje - jednak obecnie wiele osób kwestionuje to, czy faktycznie to jego zasługą są wszystkie osiągnięcia, które mu się przypisuje. Jak ujawniam w rozdziale szesnastym, Ivor Dillonsby twierdzi, jakoby on sam odkrył osiem zastosowań smoczej krwi, kiedy Dumbledore „zapożyczył" jego opracowania.

Ale waga niektórych z osiągnięć Dumbledore'a - ciągnę dalej - jest nie do zaprzeczenia?. Na przykład jego słynne zwycięstwo nad Grindelwaldem.

- Och, cieszę się, że wspomniałaś Grindelwalda - mówi Skeeter ze zwodniczym uśmiechem. - Obawiam się, że ci, którzy przelewają łzy nad wspaniałym zwycięstwem Dumbledore'a, muszą się liczyć z bombą - a może raczej łajnobombą. Bardzo brzydka sprawa, w rzeczy samej. Wszystko, co mogę powiedzieć, to że nie powinniście mieć pewności, iż faktycznie był to spektakularny pojedynek godny przejścia do legendy. Po przeczytaniu mojej książki, ludzie mogą dojść do wniosku, że Grindelwald zwyczajnie wyczarował białą chusteczkę z końca swojej różdżki i poddal się bez walki!

Skeeter odmawia udzielenia jakichkolwiek dodatkowych informacji na ten intrygujący temat, przechodzimy więc na temat związku, który bez wątpienia zafascynuje czytelników bardziej, niż jakikolwiek inny.

- O, tak - mówi Skeeter, potakując żwawo. - Poświęciłam cały rozdział stosunkom między Potterem i Dumbledore'em. Nazywane były niezdrowymi, a nawet groźnymi. Raz jeszcze powtarzam: twoi czytelnicy będą musieli kupić książkę, by przeczytać całą historię, ale nie ulega wątpliwości, że Dumbledore od samego początku przejawiał nienaturalne zainteresowanie Potterem. Czy to aby na pewno było w najlepszym interesie chłopca - cóż, przekonamy się. Z całą pewnością nie jest tajemnicą, że Potter przeżywał niezwykle trudne dorastanie.

Pytam Skeeter, czy nadal pozostaje w kontakcie z Potterem. Wszak przeprowadziła z nim słynny wywiad w zeszłym roku, przełomowy artykuł, w którym Potter wypowiedział się wyłącznie o swoim przeświadczeniu, że Sami Wiecie Kto powrócił.

- Och, tak, zawiązała się między nami bliska więź - mówi Skeeter. - Biedny Potter ma niewielu prawdziwych przyjaciół i spotkaliśmy się podczas jednego z tych momentów jego życia, kiedy najbardziej wystawiony był na próbę - podczas Turnieju Trójmagicznego. Jestem prawdopodobnie jedną z nielicznych żyjących osób, które mogą powiedzieć, że znają prawdziwego Harry'ego Pottera.

Co prowadzi nas prosto do wielu plotek, krążących na temat ostatnich godzin Dumbledore'a. Czy Skeeter wierzy, że Potter był obecny przy jego śmierci?

- No cóż, nie chcę powiedzieć zbyt wiele - wszystko jest w książce - ale naoczni świadkowie wewnątrz Hogwartu widzieli Pottera uciekającego z miejsca wydarzeń w kilka chwil po tym, jak Dumbledore spadł, skoczył lub został zepchnięty z wieży. Potter obarczył później winą Severusa Snape'a - człowieka, do którego od zawsze żywił urazę. Czy wszystko jest takie, jakim się wydaje? O tym zadecyduje czarodziejska społeczność po przeczytaniu mojej książki.

Odchodzę po tej intrygującej uwadze. Nie ulega wątpliwości, że spod pióra Skeeter wyszedł natychmiastowy bestseller. Legiony wielbicieli Dumbledore'a mogą tymczasem drżeć na wieść o tym, co wkrótce zostanie ujawnione o ich bohaterze.

Harry dotarł do końca artykułu, ale nadal nieruchomo wpatrywał się w stronę. Wstręt i furia podeszły mu do gardła niczym wymioty. Zmiął gazetę i z całej siły cisnął nią o ścianę, gdzie dołączyła do reszty śmieci, piętrzących się wokół przepełnionego kosza.

Zaczął chodzić bezmyślnie po pokoju, otwierając puste szuflady i podnosząc książki jedynie po to, by za chwilę odłożyć je na ten sam stos, ledwie świadom tego, co robi, podczas gdy wyrywkowe zdania z artykułu Rity rozbrzmiewały echem w jego głowie. „Cały rozdział poświęcony stosunkom między Potterem i Dumbledore'em…", „Nazywane były niezdrowymi, a nawet groźnymi…", „Sam parał się czarną magią w młodości…", „Miałam dostęp do takiego źródła, że większość dziennikarzy oddałaby swoje różdżki, by się do niego dostać".

- Kłamstwa! - ryknął Harry i przez okno ujrzał sąsiada, który spojrzał nerwowo do góry, przystając przed ponownym uruchomieniem kosiarki do trawy.

Harry usiadł ciężko na łóżku. Pęknięty okruch lustra poskoczył na materacu. Podniósł go i obrócił w palcach, myśląc o Dumbledorze i tych wszystkich kłamstwach, którymi Rita go zniesławiała.

Błysk najjaśniejszego błękitu. Harry zamarł z rozciętym palcem znów dotykającym ostrej krawędzi lustra. Tylko mu się zdawało, musiało mu się wydawać... Zerknął przez ramię, ale ściana miała mdły brzoskwiniowy kolor, który wybrała ciotka Petunia. Nie było tam nic niebieskiego, co mogłoby odbić się w lusterku. Ponownie zatopił wzrok w lustrzanym fragmencie, ale nie zobaczył nic poza swoimi jasnozielonymi oczami.

Musiał to sobie wyobrazić, nie było innego wytłumaczenia. Wyobraził to sobie, bo myślał o swoim zmarłym dyrektorze. Jeśli coś było pewne, to fakt, że jasnoniebieskie oczy Albusa Dumbledore'a już nigdy nie miały przeszyć go spojrzeniem.

Rozdział 03
Pożegnanie z Dursleyami

Tłumaczenie: Śmiertelny Robal

Huk zatrzaskiwanych z impetem drzwi frontowych odbił się echem na piętrze, a zaraz potem rozległ się krzyk:

- HEJ, TY!

Harry słyszał te słowa kierowane pod swoim adresem przez szesnaście lat, więc wiedział, że wuj go woła, ale nie od razu zareagował. Nadal wpatrywał się w kawałek lusterka, w którym, mógłby przysiąc, przez chwilę widział oczy Dumbledore'a. Dopiero, gdy wuj krzyknął *„CHŁOPCZE!”*, wstał powoli z łóżka i ruszył w stronę drzwi, lecz zatrzymał się na chwilę, by wrzucić do plecaka odłamek zwierciadła.

- Nie spieszyłeś się! - wrzasnął Dursley, kiedy Harry pojawił się na szczycie schodów. - Złaź tu w tej chwili. Chcę zamienić z tobą słowo.

Chłopak zszedł po schodach z rękami wbitymi głęboko w kieszenie spodni. Kiedy znalazł się w salonie, zastał tam wszystkich Dursleyów. Ubrani byli tak, jakby zaraz mieli się gdzieś pakować. Wuj Vernon w swoim starym ubraniu roboczym, ciotka Petunia w zgrabnym, łososiowym płaszczu, a Dudley, wielki, muskularny, jasnowłosy kuzyn Harry'ego, w swojej skórzanej kurtce.

- Tak? - zapytał Harry.

- Siadaj - odrzekł wuj Vernon. Chłopak uniósł brwi. - Proszę! - dodał Dursley, krzywiąc się tak, jakby to słowo ukąsiło go w język.

Harry usiadł, przeczuwając, co nadchodzi. Wuj Vernon zaczął przechadzać się w tę i z powrotem przed kominkiem, a Petunia i Dudley przyglądali się jego ruchom z

zaniepokojeniem wymalowanym na twarzach. Fioletowa twarz Dursleya zmarszczyła się, gdy się skoncentrował. Wtedy mężczyzna zatrzymał się nagle przed Harrym i oświadczył:

- Zmieniłem zdanie.

- Co za niespodzianka - odpowiedział chłopak.

- Nie waż się mówić takim tonem... - zaczęła ciotka Petunia ostrym głosem, ale mąż nie pozwolił jej dokończyć.

- To nie jest ważne - powiedział, patrząc niechętnie na Harry'ego. - Zdecydowałem, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Zostajemy w domu i nigdzie się stąd nie ruszamy.

Chłopak spojrzał na swojego wuja, czując połączenie irytacji i rozbawienia. Vernon Dursley przez ostatnie cztery tygodnie zmieniał zdanie co dwadzieścia cztery godziny, pakując i rozpakowując walizki oraz auto przy najdrobniejszej zmianie nastroju. Harry'emu najbardziej się podobało, kiedy Dudley, nie mówiąc nic ojcu, dopakował swoje hantle do jednej z walizek, a gdy Vernon próbował podnieść ją i wpakować do bagażnika, upadł jęcząc z bólu i przeklinając.

- Według ciebie - rzekł Dursley, znów podejmując spacer w tę i z powrotem - Petunii, Dudleyowi i mnie grozi niebezpieczeństwo ze strony... ze strony...

- Ludzi „*mojego* pokroju", tak?

- Nie wierzę w to - powtórzył Vernon, zatrzymując się ponownie przed Harrym. - Pół nocy nie spałem, rozmyślając o tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że to spisek, by przejąć dom.

- Dom? - powtórzył Harry. - Jaki dom?

- *Ten* dom! - wrzasnął wuj Vernon, a żyła na jego czole zaczęła wściekle pulsować. - *Nasz* dom! Ceny domów w tej okolicy są kosmiczne! Chcesz się nas stąd pozbyć, żeby za pomocą jakiegoś swojego hokus - pokus przepisać akt własności na swoje nazwisko i...

- Czyś ty kompletnie oszalał? - zapytał chłopak. - Spisek, by przejąć ten dom? Naprawdę jesteś tak głupi, na jakiego wyglądasz?

- Nie waż się nawet...! - pisnęła ciotka Petunia, ale Vernon znowu nie pozwolił jej dokończyć.

Inwektywy skierowane pod jego adresem były niczym, w porównaniu z niebezpieczeństwem, które, jego zdaniem, im groziło.

- W razie, gdybyś zapomniał - rzekł Harry - to ja już mam dom. Mój ojciec chrzestny zostawił mi go w testamencie. Dlaczego miałbym chcieć tego? Ze względu na szczęśliwe wspomnienia?

Zapanowała cisza. Harry pomyślał, że tym argumentem chyba zrobił wrażenie na wuju.

- Podtrzymujesz więc - powiedział Vernon, na nowo rozpoczynając chodzenie w tę i z powrotem - że ten Lord Jakiś...

- Voldemort - rzekł niecierpliwie Harry. - Przerabialiśmy to już setki razy. I ja niczego nie podtrzymuję. Stwierdzam fakt. Dumbledore powiedział wam to w zeszłym roku. Kingsley i pan Weasley również...

Vernon przystanął. Wyglądał na nieźle rozzłoszczonego. Harry przypuszczał, że wuj chciałby wymazać wspomnienia o niezapowiedzianej wizycie dwóch dorosłych czarodziejów, która miała miejsce w parę dni po zakończeniu roku szkolnego.

Pojawienie się Kingsleya Shacklebolta i Artura Weasleya na progu ich domu było naprawdę nieprzyjemnym szokiem dla Dursleyów. Z drugiej strony, Harry musiał przyznać, że widok Artura Weasleya, po tym, jak kilka lat wcześniej zdemolował doszczętnie ich salon, mogło im się nie spodobać.

- ...Kingsley i pan Weasley też to wszystko wyjaśnili - kontynuował bezlitośnie. - Gdy tylko skończę siedemnaście lat, czar, który mnie chroni pryśnie, a wy będziecie tak samo narażeni na niebezpieczeństwo, jak ja. Zakon twierdzi, że Voldemort obierze was sobie za cel, by albo torturować i wydobyć z was miejsce mojego pobytu, albo wziąć na zakładników, sądząc, że przybędę wam na ratunek.

Oczy Vernona i Harry'ego spotkały się na moment. Harry był pewien, że przez ten jeden moment obaj zastanawiali się nad tym samym. Wtedy wuj na nowo zajął się spacerowaniem w tę i z powrotem, a Harry kontynuował swój wywód:

- Musicie się ukryć, a Zakon chce wam w tym pomóc. Zaoferowano wam stałą ochronę, najlepszą z możliwych.

Wuj Vernon nic nie powiedział, nie zatrzymał się ani na moment. Za oknem słońce wisiało już nisko nad ligustrowym żywopłotem. Silnik kosiarki sąsiadów znowu zgasł.

- Myślałem, że macie Ministerstwo Magii? - zapytał nagle Vernon Dursley.

- Mamy - odpowiedział Harry, zaskoczony.

- Więc dlaczego to nie oni będą nas chronić? Moim zdaniem, jako niewinne ofiary, winne może jedynie tego, że trzymały pod swym dachem rozpoznawalnego człowieka, zasługujemy na ochronę z ministerstwa!

Harry wybuchnął śmiechem. To takie typowe dla jego wuja, że pokładał wszelką nadzieję w rządzących. Nawet w rządzących światem, którego nienawidzi, i któremu nie ufa.

- Słyszałeś, co powiedzieli pan Weasley i Kingsley - odpowiedział. - Uważamy, że poczynania ministerstwa są ciągle szpiegowane.

Wuj Vernon podszedł szybko do kominka i zawrócił, dysząc tak ciężko, że jego wielkie, czarne wąsy poruszały się pod wpływem oddechu, a jego twarz była aż fioletowa ze skupienia.

- Dobra - rzekł. - Dobra, powiedzmy, że się zgodzę na tę całą ochronę. Ale nadal nie widzę przyczyny, dlaczego nie możemy mieć przy sobie tego Kingsleya?

Harry z trudem opanował odruch przewrócenia oczami. To pytanie również padło już kilka razy.

- Jak już ci mówiłem - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Kingsley ochrania mug... to znaczy waszego premiera.

- No właśnie - jest najlepszy! - powiedział wuj Vernon, wskazując na wygaszony ekran telewizora.

Dursleyowie poprzednio zauważyli Kingsleya w wiadomościach, jak szedł tuż za mugolskim premierem, gdy ten odwiedzał jakiś szpital.

To oraz fakt, że Shacklebolt opanował do perfekcji przebieranie się za mugola, nie wspominając już o czymś takim w jego głębokim głosie, co rozpraszało wszelkie wątpliwości, sprawiało, że Dursleyowie zaakceptowali Kingsleya, jak żadnego innego czarodzieja. Prawdopodobnie to dlatego, że jeszcze nigdy nie widzieli go z kolczykiem w uchu.

- Jest najlepszy, ale jest zajęty - rzekł chłopak. - Natomiast Hestia Jones i Dedalus Diggle wezmą tę robotę z całą przyjemnością...

- Gdybyśmy chociaż widzieli ich CV... - zaczął Dursley, ale Harry stracił w tym momencie cierpliwość.

Wstał i ruszył w stronę Vernona, tym razem samemu wkazując telewizor.

- Wszystkie te wypadki nie są przypadkowe. Wszystkie stłuczki, eksplozje, wykolejenia pociągów i inne nieszczęścia. Ludzie znikają w niewyjaśnionych okolicznościach, umierają, a za wszystkim tym stoi właśnie on - Voldemort. Mówiłem wam to już setki razy. Zabija mugoli dla zabawy. Nawet te mgły nie są zwyczajne - to przez dementorów. A jeżeli nie pamiętacie, czym są, to zapytajcie swojego syna!

W tym momencie Dudley odruchowo zasłonił usta rękami. Czując na sobie spojrzenia zarówno rodziców, jak i Harry'ego, powoli je opuścił i zapytał:

- To ich... ich jest więcej?

- Więcej? - zaśmiał się Harry. - Masz na myśli, czy jest ich więcej niż te dwa, które nas zaatakowały? Oczywiście, że jest ich więcej! Są ich setki, może nawet tysiące, biorąc pod uwagę, że żywią się strachem i rozpaczą...

- Dobra, dobra - przerwał mu wuj. - Wiemy o co ci chodzi.

- Mam nadzieję - odparł Harry. - Bo kiedy skończę siedemnaście lat, oni wszyscy - śmierciożercy, dementorzy, a może nawet inferiusy, to znaczy trupy zaczarowane przez czarnoksiężnika, będą mogli was znaleźć i z całą pewnością zaatakują. I jeżeli pamiętacie ostatni raz, kiedy próbowaliście przechytrzyć czarodzieja, to myślę, że zgodzicie się ze mną, że potrzebujecie pomocy.

Zapadła absolutna cisza, w której zdawało się, że huk drzwi wyważanych przed laty przez Hagrida, odbijał się echem od ścian.

Ciotka Petunia patrzyła na wuja Vernona, a Dudley gapił się na Harry'ego. Wreszcie Vernon wyrzucił z siebie:

- A co z moją pracą? Co ze szkołą Dudleya? Wiem, że takim obibokom jak wy podobne rzeczy nie zaprzątają głowy...

- Czy ty nic nie rozumiesz?! - krzyknął Harry. - *Będą was torturowali i zabiją was tak samo, jak moich rodziców!*

- Tato - powiedział głośno Dudley. - Tato, ja idę z ludźmi z tego Zakonu.

- Dudley, po raz pierwszy raz w życiu powiedziałeś coś sensownego - stwierdził Harry.

Wiedział już, że wygrał tę bitwę. Skoro Dudley był tak przerażony, że zgodził się przyjąć pomoc Zakonu, to jego rodzicom nie pozostanie nic innego, jak tylko mu towarzyszyć - nie mogło być mowy o odseparowaniu Dursleyów od ich kochanego Dudziaczka. Harry spojrzał na zegar na kominku.

- Będą tutaj za jakieś pięć minut - powiedział, a kiedy nikt wiecej się nie odezwał, wyszedł z pokoju.

Wizja rozstania z wujostwem i kuzynem, prawdopodobnie na zawsze, była czymś, co mógł radośnie pokontemplować w samotności, lecz jednocześnie zawisła w powietrzu, wprowadzając niezręczną atmosferę. Bo co można powiedzieć człowiekowi po szesnastu latach wzajemnej antypatii?

Kiedy znalazł się z powrotem w swojej sypialni, przez chwilę bawił się bezmyślnie plecakiem, a później wrzucił parę orzechów przez kraty do klatki Hedwigi. Z cichym puknięciem spadły na dno, całkowicie zignorowane przez sowę.

- Niedługo stąd idziemy. Naprawdę niedługo - obiecał. - A wtedy będziesz mogła sobie swobodnie latać.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Chłopak zawahał się przez chwilę, lecz zaraz potem zszedł po schodach na dół. Zbyt dużym wymaganiem było, by Hestia i Dedalus zajęli się Dursleyami na własną rękę.

- Harry Potter! - pisnął podekscytowany głosik w momencie, kiedy Harry otworzył drzwi. Niski mężczyzna w szarym cylindrze kłaniał mu się w pas. - To dla mnie honor, jak zawsze.

- Dzięki, Dedalusie - rzekł, uśmiechając się z zażenowaniem do ciemnowłosej Hestii. - To naprawdę miło z waszej strony, że robicie coś takiego... Są tam, moja ciotka, wuj i kuzyn...

- Dzień dobry, rodzino Harry'ego Pottera! - rzekł wesoło Diggle, wkraczając do saloniku.

Dursleyowie nie wyglądali na zadowolonych z faktu, że ktoś zwraca się do nich w ten sposób. Harry spodziewał się kolejnej zmiany decyzji. Dudley, zobaczywszy czarownicę i czarodzieja przysunął się bliżej do swojej matki.

- Widzę, że jesteście już spakowani. Wspaniale! Plan, jak Harry wam już powiedział, jest prosty - powiedział Dedalus, wyciągając z kieszeni kurtki ogromny zegarek kieszonkowy i przyglądając mu się przez chwilę. - Powinniśmy opuścić dom przed Harrym. Ze względu na niebezpieczne skutki używania czarów w waszym domu - Harry jest ciągle nieletni, co da ministerstwu pretekst, by go aresztować - odjedziemy stąd na odległość, powiedzmy, jakichś piętnastu kilometrów, zanim się deportujemy w bezpieczne miejsce, które dla was wybraliśmy. Sądzę, że wie pan, jak się prowadzi samochód? - zapytał grzecznie wuja Vernona.

- Czy wiem, jak...? Oczywiście, że wiem, jak się prowadzi cholerny samochód! - prychnął Dursley.

- Ma pan zdolności, naprawdę. Ja nie dałbym rady opanować tych wszystkich guziczków, pstryczków i pokręteł - rzekł Dedalus. Był przekonany, że pochlebia tym Vernonowi Dursleyowi, który z każdym kolejnym wypowiedzianym przez Dedalusa słowem tracił zaufanie do planu.

- Nie potrafi nawet prowadzić - mruknął pod nosem, a jego wąsy zadrżały z oburzenia. Na szczęście ani Hestia, ani Dedalus wydawali się nie usłyszeć jego komentarza.

- A ty, Harry - kontynuował Diggle - poczekasz tutaj na swoją eskortę. Zaszły pewne zmiany w przygotowaniach.

- Jak to? - zapytał od razu Harry. - Myślałem, że Szalonooki miał tu przyjść i deportować się razem ze mną?

- Nie może - rzuciła krótko Hestia. - Sam ci to wyjaśni.

Dursleyowie, którzy przysłuchiwali się tej wymianie zdań z najwyższym niezrozumieniem wymalowanym na ich twarzach, podskoczyli, gdy jakiś głos głośno zaskrzeczał *„Pospiesz się!”*. Harry rozejrzał się dokoła, zdając sobie w końcu sprawę, że głos wydobywa się z zegarka Dedalusa.

- Racja, działamy według bardzo napiętego harmonogramu - powiedział właściciel zegarka, przytakując rzeczonemu obiektowi i chowając go na powrót do kieszeni. - Chcemy zgrać w czasie deportację twoich krewnych z twoim wyjściem, Harry. Tak, żeby zaklęcie prysło, kiedy wszyscy będziecie już w drodze do bezpiecznego miejsca. - Odwrócił się w stronę Dursleyów. - No cóż, spakowani i gotowi do drogi?

Żadne z nich mu nie odpowiedziało. Wuj Vernon wciąż gapił się z przerażeniem na wybrzuszenie na kurtce czarodzieja.

- Może powinniśmy poczekać w przedpokoju, Dedalusie - mruknęła Hestia. Przypuszczała, że byłoby nie na miejscu pozostać dłużej w pokoju, w czasie, kiedy Harry i Dursleyowie będą się za chwilę wylewnie żegnać.

- Nie trzeba - wymamrotał Harry. Wuj Vernon sprawił, że dalsze wyjaśnianie było zbędne, gdyż powiedział:

- Cóż, wygląda na to, że to pożegnanie, chłopcze.

Szybkim ruchem wyciągnął rękę w stronę chłopaka, by uścisnąć jego dłoń, ale w ostatnim momencie stwierdził chyba, że nie jest w stanie temu sprostać i po prostu zacisnął dłoń w pięść, opuszczając swobodnie ramię i kołysząc nim, jak wahadłem.

- Gotowy, Dudi? - zapytała ciotka Petunia, z przejęciem sprawdzając zapięcie swojej torebki, by uniknąć patrzenia na Harry'ego.

Dudley nie odpowiedział. Po prostu stał tam z uchylonymi ustami, a Harry stwierdził, że przypomina mu trochę olbrzyma Graupa.

- No, to chodźmy - rzekł wuj Vernon.

Zdążył już dojść do drzwi od salonu, kiedy odezwał się Dudley:

- Nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz, pysiu? - zapytała troskliwie Petunia, spoglądając na swoje dziecko.

Dudley podniósł swoją wielką rękę, wskazując na Harry'ego.

- Dlaczego on z nami nie jedzie?

Wuj Vernon i ciotka Petunia stanęli jak wryci, gapiąc się na Dudleya tak, jakby właśnie oznajmił, że chce zostać baletnicą.

- Co? - zapytał głośno Vernon.

- Dlaczego on też nie jedzie? - zapytał ponownie Dudley.

- Dlatego... że nie chce - powiedział Dursley, odwracając się, by spojrzeć ze złością na Harry'ego. - Nie chcesz, prawda?

- Ani trochę - odpowiedział chłopak.

- No widzisz? - zwrócił się Vernon do syna. - A teraz chodź, musimy iść.

Wyszedł szybko do przedpokoju i usłyszeli, jak otwiera frontowe drzwi. Dudley jednak wciąż nie ruszał się z miejsca, a ciotka Petunia po zrobieniu kilku kroków także się zatrzymała.

- Co tym razem? - warknął Vernon Dursley, pojawiając się z powrotem w pokoju.

Wyglądało na to, że Dudley zmaga się z myślami zbyt trudnymi, by ubrać je w słowa. Po paru minutach, najwidoczniej bardzo bolesnej, wewnętrznej walki z myślami, powiedział:

- Ale dokąd on pójdzie?

Ciotka i wuj spojrzeli po sobie. Było oczywiste, że ich własny syn w tym momencie ich przeraża. Hestia Jones przerwała milczenie.

- Ale... Chyba wiecie, gdzie wasz siostrzeniec się wybiera? - zapytała, wyglądając na zdezorientowaną.

- Oczywiście, że wiemy - odpowiedział Vernon Dursley. - Idzie do ludzi *waszego pokroju*, nie mylę się? Dobra, Dudley, wsiadaj do samochodu, słyszałeś tego człowieka, spieszymy się.

I ponownie pomaszerował do drzwi frontowych, ale Dudley nie ruszył się ani o krok.

- *Naszego* pokroju?

Hestia wyglądała na wyprowadzoną z równowagi. Harry spotykał się już z taką reakcją wcześniej. Czarodzieje zdawali się być za każdym razem zdumieni, że jego najbliższa żyjąca rodzina nie przejawiała żadnego zainteresowania sławnym Harrym Potterem.

- Wszystko w porządku - zapewnił Hestię. - To naprawdę nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia? - powtórzyła, podnosząc nieznacznie głos. - Czy ci ludzie nie zdają sobie sprawy przez co przeszedłeś? W jak wielkim jesteś niebezpieczeństwie? Jak wyjątkową pełnisz rolę w samym centrum ruchu oporu przeciw Voldemortowi?

- Eee... Nie, raczej nie. Sądzą, że jestem tylko marnotrawstwem przestrzeni, ale zdążyłem się już do tego przyzwyczaić...

- Ja nie uważam, że jesteś marnotrawstwem przestrzeni.

Gdyby Harry nie widział, że Dudley poruszył ustami, z pewnością by w to nie uwierzył. Stał teraz i przez kilka sekund gapił się na swojego kuzyna, stwierdzając, że jednak Dudley naprawdę to powiedział. Dudley zaczerwienił się. Sam Harry był teraz nieco zakłopotany i zdziwiony.

- Cóż... Eee... Dzięki, Dudley.

Po raz kolejny Dudley wydawał się walczyć z myślami, aż w końcu wymamrotał pod nosem:

- Uratowałeś mi życie.

- Nie życie - sprostował Harry. - To duszę chcieli z ciebie wyssać dementorzy.

Spojrzał z zainteresowaniem na swojego kuzyna. Na dobrą sprawę nie mieli ze sobą kontaktu ani podczas poprzednich wakacji, ani teraz, ponieważ Harry tak szybko wrócił na Privet Drive i prawie nie wychodził ze swojego pokoju. Teraz do niego dotarło, że ta filiżanka z zimną herbatą, którą dzisiaj rano rozdeptał, nie była wcale żadną pułapką. Mimo że w pewnym sensie trochę go to poruszyło, jednak odczuł ulgę, że Dudley na nowo stracił zdolność do wyrażania swoich uczuć. Po tym jak otworzył usta jeszcze raz lub dwa, zamilknął całkowicie, czerwieniejąc jeszcze bardziej.

Ciotka Petunia wybuchnęła płaczem. Hestia Jones spojrzała na nią z aprobatą, która szybko ustąpiła miejsca wielkiemu oburzeniu, gdy Petunia podbiegła i objęła Dudleya, zamiast Harry'ego.

- Ja - jakiś ty słodki, Dudziaczku... - zaszlochała, przytulając się do jego masywnej piersi. - T - taki kochany chło - chłopiec... p - podziękował...

- Ale przecież wcale nie podziękował! - powiedziała wzburzona Hestia. - Powiedział tylko, że nie uważa Harry'ego za marnotrawstwo przestrzeni!

- Taa, ale z ust Dudleya to prawie jak „Kocham cię!" - rzekł Harry, rozdarty między poczuciem irytacji a chęcią roześmiania się na widok ciotki Petunii trzymającej się kurczowo Dudleya w taki sposób, jakby właśnie został wyniesiony z płonącego budynku.

- Idziemy w końcu czy nie? - wrzasnął wuj Vernon, pojawiając się jeszcze raz w drzwiach do salonu. - Myślałem, że mamy napięty grafik.

- Tak, racja - odezwał się Dedalus Diggle, który przez cały ten czas przyglądał się z lekkim rozbawieniem całej sytuacji, lecz teraz jakby się opanował. - Naprawdę, musimy już teraz iść, Harry... - Podszedł do Harry'ego i uścisnął jego dłoń obiema swoimi. - Życzę szczęścia. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. Cała nadzieja magicznego świata leży w tobie.

- Och - powiedział chłopak. - Racja. Dzięki.

- Żegnaj, Harry - rzekła Hestia, również ściskając jego rękę. - Jesteśmy z tobą.

- Mam nadzieję, że wszystko przebiegnie bez problemu - powiedział, spoglądając w stronę Dudleya i ciotki Petunii.

- Och, jestem pewien, że się zaprzyjaźnimy - odezwał się wesoło Diggle, po czym zamachawszy cylindrem, wyszedł z pokoju, a zaraz za nim podążyła Hestia.

Dudley ostrożnie wydostał się z objęć matki i podszedł do Harry'ego, który odruchowo chciał mu pogrozić różdżką. Wtedy Dudley podał mu rękę.

- Kurczę, Dudley - odezwał się Harry, przekrzykując głośne szlochy ciotki Petunii. - Czy dementorzy wdmuchnęli ci zupełnie inną osobowość?

- Nie wiem - mruknął Dudley. - Do zobaczenia, Harry.

- Taa - rzekł do niego kuzyn, ściskając jego dłoń. - Może. Trzymaj się, Wielki De.

Dudley prawie się uśmiechnął, a potem wyszedł z pokoju. Harry słyszał jego ciężkie kroki na żwirze przed domem, a zaraz potem trzaśnięcie drzwi samochodu.

Ciotka Petunia, skrywająca twarz za chusteczką, rozejrzała się, słysząc ten dźwięk. Była raczej zaskoczona, że została z Harrym sama. Chowając szybko mokrą chustkę do kieszeni, powiedziała:

- Cóż... do widzenia. - I ruszyła w stronę drzwi, nawet nie patrząc na siostrzeńca.

- Do widzenia - odrzekł Harry.

Zatrzymała się i obejrzała. Przez jedną dziwną chwilę Harry miał wrażenie, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. Rzuciła w jego stronę bojaźliwe spojrzenie i widać było, że ma coś na końcu języka, ale w końcu potrząsnęła głową i szybko wyszła w ślad za mężem i synem.

Rozdział 04
Siedmiu Potterów

Tłumaczenie: spike

Harry wbiegł z powrotem do swojej sypialni, by przez okno zobaczyć samochód Dursleyów, odjeżdżający z podjazdu i ruszający w drogę. Pomiędzy ciotką Petunią i Dudleyem na tylnym siedzeniu kołysał się czubek kapelusza Dedalusa. Samochód skręcił w prawo na końcu Privet Drive, na moment jego szyby zapłonęły szkarłatem w promieniach zachodzącego właśnie słońca i po chwili już go nie było widać.

Harry podniósł klatkę Hedwigi, swoją Błyskawicę i plecak, jeszcze raz rozejrzał się po nienaturalnie wysprzątanej sypialni i z ociąganiem ruszył do przedpokoju. Postawił klatkę, miotłę i plecak u podnóża schodów. Zmrok zapadał gwałtownie, spowity wieczornym światłem korytarz wypełniły cienie. Harry czuł się bardzo dziwnie, stojąc tak w kompletnej ciszy, ze świadomością, że wkrótce opuści ten dom po raz ostatni. Dawniej godziny samotności były rzadkim luksusem, kiedy Dursleyowie zostawiali go samego, idąc bawić się całą rodziną. Przystając jedynie na chwilę, by skubnąć z lodówki jakiś smakołyk, pędził wtedy na górę, by pograć na komputerze Dudleya, albo włączał telewizor i z lubością przerzucał programy. Teraz, przypominając sobie tamte czasy, czuł dziwną pustkę. To było jak wspomnienie o młodszym bracie, którego utracił.

- Nie masz ochoty pożegnać się z tym miejscem? - spytał Hedwigę, która nadal dąsała się, chowając łeb pod skrzydłem. - Już nigdy tu nie wrócimy. Nie masz ochoty przypomnieć sobie starych dobrych czasów? Na przykład taka wycieraczka. Co za wspomnienia... Dudley zwymiotował na nią po tym, jak uratowałem go przed

dementorami... Okazuje się, że mimo wszystko był mi za to wdzięczny, trudno uwierzyć, nie? A ostatniego lata Dumbledore wszedł przez te drzwi...

Harry na chwilę stracił wątek, a Hedwiga nie zrobiła nic, by pomóc mu go odzyskać, nadal siedząc nieruchomo z łebkiem pod skrzydłem. Harry odwrócił się tyłem do drzwi.

- A tu, Hedwigo - Harry otworzył komórkę pod schodami - kiedyś spałem. Wtedy jeszcze mnie nie znałaś... O rany, zapomniałem już, jak tu ciasno.

Harry rozejrzał się po upakowanych tam butach i parasolkach, przypominając sobie, jak budził się każdego ranka, patrząc na schody od spodu, zwykle przyozdobione kilkoma pająkami. To były dni, kiedy nie wiedział nic o swojej prawdziwej tożsamości. Zanim dowiedział się o tym, jak zginęli jego rodzice i dlaczego rozmaite dziwne rzeczy tak często działy się wokół niego. Ale Harry nadal pamiętał sny, dręczące go już wtedy, dziwne sny, w których pojawiały się błyski zielonego światła i raz nawet - wuj Vernon niemal rozbił samochód, kiedy Harry o tym wspomniał - latający motocykl...

Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się ogłuszający ryk. Harry wyprostował się w jednej chwili, uderzając głową w niską framugę. Rzucił pod nosem kilka przekleństw z repertuaru swego wuja, chwiejąc się na nogach powędrował z powrotem do kuchni i trzymając się za głowę wyjrzał przez okno do ogródka.

Ciemność zdawała się falować, powietrze drżało. I nagle, jedna po drugiej, zaczęły się pojawiać kolejne postacie, kiedy ich Zaklęcia Kameleona przestawały działać. Scenerię zdominował Hagrid, w kasku i goglach, siedzący okrakiem na olbrzymim motocyklu z doczepionym do niego wózkiem. Wokół niego inni zsiadali z mioteł, a w dwóch przypadkach, z chudych jak szkielety, czarnoskrzydłych koni.

Harry otworzył drzwi i popędził w stronę przybyłych. Słychać było okrzyki powitania, Hermiona zarzuciła mu ramiona na szyję, Ron poklepał go po plecach, a Hagrid powiedział:

- W porząsiu, Harry? Gotów do drogi?

- Zdecydowanie - odparł Harry, uśmiechając się szeroko do wszystkich. - Ale nie spodziewałem się, że będzie was aż tylu!

- Zmiana planu - burknął Szalonooki, który trzymał dwie wielkie, wypchane sakwy. Jego magiczne oko z zawrotną prędkością omiatało to ciemniejące niebo, to dom, to ogród. - Wejdźmy do środka, zaraz wszystko ci wyjaśnimy.

Harry poprowadził wszystkich przybyszów do kuchni, gdzie śmiejąc się i trajkocząc rozsiedli się na krzesłach, usadowili przy błyszczących blatach, gdzie zwykła pracować ciotka Petunia lub oparli o wypucowane sprzęty kuchenne. Ron - wysoki i szczupły; Hermiona z bujnymi włosami, zaplecionymi z tyłu w długi warkocz. Fred i George z identycznymi uśmiechami na ustach, długowłosy Bill z brzydką szramą, łysiejący pan Weasley o miłej twarzy, w przekrzywionych nieco okularach. Pokryty wojennymi bliznami jednonogi Szalonooki, z jasnoniebieskim magicznym okiem wirującym w oczodole. Tonks, której krótkie włosy miały jej ulubiony kolor jasnego różu, a obok Lupin, jeszcze bardziej posiwiały, z nowymi zmarszczkami na twarzy. Wiotka i piękna Fleur o długich srebrnoblond włosach, barczysty, łysy Kingsley, Hagrid z gęstwiną potarganych włosów na głowie i brodzie, przygarbiony, by nie uderzyć głową w sufit. A w koncu Mundungus Fletcher - drobny, brudny, z wyrazem poczucia winy na twarzy, obwisłymi workami pod oczami i z ko

łtuniastą czupryną. Na ich widok serce Harry'ego zdawało się rosnąć i promienieć. Bardzo się cieszył z ich obecności, nawet Mundungusa, którego, kiedy widzieli się po raz ostatni, próbował udusić.

- Kingsley, myślałem, że ochraniasz mugolskiego premiera? - powiedział.

- Obejdzie się beze mnie przez jedną noc - odparł Kingsley. - Ty jesteś ważniejszy.

- Harry, nie zgadniesz - odezwała się Tonks, która przysiadła na pralce i pomachała do niego lewą ręką, na której błyszczała obrączka.

- Pobraliście się?! - wrzasnął Harry, przenosząc wzrok na Lupina.

- Przykro mi, że nie mogłeś przy tym być, Harry. To był bardzo cichy ślub.

- To cudownie, gratu...

- Dobra, dobra, później będzie czas na miłe pogawędki! - ryknął Moody przekrzykując zgiełk i w kuchni zapadła cisza. Moody rzucił sakwy na podłogę i zwrócił się do Harry'ego. - Jak już Dedalus pewnie wspomniał, musieliśmy porzucić plan A. Pius Thicknesse przeszedł na drugą stronę, co dla nas oznacza duży problem. Przez niego pod groźbą więzienia nie można podłączyć tego domu do sieci Fiuu, użyć tu świstoklika, czy aportować się. Wszystko w imię twojego bezpieczeństwa, by Sam Wiesz Kto nie mógł cię dopaść. Zupełnie bezcelowe, biorąc pod uwagę, że to już załatwia zaklęcie twojej matki. Naprawdę ten zakaz jest po to, żeby cię nie można stąd było bezpiecznie wydostać.

Drugi problem: jesteś niepełnoletni, co oznacza, że nadal masz na sobie Namiar.

- Ja nie....

- Namiar, Namiar! - powtórzył niecierpliwie Szalonooki. - Zaklęcie, które wykrywa magiczną aktywność wokół tych, którzy nie ukończyli jeszcze siedemnastu lat. W ten sposób ministerstwo dowiaduje się o używaniu magii przez niepełnoletnich! Jeśli ty lub ktoś w twoim otoczeniu rzuci zaklęcie, by cię stąd wydostać, Thicknesse będzie o tym wiedział, a razem z nim śmierciożercy.

- Nie możemy czekać aż Namiar ulegnie likwidacji, bo w chwili, gdy skończysz siedemnaście lat, stracisz całą ochronę, która dała ci matka. W skrócie, Pius Thicknesse myśli, że zapędził cię w kozi róg i wystawił na odstrzał.

Harry nie mógł nie zgodzić się z tym nieznanym mu Thicknesse.

- Co w takim razie zrobimy?

- Użyjemy jedynych środków transportu, jakie nam pozostały. Jedynych, których Namiar nie jest w stanie wykryć, bo nie musimy rzucać czarów, by ich użyć. Mioteł, testrali i motocykla Hagrida.

Harry dostrzegł luki w tym planie, jednak powstrzymał się, dając Szalonookiemu możliwość ich wypełnienia.

- Teraz słuchaj, zaklęcie ochronne twojej matki zostanie złamane jedynie pod dwoma warunkami: jeśli staniesz się pełnoletni, lub - Moody zatoczył ręką krąg wskazując na sterylną kuchnię Petunii - przestaniesz nazywać to miejsce domem. Ty, twoja ciotka i wuj ruszacie dzisiaj różnymi drogami, w pełni świadomi, że już nigdy nie będziecie mieszkać razem, zgadza się?

Harry przytaknął.

- Tak więc tym razem, kiedy opuścisz ten dom, nie będzie powrotu i czar przestanie działać natychmiast, gdy znajdziesz się poza jego zasięgiem. Zdecydowaliśmy się przerwać go wcześniej, bo inną alternatywą jest czekanie, aż Sam Wiesz Kto przyjdzie cię schwytać w chwili, gdy skończysz siedemnaście lat.

- Mamy niewielką przewagę. Sam Wiesz Kto nie wie, że przenosimy cię dzisiaj. Puściliśmy fałszywy przeciek do ministerstwa i myślą, że zostajesz tu do trzydziestego. Jednak mamy do czynienia z Sam Wiesz Kim, więc nie możemy polegać na tym, że da się nabrać na mylną datę. Z pewnością kazał kilku śmierciożercom na wszelki wypadek patrolować tę okolicę. Dlatego w dwunastu różnych miejscach założyliśmy wszelkie możliwe zabezpieczenia, jakie się dało. Wszystkie te domy wyglądają na miejsca, w których mógłbyś się ukryć, wszystkie mają jakieś powiązanie z Zakonem - mój dom, kwatera Kingsleya, dom ciotki Muriel, tej od Molly - wiesz o co chodzi.

- Taa... - przytaknął Harry, nie do końca szczerze, bo nadal dostrzegał w tym planie wielką dziurę.

- Ty wyruszysz do domu rodziców Tonks. Kiedy już znajdziesz się w zasięgu zaklęć ochronnych, które założyliśmy na ich dom, będziesz mógł użyć świstoklika i przenieść się do Nory. Jakieś pytania?

- Eee... tak - odezwał się Harry. - Może na początku nie będą wiedzieli, do którego z dwunastu bezpiecznych domów będę zmierzał, ale czy to nie będzie trochę oczywiste, jeśli - szybko przeliczył ludzi w kuchni - cała nasza czternastka poleci w stronę domu rodziców Tonks?

- Ach tak - odparł Moody - zapomniałem wspomnieć o najważniejszym. Cała czternastka nie będzie lecieć w stronę domu rodziców Tonks. Dzisiaj po niebie pomknie siedmiu Harrych Potterów, każdy z nich z towarzyszem, i każda para kierować się będzie w stronę innego bezpiecznego domu.

Mówiąc to, Moody z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął flaszkę czegoś, co wyglądało jak błoto. Nie musiał już mówić ani słowa - Harry w jednej chwili zrozumiał resztę planu.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie, a jego głos przetoczył się przez kuchnię. - Nie ma mowy!

- Mówiłam im, że tak właśnie zareagujesz - odezwała się Hermiona z nutką samozadowolenia w głosie.

- Jeśli myślisz, że pozwolę sześciu ludziom ryzykować życie...

- Tak jakby to był pierwszy raz dla każdego z nas - wtrącił Ron.

- To jest coś innego, udawanie mnie...

- Wiesz, Harry, nie żeby nam się to podobało - odezwał się poważnym tonem Fred. - Wyobraź sobie, że coś pójdzie nie tak i już zawsze będziemy wyglądać, jak takie kościste wymoczki.

Harry nie uśmiechnął się jednak.

- Nie możecie tego zrobić, jeśli nie zgodzę się współpracować. Potrzebujecie moich włosów.

- No tak, tu się wali nasz plan - westchnął George. - Faktycznie nie ma żadnych szans, by zdobyć trochę twoich włosów, jeśli się nie zgodzisz.

- No, trzynaścioro nas przeciwko jednemu kolesiowi, który nie może używać magii. Nie mamy żadnych szans - przytaknął Fred.

- Zabawne - powiedział Harry kwaśno. - Naprawdę zabawne.

- Jeśli trzeba będzie użyć siły, to jej użyjemy - warknął Moody. Jego magiczne oko trzęsło się nieco w oczodole, kiedy przyglądał się Harry'emu. - Każdy tu jest pełnoletni, Potter, i wszyscy są gotowi podjąć ryzyko.

Mundungus zadrżał i skrzywił się. Magiczne oko przesunęło się, by spojrzeć na niego z boku głowy Moody'ego.

- Nie kłóćmy się więcej. Czas nam ucieka. Chcę kilka twoich włosów, chłopcze, i to już.

- Ale to szaleństwo, nie ma potrzeby...

- Nie ma potrzeby?! - oburzył się Moody. - Z Sam Wiesz Kim gdzieś tam i połową ministerstwa po jego stronie? Potter, jeśli będziemy mieli szczęście, to połknął przynętę i będzie planował zasadzkę na ciebie trzydziestego, ale byłby szalony, gdyby nie rozkazał jednemu, czy dwóm śmierciożercom mieć cię na oku. Ja bym tak zrobił. Może i nie są w stanie dostać się do ciebie, póki utrzymuje się zaklęcie twojej matki, ale ono lada chwila przestanie działać, a oni znają dokładne położenie tego miejsca. Naszą jedyną nadzieją jest użycie wabików. Nawet Sami Wiecie Kto nie jest w stanie rozszczepić się na siedem części.

Harry dostrzegł spojrzenie Hermiony i natychmiast odwrócił wzrok.

- Tak więc, Potter... kilka włosów, proszę.

Harry zerknął na Rona, który zrobił minę w stylu „po prostu weź i to zrób".

- Ale już! - warknął Moody.

Czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych, Harry sięgnął dłonią do czubka głowy, chwycił kosmyk włosów i szarpnął.

- Dobrze - powiedział Moody, kuśtykając w jego stronę i wyciągając korek z buteleczki z eliksirem. - Prosto tutaj, proszę.

Harry wrzucił włosy do przypominającego błoto płynu. W chwili, gdy tylko dotknęły powierzchni, eliksir zaczął się pienić i dymić, po czym nagle, w jednej chwili, przybrał barwę jasnego złota.

- Och, wyglądasz o wiele apetyczniej niż Crabbe i Goyle, Harry - wyrwało się Hermionie, jednak zauważając uniesioną brew Rona zarumieniła się lekko i dodała: - Oj, wiesz o czym mówię... Eliksir z Goyle'a wyglądał jak smarki.

- W porządku, fałszywi Potterowie, proszę ustawić się tu w szeregu - odezwał się Moody.

Ron, Hermiona, Fred, George i Fleur stanęli rzędem przed lśniącym zlewem ciotki Petunii.

- Jednego brakuje - zauważył Lupin.

- Tu jest - rzucił twardo Hagrid. Uniósł za kark Mundungusa i postawił go obok Fleur, która zmarszczyła nos i przesunęła się, stając między Fredem i George'em.

- Ja jestem żołnierzem, już raczej wolałbym robić za ochronę - powiedział Mundungus.

- Skończ dyskusję - burknął Moody. - Jak już ci mówiłem, ty tchórzliwy robalu, każdy ze śmierciożerców, na których się natkniemy, będzie starał się schwytać Pottera, a nie zabić go. Dumbledore zawsze powtarzał, że Sam Wiesz Kto zechce wykończyć Pottera osobiście. To raczej ochrona ma się czego obawiać, śmierciożercy będą próbowali ich zabić.

Mundungus nie wyglądał na szczególnie uspokojonego, ale Moody już wyciągał spod płaszcza pół tuzina szklaneczek wielkości kieliszka do jajek. Rozdał je i do każdego wlał odrobinę Eliksiru Wielosokowego.

- No to na trzy - cztery...

Ron, Hermiona, Fred, George, Fleur i Mundungus przełknęli swoje porcje. Wszyscy wciągnęli powietrze i wykrzywili się, kiedy eliksir spływał do ich gardeł. Nagle ich ciała zaczęły się nadymać i odkształcać jak gorący wosk. Hermiona i Mundungus wystrzelili do góry, Ron, Fred i George zaczęli się kurczyć. Ich czupryny pociemniały, a włosy Hermiony i Fleur zdawały się cofać z powrotem do wnętrza ich głów.

Moody, zupełnie się tym nie przejmując, poluźniał właśnie węzły na dużych sakwach, które przyniósł ze sobą. Kiedy się wyprostował, sześciu Harrych Potterów stało przed nim, dysząc.

Fred i George odwrócili się do siebie i jednocześnie powiedzieli: Łał... jesteśmy identyczni!

- Chociaż w sumie nie wiem... Myślę że nadal jestem przystojniejszy - dodał Fred, przyglądając się swemu odbiciu w czajniku.

- Bu - odezwała się Fleur, sprawdzając swój wygląd w drzwiczkach mikrofalówki - Bill, nie patrz na mni... wyglądam paskudni.

- Dla tych, których ubrania są nieco za duże, mam tu mniejsze - powiedział Moody, wskazując na pierwszą sakwę - i na odwrót. Nie zapomnijcie o okularach, w bocznej kieszeni jest sześć par. A jak już się ubierzecie, w drugiej sakwie znajdziecie bagaże.

Prawdziwy Harry pomyślał, że to chyba najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział, a widział już parę niezmiernie dziwnych. Przyglądał się, jak jego sześć kopii przetrząsa sakwy, wyciągając z nich ubrania, zakłada okulary, pozbywa się swoich rzeczy. Miał ochotę poprosić ich o okazanie choć odrobiny respektu dla jego prywatności, bo zaczęli się bezkarnie rozbierać i pokazywanie jego ciała najwyraźniej przychodziło im zdecydowanie łatwiej, niż pokazywanie swojego.

- Wiedziałem, że Ginny wymyśliła sobie ten tatuaż - stwierdził Ron, zerkając na swoją obnażoną pierś.

- Harry, twój wzrok naprawdę jest koszmarny - powiedziała Hermiona, zakładając okulary.

Ubrawszy się, fałszywi Potterowie sięgnęli po plecaki i klatki ze śnieżnobiałymi wypchanymi sowami, wyciągnięte z drugiej sakwy.

- W porządku - powiedział Moody, kiedy w końcu stanęło przed nim siedmiu całkowicie ubranych, wyposażonych w okulary i obładowanych bagażami Harrych. - Pary będą następujące: Mundungus będzie leciał ze mną na miot...

- Czemu ja mam być z tobą? - stęknął Harry stojący najbliżej tylnych drzwi.

- Bo na ciebie trzeba mieć oko - burknął Moody i jakby na potwierdzenie, jego magiczne oko ani drgnęło obserwując Mundungusa, podczas gdy Szalonooki mówił dalej. - Artur i Fred...

- Ja jestem George - zaoponował bliźniak, na którego wskazywał Moody. - Nawet jak jesteśmy Harrymi nie jesteś w stanie nas rozróżnić?

- Przepraszam, George.

- E, tylko cię sprawdzam, tak naprawdę jestem Fred...

- Dość wygłupów! - warknął Moody. - Drugi, George albo Fred, czy jak ci tam, lecisz z Remusem. Panna Delacour...

- Ja zabieram Fleur na testralu - odezwał się Bill. - Nie przepada za miotłami.

Fleur podeszła i stanęła przy nim, rzucając mu łzawe, uległe spojrzenie. Harry całym sercem miał nadzieję, iż podobne już nigdy nie zagości na jego twarzy.

- Panna Granger z Kingsleyem, również na testralu...

Hermiona wyglądała na uspokojoną, odpowiadając Kingsley'owi uśmiechem. Harry wiedział, że ona też nie czuła się zbyt pewnie na miotle.

- To zostaliśmy tylko ty i ja, Ron! - zawołała wesoło Tonks i machając do niego przewróciła stojak z kubkami.

Ron nie przyjął tego z takim entuzjazmem jak Hermiona.

- A ty ze mną, Harry. W porząsiu? - odezwał się lekko zaniepokojony Hagrid. - Zabierzemy się motorem, widzisz, miotły i testrale mnie nie uniesą. Na siedzeniu za mną miejsca to za dużo ni ma, więc będziesz siedział w wózku.

- Super - odparł Harry, nie do końca szczerze.

- Myślimy, że śmierciożercy będą się ciebie spodziewać na miotle - powiedział Moody, który zdawał się zgadywać, co naprawdę czuł Harry. - Snape miał dość czasu, by opowiedzieć im wszystko na twój temat, nawet jeśli wcześniej tego nie zrobił, więc jeśli wpadniemy na jakichś śmierciożerców, to idę o zakład, że wybiorą jednego z Harrych, który na miotle czuje się jak w domu. No dobra - kontynuował, zawiązując sakwę z ubraniami fałszywych Potterów i prowadząc do drzwi. - Za trzy minuty wyruszamy. Nie ma sensu zamykać tylnych drzwi, nie powstrzyma to śmierciożerców, kiedy przyjdą tu węszyć. Zbierajmy się...

Harry zabrał plecak, Błyskawicę i klatkę Hedwigi, i podążył za grupą do ciemnego ogrodu za domem.

Ze wszystkich stron w dłoniach pojawiały się miotły. Kingsley już pomógł Hermionie wspiąć się na wielkiego, czarnego testrala, Bill podsadził Fleur. Hagrid stał gotowy obok motocykla, z goglami na oczach.

- To ten? To motocykl Syriusza?

- Tyn że sam - Hagrid uśmiechnął się do Harry'ego. - I ostatni raz co nim jechałeś, tom cię zmieścił w jednej dłoni!

Harry czuł się lekko upokorzony, wsiadając do bocznego wózka. W ten sposób był kilka stóp poniżej wszystkich. Ron zaśmiał się na jego widok, siedzącego jak dziecko w samochodziku z wesołego miasteczka. Harry upchnął plecak i miotłę pod nogami, a klatkę Hedwigi wcisnął między kolana. Było mu bardzo niewygodnie.

- Artur podłubał z letka przy nim - opowiadał Hagrid, zupełnie nie zwracając uwagi na niewygodę Harry'ego. Siadł okrakiem na motocyklu, który zaskrzypiał nieco i zapadł się na kilka cali w ziemię. - Ma teraz parę nowych trików w rękawie. Tyn tu to był mój pomysł. - Wskazał grubym palcem na purpurowy przycisk obok prędkościomierza.

- Proszę cię, bądź ostrożny, Hagrid - powiedział pan Weasley, który stał obok niego, trzymając miotłę. - Nadal nie jestem pewien, czy to było słuszne i z pewnością można go używać jedynie w nagłych wypadkach.

- W porządku zatem - odezwał się Moody. - Proszę się przygotować. Chcę, byśmy wszyscy wyruszyli dokładnie o tej samej porze, w przeciwnym razie cała dywersja pójdzie na marne.

Wszyscy przytaknęli.

- Trzymaj się, Ron - powiedziała Tonks. Harry zauważył, że Ron popatrzył na Lupina z poczuciem winy, zanim położył dłonie po na jej biodrach. Hagrid odpalił motocykl. Ten zaryczał niczym smok i wózek, w którym siedział Harry, zaczął wibrować.

- Powodzenia, wszyscy! - krzyknął Moody. - Do zobaczenia gdzieś za godzinę w Norze. Na trzy. Raz... dwa... TRZY.

Motocykl zaryczał straszliwie, a Harry poczuł, jak wózek zachwiał się złowrogo. Wznosił się szybko w powietrze, jego oczy łzawiły lekko, pęd odrzucił mu włosy z twarzy. Wokół niego szybowały w górę miotły, w pobliżu przemknął długi, czarny ogon testrala. W nogach, zablokowanych w wózku między klatką Hedwigi i jego plecakiem, już czuł ból i narastające odrętwienie. Było mu tak bardzo niewygodnie, że niemal zapomniał po raz ostatni rzucić okiem na dom pod numerem czwartym na Privet Drive. Zanim jednak wyjrzał przez krawędź wózka, nie był już w stanie rozróżnić, który to był dom.

I wtedy nagle, znikąd, jakby pojawili się z nicości, otoczyli ich. Co najmniej trzydzieści zakapturzonych postaci tkwiło zawieszonych w powietrzu, tworząc obszerne koło, pośrodku którego pojawili się nieświadomi niebezpieczeństwa członkowie Zakonu...

Krzyki, błyski zielonego światła ze wszystkich stron. Hagrid wrzasnął i motocykl odwrócił się kołami do góry. Harry nie wiedział już, gdzie byli. Uliczne światła ponad nim, wrzaski wokół niego, on sam desperacko wczepiony w wózek. Klatka Hedwigi, Błyskawica i jego plecak wyślizgnęły się spod jego kolan...

- Nie... POMOCY!

Miotła przepadła, zdołał jedynie chwycić pasek plecaka i klatkę, kiedy motocykl zachybotał się, wracając do właściwej pozycji. Poczuł przypływ ulgi, lecz po chwili zielone światło rozbłysło ponownie. Sowa zaskrzeczała i padła na dno klatki.

- Nie... NIE!

Motocykl wystrzelił do przodu. Zakapturzeni śmierciożercy rozproszyli się, kiedy Hagrid przedarł się przez ich krąg.

- Hedwigo... Hedwigo...

Ale sowa leżała nieruchomo na dnie klatki, żałośnie niczym porzucona zabawka. Nie był w stanie tego przyjąć do wiadomości i zdjął go potworny lęk o los pozostałych. Zerknął przez ramię i zobaczył masę poruszających się ludzi i błyski zielonego światła. Dwie pary na miotłach odleciały w dal, ale nie był w stanie dostrzec kim były...

- Hagrid, musimy wracać, musimy wracać! - wrzasnął, przekrzykując grzmiący ryk silnika, wyciągając różdżkę i upychając klatkę Hedwigi na podłodze. Nie chciał uwierzyć, że jego sowa nie żyje. - Hagrid, ZAWRACAJ!

- Ja mam cię bezpiecznie dostarczyć na miejsce, Harry! - ryknął Hagrid, otwierając przepustnice.

- Stój... STÓJ! - krzyknął Harry, ale kiedy spojrzał w tył, dwie zielone smugi przeleciały obok jego lewego ucha. Czterech śmierciożerców wyłamało się z kręgu i ruszyło w pościg za nimi, celując w szerokie plecy Hagrida. Ten uchylił się, ale napastnicy nadążali za motocyklem. Kolejne klątwy pomknęły w kierunku uciekających i Harry musiał osunąć się w głąb przyczepy, by uniknąć trafienia. Odwracając się wrzasnął: DRĘTWOTA! i z jego różdżki wystrzelił promień czerwonego światła. Śmierciożercy rozproszyli się, unikając zaklęcia.

- Trzym się, Harry, to ich załatwi! - ryknął Hagrid i Harry zdążył zobaczyć, jak wali grubym palcem w zielony przycisk obok wskaźnika paliwa. Ściana, masywna czarna ściana, wystrzeliła z rury wydechowej. Wykręcając szyję Harry spostrzegł jak rozrasta się w powietrzu. Trzem śmierciożercom udało się skręcić i ominąć ją, ale czwarty nie miał tyle szczęścia. Zniknął z pola widzenia i po chwili runął niczym kamień w dół wraz ze szczątkami połamanej miotły. Jeden z jego towarzyszy zwolnił, by ruszyć mu na ratunek. Hagrid pochylił się nad kierownicą i przyspieszył. Obu śmierciożerów i latającą ścianę wchłonęła ciemność.

Kolejne zabójcze klątwy przeleciały tuż obok głowy Harry'ego, wystrzelone z różdżek dwóch pozostałych śmierciożerców. Celowali w Hagrida. Harry odpowiedział kolejnymi Czarami Ogłuszającymi. Czerwień i zieleń zderzyły się w powietrzu, sypiąc deszczem kolorowych iskier. Harry'emu przyszły do głowy fajerwerki i Mugole tam w dole, którzy nie mieli pojęcia, co tak naprawdę się działo...

- No to jeszcze raz, Harry, trzym się! - krzyknął Hagrid i nacisnął drugi przycisk. Tym razem z rury wydechowej motocykla wystrzeliła wielka sieć, ale śmierciożercy byli na to przygotowani. Nie tylko udało im się przed nią uchylić, ale dołączył do nich kompan, który wcześniej zwolnił, by uratować nieprzytomnego przyjaciela. Wynurzył się nagle z ciemności i teraz cała trójka ścigała motocykl, śląc za nim kolejne klątwy.

- To załatwi sprawę, Harry, uważaj! - wrzasnął Hagrid i Harry zobaczył, jak uderza całą dłonią w purpurowy przycisk obok prędkościomierza.

Z potężnym rykiem z rury wydechowej buchnął smoczy ogień, biały i niebieski, i motocykl wystrzelił do przodu niczym pocisk przy wtórze jęku wyginanego metalu. Harry dostrzegł śmierciożerców zbaczających z drogi, by uniknąć śmiercionośnego ognia i jednocześnie poczuł, jak przyczepa zakołysała się złowrogo. Metalowe połączenie z motocyklem zostało rozdarte siłą przyspieszenia.

- W porząsiu, Harry! - ryknął Hagrid, powalony na plecy przez pęd. Chwilowo nikt nie kierował motocyklem i wózek zaczynał wyginać się gwałtownie pod wpływem oporu powietrza.

- Się tym zajmę, Harry, się nie przejmuj! - krzyknął Hagrid i wyciągnął spod płaszcza swój kwieciście różowy parasol.

- Hagrid! Nie! Ja to zrobię!

- *REPARO!*

Rozległ się ogłuszający trzask i przyczepa odłamała się od motocykla całkowicie. Harry mknął z nią dalej, pędzony impetem lotu, jednak po chwili zaczął tracić wysokość... W desperacji skierował na nią różdżkę i wrzasnął:

- *Wingardium Leviosa!*

Wózek zawisł jak spławik na wodzie, unieruchomiony, ale przynajmniej nadal w powietrzu. Harry nie miał jednak czasu na ulgę, bo kolejne zaklęcia przemknęły tuż obok. Trzech śmierciożerców zbliżało się w jego stronę.

- Już lecę, Harry! - zawołał Hagrid z ciemności, ale Harry czuł, że wózek powoli zaczyna obsuwać się w dół. Przyczajony tak nisko jak się dało, skierował różdżkę w stronę nadciągających postaci i wrzasnął:

- *Impedimenta!*

Zaklęcie trafiło środkowego śmierciożercę prosto w pierś. Mężczyzna wisiał przez chwilę w powietrzu z absurdalnie rozpostartymi ramionami, jakby trafił na niewidoczną przeszkodę. Jeden z jego towarzyszy nieomal wpadł na niego...

W tym momencie wózek zaczął spadać, a zaklęcie ostatniego śmierciożercy przeleciało tak blisko Harry'ego, że zmuszony był zanurkować, chowając się za krawędzią wózka i wybijając ząb o siedzenie...

- Już lecę, Harry, już lecę!

Potężna dłoń chwyciła Harry'ego za szatę i wyrwała ze spadającego wózka. Trzymając plecak, Harry wdrapał się na siedzenie motocykla, siadając plecami do Hagrida. Wznieśli się ku górze, oddalając od dwóch pozostałych śmierciożerców. Harry wypluł krew, skierował różdżkę na lecącą ku ziemi przyczepę i zawołał:

- *Confringo!*

Wózek eksplodował, a Harry poczuł okropny, skręcający wnętrzności żal nad Hedwigą. Siła wybuchu zdmuchnęła najbliższego śmierciożercę z miotły. Spadł w ciemność, a jego towarzysz wycofał się i znikł.

- Przepraszam, Harry, przepraszam - jęknął Hagrid. - Nie trza mi było próbować naprawy samemu... ni masz miejsca...

- Nie ma sprawy, po prostu leć dalej! - odkrzyknął Harry, widząc zbliżających się kolejnych dwóch śmierciożerców, którzy właśnie wyłonili się z ciemności.

Klątwy ponownie przecięły przestrzeń między nimi. Hagrid skręcił w bok i zaczął kluczyć zygzakiem. Harry wiedział, że Hagrid nie ośmieli się użyć znów przycisku ze smoczym dopalaczem, kiedy on siedzi tak niepewnie. Słał jedną Drętwotę po drugiej w kierunku prześladowców, z trudem utrzymując ich na dystans. Wystrzelił kolejne zatrzymujące zaklęcie. Znajdujący się najbliżej śmierciożerca uchylił się, jego kaptur zsunął się i w czerwonym świetle kolejnego Ogłuszającego Czaru Harry dostrzegł dziwnie pustą twarz Stanleya Shunpike'a...

- Stan... *Expelliarmus!* - wrzasnął Harry.

- To ten, to on, ten jest prawdziwy!

Krzyk śmierciożercy przedarł się przez grzmot silnika i dotarł do Harry'ego. Chwilę później obaj ścigający wycofali się i znikli mu z pola widzenia.

- Harry, co się stało?! - wrzasnął Hagrid. - Gdzie oni się podziali?

- Nie wiem!

Ale Harry bał się. Napastnik zawołał: „Ten jest prawdziwy!". Skąd mógł wiedzieć? Rozejrzał się dokoła, wpatrując w najwyraźniej pustą ciemność, poczuł jej grozę. Gdzie oni się podziali?

Obrócił się na siedzeniu, siadł twarzą w kierunku jazdy i chwycił tył płaszcza Hagrida.

- Hagrid, odpal jeszcze raz ten smoczy ogień i wynośmy się stąd!

- W takim razie trzymaj się, Harry!

Ponownie rozległ się ogłuszający, skrzeczący ryk i z rury wydechowej buchnął białoniebieski płomień. Harry poczuł, jak zsuwa się w tył z tego niewielkiego kawałka siedzenia, na którym siedział. Hagrid przechylił się, by go chwycić, omal nie puszczając kierownicy...

- Myślę, żeśmy ich zgubili, Harry, chyba się nam udało! - zawołał.

Ale Harry nie był co do tego przekonany. Strach wisiał nad nim, kiedy rozglądał się na prawo i lewo za prześladowcami. Był pewien, że jeszcze się pojawią... Dlaczego się wycofali? Jeden z nich nadal miał różdżkę... „To on... Ten jest prawdziwy...” Powiedzieli to zaraz po tym, jak spróbował rozbroić Stana...

- Jesteśmy prawie na miejscu, Harry, prawie się nam udało! - krzyknął Hagrid.

Harry poczuł, jak motocykl zniża nieco lot, jednak światła w dole nadal zdawały się odległe jak gwiazdy.

I w tym momencie blizna na jego czole zapłonęła żywym ogniem. Po obu stronach motocykla pojawili się śmierciożercy, a dwa śmiertelne zaklęcia rzucone gdzieś z tyłu chybiły Harry'ego o milimetry...

I wtedy Harry dostrzegł go. Voldemort leciał niczym dym unoszony wiatrem, bez miotły czy testrala, którego musiałby się trzymać. Jego wężowa twarz lśniła w ciemnościach, białe palce ponownie unosiły w górę różdżkę...

Z ust Hagrida wyrwał się okrzyk przerażenia i motocykl zanurkował pionowo w dół. Przywarłszy desperacko do Hagrida, Harry słał na oślep zaklęcia oszałamiające w otaczającą go ciemność. Dostrzegł ciało przelatujące obok niego i wiedział, że trafił jednego z wrogów, ale chwilę później usłyszał huk i zobaczył iskry buchające z silnika. Motocykl mknął przez powietrze wirując, całkowicie pozbawiony kontroli...

Zielone strumienie światła przemknęły znów obok nich. Harry nie miał pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół. Jego blizna wciąż paliła. Spodziewał się umrzeć w każdej chwili. Zakapturzona postać na miotle znalazła się o kilka stóp od niego, ujrzał wznoszące się ramię...

- NIE!

Z okrzykiem wściekłości Hagrid zeskoczył z motocykla, rzucając się na śmierciożercę. Ku swemu przerażeniu Harry zobaczył jak obaj, Hagrid i śmierciożerca, lecą w dół, zbyt ciężcy, by miotła mogła ich unieść...

Z trudem ściskając kolanami pikujący motocykl, Harry usłyszał, jak Voldemort krzyczy:

- Jest mój!

To już był koniec. Nie widział, ani nie słyszał, gdzie znajduje się Voldemort. Kątem oka dostrzegł innego śmierciożercę ustępującego z drogi i usłyszał: *Avada...*

W chwili, gdy ból płynący z blizny zmusił Harry'ego do zamknięcia oczu, jego różdżka zadziałała samodzielnie. Poczuł, jak pociągnęła jego ramię niczym gigantyczny magnes. Przez wpółprzymknięte powieki dostrzegł strumień złotego ognia, usłyszał trzask i wrzask wściekłości. Ostatni śmierciożerca zawył. Voldemort krzyknął: „NIE!”. Jakimś sposobem Harry spostrzegł przycisk ze smoczym dopalaczem o cal od swego nosa. Uderzył w niego pięścią i motocykl wystrzelił w powietrze kolejne płomienie, pędząc wprost na spotkanie ziemi.

- Hagrid! - zawołał Harry, desperacko trzymając się motocykla. - Hagrid... *Accio* Hagrid!

Motocykl przyspieszył, przyciągany w stronę ziemi. Trzymając twarz tuż nad kierownicą, Harry nie był w stanie dostrzec nic poza odległymi światłami, rosnącymi teraz w oczach. Wiedział, że się rozbije i nie był w stanie zrobić nic, by temu zapobiec. Za nim rozległ się kolejny krzyk.

- Twoja różdżka, Selwyn, daj mi swoją różdżkę!

Poczuł Voldemorta jeszcze zanim go ujrzał. Zerkając w bok, utkwił wzrok w czerwonych oczach i był pewien, że będą ostatnią rzeczą, jaką widział w życiu. Voldemort szykował się do kolejnego zaklęcia...

I nagle zniknął. Harry spojrzał w dół i zobaczył pod sobą rozpostartego na ziemi Hagrida. Pociągnął z całej siły za kierownicę, by uniknąć uderzenia w niego, sięgnął po omacku w stronę hamulców, ale w tym momencie z rozdzierającym uszy i wstrząsającym ziemią łoskotem grzmotnął w błotnisty staw.

Rozdział 05
Poległy wojownik

Tłumaczenie: Koniec

- Hagrid?

Harry starał się wydostać spod szczątków motocykla. Jego ręce zanurzyły się głęboko w błotnistej wodzie, kiedy próbował się podnieść. Nie rozumiał, gdzie zniknął Voldemort. Miał wrażenie, że za chwilę wyłoni się z ciemności. Po czole i brodzie spływało mu coś gorącego i mokrego. Wyczołgał się ze stawu i potykając się, zbliżył do wielkiej ciemnej postaci leżącej na ziemi.

- Hagrid? Hagridzie, powiedz coś...

Ale leżący nawet nie drgnął.

- Kto tam? Potter? Jesteś Harrym Potterem? - odezwał się męski głos, którego Harry nie rozpoznawał. Wtedy usłyszał kobiecy krzyk.

- Rozbili się! Ted! Rozbili się w ogrodzie!

Harry'emu zakręciło się w głowie.

- Hagrid... - powtarzał głupio i czuł, że kolana się pod nim ugięły.

Kiedy się ocknął, leżał na poduszkach, bolały go żebra i prawe ramię. Jego wybity ząb odrósł, ale blizna na czole nadal go mrowiła.

- Hagrid?

Otworzył oczy i zobaczył, że leży na sofie w obcym, delikatnie oświetlonym salonie. Jego plecak leżał niedaleko na podłodze, mokry i ubłocony. Jasnowłosy mężczyzna z wielkim brzuchem przyglądał się Harry'emu z troską.

- Z Hagridem wszystko w porządku, synu - uspokoił go mężczyzna. - Moja żona właśnie się nim zajmuje. Jak się czujesz? Masz coś jeszcze złamane? Zająłem się twoimi żebrami, zębem i ramieniem. Tak w ogóle jestem Ted, Ted Tonks, ojciec Dory.

Harry podniósł się zbyt szybko. Świetliste plamy zawirowały mu przed oczami, był oszołomiony i czuł, że mu niedobrze.

- Voldemort...

- Spokojnie, spokojnie - powiedział Ted Tonks, kładąc dłoń na ramieniu Harry'ego i popychając go z powrotem na poduszki. - Dopiero co zaliczyłeś paskudny wypadek. Co się właściwie stało? Coś nie tak z motorem? Czy może Arthur znów przecenił siebie i swoje mugolskie narzędzia?

- Nie - zaprzeczył Harry, czując, że jego blizna pulsuje jak otwarta rana. - Śmierciożercy, cała masa, ścigali nas...

- Śmierciożercy? - przerwał mu Ted ostro. - Jak to: śmierciożercy? Myślałem, że nie wiedzieli, że przenoszą cię dzisiaj, sądziłem...

- Wiedzieli - odpowiedział Harry.

Ted Tonks spojrzał w górę, na sufit, zupełnie, jakby mógł dojrzeć przez niego niebo.

- No cóż, przynajmniej wiemy, że nasze zaklęcia ochronne działają, czyż nie? Śmierciożercy nie mogą zbliżyć się do tego domu na odległość mniejszą niż sto jardów, z każdego kierunku.

Teraz Harry zrozumiał, czemu Voldemort zniknął - stało się to w momencie, kiedy motocykl minął barierę zaklęć Zakonu. Miał tylko nadzieję, że będą nadal działać. Wyobraził sobie Voldemorta, sto jardów nad nimi, szukającego sposobu, by pokonać to, co Harry wyobrażał sobie jako wielką przezroczystą bańkę.

Spuścił nogi z sofy. Musiał zobaczyć Hagrida na własne oczy, aby uwierzyć, że żyje. Jednakże ledwo się podniósł, drzwi otworzyły się i przecisnął się przez nie Hagrid, z twarzą pokrytą błotem i krwią, utykający lekko, ale cudownie ocalały.

- Harry!

Przewracając dwa stoliki i donicę z aspidistrą, pokonał dzielącą ich odległość w dwóch krokach i przyciągnął Harry'ego do siebie, ściskając tak mocno, że niemal połamał mu świeżo zrośnięte żebra.

- Cholibka, Harry, jakżeś nas z tego wyciągnął? Myślałem, że już po nas.

- Taak, ja też. Nie mogę uwierzyć...

Harry urwał, kiedy dostrzegł kobietę, która weszła do pokoju za Hagridem.

- Ty! - wykrzyknął i odruchowo sięgnął po różdżkę, ale zorientował się że kieszeń jest pusta.

- Twoja różdżka jest tutaj, synu - powiedział Ted, szturchając nią Harry'ego w ramię. - Upadła tuż przy tobie, podniosłem ją... A kobieta, na którą krzyczysz, jest moją żoną.

- Och, prze... przepraszam.

Kiedy pani Tonks podeszła bliżej, jej podobieństwo do siostry, Bellatrix, stało się mniej wyraźne - miała włosy jasnobrązowe, a oczy większe i łagodniejsze. Niemniej jednak, zachowanie Harry'ego sprawiło, że przybrała nieco wyniosły wyraz twarzy.

- Co się stało naszej córce? - spytała. - Hagrid powiedział, że wpadliście w zasadzkę. Gdzie jest Nimfadora?

- Nie wiem - odpowiedział Harry. - Nie wiemy, co stało się z innymi.

Andromeda i Ted wymienili spojrzenia. Mieszanka strachu i poczucia winy opanowała Harry'ego na widok ich twarzy. Jeżeli ktokolwiek z pozostałych zginął, to była jego wina, to wszystko jego wina. Zgodził się na ten plan, oddał im włosy...

- Świstoklik - przypomniał sobie nagle. - Musimy wrócić do Nory i dowiedzieć się... Będziemy mogli dać wam znać albo... Albo Tonks się odezwie, jak tylko...

- Dora sobie poradzi, Dromeda - odezwał się Ted. - Wie, co robi, brała udział w niejednej ciężkiej akcji z aurorami. Mamy dla was świstoklik - zwrócił się do Harry'ego. - Uaktywni się za trzy minuty, jeśli chcecie skorzystać.

- Chcemy - odpowiedział Harry. Chwycił plecak i zarzucił go sobie na ramiona. - Ja...

Spojrzał na panią Tonks, chcąc przeprosić. Czuł się straszliwie odpowiedzialny za całą tę sytuację, w jakiej ją zostawiał. Nie przychodziły mu jednak do głowy żadne słowa, które nie brzmiały pusto i fałszywie.

- Powiem Tonks... Dorze, żeby odezwała się, kiedy... Dziękujemy za opatrzenie nas, dziękujemy za wszystko...

Odetchnął z ulgą, opuszczając salon, i podążył za Tedem Tonksem krótkim korytarzem do sypialni. Hagrid pojawił się chwilę po nich, pochylając się, by uniknąć uderzenia o belkę nad drzwiami.

- Proszę bardzo, synu. To wasz świstoklik.

Pan Tonks wskazywał na małą, srebrną szczotkę do włosów, leżącą na toaletce.

- Dziękujemy - powiedział Harry, wyciągając rękę, by dotknąć świstoklika, gotowy do podróży.

- Momencik - zatrzymał go Hagrid, rozglądając się. - Harry, gdzie jest Hedwiga?

- Hedwiga... Trafili ją.

Świadomość tego, co się stało, spłynęła na Harry'ego z wielką siłą. Zawstydził się, gdy łzy stanęły mu w oczach. Sowa była jego towarzyszką, a także tym, co łączyło go z magicznym światem, kiedy zmuszony był wracać do domu Dursleyów.

Hagrid wyciągnął wielką dłoń i poklepał go boleśnie po ramieniu.

- Nie przejmuj się - powiedział mrukliwie. - Nie przejmuj. Miała wspaniałe, długie życie...

- Hagridzie! - przerwał mu ostrzegawczo Ted Tonks, gdy szczotka zaczęła lśnić jasnoniebieskim światłem i Hagrid zdążył przyłożyć do niej palec w ostatniej chwili.

Z szarpnięciem za pępek, jak gdyby niewidzialny hak i lina ciągnęły go naprzód, Harry został wciągnięty w nicość, kręcąc się niekontrolowanie, z palcem przyczepionym do świstoklika, gdy on i Hagrid oddalali się od pana Tonksa. Chwilę później stopy Harry'ego uderzyły o twardą ziemię i upadł na kolana na podwórzu Nory. Usłyszał krzyki. Odrzucił na bok niepotrzebną już szczotkę, po czym wstał, zataczając się lekko, i zobaczył panią Weasley i Ginny biegnące od strony tylnych drzwi, a obok siebie Hagrida, który również upadł, mozolnie gramolącego się z ziemi.

- Harry? Jesteś prawdziwym Harrym? Co się stało? Gdzie pozostali?! - krzyczała pani Weasley.

- Jak to? Nikt jeszcze nie wrócił? - wykrztusił Harry.

Bladość twarzy pani Weasley starczyła za odpowiedź.

- Śmierciożercy czekali na nas - powiadomił ją Harry. - Otoczyli nas, gdy tylko wystartowaliśmy... Wiedzieli, że to dzisiaj... Nie wiem, jak pozostali. Nas ścigało czterech, jedyne co mogliśmy zrobić to uciec, a potem pojawił się Voldemort...

Słyszał w swoim głosie samousprawiedliwianie, błaganie, by pani Weasley zrozumiała, czemu nie wie, co stało się z jej synami, ale...

- Co za szczęście, jesteś cały - powiedziała, zamykając go w objęciach, choć wcale nie uważał, że na to zasłużył.

- Masz może przypadkiem jakąś brandy, Molly? - spytał Hagrid nieco trzęsącym się głosem. - Dla celów leczniczych?

Mogła przywołać ją za pomocą magii, ale kiedy pospieszyła do domu, Harry domyślił się, że chciała ukryć twarz. Odwrócił się do Ginny, która od razu odpowiedziała na jego niewypowiedzianą prośbę o informacje.

- Ron i Tonks powinni byli wrócić pierwsi, ale przegapili swój świstoklik, wrócił bez nich - powiedziała, wskazując na zardzewiałą puszkę po oleju, leżącą niedaleko. - A ten - wskazała na starą tenisówkę - był taty i Freda, mieli być drudzy. Ty i Hagrid byliście trzeci i - spojrzała na zegarek - jeśli im się uda, George i Lupin powinni wrócić za jakąś minutę.

Pani Weasley wróciła, niosąc butelkę, którą podała Hagridowi. Otworzył ją i opróżnił jednym haustem.

- Mamo! - wykrzyknęła Ginny, wskazując na coś kilka metrów dalej.

Niebieskie światło rozbłysnęło w ciemności. Rosło coraz większe i jaśniejsze, a po chwili pojawili się Lupin i George, kręcąc się i w końcu padając na podwórze. Harry od razu zorientował się, że coś jest nie tak: Lupin podtrzymywał nieprzytomnego George'a, którego twarz była mokra od krwi.

Harry podbiegł do nich i chwycił nogi George'a. Razem z Lupinem wnieśli rannego do domu, przez kuchnię do salonu, gdzie ułożyli go na sofie. Kiedy światło lampy oświetliło głowę George'a, Ginny wciągnęła głośno powietrze, a Harry'emu ścisnął się żołądek - George'owi brakowało jednego ucha. Bok jego głowy i szyi zalany był przerażającym krwawym szkarłatem.

Kiedy tylko pani Weasley pochyliła się nad synem, Lupin złapał Harry'ego za ramię i pociągnął go, niezbyt delikatnie, z powrotem do kuchni, gdzie Hagrid nadal usiłował przecisnąć się przez tylne drzwi.

- Ej! - oburzył się Hagrid. - Zostaw go! Zostaw Harry'ego!

Lupin zignorował go.

- Jakie stworzenie siedziało w rogu sali, kiedy Harry Potter po raz pierwszy odwiedził mój gabinet w Hogwarcie? - spytał, potrząsając lekko Harrym. - Odpowiadaj!

- Ee... druzgotek w akwarium, dobrze pamiętam?

Lupin wypuścił Harry'ego i oparł się o blat kuchenny.

- O co tu chodziło?! - ryknął Hagrid.

- Wybacz, Harry, ale musiałem sprawdzić - powiedział zwięźle Lupin. - Ktoś nas zdradził. Voldemort wiedział, że przenosimy cię dzisiaj, a powiedzieć mu o tym mogły tylko osoby bezpośrednio związane z planem. Mogłeś być podstawiony.

- To dlaczego nie sprawdzasz mnie? - wysapał Hagrid, nadal mocując się z drzwiami.

- Jesteś półolbrzymem - wyjaśnił Lupin, spoglądając na niego. - Eliksir Wielosokowy działa tylko na ludzi.

- Nikt z Zakonu nie powiedziałby Voldemortowi, że przenosimy się dziś - odparł Harry. Sama myśl o tym była przerażająca. Nie mógł uwierzyć, że ktoś z ich grupy zrobiłby coś takiego. - Voldemort dopadł nas dopiero pod koniec, z początku nie wiedział, który „Harry" to ja. Gdyby znał plan, wiedziałby z góry, że byłem z Hagridem.

- Voldemort was dopadł? - spytał ostro Lupin. - Co się stało? Jak udało wam się uciec?

Harry opowiedział, jak śmierciożercy, którzy ruszyli za nimi, rozpoznali go jako prawdziwego Harry'ego, jak porzucili pościg i musieli powiadomić Voldemorta, który pojawił się tuż przed tym, jak on i Hagrid dotarli do bezpiecznej kryjówki u rodziców Tonks.

- Rozpoznali cię? Ale w jaki sposób? Co zrobiłeś?

- Ja... - Harry próbował sobie przypomnieć, lecz cała podróż zdawała się być jedną wielką plamą paniki i chaosu.

- Zobaczyłem Stana Shunpike'a... Wiesz, to ten, który był kierowcą Błędnego Rycerza. I próbowałem go rozbroić, zamiast... Cóż, on nie wie, co robi, prawda? Na pewno jest pod Imperiusem!

Lupin osłupiał.

- Harry, czas na zwykłe rozbrajanie minął! Ci ludzie próbują cię porwać i zabić! Przynajmniej oszałamiaj, jeśli nie jesteś przygotowany, by zabijać!

- Byliśmy wysoko nad ziemią! Stan nie był sobą, gdybym go oszołomił to spadłby na ziemię, umarłby tak samo, jakbym użył Avady! Expelliarmus ocalił mnie przed Voldemortem dwa lata temu - dodał Harry buntowniczo. Lupin przypominał mu Puchona, Zachariasza Smitha, który drwił, gdy Harry chciał uczyć Armię Dumbledore'a rozbrajania.

- Tak, Harry - powiedział Lupin, z trudem się opanowując. - I wielu śmierciożerców to widziało! Wybacz, ale to dość niezwykłe posunięcie w sytuacji zagrożenia życia. Powtórzenie tego dzisiaj, na oczach śmierciożerców, którzy albo byli świadkami tamtego zdarzenia, albo o nim słyszeli, było bliskie samobójstwu!

- Więc według ciebie powinienem zabić Stana Shunpike'a? - spytał ze złością Harry.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Lupin. - Ale śmierciożercy - a szczerze mówiąc, także większość ludzi - spodziewaliby się, że skontratakujesz! Expelliarmus to przydatne zaklęcie, Harry, ale śmierciożercy wydają się myśleć, że to twój popisowy ruch i zaklinam cię, niech tak nie będzie!

Lupin sprawiał, że Harry czuł się jak idiota, ale nadal czuł pewien wewnętrzny opór.

- Nie będę usuwał ludzi ze swojej drogi tylko dlatego, że się na niej znaleźli - powiedział. - To zajęcie Voldemorta.

Lupin nie zdążył odpowiedzieć. Hagrid, któremu wreszcie udało się przecisnąć przez drzwi, podszedł chwiejnym krokiem do krzesła. Niestety, załamało się, gdy tylko na nim usiadł. Ignorując jego wiązankę przekleństw i przeprosin, Harry ponownie zwrócił się do Lupina:

- Czy George wyzdrowieje?

To pytanie zdawało się ułagodzić całą irytację Lupina.

- Myślę, że tak, chociaż nie ma szans na to, że ucho odrośnie, ponieważ zostało odcięte przez...

Nagle usłyszeli szamotaninę na zewnątrz. Lupin skoczył do drzwi kuchennych, a Harry przeskoczył nad nogami siedzącego Hagrida i popędził na dwór. Na podwórzu pojawiły się dwie postacie. Kiedy Harry podbiegł bliżej, zorientował się, że była to Hermiona, która powróciła do własnego wyglądu, i Kingsley - oboje ściskający powyginany wieszak na ubrania. Hermiona rzuciła się w ramiona Harry'ego, ale Kingsley nie okazał żadnej radości na ich widok. Harry zobaczył ponad ramieniem Hermiony, jak auror podnosi różdżkę i celuje nią w pierśLupina.

- Ostatnie słowa jakie Albus Dumbledore wypowiedział do nas obu!

- „Harry jest naszą największą nadzieją. Zaufajcie mu" - odpowiedział spokojnie Lupin.

Kingsley skierował różdżkę na Harry'ego, ale Lupin wyjaśnił:

- To on, sprawdziłem!

- Dobrze już, dobrze! - powiedział Kingsley, chowając różdżkę pod peleryną. - Ale ktoś nas zdradził! Wiedzieli! Wiedzieli, że to dzisiaj!

- Na to wygląda - odparł Lupin. - Ale najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że będzie siedmiu Harrych.

- Niewielka pociecha! - warknął Kingsley. - Kto jeszcze wrócił?

- Tylko Harry, Hagrid, George i ja.

Hermiona zakryła ręką usta, tłumiąc cichy jęk.

- Jak było z wami? - spytał Lupin Kingsleya.

- Ścigało nas pięciu, zraniliśmy dwóch, mogłem zabić jednego - wyliczał Kingsley. - Widzieliśmy też Sami - Wiecie - Kogo, dołączył do pościgu w połowie drogi, ale zniknął dość szybko. Remusie, on potrafi...

- Latać - dokończył Harry. - Też go widziałem, pojawił się, by ścigać Hagrida i mnie.

- A więc dlatego nas zostawił! Żeby ścigać ciebie! - powiedział Kingsley. - Nie mogłem zrozumieć, czemu nagle się ulotnił. Ale co sprawiło, że zmienił cele?

- Harry potraktował Stana Shunpike'a nieco zbyt delikatnie - odparł Lupin.

- Stan? - powtórzyła Hermiona. - Myślałam, że jest w Azkabanie?

Kingsley roześmiał się niewesoło.

- Hermiono, najwyraźniej odbyła się masowa ucieczka, którą ministerstwo zatuszowało. Maska Traversa opadła, kiedy w niego trafiłem - on też powinien siedzieć. Ale co działo się z wami, Remusie? Gdzie George?

- Stracił ucho - odparł Lupin.

- Stracił...? - powtórzyła wysokim głosem Hermiona.

- Robota Snape'a.

- *Snape*?! - wykrzyknął Harry. - Nic nie mówiłeś...

- Zgubił maskę podczas pościgu. Sectumsempra zawsze była jego specjalnością. Chciałbym móc powiedzieć, że mu odpłaciłem, ale robiłem wszystko, by utrzymać George'a na miotle. Po tym, jak został ranny, tracił bardzo dużo krwi.

Zapadła cisza i wszyscy popatrzyli w górę na niebo. Nie było na nim ani śladu ruchu. Gwiazdy odwzajemniały te spojrzenia, nie mrugając, i nie przejmując się czwórką przyjaciół. Gdzie był Ron? Gdzie podziewał się Fred i pan Weasley? Gdzie Bill, Fleur, Tonks, Szalonooki i Mundungus?

- Harry, pomóż mi! - zawołał Hagrid od strony drzwi, w których ponownie utknął. Zadowolony, że ma jakieś zajęcie, Harry uwolnił go, a potem przeszedł przed pustą kuchnię z powrotem do salonu, gdzie pani Weasley i Ginny nadal zajmowały się

George'em. Pani Weasley zatamowała już krwawienie i teraz w świetle lampy Harry dostrzegł dziurę w miejscu, gdzie było kiedyś ucho George'a.

- Co z nim?

Pani Weasley obejrzała się i odparła:

- Nie mogę sprawić, by odrosło, ponieważ zostało usunięte za pomocą czarnej magii. Ale mogło być dużo gorzej... Żyje.

- Tak - zgodził się Harry. - Całe szczęście.

- Zdawało mi się, że słyszałam jakieś głosy na podwórzu? - spytała Ginny.

- Hermiony i Kingsleya - odpowiedział Harry.

- Chwała Merlinowi... - wyszeptała Ginny. Spojrzeli na siebie. Harry chciał ją objąć, przytulić, nie obchodziło go nawet, że pani Weasley jest tuż obok, ale zanim zdążył pójść za głosem serca, usłyszeli głośny trzask dobiegający z kuchni.

- Udowodnię, kim jestem, po tym, jak zobaczę mojego syna, Kingsley, a teraz cofnij się albo pożałujesz!

Harry nigdy wcześniej nie słyszał, by pan Weasley tak krzyczał. Wpadł do salonu, jego łysina lśniła od potu, okulary miał przekrzywione. Fred biegł tuż za nim. Obaj byli bladzi, ale cali i zdrowi.

- Artur! - załkała pani Weasley. - Co za szczęście!

- Co z nim?

Pan Weasley opadł na kolana koło George'a. Po raz pierwszy, od kiedy Harry go znał, Fred zdawał się niezdolny do wykrztuszenia słowa. Stał za oparciem sofy i patrzył na ranę swojego brata bliźniaka, jak gdyby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Być może obudzony hałasem, George poruszył się.

- Jak się czujesz, Georgie? - wyszeptała pani Weasley.

George palcami zbadał bok swojej głowy.

- Jak święty - mruknął.

- Co z nim? - wychrypiał przerażony Fred. - Czy coś się stało z jego głową?

- Jak święty - powtórzył George, otwierając oczy i patrząc na brata. - No wiesz... Święty - ścięty, Fred, łapiesz?

Pani Weasley wybuchnęła płaczem. Kolory powróciły na bladą twarz Freda.

- Żałosne - powiedział do brata. - Żałosne! Przy tylu możliwościach żartów na temat ucha, wybrałeś *to*?

- No cóż - odparł George, uśmiechając się szeroko do zalanej łzami matki. - Teraz będziesz już mogła nas rozróżnić, mamo.

Rozejrzał się dookoła.

- Hej, Harry... Bo jesteś nim, nie?

- Tak, to ja - potwierdził Harry, podchodząc bliżej do sofy.

- No, przynajmniej dobrze cię osłoniliśmy - powiedział George. - Dlaczego Ron i Bill nie tłoczą się wokół mojego łoża boleści?

- Jeszcze nie wrócili, George - wyjaśniła pani Weasley. Uśmiech George'a zniknął. Harry spojrzał na Ginny i dał jej znać gestem, by wyszła z nim na zewnątrz. Kiedy przechodzili przez kuchnię, odezwała się cicho:

- Ron i Tonks powinni byli już wrócić. Nie mieli długiej podróży, dom cioci Muriel nie jest tak daleko stąd.

Harry nie odezwał się. Starał się nie dopuszczać do siebie strachu, odkąd tylko dotarli do Nory, ale teraz ogarnął go z całą siłą. Zdawał się pełznąć pod skórą, pulsować w piersi, dławić w gardle. Kiedy schodzili ze schodków na ciemne podwórko, Ginny złapała go za rękę.

Kingsley chodził w tę i z powrotem, spoglądając w niebo za każdym razem, gdy się odwracał. Przypominał Harry'emu wuja Vernona, krążącego po salonie - chyba milion lat temu. Hagrid, Hermiona i Lupin stali ramię w ramię, milcząc i spoglądając w górę. Żadne z nich nie opuściło wzroku, gdy Harry i Ginny dołączyli do ich cichego czuwania.

Minuty ciągnęły się tak, jakby mijały lata. Najmniejszy podmuch wiatru sprawiał, że podskakiwali i obracali w stronę szumiącego drzewa lub krzaków, w nadziei, że jakiś członek Zakonu wyskoczy z nich, nietknięty...

Aż wreszcie miotła pojawiła się dokładnie nad nimi i pomknęła w stronę ziemi.

- To oni! - krzyknęła Hermiona.

Tonks wylądowała z długim poślizgiem, rozsypując dookoła ziemię i kamyki.

- Remus! - wykrzyknęła i zeskoczyła chwiejnie z miotły prosto w ramiona Lupina. Jego twarz była nieruchoma i blada, wyglądał jakby odebrało mu mowę. Oszołomiony Ron podszedł do Harry'ego i Hermiony.

- Jesteś cały - wymamrotał, zanim Hermiona rzuciła się na niego i uścisnęła mocno.

- Myślałam... Myślałam...

- Wszystko w porządku - powiedział Ron, klepiąc ją po plecach. - Jestem cały.

- Ron był świetny - powiedziała ciepło Tonks, wypuszczając Lupina z uścisku. - Rewelacyjny. Oszołomił jednego śmierciożercę, prosto w głowę, a kiedy celujesz w ruchomy cel z latającej miotły...

- Naprawdę? - spytała Hermiona, spoglądając na Rona, ale nie wypuszczając go z objęć.

- Jak zwykle nuta niedowierzania - powiedział lekko zrzędliwie, odsuwając się. - Jesteśmy ostatni?

- Nie - odpowiedziała Ginny. - Nadal czekamy na Billa i Fleur, i Szalonookiego, i Mundungusa. Pójdę powiedzieć mamie i tacie, że jesteś cały, Ron...

Pobiegła do domu.

- Więc co was zatrzymało? Co się stało? - Wydawało się, że Lupin jest niemal zły na Tonks.

- Bellatriks - wyjaśniła. - Chce dopaść mnie niemal tak bardzo, jak Harry'ego, Remus. Robiła, co mogła, by mnie zabić. Żałuję, że jej nie dorwałam, jestem jej to dłużna. Ale na pewno zraniliśmy Rudolfusa... Potem dotarliśmy do ciotki Rona, Muriel, przegapiliśmy nasz świstoklik i ona skakała nad nami...

Mięsień poruszył się w szczęce Lupina, który kiwnął głową, ale wydawał się niezdolny, by cokolwiek powiedzieć.

- A co się stało z wami? - spytała Tonks, odwracając się do Harry'ego, Hermiony i Kingsleya.

Opowiedzieli ponownie, co im się przytrafiło, ale cały czas przedłużająca się nieobecność Billa, Fleur, Szalonookiego i Mundungusa zdawała się otaczać ich jak mróz, którego lodowate ukłucia coraz trudniej było ignorować.

- Muszę wrócić na Downing Street. Powinienem tam być godzinę temu - odezwał się wreszcie Kingsley, rzucając ostatnie spojrzenie na niebo. - Dajcie znać, kiedy wrócą...

Lupin skinął głową. Machnąwszy do pozostałych, Kingsley zniknął w ciemności, kierując się w stronę bramy. Harry'emu wydawało się, że słyszał ciche *pop*, kiedy Kingsley aportował się tuż za granicami Nory.

Pan i pani Weasley wybiegli z domu, z depczącą im po piętach Ginny. Rodzice uściskali Rona, a potem obrócili się do Lupina i Tonks.

- Dziękujemy wam - odezwała się pani Weasley. - Za naszych synów.

- Nie wygłupiaj się, Molly - powiedziała natychmiast Tonks.

- Jak George? - spytał Lupin.

- Co mu się stało? - wtrącił się Ron.

- Stracił...

Ostatnie słowa pani Weasley utonęły wśród okrzyków reszty. Właśnie w zasięgu ich wzroku pojawił się testral i wylądował kilka metrów od nich. Bill z Fleur ześlizgnęli się z jego grzbietu, wymarznięci od wiatru, ale cali i zdrowi.

- Bill! Dzięki niebiosom, dzięki niebiosom!

Pani Weasley podbiegła do niego, ale uścisk, którym obdarzył ją syn, był zdawkowy. Patrząc prosto na ojca, powiedział:

- Szalonooki nie żyje.

Nikt nie powiedział ani słowa, nikt się nie poruszył. Harry poczuł, jak coś w jego wnętrzu rozpada się, wsiąka w ziemię, opuszczając go na zawsze.

- Widzieliśmy to - odezwał się Bill. Fleur skinęła głową potakująco, ślady łez lśniły na jej policzkach w świetle z kuchennego okna. - To było tuż po tym, jak się rozdzieliliśmy. Szalonooki i Dung byli niedaleko nas, też kierowali się na północ. Voldemort - on potrafi latać - ruszył prosto na nich. Dung spanikował, słyszałem jak krzyczy. Szalonooki próbował go zatrzymać, ale deportował się. Zaklęcie Voldemorta

trafiło Szalonookiego prosto w twarz, spadł do tyłu z miotły i... Nic nie mogliśmy zrobić, nic... mieliśmy pół tuzina śmierciożerców na ogonie...

Głos Billa załamał.

- Oczywiście, że nic nie mogliście zrobić - powiedział Lupin.

Wszyscy stali, patrząc na siebie nawzajem. Harry nie pojmował tego. Szalonooki nie żyje. To niemożliwe... Szalonooki, tak twardy, taki odważny, doskonały weteran...

W końcu powoli dotarło do wszystkich, choć nikt nic nie powiedział, że nie było już sensu czekać na podwórzu. W ciszy ruszyli za państwem Weasley z powrotem do Nory, do salonu, gdzie Fred i George rozmawiali, śmiejąc się.

- Co się stało? - spytał George, przypatrując się ich twarzom, kiedy weszli. - Co się stało? Ktoś...?

- Szalonooki - odezwał się pan Weasley. - Nie żyje.

Uśmiechy bliźniaków zmieniły się w grymasy szoku. Wydawało się, że nikt nie wie, co zrobić. Tonks płakała cicho w chusteczkę. Harry wiedział, że była bardzo bliska Szalonookiemu, jego ulubienica i protegowana w Ministerstwie Magii. Hagrid, który usiadł na podłodze w rogu, gdzie miał najwięcej miejsca, przecierał oczy swoją chusteczką o rozmiarach obrusa.

Bill podszedł do kredensu, wyciągnął butelkę Ognistej Whisky i szklanki.

- Proszę - powiedział i za pomocą różdżki posłał dwanaście pełnych szklanek do każdego w pokoju, trzynastą podnosząc do góry. - Za Szalonookiego.

- Za Szalonookiego - powiedzieli chórem pozostali i wypili.

- Za Szalonookiego - powtórzył Hagrid z czkawką chwilę później.

Harry czuł, że Ognista Whisky poparzyła mu gardło. Miał wrażenie, jakby rozpaliła jego uczucia, rozproszyła odrętwienie i poczucie nierealności, napełniając go czymś podobnym do odwagi.

- Więc Mundungus zniknął? - spytał Lupin, który wypił swojego drinka jednym haustem.

Atmosfera błyskawicznie się zmieniła. Wszyscy patrzyli w napieciu na Lupina, zarówno chcąc, by kontynuował - jak wydawało się Harry'emu - ale też nieco przestraszeni tym, co mogą usłyszeć.

- Wiem, o czym myślisz - odezwał się Bill. - I też się nad tym zastanawiałem, kiedy tu wracaliśmy. Bo zdawali się czekać na nas, prawda? Ale Mundungus nie mógł nas zdradzić. Oni nie wiedzieli, że będzie siedmiu Harrych. Byli zdezorientowani, kiedy się pojawiliśmy. Poza tym, nie zapominaj, że to Mundungus zaproponował ten mały podstęp. Dlaczego nie powiedziałby im o najważniejszej rzeczy? Myślę, że Dung po prostu spanikował. W ogóle nie chciał brać w tym udziału, ale Szalonooki go zmusił, a Sami - Wiecie - Kto ruszył prosto na nich. To wystarczy, żeby każdy spanikował.

- Sami - Wiecie - Kto zachował się dokładnie tak, jak mówił Szalonooki - powiedziała Tonks, pociągając nosem. - Szalonooki przewidział, że będzie podejrzewał, że prawdziwemu Harry'emu będą towarzyszyli najtwardsi, najlepsi aurorzy. Ruszył najpierw za Szalonookim, a kiedy Mundungus zniknął, przerzucił się na Kingsleya...

- Tak, i tu wszistko jasni - przerwała jej Fleur. - Ali to ni wyjaśni, skąd oni wiedzieli, że przinosimy 'Arry'ego dziś, cziż nie? Ktoś musił być nieostrożni, podać datę obcemu. Tylko to wyjaśnia, że znali datę, ale nie cali plan.

Rozejrzała się wokół, ze śladami łez nadal widocznymi na jej pięknej twarzy, milcząco prowokując obecnych, by jej zaprzeczyli. Nikt tego nie zrobił. Jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę, była czkawka Hagrida, dobiegającą za jego chusteczki. Harry spojrzał na olbrzyma, który dopiero co ryzykował życie, by go ocalić. Hagrida, którego kochał, któremu ufał, który kiedyś dał się oszukać i podał Voldemortowi ważne informacje w zamian za jajo smoka...

- Nie - odparł głośno Harry i wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Ognista Whisky najwyraźniej wzmocniła jego głos. - To znaczy... Jeśli ktoś popełnił błąd - ciągnął Harry - i coś mu się wymsknęło, wiem, że nie zrobił tego specjalnie. To nie jego wina - powtórzył, znowu nieco głośniej niż zwykle. - Musimy sobie ufać. Ufam wam wszystkim, nie uważam, żeby ktokolwiek w tym pokoju mógłby kiedykolwiek sprzedać mnie Voldemortowi.

Ponownie zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na niego. Harry'emu znowu zrobiło się gorąco i wypił trochę więcej Ognistej, żeby mieć jakieś zajęcie. Kiedy pił, pomyślał o Szalonookim. Moody zawsze wypowiadał się zgryźliwie o gotowości Dumbledore'a do ufania ludziom.

- Dobrze powiedziane, Harry - odezwał się niespodziewanie Fred.

- Muzyka dla mojego *ucha* - potwierdził George, zerkając na bliźniaka, któremu uniósł się kącik ust.

Lupin patrzył na Harry'ego z dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądał, jakby było mu go żal.

- Myślisz, że jestem idiotą? - rzucił ostro Harry.

- Nie, myślę, że jesteś jak James - odpowiedział Lupin. - Zwątpienie w przyjaciół uważałby za wielką hańbę.

Harry wiedział, do czego zmierzał Lupin: jego ojciec został zdradzony przez przyjaciela, Petera Pettigrew. Poczuł irracjonalny gniew. Chciał się kłócić, ale Lupin odwrócił się od niego, odstawił swoją szklankę na stół i zwrócił się do Billa:

- Mamy robotę. Mogę poprosić Kingsleya...

- Nie - Bill nie dał mu dokończyć. - Zrobię to, pójdę.

- Gdzie idziecie? - spytały chórem Tonks i Fleur.

- Po ciało Szalonookiego - wyjaśnił Lupin. - Musimy je odnaleźć.

- Czy to nie mogłoby...? - zaczęła pani Weasley, patrząc błagalnie na Billa.

- Poczekać? - powiedział Bill. - Nie. Chyba że wolisz, aby zabrali je śmierciożercy?

Nikt już się nie odezwał. Lupin i Bill pożegnali się i wyszli.

Reszta, z wyjątkiem Harry'ego, rozsiadła się na krzesłach. Ogarnęła ich świadomość nagłości i ostateczności śmierci, niemal wyczuwali jej obecność.

- Ja też muszę iść - odezwał się Harry.

Dziesięć par oczu spojrzało na niego z zaskoczeniem.

- Nie wygłupiaj się, Harry - powiedziała pani Weasley. - O czym ty mówisz?

- Nie mogę tu zostać.

Potarł czoło, które znowu zaczęło go mrowić. Nie czuł tego bólu już od ponad roku.

- Wszyscy jesteście w niebezpieczeństwie, kiedy tu jestem. Nie chcę...

- Ależ nie wygłupiaj się! - powtórzyła pani Weasley. - Głównym celem dzisiejszej akcji było sprowadzenie cię tutaj bezpiecznie i, na szczęście, podziałało. No i Fleur zgodziła się wziąć ślub tutaj, a nie we Francji. Zorganizowaliśmy wszystko tak, żebyśmy mogli być tu wszyscy i cię pilnować...

Nie rozumiała. Jej słowa sprawiły, że czuł się gorzej, nie lepiej.

- Jeśli Voldemort dowie się, że tu jestem...

- Czemu miałby? - spytała pani Weasley.

- Jest tuzin miejsc, w jakich mógłbyś teraz być, Harry - powiedział pan Weasley. - On nie ma możliwości dowiedzieć się, w której kryjówce jesteś.

- To nie o siebie się martwię! - odparł Harry.

- Wiemy o tym - stwierdził pan Weasley cicho. - Ale gdybyś opuścił Norę, wszystkie nasze wysiłki dzisiejszego wieczoru poszłyby na marne.

- Nigdzie nie idziesz - mruknął Hagrid. - Cholibka, Harry, po tym wszystkim, co przeszliśmy, żeby cię tu ściągnąć?

- Właśnie, co z moim krwawiącym uchem? - spytał George, unosząc się na swoich poduszkach.

- Wiem, że...

- Szalonooki nie chciałby...

- WIEM! - wrzasnął Harry.

Czuł się naciskany i szantażowany. Czy oni myśleli, że nie wie, co dla niego zrobili? Nie rozumieli, że to właśnie dlatego chciał odejść teraz, zanim będą cierpieć jeszcze bardziej z jego winy? Zapadła długa i krępująca cisza, kiedy jego blizna nadal swędziała go i piekła, aż w końcu odezwała się pani Weasley przymilnie:

- Gdzie jest Hedwiga, Harry? Moglibyśmy umieścić ją ze Świstoświnką i dać jej coś do jedzenia.

Harry poczuł, jak coś ściska mu żołądek. Nie mógł powiedzieć jej prawdy. Wypił resztę swojej Ognistej, żeby uniknąć odpowiedzi.

- Czekaj, aż rozniesie się, że znowu to zrobiłeś, Harry - powiedział Hagrid. - Uciekłeś mu, pokonałeś, kiedy był tuż nad tobą!

- To nie byłem ja - odparł Harry bezbarwnie. - To moja różdżka. Zadziałała sama z siebie.

Po kilku chwilach odezwała się łagodnie Hermiona:

- Ale to niemożliwe, Harry. Pewnie wykorzystałeś magię nieświadomie, zadziałałeś instynktownie.

- Nie - zaprzeczył. - Motor spadał. Nie wiedziałem, gdzie jest Voldemort, ale moja różdżka obróciła mi się w dłoni, znalazła go i rzuciła w niego zaklęciem. To nie było nawet żadne znane mi zaklęcie. Nigdy wcześniej nie stworzyłem złotych płomieni.

- Często - zaczął pan Weasley - kiedy jesteś w stresującej sytuacji, możesz wytworzyć magię, o której nawet ci się nie śniło. Małe dzieci, zanim zaczną się uczyć...

- To nie było tak - odpowiedział Harry, zaciskając zęby. Jego blizna płonęła. Był zły i sfrustrowany. Czy oni wszyscy wyobrażają sobie, że jego moc można porównywać do potęgi Voldemorta?

Nikt nic nie powiedział. Wiedział, że mu nie wierzą. Kiedy teraz o tym myślał, stwierdził, że on także nigdy nie słyszał o różdżce wytwarzającej magię samodzielnie.

Jego blizna zapłonęła bólem, ledwo powstrzymał się od głośnego jęku. Wymamrotał coś o świeżym powietrzu, odstawił szklankę i opuścił pokój.

Kiedy szedł podwórkiem, wielki szkieletopodobny testral podniósł głowę - zaszeleścił skrzydłami, a potem znów zaczął się paść. Harry zatrzymał się przy bramie do ogrodu, wpatrując się w wyrośnięte rośliny, pocierając pulsujące czoło i myśląc o Dumbledorze.

Dumbledore by mu uwierzył, był tego pewien. Dumbledore wiedziałby jak i dlaczego jego różdżka zadziałała po swojemu, ponieważ dyrektor zawsze znał wszystkie odpowiedzi. Znał się na różdżkach, wytłumaczył Harry'emu dziwne połączenie istniejące między różdżkami jego i Voldemorta... Ale Dumbledore, tak jak Szalonooki, jak Syriusz, jak jego rodzice i jego biedna sowa - wszyscy odeszli tam, gdzie Harry nie mógł z nimi porozmawiać nigdy więcej. Czuł palenie w gardle, które nie miało nic wspólnego z Ognistą.

I wtedy, zupełnie nagle, ból w jego bliźnie sięgnął szczytu. Kiedy złapał się za czoło i zamknął oczy, w jego głowie rozległ się krzyk:

- *Powiedziałeś, że użycie innej różdżki rozwiąże problem!*

W jego umyśle pojawił się obraz wychudzonego, starego mężczyzny, leżącego w łachmanach na kamiennej podłodze i zanoszącego się potwornym, przewlekłym wrzaskiem - krzykiem agonii nie do zniesienia...

- Nie! Nie! Błagam cię, proszę...

- Okłamałeś Lorda Voldemorta, Ollivander!

- Nie, przysięgam, że nie...

- Chciałeś pomóc Potterowi, pomóc mu uciec przede mną!

- Przysięgam, że nie... Myślałem, że inna różdżka zadziała...

- Wytłumacz więc, co się stało. Różdżka Lucjusza została zniszczona!

- Nie rozumiem... Połączenie... Istnieje tylko... między waszymi dwiema różdżkami...

- *Kłamiesz!*

- Proszę... Błagam...

I Harry zobaczył białą dłoń podnoszącą różdżkę i poczuł falę okrutnej wściekłości Voldemorta, ujrzał wątłego starszego mężczyznę, skręcającego się w agonii na podłodze...

- Harry?

Wizja skończyła się tak szybko, jak się zaczęła. Harry stał, drżąc w ciemności, kurczowo trzymając się bramy do ogrodu, jego serce łomotało, a blizna nadal mrowiła. Upłynęła dłuższa chwila, zanim zorientował się, że Ron i Hermiona stoją obok niego.

- Harry, wracaj do środka - wyszeptała Hermiona. - Nie myślisz już chyba o zniknięciu z Nory?

- Musisz zostać, stary - zgodził się z nią Ron, klepiąc przyjaciela po plecach.

- Dobrze się czujesz? - spytała Hermiona, patrząc z bliska na jego twarz. - Wyglądasz okropnie!

- No, cóż - odezwał się Harry drżącym głosem. - Prawdopodobnie wyglądam lepiej niż Ollivander...

Kiedy skończył opowiadać przyjaciołom o tym, co widział, Ron wyglądał na poważnie zaniepokojonego, za to Hermiona była wręcz przerażona.

- Ale przecież to miało się skończyć! Twoja blizna... Nie powinna już tego robić! Nie możesz pozwolić, by to połączenie znowu się otworzyło. Dumbledore chciał, żebyś zamykał swój umysł!

Kiedy nie odpowiedział, ścisnęła go za ramię.

- Harry, on przejmuje ministerstwo, prasę i pół czarodziejskiego świata! Nie wpuszczaj go na dodatek do swojej głowy!

Rozdział 06
Ghul w piżamie

Tłumaczenie: Zakk

Utrata Szalonookiego wywołała szok, z którego lokatorzy Nory nie mogli się otrząsnąć przez kilka następnych dni. Harry cały czas łudził się, że zobaczy Moody'ego, jak ten wchodzi do domu tylnymi drzwiami - by tak jak inni członkowie Zakonu - przekazać im najnowsze wieści. Chłopak wiedział, że tylko zajęcie się czymś będzie w stanie złagodzić jego żal i kiełkujące poczucie winy. Musi wyruszyć na swoją misję - znaleźć i zniszczyć wszystkie horkruksy - najszybciej jak to możliwe.

- Nic nie możesz zrobić w sprawie horkruksów - ostatnie słowo Ron wymówił bezgłośnie - aż do swojej siedemnastki. Cały czas masz na sobie Namiar, a planowaniem zająć się możemy równie dobrze tutaj, jak gdziekolwiek indziej. Chyba, że wiesz - zniżył swój głos do szeptu - gdzie Sam - Wiesz - Co może być?

- Nie, nie mam bladego pojęcia - przyznał Harry.

- Wydaje mi się, że Hermiona coś wyszperała. Mówiła, że wszystko objaśni, jak już tutaj dotrzesz - odparł Ron.

Siedzieli przy kuchennym stole. Bill z ojcem właśnie wyszli do pracy, a pani Weasley poszła na piętro obudzić Ginny i Hermionę. Fleur zaś zniknęła w łazience, by wziąć kąpiel.

- Namiar przestanie działać trzydziestego pierwszego - powiedział Harry. - To znaczy, że muszę zostać tu tylko cztery dni.

- Pięć - poprawił go Ron. - Jeszcze ślub. One nas zamordują, jak się urwiemy z uroczystości.

Harry zrozumiał, że „one" oznacza Fleur i panią Weasley.

- To tylko jeden dzień więcej - dodał Ron, widząc, że Harry chce się zbuntować.

- Czy oni sobie nie zdają sprawy, jakie to istotne?

- Oczywiście, że nie - parsknął Ron. - A jak już przy tym jesteśmy, przypomniało mi się, że chciałem z tobą pogadać.

Chłopak spojrzał na drzwi do kuchni, by upewnić się, czy jego matka nie nadchodzi i nachylił się w stronę Harry'ego.

- Mama cały czas stara się wydobyć z Hermiony i ze mnie, co my właściwie zamierzamy. Ty będziesz następny, więc czuj się ostrzeżony. Ojciec i Lupin też próbowali, ale jak im powiedzieliśmy, że Dumbledore zakazał ci mówić o tym komukolwiek poza nami, odpuścili. Matka, niestety, dalej walczy. Jest strasznie zdeterminowana.

O tym, że Ron miał rację, Harry przekonał się w ciągu kilku godzin. Krótko przed lunchem pani Weasley odciągnęła go od reszty, prosząc, aby pomógł jej zidentyfikować pojedynczą skarpetkę, która być może wypadła z jego plecaka. Gdy kobieta miała go już w potrzasku malutkiej pralni przylegającej do kuchni, zaczęła.

- Zdaje się, że Ron i Hermiona uważają, że wasza trójka nie wraca już do szkoły - powiedziała lekkim tonem.

- Ach... Tak, nie wracamy - przyznał Harry.

Magiel w kącie pomieszczenia poruszył się, prasując jedną z kamizelek pana Weasleya.

- A czy mogę wiedzieć czemu porzucacie naukę?

- Dumbledore zostawił mi... pewną robotę. - wymamrotał Harry - Ron i Hermiona o tym wiedzą i chcą pomóc.

- Co to za „robota"?

- Przykro mi, nie mogę...

- Szczerze mówiąc, uważam, że Artur i ja mamy prawo wiedzieć! Jestem pewna, że państwo Granger by się ze mną zgodzili! - oburzyła się pani Weasley. Harry cały czas obawiał się właśnie takiego „rodzicielskiego ataku". Zmusił się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy, które, jak zauważył, miały identyczny odcień brązu, co oczy Ginny. A to wcale nie pomagało.

- Naprawdę mi przykro, pani Weasley. Dumbledore nie chciał, aby ktokolwiek więcej o tym wiedział. Jeśli Ron i Hermiona nie chcą ze mną iść - nie muszą, to ich wybór...

- Nie widzę powodu, dla którego i ty miałbyś iść! - warknęła, porzucając wszelkie pozory. - Jesteś ledwo pełnoletni! Cała wasza trójka jest za młoda! Całkowity nonsens! Gdyby Dumbledore chciał, żeby coś za niego zrobić, miał do dyspozycji cały zakon! Musiałeś go źle zrozumieć, Harry. Dyrektor chciał, żeby coś było zrobione, a nie, że ty masz...

- Dobrze go zrozumiałem - odparł sucho chłopak - Chodzi o mnie.

Wręczył pani Weasley skarpetkę ze wzorem złotego sitowia, którą miał rozpoznać.

- To nie moje. Nie kibicuję Zjednoczonym z Puddlemere.

- Och... Rzeczywiście - powiedziała pani Weasley, wracając nagle do jej codziennego, uprzejmego tonu. - Powinnam była zauważyć. Skoro jeszcze tutaj jesteś Harry, nie będziesz miał nic przeciwko, gdybym chciała skorzystać z twojej pomocy przy przygotowywaniu wesela Billa i Fleur, prawda? Zostało jeszcze tyle pracy...

- Nie, oczywiście, że nie będę miał nic przeciwko - zgodził się Harry, zbity z tropu tą nagłą zmianą tematu.

- Uroczo z twojej strony - powiedziała pani Weasley i uśmiechając się, wyszła z pralni.

Od tego momentu począwszy, obarczyła Harry'ego, Rona i Hermionę taką ilością pracy, że żadne z nich nie miało ani chwili, by zastanowić się nad dalszymi planami. Być może robiła to, by zająć ich czymś innym, niż rozmyślaniem o tragicznym losie Moody'ego i tamtej potwornej podróży. Jednakże po dwóch dniach wypełnionych czyszczeniem zastawy, odgnomianiem ogrodu, dobieraniem kolorów kwiatów i wstęg, oraz urozmaiceniami w stylu przyrządzania wraz z panią domu niesłychanych ilości przekąsek, Harry zdał sobie sprawę, że gospodyni kierowała się innym motywem. Wszystkie prace, jakie wykonywali, zdawały się być tak przydzielone, aby trzymać Harry'ego, Rona i Hermionę jak najdalej od siebie. Dzięki temu Harry nie miał żadnych

szans, by porozmawiać z przyjaciółmi na osobności, odkąd powiedział im pierwszego wieczora o tym, że Voldemort torturuje Olivandera.

- Mama pewnie sądzi, że zabierając wam wolny czas i sposobność, uniemożliwi wam planowanie i opóźni wyjazd - wyjaśniła Ginny półgłosem, gdy wraz z nią Harry przygotowywał stół do kolacji trzeciego wieczora.

- Co ona w ten sposób chce osiągnąć? - wymruczał. - Myśli, że ktoś inny wykończy Voldemorta, w czasie jak my robimy vol - au - vents?

- Więc to prawda? - spytała. - Chcecie to zrobić?

- Ja... Ja nie... Ja żartowałem - odparł Harry wymijająco.

Spojrzeli na siebie. W wyrazie twarzy Ginny było coś więcej niż zaskoczenie. Niespodziewanie Harry zdał sobie sprawę, że jest z nią sam na sam po raz pierwszy od tamtych kradzionych godzin, spędzanych w którymś z ustronnych zakątków na błoniach Hogwartu. Był pewien, że i ona je pamięta.

Oboje podskoczyli gwałtownie, gdy drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka pana Weasleya z Kingsleyem i Billem.

W tych dniach często na kolację wpadali członkowie Zakonu, jako że to właśnie do Nory przeniesiono kwaterę główną. Pan Weasley wyjaśnił, że po śmierci Dumbledore'a, który był strażnikiem tajemnicy Grimmauld Place, każdy, któremu on zawierzył i przekazał ten sekret za życia, teraz stał się automatycznie kolejnym strażnikiem.

- A nas jest dwadzieścioro, co bardzo osłabia działanie zaklęcia Fideliusa. Dwadzieścia razy więcej okazji, by śmierciożercy poznali lokację siedziby. Nie można oczekiwać, że zaklęcie będzie teraz skuteczne.

- Ale przecież Snape na pewno już im podał adres? - spytał Harry.

- Szalonooki założył tam kilka klątw na wypadek, gdyby Snape postanowił się tam znów pokazać. Mamy nadzieję, że będą wystarczająco silne, aby utrzymać go z dala i zmusić do milczenia. Ale pewności mieć nie możemy. Szaleństwem byłoby korzystać z tego miejsca, kiedy jego zabezpieczenia są tak niepewne.

Kuchnia tego wieczora była tak zatłoczona, że trudność sprawiało operowanie nożem i widelcem. Harry wcisnął się na miejsce obok Ginny, ale ze względu na słowa, które nie zostały wypowiedziane podczas ich rozmowy, żałował, że nie są oddzieleni od siebie kilkoma krzesłami. Do tego stopnia starał się nie dotknąć jej ramienia, że prawie nie był w stanie pokroić swojej porcji kurczaka.

- Żadnych wieści o Szalonookim? - Harry zagadnął Billa.

- Nic - odparł mu tamten.

Nie mogli nawet wyprawić Moody'emu pogrzebu, bo Bill i Lupin nie znaleźli ciała. Nie wiedzieli gdzie mogło upaść, a ciemność i zamęt bitewny sytuacji wcale nie poprawiły.

- W „Proroku" nie było słowa, ani o jego śmierci, ani o ciele - kontynuował Bill. - Ale to o niczym nie świadczy. „Prorok" bardzo ucichł ostatnimi czasy.

- A ministerstwo jeszcze nie zwołało przesłuchania w sprawie „niepełnoletniej" magii, której używałem uciekając śmierciożercom? - Harry zwrócił się do pana Weasleya, który pokręcił głową przecząco. Widząc to, chłopak kontynuował: - Czyżby wiedzieli, że nie miałem wyjścia? Czy po prostu boją się, że rozgłoszę jak to Voldemort mnie zaatakował?

- To drugie, jak sądzę. Scrimgeour nie chce przyznać publicznie, że Sam - Wiesz - Kto jest tak potężny. I że miała miejsce masowa ucieczka z Azkabanu.

- Jasne, po co ludzie mają znać prawdę? - Mówiąc to, Harry zacisnął dłoń na widelcu tak mocno, że wystąpiła na niej niewyraźna już sieć blizn, układającą się w słowa: Nie będę opowiadać kłamstw.

- Czy w ministerstwie nie ma nikogo, kto byłby gotowy stanąć przeciwko niemu? - spytał Ron nerwowo.

- Oczywiście, że tak, Ron. Ale są zbyt przerażeni - odparł pan Weasley. - Boją się, że to oni następni przepadną bez śladu, że to ich dzieci zostaną zaatakowane! Zaczynają krążyć paskudne plotki... Ja na przykład nie wierzę, że wasza profesor mugoloznawstwa tak po prostu zrezygnowała. Nie widziano jej już kilka tygodni. A tymczasem Scrimgeour siedzi całe dnie zamknięty w swoim biurze i nigdzie nie wychodzi. Mam tylko nadzieję, że pracuje nad jakimś rozwiązaniem.

Po tych słowach nastąpiła cisza, którą pani Weasley wykorzystała, odsyłając za pomocą magii brudne naczynia do zlewu. Po chwili na stole zjawiła się jabłkowa tarta.

- Muzimi zecydować jak będziesz zamaskowani, 'Arry - zaczęła Fleur, gdy wszyscy zajęli się deserem. - Na wisele - dodała, widząc jego zdziwioną minę - Oczywiście, żadę z naszy' gości nie jest śmirciożersą, ale nie możemy zapewnić, że nikomu się niz nie wymsknie po kilku kieliszkach szązpań. - Po tych słowach Harry zorientował się, że Fleur nadal podejrzewa Hagrida.

- Tak, właśnie - poparła Fleur pani Weasley ze swojego miejsca u szczytu stołu, przeglądając pobieżnie bardzo długą listę rzeczy do zrobienia. - Posprzątałeś już swój pokój, Ron?

- Po co? - jęknął Ron spoglądając na matkę. - Po co mam sprzątać swój pokój? Mnie i Harry'emu odpowiada tak, jak jest!

- Za kilka dni będzie tu wesele twojego brata, młody człowieku!

- A czy oni biorą ślub w mojej sypialni? - spytał Ron ostro. - Nie! Więc czemu, na brodę Merlina...

- Nie odzywaj się do matki w ten sposób - przerwał mu ojciec ostro. - I rób, co ci każe.

Ron spojrzał spode łba na swoich rodziców, po czym wziął do ręki łyżkę i zaatakował wściekle resztkę tarty, która została mu na talerzu.

- Pomogę ci, Ron. Część z tego bałaganu to moja zasługa - powiedział Harry, ale pani Weasley nie pozwoliła mu skończyć.

- Nie, Harry, kochanie. Znacznie bardziej wolałabym, gdybyś pomógł Arthurowi przy kurczakach.

Zwróciwszy się do Hermiony, dodała:

- Byłabym strasznie wdzięczna, Hermiono, gdybyś zechciała w tym czasie przygotować pościel dla monsieur i madame Delacour. Wiesz, że zjawią się tu jutro, o jedenastej.

Jak się jednak okazało, przy kurczakach nie było wiele pracy.

- Nie ma potrzeby, żeby eeeeem... wspominać o tym Molly - powiedział pan Weasley do Harry'ego, zasłaniając mu wejście do kurnika. - Ale, emmm... Ted Tonks podesłał mi to, co zostało z motocykla Syriusza i... eemmmm... ukrywam to... znaczy się, trzymam to tutaj, w kurniku. Fantastyczne zabawki! Jest nawet rura wydechowa, tak to się chyba nazywa. I najwspanialsza bateria, jaką w życiu widziałem. Przy okazji, świetna okazja, żeby w końcu dowiedzieć się, jak działają tu hamulce. Będę próbował wszystko przywrócić do poprzedniego stanu, jak Molly nie będzie... znaczy, jak będę miał czas - poprawił się.

Kiedy wrócili do domu, pani Weasley nie było nigdzie w zasięgu wzroku, więc Harry skorzystał z okazji i prześliznął się na poddasze, do pokoju Rona.

- Już robię, już robię! A, to tylko ty - westchnął Ron z ulgą, gdy Harry wszedł do pokoju. Ron z powrotem legł na łóżku, z którego Harry go przed chwilą ewidentnie przepłoszył. Pokój był tak samo zabałaganiony, jak przez cały ostatni tydzień. Jedyną szansę poprawy wróżyła Hermiona, która z Krzywołapem na kolanach siedziała w dalekim kącie, przeglądając i układając książki w dwa stosy. Harry od razu rozpoznał je jako swoje.

- Cześć Harry - powiedziała, gdy chłopak usiadł na swojej polówce.

- Jak ci się udało tutaj prześliznąć? - spytał.

- Ach, mama Rona zapomniała, że kazała mnie i Ginny zmienić tę pościel już wczoraj - rzuciła, kładając „Numerologię i Gramatykę" na jedną kupkę, a „Powstanie i Upadek Czarnej Magii" na drugą.

- Rozmawialiśmy właśnie o Szalonookim - zaczął Ron. - Wydaje mi się, że mógł przeżyć.

- Ale przecież Bill widział, jak obrywa zaklęciem zabijającym? - zdziwił się Harry.

- Tia, ale Bill też był akurat atakowany, więc jak może być pewien, że widział dokładnie to, co widział?

- Nawet jeśli zaklecie nie trafiło, to Moody i tak spadł z ponad tysiąca stóp - zauważyła Hermiona, ważąc w ręku „Drużyny quidditcha w Brytanii i Irlandii".

- Mógł użyć zaklęcia tarczy...

- Fleur mówiła, że został rozbrojony - przypomniał Harry.

- No dobra, skoro wolicie go martwego... - prychnął Ron zrzędliwie, poprawiając sobie poduszkę.

- Oczywiście, że tego nie chcemy! - oburzyła się Hermiona. Wyglądała na zszokowaną. - To straszne, że nie żyje! Ale musimy być realistami!

Harry po raz pierwszy wyobraził sobie ciało Moody'ego - rozciągnięte na ziemi i powyginane pod dziwnymi kątami, zupełnie jak ciało Dumbledore'a, ale z wciąż ruszającym się magicznym okiem. Chłopak poczuł przypływ mdłości, pomieszany z groteskową chęcią parsknięcia śmiechem.

- Śmierciożercy prawdopodobnie po sobie posprzątali - zawyrokował Ron z mądrą miną. - Dlatego nikt nie znalazł ciała.

- Ta - przyznał Harry. - Zupełnie jak z Barty'm Crouchem. Zamieniony w kość i zakopany w ogródku Hagrida. Na pewno transmutowali w coś Moody'ego i...

- Nie kończ! - jęknęła Hermiona. Zbity z tropu, Harry spojrzał na nią akurat w odpowiednim momencie, by zobaczyć jak dziewczyna wybucha płaczem nad swoją kopią „Sylabariusza Spellmana."

- Oj, nie - powiedział Harry próbując wstać ze swojego posłania - Hermiono, ja nie chciałem cię...

Z głośnym trzaskiem zardzewiałych sprężyn, Ron zerwał się z łóżka i dopadł Hermiony pierwszy. Tuląc ją jedną ręką, drugą sięgnął do kieszeni swoich dżinsów i wyciągnął zabrudzoną chusteczkę, którą czyścił wcześniej piekarnik. Wyjął szybko różdżkę, wskazał nią kawałek szmatki i powiedział: Tergeo. Zaklęcie usunęło większość zaschniętego, sczerniałego tłuszczu. Wyglądając na zadowolonego z siebie, Ron podał jeszcze lekko dymiącą chusteczkę Hermionie.

- Och... Dzięki, Ron... Przepraszam... Ja p - po prostu nigdy nie wyobrażałam sobie śmierci Szalonookiego. Bo on wydawał się taki twardy!

- Tak, wiem - powiedział chłopak, ściskając ją lekko na pocieszenie. - Ale wiesz co on by powiedział, gdyby tu teraz był, prawda?

- S - stała czujność - wyrecytowała dziewczyna przez łzy, wycierając oczy.

- Dokładnie tak - potwierdził Ron. - Kazałby nam wyciągnąć z tego wnioski. Ja już swoje wyciągnąłem. Nigdy nie ufać temu gnojkowi, Mundungusowi.

Hermiona zaśmiała się słabo i nachyliła się, żeby podnieść z podłogi dwie książki. Sekundę później Ron cofnął ramię, a dziewczyna upuściła mu na stopę „Potworną księgę potworów", która uwolniwszy się z więzów skórzanego paska, złośliwie dziabnęła chłopaka w kostkę.

- Przepraszam! Przepraszam! - zawyła Hermiona. W tym samym czasie Harry oderwał wygłodniałą książkę od nogi przyjaciela i związał ją ciasno.

- Co ty robisz z tymi książkami, swoją drogą? - spytał oswobodzony już Ron, wracając na swoje łóżko.

- Zastanawiam się po prostu, które mamy wziąć ze sobą - odparła. - No wiecie, jak wyruszymy po horkruksy.

- Ahh, jasne - powiedział Ron, uderzając się wymownie w czoło. - Ja, głupi, zapomniałem, że będziemy polować na Voldemorta mobilną biblioteką!

- Ha ha - rzuciła kwaśno dziewczyna, patrząc na „Sylabariusz Spellmana". - Zastanawiam się, czy będziemy musieli tłumaczyć runy? Możliwe, że tak... Lepiej weźmy tę książkę ze sobą, tak na wszelki wypadek.

Odłożyła „Sylabariusz" na większy stos i wzięła do rąk „Historię Hogwartu".

- Słuchajcie - odezwał się Harry. Wstał, a Hermiona i Ron spojrzeli na niego z taką samą mieszaniną rezygnacji i lekceważenia. - Wiem, że na pogrzebie Dumbledore'a mówiliście, że chcecie iść ze mną...

- Zaczyna się - szepnął Ron do Hermiony, przewracając oczyma.

- Oboje wiedzieliśmy, że zacznie - westchnęła, wracając do książek. - Wiesz, myślę, że powinniśmy wziąć „Historię Hogwartu". Nawet jeśli nie wracamy do szkoły, nie sądzę, że czułabym się pewnie, nie mając jej ze sobą.

- Posłuchajcie mnie! - rzucił Harry ostro.

- Nie, Harry. To ty posłuchaj - przerwała mu Hermiona. - Idziemy z tobą. Tak postanowiliśmy już kilka miesięcy temu. A dla ścisłości: kilka lat temu.

- Ale...

- Cicho tam - powiedział Ron.

- Czy jesteście pewni, że wszystko przemyśleliście? - nalegał Harry.

- Pomyślmy - rzekła Hermiona, odrzucając „Podróże z trollami" na stos niepotrzebnych książek. - Przygotowywałam się do tej podróży od wielu dni, żeby w razie czego ruszyć w każdej chwili. Dla twojej wiadomości: w grę wchodzi tu wiele bardzo skomplikowanych zaklęć, nie wspominając już o Szalonookim szmuglującym cały dzban wielosoku tuż pod nosem pani Weasley. Dodatkowo zmodyfikowałam moim rodzicom pamięć tak, żeby byli teraz świecie przekonani, iż nazywają się Wendell i Monica Willkins, a ich największą życiową ambicją była przeprowadzka do Australii, gdzie się właśnie przenieśli. A wszystko po to, żeby jak najbardziej utrudnić Voldemortowi wydobycie od nich jakichkolwiek informacji na twój temat. Zakładając, że przeżyję nasze polowanie na horkruksy, odszukam ich, jak już będzie spokój i zdejmę z nich zaklęcie. A jeśli nie przeżyję... - kontynuowała - sądzę, że moje zaklęcie jest wystarczająco dobre, żeby żyli dalej szczęśliwie i bezpiecznie. Wendell i Monica nie wiedzą, że mają córkę, sam rozumiesz.

Oczy dziewczyny znów były pełne łez. Ron po raz kolejny wstał z łóżka, przytulił ją i skrzywił się w stronę Harry'ego groźnie, jakby karcąc go za brak taktu. Harry nie wiedział, co powiedzieć. I nie dlatego, że niecodziennym widokiem był Ron uczący kogokolwiek innego dobrych manier.

- Ja... Ja nie chciałem, Hermiono, przepraszam.

- Czy nie zdawałeś sobie sprawy, że Ron i ja doskonale wiemy, co nam może się stać, jeśli z tobą pójdziemy? Wiedz, że wiemy. Ron, pokaż mu, co zrobiłeś.

- Nieee, dopiero co jadł - zaprotestował Ron.

- Pokaż mu. On musi wiedzieć!

- No dobra, chodź Harry.

Drugi już raz Ron wypuścił Hermionę z uścisku i podszedł do drzwi.

- No, chodź.

- Ale po co? - spytał Harry, idąc za przyjacielem do przedpokoju.

- Descendo! - wymruczał Ron, wskazując różdżką na niski sufit. Natychmiast pojawiła się w nim kwadratowa dziura, z której niósł się okropny, przypominający ni to wycie, ni to zasysanie dźwięk. Towarzyszył mu nieprzyjemny, rynsztokowy smród.

- To wasz ghul, prawda? - spytał Harry, który nigdy nie widział tego hałaśliwego stworzenia na własne oczy.

- Ta, to on - odpowiedział Ron, wspinając się po drabinie. - Chodź, sam zobacz.

Harry ruszył za nim i zrobiwszy kilka kroków, znalazł się na malutkim stryszku. Dopiero po chwili zauważył kilka stóp dalej zwinięte w kłębek stworzenie. Spało lekkim snem, chrapiąc z szeroko otwartymi ustami.

- Ale on... on wygląda jakby... Czy ghule noszą zazwyczaj pidżamy?

- Nie - odpowiedział Ron. - Nie mają też rudych włosów ani piegów.

Harry przyjrzał się ghulowi z lekkim oburzeniem. Wyglądał jak człowiek, był odpowiednich rozmiarów. Jak Harry zauważył, stworzenie miało na sobie coś, co kiedyś na pewno było pidżamą Rona. Chłopak był też pewien, że ghule są zazwyczaj łyse i gładkie, a nie porośnięte bujnym włosem i pokryte wściekle purpurowymi pęcherzami.

- On jest mną, widzisz? - powiedział Ron.

- Nie - odparł Harry - Ja nie...

- Wytłumaczę ci, jak pójdziemy do mojego pokoju. Ten smród mnie zaraz wykończy.

Zeszli po drabinie, po czym Ron na powrót ukrył ją w suficie. Wrócili do Hermiony, która dalej porządkowała książki.

- Kiedy wyruszymy, ghul zamieszka w moim pokoju - wyjaśnił młody Weasley. - Chyba mu się podoba ta perspektywa. Tak sądzę. Trudno cokolwiek powiedzieć z całą pewnością, bo jedyne co potrafi, to wyć i hałasować, ale za każdym razem gdy się przy nim o tym wspomina, to gorączkowo kiwa głową. Tak czy inaczej, będzie udawał mnie - chorego na groszopryszczkę. Dobre, nie?

Harry wyglądał na lekko zmieszanego.

- Sam przyznaj, że dobrze wymyśliłem! - rzucił Ron z pretensją, że Harry nie widzi geniuszu swojego kolegi. - Patrz, jeśli nie pojawimy się w Hogwarcie, ludzie od razu zaczną mówić, że wyruszyliśmy z tobą. Co oznacza, że śmierciożercy będą nas szukać tutaj, żeby zdobyć informacje odnośnie twojej wyprawy.

- Na szczęście w moim wypadku będzie wyglądało, że uciekłam z rodzicami. Wielu mugolaków mówi teraz o ukryciu się na jakiś czas - zauważyła Hermiona.

- Nie możemy ukryć całej mojej rodziny. To by było zbyt podejrzane, zresztą nie wszyscy mogą rzucić pracę, ot tak - dodał Ron. - Więc rozpuści się historię o tym, że jestem ciężko chory i dlatego nie wróciłem do szkoły. A jeśli komuś zachciałoby się dociekać prawdy, rodzice pokażą im ghula obłożonego pościelą na moim łóżku. To choróbsko jest naprawdę zaraźliwe, więc nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce się do niego zbliżyć. Nie ma też znaczenia, że ghul będzie milczał. Najwyraźniej każdy chory traci głos, gdy choroba opanuje już organizm.

- A co na to twoi rodzice? Zgadzają się na to? - spytał Harry z powątpiewaniem.

- Ojciec tak. Pomógł nawet bliźniakom przy transmutowaniu ghula. A mama? Cóż... znasz ją. Nie zgodzi się na nasz wyjazd do momentu, kiedy po prostu wyjedziemy.

W pokoju zapadła cisza, zakłócana jedynie cichymi tapnięciami książek, gdy te lądowały na odpowiednich stosach. Ron usiadł i obserwował Hermionę, segregującą literaturę, a Harry spoglądał to na jedno, to na drugie, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Ilość pracy, jaką ta dwójka włożyła w ochronę własnych rodzin, uświadomiła chłopakowi jak nic innego, że oni naprawdę mają zamiar z nim iść i na jakie ryzyko się cała trójka naraża. Chciał im powiedzieć ile to dla niego znaczy, oczywiście, ale po prostu nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Przez ciszę dotarł do nich przytłumiony krzyk pani Weasley.

- Ginny pewnie zostawiła plamkę kurzu na tych tandetnych serwetnikach - zgadywał Ron. - Dlaczego Delacourowie muszą przyjeżdżać aż dwa dni przed weselem?

- Siostra Fleur jest druhną. Musi być na próbie, a jest za młoda, żeby przyjechała sama - wyjaśniła Hermiona, wyraźnie niezdecydowana, na który stos odłożyć „Jak pozbyć się upiora".

- Hm... Goście na pewno nie pomogą mamie się odstresować.

- Musimy zdecydować - podjęła wątek dziewczyna, odrzucając bez żadnego wahania „Teorię Obrony Magicznej" na stos książek niepotrzebnych i biorąc do rąk „Ocenę Edukacji Magicznej w Europie" - gdzie wyruszymy najpierw. Wiem, że chciałeś udać się do Doliny Godryka, Harry. Doskonale rozumiem dlaczego, ale... Czy horkruksy nie powinny być dla nas priorytetem?

- Gdybyśmy wiedzieli gdzie one mogą być, to jasne - rzucił Harry, nie wierząc przyjaciółce, że ta naprawdę rozumie jego chęć powrotu do Doliny Godryka. Grób Potterów był tylko jedną z kilku przyczyn, dla których chciał się tam znaleźć. Chłopak miał silne, ale niewytłumaczalne wrażenie, że tam czekają na niego odpowiedzi. Być może chodziło po prostu o to, że to właśnie tam przeżył pierwszy atak Voldemorta. Teraz, gdy miał powtórzyć ten bohaterski czyn, wiedział, że musi dotrzeć do miejsca, gdzie to wszystko się zaczęło. Tylko tam mógł zrozumieć.

- Nie sądzisz, że Voldemort może obserwować to miejsce? - spytała Hermiona. - Mógł przewidzieć, że będziesz chciał odwiedzić grób swoich rodziców kiedy tylko będziesz miał sposobność.

Tego Harry nie wziął pod uwagę. W czasie, gdy gorączkowo szukał kontrargumentu, Ron powiedział:

- Ten cały R.A.B. Wiesz, ten, który ukradł prawdziwy naszyjnik...

Hermiona przytaknęła na znak, że wie o kim mowa.

- Czy on nie wspominał w swojej notce - ciągnął Ron - że ma zamiar go zniszczyć?

Harry na te słowa przyciągnął do siebie swój plecak, z którego wyciągnął fałszywy horkruks z tą właśnie notatką.

- To ja wykradłem twojego prawdziwego horkruksa i postanowiłem go zniszczyć - odczytał na głos.

- A co jeśli on faktycznie go zniszczył? - upierał się Ron.

- Albo ona - wtrąciła Hermiona

- Wszystko jedno. Tak czy inaczej, to może być jeden horkruks mniej do likwidacji!

- Zgadza się, ale i tak musimy poszukać prawdziwego naszyjnika, żeby upewnić się, czy na pewno uległ zniszczeniu.

- A jak wyobrażasz sobie niszczenie horkruksa, tak a propos? - spytał Ron.

- Tego właśnie starałam się dowiedzieć. I dowiedziałam się.

- Skąd? - zdziwił się Harry. - Myślałem, że w bibliotece nie było żadnej książki o horkruksach?

- Bo nie było! - Hermiona zarumieniła się. - Dumbledore wszystkie usunął, ale... nie zniszczył ich.

Ron wyprostował się nagle, oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

- Jak, na portki Merlina, udało ci się położyć łapy na tych książkach?

- To... To nie była kradzież! - zaperzyła się Hermiona. Spoglądając na obu przyjaciół z lekką desperacją w oczach. - To nadal były książki biblioteczne, mimo że Dumbledore zabrał je z półek. Jeśli naprawdę nie chciał, żeby ktoś się do nich dobrał, to jestem pewna, że bardziej by...

- Do rzeczy! - przerwał jej Ron.

- Więc... To nie było trudne - stwierdziła dziewczyna słabo. - Wystarczyło użyć prostego zaklęcia przywołującego, no wiecie - Accio - a książki przeleciały oknem z gabinetu dyrektora prosto do dormitorium dziewcząt.

- Ale kiedy to zrobiłaś? - Harry spytał z mieszanką podziwu i niedowierzania.

- Zaraz po pogrzebie - odparła jeszcze słabszym głosem. - Zaraz po tym, jak uzgodniliśmy, że opuszczamy szkołę. Kiedy wróciłam do dormitorium zabrać swoje rzeczy, przyszło mi do głowy, że im więcej wiemy o horkruksach, tym lepiej... A że byłam wtedy sama w pokoju... Więc spróbowałam. I podziałało. Książki wleciały natychmiast przez otwarte okno, a ja... je spakowałam. - Dziewczyna przełknęła ślinę i dodała błagalnie:

- Jestem pewna, że Dumbledore nie byłby o to zły! Przecież nie użyjemy tych książek do robienia horkruksów, prawda?

- A czy my się skarżymy? - spytał Ron. - Gdzie masz te książki?

Hermiona grzebała chwilę w stosie lektury, by wyciągnąć z niego opasły tom oprawiony w wyblakłą, czarną skórę. Dziewczyna wyglądała, jakby miała za chwilę dostać mdłości. Książkę podała trzymając ją cały czas z dala od siebie, zupełnie jak gdyby miała do czynienia z czymś niedawno zdechłym, albo obrzydliwym.

- To jest ta, w której są wszystkie instrukcje niezbędne do zrobienia horkruksa. „Sekrety najczarniejszych ze sztuk" - przeczytała na głos tytuł. - Potworna książka. Naprawdę ohydna, pełna złej magii. Zastanawiam się - dodała - kiedy Dumbledore usunął ją z biblioteki. Bo jeśli już po objęciu posady dyrektora, to jestem pewna, że całą niezbędną wiedzę Voldemort zdobył właśnie z niej.

- To po co on podpytywał Slughorna o horkruksy, skoro mógł wyczytać to z tej książki? - zdziwił się Weasley

- On tylko pytał go, co może się stać, gdy będziesz dzielić duszę na siedem części - przypomniał Harry. - Dumbledore był pewien, że Riddle już wtedy wiedział, jak się je robi. - Zwróciwszy się do Hermiony, dodał - Masz rację. Pewnie stąd wziął całą potrzebną wiedzę.

- Im więcej o nich czytałam, tym bardziej potworne zaczęły mi się wydawać - wyznała. - Coraz mniej wierzę, że zrobił ich aż sześć! W książce jest wyraźne ostrzeżenie, mówiące o tym, jak niestabilna staje się twoja dusza. I to tylko przy jednym horkruksie!

Harry przypomniał sobie, co dyrektor mówił mu o Voldemorcie przekraczającym granicę „zwykłego zła".

- A czy można potem się jakoś poskładać z powrotem?

- Tak, Ron - odpowiedziała mu Hermiona, uśmiechając się blado. - Ale będzie to niesłychanie bolesne.

- Bolesne? Dlaczego? Jak to się robi? - spytał Harry.

- Trzeba mieć wyrzuty sumienia. Musisz naprawdę czuć i żałować tego, co zrobiłeś. Na dole którejś ze stron jest przypis, mówiący o bólu, który jest tak wielki, że

może cię zniszczyć. A ja jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Voldemort przystąpił do tego rytuału z własnej woli...

- Jasne, że nie - wtrącił Ron, zanim Harry zdążył się odezwać. - A czy jest tam gdzieś powiedziane, jak zniszczyć horkruksa?

- Tak - odparła dziewczyna, przewracając delikatne karty dzieła, jakby miała do czynienia z gnijącymi wnętrznościami. - Kolejne ostrzeżenie, mówiące o mocy, jaką trzeba mieć, żeby stworzyć taką potworność. Z tego, co tu wyczytałam wynika, że sposób w jaki Harry zniszczył dziennik Riddle'a, był jednym z niewielu naprawdę pewnych i skutecznych.

- Ach. W takim razie, jak dobrze, że mamy taki duży zapas kłów bazyliszka - westchnął Ron demonstracyjnie. - A się zastanawiałem, co my z nimi będziemy robić...

- To nie musi być akurat kieł bazyliszka - wyjaśniła Hermiona cierpliwie. - Wystarczy, że to będzie coś tak niszczycielskiego, by horkruks nie był w stanie się zregenerować. Na jad bazyliszka istnieje tylko jedno antidotum, które dodatkowo jest niesłychanie rzadkie...

- Łzy feniksa - potwierdził Harry

- Właśnie. A nasz problem polega na tym, że na świecie jest jedynie kilka substancji w równym stopniu destruktywnych, co ten jad. Musimy sobie jakoś z tym poradzić, bo miażdżenie, rozbijanie i rozrywanie nie podziała na horkruks w żaden sposób. Musimy sprawić, żeby nie dało się go naprawić przy użyciu magii.

- Nawet jeśli zniszczymy przedmiot, w którym żyje kawałek duszy, to czemu ten kawałek nie może przejść sobie po prostu na inny przedmiot i tam dalej żyć?

- Bo horkruks jest całkowitym przeciwieństwem istoty ludzkiej.

Widząc, że Harry i Ron nic nie rozumieją, Hermiona wyjaśniła:

- Załóżmy, że mam w ręku miecz, Ron. Biorę rozpęd i zaczynam na ciebie szarżować. Atakuje cię nim i ranię. Ale twoja dusza nadal zostaje nietknięta.

- Co mnie bardzo cieszy - odparł Ron wesołkowato, pobudzając Harry'ego do śmiechu.

- I powinno, prawdę mówiąc! Ale chciałam powiedzieć, że nieważne co stanie się z twoim ciałem, dusza przetrwa nienaruszona. Ale z horkruksami jest inaczej - kontynuowała. - Kondycja duszy zależy tylko i wyłącznie od stanu pojemnika, w którym jest przechowywana. Jeśli pojemnik zostanie zniszczony, zginie również jego zawartość. Ona nie może egzystować bez skorupy.

- Dziennik tak jakby umarł, kiedy go przebiłem. - Harry przypomniał sobie tusz wyciekający z przekłutych stron i krzyk tego kawałka duszy Voldemorta, który był tam zamknięty.

- A kiedy już dziennik został nieodwracalnie zniszczony, jego fragment duszy nie mógł dalej istnieć. Ginny próbowała się pozbyć tego notatnika jeszcze zanim go unieszkodliwiłeś, Harry, pamiętasz? Spłukała go w toalecie. Ale wrócił do niej zupełnie nietknięty. Był jak nowy.

- Czekajcie - przerwał Ron. - Moja siostra była opętana przez ten kawałek, prawda? W jaki sposób?

- Gdy horkruks jest w idealnym stanie, zamieszkująca go dusza może przemieszczać się dowolną ilość razy na kogokolwiek, kto zbytnio się do niej zbliży. Nie mam na myśli trzymania go w rękach zbyt długo, czy czegoś takiego. Nie chodzi tu o kontakt fizyczny - zaznaczyła Hermiona. - Mówię o bliskości emocjonalnej. Ginny tchnęła w dziennik swoje serce, przez co stała się niewiarygodnie odsłonięta na wszelkie ataki ze strony horkruksa. Innymi słowy, kłopoty zaczynają się, gdy będziesz zbyt przywiązany albo uzależniony w jakiś sposób od tego diabelstwa.

- Zastanawiam się, jak Dumbledore zniszczył pierścień - powiedział Harry. - Czemu ja go właściwie o to nie spytałem? Nigdy nawet... - Urwał. Zaczął myśleć o wszystkich tych rzeczach, o które powinien spytać dyrektora, gdy ten jeszcze żył. Zmarnował tyle okazji, by się czegoś dowiedzieć... By dowiedzieć się wszystkiego.

Cisza, która zapadła w pokoju, została gwałtownie przerwana ogłuszającym hukiem drzwi uderzających o ścianę. Hermiona zapiszczała z przerażenia i upuściła „Sekrety najczarniejszych ze sztuk" na podłogę. Krzywołap, prychając wściekle, zerwał się na równe łapy i wystrzelił pod łóżko, z którego zeskoczył Ron i poślizgnąwszy się na

karcie z czekoladowych żab, uderzył głową w ścianę. W tym czasie Harry całkowicie instynktownie sięgnął po różdżkę, ale przerwał w pół ruchu, gdy zdał sobie sprawę, że sprawczynią zamieszania jest pani Weasley - rozczochrana i wyraźnie wściekła.

- Bardzo przepraszam, że przerywam wam tak miłą nasiadówkę - powiedziała drżącym ze złości głosem. - Jestem pewna, że wszyscy potrzebujecie odpoczynku... Ale w mojej sypialni jest góra prezentów ślubnych, które jak mi się zdaje WY obiecaliście posortować!

- Już się za to bierzemy! - zawołała Hermiona, podrywając się gwałtownie z podłogi, skutkiem czego było rozrzucenie książek na wszystkie strony. - Już pędzimy... przepraszamy, że... - Dziewczyna spojrzała ze zbolałą miną na przyjaciół i wybiegła z pokoju za panią Weasley.

- Czuję się jak skrzat domowy - stwierdził kwaśno Ron, masując potłuczoną głowę, gdy obaj z Harrym szli do sypialni pani Weasley. - Z tą różnicą, że nie mam nawet satysfakcji z pracy. Im szybciej się skończy to wesele, tym szczęśliwszy będę.

- Taaa - zgodził się Harry. - Wtedy zostaną nam tylko horkruksy, a przy tym ślubie to będzie jak wakacje, prawda?

Ron zaśmiał się wesoło, jednak urwał, gdy zobaczył stos prezentów ślubnych, które mieli uporządkować.

Delacourowie mieli przybyć następnego ranka o jedenastej. Harry, Ron, Hermiona i Ginny, jak do tej pory, podchodzili do ich wizyty z rezerwą i pewnym onieśmieleniem. Ron niechętnie poszedł zmienić skarpetki na jednakowe, do pary, a Harry przypuścił atak na swoje włosy, by je jak najbardziej wygładzić. Kiedy już wszyscy uznali, że wyglądają odpowiednio, wymaszerowali do zalanego słońcem ogrodu i czekali na gości.

Harry w życiu nie widział, żeby to miejsce było tak czyste. Zardzewiałe kociołki i stare kalosze, które zwykle stały przed wejściem, zniknęły. W ich miejsce pojawiły się dwie nowe doniczki trzepotki, po jednej z każdej strony drzwi. Mimo braku wiatru, listki rośliny powiewały łagodnie, dając miły dla oka efekt falowania.

Kury zamknięto, a podwórze zamieciono, zaś przylegający do domu ogród został oczyszczony, przystrzyżony, odchwaszczony i generalnie wypielęgnowany, choć Harry, który lubił jego poprzedni stan, uważał, że to miejsce wygląda raczej beznadziejnie bez zwyczajnego dla niego kontyngentu rozbrykanych gnomów.

Chłopak stracił już rachubę, ile zaklęć zabezpieczających zostało rzuconych na Norę przez członków Zakonu i ministerstwo. Pewien zaś był tylko tego, że nikt nie jest w stanie dostać się tutaj za pomocą któregokolwiek z magicznych środków transportu. Dlatego właśnie pan Weasley poszedł przywitać Delacourów na pobliskie wzgórze, gdzie miał wylądować ich świstoklik.

Pierwszym dźwiękiem, świadczącym o ich nadejściu był bardzo wysoki śmiech, który okazał się należeć do Arthura Weasleya. Objuczony bagażami, pojawił się moment później przy furtce na podwórze, prowadząc u swego boku piękną, ubraną w długą, zieloną szatę jasnowłosą kobietę, zapewne madame Delacour.

- Maman! - zawołała Fleur, biegnąc w stronę rodzicielki. - Papa!

Monsieur Delacour nie był ani trochę tak atrakcyjny, jak jego żona. Prawdę powiedziawszy, był od niej o całą głowę niższy i strasznie krępy, a jego dobroduszną twarz zdobiła mała, spiczasta bródka. Jednak wyglądał na pogodnego i zadowolonego. Podskakując lekko w butach na grubej podeszwie, podszedł do pani Weasley, i ucałował ją serdecznie w oba policzki, co zaowocowało głębokim rumieńcem na twarzy kobiety.

- Fleur mówiła nam, że 'ardzo ciężko 'ani praco'ała przy organizasji tego wydarzenia - powiedział basem.

- Och, to nic! Naprawdę! - zaświergotała pani Weasley - Żaden kłopot!

W tym samym czasie Ron dał upust emocjom, kopiąc gnoma, który bezczelnie wyglądał zza jednej z nowych donic trzepotki.

Drroga pani! - zwrócił się do niej monsieur Delacour, wciąż ściskając jej dłoń. - Jesteśmy zaszczysenii, że nasze dwie rrodziny wstępują w unię poprzez ślub naszych pocich! Pani pozwoli, że przedstawię swo'ą żonę, Apollinę.

.Madame Delacour wysunęła się na przód, by przywitać panią Weasley równie serdecznie, co jej mąż.

- Enchantée - powiedziała. - Pani mąż opowiadał mi 'spaniałe 'istorie!

Arthur Weasley zaśmiał się na te słowa nerwowo, lecz gdy jego żona rzuciła mu karcące spojrzenie, umilkł natychmiast, przybierając minę, jaką obdarza się ciężko chorego przyjaciela.

- Oczywiście poznaliście już naszą malitką córkę, Gabrielle - ni to spytał, ni to oznajmił monsieur Delacour.

Gabrielle była miniaturową, jedenastoletnią wersją Fleur o równie pięknych i długich, srebrzystych włosach, co jej siostra. Dziewczynka uścisnęła panią Weasley, obdarzyła ją oszałamiającym uśmiechem i trzepocząc rzęsami, spojrzała zachwycona na Harry'ego. Widząc to, Ginny odchrząknęła głośno.

- Zapraszam do środka! - oznajmiła radośnie pani Weasley, wskazując Delacourom kierunek.

Rodzina Fleur, jak się wkrótce okazało, była bardzo miła i pomocna przy wszelkich przygotowaniach. Monsieur Delacour określał wszystko, począwszy od rozkładu miejsc przy stole, po buty dla druhny jako "Charmant!", a madame Delacour okazała się być niezastąpiona w kwestii domowych zaklęć, co pokazała, czyszcząc piekarnik z prędkością myśli. Gabrielle stała się cieniem swojej siostry, chodząc za nią wszędzie i próbując pomóc w czym tylko można było, paplając przy tym wesoło po francusku.

Olbrzymim minusem całej sytuacji był fakt, że Nora nie była projektowana dla takiej ilości gości. Państwo Weasley spali teraz na kanapie w dużym pokoju, ponieważ po dość zajadłej dyskusji z rodzicami Fleur przekonali ich, że to oni, jako goście powinni zająć sypialnię. Gabrielle i Fleur ulokowały się w starym pokoju Percy'ego, a Bill dzielił sypialnię z Charliem, swoim drużbą.

W takiej sytuacji wszelkie okazje do wspólnego planowania wyprawy przestały zwyczajnie istnieć, a aktem desperacji ze strony Harry'ego, Rona i Hermiony było zgłoszenie się na ochotnika do karmienia kur. Wszystko po to, by choć na chwilę uciec z zatłoczonego domu.

- Ona nadal nie chce nas zostawić w spokoju! - prychnął Ron, gdy ich druga próba spotkania na podwórzu została zakłócona przez panią Weasley, która akurat teraz szła rozwiesić pranie.

- O! Nakarmiliście kurczaki. To dobrze - zawołała, podchodząc do nich. - Niech lepiej będą zamknięte, jak jutro przyjadą ludzie... rozbić namiot weselny - mówiąc to, zrobiła pauzę i oparła się o kurnik. Wyglądała na wyczerpaną. - „Magiczne Markizy Millamanta"... Są bardzo dobrzy. Bill będzie ich pilnować. A ty, Harry, lepiej nie wychodź z domu, jak przyjadą. Muszę przyznać, że te środki ostrożności bardzo nam komplikują organizację ślubu.

- Przepraszam - powiedział Harry ze skruchą.

- Och, nie bądź niemądry, kochaneczku! - odparła pani Weasley. - Nie miałam zamiaru... Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze! Przy okazji, chciałam spytać cię, Harry, jak chciałbyś obchodzić swoje urodziny. Siedemnaste urodziny to w końcu bardzo ważny dzień...

- Nie chciałbym żadnego zamieszania z tego powodu, proszę pani - odpowiedział natychmiast, przewidując dodatkowy wysiłek, który spadłby na nich wszystkich. - Wystarczy zwykła, codzienna kolacja, nic więcej... Poza tym, następnego dnia jest wesele...

- Och, skoro tego sobie życzysz, słonko. Zaproszę Remusa i Tonks, dobrze? A co powiesz na Hagrida?

- Byłoby wspaniale - ucieszył się chłopak. - Ale proszę, niech pani nie robi sobie zbędnego kłopotu.

- Ależ skąd, to żaden kłopot. - Molly Weasley obdarzyła go długim, przenikliwym spojrzeniem, uśmiechnęła się nieco smutno i odeszła w głąb podwórza. Harry przyglądał się jej, jak za pomocą różdżki rozwiesza pranie, gdy nagle poczuł żal do siebie za wszystkie kłopoty i ból, które jej sprawiał.

Rozdział 07
Testament Albusa Dumbledore'a

Tłumaczenie: Ehtares

Szedł górską drogą, skąpaną w chłodnym, błękitnym świetle świtu. W dolinie widać było otulony mgłą zarys małego miasteczka. Czy znajdzie tam człowieka, którego potrzebował tak bardzo, że ledwie mógł myśleć o czymkolwiek innym; człowieka, który znał rozwiązanie jego problemu...?

- Hej, obudź się.

Harry otworzył oczy. Znowu leżał na rozkładanym łóżku, w obskurnym pokoju Rona na poddaszu. Słońce jeszcze nie wzeszło i pokój nadal był zacieniony. Świstoświnka spała z głową ukrytą pod skrzydełkiem. Blizna na czole Harry'ego pulsowała bólem.

- Mamrotałeś przez sen.

- Tak?

- Taa. „Gregorowicz". Powtarzałeś: „Gregorowicz".

Harry nie miał na nosie okularów, więc twarz Rona była odrobinę zamazana.

- Kto to jest Gregorowicz?

- Nie wiem. To ty go wołałeś.

Harry w zamyśleniu potarł czoło. Miał niejasne wrażenie, że już gdzieś słyszał to nazwisko, ale nie przypominał sobie gdzie.

- Myślę, że Voldemort go szuka.

- Biedny facet - westchnął współczująco Ron.

Harry usiadł, nadal pocierając bliznę, teraz całkiem przebudzony. Próbował przypomnieć sobie, co dokładnie widział we śnie, ale wszystkim, co pamiętał, był górzysty krajobraz i zarys małej wioski w głębokiej dolinie.

- On chyba jest za granicą.

- Kto, Gregorowicz?

- Voldemort. Chyba jest za granicą i szuka Gregorowicza. To nie wyglądało na Anglię.

- Myślisz, że znowu byłeś w jego głowie?

Ron wyglądał na zmartwionego.

- Bądź łaskaw nie mówić o tym Hermionie - zastrzegł Harry. - Ona mimo wszystko oczekuje, że przestanę widzieć we śnie te rzeczy...

Rozmyślając, zerknął na małą klatkę Świstoświnki... Dlaczego nazwisko „Gregorowicz" brzmiało znajomo?

- Zdaje się - zaczął powoli - że on ma coś wspólnego z quidditchem. Jest jakiś związek, ale nie mogę... Nie mogę dojść jaki.

- Z quidditchem? - zapytał Ron. - Chyba nie myślisz o Gorgowiczu?

- Kim?

- Dragomirze Gorgowiczu, ścigającym, przeniesionym do Armat z Chudley za rekordowy kontrakt dwa lata temu. Wstrzelił najwięcej kafli w sezonie.

- Nie - odrzekł Harry. - Na pewno nie myślę o Gorgowiczu.

- Ja też się staram nie myśleć - stwierdził Ron. - Zresztą, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Uau... Prawda, zapomniałem! Mam siedemnaście lat!

Harry chwycił leżącą obok łóżka różdżkę, skierował ją na zaśmiecone biurko, gdzie zostawił okulary i powiedział: *„Accio okulary"*. Mimo że znajdowały się zaledwie o stopę dalej, było coś niezmiernie satysfakcjonującego oglądaniu ich lotu w jego stronę, przynajmniej póki nie trafiły go w oko.

- Nieźle - parsknął Ron.

Rozkoszując się zdjęciem Namiaru, Harry kazał rzeczom Rona latać po pokoju, budząc Świstoświnkę, która zaczęła z entuzjazmem trzepotać skrzydłami w klatce. Harry próbował też magicznie zawiązać sobie sznurówki adidasów (potem musiał rozsupływać powstały węzeł ręcznie przez dobrych kilkanaście minut) i dla czystej przyjemności zmienił kolor szat na plakatach Armat z Chudley Rona z pomarańczowego na jaskrawoniebieski.

- Ale rozporek na twoim miejscu zapiąłbym ręcznie - pouczył Harry'ego Ron i zachichotał, kiedy ten natychmiast sprawdził spodnie. - Masz swój prezent. Otwórz go tutaj, moja matka nie powinna go widzieć.

- Książka? - zapytał Harry, biorąc prostokątną paczkę. - To jakieś odejście od tradycji, nie?

- To nie jest zwykła książka - oświadczył Ron. - To czyste złoto. „Dwanaście Bezbłędnych Sposobów na Oczarowanie Czarownic". Wyjaśnia wszystko, co powinieneś wiedzieć o dziewczynach. Gdybym tylko miał ją w zeszłym roku, wiedziałbym, co dokładnie robić z Lavender i miałbym pojęcie, jak dać sobie radę z... Tego, Fred i George dali mi kopię i dużo się nauczyłem. Ale będziesz zaskoczony, że to nie tylko kwestia machania różdżką.

Kiedy weszli do kuchni, na stole leżała sterta prezentów. Bill i monsieur Delacour właśnie kończyli jeść śniadanie, a pani Weasley rozmawiała z nimi, pilnując skwierczącej patelni.

- Artur kazał mi życzyć ci wszystkiego najlepszego, Harry - powiedziała pani Weasley, obdarzając go promiennym uśmiechem. - Musiał wyjść wcześniej do pracy, ale wróci na obiad. Prezent od nas to ten na górze.

Harry usiadł, wziął pudełko, które wskazała i odpakował je. W środku był zegarek bardzo podobny do tego, który państwo Weasley dali Ronowi na jego siedemnaste urodziny. Był złoty, z gwiazdami wirującymi wkoło zamiast wskazówek.

- Czarodziejowi, który osiąga pełnoletność, tradycyjnie daje się zegarek - wyjaśniła pani Weasley, obserwując go z niepokojem ze swojego miejsca przy kuchence. - Ten, niestety, nie jest nowy. Właściwie należał do mojego brata Fabiana, a on niezbyt dbał o swoje rzeczy, jest trochę wgnieciony z tyłu, ale...

Urwała przemowę, bo Harry wstał i przytulił ją. Próbował wyrazić w ten sposób wiele niewypowiedzianych rzeczy i chyba to zrozumiała, bo niezdarnie pogłaskała go po

policzku, kiedy ją puścił, po czym najwyraźniej bezwiednie machnęła różdżką, powodując, że połowa bekonu zeskoczyła z patelni prosto na podłogę.

- Wszystkiego najlepszego, Harry! - odezwała się Hermiona, wpadając do kuchni i kładąc swój prezent na wierzchu sterty. - To niewiele, ale mam nadzieję, że ci się spodoba. Co mu kupiłeś? - zwróciła się do Rona, który wydawał się jej nie słyszeć.

- No to dawaj, otwórz jej prezent! - rzekł niecierpliwie.

Hermiona kupiła Harry'emu nowy fałszoskop. Inne paczki zawierały zaczarowaną brzytwę od Billa i Fleur (O', tak, tim ogolisz sie najlepijej" - zapewnił go monsieur Delacour - „Alie musisz dokladnie powieziec temi, cziego kcesz... inaszej moziesz odkrys, zie masz o wiele mnieji wlosow, niz kcialbys..."), czekoladki od państwa Delacour i ogromne pudło Magicznych Dowcipów Weasleyów od Freda i George'a.

Harry, Ron i Hermiona nie zostali długo przy stole, bo kiedy przyszły madame Delacour, Fleur i Gabrielle, w kuchni zrobiło się nieprzyjemnie ciasno.

- Spakuję ci je - stwierdziła pogodnie Hermiona, odbierając od Harry'ego jego prezenty, kiedy wracali na górę. - Prawie skończyłam, czekam tylko, aż reszta twoich slipów wróci z prania, Ron...

Charkot Rona został przerwany otwarciem drzwi na pierwszym piętrze.

- Harry, mógłbyś tu na chwilę przyjść?

To była Ginny. Ron zatrzymał się gwałtownie, ale Hermiona wzięła go za łokieć i odholowała na schody. Speszony Harry wszedł za Ginny do jej pokoju.

Nigdy wcześniej go nie widział. Był mały, ale jasny. Na jednej ścianie wisiał plakat zespołu Fatalne Jędze, a na drugiej zdjęcie Gwenog Jones, pani kapitan żeńskiej drużyny quidditcha Harpie z Holyhead. Biurko stało przy otwartym oknie, przez które widać było sad, gdzie on i Ginny zagrali kiedyś razem z Ronem i Hermioną czteroosobowy mecz quidditcha, a gdzie teraz stał perłowobiały namiot. Złota flaga na jego czubku znajdowała się akurat na wysokości okna.

Ginny spojrzała w górę na twarz Harry'ego, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Wszystkiego najlepszego.

- Taa... Dzięki.

Patrzyła na niego nieruchomo. Harry miał niejakie trudności z odwzajemnieniem tego spojrzenia. Przypominało to patrzenie w rozbłysk światła.

- Niezły widok - wykrztusił słabo, wskazując za okno.

Ginny zignorowała go. Nie miał jej tego za złe.

- Nie miałam pojęcia, co ci dać - odezwała się.

- Nie musisz mi niczego dawać.

To też zlekceważyła.

- Nie wiedziałam, co by ci się przydało. Nic zbyt dużego, bo nie mógłbyś tego ze sobą zabrać.

Zerknął w jej stronę. Nie była zapłakana - to jedna z tych cudownych rzeczy u Ginny, że rzadko się roztkliwiała. Czasem myślał, że to posiadanie sześciu braci tak ją zahartowało.

Zrobiła krok w jego stronę.

- Więc pomyślałam, że powinieneś mnie jakoś zapamiętać, wiesz, na wypadek gdybyś spotkał jakieś wile, kiedy będziesz robił to, co masz do zrobienia.

- Nie będę miał chyba zbyt dużo okazji do randek, mówiąc szczerze.

- To właśnie ten optymizm, którego szukałam - wyszeptała i pocałowała go tak, jak nigdy przedtem, a on oddał pocałunek, w błogim zapomnieniu lepszym niż Ognista Whisky. Ginny była jedyną realną rzeczą na świecie, jej dotyk, jedna jego ręka na jej plecach, a druga wplątana w długie, słodko pachnące włosy...

Drzwi otwarły się gwałtownie i odskoczyli od siebie.

- Och - rzekł ostro Ron. - Przepraszam.

- Ron! - Hermiona była tuż za nim, wyraźnie zadyszana. Zapadła niezręczna cisza, po czym Ginny odezwała się cichym głosem:

- Cóż, wszystkiego najlepszego, Harry.

Uszy Rona płonęły czerwienią. Hermiona wyglądała na zdenerwowaną. Harry miał ochotę zatrzasnąć im drzwi przed nosem, ale wraz z nimi do pokoju wdarł się jakby zimny podmuch i jego uniesienie prysło jak mydlana bańka. Wszystkie powody, dla

których zakończył swój związek z Ginny i trzymał się od niej z daleka, wpadły do środka razem z Ronem i całe szczęśliwe zapomnienie zniknęło.

Spojrzał na Ginny, chcąc coś powiedzieć, choć nie bardzo wiedział co, ale odwróciła się do niego plecami. Pomyślał, że chyba choć raz pozwoliła sobie na łzy. Przy Ronie nie mógł zrobić niczego, by ją pocieszyć.

- Zobaczymy się później - powiedział i wyszedł z sypialni Ginny wraz z pozostałą dwójką.

Ron pomaszerował na dół, obok nadal zatłoczonej kuchni i na podwórko, a Harry podążał za nim, z wystraszoną Hermioną truchtającą na końcu.

Gdy tylko dotarli w zacisze świeżo skoszonego trawnika, Ron odwrócił się w stronę Harry'ego.

- Rzuciłeś ją. Więc czemu teraz mieszasz jej w głowie?

- Nie mieszam jej w głowie - powiedział Harry, kiedy Hermiona wreszcie ich dogoniła.

- Ron...

Ale Ron uniósł dłoń, by ją uciszyć.

- Była naprawdę załamana, kiedy to skończyłeś...

- Ja też. Wiesz dlaczego to zrobiłem. Nie dlatego, że chciałem...!

- Taa, ale teraz się z nią migdalisz i znowu robisz jej nadzieję...

- Ona nie jest idiotką. Wie, że nic z tego, nie oczekuje, że my... pobierzemy się, czy...

Kiedy to powiedział, w jego wyobraźni pojawił się obrazek Ginny w białej sukni, poślubiającej jakiegoś wysokiego, bezimiennego, nieprzyjemnego gościa.

W tym rozchwianym momencie dotarł do niego jeden fakt: przyszłość Ginny była wolna i czysta, a jego... przed sobą widział tylko Voldemorta.

- Jeśli będziesz obmacywał ją przy każdej okazji...

- To się już nie powtórzy - uciął ostro Harry. Dzień był pogodny, ale on czuł, jakby słońce skryło się za chmurami. - Okej?

Ron wyglądał na równocześnie oburzonego i zmieszanego. Przez moment kołysał się na piętach, po czym odpowiedział:

- No to dobra, to... taa.

Ginny przez resztę dnia nie szukała już okazji do spotkania sam na sam z Harrym i nie okazała ani jednym spojrzeniem czy gestem, że w jej pokoju odbyło się coś więcej niż uprzejma konwersacja. Niemniej jednak przybycie Charliego sprawiło Harry'emu ulgę. Obserwowanie, jak pani Weasley sadza go na krześle, podnosi groźnie różdżkę i oznajmia, że zatroszczy się o jego fryzurę było dobrym sposobem na odwrócenie uwagi.

Ponieważ urodzinowa kolacja Harry'ego mogłaby spowodować całkowite zakorkowanie kuchni w Norze nawet przed przybyciem Charliego, Lupina, Tonks i Hagrida, w ogródku ustawiono obok siebie kilka stołów. Fred i George zaczarowali purpurowe lampiony ozdobione dużą siedemnastką, by latały w powietrzu nad głowami gości. Dzięki trosce pani Weasley, rana George'a była czysta i zagojona, ale Harry jeszcze nie przyzwyczaił się do widoku czarnej dziury z boku jego głowy, choć bliźniacy raźno z niej żartowali.

Hermiona wyczarowała ze swojej różdżki czerwono - złote serpentyny i udrapowała je artystycznie na gałęziach drzew i krzaków.

- Ładnie - pochwalił Ron, kiedy Hermiona ostatnim machnięciem różdżki zmieniła kolor liści rajskiej jabłoni na złoty. - Naprawdę masz do tego oko.

- Dziękuję, Ron! - odpowiedziała, wyglądając na zadowoloną i nieco zdezorientowaną.

Harry odwrócił się, uśmiechając do siebie. Miał zabawne wrażenie, że znajdzie rozdział o komplementach, kiedy wreszcie przeczyta uważnie swój egzemplarz „Dwunastu Bezbłędnych Sposobów na Oczarowanie Czarownic". Zauważył mrugnięcie Ginny i wyszczerzył się do niej, zanim przypomniał sobie, co obiecał Ronowi i szybko wdał się w konwersację z monsieur Delacourem.

- Z drogi, z drogi! - zaintonowała pani Weasley, przechodząc przez furtkę z czymś, co zdawało się być gigantycznym, rozmiarów piłki plażowej zniczem, polatującym tuż przed nią. Kilka sekund później Harry zrozumiał, że to jego urodzinowy tort, który pani

Weasley holowała za pomocą różdżki, nie chcąc ryzykować niesienia go przez tak niepewny teren.

- Wygląda niesamowicie, pani Weasley - powiedział Harry, kiedy tort wylądował wreszcie na środku stołu.

- Och, drobiazg, kochanie - odpowiedziała czule. Ponad jej ramieniem Ron uniósł kciuki i przekazał bezgłośnie: „Brawo".

Do siódmej zebrali się już wszyscy goście, wprowadzani do domu przez Freda i George'a, którzy oczekiwali ich przy wejściu. Hagrid uczcił tę okazję, wkładając swój najlepszy, a zarazem okropny, włochaty, brązowy garnitur. Lupin, chociaż uśmiechał się, potrząsając ręką Harry'ego, ogólnie wyglądał na dość nieszczęśliwego. To było dziwne - bo tuż obok niego Tonks wręcz promieniała.

- Wszystkiego najlepszego, Harry - rzekła, przytulając go mocno.

- Siedemnaście, co? - zagaił Hagrid, biorąc od Freda wino w szklance wielkości wiadra. - Sześć lat jak żeśmy się spotkali, Harry, pamiętasz?

- Nie do końca - odpowiedział Harry, szczerząc się do niego. - Czy to nie ty przypadkiem rozwaliłeś frontowe drzwi, dorobiłeś Dudleyowi świński ogon i powiedziałeś mi, że jestem czarodziejem?

- Żem zapomniał o szczegółach - zarechotał Hagrid. - W porząsiu, Ron, Hermiono?

- Oczywiście - odrzekła Hermiona. - A u ciebie?

- No nie jest źle. Był żem zajęty, mamy kilka malutkich jednorożców. Pokażę wam, jak wrócicie...

Harry umknął wzrokiem przed spojrzeniami Rona i Hermiony, kiedy Hagrid przeszukiwał kieszenie.

- Masz. Harry... Nie miał żem pojęcia, co byś chciał, ale przypomniałżem sobie o tym. - Hagrid wyciągnął małą, odrobinę puszystą, zaciąganą sakiewkę z długim sznurkiem, wyraźnie przeznaczoną do noszenia na szyi. - Ze skóry wsiąkiewki. Wsadź tam cokolwiek, a tylko ty będziesz mógł to wyciągnąć. Są cholernie rzadkie.

- Dzięki, Hagridzie!

- Ni ma za co - odrzekł, machnąwszy ręką wielkości pokrywy od kosza. - Oż, jest Charlie. Zawsze żem go lubił... Hej, Charlie!

Charlie podszedł, ponuro przesuwając ręką po swojej nowej, brutalnie skróconej fryzurze. Był niższy niż Ron, krępy, ze sporą liczbą oparzeń i zadrapań na umięśnionych ramionach.

- Cześć, Hagridzie, jak leci?

- Żem miał napisać. Jak tam Norbert?

- Norbert? - Charlie roześmiał się. - Ten norweski kolczasty? Teraz nazywamy ją Norberta.

- Co... Norbert jest samicą?

- Ano tak - potwierdził Charlie.

- Skąd wiesz? - zapytała Hermiona.

- Są o wiele bardziej złośliwe - wyjaśnił Charlie. Zerknął przez ramię i zniżył głos. - Mam nadzieję, że tata się pospieszy, bo mama robi się drażliwa.

Wszyscy spojrzeli na panią Weasley. Próbowała rozmawiać z madame Delacour, co chwilę zerkając w stronę wejścia.

- Chyba lepiej, jak zaczniemy bez Artura - krzyknęła w stronę ogrodu kilka chwil później. - Coś musiało zatrzymać go w... Och!

W tym samym momencie zobaczyli to - promień światła, który przeleciał nad trawnikiem i wylądował na stole, gdzie zamienił się w jasnosrebrną łasicę, która stanęła na tylnych łapach i przemówiła głosem pana Weasleya:

- Towarzyszy mi Minister Magii.

Patronus rozwiał się w powietrzu, a cała rodzina Fleur wpatrywała się w miejsce, gdzie zniknął.

- Nie powinno nas tu być - odezwał się szybko Lupin. - Harry, przepraszam, wyjaśnię ci to innym razem.

Złapał Tonks za nadgarstek i odciągnął ją. Dotarli do płotu, wspięli się na niego i zniknęli z pola widzenia. Pani Weasley wyglądała na oszołomioną.

- Minister... Ale dlaczego? Nie rozumiem...

Ale nie było czasu, by to przedyskutować, bo sekundę później pan Weasley pojawił się nagle w wejściu razem z Rufusem Scrimgeourem, którego już z daleka wyróżniała grzywa siwych włosów.

Dwaj przybysze przemaszerowali przez trawnik w stronę ogrodu i oświetlonego lampionami stołu, przy którym wszyscy siedzieli w ciszy, patrząc, jak się zbliżają. Kiedy Scrimgeour wkroczył w blask lampionów, Harry zobaczył, że wygląda o wiele starzej niż przy ostatnim spotkaniu, był chudy i ponury.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się Minister, kiedy dokuśtykał do stołu. - Zwłaszcza, że widzę, iż psuję przyjęcie.

Jego oczy zatrzymały się na chwilę na torcie w kształcie gigantycznego znicza.

- Wszystkiego dobrego.

- Dzięki - odpowiedział Harry.

- Chciałbym zamienić z tobą słówko na osobności - zaczął Scrimgeour. - A także z panem Weasleyem i panną Granger.

- Z nami? - zapytał zaskoczony Ron. - Czemu z nami?

- Powiem wam, jak znajdziemy się w jakimś odosobnionym miejscu - uciął Scrimgeour. - Jest tu takie? - zapytał panią Weasley.

- Oczywiście - odpowiedziała, zdenerwowana. - W, eee, salonie, czemu nie?

- Prowadź - rzekł Scrimgeour do Rona. - Nie musisz nam towarzyszyć, Arturze.

Harry zobaczył, jak pan Weasley wymienił zmartwione spojrzenie ze swoją żoną, gdy on, Ron i Hermiona wstali od stołu. Kiedy w milczeniu szli w stronę domu, Harry wiedział, że pozostała dwójka myśli o tym samym, co on. Scrimgeour musiał jakoś się dowiedzieć, że ich trójka planuje rzucić Hogwart.

Scrimgeour nie odzywał się, dopóki nie przeszli przez zabałaganioną kuchnię do salonu Nory. Mimo że ogród tonął w jasnozłotym, wieczornym świetle, tutaj było dość ciemno. Harry, wchodząc, skierował różdżkę na lampy naftowe i oświetlił nimi ten wysłużony, ale przytulny pokój. Scrimgeour usiadł w zapadniętym fotelu, który zwykle zajmował pan Weasley, a Harry, Ron i Hermiona musieli się ścisnąć na sofie. Kiedy już usiedli, Scrimgeour przemówił.

- Mam kilka pytań do waszej trójki i myślę, że najlepiej będzie, jak zadam je wam po kolei. Wy dwoje - wskazał na Harry'ego i Hermionę - poczekajcie na górze, a ja zacznę od pana Weasleya.

- Nigdzie nie idziemy - powiedział Harry, a Hermiona przytaknęła żywo. - Może pan rozmawiać z naszą trójką naraz, albo w ogóle.

Scrimgeour obdarzył go zimnym, kalkulującym spojrzeniem. Harry miał wrażenie, że minister zastanawia się, czy tak wczesne okazywanie wrogości było tego warte.

- No więc dobrze, naraz - rzekł, wzruszając ramionami. Odchrząknął. - Jestem tutaj, jak zapewne wiecie, z powodu testamentu Albusa Dumbledore'a.

Harry, Ron i Hermiona spojrzeli po sobie.

- Najwyraźniej niespodzianka! Nie wiedzieliście, że Dumbledore coś wam zostawił?

- Nam... wszystkim? - zapytał Ron. - Mnie i Hermionie też?

- Tak, wam...

Harry przerwał mu.

- Dumbledore umarł ponad miesiąc temu. Dlaczego przekazanie nam tego zajęło tak dużo czasu?

- Czy to nie oczywiste? - odezwała się Hermiona, zanim Scrimgeour zdołał odpowiedzieć. - Chcieli przebadać wszystko, co nam zostawił. Nie miał pan prawa! - stwierdziła lekko drżącym głosem.

- Mam wszelkie prawa - uciął władczo minister. - Dekret o Uzasadnionej Konfiskacie daje ministerstwu moc konfiskowania przedmiotów testamentu...

- To prawo zostało stworzone, żeby powstrzymać czarodziejów od przekazywania mrocznych artefaktów - przerwała mu Hermiona. - A ministerstwo musi mieć mocne dowody, że przedmioty zmarłego są nielegalne, zanim je zabierze! Czyżby to znaczyło, że posądzał pan Dumbledore'a o próbę przekazania nam czegoś przeklętego?

- Czy planuje pani karierę w wymiarze sprawiedliwości, panno Granger? - zapytał Scrimgeour.

- Z pewnością nie - zripostowała. - Mam nadzieję zrobić dla świata coś dobrego!

Ron parsknął śmiechem. Oczy Scrimgeoura biegały w jego stronę i z powrotem, kiedy odezwał się Harry.

- Więc dlaczego zdecydowaliście się oddać nam te rzeczy? Nie udało się wymyślić jakiegoś pretekstu, by je zatrzymać?

- Nie, to dlatego, że minęło trzydzieści jeden dni - odpowiedziała natychmiast Hermiona. - Nie mogą trzymać ich dłużej, jeśli nie odkryją niebezpieczeństwa. Prawda?

- Czy możesz powiedzieć, że byłeś blisko z Dumbledore'em, Ronaldzie? - zapytał Scrimgeour, ignorując ją. Ron wyglądał na zaskoczonego.

- Ja? Nie... Nie bardzo. To zawsze Harry był...

Ron spojrzał na Harry'ego i Hermionę, by zobaczyć, jak ta ostatnia odwzajemnia mu się spojrzeniem mówiącym „natychmiast - się - zamknij", ale było już za późno. Scrimgeour wyglądał, jakby usłyszał dokładnie to, czego się spodziewał i chciał usłyszeć. Rzucił się na odpowiedź Rona jak sęp.

- Jeśli nie byliście blisko z Dumbledore'em, to jak przyjmujecie fakt, że uwzględnił was w swoim testamencie? Zrobił tylko kilka prywatnych zapisów. Znakomitą większość swoich dóbr - prywatną bibliotekę, magiczne instrumenty i inne ruchomości - zostawił Hogwartowi. Jak myślicie, dlaczego was wyróżnił?

- Ja... nie wiem - odezwał się Ron. - Ja... Kiedy mówiłem, że nie byliśmy blisko... Miałem na myśli, chyba mnie lubił...

- Jesteś zbyt skromny, Ron - powiedziała Hermiona. - Dumbledore bardzo się o ciebie troszczył.

To było skrajne naciąganie prawdy. O ile Harry wiedział, Ron i Dumbledore nigdy nie rozmawiali na osobności, a ich bezpośredni kontakt był bez znaczenia. Jednak Scrimgeour wydawał się nie słuchać. Włożył rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnął sakiewkę o wiele większą, niż ta, którą dał Harry'emu Hagrid. Wyjął z niej zwój pergaminu, rozwinął go i zaczął czytać.

- *„Ostatnia wola i testament Albusa Percivala Wulfryka Briana Dumbledore'a"*... A tak, tutaj... *„Ronaldowi Biliusowi Weasleyowi zostawiam mój deluminator, w nadziei, że wspomni mnie, kiedy będzie go używał".*

Scrimgeour wyjął z torby przedmiot, który Harry widział już wcześniej. Wyglądał jak srebrna zapalniczka, ale, jak Harry wiedział, mógł wyssać całe światło z jakiegoś miejsca, a potem przywrócić je jednym kliknięciem. Scrimgeour pochylił się do przodu i wręczył deluminator Ronowi, który wziął go i obrócił w palcach, wyglądając na zachwyconego.

- To bardzo wartościowy przedmiot - rzekł Scrimgeour, obserwując go. - Może nawet unikalny. Oczywiście według osobistego projektu Dumbledore'a. Dlaczego miałby zostawiać ci coś tak rzadkiego?

Ron uniósł głowę, z oszołomioną miną.

- Dumbledore musiał znać tysiące uczniów - nie dawał za wygraną Scrimgeour. - Ale w testamencie wspomniał tylko waszą trójkę. Dlaczego? W jakim celu dał panu deluminator, panie Weasley?

- Chyba żeby wyłączać światła - wymamrotał Ron. - Co innego mogę z nim zrobić?

Scrimgeour najwyraźniej nie miał więcej pytań. Pozezował chwilę na Rona i wrócił do czytania testamentu.

- *„Pannie Hermionie Jean Granger zostawiam moją kopię „Baśni Barda Beedle'a", w nadziei, że uzna je za zabawne i pouczające".*

Teraz Scrimgeour wyciągnął z torby małą książkę, która wyglądała na równie starą jak kopia „Sekretów Najmroczniejszych Sztuk" leżąca na piętrze. Okładka była poplamiona i miejscami poszarpana. Hermiona bez słowa przyjęła ją od Scrimgeoura. Położyła ją sobie na kolanach i wpatrzyła się w nią. Harry zobaczył, że tytuł napisany był za pomocą run - nigdy nie nauczył się ich czytać. Kiedy patrzył, na wytłaczane symbole spadła łza.

- Dlaczego Dumbledore zostawił pani tę książkę, panno Granger? - zapytał Scrimgeour.

- On... wiedział, że lubię książki - odpowiedziała niewyraźnie Hermiona, wycierając oczy rękawem.

- Ale dlaczego akurat tę?

- Nie wiem. Pewnie pomyślał, że mi się spodoba.

- Czy kiedykolwiek omawiałaś z Dumbledore'em szyfry albo jakiekolwiek sposoby przekazywania sekretnych wiadomości?

- Nie - odrzekła, dalej trąc rękawem oczy. - A skoro ministerstwo nie znalazło w tej książce żadnych kodów w trzydzieści jeden dni, to wątpię, czy ja dam radę.

Stłumiła szloch. Byli tak ściśnięci, że Ron miał trudności z uwolnieniem ręki, by otoczyć nią ramiona dziewczyny. Scrimgeour wrócił do czytania testamentu.

- *„Harry'emu Jamesowi Potterowi”* - przeczytał, a wnętrzności Harry'ego skurczyły się w nagłej ekscytacji - *„zostawiam znicz, który złapał podczas pierwszego meczu quidditcha w Hogwarcie, jako przypomnienie o nagrodach za wytrwałość i umiejętności.”*

Kiedy Scrimgeour wyciągnął małą złotą piłkę, wielkości włoskiego orzecha, jej srebrne skrzydełka zatrzepotały dość słabo, a Harry nie mógł pozbyć się uczucia zawodu.

- Dlaczego Dumbledore zostawił ci ten znicz? - zapytał Scrimgeour.

- Nie ma pojęcia - odpowiedział Harry. - Pewnie jest tak, jak napisał... Żeby przypomnieć mi, co można osiągnąć przez... wytrwałość, i co tam jeszcze.

- Myślisz więc, że to zwykły, symboliczny upominek?

- Tak sądzę - rzekł Harry. - A co innego?

- To ja tu zadaję pytania - rzucił Scrimgeour, przysuwając swój fotel nieco bliżej sofy. Za oknem zapadał prawdziwy zmrok, a biały jak duch namiot za oknem sterczał nad żywopłotem.

- Zauważyłem, że twój tort urodzinowy ma kształt znicza - odezwał się Scrimgeour do Harry'ego. - Czemu?

Hermiona roześmiała się kpiąco.

- Och, to przecież nie może być nawiązanie do faktu, że Harry jest świetnym szukającym, to po prostu zbyt oczywiste! - powiedziała. - W lukrze musi kryć się jakaś sekretna wiadomość od Dumbledore'a!

- Nie sądzę, żeby cokolwiek kryło się w lukrze - rzekł Scrimgeour. - Ale znicz mógłby być dobrym miejscem na schowanie czegoś małego. Jestem pewien, że wiesz dlaczego?

Harry wzruszył ramionami, ale Hermiona odpowiedziała. Harry pomyślał, że poprawne odpowiadania na pytania było u niej tak głęboko zakorzenionym przyzwyczajeniem, że nie mogła się powstrzymać.

- Ponieważ znicze pamiętają ludzi - powiedziała.

- Co? - zapytali równocześnie Harry i Ron. Obaj myśleli, że wiedza Hermiony o quidditchu jest minimalna.

- Oczywiście - przytaknął Scrimgeour. - Znicz nie ma żadnego kontaktu z ludzką skórą, póki nie zostanie wypuszczony. Nawet jego twórca nosi rękawiczki. Tkwi w nim zaklęcie, które potrafi zidentyfikować pierwszego człowieka, który go złapał, na przykład w razie nierozstrzygniętej akcji. Ten znicz - tu uniósł w górę złotą piłeczkę - pamięta twój dotyk, Potter. Dotarło do mnie, że Dumbledore, z jego doskonałymi umiejętnościami magicznymi, mógł zaczarować go, by otworzył się tylko dla ciebie.

Serce Harry'ego biło szybko. Był pewien, że Scrimgeour ma rację. W jaki sposób mógłby uniknąć dotknięcia znicza gołą ręką przed samym nosem ministra?

- Nic nie mówisz - zauważył Scrimgeour. - Może już wiesz, co zawiera znicz?

- Nie - odpowiedział Harry, nadal zastanawiając się, jak sfingować wrażenie, że dotyka znicza. Gdyby tylko znał Legilimencję, naprawdę znał, i mógł zajrzeć do umysłu Hermiony... Prawie słyszał, jak jej mózg pracuje tuż obok niego.

- Weź go - rzekł cicho Scrimgeour.

Harry spojrzał w żółte oczy ministra i wiedział, że nie ma wyboru. Wyciągnął rękę, a Scrimgeour znowu pochylił się do przodu i powoli, ostrożnie włożył znicz w jego dłoń.

Nic się nie stało. Palce Harry'ego zacisnęły się na zniczu, zmęczone skrzydełka zatrzepotały i przestały się ruszać. Scrimgeour, Ron i Hermiona intensywnie wpatrywali się w częściowo ukrytą teraz piłkę, jakby nadal mieli nadzieję, że coś się stanie.

- Dramatyczna chwila - rzekł zimno Harry. Ron i Hermiona roześmiali się.

- Więc to wszystko, tak? - zapytała Hermiona, podnosząc się z sofy.

- Nie całkiem - powiedział Scrimgeour, wyglądając na rozdrażnionego. - Dumbledore zostawił ci coś jeszcze, Potter.

- Co? - zapytał Harry z powracającą ekscytacją.

Scrimgeour tym razem nie trudził się odczytywaniem testamentu.

- Miecz Godryka Gryffindora - powiedział. Hermiona i Ron zesztywnieli.

Harry rozejrzał się w poszukiwaniu inkrustowanej rubinami rękojeści, ale Scrimgeour nie wyciągnął miecza ze skórzanej sakiewki, która zresztą i tak wyglądała na o wiele za małą, by go pomieścić.

- Więc gdzie on jest? - zapytał podejrzliwie Harry.

- Niestety - zaczął Scrimgeour - ten miecz nie należał do Dumbledore'a. Miecz Godryka Gryffindora jest ważnym, historycznym artefaktem i jako taki należy do...

- Należy do Harry'ego! - podniosła głos Hermiona. - To jego wybrał, przez niego został znaleziony. Pojawił się w Tiarze Przydziału...

- Zgodnie z wiarygodnymi źródłami historycznymi, miecz może ofiarować się godnemu go Gryfonowi - powiedział Scrimgeour. - Ale to nie czyni go wyłączną własnością pana Pottera, cokolwiek zdecydowałby Dumbledore. - Scrimgeour podrapał niedokładnie ogolony policzek, przyglądając się badawczo Harry'emu. - Dlaczego według ciebie...

- Dumbledore chciał dać mi ten miecz? - dokończył Harry, starając się nie wybuchnąć. - Może myślał, że będzie dobrze wyglądać na mojej ścianie.

- Ja nie żartuję, Potter - warknął Scrimgeour. - Czy to dlatego, że Dumbledore wierzył, iż tylko miecz Godryka Gryffindora może pokonać dziedzica Slytherina? Czy chciał dać ci ten miecz, Potter, bo jak wielu wierzył, że jesteś tym przeznaczonym do zniszczenia Tego, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać?

- Ciekawa teoria - odpowiedział Harry. - Czy kiedykolwiek ktoś próbował przebić Voldemorta tym mieczem? Może ministerstwo powinno skierować do tej sprawy kilku ludzi, zamiast marnować ich czas rozbieraniem deluminatorów albo tuszowaniem ucieczek z Azkabanu. Więc tym się pan zajmuje, ministrze? Zamyka się pan w gabinecie i próbuje otworzyć znicz? Ludzie umierają - o mało nie byłem jednym z nich - Voldemort ścigał mnie przez trzy hrabstwa, zabił Szalonookiego Moody'ego, ale o tym Ministerstwo nie mówi ani słowa, prawda? I nadal oczekuje pan, że będziemy współpracowali?!

- Posuwasz się za daleko! - wrzasnął Scrimgeour, wstając. Harry też poderwał się na nogi.

Scrimgeour dokuśtykał do Harry'ego i dźgnął go mocno w klatkę piersiową końcem różdżki. Zostawiła na koszulce wypalony ślad, jak po papierosie.

- Hej - odezwał się Ron, wstając i unosząc różdżkę. Ale Harry powiedział:

- Nie! Chcesz dać mu pretekst do aresztowania nas?

- Pamiętasz, że nie jesteśmy w szkole, prawda? - rzekł Scrimgeour, oddychając ciężko prosto w twarz Harry'ego. - Pamiętasz, że nie jestem Dumbledore'em, który wybaczał ci zuchwalstwo i niesubordynację? Możesz nosić tę bliznę jak koronę, Potter, ale siedemnastoletni chłopak nie będzie mówił mi, co mam robić! Czas, żebyś nauczył się szacunku!

- Czas, żeby pan sobie na niego zasłużył - odpowiedział Harry.

Podłoga zadygotała. Dało się słyszeć odgłos szybkich kroków, po czym drzwi otworzyły się gwałtownie i do salonu wpadli państwo Weasley.

- My... Wydawało nam się, że słyszeliśmy... - zaczął pan Weasley, wyglądając na mocno zaniepokojonego widokiem Harry'ego i ministra stojących właściwie nos w nos.

- ...podniesione głosy - wydyszała pani Weasley.

Scrimgeour cofnął się kilka kroków, patrząc na dziurę, którą zrobił w koszulce Harry'ego. Wydawał się żałować, że stracił nad sobą panowanie.

- To... to nic - warknął. - Ja... ubolewam nad twoją postawą - powiedział, jeszcze raz spoglądając Harry'emu prosto w twarz. - Wydajesz się myśleć, że ministerstwo nie pragnie tego samego, czego ty pragniesz - czego pragnął Dumbledore. Powinniśmy pracować razem.

- Nie podobają mi się pana metody, ministrze - oznajmił Harry. - Pamięta pan?

Ponownie uniósł prawą pięść i pokazał Scrimgeourowi bliznę, która nadal bieliła się na grzbiecie jego dłoni: *Nie będę opowiadać kłamstw*. Rysy Scrimgeoura stężały. Bez słowa odwrócił się i wyszedł z pokoju. Pani Weasley pospieszyła za nim. Harry usłyszał, jak zatrzymała się przy tylnych drzwiach. Po jakiejś minucie zawołała:

- Poszedł!

- Czego on chciał? - zapytał pan Weasley, przypatrując się Harry'emu, Ronowi i Hermionie, kiedy pani Weasley wróciła do pokoju.

- Chciał przekazać to, co zostawił nam Dumbledore w testamencie - wyjaśnił Harry. - Po prostu nie mogli już dłużej przetrzymywać spadku.

Gdy znaleźli się znów w ogrodzie, przy stole, przedmioty dane im przez Scrimgeoura przechodziły z rąk do rąk. Wszyscy zachwycali się deluminatorem oraz „Baśniami Barda Beedle'a" i narzekali, że Scrimgeour nie przekazał też miecza, ale nikt nie miał pomysłu, dlaczego Dumbledore dał Harry'emu stary znicz. Kiedy pan Weasley po raz trzeci czy czwarty wypróbował deluminator, jego żona odezwała się:

- Harry, kochanie, wszyscy są bardzo głodni, ale nie chcieliśmy zaczynać bez ciebie... Mogę już podać kolację?

Jedli dość pospiesznie. Po szybkim odśpiewaniu „Sto lat" i przełknięciu tortu przyjęcie się skończyło. Hagrid, który był zaproszony na ślub następnego dnia, ale zbyt duży, by spać w zapełnionej Norze, rozbił dla siebie namiot na sąsiednim polu.

- Spotkajmy się na górze - szepnął Hermionie Harry, kiedy pomagali pani Weasley przywrócić ogródek do normalnego stanu. - Kiedy wszyscy pójdą już spać.

W pokoju na poddaszu Ron bawił się deluminatorem, a Harry napełniał sakiewkę z wsiąkiewki od Hagrida nie złotem, ale tym, co uważał za najcenniejsze, choć pozornie były to rzeczy bezwartościowe: Mapa Huncwotów, odłamek zaczarowanego lusterka Syriusza i medalion tajemniczego R.A.B. - a. Mocno zaciągnął sznurek i powiesił sobie sakiewkę na szyi, po czym usiadł, trzymając w ręku stary znicz i wpatrując się w jego trzepoczące słabo skrzydełka. W końcu Hermiona zapukała do drzwi i wsunęła się do środka.

- *Muffliato* - wyszeptała, kierując różdżkę w stronę schodów.

- Myślałem, że nie lubisz tego zaklęcia? - zdziwił się Ron.

- Czasy się zmieniają - odpowiedziała. - A teraz pokaż nam deluminator.

Ron spełnił jej życzenie. Trzymając go przed nimi, nacisnął przycisk. Pojedyncza zapalona przez nich lampa natychmiast zgasła.

- Chodzi o to - wyszeptała w ciemnościach Hermiona - że to samo moglibyśmy osiągnąć z Peruwiańskim Proszkiem Natychmiastowej Ciemności.

Rozległo się ciche kliknięcie i kula światła z lampy wróciła z powrotem pod sufit i ponownie ich oświetliła.

- Ale to i tak fajne - rzekł Ron nieco obronnym tonem. - I z tego co mówią, Dumbledore sam to wymyślił!

- Wiem, ale raczej nie wyszczególniałby tego w testamencie, żeby po prostu pomóc nam gasić światła!

- Myślisz, że przewidział konfiskatę przez ministerstwo jego testamentu i przebadanie wszystkiego, co nam zostawił? - zapytał Harry.

- Pewnie - rzekła Hermiona. - Nie mógł powiedzieć w testamencie, po co nam to daje, ale to nie wyjaśnia...

- ...dlaczego nie dał nam żadnej wskazówki, kiedy jeszcze żył? - zapytał Ron.

- Cóż, właśnie - przytaknęła Hermiona, przeglądając „Baśnie Barda Beedle'a". - Jeśli te rzeczy są tak ważne, żeby przekazywać je tuż pod nosem ministerstwa, nie myślicie, że powiedziałby nam dlaczego? Chyba nie myślał, że to oczywiste?

- Jeśli myślał, to źle, no nie? - rzekł Ron. - Zawsze mówiłem, że miał świra. Był genialny i w ogóle, ale stuknięty. Zostawił Harry'emu stary znicz - po jaką cholerę?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Hermiona. - Kiedy Scrimgeour kazał ci to wziąć, Harry, byłam pewna, że coś się stanie!

- Taaa, jasne - powiedział Harry i uniósł w palcach znicz, a jego puls przyspieszył. - Chyba nie myśleliście, że za bardzo się starałem przy Scrimgeourze, co?

- Co masz na myśli? - zapytała Hermiona.

- Znicz, który złapałem na pierwszym meczu quidditcha - wyjaśnił Harry. - Nie pamiętacie?

Hermiona nie rozumiała. Jednak Ron wciągnął powietrze, machając gorączkowo ręką od Harry'ego do znicza i z powrotem, dopóki nie odzyskał głosu.

- To ten, który prawie połknąłeś!

- Właśnie - przytaknął Harry i z szybko bijącym sercem przycisnął znicz do ust.

Nie otworzył się. W Harrym wzrosły frustracja i gorzkie rozczarowanie. Opuścił złotą kulę, ale Hermiona pisnęła:

- Napis! Jest na nim napis, patrzcie!

Harry z wrażenia prawie upuścił znicz. Hermiona miała rację. Na złotej powierzchni, gdzie wcześniej nie było niczego, teraz widać było pięć słów wygrawerowanych ciasnym, pochyłym pismem, które Harry rozpoznał jako należące do Dumbledore'a.

Otwieram się u kresu.

Ledwie je przeczytał, kiedy słowa ponownie zniknęły.

- Otwieram się u kresu... Co to ma niby znaczyć?

Hermiona i Ron unieśli głowy, wyraźnie nie mając pojęcia.

- Otwieram się u kresu... U kresu... Otwieram się u kresu...

Ale nieważne, jak często Harry powtarzał te słowa i jak je akcentował, nie był w stanie odgadnąć ich ukrytego znaczenia.

- I miecz - powiedział wreszcie Ron, kiedy już dali sobie spokój z odkryciem znaczenia grawerunku na zniczu.

- Dlaczego chciał, żeby Harry dostał ten miecz?

- I dlaczego nie mógł mi po prostu powiedzieć? - rzekł cicho Harry. - Byłem tam, miecz wisiał na ścianie w jego gabinecie podczas wszystkich naszych zeszłorocznych rozmów! Jeśli chciał, żebym go dostał, dlaczego mi go po prostu nie dał?

Czuł się jakby dostał pytanie na egzaminie, na które powinien umieć odpowiedzieć, ale jego mózg zwolnił i odmawiał współpracy. Czy było coś, co zapomniał z długich rozmów z Dumbledore'em? Czy powinien wiedzieć, co to wszystko znaczy? Czy Dumbledore oczekiwał, że on zrozumie?

- A co do tej książki - odezwała się Hermiona. - „Baśnie Barda Beedle'a"... Nigdy o nich nie słyszałam!

- Nigdy nie słyszałaś o „Baśniach Barda Beedle'a"? - zapytał z niedowierzaniem Ron. - Chyba żartujesz.

- Nie, nie żartuję - odpowiedziała z zaskoczeniem. - To znaczy, że ty je znasz?

- Oczywiście, że tak!

Harry z rozbawieniem spojrzał w górę. Przypadek, że Ron przeczytał jakąś książkę, a Hermiona nie, był wręcz niespotykany. Ron jednak wydawał się oszołomiony ich zaskoczeniem.

- No dajcie spokój! Przecież wszystkie bajki dla dzieci są Beedle'a, nie? „Fontanna Fantastycznej Fortuny"... „Czarodziej i Skaczący Dzban"... „Dzieciaczek Kicaczek i jego Gdaczący Pniak"...

- Że co? - zachichotała Hermiona. - Jaki był ten ostatni?

- No przestańcie! - rzekł Ron, patrząc z niedowierzaniem na Harry'ego i Hermionę. - Musieliście słyszeć o Dzieciaczku Kicaczku...

- Ron, bardzo dobrze wiesz, że ja i Harry zostaliśmy wychowani przez mugoli! - ucięła Hermiona. - Nie czytano nam takich historii, kiedy byliśmy mali, słyszeliśmy o „Królewnie Śnieżce i Siedmiu Krasnoludkach" i „Kopciuszku"...

- To jakaś choroba? - zapytał Ron.

- Więc to są bajki dla dzieci? - upewniła się Hermiona, patrząc na runy.

- Taa - odpowiedział niepewnie Ron. - Znaczy, jak powiedziałem, wszystkie te historie są autorstwa Beedle'a. Nie wiem, jak brzmią w oryginalnej wersji.

- Ale dlaczego Dumbledore chciał, żebym je przeczytała?

Pod nimi coś zaskrzypiało.

- To pewnie Charlie. Skoro mama już śpi, wymyka się, żeby odzyskać dłuższe włosy - powiedział nerwowo Ron.

- I tak powinniśmy iść spać - wyszeptała Hermiona. - Nie chciałabym jutro zaspać.

- Rzeczywiście - zgodził się Ron. - Potrójne brutalne morderstwo dokonane przez matkę pana młodego mogłoby nieco zepsuć ten ślub. Zgaszę światło.

Jeszcze raz kliknął deluminatorem, a Hermiona wyszła z pokoju.

Rozdział 08
Ślub

Tłumaczenie: Lilla Veneda

Trzecia po południu zastała Harry'ego, Rona, Freda i George'a w sadzie, przed wielkim, białym namiotem, gdzie oczekiwali na przybycie gości weselnych. Harry wziął dużą dawkę Eliksiru Wielosokowego i był teraz idealną kopią rudowłosego, mugolskiego chłopca z pobliskiego Ottery St. Catchpole, któremu Fred ukradł kilka włosów używając zaklęcia przywołującego. Plan zakładał przedstawienie Harry'ego jako „kuzyna Barny'ego" i nadzieję, że wtopi się w tłum Weasleyów. Cała czwórka trzymała w rękach rozkład miejsc, aby mogli kierować ludzi na właściwe krzesła.

Grupa ubranych na biało kelnerów pojawiła się przed godziną, razem z zespołem muzyków w złotych marynarkach. Aktualnie wszyscy siedzieli pod drzewem kawałek dalej. Harry mógł dostrzec niebieskawą mgiełkę fajkowego dymu unoszącą się nad tamtym miejscem.

Za plecami Harry'ego, przez wejście do namiotu można było zobaczyć rzędy delikatnych, złotych krzeseł, ustawionych po obu stronach długiego, szkarłatnego dywanu. Maszty podtrzymujące całą konstrukcję zostały oplecione białymi i złotymi kwiatami, a Fred i George przymocowali ogromny pęk balonów dokładnie nad miejscem, w którym Bill i Fleur mieli wkrótce stać się małżeństwem. Na zewnątrz motyle i pszczoły unosiły się leniwie nad trawą i żywopłotem.

Harry nie czuł się zbyt komfortowo. Mugolski chłopiec, którego wygląd przybrał, był nieco grubszy od niego, więc szata wyjściowa okazała się przyciasna i było mu gorąco w pełnym słońcu letniego dnia.

- Kiedy ja będę brał ślub - odezwał się Fred, szarpiąc za kołnierzyk swojej szaty - nie będę sobie w ogóle zawracał głowy tymi bezsensownymi wymysłami. Będziecie mogli założyć na siebie cokolwiek będziecie chcieli i rzucę na mamę Petrificus Totalus, dopóki wszystko się nie skończy.

- Rano nie było tak źle - powiedział George. - Popłakała trochę, że Percy'ego nie ma z nami, ale komu na tym jeszcze zależy? O kurczę, zbierajcie się. Już nadchodzą, patrzcie!

Jedna po drugiej, barwne, jasne postacie pojawiały się znikąd przy dalekiej granicy podwórza. W ciągu paru minut uformował się pochód, który ruszył przez ogród w stronę namiotu. Egzotyczne kwiaty i zaczarowane ptaki trzepotały na kapeluszach czarownic, drogocenne klejnoty migotały na krawatach czarodziejów; w miarę, jak tłum zbliżał się do namiotu, gwar podekscytowanych głosów narastał, zagłuszając brzęczenie pszczół.

- Wspaniale! Wydaje mi się, że widzę kilka kuzynek wil - odezwał się George, wyciągając szyję, żeby mieć lepszy widok. - Mogą potrzebować pomocy, żeby zrozumieć nasze angielskie zwyczaje, pójdę się nimi zająć...

- Nie tak szybko, Wasza Świętość - powiedział Fred. Przecisnąwszy się przez znajdującą się na czele pochodu hałaśliwą grupkę wiedźm w średnim wieku, zwrócił się: - Tutaj! Permettez - moi, żeby assister vous - do dwójki ładnych Francuzek, które zachichotały i pozwoliły się eskortować do namiotu.

George został ze starszymi czarownicami, Ron zajął się Perkinsem, starym współpracownikiem pana Weasleya z ministerstwa, a Harry'emu przypadła para przygłuchych staruszków.

- Siemasz - usłyszał znajomy głos, kiedy wyszedł z namiotu i zobaczył Lupina z Tonks na początku kolejki; specjalnie na tę okazję dziewczyna zmieniła kolor włosów na blond.

- Artur powiedział nam, że masz kręcone włosy. Przepraszam za wczorajsze - dodała szeptem, kiedy Harry wprowadził ich w boczne przejście. - Ministerstwo jest teraz bardzo negatywnie nastawione do wilkołaków i pomyśleliśmy, że nasza obecność może przysporzyć ci nieprzyjemności.

- W porządku, rozumiem - powiedział Harry, zwracając się bardziej do Lupina, niż do Tonks.

Lupin posłał mu przelotny uśmiech, ale kiedy się odwrócił, Harry zobaczył, że jego twarz znowu pochmurnieje. Nic z tego nie rozumiał, ale nie było czasu teraz się nad tym zastanawiać.

Obecność Hagrida oznaczała pewną liczbę wypadków. Źle zrozumiawszy instrukcje Freda, usiadł nie na magicznie powiększonym i wzmocnionym krześle, ustawionym specjalnie dla niego w tylnym rzędzie, ale na pięciu zwykłych, które teraz przypominały stos złotych zapałek. Kiedy pan Weasley naprawiał szkody, a Hagrid przepraszał każdego, kto chciał słuchać, Harry szybko wrócił do wejścia, zastając Rona stojącego twarzą w twarz z bardzo ekscentrycznie wyglądającym czarodziejem o nieco skośnych oczach i sięgających ramion białych włosach, przypominających watę cukrową. Na głowie miał czapkę, której pompon dyndał mu na wysokości nosa, a szatę w kolorze żółtka. Na złotym łańcuchu, otaczającym jego szyję, błyszczał dziwny symbol, przypominający trójkątne oko.

- Xenofilius Lovegood - przedstawił się, wymieniając z Harrym uścisk dłoni. - Moja córka i ja mieszkamy po drugiej stronie wzgórza. To bardzo miłe ze strony państwa Weasleyów, że nas zaprosili. Mam nadzieję, że znasz moją Lunę - zwrócił się do Rona.

- Tak - opowiedział Ron. - Nie ma jej z panem?

- Zasiedziała się w tym uroczym, małym ogrodzie, żeby przywitać się z gnomami. Cóż za cudowna z nich plaga! Jak niewielu czarodziejów zdaje sobie sprawę, ilu rzeczy moglibyśmy się nauczyć od mądrych, małych gnomów, czy też, nazywając je ich właściwą nazwą, Gernumbli ogrodensi.

- Nasze znają mnóstwo soczystych przekleństw - odparł Ron - ale wydaje mi się, że to Fred i George nauczyli ich tego.

Wpuścił do namiotu grupkę czarownic, kiedy pojawiła się Luna.

- Cześć, Harry - powiedziała.

- Ehm, nazywam się Barny - odparł, zakłopotany.

- Och, więc i to zmieniłeś? - zapytała pogodnie.

- Skąd wiedziałaś?

- To przez twój wyraz twarzy - odpowiedziała.

Podobnie jak jej ojciec, Luna miała na sobie żółtą szatę, którą dopełniał wielki słonecznik wpięty we włosy. Kiedy już przywykło się do jaskrawości całokształtu, ogólny efekt był całkiem przyjemny. W każdym razie nie miała rzodkiewek wiszących przy uszach.

Xenofilius, pogrążony w rozmowie ze znajomym, nie dosłyszał wymiany zdań pomiędzy Luną a Harrym. Pożegnawszy się z czarodziejem, odwrócił się w stronę córki, która wyciągnęła w jego stronę palec i powiedziała:

- Tatusiu, spójrz! Jeden z gnomów właśnie mnie ugryzł.

- To cudownie! Ślina gnomów jest niezwykle pożyteczna - oznajmił pan Lovegood, chwytając córkę za rękę i wpatrując się w krwawe punkciki. - Luno, kochanie, jeżeli poczujesz dzisiaj, że rozwija się w tobie jakiś nowy talent, na przykład będziesz mieć potrzebę śpiewania arii operowych, albo recytowania w trytońskim, nie tłum tego w sobie. Być może otrzymałaś go od Gernumbli!

Ron, mijając ich, parsknął głośno.

- Ron może się śmiać - powiedziała spokojnie Luna, kiedy Harry prowadził ją i jej ojca do ich miejsc - ale mój tata przeprowadził wiele badań dotyczących magii Gernumbli.

- Naprawdę? - zapytał Harry, który już dawno zdecydował, że nie będzie kwestionował osobliwych poglądów ojca Luny. - Na pewno nie chcesz niczego przyłożyć do tego ugryzienia?

- Och, wszystko w porządku - powiedziała, ssąc palec z rozmarzoną miną i lustrując Harry'ego wzrokiem od góry do dołu. - Elegancko wyglądasz. Powiedziałam tacie, że większość ludzi będzie miała na sobie szaty wyjściowe, ale on uważa, że na ślub powinno się zakładać słoneczne kolory. Na szczęście, rozumiesz.

Kiedy płynnym krokiem ruszyła za swoim ojcem, po raz kolejny pojawił się Ron, z wiekową czarownicą uczepioną jego ramienia. Jej haczykowaty nos, oczy podmalowane na czerwono i skórzana, różowa tiara nadawały jej wygląd źle usposobionego flaminga.

- A twoje włosy są stanowczo zbyt długie, Ronaldzie. Przez chwilę myślałam, że to Ginewra. Na brodę Merlina, co Xenofilius Lovegood ma na sobie? Wygląda jak omlet. A ty kim jesteś? - warknęła do Harry'ego.

- Ciociu Muriel, to jest nasz kuzyn Barny.

- Kolejny Weasley? Rozmnażacie się jak gnomy. Nie ma tu gdzieś Harry'ego Pottera? Miałam nadzieję się z nim zobaczyć. Myślałam, że jest twoim przyjacielem, Ronaldzie, a może tylko się przechwalałeś?

- Nie... Nie mógł przyjść...

- Hm... znalazł wymówkę, prawda? Wobec tego nie jest taki głupi, na jakiego wygląda na zdjęciach w gazetach. Właśnie poinstruowałam pannę młodą, jak najlepiej nosić moją tiarę - krzyknęła do Harry'ego. - Zrobiona przez gobliny, była w mojej rodzinie od wieków. To bardzo ładna dziewczyna, jednakowoż... Francuzka. No cóż, znajdź mi dobre miejsce, Ronaldzie. Mam sto siedem lat i nie powinnam zbyt długo stać.

Kiedy odchodził, Ron rzucił Harry'emu wymowne spojrzenie, po czym nie wracał przez pewien czas. Kiedy następnym razem spotkali się przy wejściu, Harry zdążył już posadzić trzynaście osób na właściwych miejscach. Namiot był już prawie pełny i po raz pierwszy na zewnątrz nie ciągnęła się kolejka.

- Muriel jest koszmarna - powiedział Ron, ocierając czoło rękawem. - Przyjeżdżała każdego roku na Boże Narodzenie, na szczęście obraziła się, kiedy Fred i George podłożyli jej przy obiedzie pod krzesło łajnobombę. Tata powtarza, że nie uwzględni ich w swoim testamencie - zupełnie jakby ich to obchodziło. Wzbogacą się szybciej, niż ktokolwiek w całej rodzinie... Łał! - dodał, mrugając gwałtownie, kiedy dołączyła do nich Hermiona. - Wyglądasz świetnie!

- Zawsze cię to zaskakuje - odparła, chociaż uśmiechnęła się przy tych słowach.

Miała na sobie liliową sukienkę, miękko układającą się na figurze i harmonizującą z butami na wysokich obcasach. Jej włosy były lśniące i gładko zaczesane.

- Twoja wspaniała ciotka Muriel zupełnie się z tym nie zgadza. Spotkałam ją na górze, kiedy wręczała Fleur tiarę. Powiedziała: „Och, moja droga, czy to jest ta dziewczyna z mugolskiej rodziny?", a później dodała: „Marna figura i za chude kostki".

- Nie bierz tego do siebie, jest niemiła dla wszystkich - odparł Ron.

- Rozmawiacie o Muriel? - zapytał George, wychodząc z namiotu razem z Fredem. - Właśnie mi powiedziała, że mam odstające uszy. Stara nietoperzyca. Chciałbym, żeby wujek Bilius był tu z nami. Był naprawdę zabawny na weselach.

- Czy to nie on zobaczył ponuraka i umarł dwadzieścia cztery godziny później? - zapytała Hermiona.

- Cóż, ekscentryczny aż do końca - przyznał George.

- Ale zanim tak zdziwaczał był duszą towarzystwa - dodał Fred. - Potrafił wypić całą butelkę Ognistej Whisky, a potem wbiegał na parkiet, podnosił szatę do góry i wyciągał bukiety kwiatów z...

- Czarujący człowiek - powiedziała Hermiona, a Harry wybuchnął śmiechem.

- Z jakiegoś powodu nigdy się nie ożenił - odezwał się Ron.

- Zadziwiasz mnie - odparła.

Śmiali się tak bardzo, że żadne nie zauważyło przybycia spóźnionego, ciemnowłosego młodego człowieka z dużym, zakrzywionym nosem i grubymi, czarnymi brwiami, dopóki nie wyciągnął w kierunku Rona swojego zaproszenia i nie odezwał się, z oczami wbitymi w Hermionę:

- Piękno wyglądasz.

- Wiktor! - pisnęła i upuściła swoją małą, obszytą paciorkami torebkę, która uderzyła o ziemię z hukiem, jaki trudno było przewidzieć, szacując jej wagę na oko. Kiedy zarumieniona Hermiona przykucnęła, żeby ją podnieść, dodała: - Mój Boże, nie wiedziałam, że będziesz. Dobrze cię widzieć, co u ciebie?

Uszy Rona przybrały intensywny, czerwony kolor. Kiedy przestał wpatrywać się w zaproszenie Kruma, jakby nie wierzył w jego autentyczność, odezwał się o wiele za głośno:

- Jak się tu dostałeś?

- Fleur mnie zaprosiła - odpowiedział Krum, unosząc brwi.

Harry, który nie żywił do Kruma żadnej urazy, potrząsnął jego ręką. Chwilę później uznał, że byłoby mądrze usunąć Wiktora z zasięgu wzroku Rona i zaproponował, że zaprowadzi go na jego miejsce.

- Twój przyjaciel nie wygląda na zadowolonego, że mnie widzi - powiedział Krum, kiedy weszli do namiotu. - A może to twój krewny? - dodał, patrząc na rude, kręcone włosy Harry'ego.

- Kuzyn - wymamrotał, ale Krum w ogóle go nie słuchał. Jego pojawienie się wywołało sensację. Szczególnie pomiędzy kuzynkami wilami. Ostatecznie był znanym graczem w quidditcha. Kiedy ludzie wciąż wyciągali szyje, żeby mieć na niego jak najlepszy widok, Ron, Hermiona, Fred i George przemknęli przez boczną nawę.

- Pora siadać na miejsca - powiedział Harry'emu Fred. - Albo panna młoda zaraz po nas przedefiluje.

Harry, Ron i Hermiona zajęli swoje krzesła w drugim rzędzie, dokładnie za Fredem i George'em. Hermiona była zaróżowiona z emocji, a Ron miał nadal wściekle czerwone uszy. Po kilku chwilach wymamrotał do Harry'ego:

- Zauważyłeś, jaką idiotyczną bródkę sobie zapuścił?

Harry mruknął coś nieokreślonego.

Atmosfera nerwowego oczekiwania wypełniła duszny namiot. Poprzez podekscytowane szepty od czasu do czasu dało się słyszeć wybuchy śmiechu. Państwo Weasley przechadzali się po namiocie, uśmiechając się i machając do krewnych. Pani Weasley włożyła nową szatę w kolorze ametystowym, z dopasowanym do niej kapeluszem.

Chwilę później w wejściu do namiotu pojawili się Bill i Charlie, obaj w szatach wyjściowych z dużymi, białymi różami w klapach. Fred zagwizdał i kuzynki wile zachichotały. Kiedy rozbrzmiała muzyka - a zdawało się, że wydobywa się ze złotych balonów - tłum ucichł.

- Oooooch - westchnęła Hermiona, obracając się na krześle, żeby mieć lepszy widok.

Dało się usłyszeć zbiorowe westchnienie zgromadzonych czarownic i czarodziejów, kiedy pan Delacour i Fleur pojawili się w głównym przejściu. Fleur sunąc z wdziękiem, a jej ojciec - idąc sprężystym krokiem i kołysząc się.

Fleur miała bardzo prostą, białą sukienkę i zdawała się promieniować silnym, srebrzystym światłem. O ile ten blask zazwyczaj przyćmiewał ludzi w jej otoczeniu, dzisiaj to piękno udzielało się wszystkim. Ginny i Gabrielle, obie w złotych sukienkach, wyglądały ładniej niż zazwyczaj, a Bill sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie spotkał Fernira Greybacka.

- Panie i panowie - odezwał się melodyjny głos, a Harry, z pewnym zaskoczeniem, zobaczył tego samego mizernego czarodzieja z kępką włosów na głowie, który przemawiał na pogrzebie Dumbledore'a, a który teraz stał naprzeciwko Billa i Fleur. - Zebraliśmy się tutaj, aby świętować zawarcie świętego związku małżeńskiego dwojga ludzi...

- Tak, moja tiara bardzo ładnie wygląda - wyszeptała ciotka Muriel. - Ale muszę powiedzieć, że sukienka Ginewry ma stanowczo zbyt duży dekolt.

Ginny, uśmiechając się szeroko, rozejrzała się dookoła i mrugnąwszy do Harry'ego, na powrót zwróciła twarz w kierunku ołtarza. Myślami Harry był daleko od namiotu. Wrócił do wieczorów spędzanych z Ginny na błoniach, które wydały się być tak odległe. Zawsze uważał, że to było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, ale i tak kradł te jasne chwile normalnego życia - życia osoby bez blizny w kształcie błyskawicy na czole.

- Czy ty, Williamie Arturze, bierzesz Fleur Isabelle...?

W pierwszym rzędzie pani Weasley i madame Delacour cicho łkały w koronkowe chusteczki. Odgłosy trąbienia z tyłu namiotu poinformowały wszystkich, że Hagrid wyjął jedną ze swoich gigantycznych chusteczek do nosa. Hermiona odwróciła się do Harry'ego - promieniała szczęściem, ale jej oczy były pełne łez.

- ...oraz że jej nie opuszczę aż do śmierci.

Czarodziej z kępką włosów na głowie wykonał ręką ruch ponad głowami Billa i Fleur, a kaskada srebrnych gwiazdek spadła na nich z góry, wirując pomiędzy ich splecionymi postaciami.

Kiedy Fred i George zaczęli bić brawo, złote balony nad głowami państwa młodych eksplodowały. Rajskie ptaki i maleńkie, złote dzwoneczki opadły na nich, śpiewając swoje pieśni i dzwoniąc.

- Panie i panowie - zawołał czarodziej z kępką włosów na głowie - proszę wstać.

Gdy wszyscy podnieśli się ze swoich miejsc (ciotka Muriel gderając głośno), jeszcze raz pomachał dłonią w powietrzu. Krzesła, na których wcześniej siedzieli goście, uniosły się do góry, a brezentowe ściany namiotu zniknęły, tak, że stali pod samym tylko baldachimem opartym na złotych tyczkach, mając widok na oblany słonecznym blaskiem sad i otaczające ich wiejskie widoki. Następnie fala płynnego złota rozlała się po namiocie, tworząc lśniący parkiet. Unoszące się dotychczas krzesła opadły wokół porozstawianych, nakrytych białymi obrusami stolików, które z wdziękiem ustawiły się z powrotem na ziemi, a grupa muzyków w złotych marynarkach weszła na podwyższenie.

- Gładko poszło - powiedział Ron z aprobatą, kiedy kelnerzy apartowali się w różnych punktach całej sali, niektórzy trzymając srebrne tacki z sokiem z dyni, kremowym piwem albo Ognistą Whisky, inni chwiejąc się ze stosami ciastek i kanapek.

- Powinniśmy podejść i im pogratulować - rzekła Hermiona, wspinając się na palce, żeby zobaczyć, gdzie w tłumie gości zniknęli Bill i Fleur.

- Będziemy mieli na to czas później - wzruszył ramionami Ron, biorąc z tacy trzy kremowe piwa i podając jedno Harry'emu. - Daj sobie na wstrzymanie, Hermiona. Zajmijmy sobie jakiś stolik. Nie tam! Nie w pobliżu Muriel.

Ron przeciął pusty parkiet, rozglądając się na wszystkie strony. Harry był pewien, że szuka wzrokiem Kruma. Zanim przeszli na drugi koniec namiotu, większość stolików była już zajęta. Najmniej ludzi było przy tym, przy którym samotnie siedziała Luna.

- Możemy się dosiąść? - zapytał Ron.

- Oczywiście - ucieszyła się. - Tatuś poszedł tylko na chwilę, wręczyć nasz prezent Billowi i Fleur.

- Co to jest? Dożywotni zapas burczykłączy? - dopytywał się Ron.

Hermiona chciała kopnąć go pod stołem, ale chybiła i trafiła w Harry'ego. Oczy zaszły mu łzami i stracił fragment rozmowy. Zespół zaczął grać. Bill i Fleur, przy wielkim aplauzie, weszli na parkiet pierwsi. Po chwili pan Weasley poprowadził do tańca panią Delacour, wzorem ojca Fleur, tańczącego z panią Weasley.

- Lubię tę piosenkę - powiedziała Luna, kołysząc się w rytmie walca, a kilka sekund później podniosła się z miejsca i weszła na parkiet, gdzie całkiem sama obracała się w miejscu, machając ramionami.

- Jest świetna, nieprawdaż? - powiedział Ron z podziwem. - Zawsze wysoko się ceni.

W tej samej chwili uśmiech zszedł mu z twarzy. Wiktor Krum zajął wolne miejsce Luny. Hermiona wyglądała na przyjemnie podnieconą, ale tym razem Krum nie przyszedł, żeby ją komplementować.

Z grymasem niezadowolenia zapytał:

- Kim jest ten człowiek w żółtym?

- To Xenofilius Lovegood, ojciec jednej z naszych przyjaciółek - powiedział Ron; jego zaczepny ton sugerował, że w ogóle nie mieli zamiaru wyśmiewać Xenofiliusa, mimo oczywistej prowokacji. - Chodź zatańczyć - zwrócił się nagle do Hermiony.

Wyglądała na w równym stopniu zaskoczoną, co zadowoloną, ale podniosła się z miejsca. Razem zniknęli w tłumie tworzącym się na parkiecie.

- Ach, są teraz ze sobą? - zapytał Krum, zmieniając temat.

- Cóż, tak jakby - odparł Harry.

- Kim ty jesteś? - zadał następne pytanie.

- Barny Weasley.

Podali sobie ręce.

- Ty, Barny, znasz dobrze tego Lovegooda?

- Nie, dopiero dzisiaj go poznałem. Dlaczego pytasz?

Krum sponad swojego drinka rzucił gniewne spojrzenie w stronę Xenofiliusa, który rozmawiał z kilkoma znajomymi po drugiej stronie parkietu.

- Ponieważ - odezwał się - jakby on nie był jeden z gości Fleur, ja bym mu przyłożył, tu i teraz, za to, co on nosi na szei ten plugawy znak.

- Znak? - zdziwił się Harry i również spojrzał w stronę ojca Luny. - Tego dziwnego trójkątnego oka? Co jest z nim nie tak?

- Grindelwald. To znak Grindelwalda.

- Grindelwald... Ten mroczny czarodziej, którego pokonał Dumbledore?

- Ten sam.

Szczęki Kruma pracowały, jakby przeżuwał jedzenie. Chwilę później znowu się odezwał.

- Grindelwald ubił wielu ludzi. Na przykład mojego dziadka. Oczywiście, on nigdy nie miał władzy w etym kraju. Mówią, co on bał się Dumbledore'a. I dobrze, jak popatrzym na to, jak on skończył. Ale eto - wskazał palcem na Xenofiliusa - jego symbol. Ja od razu go rozpoznał. Grindelwald zostawił go na ścianie w Durmstrangu, gdzie był uczenikom. Są na świecie idioty, którzy kopirują go do swoich książek i na ubrania, myśląc, że to takoje imponujące, póki ludzi, którym Grindewald rodziny ubiwał, nie doprowadzą ich do porządku.

Krum strzelił groźnie palcami, spoglądając na Xenofiliusa. Harry poczuł się zakłopotany. To było nieprawdopodobne, żeby ojciec Luny był zwolennikiem ciemnych mocy, poza tym nikt więcej w całym namiocie nie rozpoznał tego trójkątnego kształtu.

- Jesteś... ehm... całkowicie pewny, że to znak Grindelwalda...?

- Nie pomyliłem się - odparł Krum chłodno. - Kilka lat mijałem ten znak na ścianie w szkole. Znam go dobrze.

- No cóż, to prawdopodobne - zaczął Harry - że Xenofilius nie ma pojęcia, co ten symbol oznacza. Lovegoodowie są bardzo... nietypowi. Mógł go gdzieś zobaczyć i pomyśleć, że to przekrój głowy chrapaka krętorogiego, czy czegoś takiego.

- Przekrój czego?

- No cóż, nie mam pojęcia czym dokładnie one są, ale najwyraźniej on i jego córka spędzają wakacje na szukaniu ich.

Harry miał wrażenie, że kiepsko mu idzie opowiadanie o Lunie i jej ojcu.

- To ona - powiedział, wskazując na dziewczynę, która wciąż tańczyła sama, machając rękami jak ktoś, kto odgania od siebie komary.

- Co ona robi? - zapytał Krum.

- Prawdopodobnie próbuje odpędzić gnębiwtryska - wyjaśnił Harry, który rozpoznał to zachowanie.

Krum wyglądał, jakby nie był pewny, czy Harry nie stroi sobie z niego żartów. Wyciągnął spomiędzy fałdów szaty różdżkę i zakręcił nią na udzie. Kilka iskier posypało się z końca.

- Gregorowicz! - wykrzyknął Harry i Krum drgnął, ale Harry był zbyt podekscytowany, żeby się tym przejąć. W tej chwili wróciło do niego wspomnienie o Ollivanderze, sprawdzającym ją uważnie przed Turniejem Trójmagicznym.

- Co z nim? - zapytał Krum nieufnie.

- Jest wytwórcą różdżek.

- Wiem o tym.

- Zrobił twoją różdżkę. Dlatego pomyślałem o... quidditchu.

Krum wyglądał na coraz bardziej podejrzliwego.

- Skąd wiesz, że Gregorowicz zrobił moją różdżkę?

- Ja... Wydaje mi się, że gdzieś o tym czytałem - wydukał Harry. - W jakimś magazynie - improwizował desperacko, ale Krum wyglądał na uspokojonego.

- Nie miałem pojęcia, że kiedykolwiek rozmawiałem z fanami o mojej różdżce - powiedział.

- Więc... ehm... co teraz robi Gregorowicz?

Krum wyglądał na zaskoczonego.

- Przeszedł na emeryturę parę lat temu. Ja był jednym z jego ostatnich klienty. Jego różdżki są najlepsze. Oczywiście wiem, że wy, Brytyjczycy, bardziej cenicie sobie Ollivandera.

Harry nie odpowiedział. Udawał, że uważnie śledzi wzrokiem tancerzy, tak samo jak Krum, ale intensywnie myślał. Więc Voldemort potrzebował słynnego wytwórcy różdżek i Harry nie zastanawiał się długo nad jego motywami. Niewątpliwie miało to związek z tym, co zrobiła jego różdżka tamtej nocy, kiedy Voldemort ścigał go po niebie. Ostrokrzew i pióro feniksa pokonały pożyczoną różdżkę w sposób, którego Ollivander nie mógł ani przewidzieć, ani zrozumieć. Czy Gregorowicz mógł wiedzieć? Czy naprawdę był bardziej kompetentny i znał sekrety różdżek, o jakich Ollivander nie miał pojęcia?

- Ta dziewczyna jest naprawdę bardzo ładna - powiedział Krum, ściągając Harry'ego na ziemię; wskazywał na Ginny, która właśnie dołączyła do Luny. - Czy to również twoja krewna?

- Tak - odpowiedział Harry z nagłą irytacją. - Spotyka się z kimś. Zazdrosny typ. Wielki facet. Nie chciałbyś mieć z nim na pieńku.

Krum chrząknął.

- Kakij sens być międzynarodnym graczem w quidditcha, jeśli wsie ładne dziewczyny są zajęte? - odezwał się, dopijając swojego drinka i podnosząc się z miejsca.

I odszedł, a Harry'emu nie pozostało nic innego, jak wziąć kanapkę od przechodzącego kelnera i próbować przecisnąć się skrajem zatłoczonego parkietu. Chciał znaleźć Rona, żeby powiedzieć mu o Gregorowiczu, ale ten tańczył z Hermioną na środku parkietu. Wychylił się zza jednego ze złotych filarów i obserwował Ginny, tańczącą z przyjacielem Freda i George'a, Lee Jordanem, starając się nie czuć żalu z powodu obietnicy, którą złożył Ronowi.

Nigdy nie był żadnym ślubie, więc nie był w stanie ocenić, jak bardzo wesela czarodziejów różnią się od tych mugolskich, chociaż był pewien, że mugole nie mieliby tortu z dwoma feniksami na szczycie, które wzbiły się do lotu, gdy zaczęto kroić ciasto, albo butelek z szampanem, które unosiły się nad tłumem.

Wieczór przechodził w noc, księżyc wędrował po niebie, a w świetle złocistych lampionów zabawa rozkręcała się coraz bardziej i bardziej. Fred i George zniknęli w

ciemnościach na dłuższą chwilę z dwiema kuzynkami Fleur, a Charlie, Hagrid i przysadzisty czarodziej w purpurowej tiarze śpiewali pieśń „Bohater Odo" w kącie.

Przeciskając się przez tłum, żeby uciec przed pijanym wujem Rona, który nie był do końca pewny, czy Harry jest jego synem, czy nie, zauważył starego czarodzieja, który zupełnie sam siedział przy stoliku. Burza włosów na jego głowie upodobniała go do dmuchawca i miał na niej zjedzony przez mole fez. Wydawał się znajomy. Wysilając pamięć, Harry uzmysłowił sobie, że patrzy na Elfiasa Doge'a, członka Zakonu Feniksa i autora „Wspomnień o Albusie Dumbledore".

Harry podszedł do niego.

- Mogę usiąść?

- Oczywiście, oczywiście - odpowiedział Doge; miał wysoki, astmatyczny głos.

Harry pochylił się w jego stronę.

- Panie Doge, to ja, Harry Potter.

Elfias odetchnął głęboko.

- Mój drogi chłopcze! Artur powiedział mi, że gdzieś tutaj jesteś, w przebraniu... Czuję się zaszczycony.

Drżąc z emocji, nalał Harry'emu szampana.

- Myślałem, żeby do ciebie napisać - wyszeptał. - Po tym, jak Dumbledore... Byłem w szoku... Ty pewno też...

Niewielkie oczka Doge'a wypełniły się łzami.

- Widziałem tekst, który napisał pan dla „Proroka Codziennego" - powiedział Harry. - Nie miałem pojęcia, że tak dobrze znał pan profesora Dumbledore'a.

- Równie dobrze, jak każdy - odparł Doge, ocierając oczy serwetką. - Właściwie znałem go najdłużej, jeżeli nie liczyć Aberfortha. I, co ciekawe, ludzie najczęściej nie liczą Aberfortha.

- Skoro jesteśmy przy „Proroku Codziennym"... Nie wiem, czy pan widział, panie Doge...

- Proszę, mów mi Elfias, drogi chłopcze.

- Elfiasie, widziałeś wywiad, którego udzieliła o profesorze Dumbledore Rita Skeeter?

Twarz Doge'a zaczerwieniła się ze złości.

- Tak, Harry, widziałem go. Ta kobieta, czy raczej hiena, jak powinno się ją nazywać, dręczyła mnie, domagając się rozmowy. Ze wstydem przyznaję, że postąpiłem raczej niegrzecznie, nazywając ją wścibską babą, za co odpłaciła mi się, jak już widziałeś, oszczerstwem na temat mojego zdrowia psychicznego.

- Cóż, w tamtym wywiadzie - Harry kontynuował - Rita Skeeter napomknęła o tym, że profesor Dumbledore miał jakiś związek z czarną magią, kiedy był młody.

- Nie wierz w ani jedno jej słowo! - powiedział Doge. - W ani jedno słowo, Harry! Nie pozwól, żeby cokolwiek plamiło twoje wspomnienia o Albusie Dumbledore.

Harry spojrzał w poważną, ściągniętą bólem twarz Doge'a i wcale nie poczuł się pocieszony, raczej sfrustrowany. Czy Doge naprawdę sądził, że to było takie łatwe nie wierzyć? Czy nie rozumiał, że Harry musiał być pewien, że wie wszystko?

Być może Doge domyślił się, co czuł Harry, ponieważ zatroskał się i dodał:

- Rita Skeeter to straszna...

Ale przerwała mu przenikliwa paplanina.

- Rita Skeeter? Och, uwielbiam ją. Zawsze czytam jej teksty!

Harry i Doge podnieśli wzrok i zobaczyli ciocię Muriel stojącą obok. W jej włosach kołysały się pióra, a w ręku trzymała kieliszek szampana.

- Pisze książkę o Dumbledorze, wiecie?

- Witaj, Muriel - odezwał się Doge. - Wiemy, właśnie rozmawiamy o...

- Hej ty! Ustąp mi miejsca, mam sto siedem lat!

Jeden z rudowłosych Weasleyów poderwał się ze swojego krzesła i ciotka Muriel, ze zdumiewającą werwą, przestawiła je, po czym usiadła pomiędzy Doge'em a Harrym.

- Witaj ponownie, Barry, czy jak ci tam - zwróciła się do Harry'ego. - A teraz, co mówiłeś na temat Rity Skeeter, Elfiasie? Wiesz, że pisze biografię Dumbledore'a? Już nie mogę się doczekać, kiedy ją przeczytam. Muszę pamiętać, żeby złożyć zamówienie w Esach i Floresach!

Doge zesztywniał i spoważniał po tych słowach, ale ciotka Muriel opróżniła swój kieliszek i zamachała kościstą ręką na kelnera, żeby przyniósł jej następny. Wzięła jeszcze jeden spory łyk szampana, beknęła i ciągnęła dalej:

- Nie ma potrzeby, żeby zawsze wyglądać sztywno, jakby połknęło się kij. Zanim stał się szanowany i uczciwy, i w ogóle, na temat Albusa krążyło kilka dziwnych plotek.

- Głupie historyjki - uciął Doge, znowu się czerwieniąc.

- To ty tak mówisz - zachichotała ciotka Muriel. - Zauważyłam, jak zręcznie omijałeś wszystkie brudne sprawki w swoim tekście.

- Przykro mi, że tak uważasz - powiedział Doge jeszcze chłodniej. - Zapewniam cię, że pisałem prosto z serca.

- Och, wszyscy znamy twoje uwielbienie dla Dumbledore'a. Pozwolę sobie nawet zauważyć, że miałbyś go za świętego nawet wtedy, gdyby wyszło na jaw, jaki miał stosunek do swojej siostry - charłaczki.

- Muriel! - krzyknął Doge.

Dreszcz, który nie miał nic wspólnego z lodowatym szampanem, przebiegł Harry'emu po krzyżu.

- Co pani ma na myśli? - zapytał. - Kto powiedział, że jego siostra była charłakiem? Zawsze myślałem, że była chora.

- Wobec tego źle myślałeś, Barry - odparła ciotka Muriel, rozkoszując się efektem, jaki wywołały jej słowa. - Swoją drogą, jak mogłeś w ogóle myśleć, że wiesz wszystko na ten temat?! To wydarzyło się całe lata przed tym, zanim w ogóle byłeś w planach. Nawet ci, którzy już wtedy żyli, nie wiedzą, co naprawdę się wtedy wydarzyło. Dlatego nie mogę się doczekać, żeby dowiedzieć się, co odkryła Skeeter. Dumbledore bardzo długo milczał na temat swojej siostry.

- To nieprawda - wymamrotał Doge. - To wszystko nieprawda!

- Nigdy mi nie powiedział, że jego siostra była charłakiem - powiedział do siebie Harry.

- A czemu, na Merlina, miał ci powiedzieć? - zdziwiła się Muriel i przekręciła się na krześle, jakby chciała przejrzeć Harry'ego na wylot.

- Albus nigdy nie mówił o Arianie - zaczął Elfias głosem wypranym z emocji - ponieważ był kompletnie rozbity po jej śmierci...

- Dlaczego nikt jej nigdy nie widział? - skrzeknęła Muriel. - Dlaczego połowa z nas nawet nie wiedziała, że ona istnieje, dopóki nie wyniesiono jej z domu w trumnie i wyprawiono pogrzeb? Gdzie był świątobliwy Albus, kiedy Ariana tkwiła zamknięta w piwnicy? Objawienie Hogwartu nie miało pojęcia, co działo się w jego własnym domu!

- Co to znaczy, że była zamknięta w piwnicy? - zapytał Harry. - O co chodzi?

Doge wyglądał na rozbitego. Ciotka Muriel zachichotała i odpowiedziała:

- Matka Dumbledore'a była przerażającą kobietą, po prostu przerażającą. Mugolskiego pochodzenia, chociaż słyszałam, że się tego wypierała.

- Niczego takiego się nie wypierała! Kendra była wspaniałą kobietą - wyszeptał Doge smutno, ale ciotka Muriel kompletnie go zignorowała.

- Była dumna i bardzo dominująca. Ten rodzaj czarownic, które wstydzą się, gdy wydadzą na świat charłaka.

- Ariana nie była charłakiem - zaprotestował Doge.

- To ty tak mówisz, Elfiasie, ale w takim razie wytłumacz, dlaczego nigdy nie poszła do Hogwartu - zażądała ciotka Muriel i odwróciła się ponownie do Harry'ego. - Za naszych czasów charłaki trzymano w ukryciu. Uwięziono tę małą dziewczynkę we własnym domu i udawano, że nie istnieje.

- Mówię przecież, to wcale nie było tak - przerwał jej Doge, ale ciotka Muriel i to zignorowała, zwracając się wyłącznie do Harry'ego. - Charłaki najczęściej zapisywano do mugolskich szkół i czyniono z nich integralną część mugolskiego społeczeństwa... To znacznie mądrzejsze od szukania im miejsca w czarodziejskim świecie, gdzie zawsze byliby niższą kastą, ale Kendra Dumbledore nie chciała nawet myśleć o zapisaniu swojej córki do mugolskiej szkoły.

- Ariana była bardzo krucha - odezwał się Doge rozpaczliwie. - To zdrowie nie pozwoliło jej...

- Nie pozwoliło jej opuszczać domu? - zarechotała Muriel. - Nigdy nie została zabrana do Świętego Munga i nigdy nie wezwano do niej uzdrowiciela!

- Naprawdę, Muriel, skąd możesz wiedzieć takie...

- Do twojej wiadomości, Elfiasie, mój kuzyn Lancelot był w tamtym czasie uzdrowicielem w Świętym Mungu i powiedział mojej rodzinie, w największej tajemnicy, że Ariana nigdy nie odwiedziła tego miejsca. Lancelot uznał to za bardzo podejrzane.

Doge wyglądał, jakby miał się rozpłakać. Ciotka Muriel, która wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną, machnęła na kelnera, żeby przyniósł więcej szampana. Harry siedział jak sparaliżowany, wspominając, jak kiedyś Dursleyowie zamykali go i odcinali od świata tylko dlatego, że był czarodziejem. Czyżby siostra Dumbledore'a cierpiała z powodu analogicznej zbrodni: uwięziona z powodu nieposiadania magii? I czy Dumbledore naprawdę zostawił ją własnemu losowi, żeby pojechać do Hogwartu i udowodnić, jak bardzo był wspaniały i utalentowany?

- Gdyby Kendra nie umarła pierwsza - podjęła temat Muriel - powiedziałabym, że to ją należy obwiniać o śmierć Ariany.

- Jak możesz, Muriel?! - zawył Doge - Matka zabijająca swoją własną córkę?! Zastanów się, co mówisz!

- Jeżeli matka, o której mówisz, była zdolna do uwięzienia swojej córki na całe lata, to dlaczego nie? - Muriel wzruszyła ramionami. - Ale, jak już wspominałam, to niemożliwe, ponieważ Kendra zmarła przed Arianą... Chociaż nikt nie może być tego pewny. Tak, być może Ariana wykonała desperacki krok w stronę wolności i zabiła Kendrę podczas walki - powiedziała ciotka Muriel w zadumie. - Potrząsaj sobie głową do woli, Elfiasie. Byłeś na pogrzebie Ariany, prawda?

- Owszem, byłem - powiedział Doge, jego usta drżały - i nie potrafię sobie przypomnieć bardziej smutnego wydarzenia. Albus miał złamane serce...

- Nie tylko serce. Czy Aberforth nie złamał mu przy okazji nosa?

Jeżeli Doge już wcześniej wyglądał na przerażonego, nie mogło się to równać z jego obecnym wyrazem twarzy. Muriel trafiła w jego czuły punkt. Zaśmiała się głośno i wzięła kolejny haust szampana, który częściowo spłynął jej po brodzie.

- Skąd... - skrzeknął Doge.

- Moja matka była zaprzyjaźniona z Bathildą Bagshot - powiedziała ciotka Muriel z radością. - Bathilda opowiedziała jej to, kiedy podsłuchiwałam pod drzwiami. Kłótnia nad trumną. Z tego, co mówiła Bathilda, Aberforth wrzeszczał, że to wina Albusa, że Ariana nie żyje, a potem uderzył go w twarz. Według jej wersji wydarzeń, Albus nawet nie próbował się osłaniać i to jest trochę dziwne. Albus mógłby pokonać swojego brata w pojedynku, trzymając obie ręce za plecami.

Muriel wypiła jeszcze trochę szampana. Opowiadanie tych starych skandali wydawało się podniecać ją równie mocno, jak przerażało Doge'a. Harry nie miał pojęcia, co powinien myśleć i w co wierzyć. Chciał znać prawdę, a wszystkim, co robił Doge, było siedzenie na miejscu i beczenie anemicznie, że Ariana była chora. Harry nie mógł uwierzyć, że Dumbledore nie zareagowałby na takie okrucieństwo pod swoim własnym dachem. Poza tym, było coś bardzo dziwnego w tej historii.

- Powiem ci coś jeszcze - odezwała się Muriel, czkając lekko po opróżnieniu swojego kieliszka. - Myślę, że Bathilda wygadała się Ricie Skeeter. Wszystkie aluzje, jakie pojawiły się w wywiadzie, dotyczyły źródła z bliskiego otoczenia Dumbledore'a. Bóg wie, że ona była tam przez cały czas afery z Arianą. Wszystko do siebie pasuje.

- Bathilda nigdy nie rozmawiałaby z Ritą Skeeter - wyszeptał Doge.

- Bathilda Bagshot? - zapytał Harry. - Autorka „Historii Magii"?

To nazwisko było wytłoczone na okładce jednego z podręczników Harry'ego, chociaż, jak wielu uczniów, nie czytał go zbyt dokładnie.

- Tak - potwierdził Doge, chwytając się pytania Harry'ego, jak tonący brzytwy. - Uzdolniony magiczny historyk i wieloletnia przyjaciółka Albusa.

- Obecnie dosyć zramolała, jak słyszałam - odezwała się ciotka Muriel pogodnie.

- Jeżeli to prawda, to wielki dyshonor dla Skeeter, korzystać z jej pomocy - powiedział Doge. - I nie ma najmniejszego powodu, żeby wierzyć czemukolwiek, co Bathilda mogła powiedzieć.

- Och, istnieją sposoby, żeby odświeżyć wspomnienia i jestem przekonana, że Rita Skeeter zna je wszystkie - powiedziała ciotka Muriel. - Ale nawet jeżeli Bathilda jest już kompletnie zgrzybiała, jestem pewna, że wciąż ma stare fotografie, może nawet listy. Zna tę rodzinę od lat. Myślę, że wycieczka do Doliny Godryka mogłaby wiele pomóc.

Harry, który akurat przełykał kremowe piwo, zakrztusił się. Doge walnął go w plecy i Harry rozkaszlał się, wbijając załzawione oczy w ciocię Muriel. Kiedy odzyskał kontrolę nad własnym głosem, zapytał:

- Bathilda Bagshot mieszka w Dolinie Godryka?

- Och tak, mieszka tam od zawsze. Dumbledore'owie przeprowadzili się tam, kiedy Percival został uwięziony i mieszkali z nią po sąsiedzku.

- Dumbledore'owie mieszkali w Dolinie Godryka?

- Tak, Barny, to właśnie powiedziałam - powiedziała ciotka Muriel gniewnie.

Harry czuł się wyczerpany, pusty. Nigdy, przez całe sześć lat, Dumbledore nie powiedział Harry'emu, że obaj mieszkali i stracili bliskich w Dolinie Godryka. Dlaczego? Czy Lily i James byli pochowani blisko matki i siostry Dumbledore'a? Czy Dumbledore, odwiedzając ich groby, mijał nagrobki Potterów? I nigdy nie powiedział o tym Harry'emu. Nigdy nie kłopotał się o to, żeby powiedzieć.

Nawet samemu sobie Harry nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego to było takie ważne. Dumbledore nigdy nie powiedział mu, że łączyły ich podobne doświadczenia i to miejsce, a Harry traktował to jako równoznaczne z kłamstwem.

Bezmyślnie wpatrywał się w przestrzeń, nie dostrzegając, co dzieje się wokół niego. Nie zarejestrował obecności Hermiony, dopóki nie usiadła na krześle obok niego.

- Nie mogę już tańczyć - wysapała, ściągając jeden but i masując sobie stopę. - Ron poszedł poszukać kremowego piwa. To dziwne. Przed chwilą widziałam Wiktora z ojcem Luny, wyglądali, jakby się kłócili... - Spojrzała na Harry'ego i urwała. - Czy wszystko w porządku?

Harry nie wiedział, od czego powinien zacząć, ale w tej chwili przestało to mieć jakiekolwiek znaczenie. Coś dużego i srebrzystego wpadło przez baldachim do wnętrza namiotu i z wdziękiem stanęło na parkiecie. Otoczony poświatą ryś zatrzymał się pomiędzy zdumionymi tancerzami. Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Ci, którzy stali najbliżej, zamarli w pół kroku. W tym momencie paszcza patronusa otwarła się i zwierzę przemówiło donośnym, głębokim, powolnym głosem Kingsleya Shacklebolta:

- Ministerstwo upadło. Scrimgeour nie żyje. Nadchodzą.

Rozdział 09
Kryjówka

Tłumaczenie: Numb3rs

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Hermiona i Harry zerwali się na nogi i wyciągnęli różdżki. Większość obecnych dopiero zaczynała rozumieć, że wydarzyło się coś dziwnego i odwracała głowy w kierunku właśnie znikającego srebrnego kota. Cisza rozchodziła się z miejsca pojawienia patronusa niczym fala. Potem ktoś wrzasnął.

Harry i Hermiona ruszyli w panikujący tłum. Goście biegali we wszystkie strony, wielu aportowało się, gdyż zaklęcia chroniące Norę zostały złamane.

- Ron! - krzyknęła Hermiona. - Ron, gdzie jesteś?

Kiedy przepchnęli się na parkiet, Harry zobaczył pojawiające się w tłumie postacie w maskach i długich płaszczach. Następnie dostrzegł Tonks i Lupina - oboje mieli wyciągnięte różdżki i wykrzyknęli *Protego*. Podobne okrzyki słychać było ze wszystkich stron.

- Ron! Ron! - wołała prawie płacząc Hermiona, wraz z Harrym torując sobie drogę wśród przerażonych gości. Aby nie zostali rozdzieleni, chłopak chwycił ją za rękę. Nad ich głowami przeleciał promień światła - nie wiedział, czy było to zaklęcie ochronne, czy coś groźniejszego.

A potem pojawił się Ron. Chwycił Hermionę za wolne ramię. Harry poczuł, jak dziewczyna odwraca się w miejscu. Nagle stracił wzrok i słuch, gdy otoczyła go ciemność. Przeciskany przez czas i przestrzeń, czuł tylko dłoń Hermiony. Oddalał się od Nory, od śmierciożerców, możliwe, że od samego Voldemorta...

- Gdzie jesteśmy? - spytał Ron.

Harry otworzył oczy. Przez chwilę sądził, że w ogóle nie opuścili wesela. Nadal otaczali ich ludzie.

- Na Tottenham Court Road - wydyszała Hermiona. - Idźcie, po prostu idźcie. Musimy znaleźć miejsce, gdzie będziecie mogli się przebrać.

Harry zrobił, jak powiedziała. Szli prędko, niemal biegnąc, szeroką, ciemną ulicą pełną imprezowiczów, idących wzdłuż pozamykanych sklepów. Ulicą przejechał piętrowy autobus, a jadąca nim grupa wesołych knajpowiczów przyglądała im się z wielkim zainteresowaniem. Harry i Ron nadal mieli na sobie szaty wyjściowe.

- Hermiona, nie mamy w co się przebrać - poinformował Ron, gdy na jego widok jakaś młoda kobieta wybuchnęła hałaśliwym chichotem.

- Czemu nie wziąłem ze sobą peleryny niewidki? - powiedział Harry, przeklinając własną głupotę. - Przez cały zeszły rok nosiłem ją ciągle przy sobie...

- W porządku, mam pelerynę i ubrania dla was obu - odparła Hermiona. - Póki co, po prostu starajcie się zachowywać naturalnie... Tu będzie dobrze.

Zaprowadziła ich w boczną, zaciemnioną uliczkę.

- Mówiąc, że masz pelerynę i ubrania... - odezwał się Harry, patrząc spod zmarszczonych brwi na Hermionę, szperającą w małej damskiej torebce.

- Tak, mam to tu - odparła i, ku zdumieniu obu chłopaków, wyciągnęła z torebeczki dżinsy, bluzę, jakieś ciemnoczerwone skarpetki i w końcu pelerynę niewidkę.

- Jak, do diaska...?

- Niewykrywalne zaklęcie rozciągające - wyjaśniła Hermiona. - Dość skomplikowane, ale myślę, że dobrze mi wyszło. W każdym razie, zdołałam zmieścić tam wszystko, czego potrzebujemy. - Lekko potrząsnęła niepozorną torebką i dało się słyszeć, jak ciężkie rzeczy przesuwają się wewnątrz niej, niczym w jakiejś ładowni, i uderzają o siebie. - O cholera, to książki. - Zerknęła do środka. - A miałam poukładane tematycznie... No trudno... Harry, załóż lepiej pelerynę niewidkę. Ron, pośpiesz się i przebierz...

- Kiedy ty to wszystko zrobiłaś? - spytał Harry, gdy jego przyjaciel zdejmował szatę.

- Mówiłam ci w Norze, że najważniejsze rzeczy już od kilku dni mam spakowane. Wiesz, na wypadek, gdybyśmy musieli szybko uciekać. Rano, gdy się przebrałeś, spakowałam twój plecak i włożyłam go tutaj. Miałam przeczucie...

- Jesteś niesamowita, naprawdę - stwierdził Ron, oddając jej zwiniętą szatę.

- Dziękuję - odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się słabo i chowając ubranie do torebki. - Harry, proszę, włóż pelerynę!

Chłopak zarzucił pelerynę niewidkę na ramiona, a następnie na głowę, znikając całkowicie. Dopiero teraz w pełni docierało do niego, co się wydarzyło.

- Reszta... Wszyscy z wesela...

- Nie możemy się teraz tym martwić - wyszeptała Hermiona. - To ciebie chcą dostać śmierciożercy, Harry, a wracając, narazimy tamtych ludzi na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Ma rację - powiedział Ron, jakby przeczuwał, nawet nie widząc twarzy Harry'ego, że ten ma zamiar się spierać. - Prawie cały Zakon tam był, zajmą się wszystkimi.

Harry skinął głową, ale przypomniał sobie, że go nie widzą.

- Taak - przyznał, ale pomyślał o Ginny i ogarnął go lęk.

- Chodźcie. Sądzę, że powinniśmy być w ruchu - odezwała się Hermiona.

Wrócili uliczką z powrotem na główną ulicę, gdzie rozśpiewana grupka mężczyzn szła chwiejnie chodnikiem.

- A tak z ciekawości, dlaczego właściwie Tottenham Court Road? - spytał Hermionę Ron.

- Nie mam pojęcia, po prostu nagle o niej pomyślałam. Ale jestem pewna, że jesteśmy bardziej bezpieczni w mugolskim świecie. Tu nas się nie spodziewają.

- Racja. - Ron rozejrzał się dokoła. - Ale nie czujesz się trochę... za bardzo na widoku?

- To gdzie mamy iść? - odparła, kuląc się, gdy mężczyźni po drugiej stronie ulicy zagwizdali na jej widok. - Raczej nie możemy wynająć pokoi w Dziurawym Kotle, prawda? Grimmauld Place odpada, jeśli Snape może się tam dostać... Chyba powinniśmy spróbować w domu moich rodziców, chociaż możliwe, że i tam sprawdzą... Och, niech się zamkną!

- W porządku, kochanie? - wykrzyknął pijany mężczyzna z drugiego chodnika. - Masz ochotę na drinka? Rzuć rudzielca i chodź na piwo!

- Usiądźmy gdzieś - powiedziała pośpiesznie Hermiona, gdy Ron otworzył usta, by coś mu odkrzyknąć. - Patrzcie, to się nada. Tutaj!

Była to mała, zaniedbana, całonocna kawiarnia. Wszystkie stoły miały na sobie warstwę brudu, ale przynajmniej było tu pusto. Harry pierwszy zajął miejsce przy stoliku, Ron usiadł obok niego, a Hermiona naprzeciwko. Była odwrócona plecami do drzwi i niezbyt jej się to podobało. Tak często odwracała się przez ramię, że wyglądało to, jakby miała tik nerwowy. Harry'emu nie odpowiadał bezruch - chodzenie dawało mu poczucie celu. Ukryty pod peleryną czuł, jak pozostałości eliksiru wielosokowego przestają działać. Jego dłonie powracały do oryginalnego kształtu i długości. Wyciągnął z kieszeni okulary i włożył je.

- Wiecie - po minucie czy dwóch odezwał się Ron - jesteśmy niedaleko Dziurawego Kotła, na Charing Cross Road...

- Ron, nie możemy! - przerwała mu natychmiast Hermiona.

- Ale nie zostać tam, tylko dowiedzieć się, co się dzieje!

- Wiemy, co się dzieje! Voldemort przejął ministerstwo, czego jeszcze musimy się dowiedzieć?

- Dobra, dobra, to był tylko pomysł!

Siedzieli w nieprzyjemnej ciszy. Powłócząc nogami, podeszła do nich żująca gumę kelnerka. Hermiona zamówiła dwie kawy cappuccino: skoro Harry był niewidzialny, dziwnie by wyglądało, gdyby poprosiła i dla niego. Dwóch masywnych robotników weszło do kawiarni i usiadło przy sąsiednim stole. Hermiona ściszyła głos do szeptu.

- Znajdźmy spokojne miejsce i aportujmy się gdzieś na wieś. Gdy już się tam znajdziemy, będziemy mogli wysłać wiadomość do Zakonu.

- To możesz zrobić tego gadającego patronusa? - spytał Ron.

- Ćwiczyłam i myślę, że owszem - odparła.

- Okej, o ile tylko nie narobimy im tym kłopotów, mogli już zostać aresztowani. Merlinie, ależ to obrzydliwe - dodał Ron, gdy wypił łyk spienionej, szarawej kawy. Kelnerka usłyszała i posłała mu paskudne spojrzenie, idąc przyjąć zamówienie od nowych klientów. Gdy Harry popatrzył na nich, większy z dwójki - ogromny i jasnowłosy - odesłał ją machnięciem ręki. Kobieta patrzyła na nich z odrazą.

- Ruszajmy więc, nie chcę pić tego paskudztwa - powiedział Ron. - Hermiona, masz mugolskie pieniądze, by za to zapłacić?

- Tak, zanim przybyłam do Nory wybrałam wszystkie oszczędności z książeczki mieszkaniowej. Założę się, że wszystkie drobne są na dole - westchnęła, sięgając po torebkę.

Robotnicy jednocześnie sięgnęli do kieszeni. Harry mimowolnie ich naśladował. Cała trójka sięgnęła po różdżki. Ron, orientując się o kilka sekund za późno co się dzieje, rzucił się przez stół i popchnął Hermionę na ławkę. Siła zaklęć śmierciożerców rozbiła ściankę ze szklanych kafli w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa Rona.

- *Drętwota!* - wykrzyknął nadal niewidoczny Harry.

Wielki, jasnowłosy śmierciożerca oberwał w twarz czerwonym promieniem. Osunął się, nieprzytomny. Jego towarzysz, nie będąc w stanie zobaczyć, kto rzucił zaklęcie, wycelował ponownie w Rona. Błyszczące, czarne liny wydostały się z różdżki mężczyzny i oplotły Rona od stóp do głów. Kelnerka krzyknęła i pobiegła w stronę drzwi. Harry rzucił kolejne ogłuszające zaklęcie na pozostałego śmierciożercę, ale chybił. Czar odbił się od okna i trafił w kobietę. Ta upadła na podłogę.

- *Expulso!* - wykrzyknął śmierciożerca i stół, za którym stał Harry, wyleciał w powietrze. Siła wybuchu popchnęła chłopaka na ścianę. Poczuł, jak różdżka wysuwa mu się z dłoni a peleryna z niego spada.

- *Petrificus Totalus!* - wrzasnęła ukryta Hermiona. Mężczyzna padł niczym statua i wylądował z głośnym hukiem wśród resztek porcelany, stołu i kawy. Dziewczyna wydostała się spod ławki, drżąc na całym ciele i strzepując z siebie odłamki szklanej popielniczki.

- *D - diffindo!* - powiedziała, wskazując różdżką na Rona. Chłopak zawył z bólu, gdy rozcięła mu dżinsy na wysokości kolana i zostawiła głęboką ranę. - Och, przepraszam, Ron, ręka mi się trzęsie! *Diffindo!*

Przecięte więzy opadły. Ron wstał, potrząsając ramionami, by odzyskać w nich czucie. Harry podniósł swoją różdżkę i przeszedł nad szczątkami do miejsca, gdzie na ławie leżał bezwładnie jasnowłosy mężczyzna.

- Powinienem był go rozpoznać. Był w Hogwarcie tej nocy, gdy zginął Dumbledore - rzekł. Odwrócił nogą sparaliżowanego śmierciożercę, którego wzrok wędrował szybko od Harry'ego do Rona i Hermiony.

- A to Dołohow - stwierdził Ron. - Poznaję go ze starych plakatów z listem gończym. Ten duży to chyba Thorfinn Rowle.

- Mniejsza z tym, jak się nazywają! - zawołała nieco histerycznie Hermiona. - Jak nas znaleźli? Co teraz zrobimy?

W jakiś sposób jej panika otrzeźwiła Harry'ego.

- Zamknij drzwi - powiedział jej. - Ron, zgaś światła.

Spojrzał na sparaliżowanego Dołohowa, zastanawiając się pośpiesznie, podczas gdy rozległ się trzask zamka, a Ron użył deluminatora, by pogrążyć kawiarnię w ciemności. Harry słyszał, jak w oddali mężczyźni, którzy wcześniej śmiali się z Hermiony, zaczepiają inną dziewczynę.

- Co z nimi zrobimy? - wyszeptał Ron. I jeszcze ciszej zapytał: - Zabijemy? Oni by nas zabili. Właśnie próbowali.

Hermiona zadrżała i zrobiła krok do tyłu. Harry pokręcił głową.

- Wystarczy, że wymażemy im wspomnienia - stwierdził Harry. - Tak będzie lepiej, to ich zmyli. Jeśli ich zabijemy, będzie jasne, że tu byliśmy.

- Ty tu rządzisz - odparł z wyraźną ulgą Ron. - Ale ja nigdy nie rzucałem Obliviate.

- Ja też nie - przyznała Hermiona. - Ale znam teorię.

Wzięła głęboki wdech na uspokojenie, następnie wycelowała różdżką w czoło Dołohowa.

- *Obliviate!*

Oczy mężczyzny natychmiast przybrały nieobecny wyraz.

- Świetnie! - Harry klepnął Hermionę po plecach. - Zajmij się tym drugim i kelnerką, a my z Ronem w tym czasie posprzątamy.

- Posprzątamy? - Ron rozejrzał się po częściowo zniszczonym wnętrzu. - Po co?

- Nie sądzisz, że mogą się zastanawiać, co się stało, jeśli obudzą się i zobaczą, że kawiarnia wygląda jak po bombardowaniu?

- No tak, racja...

Ron przez chwilę miał problemy z wyciągnięciem różdżki z kieszeni.

- Nic dziwnego, że nie mogę jej wyjąć. Hermiona, spakowałaś moje stare dżinsy, są za wąskie.

- Och, tak mi przykro - wysyczała dziewczyna, odciągając kelnerkę od okna. Harry usłyszał, jak wymamrotała sugestię, gdzie Ron może w zamian wsadzić sobie różdżkę.

Kiedy już doprowadzili kawiarnię do poprzedniego stanu, posadzili śmierciożerców z powrotem naprzeciwko siebie przy stoliku.

- Ale jak nas znaleźli? - spytała dziewczyna, spoglądając raz na jednego bezwładnego mężczyznę, raz na drugiego. - Skąd wiedzieli, gdzie jesteśmy?

Odwróciła się do Harry'ego.

- Ty... Namiar chyba już nie działa, co, Harry?

- Nie może - odparł Ron. - Namiar zostaje wyłączony w siedemnaste urodziny, takie jest prawo czarodziejów. Nie można go uaktywnić na dorosłym.

- O ile wiesz - odrzekła Hermiona. - A co, jeśli śmierciożercy znaleźli sposób, aby to zrobić na siedemnastolatku?

- Ale Harry nie był w pobliżu żadnego śmierciożercy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Kto miałby to zrobić?

Hermiona nie odpowiedziała. Harry poczuł się skażony, brudny. Czy śmierciożercy naprawdę znaleźli ich w ten sposób?

- Jeśli nie mogę używać magii i wy nie możecie używać jej koło mnie, bez wydania naszej pozycji... - zaczął.

- Nie rozdzielimy się! - stwierdziła stanowczo Hermiona.

- Potrzebujemy bezpiecznej kryjówki - powiedział Ron. - Potrzebujemy czasu, by wszystko przemyśleć.

- Grimmauld Place - rzucił Harry.

Pozostała dwójka gapiła się na niego, zaskoczona.

- Nie bądź śmieszny, Harry, tam może być Snape!

- Tata Rona powiedział, że są przeciwko niemu rzucone klątwy. A nawet jeśli nie zadziałają, to co? - nalegał, widząc, że Hermiona już ma zamiar protestować - Przysięgam, niczego tak nie pragnę, jak spotkać Snape'a!

- Ale...

- Hermiono, gdzie jeszcze możemy pójść? To najlepsze wyjście. Snape to tylko jeden śmierciożerca. Jeśli nadal działa Namiar, będziemy mieć na karku całe ich mrowie, gdziekolwiek się nie ruszymy.

Nie mogła z tym polemizować, chociaż widać było, że miała na to ochotę. Gdy otwierała drzwi, Ron kliknął deluminatorem i przywrócił w kawiarni światło. Wtedy, po odliczeniu do trzech, cofnęli zaklęcia ze wszystkich trzech osób i zanim kelnerka, czy którykolwiek z mężczyzn zdążyli choćby drgnąć, odwrócili się i zniknęli w ciemnościach.

Kilka sekund później Harry wziął głęboki wdech i otworzył oczy. Stali na środku znajomego, małego, zaniedbanego skwerku. Wysokie, rozpadające się domy otaczały ich ze wszystkich stron. Numer dwanaście był dla nich widoczny, gdyż dowiedzieli się o jego istnieniu od Dumbledore'a - strażnika tajemnicy. Ruszyli w kierunku budynku, sprawdzając co chwila, czy nie są śledzeni. Podbiegli do kamiennych schodów i Harry stuknął różdżką w drzwi frontowe. Usłyszeli serię metalicznych kliknięć i brzęk łańcucha, drzwi otworzyły się ze zgrzytem, a cała trójka pośpiesznie przekroczyła próg.

Gdy Harry zamknął za nimi drzwi, rozbłysła staroświecka lampa gazowa, rzucając migotliwe światło na korytarz. Wszystko wyglądało tak, jak to pamiętał Harry - upiornie. Wszędzie było widać pajęczyny, a skrzacie głowy rzucały dziwne cienie na klatkę schodową. Długie, ciemne zasłony ukrywały portret matki Syriusza. Jedyne, co nie pasowało, to przewrócony stojak na parasole zrobiony z nogi trolla, zupełnie tak, jakby znowu potknęła się o niego Tonks.

- Myślę, że ktoś tu był - wyszeptała Hermiona, wskazując stojak.

- Ktoś mógł to wywrócić, gdy Zakon się wyprowadzał - mruknął Ron.

- Więc gdzie są te klątwy rzucone przeciw Snape'owi? - spytał Harry.

- Może się uruchamiają tylko jak on się pojawi? - zasugerował Ron.

Jednak dalej stali przy samym wejściu, plecami opierając się o drzwi i bojąc się wejść dalej.

- Cóż, nie możemy tak wiecznie stać - stwierdził w końcu Harry i postąpił krok do przodu.

- *Severus Snape?* - szepnął głos Szalonookiego Moody'ego.

Cała trójka podskoczyła, przestraszona.

- Nie jesteśmy Snape'em! - zachrypiał Harry, zanim owionął go podmuch zimnego powietrza, a jego język zawinął się do tyłu, uniemożliwiając mu mówienie. Zaraz jednak rozwinął się ponownie. Pozostała dwójka również doświadczyła podobnego, nieprzyjemnego uczucia. Ron wydawał odgłosy, jakby miał odruchy wymiotne.

- To m - musiała być k - klątwa wiążąca j - język, którą Szalonooki zastawił na Snape'a! - wyjąkała Hermiona.

Harry zrobił ostrożnie kolejny krok. Coś poruszyło się w cieniu na końcu korytarza. Zanim którekolwiek z nich zdążyło się odezwać, z dywanu podniosła się postać: wysoka, szarawa i przerażająca. Hermiona wrzasnęła, podobnie pani Black - zasłony rozsunęły się

i odsłoniły jej portret. Szara postać sunęła w ich stronę coraz szybciej i szybciej. Jej broda i długie do pasa włosy powiewały. Jej twarz była bezcielesna, z pustymi oczodołami. Potwornie znajoma, lecz straszliwie zmieniona. Zjawa uniosła wyniszczone ramię i wskazała na Harry'ego.

- Nie! - krzyknął Harry i uniósł różdżkę, jednak nie przyszło mu na myśl żadne zaklęcie. - Nie! To nie byliśmy my! Nie my pana zabiliśmy...

Na słowo „zabiliśmy" eksplodowała, pozostawiając po sobie ogromną chmurę dymu. Harry, kaszląc, rozejrzał się załzawionymi oczami. Hermiona kuliła się na podłodze przy drzwiach, obejmując głowę ramionami. Ron, trzęsąc się cały, poklepywał ją niezdarnie po ramieniu i powtarzał:

- Już dobrze... Już go nie ma...

Kurz, wirujący wokół Harry'ego, w niebieskim świetle lampy gazowej sprawiał wrażenie mgły. Pani Black nadal krzyczała.

- *Szlamy, plugastwa, plamy na honorze, hańba dla domu mych przodków...*

- ZAMKNIJ SIĘ! - wrzasnął Harry, wskazując na nią różdżką. Zasłony, wśród czerwonych iskier, opadły z hukiem, uciszając ją.

- To... To był... - zaskamlała Hermiona, gdy Ron pomógł jej wstać.

- Taak - przyznał Harry - ale to nie był tak naprawdę on, prawda? Tylko coś do przestraszenia Snape'a.

Harry zastanowił się, czy to zadziałało, czy też może Snape wysadził w powietrze przerażającą zjawę z taką samą swobodą, z jaką zabił prawdziwego Dumbledore'a. Nadal mając napięte nerwy, chłopak wpuścił pozostałą dwójkę dalej do korytarza. Spodziewał się, że zaraz pojawią się nowe horrory, ale nic się nie poruszyło, poza myszą biegnącą wzdłuż listwy podłogowej.

- Myślę, że zanim pójdziemy choćby krok dalej, powinniśmy najpierw sprawdzić - szepnęła Hermiona i wyciągnęła różdżkę. - *Homenum revelio*.

Nic się nie wydarzyło.

- No cóż, właśnie przeżyłaś wielki szok - stwierdził życzliwie Ron. - Co to niby miało zrobić?

- Zrobiło to, co miało! - odparła z irytacją Hermiona. - To zaklęcie miało ujawnić obecność ludzi i nikogo poza nami tu nie ma!

- Prócz tego pana, co w proch się obrócił - dodał Ron, spoglądając na fragment dywanu, z którego wstał truposz.

- Chodźmy dalej - powiedziała Hermiona, ze strachem patrząc w to samo miejsce, i po skrzypiących schodach weszła do salonu na górze.

Machnięciem różdżki zapaliła stare, gazowe lampy i, drżąc lekko w przeciągu, usiadła na sofie, otulając się mocno rękoma. Ron podszedł do okna i lekko uchylił ciężkie, aksamitne zasłony.

- Nikogo nie widać - doniósł. - I myślę, że gdyby Namiar Harry'ego nadal działał, przyszliby tu za nami. Wiem, że nie mogą dostać się do domu, ale... Co jest, Harry?

Harry krzyknął z bólu. Znowu zapiekła go blizna, gdy coś błysnęło w jego myślach, niczym jasne światło na wodzie. Zobaczył wielki cień i poczuł ogarniającą go obcą wściekłość, ostrą i krótką jak porażenie prądem.

- Co zobaczyłeś? - zapytał Ron, podchodząc do niego. - Zobaczyłeś, co u mnie...?

- Nie, czułem tylko gniew... Jest naprawdę zły...

- Mogło chodzić o ucieczkę z Nory - stwierdził głośno Ron. - Co jeszcze? Nic nie widziałeś? Rzucał na kogoś zaklęcia?

- Nie, czułem tylko gniew... Nie mogłem stwierdzić...

Harry był udręczony i zagubiony. Hermiona nie pomogła mu, mówiąc przestraszonym głosem:

- Znowu twoja blizna? Co się dzieje? Myślałam, że połączenie się zamknęło!

- Na jakiś czas - odmruknął Harry. Nadal czuł ból, a to przeszkadzało mu się skoncentrować. - Ja... Myślę, że znowu zaczęło się otwierać, gdy traci kontrolę, tak było...

- Ale to znaczy, że musisz zamknąć umysł! - odrzekła ostro. - Harry, Dumbledore nie chciał, abyś używał tego połączenia. Chciał, żebyś je zamknął. Do tego miałeś używać oklumencji! Inaczej Voldemort może przesłać ci fałszywe obrazy, pamiętasz...

- Taak, pamiętam, dzięki - wycedził Harry przez zaciśnięte zęby. Nie potrzebował do tego Hermiony, by wiedzieć, że Voldemort już raz wykorzystał połączenie między nimi, by zwabić go w pułapkę, ani że w wyniku tego zginął Syriusz. Żałował, że powiedział im, co zobaczył i poczuł. Przez to Voldemort wydawał się tylko groźniejszy, jakby przywarł do okna pokoju, a ból wzrastał. Walka z nim przypominała próbę powstrzymania ataku nudności.

Odwrócił się plecami do przyjaciół, udając, że przygląda się staremu, wiszącemu na ścianie gobelinowi, przedstawiającemu drzewo genealogiczne rodziny Blacków. Nagle Hermiona krzyknęła, Harry wyciągnął różdżkę, odwracając się. Przez okno do pokoju wleciał srebrny patronus. Wylądował na podłodze przed nimi, przybrał postać łasicy i przemówił głosem ojca Rona:

- Rodzina jest bezpieczna. Nie odpowiadajcie. Obserwują nas.

Patronus rozpłynął się w powietrzu. Ron wydał dźwięk, będący czymś między skomleniem a jękiem i opadł na sofę. Hermiona dołączyła do niego, chwytając go za ramię.

- Nic im nie jest, nic im nie jest! - szeptała. Ron śmiał się i przytulał ją.

- Harry - powiedział ponad ramieniem Hermiony. - Ja...

- W porządku - odparł Harry. Ból przyprawiał go o mdłości. - To twoja rodzina, oczywiście, że się martwiłeś. Czułbym to samo. - Pomyślał o Ginny. - *Czuję* to samo.

Ból zbliżał się do jego granicy wytrzymałości, paląc tak, jak wtedy w ogrodzie Nory. Harry ledwo usłyszał, jak Hermiona mówi:

- Nie chcę być sama. Możemy spać dzisiaj tutaj w śpiworach, które ze sobą zabrałam?

Słyszał, jak Ron się zgadza. Harry nie mógł już dłużej walczyć z bólem. Musiał ulec.

- Łazienka - mruknął, opuszczając pokój tak szybko jak się dało, niemal biegiem.

Ledwo mu się udało. Zamknął za sobą drżącymi rękoma drzwi, chwycił się za głowę i upadł na podłogę. W eksplozji bólu poczuł jak obca furia opanowuje jego duszę. Zobaczył podłużny pokój, oświetlony jedynie przez ogień płonący w kominku, wielkiego blondyna - śmiercionośnego wijącego się z krzykiem na podłodze i mniejszą postać stojącą nad nim z wyciągniętą różdżką. Harry przemówił wysokim, zimnym, bezlitosnym głosem:

- Więcej, Rowle, czy mamy skończyć i nakarmić tobą Nagini? Lord Voldemort nie jest pewny, czy tym razem wybaczy... Wezwałeś mnie z powrotem, by powiedzieć mi, że Harry Potter znowu uciekł? Draco, okaż Rowle'owi moje niezadowolenie... Zrób to, albo sam poczujesz mój gniew!

W palenisku spadło płonące polano. Płomień buchnął w górę, rzucając światło na przerażoną, trójkątną, bladą twarz. Czując się, jakby wynurzał się z głębokiej wody, Harry wziął kilka głębokich oddechów i otworzył oczy.

Leżał rozciągnięty na zimnej podłodze z czarnego marmuru. Nos miał tuż przy ogonie jednego ze srebrnych węży, podtrzymujących ogromną wannę. Usiadł. Miał wrażenie, że po wewnętrznej stronie jego powiek został wypalony obraz wynędzniałej, sparaliżowanej strachem twarzy Malfoya. Było mu niedobrze przez to, co zobaczył. Przez to, w jaki sposób Voldemort wykorzystywał teraz Dracona.

Rozległo się pukanie do drzwi. Harry drgnął, gdy usłyszał głos Hermiony.

- Harry, chcesz swoją szczoteczkę do zębów? Mam ją tutaj.

- Tak, świetnie, dzięki - odparł, starając się, aby jego głos brzmiał naturalnie. Wstał i wpuścił dziewczynę do środka.

Rozdział 10
Opowieść Stworka

Tłumaczenie: Śmiertelny Rogal i Bóbr Remusa

Harry obudził się wcześnie tego ranka, owinięty śpiworem, leżąc na podłodze w salonie. Szpara w zasłonach ukazywała skrawek nieba w kolorze rozwodnionego atramentu, jak zawsze między nocą a świtem. Wszechobecną ciszę przerywały tylko powolne, głębokie oddechy Rona i Hermiony. Spojrzał na podłogę tuż obok siebie, gdzie ciała jego przyjaciół tworzyły ciemne kształty. Wczoraj Ron, w nagłym napadzie galanterii uznał, że Hermiona powinna spać na poduszkach z sofy, więc dziewczyna leżała wyżej. Jej ręka leżała na podłodze, a palce znajdowały się tylko kilka centymetrów od dłoni Rona. Harry zastanawiał się, czy usnęli trzymając się za ręce. Sama myśl o tym sprawiła, że poczuł się dziwnie samotny.

Popatrzył na zacieniony sufit i pokryty pajęczyną żyrandol. Zaledwie kilkanaście godzin temu stał w słońcu u wejścia do wielkiego namiotu, czekając, by poprowadzić gości na ich miejsca. A jednak wydawało się, że było to tak dawno temu. Co się teraz stanie? Leżał na podłodze, rozmyślając o horkruksach, zatrważającym i złożonym zadaniu, które mu zostawił Dumbledore... Dumbledore...

Smutek, jaki go opanował po śmierci dyrektora, odczuwał teraz inaczej. Miał wrażenie, jakby oskarżenia, które usłyszał na weselu z ust Muriel, zagnieździły mu się głęboko w umyśle. Niczym wirus atakowały jego wspomnienia, dotyczące czarodzieja, który był dla niego wzorem. Czy Dumbledore świadomie pozwoliłby na to wszystko? Czy był jak Dudley, który z zadowoleniem przyglądał się zaniedbaniom i nadużyciom, dopóki nie dotyczyły go osobiście? Czy mógłby odwrócić się od swojej siostry, kiedy była więziona i ukrywana przed światem?

Harry pomyślał o Dolinie Godryka i grobach, o których Dumbledore nigdy wcześniej nie wspominał. Wzbierało w nim oburzenie na myśl o tajemniczych przedmiotach, przekazanych im w testamencie bez żadnego wyjaśnienia. Dlaczego nic nie powiedział? Dlaczego nie wytłumaczył? Czy Dumbledore'owi w ogóle zależało na Harrym? Czy może w jego oczach był tylko narzędziem, które trzeba było naostrzyć i wypolerować? Narzędziem, któremu nie można ufać, któremu nie można się zwierzać?

Chłopak nie mógł już znieść leżenia na podłodze z przykrymi myślami jako jedynym towarzystwem. Czując rozpaczliwą potrzebę zajęcia się czymkolwiek, oderwania od nieprzyjemnych rozważań, wyślizgnął się ze śpiwora i cicho opuścił pokój. Gdy był

przy podeście schodów, wyszeptał *„Lumos!”* i przyświecając sobie różdżką, zaczął wchodzić na górę.

Na drugim piętrze znajdowała się sypialnia, którą zajmowali z Ronem podczas ostatniego pobytu na Grimmauld Place. Zajrzał do środka. Szafa była otwarta, a łóżka odarte z pościeli. Harry przypomniał sobie leżącą na parterze, przewróconą nogę trolla. Ktoś najwyraźniej przeszukał dom po tym, jak Zakon się stąd wyniósł. Snape? A może Mundungus, który grabił ten dom nawet w czasie, kiedy Syriusz jeszcze żył? Chłopak spojrzał na portret odwiedzany czasem przez Fineasa Nigellusa Blacka - prapradziadka Syriusza - jednak w ramach widniało tylko ciemne tło. Wyglądało na to, że postać z obrazu spędzała tę noc w gabinecie dyrektora Hogwartu.

Pokonując schody, Harry dotarł w końcu na ostatnie piętro, gdzie znajdowało się tylko dwoje drzwi. Na tych, przed którymi stał, wisiała tabliczka z imieniem „Syriusz”. Jeszcze nigdy nie był w sypialni swojego ojca chrzestnego. Otworzył drzwi, trzymając wysoko różdżkę, by oświetlić jak największą przestrzeń.

Przestronny pokój kiedyś musiał być bardzo piękny. Znajdowało się w nim olbrzymie łóżko z rzeźbionym zagłówkiem, wysokie okno z aksamitnymi zasłonami oraz zakurzony kandelabr z ciągle wetkniętymi weń świecami, z których zaschnięty wosk zwisał jak sople lodu. Całkiem pokaźna warstwa kurzu pokrywała także zdjęcia na ścianach oraz wezgłowie łóżka. Pomiędzy kandelabrem a wielką drewnianą szafą jakiś pająk utkał pajęczynę, a gdy Harry wszedł dalej, usłyszał szelest uciekających myszy. Nastoletni Syriusz poprzyklejał tak wiele plakatów i zdjęć do ścian, że srebrno - szary jedwab obić był spod nich prawie niewidoczny. Harry przyjął, że rodzice Syriusza nie byli w stanie zdjąć Zaklęcia Trwałego Przylepca, dzięki któremu zdjęcia trzymały się ścian. Nie przypuszczał, by akceptowali dekoratorski gust swego najstarszego syna. Wyglądało na to, że Syriusz swoimi dziwactwami robił na złość rodzinie. Wisiało tam także kilka wyblakłych, szkarłatno - złotych flag z godłem Gryffindoru - prawdopodobnie miały podkreślić jego odmienność od reszty ślizgońskiej rodziny. Gdzieniegdzie poprzyklejano zdjęcia mugolskich motocykli oraz (Harry w tym momencie był zmuszony podziwiać zuchwalstwo swojego ojca chrzestnego) kilka plakatów z dziewczynami w bikini. Po ich nieruchomych ciałach, wyblakłych uśmiechach i spojrzeniach, które jakby zamarły na papierze, Harry natychmiast zorientował się, że to mugolki. Wystrój pokoju mocno kontrastował z jedyną czarodziejską fotografią na ścianie. Zdjęciem, które przedstawiało czterech uczniów Hogwartu, trzymających się pod ręce, śmiejących do obiektywu.

Harry z wielką przyjemnością rozpoznał na nim swojego ojca, którego włosy sterczały na czubku zupełnie tak samo, jak jego własne. I on również nosił okulary. Obok Jamesa stał Syriusz, niedbale przystojny. Jego butna twarz była tak młoda i przejawiała tak wiele szczęścia, ile Harry jeszcze w życiu nie widział. Po prawej stronie młodego Blacka stał Pettigrew - o głowę od niego niższy, pulchny, z małymi, wodnistymi oczkami - uszczęśliwiony faktem, że James i Syriusz pozwolili mu dołączyć do najfajniejszej bandy w całej szkole. Po lewej stronie Jamesa stał Remus - nawet wtedy wyglądał marnie. On też wydawał się być szczęśliwie zaskoczony faktem, że był lubiany i zaakceptowany w grupie... a może Harry widział to wszystko na zdjęciu tylko dlatego, iż *wiedział*, że tak naprawdę było? Chciał zdjąć fotografię ze ściany - w końcu, po tym, jak Syriusz zostawił mu wszystko, należała teraz do niego - ale, niestety, ani drgnęła. Syriusz zabezpieczył pokój przed jakimikolwiek próbami remontu ze strony jego rodziców.

Chłopak rozejrzał się dookoła, oglądając podłogę. Na zewnątrz zrobiło się jaśniej, snop porannego światła wdarł się do pokoju, ukazując oczom Harry’ego skrawki papieru, książki i małe przedmioty porozrzucane po całej powierzchni dywanu. Najwyraźniej sypialnia Syriusza także została gruntownie przeszukana, aczkolwiek jej zawartość osobie, która czegoś tu szukała, musiała się wydać całkowicie bezwartościowa. Kilka książek było tak brutalnie przetrząsanych, że ich okładki oderwały się, by dokonać żywota z całą resztą papierów, walających się wszędzie.

Harry pochylił się, zebrał kilka skrawków papieru i przyjrzał im się. W jednym z nich rozpoznał fragment starej edycji *„Historii Magii”* Bathildy Bagshot, a w drugim stronę z instrukcji obsługi motocykla. Trzeci natomiast był zapisany ręcznie i pognieciony. Wyprostował go i zaczął czytać.

Drogi Łapo!

Bardzo, bardzo Ci dziękuję za urodzinowy prezent dla Harry'ego! Jak do tej pory twój spodobał mu się najbardziej. Ma dopiero roczek, a już śmiga na zabawkowej miotle. Był taki z siebie zadowolony! Dołączam zdjęcie, żebyś mógł sam zobaczyć. Doskonale wiesz, że może wznieść się na wysokość tylko pół metra, ale to nie przeszkodziło mu w przeprowadzeniu niemalże udanego zamachu na życie kota oraz w rozbiciu tego wstrętnego wazonu, który Petunia przysłała mi na święta (to akurat żadna strata). A James oczywiście uważa to za strasznie śmieszne - twierdzi, że Harry będzie świetnym graczem w quidditcha. Musieliśmy pochować wszystkie ozdoby; trzeba cały czas mieć małego na oku, kiedy wsiada na tę miotłę.

Spędziliśmy jego urodziny bardzo skromnie - przy herbacie, razem ze starą Bathildą, która zawsze jest dla nas miła i poza Harrym świata nie widzi. Strasznie nam przykro, że nie mogłeś przyjść, ale sprawy Zakonu mają pierwszeństwo, a Harry i tak nie zdaje sobie sprawy, że to jego urodziny! James próbuje tego nie okazywać, ale widzę, że to zamknięcie daje mu się we znaki, zwłaszcza, że Dumbledore nadal ma jego pelerynę - niewidkę, więc nie ma żadnych szans nawet na wymknięcie się z domu. Jeżeli mógłbyś nas odwiedzić, to na pewno poprawiłoby mu humor. Glizdek był u nas w zeszły weekend. Wydawało mi się, że był trochę przybity, ale to pewnie przez wiadomość o McKinnonach. Płakałam przez cały wieczór, jak się o tym dowiedziałam.

Bathilda bardzo często do nas wpada. Te jej opowieści o Dumbledorze strasznie mnie fascynują! Przypuszczam, że nie byłby zbyt zadowolony, gdyby się o tym dowiedział. Nie wiem, na ile powinnam wierzyć, bo przecież to takie niewiarygodne, że Dumbledore

Ciało chłopaka jakby nagle zastygło. Stał zupełnie nieruchomo, trzymając cudowny skrawek papieru w odrętwiałych palcach, podczas gdy w środku czuł coś rodzaju cichej eksplozji, która słała radość i żal w równych proporcjach poprzez jego żyły. W końcu zatoczył się w stronę łóżka i usiadł.

Przeczytał list jeszcze raz, ale nie zrozumiał z niego więcej niż za pierwszym razem i po prostu gapił się na charakter pisma. Jego mama pisała „g" tak samo jak on. Wyszukiwał wszystkie te litery w tekście i każda kolejna napełniała go poczuciem, jakby to matka machała do niego przyjaźnie zza tej kartki papieru. List stał się właśnie niezwykłym skarbem - dowodem na to, że Lily Potter żyła, naprawdę istniała, że jej ciepła dłoń kiedyś przesuwała się po tym pergaminie, pisząc atramentem wszystkie te litery, te słowa, słowa o nim - Harrym, jej synu.

Niecierpliwie wycierając wilgoć z oczu, przeczytał list raz jeszcze, tym razem koncentrując się na jego treści. Było tak, jakby, słuchał znajomego głosu.

Mieli kota... być może także zginął, jak rodzice Harry'ego, w Dolinie Godryka... albo może uciekł, gdy nie było nikogo, kto mógłby go karmić... Syriusz kupił Harry'emu pierwszą miotłę... Rodzice znali Bathildę Bagshot; może Dumbledore ich sobie przedstawił? *Dumbledore nadal ma jego pelerynę - niewidkę*... Coś tutaj nie gra...

Zastanowił się przez chwilę nad słowami matki. Dlaczego Dumbledore wziął pelerynę - niewidkę Jamesa? Harry przypomniał sobie z trudem, jak dyrektor powiedział mu przed laty: *„Nie muszę mieć peleryny, żeby stać się niewidzialnym."* Może jakiś mniej utalentowany członek Zakonu potrzebował pomocy peleryny i Dumbledore był tylko doręczycielem? Chłopak czytał dalej.

***Glizdek był u nas...* Pettigrew - zdrajca wyglądał na „przybitego", tak? Był świadom tego, że widzi Jamesa i Lily żywych po raz ostatni?**

I w końcu Bathilda, która opowiadała niestworzone historie o Dumbledorze: *przecież to takie niewiarygodne, że Dumbledore...*

„Że Dumbledore" co? Ale, niestety, mogło być wiele zakończeń tego zdania - wszystkie tak samo niewiarygodne, na przykład, że Albus otrzymał kiedyś najniższą ocenę z testu z transmutacji, albo że zajął się eksperymentowaniem zaklęć na kozach, jak Aberforth...

Harry wstał i omiótł wzrokiem podłogę, szukając dalszej części listu. Przerzucał papiery, w pośpiechu poświęcając im tyle samo uwagi, co człowiek, który przeszukał ten

pokój przed nim. Wyciągał otwarte szuflady, przetrząsał książki, stanął nawet na krześle, żeby przesunąć ręką po szafie i wpełzł pod łóżko oraz fotel.

W końcu, leżąc z twarzą przy ziemi, zauważył pod komodą coś, co wyglądało jak przedarty kawałek papieru. Kiedy udało mu się go wyciągnąć, okazało się, że to spora część starej fotografii, którą Lily opisała w liście. Czarnowłose dziecko pojawiało się i znikało ze zdjęcia, latając na maleńkiej miotle i najwyraźniej śmiejąc się na całe gardło, a za nim biegała para nóg, które musiały należeć do Jamesa. Harry schował zdjęcie do kieszeni razem z listem matki i kontynuował poszukiwania.

Jednak po kolejnym kwadransie zmuszony był przyznać, że reszty listu jego matki po prostu nigdzie nie ma. Czy zaginęła przez te szesnaście lat od chwili napisania, czy może zabrał ją ten, kto był tutaj niedawno, przetrząsając cały dom? Przeczytał jeszcze raz pierwszą stronę listu, tym razem szukając jakichś wskazówek, które mogłyby mu podpowiedzieć, czy druga część była w jakiś sposób cenna. Przecież jego zabawkowa miotła nie mogła być niczym wartościowym dla śmierciożerców... Jedyną potencjalnie użyteczną informacją, którą mógł wywnioskować, była wzmianka o Dumbledorze. *Przecież to takie niewiarygodne, że Dumbledore...* ale że co?

- Harry? Harry! *Harry!*

- Jestem tutaj! - krzyknął. - Co się stało?

Za drzwiami słyszeć się dało tupanie po schodach i do środka wpadła Hermiona.

- Obudziliśmy się i nie wiedzieliśmy, gdzie się podziałeś! - wydyszała, po czym odwróciła się i krzyknęła przez ramię: - Ron! Znalazłam go!

Zdenerwowany głos Rona odbijał się echem przez wszystkie niższe piętra.

- Dobra! Przekaż mu, że jest dupkiem!

- Harry, proszę, nie znikaj tak bez uprzedzenia, przeraziliśmy się! Tak w ogóle, to po co tutaj wszedłeś? - Rozejrzała się po zdemolowanym pokoju. - Co robiłeś?

- Zobacz, co znalazłem.

Wyciągnął w jej stronę list Lily. Dziewczyna zaczęła czytać, a Harry jej się przyglądał. Kiedy skończyła, podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Och, Harry...

- I jeszcze to.

Podał jej uszkodzoną fotografię, a Hermiona uśmiechnęła się, widząc ruchliwe dziecko na małej miotełce.

- Szukałem reszty listu - powiedział - ale go tu nie ma.

Hermiona spojrzała wokoło.

- Sam narobiłeś tyle bałaganu, czy tak już było, jak przyszedłeś?

- Ktoś już tutaj czegoś szukał przede mną - odpowiedział.

- Tak myślałam. W każdym pokoju, do którego zaglądałam, szukając cię, jest jeszcze większy nieład. Jak myślisz, po co przyszedł?

- Po informacje dotyczące Zakonu. Jeżeli to był Snape.

- Ale przecież miał wszystkie potrzebne informacje jak na tacy. To znaczy, on przecież był członkiem Zakonu, nie?

- No cóż... - rzekł Harry. Bardzo chciał przedyskutować z kimś swoją teorię. - Może chodziło mu o informacje o Dumbledorze? Na przykład te w drugiej części listu. Wiesz, to o czym mówiła ta Bathilda, którą wspomina moja mama. Wiesz kim ona jest?

- Kto?

- No, Bathilda Bagshot, autorka...

- "Historii Magii" - dokończyła Hermiona, patrząc na niego z zainteresowaniem. - Twoi rodzice ją znali? Była niesamowitym historykiem.

- Nadal żyje. I mieszka w Dolinie Godryka. Ciotka Rona, Muriel, opowiadała o niej na weselu. Znała też rodzinę Dumbledore'a. Fajnie by było z nią pogadać, nie?

W uśmiechu Hermiony było jednak trochę za wiele zrozumienia, żeby Harry dobrze się z tym czuł. Odebrał jej list i zdjęcie, chowając je do sakiewki zawieszonej na szyi, aby tylko nie patrzeć na Hermionę i nie zdradzić się spojrzeniem.

- Rozumiem, dlaczego chciałbyś z nią porozmawiać o swoich rodzicach, a może też i o Dumbledorze - rzekła do niego. - Ale to by nam wcale nie pomogło przy szukaniu horkruksów, prawda? - Nie odpowiedział na to pytanie, więc kontynuowała: - Wiem, że strasznie chcesz jechać do Doliny Godryka, ale ja się boję... Boję się, bo tak szybko tych

dwóch śmierciożerców nas wczoraj znalazło. To mnie utwierdza w przekonaniu, że powinniśmy omijać miejsce, gdzie pochowani są twoi rodzice. Jestem pewna, że śmierciożercy tylko czekają, aż się tam pojawisz.

- Nie tylko o to chodzi - powiedział Harry, ciągle unikając jej wzroku. - Muriel mówiła na weselu różne rzeczy o Dumbledorze. Ja tylko chcę znać prawdę...

Opowiedział jej wszystko, co usłyszał wczoraj od starej czarownicy. Kiedy skończył, Hermiona odezwała się:

- Jasne, rozumiem, to mogło cię zdenerwować, Harry...

- Nie jestem zdenerwowany - skłamał. - Ja po prostu chciałbym wiedzieć, czy to, co powiedziała jest prawdą, czy...

- Myślisz, że taka stara jędza, jaką bez wątpienia jest Muriel, powiedziałaby prawdę? Albo czy Rita Skeeter nie skłamałaby? Jak możesz im wierzyć? Znałeś Dumbledore'a!

- Myślałem, że go znałem - wymamrotał.

- Sam wiesz, ile prawdy o tobie pisała Rita! Doge ma rację, jak możesz pozwalać tym ludziom, by tak po prostu szargali twoje wspomnienia o Dumbledorze?

Uciekł wzrokiem, próbując nie okazać, jak bardzo jest wzburzony. I znowu to samo: sam wybierz, w co uwierzyć. A on chciał prawdy. Dlaczego wszyscy tak bardzo go przekonywali, żeby po nią nie sięgał?

- Zejdziemy na dół do kuchni? - zaproponowała Hermiona po chwili. - Może znajdziemy coś na śniadanie?

Zgodził się, choć niechętnie, i wymaszerował za nią na korytarz, mijając po drodze drzwi do drugiego pokoju na tym piętrze. Widniały na nich głębokie rysy w farbie, tuż pod małą tabliczką, której przedtem w ciemnościach nie zauważył. Zatrzymał się na szczycie schodów, by ją odczytać. Była to pompatyczna, mała plakietka ze starannie, ręcznie wykaligrafowanym napisem w stylu Percy'ego Weasleya:

Nie wchodzić
Bez wyraźnego pozwolenia
Regulusa Arcturusa Blacka

Harry'ego przeszedł dreszcz ekscytacji, ale nie od razu zdał sobie sprawę, dlaczego. Przeczytał jeszcze raz. Hermiona była już na półpiętrze.

- Hermiono - powiedział i z zaskoczeniem zauważył, jak spokojny jest jego głos. - Wracaj tutaj.

- O co chodzi?

- R.A.B. Myślę, że go znalazłem.

Przez chwilę słychać było sapanie i zaraz potem Hermiona wbiegła na górę.

- W liście twojej mamy? Ale ja nie widziałam...

Harry potrząsnął głową, wskazując na plakietkę Regulusa. Przeczytała ją i chwyciła Harry'ego za ramię tak mocno, że aż się skrzywił.

- Brat Syriusza? - wyszeptała.

- Syriusz mówił, że Regulus był śmierciożercą. Dołączył do nich, kiedy był bardzo młody. Potem się chyba tego przestraszył i próbował odejść, więc go zabili.

- To pasuje! - sapnęła Hermiona. - Jeśli był śmierciożercą, miał dostęp do Voldemorta i jeżeli się rozczarował, mógł chcieć go pogrążyć!

Puściła Harry'ego, wychyliła się przez poręcz i krzyknęła:

- Ron! RON! Chodź tu, szybko!

Ron zjawił się minutę później, dysząc, z różdżką w dłoni.

- O co chodzi? Jeśli to znowu ogromne pająki, najpierw chciałbym zjeść śniadanie...

Zmarszczył brwi, patrząc na tabliczkę na drzwiach pokoju Regulusa, pokazywaną przez milczącą Hermionę.

- Co? To był brat Syriusza, nie? Regulus Arcturus... Regulus... R.A.B.! Medalion! Nie sądzicie, że...

- Sprawdźmy to - oznajmił Harry. Popchnął drzwi; były zamknięte. Hermiona wskazała różdżką klamkę i powiedziała *„Alohomora”*, po czym zabrzmiało ciche „klik” i drzwi stanęły otworem.

Razem przeszli przez próg, rozglądając się dookoła. Sypialnia Regulusa była nieco mniejsza, niż ta należąca Syriusza, choć była utrzymana w tym samym stylu staroświeckiej wzniosłości. Podczas gdy Syriusz starał się jak najbardziej oddzielić od reszty rodziny, Regulus zdawał się dążyć do czegoś zupełnie przeciwnego. Szmaragd i srebro Slytherinu były wszędzie, okrywając łóżko, ściany i okna. Nad łóżkiem starannie namalowano herb rodu Blacków, wraz z mottem: *Toujours Pur*. Poniżej widniała kolekcja żółtych wycinków z gazet, sklejonych razem tak, że tworzyły nierówny kolaż.

- Wszystkie dotyczą Voldemorta - powiedziała Hermiona. - Zdaje się, że Regulus był jego wielbicielem wiele lat przed dołączeniem do śmierciożerców...

Z posłania wzbił się mały obłoczek kurzu, kiedy siadała, by przeczytać wycinki. W międzyczasie Harry zauważył kolejne zdjęcie; z ramki machała uśmiechnięta hogwarcka drużyna quidditcha. Przysunął się i dostrzegł węże zdobiące ich piersi - Slytherin. Regulusa można było rozpoznać błyskawicznie - chłopiec siedzący w środku pierwszego rzędu: miał równie czarne włosy i nieco wyniosły wygląd, jak jego brat, choć był nieco niższy i raczej mniej przystojny niż Syriusz.

- Był szukającym - powiedział Harry.

- Co? - mruknęła Hermiona niewyraźnie. Wciąż była pogrążona w artykułach o Voldemorcie.

- Siedzi w środku pierwszego rzędu, na miejscu szukającego... nieważne - urwał Harry, zdając sobie sprawę, że nikt tak naprawdę nie słucha; Ron na kolanach szukał czegoś pod szafą. Rozejrzał się za miejscami, które wyglądały na takie, gdzie można coś schować i podszedł do biurka. Znowu ktoś przeszukał je przed nim. Zawartość szuflady była wywrócona do góry nogami, ale w środku nie znajdowało się nic wartościowego: stare pióra, przestarzałe podręczniki, noszące ślady niedelikatnego traktowania, niedawno stłuczona buteleczka atramentu, której lepka zawartość pokrywała resztę przedmiotów.

- Jest prostszy sposób - oznajmiła Hermiona, kiedy Harry wycierał brudne palce o jeansy. Uniosła różdżkę i powiedziała: - *Accio medalion!*

Nic się nie stało. Ron, który przeszukiwał fałdy wyblakłych zasłon, wyglądał na rozczarowanego.

- I to tyle? Nie ma go tutaj?

- Och, wciąż może tu być, ale pod antyzaklęciem - wyjaśniła Hermiona. - Wiecie, urokiem zapobiegającym magicznemu przywoływaniu.

- Takim, jaki Voldemort rzucił na kamienną misę w jaskini - powiedział Harry, przypomniawszy sobie swoją niezdolność do przywołania fałszywego medalionu.

- To niby jak mamy go znaleźć? - spytał Ron.

- Poszukamy ręcznie - odparła Hermiona.

- Dobry pomysł - rzekł, przewracając oczami i powrócił do przeszukiwania zasłon.

Przez godzinę przeczesywali każdy cal pokoju i w końcu uznali, że medalionu jednak tam nie ma. Słońce wzeszło ostatecznie, a jego światło oślepiało nawet przez zabrudzone okna na półpiętrach.

- Równie dobrze może być gdzieś indziej w domu - oznajmiła Hermiona z ożywieniem, gdy schodzili po schodach. Im bardziej Harry i Ron stawali się zniechęceni, tym ona wydawała się jeszcze bardziej zdeterminowana. - Niezależnie od tego, czy udało mu się go zniszczyć, czy nie, chciałby utrzymać go w ukryciu przed Voldemortem. Pamiętacie te wszystkie okropne rzeczy, których musieliśmy się stąd pozbyć ostatnim razem? Zegar, który strzelał sworzniami we wszystkich, stare ubrania, które próbowały udusić Rona? Regulus mógł zostawić je, żeby strzegły miejsca ukrycia medalionu, nawet jeśli wtedy nie zdawaliśmy sobie... sobie...

Harry i Ron spojrzeli na nią. Stała z jedną stopą w powietrzu, zawieszoną nad stopniem, z głupim wyrazem twarzy osoby, na którą właśnie rzucono *Oblivate*.

- ...sobie z tego sprawy - dokończyła szeptem.

- Coś nie tak? - zapytał Ron.

- Tam był medalion.

- Co? - spytali jednocześnie Harry i Ron.

- W komodzie w salonie. Nikt nie mógł go otworzyć, a my... my...

Harry poczuł się, jakby cegła zsunęła mu się z klatki piersiowej do żołądka. Pamiętał: nawet trzymał ten przedmiot, kiedy go sobie podawali, a każdy próbował go otworzyć. Został wyrzucony do śmieci, razem z tabakierką z Brodawkolepem i pozytywką, przez którą wszyscy robili się senni...

- Stworek zwędził nam mnóstwo tych rzeczy - powiedział Harry. To była jedyna szansa, niewielka nadzieja, która im pozostała, a on miał zamiar się jej trzymać, dopóki nie zmuszą go do czegoś innego. - Miał całą skrytkę pełną klamotów w szafce, w kuchni. Chodźcie.

Zbiegł po schodach, przeskakując co drugi stopień, a pozostała dwójka hałasowała, podążając jego śladem. Narobili tyle hałasu, że zbudzili portret matki Syriusza, gdy przechodzili przez hol.

- Szumowiny! Szlamy! - krzyczała za nimi, gdy schodzili do kuchni w piwnicy i zatrzaskiwali drzwi za sobą.

Harry przebiegł przez pomieszczenie, dopadł szafki Stworka i szarpnął za drzwiczki, które stanęły przed nim otworem. W środku było gniazdo wymoszczone starymi, brudnymi kocami, na których skrzat domowy niegdyś sypiał, ale już nie błyszczały wśród nich świecidełka, które ukradł. Jedyną rzeczą, która się tam jeszcze znajdowała, był stary egzemplarz „Szlachectwa naturalnego, czyli genealogii prawdziwych czarodziejów". Nie wierząc własnym oczom, Harry złapał za koce i potrząsnął nimi. Wypadła z nich martwa mysz i potoczyła się posępnie po kuchennej podłodze. Ron jęknął, opadając na krzesło, a Hermiona zamknęła oczy.

- To jeszcze nie koniec - powiedział Harry i podniósł głos, wołając: - STWOREK!

Rozległ się głośny trzask i skrzat domowy, którego Harry tak niechętnie odziedziczył po Syriuszu, pojawił się przed zimnym i pustym kominkiem; mały, połowy wzrostu człowieka. Jego blada skóra zwisała fałdami, a białe włosy obficie wyrastały z uszu, które wyglądały, jakby należały do nietoperza. Wciąż nosił brudne łachmany, w których widzieli go, gdy spotkali się po raz pierwszy, a pogardliwe spojrzenie skierowane ku Harry'emu pokazywało, że jego stosunek do właściciela zmienił się w takim samym stopniu, jak ubranie.

- Panie - zaskrzeczał Stworek ropuszym głosem i skłonił się nisko, mamrocząc do siebie: - Wrócił do domu mojej pani razem ze zdrajcą krwi Weasleyem i szlamą...

- Zabraniam ci nazywać kogokolwiek „zdrajcą krwi" albo „szlamą" - mruknął Harry. Uważał Stworka, wraz z jego ryjkowatym nosem i przekrwionymi oczami, za zło konieczne, nawet gdyby skrzat nie wydał Syriusza Voldemortowi.

- Mam do ciebie pytanie - oznajmił Harry, czując, że serce bije mu coraz szybciej - i wymagam prawdziwej odpowiedzi. Rozumiesz?

- Tak, panie - odparł Stworek, znów się kłaniając. Harry dostrzegł, że usta skrzata poruszały się bezgłośnie, formując przekleństwa, których teraz nie mógł już wypowiadać.

- Dwa lata temu - zaczął Harry, a jego serce łomotało pomiędzy żebrami - w salonie był duży, złoty medalion. Wyrzuciliśmy go. Zabrałeś go z powrotem?

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Stworek wyprostował się, żeby spojrzeć Harry'emu w twarz, po czym odpowiedział:

- Tak.

- Gdzie jest teraz? - spytał Harry z tryumfem w głosie, a Ron i Hermiona wyraźnie się ucieszyli.

Stworek zamknął oczy, jakby nie mógł znieść reakcji na jego następne słowa.

- Nie ma.

- Nie ma? - powtórzył Harry, a cała jego euforia znikła równie szybko, jak się pojawiła. - Co to znaczy, że nie ma?

Skrzat zadrżał i zakołysał się.

- Stworku - powiedział Harry gniewnie - rozkazuję ci...

- Mundungus Fletcher - zaskrzeczał skrzat, wciąż z zamkniętymi oczami. - Mundungus Fletcher ukradł wszystko: zdjęcia panienki Belli i panienki Cyzi, rękawiczki mojej pani, Order Merlina Pierwszej Klasy, kielichy z herbem rodowym, i... i...

Stworek łapał powietrze haustami: jego zapadnięta klatka piersiowa błyskawicznie unosiła się i opadała. Nagle otworzył oczy i wydał z siebie mrożący krew w żyłach wrzask:

- *I medalion, medalion panicza Regulusa! Stworek źle zrobił, Stworek nie wypełnił rozkazu!*

Harry zareagował natychmiast. Gdy Stworek rzucił się na pogrzebacz stojący przy palenisku, on wystartował w stronę skrzata, powalając go na ziemię. Krzyk Hermiony mieszał się z wrzaskami Stworka, ale Harry ryknął jeszcze głośniej: - Stworku, rozkazuję ci stać spokojnie!

Poczuł, jak skrzat zamiera i puścił go. Stworek leżał płasko na zimnej, kamiennej podłodze, a łzy tryskały z jego podkrążonych oczu.

- Harry, pozwól mu wstać! - wyszeptała Hermiona.

- Żeby mógł ukarać się pogrzebaczem? - prychnął Harry, klękając obok skrzata. - Nie sądzę. Okej, Stworku, powiedz prawdę: skąd wiesz, że Mundungus Fletcher ukradł medalion?

- Stworek go widział! - sapnął skrzat, a łzy spływały po jego ryjkowatym nosie, do ust pełnych szarawych zębów. - Stworek widział go wychodzącego z szafki Stworka, z rękami pełnymi skarbów Stworka. Stworek powiedział włamywaczowi, żeby przestał, ale Mundungus Fletcher zaśmiał się i u - uciekł...

- Powiedziałeś, że to medalion „panicza Regulusa" - wspomniał Harry. - Dlaczego? Skąd pochodził? I co miał z tym wspólnego Regulus? Stworku, usiądź i opowiedz mi wszystko, co wiesz o tym medalionie i wszystko, co miał z tym wspólnego Regulus!

Skrzat usiadł, zwinął się w kulkę, chowając mokrą twarz między kolana i zaczął się kiwać do przodu i do tyłu. Kiedy mówił, jego głos był przytłumiony, ale i tak wyraźny w cichej kuchni.

- Panicz Syriusz uciekł, nareszcie. Był niedobry i złamał serce mojej Pani. Ale panicz Regulus wiedział, co znaczy być Blackiem i członkiem rodu czystej krwi. Latami mówił o Czarnym Panu, który miał wyprowadzić czarodziejów z ukrycia, by rządzili Mugolami... I kiedy miał szesnaście lat, panicz Regulus dołączył do Czarnego Pana. Taki dumny, dumny, szczęśliwy, by służyć... I pewnego dnia, rok później, panicz Regulus wrócił, by zobaczyć Stworka. Panicz Regulus zawsze lubił Stworka. I panicz Regulus powiedział... powiedział...

Stary skrzat kiwał się szybciej, niż przedtem.

- Powiedział, że Czarny Pan potrzebuje skrzata.

- Voldemort potrzebował *skrzata*? - powtórzy Harry, oglądając się na Rona i Hermionę, którzy wyglądali na tak samo zdezorientowanych, jak on.

- O, tak - zajęczał Stworek. - I panicz Regulus zaoferował Stworka. To honor, mówił panicz Regulus, honor dla niego i dla Stworka, który musi być gotów, by zrobić cokolwiek Czarny Pan rozkaże... A potem w - wrócić do domu.

Stworek kiwał się coraz szybciej, a jego sapanie przerodziło się w szloch.

- Więc Stworek poszedł do Czarnego Pana. Czarny Pan nie powiedział Stworkowi, co będą robić, ale zabrał Stworka ze sobą do jaskini niedaleko morza. I dalej w jaskini była pieczara, a w pieczarze było wielkie, czarne jezioro...

Harry'emu zjeżyły się włosy na karku. Skrzeczący głos Stworka zdawał się nieść znad tego mrocznego jeziora. Widział, co wtedy się stało, tak wyraźnie, jakby tam był.

- Była łódź...

Oczywiście, że była. Harry wiedział o niej: małej, bladozielonej, zaczarowanej tak, by móc przetransportować jednego czarodzieja i jedną ofiarę na wysepkę pośrodku jeziora. Więc to tak Voldemort sprawdził zabezpieczenia horkruksa: zabierając ze sobą poddańcze stworzenie, domowego skrzata...

- Była tam m - misa wypełniona eliksirem, na wyspie. Cz - czarny Pan kazał Stworkowi go wypić...

Skrzat zadrżał od stóp do głów.

- Stworek wypił i kiedy wypił, zobaczył okropne rzeczy... Wnętrze Stworka płonęło... Stworek wołał na pomoc panicza Regulusa, żeby go ocalił, wołał panią Black, ale Czarny Pan się tylko śmiał... Kazał Stworkowi wypić cały eliksir... Wrzucił medalion do pustej misy... I nalał tam więcej eliksiru. I wtedy Czarny Pan odpłynął, zostawiając Stworka na wyspie...

Harry mógł sobie dokładnie wyobrazić, jak to wyglądało. Biała, wężowata twarz Voldemorta, znikająca w ciemnościach, czerwone oczy bezlitośnie patrzące na skrzata, którego śmierć mogła nastąpić w ciągu kilku minut, z powodu olbrzymiego pragnienia, jakie wywołał eliksir... I tutaj wyobraźnia Harry'ego napotkała przeszkodę, ponieważ nie był w stanie sobie wyobrazić, jak Stworek się stamtąd wydostał.

- Stworek potrzebował wody, poczołgał się do brzegu wyspy i wypił z czarnego jeziora... I ręce, martwe ręce, wyszły z wody i wciągnęły Stworka pod wodę...

- Jak uciekłeś? - spytał Harry i wcale nie był zaskoczony tym, że szeptał.

Stworek uniósł brzydką twarz i spojrzał na niego swoimi wielkimi, przekrwionymi oczami.

- Panicz Regulus kazał Stworkowi wrócić - odpowiedział.

- Wiem... ale jak uciekłeś inferiusom?

Wyglądało na to, że Stworek nic nie rozumie.

- Panicz Regulus kazał Stworkowi wrócić - powtórzył.

- Tak, tak, wiem, ale...

- Przecież to oczywiste, Harry - wtrącił się Ron. - Deportował się!

- Ale... w tej jaskini nie można się aportować i deportować... - odrzekł Harry. - W przeciwnym wypadku Dumbledore...

- Wiesz, że magia skrzatów różni się od magii czarodziejów, nie? - powiedział Ron. - No wiesz, one mogą się aportować nawet w Hogwarcie, a my nie.

Zapadła cisza, kiedy Harry rozważał to na spokojnie. Jak Voldemort mógł popełnić taki błąd? Gdy tylko o tym pomyślał, lodowatym tonem odezwała się Hermiona:

- Oczywiście, Voldemort w ogóle nie interesował się magią, którą dysponują skrzaty. To w stylu tych wszystkich czarodziejów czystej krwi, którzy traktują je jak zwierzęta. Przez myśl by mu nie przeszło, że *skrzaty* mają moc, której on nie ma.

- Największym pragnieniem skrzata jest dobrze służyć swemu panu - zacytował Stworek. - Powiedziano Stworkowi, żeby wrócił do domu, więc Stworek wrócił do domu...

- Zrobiłeś to, co ci kazano, prawda? - powiedziała dobrotliwie Hermiona. - Nie sprzeciwiłeś się żadnym rozkazom!

Skrzat potrząsnął głową, bujając się jeszcze szybciej.

- Więc co się stało, jak wróciłeś? - zapytał Harry. - Co powiedział Regulus, kiedy mu opowiedziałeś, co się stało?

- Panicz Regulus bardzo się zmartwił, bardzo się zmartwił - wychrypiał Stworek. - Panicz Regulus kazał Stworkowi się ukryć i nie opuszczać domu. A wtedy... Jakiś czas później... Panicz Regulus przyszedł i znalazł Stworka w jego kąciku. Panicz zachowywał się bardzo dziwnie, nie tak, jak zwykle. Stworek mógł wyczuć, że coś mu zaprzątało myśli... A wtedy panicz Regulus kazał Stworkowi, by go zaprowadził do jaskini, do tej jaskini, dokąd Czarny Pan wziął Stworka...

I opowiadał dalej. Harry mógł ich sobie całkiem dokładnie wyobrazić - przerażonego, starego skrzata i chudego, ciemnowłosego szukającego, który przypominał Syriusza... Stworek wiedział, jak otworzyć wejście do podziemnej jaskini, wiedział jak przywołać maleńką łódkę. Tym razem to jego ukochany Regulus płynął z nim do wysepki z kamienną misą, wypełnioną eliksirem, stojącą na postumencie...

- I kazał ci wypić eliksir? - zapytał Harry, zniesmaczony.

Lecz Stworek żywo pokręcił głową i zaszlochał. Hermiona zakryła sobie usta rękami, coś chyba zrozumiała.

- Pa - panicz Regulus wyciągnął z kieszeni medalion, taki sam, jak ten, który miał Czarny Pan - odpowiedział, a łzy ciekły mu po policzkach. - I powiedział Stworkowi, żeby wziął wisiorek, a kiedy misa będzie pusta, podmienił medaliony...

Skrzat rozpłakał się na dobre i Harry musiał się mocno skoncentrować, by go zrozumieć.

- I rozkazał... Stworkowi, żeby wrócił do domu... bez niego. I powiedział Stworkowi... żeby wrócił... i nigdy nie mówił pani... co takiego uczynił... i kazał Stworkowi zniszczyć... prawdziwy medalion. I panicz Regulus wypił eliksir... do ostatniej kropli... I wtedy Stworek podmienił wisiorki... I patrzył... jak panicz Regulus... został wciągnięty pod wodę... i...

- Och, Stworku! - zawyła Hermiona. Była zapłakana. Uklękła przy skrzacie i chciała go przytulić. W jednej chwili Stworek szybko wstał i wyrwał jej się z wyraźnym obrzydzeniem.

- Szlama dotknęła Stworka. Stworek na to nie pozwoli, co by powiedziała na to jego pani?

- Powiedziałem ci, żebyś nie nazywał jej „szlamą"! - warknął Harry, lecz skrzat już zaczął się karać - upadł na ziemię i walił czołem o podłogę.

- Powstrzymaj go... Powstrzymaj! - krzyknęła Hermiona. - Widzicie teraz, że to chore, to że muszą bezwzględnie wypełniać wszystkie rozkazy!

- Stworku... Przestań, przestań! - wrzasnął Harry.

Skrzat leżał na podłodze, dysząc ciężko i trzęsąc się; zielony śluz pokrywał jego skórę wokół nosa. Wielki siniak ukazał się na jego bladym czole, gdzie sam się uderzył. Miał opuchnięte i przekrwione oczy, wypełnione łzami. Harry jeszcze nigdy nie widział niczego, co wyglądałoby tak żałośnie.

- I zabrałeś medalion ze sobą do domu - ciągnął nieubłaganie, zdeterminowany, by poznać całą historię. - I próbowałeś go zniszczyć?

- Cokolwiek Stworek robił, nic nie zostawiło nawet śladu na wisiorze - jęknął skrzat. - Stworek próbował wszystkiego, wszystkiego o czym wiedział, ale na nic się to zdało, nic nie działało... tyle potężnych zaklęć rzuconych na oprawę... Stworek jest pewien, że zniszczyć go można tylko po otwarciu, ale nie mógł w żaden sposób tego zrobić... Stworek karał się i próbował, karał się, i znowu próbował. Stworek nie wykonał rozkazu, Stworek nie mógł zniszczyć medalionu! A jego pani oszalała z żalu, ponieważ panicz Regulus zniknął bez śladu, a Stworek nie mógł jej nic powiedzieć, o nie, bo panicz Regulus mu za - za - zabronił mówić komukolwiek z rodziny, co wydarzyło się w jaskini...

Skrzat szlochał teraz tak bardzo, że nie można było go już zrozumieć. Łzy płynęły po policzkach Hermiony, kiedy patrzyła na Stworka, ale nie odważyła się go już dotknąć. Nawet Ron, który nigdy za nim

nie przepadał, wyglądał na zmartwionego. Harry przysiadł na piętach i potrząsnął głową, by oczyścić myśli.

- Nie rozumiem cię, Stworku - rzekł w końcu. - Voldemort próbował cię zabić, Regulus zginął, próbując go pokonać, lecz byłeś strasznie szczęśliwy, zdradzając Voldemortowi Syriusza. Tak strasznie byłeś szczęśliwy, kiedy poszedłeś do Narcyzy i Bellatriks, by przekazać im informacje dla Voldemorta...

- Harry, Stworek nie myśli w ten sposób - rzekła Hermiona, wycierając wierzchem dłoni wilgotne oczy. - On jest sługą; skrzaty są przyzwyczajone do złego i brutalnego traktowania. To, co zrobił mu Voldemort, nie było dla niego niczym nadzwyczajnym. Co wojny czarodziejów znaczą dla takich skrzatów jak Stworek? Jest lojalny wobec ludzi, którzy są dla niego mili. Pani Black najwyraźniej musiała taka dla niego być, a z pewnością miły dla niego był Regulus. Tak więc służył im chętnie i wierzył w ich przekonania. Wiem, co chcesz powiedzieć - rzekła, widząc, ze Harry jest gotów protestować. - Chcesz powiedzieć, że Regulus zmienił zdanie... ale nie wyjaśnił tego Stworkowi, prawda? I chyba wiem dlaczego. Stworek i cała rodzina Blacków byli bezpieczniejsi, kiedy kontynuowali swoje rodzinne tradycje. Regulus po prostu chciał ich wszystkich ochronić.

- Syriusz...

- Syriusz był okropny dla Stworka, Harry. Dopóki Syriusz tutaj nie wrócił, Stworek był całkowicie sam - to zrozumiałe, że pragnął trochę uczucia. Jestem pewna, że „panienka Cyzia" i „panienka Bella" były dla Stworka bardzo miłe, kiedy je odwiedził, więc wyświadczył im przysługę i wyjawił wszystko, co chciały wiedzieć. Już dawno mówiłam, że czarodzieje zapłacą za to, jak traktują skrzaty domowe. Znaczy tak, jak traktował je Voldemort... i Syriusz.

Harry nic nie odpowiedział. Patrzył na szlochającego na podłodze Stworka i przypomniał sobie, co mu powiedział Dumbledore kilka godzin po śmierci Syriusza: *„Nie sądzę, by Syriusz kiedykolwiek zauważył, że Stworek może mieć uczucia podobne do ludzkich..."*

- Stworku - odezwał się po chwili. - Kiedy poczujesz się lepiej... eee... usiądź, proszę.

Uspokojenie się zajęło skrzatowi kilka minut. Kiedy się już wypłakał, podniósł się, wsparłszy się na łokciu i usiadł prosto, przecierając oczy maleńkimi piąstkami. Wyglądał jak małe dziecko.

- Stworku, chcę cię poprosić, żebyś coś dla mnie zrobił - odezwał się Harry. Spojrzał na Hermionę w nadziei, że znajdzie w jej oczach jakieś wskazówki. Chciał wydać polecenie życzliwie, ale nie mógł udawać, że to wcale nie był rozkaz. Jednakże zmiana tonu w jego głosie chyba zyskała aprobatę dziewczyny, bo uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

- Stworku, chcę, żebyś znalazł, proszę, Mundungusa Fletchera. Musimy się dowiedzieć, gdzie jest medalion... medalion panicza Regulusa. To naprawdę ważne. Chcemy dokończyć to, co zaczął panicz Regulus, tak, ażeby jego poświęcenie... eee... nie poszło na marne.

Stworek opuścił piąstki i spojrzał Harry'emu w oczy.

- Znaleźć Mundungusa Fletchera? - wychrypiał.

- I przyprowadzić go tutaj na Grimmauld Place - odpowiedział chłopak. - Czy mógłbyś to dla nas zrobić?

Gdy Stworek przytaknął i wstał, Harry'ego nagle olśniło. Sięgnął po Hagridową sakiewkę i wyjął z niej fałszywy horkruks - medalion, w którym Regulus zamknął wiadomość dla Voldemorta.

- Stworku, chciałbym... eee... żebyś to wziął - powiedział, wciskając wisiorek w dłoń skrzata. - To należało do Regulusa i jestem pewien, że chciałby, abyś to otrzymał w dowód wdzięczności za to, co...

- Przesadzasz, stary - wtrącił Ron, gdy skrzat rzucił okiem na medalion i zaskowyczał, jednocześnie zaskoczony i nieszczęśliwy, po czym znowu rzucił się na podłogę.

Uspokojenie go zajęło im prawie pół godziny. Stworek był tak przejęty tym, że dostał pamiątkę rodową Blacków na własność, że ledwo mógł ustać na nogach. Kiedy był już wstanie przejść kawałek o własnych siłach, wszyscy podążyli za nim do jego legowiska, by zobaczyć jak chowa medalion bezpiecznie między brudne koce. Cała trójka zapewniła go, że będą pilnować błyskotki jak oka w głowie, kiedy go nie będzie. Wtedy ukłonił się nisko Harry'emu i Ronowi, a nawet wykonał zabawny, mały gest w stronę Hermiony, który mógł zostać odebrany, przy odrobinie dobrej woli, jako pełen szacunku salut i deportował się ze znajomym trzaśnięciem.

Rozdział 11
Łapówka

Tłumaczenie: spike

Harry był przekonany, że skoro Stworek zdołał wydostać się z jeziora pełnego inferiusów, schwytanie Mundungusa zajmie mu najwyżej kilka godzin. Dlatego krążył po domu przez cały ranek, wyczekując jego powrotu. Jednak Stworek nie wrócił ani tego ranka, ani nawet popołudniem. O zmroku Harry, zniechęcony, zaczął się niepokoić i kolacja, złożona głównie z zapleśniałego chleba, na którym Hermiona wypróbowała bez powodzenia całą gamę transmutacji, bynajmniej nie poprawiła mu nastroju.

Stworek nie powrócił również w ciągu następnych dwóch dni. Na placu przed numerem dwunastym pojawili się za to dwaj zamaskowani mężczyźni i stali tam aż do nadejścia nocy, gapiąc się w kierunku domu, którego nie mogli widzieć.

- Z pewnością śmierciożercy - powiedział Ron, który wraz z Harrym i Hermioną obserwował ich przez okno salonu. - Jak myślicie, wiedzą, że tu jesteśmy?

- Nie sądzę - odparła Hermiona, jednak na jej twarzy malował się lęk. - Bo inaczej nasłaliby na nas Snape'a, prawda?

- Myślisz, że już tu był i ma język związany klątwą Moody'ego? - spytał Ron.

- Pewnie - powiedziała Hermiona - w przeciwnym razie powiedziałby tym typom, jak się tu dostać, nie? Prawdopodobnie pilnują, czy się tu nie pojawimy. W końcu wiedzą, że to teraz dom Harry'ego.

- Skąd mają... - zaczął Harry.

- Testamenty czarodziejów są sprawdzane przez ministerstwo, nie pamiętasz? Na pewno wiedzą, że Syriusz zostawił ci dom w spadku.

Obecność śmierciożerców przed posesją numer dwanaście spotęgowała złowieszczy nastrój przebywających wewnątrz. Od czasu pojawienia się patronusa pana Weasleya nie słyszeli ani słowa spoza Grimmauld Place i ogólne napięcie było coraz bardziej widoczne. Niespokojny, drażliwy Ron nabrał denerwującego nawyku bawienia się deluminatorem, spoczywającym w jego kieszeni. Szczególnie irytowało to Hermionę, która wyczekując powrotu Stworka wczytywała się w "Baśnie Barda Beedle'a". Oczywiście nie była zachwycona ciągłym gaśnięciem i zapalaniem się świateł.

- Przestaniesz wreszcie?! - wrzasnęła trzeciego wieczoru nieobecności Stworka, kiedy po raz kolejny w salonie zapadła ciemność.

- Przepraszam, przepraszam! - powiedział Ron, klikając deluminatorem i przywracając światła. - Robię to nieświadomie.

- Nie możesz się zająć czymś pożytecznym?

- Niby czym, czytaniem bajek dla dzieci?

- Ron, Dumbledore zostawił mi tę książkę...

- ...a mnie zostawił deluminator, może po to, żebym go używał!

Nie mogąc znieść kłótni, Harry niepostrzeżenie wymknął się z salonu. Ruszył w dół po schodach do kuchni, którą sprawdzał co jakiś czas, przypuszczając, że tam najpewniej pojawi się Stworek. Jednak w połowie drogi usłyszał pojedyncze stuknięcie w drzwi, po którym nastąpił metaliczny trzask i brzęk łańcucha.

Wszystkie nerwy w ciele Harry'ego napięły się. Wyciągnął różdżkę, skrył się w cieniu za odciętymi głowami skrzatów i czekał. Drzwi frontowe otworzyły się. Dostrzegł fragment rozświetlonego lampami placu, do domu wślizgnęła się zamaskowana postać, starannie zamykając za sobą drzwi. Intruz zrobił krok naprzód, wówczas rozległ się głos Moody'ego: "Severus Snape?", a z drugiego końca korytarza uniosła się widmowa postać i unosząc martwe ramię ruszyła w stronę przybysza.

- To nie ja cię zabiłem, Albusie - odezwał się cichy głos.

Zaklęcie prysło. Zjawa eksplodowała ponownie i przez gęstą chmurę szarego pyłu, który po sobie zostawiła, nie sposób było dostrzec przybysza.

Harry skierował różdżkę na opadający kurz.

- Ani kroku dalej!

Zapomniał o portrecie. Ledwo rozległ się okrzyk Harry'ego, zasłony okrywające obraz rozsunęły się i pani Black zaczęła wrzeszczeć:

- Szlamy i plugastwa, hańbiące mój dom...

Ron i Hermiona runęli po schodach, kierując różdżki w stronę nieznajomego mężczyzny, stojącego w holu z ramionami uniesionymi do góry.

- Wstrzymać ogień! To ja, Remus!

- Och, jak dobrze - odetchnęła słabo Hermiona, kierując różdżkę w stronę pani Black. Kurtyny zasunęły się z trzaskiem i ponownie zapadła cisza. Ron również opuścił różdżkę, ale Harry nie zamierzał tego robić.

- Pokaż się! - zawołał.

Lupin przesunął się w zasięg światła lamp, nadal trzymając ręce w geście poddania.

- Jestem Remus John Lupin, wilkołak, czasem znany jako Lunatyk, jeden z czterech twórców Mapy Huncwotów, mąż Nimfadory, zwykle nazwanej Tonks, i to ja nauczyłem cię rzucać Zaklęcie Patronusa, który u ciebie przybiera postać jelenia.

- No dobra - powiedział Harry, opuszczając różdżkę. - Ale musiałem się upewnić, prawda?

- Jako twój były nauczyciel obrony przez czarną magią całkiem się z tym zgadzam. Ron, Hermiona, nie powinniście tak szybko opuszczać gardy.

Zbiegli ku niemu po schodach. Okutany w gruby, czarny płaszcz podróżny, Lupin wyglądał na wyczerpanego, ale cieszył się na ich widok.

- Ani śladu Severusa, co? - spytał.

- Ani śladu - odpowiedział Harry. - Co słychać? Wszystko w porządku?

- Tak - odparł Lupin - ale wszyscy jesteśmy pod obserwacją. Na placu na zewnątrz jest paru śmierciożerców...

- Wiemy...

- Musiałem się teleportować bardzo precyzyjnie, na najwyższy stopień schodów przed drzwiami, by mieć pewność, że mnie nie zauważą. Najwyraźniej nie wiedzą, że tu jesteś, bo byłoby ich więcej. Obserwują każde miejsce w jakiś sposób powiązane z tobą, Harry. Chodźmy na dół, mam wam wiele do opowiedzenia i sam chętnie się dowiem, co działo się po tym, jak opuściliście Norę.

Zeszli do kuchni. Hermiona wskazała różdżką na palenisko, w którym momentalnie rozgorzał ogień, nadając kamiennym ścianom przytulny wygląd i oświetlając miłym blaskiem długi, drewniany stół, przy którym wszyscy usiedli. Lupin wyciągnął spod płaszcza kilka butelek kremowego piwa.

- Zjawiłbym się tu trzy dni temu, ale musiałem pozbyć się typów, którzy mnie śledzili - zaczął Lupin. - Więc ze ślubu przyszliście prosto tu?

- Nie - odpowiedział Harry. - Dopiero po tym, jak wpadliśmy na kilku śmierciożerców w kawiarni na Tottenham Court Road.

Lupin zakrztusił się, wylewając na siebie większość kremowego piwa.

- Że co?

Wyjaśnili mu, co się zdarzyło. Kiedy skończyli, Lupin był przerażony.

- Ale jakim cudem znaleźli was tak szybko? Nie da się wytropić kogoś, kto się teleportuje, chyba że złapiesz się go w chwili, gdy znika.

- I raczej mało prawdopodobne, że tak sobie spacerowali po Tottenham Court Road akurat w tym czasie, prawda? - zauważył Harry.

- Zastanawialiśmy się - odezwała się niepewnie Hermiona - czy może Harry nadal ma na sobie Namiar.

- Niemożliwe - odparł Lupin. Na twarzy Rona pojawił się wyraz triumfu, a Harry poczuł, jak kamień spada mu z serca. - Przede wszystkim, gdyby nadal miał na sobie Namiar, wiedzieliby z całą pewnością, że Harry jest tutaj, prawda? Nie mam pojęcia w jaki sposób znaleźli was na Tottenham Court Road i to mnie martwi, naprawdę martwi.

Wyglądał na bardzo zaniepokojonego, ale Harry uważał, że ten problem może poczekać.

- Powiedz nam, co się stało, kiedy się teleportowaliśmy. Nie mieliśmy żadnych wieści od czasu, jak ojciec Rona przekazał nam, że rodzina jest bezpieczna.

- No cóż, Kingsley nas uratował - powiedział Lupin. - Dzięki jego ostrzeżeniu większość weselnych gości zdążyła się teleportować, zanim tamci się pojawili.

- To byli śmierciożercy, czy ludzie z ministerstwa? - wtrąciła Hermiona.

- Jedni i drudzy. Ale jeśli chodzi o cele i zamiary, można powiedzieć, że teraz to już i tak wszystko jedno - odpowiedział Lupin. - Było ich chyba ze dwunastu, ale nie wiedzieli, że ty tam byłeś, Harry. Artur słyszał plotkę, że zanim zabili Scrimgeoura, torturami próbowali wydobyć z niego informację o tym, gdzie jesteś. Jeśli to prawda, to nic nie powiedział.

Harry spojrzał na Rona i Hermionę. Na ich twarzach malował się ten sam wyraz zdumienia, pomieszanego z wdzięcznością, które sam odczuwał. Nigdy zbytnio nie przepadał za Scrimgeourem, ale jeśli Lupin mówił prawdę, to minister do samego końca próbował chronić Harry'ego.

- Śmierciożercy przekopali Norę od góry do dołu - kontynuował Lupin. - Znaleźli ghula, ale nie chcieli się zbytnio do niego zbliżać, a potem całymi godzinami przesłuchiwali tych z nas, którzy zostali. Próbowali dowiedzieć się czegoś na twój temat, Harry, ale oczywiście nikt poza Zakonem nie miał pojęcia, że w ogóle tam byłeś. W tym samym czasie, gdy rozwalali wesele, inni śmierciożercy włamywali się do każdego domu w kraju w jakikolwiek sposób związanego z Zakonem. Nikt nie zginął - dodał szybko, uprzedzając pytanie - ale nie byli delikatni. Spalili dom Dedalusa Diggle'a, ale jak wiesz, nie było go na miejscu, i rzucili Cruciatusa na rodzinę Tonks. Po to, by zdobyć informację, dokąd wybrałeś się po wizycie u Teda i Amdromedy. Wszystko u nich w porządku... są wstrząśnięci, oczywiście, ale poza tym nie jest źle.

- Śmierciożercy przedostali się przez wszystkie te ochronne zaklęcia? - spytał Harry, przypominając sobie jak skuteczne były w tę noc, gdy rozbił się w ogrodzie rodziców Tonks.

- Musisz sobie zdać sprawę z tego, Harry, że śmierciożercy mają teraz całą potęgę ministerstwa po swojej stronie - powiedział Lupin. - Mogą rzucać brutalne zaklęcia, nie

zważając na to, czy zostaną rozpoznani i aresztowani. Udało im się przełamać wszystkie obronne zaklęcia, które rzuciliśmy przeciw nim, a kiedy już znaleźli się w środku, zupełnie nie kryli swoich zamiarów.

- A przejmują się w ogóle usprawiedliwianiem tortur na ludziach dla wydobycia informacji o Harrym? - spytała podenerwowana Hermiona.

- No cóż - odparł Lupin. Wahał się przez chwilę, a potem wyciągnął zwinięty egzemplarz "Proroka Codziennego".

- Masz - powiedział, podając go Harry'emu przez stół. - Prędzej, czy później i tak się dowiesz. To jest ich pretekst.

Harry rozprostował gazetę. Pierwszą stronę wypełniała wielka fotografia jego własnej twarzy. Przeczytał widniejący ponad nią nagłówek:

POSZUKIWANY W CELU PRZESŁUCHANIA
W SPRAWIE ŚMIERCI ALBUSA DUMBLEDORE'A

Ron i Hermiona wrzasnęli z wściekłością, ale Harry nie odezwał się ani słowem. Odepchnął gazetę, nie miał ochoty czytać dalej. Domyślał się, co tam jest napisane. Tylko ci, którzy byli na szczycie wieży, gdy Dumbledore zginął, wiedzieli kto tak naprawdę go zabił. Na dodatek, jak już oznajmiła czarodziejskiemu światu Rita Skeeter, widziano Harry'ego uciekającego z miejsca zdarzenia zaraz po upadku Dumbledore'a z wieży.

- Przykro mi, Harry - powiedział Lupin.

- To śmierciożercy przejęli też "Proroka"? - spytała z furią Hermiona.

Lupin przytaknął.

- Ale ludzie zdają sobie chyba sprawę z tego, co się dzieje?

- Wszystko odbyło się gładko i w miarę cicho - odparł Lupin. - Według oficjalnej wersji Scrimgeour nie został zamordowany, tylko sam zrezygnował ze stanowiska. Zastąpił go Pius Thicknesse, który jest pod wpływem zaklęcia Imperius.

- Czemu Voldemort sam nie ogłosił się ministrem magii? - spytał Ron.

Lupin roześmiał się.

- Nie musi tego robić, Ron. Tak naprawdę jest ministrem, tylko po co niby miałby siedzieć za biurkiem? Jego marionetka, Thicknesse, zajmuje się codziennymi sprawami, dając Voldemortowi możliwość rozciągania swoich wpływów poza ministerstwem. Oczywiście wielu ludzi wydedukowało, co się dzieje. W polityce ministerstwa zaszły w ostatnich dniach drastyczne zmiany i wielu szepcze po kątach, że musi się za tym kryć Voldemort. Ale w tym cała rzecz - tylko szepczą. Nie mają odwagi zaufać sobie nawzajem, nie mając pewności, kto jest tego zaufania godzien. Boją się mówić głośno, na wypadek, gdyby ich podejrzenia okazały się prawdą i ich rodziny zostały wzięte na cel. O, tak, Voldemort rozgrywa bardzo sprytną grę. Ogłaszając się ministrem, mógłby wywołać otwartą rebelię. Pozostając w ukryciu, wprowadza zamieszanie, niepewność i strach.

- I do tych drastycznych zmian w polityce ministerstwa - odezwał się Harry - zalicza się ostrzeganie czarodziejskiego świata przede mną, zamiast przed Voldemortem?

- Owszem - odpowiedział Lupin. - I jest to strzał w dziesiątkę. Teraz, kiedy Dumbledore nie żyje, ty - Chłopiec, Który Przeżył - z pewnością zostałbyś symbolem i centrum wszelkiego ruchu oporu przeciwko Voldemortowi. Ale sugerując, że miałeś swój udział w śmierci starego bohatera, Voldemort nie tylko wyznaczył cenę za twoją głowę, ale zasiał strach i zwątpienie wśród tych, którzy stanęliby w twojej obronie. W międzyczasie ministerstwo podjęło kroki przeciwko czarodziejom mugolskiego pochodzenia.

Lupin wskazał na "Proroka Codziennego".

- Popatrzcie na stronę drugą.

Hermiona odwróciła stronę z tym samym wyrazem niesmaku na twarzy, który miała trzymając "Sekrety najczarniejszych ze sztuk".

- "Czarodzieje pochodzenia mugolskiego, rejestrujcie się!" - przeczytała na głos. - "Ministerstwo Magii przeprowadza badanie tak zwanych czarodziejów pochodzenia mugolskiego, by lepiej zrozumieć w jaki sposób udało im się posiąść sekrety magii. Ostatnie badania powzięte przez Departament Tajemnic ujawniają, że magia może być przekazywana z osoby na osobę jedynie gdy czarodzieje rozmnażają się. Zatem w

przypadkach, gdy nie istnieje żadne czarodziejskie dziedzictwo, tak zwani czarodzieje pochodzenia mugolskiego prawdopodobnie weszli w posiadanie magicznych mocy poprzez kradzież lub użycie siły. Ministerstwo jest zdecydowane wykorzenić takich samozwańców i w tym celu wystosowało zaproszenie do każdego tak zwanego czarodzieja pochodzenia mugolskiego, by stawił się na przesłuchaniu przed nowo powołaną Komisją Rejestracji Czarodziejów Mugolskiego Pochodzenia".

- Ludzie na to nie pozwolą! - oburzył się Ron.

- Już pozwolili, Ron - powiedział Lupin. - Nawet w tej chwili czarodzieje mugolskiego pochodzenia są wyłapywani.

- Ale jak niby mieliby "ukraść" magię? - spytał Ron. - Chyba pogłupieli, gdyby można było wykraść magię, nie byłoby żadnych charłaków, nie?

- Wiem - odparł Lupin. - Tak czy siak, jeśli nie jesteś w stanie udowodnić, że masz przynajmniej jednego czarodzieja w bliskiej rodzinie, uznawane jest, iż zdobyłeś swoje magiczne moce nielegalnie i musisz ponieść karę.

Ron zerknął na Hermionę, po czym spytał:

- A co, jeśli czarodziej czystej krwi, albo półkrwi przysięgnie, że taki ktoś należy do jego rodziny? Powiem wszystkim, że Hermiona jest moją kuzynką...

Hermiona zacisnęła dłoń na dłoni Rona.

- Dziękuję, Ron, ale nie mogłabym...

- Nie będziesz miała wyboru - rzucił gniewnie Ron, odpowiadając uściskiem. - Nauczę cię całego drzewa genealogicznego, żebyś była w stanie odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Hermiona zaśmiała się słabo.

- Ron, nie sądzę by to miało znaczenie, skoro towarzyszymy Harry'emu Potterowi, najbardziej poszukiwanej osobie w kraju. Co innego gdybym miała wrócić do szkoły. Jakie są plany Voldemorta wobec Hogwartu? - spytała Lupina.

- Obecność jest teraz obowiązkowa dla każdego młodego czarodzieja i czarownicy - odpowiedział. - Ogłosili to wczoraj. To też jest zmiana, bo nigdy wcześniej nie był to przymus. Rzecz jasna, niemal każdy czarodziej i czarownica w Brytanii pobierali edukację w Hogwarcie, ale rodzice mieli prawo wybrać naukę w domu, lub wysłać dzieci za granicę, jeśli mieli na to ochotę. W ten sposób Voldemort będzie miał wszystkich czarodziejów pod swoim okiem od małego. I jest to również kolejny sposób na wykorzenienie tych mugolskiego pochodzenia, bo uczniowie muszą otrzymać odpowiedni Status Krwi - co oznacza, że udowodnili przed ministerstwem, iż są czarodziejskiego pochodzenia - zanim zostaną przyjęci.

Harry czuł gniew i obrzydzenie. Gdzieś tam, jacyś podekscytowani jedenastolatkowie pochylali się właśnie nad stosem świeżo zakupionych książek z zaklęciami, nieświadomi tego, że nigdy nie zobaczą Hogwartu, a może nawet nie wrócą już nigdy do swoich rodzin.

- To jest... to jest... - mamrotał, nie mogąc znaleźć słów, oddających właściwie całą tę grozę.

- Wiem... - powiedział cicho Lupin. Zawahał się, ale po chwili powiedział:

- Zrozumiem, jeśli nie możesz tego potwierdzić, Harry, ale Zakon odnosi wrażenie, że Dumbledore powierzył ci misję do wykonania.

- Powierzył - odpowiedział Harry. - Ron i Hermiona też w tym uczestniczą i idą ze mną.

- Czy możesz mi zdradzić, co to za misja?

Harry spojrzał w pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami twarz, otoczoną gęstymi, lecz już siwiejącymi włosami, i pożałował, że nie może dać innej odpowiedzi.

- Nie mogę, Remusie, przykro mi. Jeśli Dumbledore nic ci nie powiedział, to myślę, że i ja nie powinienem.

- Przypuszczałem, że tak powiesz - odparł zawiedziony Lupin. - Ale nadal mogę się trochę przydać. Wiesz, kim jestem i co potrafię. Mógłbym ruszyć z wami, by zapewnić ochronę. Nie musiałbyś mi mówić dokładnie, co zamierzasz.

Harry zawahał się. Propozycja była kusząca, chociaż nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób byliby w stanie utrzymać cel misji w tajemnicy przed Lupinem, gdyby był z nimi przez cały czas. Jednak Hermiona była zakłopotana.

- Ale co z Tonks? - spytała.

- Co z nią? - odparł Lupin.

- No cóż... - Hermiona zachmurzyła się. - Pobraliście się! Co ona myśli na temat tego, że miałbyś iść z nami?

- Tonks będzie całkowicie bezpieczna - odpowiedział Lupin. - Zostanie w domu swoich rodziców.

W głosie Lupina było coś dziwnego, jakby chłód. Zresztą sama wizja Tonks, pozostającej w ukryciu w domu rodziców, była niezwykła. Jak by nie patrzeć, należała przecież do Zakonu i, o ile Harry się orientował, najpewniej wolałaby być w samym centrum wydarzeń.

- Remus - odezwała się niepewnie Hermiona - wszystko w porządku...? No wiesz... między tobą i...

- Wszystko jest w porządku, dziękuję - przerwał ostro Lupin.

Hermiona zarumieniła się. Nastąpiła kolejna chwila ciszy, dziwnej i wprawiającej w zakłopotanie, po czym Lupin odezwał się takim tonem, jakby go ktoś zmuszał do przyznania się do czegoś nieprzyjemnego.

- Tonks będzie miała dziecko.

- Och, jak cudownie! - pisnęła Hermiona.

- Wspaniale! - zawołał entuzjastycznie Ron.

- Gratulacje - powiedział Harry.

Lupin uśmiechnął się sztucznie, co przypominało bardziej grymas, i spytał:

- To jak... przyjmujecie moją propozycję? Czy trójka stanie się czwórką? Nie wierzę, by Dumbledore miał coś przeciwko temu, w końcu mianował mnie waszym nauczycielem obrony przed czarną magią. I muszę przyznać, wierzę, że mamy do czynienia z magią, jakiej wielu z nas nigdy nie widziało, ani nawet sobie nie wyobrażało.

Ron i Hermiona spojrzeli na Harry'ego.

- Tylko... tak dla jasności... - powiedział. - Chcesz zostawić Tonks w domu jej rodziców i iść z nami?

- Będzie tam zupełnie bezpieczna, pod opieką rodziny - odparł Lupin. - Harry, jestem pewien, że James chciałby, abym trzymał się z tobą - zakończył niemal obojętnie.

- No cóż - odpowiedział powoli Harry. - Ja nie jestem. Właściwie to jestem niemal pewien, że mój ojciec chciałby wiedzieć, czemu nie trzymasz się z własnym dzieckiem.

Twarz Lupina pobladła. Zdawało się, że temperatura w kuchni spadła o kilka stopni. Ron rozglądał się po pomieszczeniu, jakby ktoś kazał mu je zapamiętać, a wzrok Hermiony wędrował nieustannie między Harrym i Lupinem.

- Nie rozumiesz - odezwał się w końcu Lupin.

- Wytłumacz więc - powiedział Harry.

Lupin przełknął ślinę.

- Ja... zrobiłem straszny błąd, żeniąc się z Tonks. Zrobiłem to wbrew zdrowemu rozsądkowi i bardzo tego żałuję od tamtej pory.

- Rozumiem - stwierdził Harry. - Więc zamierzasz tak po prostu zostawić ją i dzieciaka, i uciec z nami?

Lupin zerwał się na równe nogi. Jego krzesło przewróciło się; spojrzał na całą trójkę z taką wściekłością, że po raz pierwszy Harry dostrzegł cień wilka na jego ludzkiej twarzy.

- Czy nie rozumiesz, na co skazałem moją żonę i nienarodzone dziecko?! Nigdy nie powinienem był jej poślubić, zrobiłem z niej wyrzutka!

Lupin odkopnął na bok wywrócone krzesło.

- Widziałeś mnie jedynie pośród członków Zakonu i pod ochroną Dumbledore'a w Hogwarcie! Nie masz pojęcia, jak większość czarodziejskiego świata odbiera stworzenia takie, jak ja! Jeśli znają moją przypadłość, właściwie nie odzywają się do mnie! Nie widzisz, co narobiłem? Nawet jej własna rodzina jest oburzona naszym ślubem. Jacy rodzice chcieliby, aby ich jedyna córka poślubiła wilkołaka? A dziecko... dziecko...

Lupin wczepił palce we włosy. Wyglądał jak obłąkany.

- Tacy jak ja zwykle się nie rozmnażają! Dziecko będzie takie samo, jestem tego pewien... Jak mam sobie wybaczyć, skoro świadomie zaryzykowałem przekazanie mojego

stanu niewinnemu dziecku? A jeśli jakimś cudem nie będzie takie, to będzie mu sto razy lepiej bez ojca, którego zawsze będzie się wstydzić!

- Remusie! - wyszeptała Hermiona ze łzami w oczach. - Nie mów tak... Czemu jakiekolwiek dziecko miałoby się ciebie wstydzić?

- No nie wiem, Hermiono - odezwał się Harry. - Ja tam bym się go wstydził.

Harry nie miał pojęcia, skąd wzięła się jego wściekłość, ale wypełniła go od stóp do głów. Lupin spojrzał na niego, jakby Harry go uderzył.

- Skoro nowy reżim uważa, że czarodzieje mugolskiego pochodzenia są źli - ciągnął Harry - to ciekawe, co powiedzą na półwilkołaka, którego ojciec jest członkiem Zakonu? Mój ojciec zginął, próbując ochronić matkę i mnie, a ty uważasz, że chciałby, abyś opuścił swoje dziecko, by ruszyć z nami na poszukiwanie przygód?

- Jak... jak śmiesz? - warknął Lupin. - Tu nie chodzi o pragnienie... pragnienie sławy, czy szukanie niebezpieczeństwa... jak śmiesz sugerować takie...

- Myślę, że trochę masz ochotę zostać takim awanturnikiem - powiedział Harry. - Marzy ci się bycie drugim Syriuszem...

- Harry, nie! - zawołała błagalnym głosem Hermiona, ale on nie spuszczał wzroku ze zsiniałej z wściekłości twarzy Lupina.

- Nigdy bym w to nie uwierzył - mówił dalej Harry. - Człowiek, który nauczył mnie walczyć z dementorami... takim tchórzem.

Lupin wyciągnął różdżkę tak szybko, że Harry ledwie zdołał dotknąć swojej. Rozległ się głośny huk i Harry poczuł jak odlatuje w tył, jakby mu ktoś przyłożył pięścią. Uderzając w kuchenną ścianę i osuwając się na podłogę, dostrzegł fragment poły płaszcza Lupina, znikającego za drzwiami.

- Remus, Remus, wróć! - krzyknęła Hermiona, ale Lupin nie odpowiedział. Chwilę później usłyszeli trzaśnięcie frontowych drzwi.

- Harry! - rozpaczała Hermiona. - Jak mogłeś...?

- To było proste - powiedział Harry. Podniósł się, czując rosnącego na głowie guza w miejscu, gdzie uderzył o ścianę. Wciąż jeszcze trząsł się ze złości.

- Nie patrz tak na mnie! - burknął na Hermionę.

- Odczep się od niej! - warknął Ron.

- Nie... nie... nie wolno nam się kłócić! - zawołała Hermiona, rzucając się między chłopaków.

- Nie powinieneś mówić tego wszystkiego Lupinowi - powiedział Ron Harry'emu.

- Sam sobie na to zasłużył - odparł Harry. Przez jego umysł mknęły strzępy wspomnień: Syriusz wpadający za zasłonę, zawieszony w powietrzu, połamany Dumbledore, błysk zielonego światła i głos mamy, błagającej o litość...

- Rodzice nie powinni opuszczać swoich dzieci, chyba że... chyba że muszą - powiedział.

- Harry... - odezwała się Hermiona, wyciągając dłoń w pocieszającym geście, ale Harry odtrącił ją i podszedł do ognia, wyczarowanego przez Hermionę. Swego czasu rozmawiał z Lupinem przez ten kominek, szukając otuchy po tym, co usłyszał na temat Jamesa, i wtedy Lupin pocieszył go. Teraz blada, udręczona twarz Lupina zdawała się unosić przed nim w powietrzu. Czuł nagły przypływ wyrzutów sumienia. Ani Ron, ani Hermiona nie odezwali się, ale Harry czuł, że patrzą na siebie za jego plecami, porozumiewając się w milczeniu. Odwrócił się i zobaczył, jak w pośpiechu odwracają się od siebie.

- Wiem, że nie powinienem nazywać go tchórzem.

- Nie powinieneś - odezwał się natychmiast Ron.

- Ale zachowuje się jak tchórz.

- Tak czy siak... - powiedziała Hermiona.

- Wiem - odparł Harry. - Ale jeśli to sprawi, że wróci do Tonks, to było warto, co?

W jego głosie dało się wyczuć nutę usprawiedliwienia. Na twarzy Hermiony odmalowało się współczucie, Rona wyrażała niepewność. Harry wbił wzrok w ziemię, rozmyślając o swoim ojcu. Czy James poparłby Harry'ego, czy raczej byłby zły o to, jak syn potraktował jego starego przyjaciela?

Cicha kuchnia zdawała się szumieć echem ostatnich wydarzeń i niewypowiedzianych wyrzutów ze strony Rona i Hermiony. "Prorok Codzienny", którego

przyniósł Lupin, nadal leżał na stole. Z jego pierwszej strony gapiła się w sufit twarz Harry'ego. Usiadł, otworzył gazetę na chybił trafił i udawał, że czyta. Treść nie docierała do niego, jego umysł wciąż wypełniała scysja z Lupinem. Był pewien, że Ron i Hermiona powrócili do cichej rozmowy za jego plecami. Z głośnym szelestem przerzucił stronę i w oczy rzuciło mu się imię Dumbledore'a. Minęło parę chwil, zanim dotarło do niego znaczenie tego, co przedstawiała rodzinna fotografia. Pod nią widniał podpis: "Rodzina Dumbledore'ów, od lewej do prawej: Albus, Percival, trzymający nowo narodzoną Arianę, Kendra i Aberforth".

Harry przyjrzał się zdjęciu uważniej. Ojciec Dumbledore'a, Percival, był przystojnym mężczyzną, którego oczy zdawały się lśnić nawet na tej starej, wyblakłej fotografii. Niemowlę, Ariana, było niewiele większe od bochenka chleba i wyglądało jak każde inne niemowlę. Matka, Kendra, kruczoczarne włosy nosiła upięte w wysoki kok. Jej twarz miała w sobie jakieś posągowe piękno. Przyglądając się jej ciemnym oczom, wystającym kościom policzkowym i prostemu nosowi, tworzącym idealną całość ponad wysokim kołnierzem jedwabnej sukni, Harry przypomniał sobie widziane niegdyś zdjęcia rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej. Albus i Aberforth ubrani byli w podobne kaftany z koronkowymi kołnierzami i obaj nosili identyczne fryzury, z włosami opadającymi na ramiona. Albus był kilka lat starszy, ale poza tym chłopcy wyglądali bardzo podobnie, jako że zdjęcie zrobiono, zanim nos Albusa został złamany i nim czarodziej zaczął nosić okulary.

Rodzina wyglądała na szczęśliwą i całkiem normalną, wszyscy uśmiechali się pogodnie. Maleńka rączka Ariany machała słabo z becika. Harry przeniósł wzrok na wers ponad zdjęciem i przeczytał nagłówek:

TYLKO U NAS FRAGMENT OCZEKIWANEJ
BIOGRAFII ALBUSA DUMBLEDORE'A
autorstwa Rity Skeeter

Pomyślawszy, że to mało prawdopodobne, by mógł poczuć się jeszcze gorzej, Harry zaczął czytać.

Dumna i wyniosła Kendra Dumbledore nie mogła znieść życia w Kępie na Wrzosowisku po szeroko nagłośnionym aresztowaniu i uwięzieniu w Azkabanie jej męża Percivala. Dlatego też zdecydowała się przenieść do Doliny Godryka, wioski, która w późniejszym czasie zyskała sławę jako miejsce dziwnego ocalenia Harry'ego Pottera z rąk Sami - Wiecie - Kogo. Podobnie jak Kępa na Wrzosowisku, Dolina Godryka była domem dla wielu czarodziejskich rodzin, ale jako że Kendra nie znała żadnej z nich, miała nadzieję, że to powstrzyma ciekawość, jaką wzbudzała zbrodnia jej męża, a której musiała stawiać czoła w poprzedniej wiosce. Odrzucając raz za razem przyjacielskie zaproszenia ze strony nowych sąsiadów, w niedługim czasie sprawiła, iż jej rodzinę zostawiono w spokoju.

- Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, kiedy poszłam ją przywitać Kociołkowymi Ciasteczkami domowej roboty - zwierza się Bathilda Bagshot. - W ciągu pierwszego roku ich pobytu tutaj widywałam jedynie chłopców. Nie wiedziałabym nawet, że Kendra miała córkę, gdyby nie to, że tej zimy, po tym jak się wprowadzili, zbierałam plangentyny przy świetle księżyca i zobaczyłam jak wyprowadza Arianę do ogródka za domem. Oprowadziła ją po trawniku, cały czas trzymając ją mocno za rękę, po czym zabrała z powrotem do środka. Nie wiedziałam, co o tym sądzić.

Wygląda na to, że dla Kendry przeprowadzka do Doliny Godryka była idealną okazją do ukrycia Ariany raz na zawsze, co prawdopodobnie planowała od lat. Czas miał tu znaczenie. Ariana miała zaledwie siedem lat, kiedy zniknęła z pola widzenia, a jest to wiek, w którym, według zgodnych opinii wielu ekspertów, ujawnia się magia, o

ile w ogóle jest obecna. Nikt z obecnie żyjących nie pamięta, by Ariana kiedykolwiek ujawniła jakiekolwiek oznaki magicznych umiejętności. Dlatego też wydaje się jasne, że Kendra wolała raczej ukryć fakt istnienia córki, niż narazić się na wstyd przyznania, iż urodziła charłaka. Odseparowanie od przyjaciół i sąsiadów, którzy znali Arianę, ułatwiłoby, rzecz jasna, takie uwięzienie. Niewielkiej grupce ludzi, którzy od tej pory wiedzieli o istnieniu Ariany, można było zaufać. Dotyczy to również jej dwóch braci, którzy odpowiadali na zadawane pytania słowami, których nauczyła ich matka: "Moja siostra jest zbyt wątła, by chodzić do szkoły".

Za tydzień: Albus Dumbledore w Hogwarcie - Nagrody i Pozory.

Po raz pierwszy od trzech dni Harry zupełnie zapomniał o Stworku. Jego pierwszą myślą było, iż Lupin teleportował się z powrotem do pomieszczenia i przez ułamek sekundy był zaskoczony widząc masę splątanych kończyn, która pojawiła się znikąd tuż przy jego krześle. Zerwał się z miejsca. Stworek wstał i kłaniając się nisko, zaskrzeczał:

- Panie, Stworek wrócił ze złodziejem, Mundungusem Fletcherem.

Mundungus zebrał się i wyciągnął różdżkę, ale Hermiona była szybsza od niego.

- *Expelliarmus!*

Różdżka Mundungusa poszybowała w powietrze, a Hermiona chwyciła ją. Z przerażeniem w oczach Fletcher rzucił się w kierunku schodów. Ron powalił go z wprawą zawodowego gracza w rugby i ze stłumionym chrupnięciem Mundungus wylądował na kamiennej podłodze.

- Czego? - wrzasnął, wijąc się, próbując uwolnić z uścisku Rona. - Co niby zrobiłem? Wysyłać za mną cholernego skrzata, w co wy się bawicie, co niby zrobiłem, puszczaj, puszczaj, bo...

- Raczej nie bardzo możesz sobie pozwolić na rzucanie gróźb - powiedział Harry. Odrzucił na bok gazetę, przemierzył kuchnię kilkoma krokami i przyklęknął przy przerażonym Mundungusie, który przestał się wyrywać. Zdyszany Ron wstał, przyglądając się jak Harry celuje różdżką prosto w nos Mundungusa. Dung śmierdział zatęchłym potem i tytoniowym dymem. Miał skołtunione włosy, a szatę zaplamioną.

- Panie, Stworek przeprasza za opóźnienie w przyprowadzeniu złodzieja - zaskrzeczał skrzat. - Fletcher wie, jak unikać sideł, ma wiele kryjówek i wspólników. Mimo to Stworkowi w końcu udało się go schwytać.

- Spisałeś się naprawdę dobrze, Stworku - powiedział Harry, a skrzat ukłonił się nisko.

- Dobra, mamy do ciebie kilka pytań - zwrócił się Harry do Mundungusa, który momentalnie zaczął wykrzykiwać:

- Spanikowałem, dobra? W ogóle nie miałem ochoty tam być, bez urazy, koleś, ale nigdy nie zgłaszałem się na ochotnika, by za ciebie wykitować, a sam cholerny Sam Wiesz Kto leciał prosto na mnie, każdy by się zmył. W końcu, jak już mówiłem, wcale nie miałem ochoty...

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nikt inny się nie teleportował - przerwała mu Hermiona.

- No, wyście banda chrzanionych bohaterów, nie? Ja tam nigdy nie udawałem, że mi się spieszy na drugą stronę...

- Nie interesuje nas, dlaczego zostawiłeś Szalonookiego samego - powiedział Harry przysuwając różdżkę bliżej podkrążonych i zaczerwienionych oczu Mundungusa. - To było jasne od dawna, że jesteś kawał szumowiny, na którym polegać nie można.

- Do czemu do cholery uganiają się za mną skrzaty domowe? Znów chodzi o te pucharki? Jakby mi jeszcze jakie zostały, to bym ci je dał...

- Nie chodzi o pucharki, ale jesteś coraz bliżej - przerwał mu Harry. - Zamknij się i słuchaj.

Cudownie było mieć co robić, mieć kogoś, z kogo można było wydusić choć małą część prawdy. Różdżka Harry'ego była teraz tak blisko nasady Dungowego nosa, że ten zaczął zezować, próbując mieć ją cały czas na oku.

- Kiedy opróżniałeś ten dom ze wszystkiego, co wartościowe - zaczął Harry, ale Mundungus przerwał mu ponownie.

- Syriuszowi nigdy nie zależało na żadnym z tych śmieci...

Rozległ się tupot małych nóżek, błysnęła lśniąca miedź, i od ścian odbiły się echem brzęk i straszliwy wrzask. Stworek runął na Mundungusa i zaczął go okładać po głowie patelnią.

- Weź go zabierz, weź go zabierz, jego się powinno zamknąć! - wrzasnął Mundungus, kuląc się ze strachu na widok Stworka, unoszącego ponownie naczynie.

- Stworku, nie! - krzyknął Harry.

Wzniesione w górę cienkie ramię Stworka drżało pod ciężarem patelni.

- Panie Harry, może tak jeszcze raz, na szczęście?

Ron wybuchnął śmiechem.

- Potrzebny nam przytomny, Stworku. Ale jeśli będzie trzeba użyć perswazji, możesz czynić honory - odpowiedział Harry.

- Dziękuję bardzo, panie. - Stworek ukłonił się i odsunął na niewielką odległość, nie spuszczając z Mundungusa swych wielkich, jasnych oczu, w których tliła się odraza.

- Kiedy opróżniałeś ten dom ze wszystkich kosztowności, jakie udało ci się wyszperać - zaczął ponownie Harry - zabrałeś masę rzeczy z kuchennego kredensu. Był tam medalion.

Nagle zaschło mu w ustach. Widział, że napięcie Rona i Hermiony także rośnie.

- Co z nim zrobiłeś?

- A bo co? - spytał Mundungus. - Jest cenny?

- Nadal go masz! - krzyknęła Hermiona.

- Nie, nie ma - zauważył bystro Ron. - Zastanawia się, czy powinien był zawołać za niego więcej.

- Więcej? - odezwał się Mundungus. - To kurna nie byłoby takie trudne... bom go, cholera, za darmo oddał. Nie było wyjścia.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sprzedawałem to i owo na Pokątnej, a ta podchodzi do mnie i pyta, czy mam licencję na handel magicznymi artefaktami. Cholerna wścibska baba. Chciała mi wlepić karę, ale się jej medalion spodobał, to mi powiedziała, że go sobie weźmie i tym razem mi odpuści. I że mam szczęście.

- Co to była za kobieta? - spytał Harry.

- A skąd mam wiedzieć? Jakiś babsztyl z ministerstwa.

Mundungus zmarszczył brwi i zamyślił się na chwilę.

- Taka mała kobitka. Z kokardą na głowie.

Zachmurzył się i dodał:

- Wyglądała jak ropucha.

Harry z wrażenia upuścił różdżkę. Uderzyła Mundungusa w nos i wystrzeliła czerwone iskry wprost na jego brwi, które zaczęły się tlić.

- *Aguamenti!* - wrzasnęła Hermiona, a z jej różdżki wystrzelił strumień wody, opryskując dławiącego się Mundungusa.

Harry podniósł wzrok i ujrzał szok, który sam czuł, odmalowany na twarzach przyjaciół. Blizny na wierzchu jego prawej dłoni znów zaczęły swędzieć.

Rozdział 12
Magia to potęga

Tłumaczenie: Zakk

Sierpień mijał powoli. Zaniedbany trawnik na środku Grimmauld Place brązowiał z każdym dniem. Mieszkańcy sąsiednich domów nigdy nie widzieli nikogo, kto mieszkałby pod numerem dwunastym, podobnie zresztą, jak samego numeru dwunastego. Mugole z Grimmauld Place już dawno temu zaakceptowali zabawny błąd w numeracji, dzięki któremu numery jedenaście i trzynaście znajdowały się tuż obok siebie.

Teraz jednak placyk przyciągał wielu ciekawskich, którzy nagle uznali tę anomalię za wysoce intrygującą. Niemal nie było dnia bez przynajmniej jednej osoby, która nie robiła nic poza wpatrywaniem się w połączenie tych dwóch domów. Nigdy ci sami przybysze nie zjawiali na Grimmauld Place przez kilka dni pod rząd; codziennie przychodzili inni. Najwyraźniej jednak wszyscy podzielali dziwną niechęć do normalnych ubrań. Większość mijających ich londyńczyków była przyzwyczajona do niecodziennej i ekscentrycznej mody, a mimo to czasem przechodnie oglądali się na nich, zdziwieni, że ktoś w taki upał zakłada długi płaszcz.

Obserwatorzy nie wyglądali na zadowolonych z efektów swojego czuwania. Czasem któryś z nich spoglądał przed siebie z ekscytacją, jakby wypatrzył w końcu coś interesującego, po chwili jednak z zawiedzioną miną uznawał, że było to tylko przywidzenie.

Pierwszego września na placyku zebrało się więcej ludzi, niż do tej pory. Pół tuzina mężczyzn, każdy w długim, czarnym płaszczu, pogrążonych w milczącej obserwacji domów jedenastego i trzynastego wyczekiwało czegoś, co wciąż pozostawało nieuchwytne. Nadchodzący wieczór przyniósł ze sobą niespodziewany, pierwszy od kilku tygodni, zimny deszcz. Nastąpił też jeden z tych niewyjaśnionych momentów, kiedy mężczyźni zdawali się w końcu widzieć coś ciekawego. Jeden z nich, ze skrzywioną twarzą, pokazał coś krępemu, blademu koledze i obaj ruszyli w stronę domu. Po chwili jednak zatrzymali się, rozczarowani i sfrustrowani, po czym wrócili do biernej obserwacji.

W tym samym czasie w domu pod numerem dwunastym Harry Potter wszedł do przedpokoju. Przed chwilą stracił niemal równowagę podczas aportowania się na schodach przed głównym wejściem. Chłopak czuł, że śmierciożercy przez ułamek sekundy widzieli kawałek jego odsłoniętego łokcia. Zamykając starannie drzwi wejściowe, ściągnął z siebie pelerynę niewidkę, przewiesił ją sobie przez ramię i z kradzionym egzemplarzem „Proroka Codziennego" w dłoni przeszedł pośpiesznie przez ponury korytarz w stronę drzwi do piwnicy. Przywitał go zwyczajowy, cichy szept *„Severus Snape?"*, zawiał zimny wiatr, a od rzuconego na to miejsce zaklęcia język zwinął mu się na chwilę.

- Nie zabiłem cię - powiedział Harry, gdy mógł już mówić. Wstrzymał oddech. Uformowana z pyłu figura - klątwa eksplodowała.

- Mam informacje! Nie spodobają wam się - zawołał, kiedy był już w połowie drogi na dół, poza zasięgiem słuchu portretu pani Black, i otrzepał się z pozostałej po klątwie chmury kurzu.

Kuchnia była niemal nierozpoznawalna. Każda powierzchnia błyszczała, a miedziane garnki i patelnie wypolerowano do połysku. Drewniany blat stołu, zastawiony już naczyniami do następnego posiłku, lśnił w blasku ognia, nad którym wisiał kociołek. Jednak nic w tym pomieszczeniu nie różniło się poprzedniego stanu rzeczy bardziej, niż skrzat, który właśnie pędził w stronę Harry'ego. Zamiast w starą szmatę, owinięty był w śnieżnobiały, miękki ręcznik, włosy wystające z uszu miał czyste i puszyste, a na chudej klatce piersiowej, podskakując żywo, pysznił mu się wypolerowany naszyjnik Regulusa.

- Buty, paniczu Potter! I proszę umyć ręce przed kolacją - zaskrzeczał Stworek, zabierając Harry'emu pelerynę niewidkę i wieszając ją na haku obok kilku innych, staromodnych, ale świeżo wypranych szat.

- Co się stało? - spytał Ron. Wraz z Hermioną nachylał się nad stertą notatek i ręcznie rysowanych map, pokrywających duży fragment kuchennego stołu. Teraz jednak oboje przyglądali się Harry'emu, który podszedł do nich i rzucił gazetę na wierzch stosu papierów. Ze zdjęcia na pierwszej stronie patrzył znajomy, czarnowłosy mężczyzna z dużym, haczykowatym nosem. Nagłówek nad zdjęciem głosił:

SEVERUS SNAPE NOWYM DYREKTOREM HOGWARTU

- NIE! - krzyknęli Ron i Hermiona jednocześnie.

Dziewczyna pierwsza złapała gazetę i zaczęła głośno czytać artykuł.

Severus Snape, wieloletni nauczyciel eliksirów w szkole magii i czarodziejstwa Hogwart został dziś mianowany dyrektorem tej szacownej instytucji. Była to najważniejsza z tegorocznych zmian kadrowych. W związku z rezygnacją poprzedniego nauczyciela mugoloznawstwa, posadę tę powierzono Alecto Carrow. Jej brat Amycus został zaś mianowany nowym nauczycielem obrony przed czarną magią.

***- To dla mnie wielki zaszczyt móc strzec wartości społeczeństwa czarodziejów i podtrzymywać nasze wspaniałe tradycje* - takie jak morderstwa i odcinanie ludziom uszu, zdaje mi się! Snape dyrektorem! - pisnęła Hermiona. - Snape w gabinecie Dumbledore'a! Na portki Merlina! - Dziewczyna zerwała się z miejsca i wybiegła z kuchni, krzycząc, że za moment wróci.**

- Na portki Merlina? - powtórzył Ron z rozbawieniem. - Musiała się wkurzyć - powiedział i przyciągnął do siebie gazetę. Szybko przejrzał artykuł, który czytała. - Pozostali nauczyciele nie będą stali bezczynnie. McGonagall, Flitwick i Sprout znają prawdę, doskonale wiedzą jak zginął Dumbledore. Nie zgodzą się, żeby Snape był dyrektorem. A ci Carrowowie? Co to za jedni?

- Śmierciożercy - odparł Harry. - W środku są ich zdjęcia. Widziałem ich na wieży, kiedy Snape zabijał Dumbledore'a, więc to sami starzy przyjaciele. Poza tym - Harry kontynuował gorzko, siadając na krześle - nauczyciele nie mogli zrobić nic innego, jak zostać w szkole, Ron. Jeśli faktycznie ministerstwo i Voldemort stoją za Snape'em, to nie mają żadnego wyboru. Albo zostaną uczyć, albo wylądują w Azkabanie z ładnym, kilkuletnim wyrokiem. A to też tylko wtedy, kiedy będą mieć szczęście. Sądzę, że wszyscy zostaną, żeby chronić uczniów.

Zaaferowany Stworek przyniósł do stołu dużą wazę i pogwizdując wesoło, zaczął rozlewać zupę do małych misek.

- Dziękuję ci, Stworku - powiedział Harry odwracając „Proroka", żeby nie musieć patrzeć na zdjęcie. - Przynajmniej wiemy dokładnie, gdzie teraz jest Snape - zauważył i zaczął jeść. Od kiedy skrzat otrzymał naszyjnik, jakość przyrządzanych przez niego potraw uległa znacznej poprawie. Dzisiejsza francuska zupa cebulowa była najlepszą, jaką Harry kiedykolwiek jadł.

- Na zewnątrz cały czas jest pełno śmierciożerców - opowiadał Ronowi. - Więcej niż zwykle. Zachowują się, jakby czekali, aż wyjdziemy stąd ze szkolnymi kuframi i pomaszerujemy na peron numer dziewięć i trzy czwarte.

Ron zerknął na zegarek.

- Cały dzień o tym myślę - odparł. - Pociąg odjechał prawie sześć godzin temu. Dziwnie jest nim nie jechać, prawda?

Harry przypomniał sobie, jak kiedyś z Ronem podziwiał czerwoną lokomotywę z lotu ptaka. I pociąg, błyszczący i skręcający się między polami, jak szkarłatna stonoga. Chłopak był pewien, że w tej chwili Ginny, Luna i Neville siedzą w przedziale, zajęci dociekaniem, gdzie też on, Ron i Hermiona mogą się podziewać albo zastanawiają się, jak poradzić sobie z nowym reżimem Snape'a.

- Prawie mnie widzieli, jak wracałem. - Harry otrząsnął się z zamyślenia i wrócił do poprzedniego tematu. - Źle wylądowałem przed drzwiami i peleryna zjechała mi z ramienia.

- Nie przejmuj się. Mi się to ciągle zdarza - pocieszył go Ron. - O, idzie wreszcie - dodał, odwracając się do wchodzącej Hermiony. - Co to, na najszersze gatki Merlina, miało być?

- Przypomniałam sobie o tym - sapnęła dziewczyna.

W rękach trzymała duży, oprawiony w grube ramy obraz. Położyła go na podłodze i sięgnęła po swoją małą, zdobioną paciorkami torebkę, która leżała na jednym z kuchennych blatów. Otworzyła ją i zaczęła wpychać do niej obraz, nie zwracając żadnej uwagi na to, że był on ewidentnie za duży, żeby zmieścić się do środka. A jednak po upływie kilku sekund malowidło z wielką łatwością się tam znalazło.

- Fineas Nigellus - wyjaśniła, rzucając torbę na stół, gdzie wylądowała z głośnym trzaskiem.

- Przepraszam? - spytał Ron. Harry zrozumiał od razu. Fineas Nigellus Black mógł swobodnie przemieszczać się między portretem na Grimmauld Place a jego kopią wiszącą w Hogwarcie, w gabinecie dyrektora: okrągłym, nisko sklepionym pomieszczeniu, gdzie teraz bez wątpienia siedział Snape w otoczeniu wszystkich rzeczy Dumbledore'a - delikatnych, srebrnych instrumentów magicznych, kamiennej myślodsiewni, Tiary Przydziału i miecza Gryffindora, o ile ten nie został nigdzie przeniesiony.

- Snape mógł wysłać Fineasa, żeby sprawdził, co się tu dzieje - wyjaśniła Hermiona Ronowi, gdy usiadła na krześle. - Ale niech spróbuje teraz. Wszystko co Fineas zobaczy, to ciemne wnętrze mojej torby.

- Niezły pomysł! - przyznał Ron, wyglądając, jakby zrobiło to na nim duże wrażenie.

- Dzięki. - Hermiona uśmiechnęła się do niego i zabrała się za zupę. - Coś jeszcze się dzisiaj wydarzyło, Harry?

- Nic - odparł chłopak. - Obserwowałem wejście do ministerstwa przez siedem godzin. Ani śladu po niej. Widziałem za to twojego tatę, Ron. Wyglądał, jakby wszystko było w porządku.

Ron pokiwał głową, wdzięczny za wiadomość. Już wcześniej uzgodnili, że komunikowanie się z panem Weasleyem, gdy ten wchodził bądź wychodził z ministerstwa, byłoby za dużym ryzykiem. Zawsze był otoczony innymi pracownikami. Niemniej, fakt, że ojciec Rona był cały i zdrowy, choć wyraźnie bardziej zmęczony i niespokojny niż zazwyczaj, podnosił ich na duchu.

- Tata mówił, że pracownicy ministerstwa zawsze używają sieci Fiuu. Dlatego nigdy nie widzieliśmy Umbridge wchodzącej do budynku głównym wejściem. Babie zwyczajnie się wydaje, że jest zbyt ważna.

- A co z tą zabawną, starszą czarownicą i małym czarodziejem w granatowych szatach? - spytała Hermiona.

- Tym gościem ze Służb Porządkowych? - rzucił Ron.

- Skąd wiesz, że on jest ze Służb Porządkowych, Ron? - spytała, przerywając jedzenie z łyżką w pół drogi do ust.

- Tata mówił, że oni wszyscy noszą granatowe szaty.

- Czemu nam o tym nie powiedziałeś? - zapytała z wyrzutem. Odłożyła łyżkę na bok i przyciągnęła do siebie wszystkie notatki, które przeglądała wraz z Ronem, gdy wrócił Harry.

- Tu nic nie ma na temat granatowych szat, Ron! Zupełnie nic! - oznajmiła, przerzucając gorączkowo zapisane karty pergaminu.

- A czy to ważne? - spytał chłopak.

- *Wszystko* jest ważne! Jeśli mamy wejść do ministerstwa i nie dać się przy tym złapać, zwłaszcza gdy oni są *zobowiązani* wypatrywać wszystkich intruzów, każdy malutki, najmniejszy nawet detal ma znaczenie! Już nie raz przez to przechodziliśmy. No i po co nam te wszystkie całodniowe rekonesanse, skoro ty się nie przejmujesz, żeby powiedzieć nam...

- Kurczę, Hermiono! Zapomniałem o jednej, małej rzeczy, a ty...

- Zdajesz sobie sprawę, że na całym świecie nie ma dla nas teraz bardziej niebezpiecznego miejsca, niż ministerstwo...

- Sądzę, że powinniśmy zrobić to jutro - przerwał jej Harry.

Hermiona urwała z szeroko otwartymi ustami. Ron z wrażenia zakrztusił się zupą.

- Jutro? - zdziwiła się Hermiona. - Żartujesz Harry, prawda?

- Nie - odparł. - Nie wydaje mi się, żebyśmy byli kiedykolwiek lepiej przygotowani, niż jesteśmy teraz. Im dłużej to odwlekamy, tym dalej od nas jest naszyjnik. I tak teraz jest już bardzo prawdopodobne, że Umbridge go zwyczajnie wyrzuciła, skoro nie można go otworzyć.

- Chyba że - rzucił Ron - babsko znalazło sposób, jak go otworzyć i ją opętało.

- Jej to i tak wielkiej różnicy nie zrobi. - Harry wzruszył ramionami. - I bez tego jest wystarczająco zła.

Hermiona przygryzła wargę w zamyśleniu.

- Wiemy wszystko, co trzeba - kontynuował Harry, adresując słowa do Hermiony. - Wiemy, że zablokowali całkowicie teleportację z i do ministerstwa, wiemy też, że tylko najbardziej prominentni pracownicy mają połączenie Fiuu z domu do budynku. Ron podsłuchał przecież tych dwóch niewymownych, jak na to narzekali. I w końcu, wiemy mniej więcej, gdzie jest gabinet Umbridge. To akurat ty podsłuchałaś.

- *Będę na poziomie pierwszym, Dolores mnie wzywa* - wyrecytowała dziewczyna z pamięci.

- Dokładnie - potwierdził. - I wiemy też, że żeby dostać się do budynku, trzeba mieć te śmieszne monety czy też żetony. Widzieliśmy, jak jedna czarownica je pożycza od...

- Ale przecież nie mamy żadnych!

- Jeśli plan podziała, będziemy mieć - wyjaśnił spokojnie chłopak.

- No nie wiem, Harry, nie wiem... Tyle rzeczy może pójść źle... Tyle rzeczy opiera się tylko na założeniu, że będziemy mieć szczęście...

- I to się nie zmieni, nawet jeśli spędzimy następne trzy miesiące na przygotowaniach. Czas działać - przekonywał Harry.

Z wyrazu twarzy przyjaciół mógł wyczytać, że oboje się boją. Sam się musiał przekonywać do swojego planu, choć był pewien, że nadszedł w końcu czas, kiedy powinni zacząć działać.

Poprzednie cztery tygodnie spędzili pod peleryną - niewidką, na zmianę obserwując główne wejście do Ministerstwa Magii, które Ron dzięki swojemu ojcu znał od dziecka. Śledzili wchodzących pracowników, podsłuchiwali ich rozmowy i dowiadywali się, na kogo z nich można liczyć w kwestii codziennego pojawiania się w tym samym miejscu i o tej samej porze w drodze do pracy.

Od czasu do czasu Harry'emu, Ronowi bądź Hermionie udawało się zwędzić „Proroka" z czyjegoś płaszcza, czy teczki. Powoli udało im się sporządzić leżące teraz przed Hermioną szkice map i notatki na temat budynku ministerstwa.

- W porządku - powiedział Ron powoli. - Załóżmy, że pójdziemy tam jutro... Uważam, że powinienem iść tylko ja i Harry.

- Oj, nie zaczynaj znowu! - westchnęła Hermiona. - Myślałam, że już to uzgodniliśmy.

- Co innego krążyć pod peleryną przed wejściem, Hermiono, co innego iść na akcję - na potwierdzenie swoich słów Ron dźgnął palcem „Proroka" z przed dziesięciu dni. - Jesteś na liście mugolaków, którzy nie pojawili się na przesłuchaniu!

- A ty powinieneś właśnie umierać na groszopryszczkę! Jeśli ktokolwiek nie powinien iść, to właśnie Harry, bo jest za niego nagroda, dziesięć tysięcy galeonów!

- Spoko, zostanę tutaj - sarknął Harry. - Tylko dajcie mi znać, jak już pokonacie Voldemorta, okej?

Ron i Hermiona zaśmiali się wesoło. W tym samym czasie Harry poczuł ukłucie bólu, który przeszył jego bliznę. Bezwiednie przycisnął do niej rękę. Zauważył, jak oczy Hermiony zwężają się niespokojnie, więc spróbował wprowadzić ją w błąd, udając, że odgarnia włosy z czoła.

- Hm, jeśli wszyscy mamy iść, będziemy musieli deportować się osobno - mówił Ron. - Wszyscy razem nie zmieścimy się już pod peleryną. Nie te lata.

Blizna bolała coraz bardziej. Harry wstał. Stworek od razu ruszył w jego stronę.

- Panicz nie zjadł do końca zupy! Może panicz zechce smakowitej potrawki, albo ciasta melasowego, za którym tak przepada!

- Dziękuję, Stworku, wrócę za minutę. Idę do... eee... toalety.

Wiedząc, że Hermiona przygląda mu się podejrzliwie, pospieszył po schodach do łazienki na pierwszym półpiętrze, gdzie zamknął za sobą drzwi na klucz. Sycząc z bólu, padł koło czarnej wanny z kranikami w kształcie otwartych pysków węży i zamknął oczy...

Sunął zatopioną w półmroku ulicą. Domy po obu jej stronach miały wysokie, drewniane dachy dwuspadowe, przez co wyglądały jak chatki z piernika. Podszedł do jednego z nich i na tle drzwi zobaczył biel swojej własnej dłoni o długich palcach. Zapukał. Czuł rosnące podniecenie... Drzwi otworzyły się: stała w nich roześmiana kobieta. Uśmiech jednak znikł z jej twarzy błyskawicznie, zastąpiony przez strach i przerażenie, gdy spojrzała na twarz Harry'ego.

- Gregorowicz? - rzucił pytająco wysoki, zimny głos.

Kobieta potrząsnęła głową i spróbowała zamknąć drzwi. Biała ręka przytrzymała je mocno, nie pozwalając im się zatrzasnąć...

- Chcę Gregorowicza!

- *Er wohnt hier nicht mehr!* - krzyknęła kobieta, kręcąc głową w panice. - On tu nie mieszka! On nie tu! Ja go nie znać!

Porzucając nieskuteczne próby zamknięcia drzwi, zaczęła się wycofywać ciemnym korytarzem. Harry podążył za nią, zbliżając się z każdym krokiem. Jego smukła dłoń sięgnęła po różdżkę.

- Gdzie on jest?

- *Das weiss ich nicht!* Wyprowadził się! Nie wiem, do gdzie! Nie wiem!

Uniósł rękę. Kobieta krzyknęła. Dwoje małych dzieci wybiegło na korytarz. Próbowała osłonić je ramionami. Potem był błysk zielonego światła...

- Harry! HARRY!

Chłopak otworzył oczy i zsunął się po ścianie wanny na podłogę. Hermiona dalej dobijała się do drzwi.

- Harry, otwórz!

Musiał krzyczeć, wiedział o tym. Wstał i otworzył drzwi. Hermiona stojąca na progu straciła równowagę, ale szybko ją odzyskała. Ron stał tuż za nią, wystraszony, celując różdżką w ciemne kąty łazienki.

- Co tutaj robiłeś? - spytała dziewczyna surowo.

- A jak ci się zdaje? - odparł Harry, próbując dodać swojemu głosowi buńczuczności.

- Wrzeszczałeś, jakby cię ze skóry żywcem obdzierali.

- Taaa... Musiałem przysnąć...

- Harry, proszę, nie obrażaj naszej inteligencji - rzuciła Hermiona, oddychając głęboko. - Wiemy, że blizna cię bolała, jak byłeś na dole, a teraz jesteś biały jak ściana.

Harry usiadł na brzegu wanny.

- Dobra. Właśnie widziałem, jak Voldemort morduje niewinną kobietę. Teraz pewnie zabił już całą jej rodzinę. A nie musiał. To była powtórka z Cedrika. Oni tam po prostu byli...

- Harry! Nie możesz pozwalać, żeby te wizje się powtarzały! - oznajmiła Hermiona podniesionym głosem, który odbił się echem od ścian łazienki. - Dumbledore chciał, żebyś używał oklumencji! On uważał, że to połączenie między tobą a Voldemortem jest niebezpieczne! Voldemort też może go użyć! Co jest dobrego w obserwowaniu, jak zabija i torturuje ludzi? W czym to ma nam pomóc?

- W tym, że wiemy, co robi? - odciął się Harry.

- Więc nawet nie będziesz *próbował* zamknąć tego połączenia?

- Hermiono, nie mogę! Wiesz, że jestem noga z oklumencji. Nigdy sobie z nią nie radziłem.

- Bo nigdy tak naprawdę nie próbowałeś! - odparła ostro. - Nic już nie rozumiem, Harry! Ty po prostu lubisz mieć te wizje, połączenie czy specjalny związek... Albo jeszcze co innego, nie wiem jak to nazywasz...

Hermiona wyraźnie straciła trochę z animuszu pod spojrzeniem, które posłał jej Harry, wstając.

- Lubię? - spytał cicho. - A czy ty byś je lubiła?

- Ja... Nie... Przepraszam Harry, ja nie chciałam...

- Nienawidzę ich. Nienawidzę tego, że on może wejść w mój umysł, kiedy tylko chce, że muszę patrzeć jego oczyma, kiedy robi się najbardziej wredny i niebezpieczny. Ale skoro mogę, to chcę to wykorzystać.

- Ale Dumbledore...

- Zapomnij o Dumbledorze. To mój wybór, nikogo innego. Chcę wiedzieć, dlaczego Gregorowicz jest w niebezpieczeństwie.

- Kto?

- Zagraniczny różdżkarz - wyjaśnił. - To on wykonał różdżkę Kruma. Krum swoją drogą twierdzi, że ten człowiek to geniusz.

- Ale z tego co mówiłeś, Voldemort trzyma gdzieś Ollivandera. A jeśli ma już jednego różdżkarza, to po co mu drugi? - spytał Ron.

- Może podziela zdanie Kruma, że Gregorowicz jest po prostu lepszy? Albo myśli, że Gregorowicz będzie w stanie wytłumaczyć mu, co moja różdżka zrobiła jego różdżce, gdy mnie ścigał?

Harry spojrzał w pęknięte, zakurzone lustro i zobaczył, jak Ron z Hermioną wymieniają sceptyczne spojrzenia.

- Harry, opowiadasz w kółko, co zrobiła twoja różdżka - podjęła Hermiona. - Ale to ty zrobiłeś, nie ona! Dlaczego tak się uparłeś nie brać odpowiedzialności za swoją własną moc?

- Bo wiem, że to nie ja! I wie to też Voldemort, Hermiono! Obaj wiemy, jak to naprawdę było!

Spojrzeli na siebie oboje. Harry wiedział, że nie przekonał przyjaciółki, i że przygotowywała właśnie kontrargumenty zarówno do teorii dotyczącej zachowania różdżki, jak i do poglądów Harry'ego względem połączenia z Voldemortem. Ale ku uldze chłopaka, Ron interweniował.

- Odpuść sobie - doradził jej. - To jego wybór. A jeśli mamy iść jutro do ministerstwa, powinniśmy chyba zrobić jakieś plany, prawda?

Hermiona niechętnie pozwoliła się odciągnąć od tematu, choć Harry był pewien, że dziewczyna zaatakuje od razu, gdy będzie miała ku temu sposobność. W międzyczasie jednak zdążyli już wrócić do kuchni, gdzie Stworek podał im potrawkę i ciasto z melasą.

Spać poszli dopiero głęboką nocą, po wielu godzinach spędzonych na układaniu i powtarzaniu w kółko planu, aż każde z nich mogło go wyrecytować. Harry, który sypiał teraz w dawnej sypialni Syriusza, ćwiczył przy starej fotografii Huncwotów, recytując jej plan przez kolejne dziesięć minut. Jednak gdy zgasił różdżkę, nie myślał ani o wielosoku, ani o Wymiotkach Pomarańczowych czy o granatowych szatach Służb Porządkowych. Jego myśli pochłonął różdżkarz Gregorowicz i to, jak długo mógł mieć nadzieję pozostać w ukryciu przed Voldemortem, ścigającym go z taką determinacją.

Wydawało się, że świt nadszedł wręcz nieprzyzwoicie szybko.

- Wyglądasz strasznie - przywitał Harry'ego Ron, gdy wszedł do jego sypialni go obudzić.

- Od niedawna - ziewnął Harry.

Hermionę znaleźli w kuchni. Jadła właśnie naleśniki, popijając je podaną przez Stworka kawą. Harry zauważył na twarzy dziewczyny ten charakterystyczny wyraz szaleństwa, który zwykle widzieli podczas powtórek do egzaminów.

- Szaty - powiedziała półgłosem, jednocześnie sprawdzając zawartość torby i kiwając im głową na przywitanie. - Wielosok... Peleryna... Detonatory pozorujące... Powinniście wziąć parę, tak na wszelki wypadek... Wymiotki Pomarańczowe, Krwotoczki Truskawkowe, Uszy Dalekiego Zasięgu...

Połknęli swoje śniadania i pomknęli na piętro. Stworek pożegnał ich niskim ukłonem, obiecując, że paszteciki z mięsem i wątróbką będą na nich czekać, gdy wrócą.

- Niech Merlin mu błogosławi - powiedział Ron czule. - I pomyśleć, że były czasy, kiedy marzyłem o powieszeniu jego głowy na ścianie, obok innych skrzatów.

Czujnie ruszyli w stronę drzwi wyjściowych. Zauważyli kilku zaspanych jeszcze śmierciożerców, którzy obserwowali dom przez zamglony plac. Hermiona z Ronem deportowała się jako pierwsza, a później wróciła po Harry'ego.

Po krótkiej chwili duszności i ciemności Harry zdał sobie sprawę, że znajdują się w malutkiej alejce, gdzie miała rozpocząć się pierwsza faza planu. Miejsce to było zupełnie puste, jeśli nie liczyć kilku opróżnionych śmietników. Pierwsi pracownicy ministerstwa nigdy nie pojawiali się tu wcześniej, niż o ósmej rano.

- Dobra - oznajmiła Hermiona, spoglądając na zegarek. - Powinna tutaj być za jakieś pięć minut. Kiedy ją ogłuszę...

- Wiemy, Hermiono - odparł jej Ron sucho. - O ile pamiętam, drzwi mieliśmy otworzyć, zanim ona się tu pojawi, prawda?

Hermiona zapiszczała:

- Prawie zapomniałam! Odsuńcie się...

Dziewczyna wskazała różdżką na ciężką kłódkę zamalowanych graffiti drzwi przeciwpożarowych, które otworzyły się z głośnym hukiem. Ciemny korytarz prowadził, jak wiedzieli z wycieczek rekonesansowych, do dużej sali teatralnej. Hermiona przymknęła drzwi, żeby wyglądały na wciąż zamknięte.

- A teraz - powiedziała, odwracając się do przyjaciół - z powrotem zakładamy na siebie pelerynę...

- ...i czekamy - dokończył za nią Ron, przewracając oczyma, jednocześnie zarzucając pelerynę na siebie i Harry'ego.

Nieco ponad minutę później w alejce rozległ się cichutki trzask aportacji i nieduża, siwa już czarownica z ministerstwa pojawiła się stopę od nich. Kobieta zamrugała intensywnie pod wpływem nagłego blasku słońca, które dokładnie w tym momencie wyjrzało zza chmury. Miała zaledwie chwilę, by nacieszyć się niespodziewanym ciepłem, bo Hermiona natychmiast trafiła ją w pierś zaklęciem oszałamiającym.

- Niezła robota, Hermiono - pochwalił ją Ron, wychodząc zza pojemnika, gdy Harry zdjął z nich pelerynę niewidkę. We trójkę zaciągnęli czarownicę do korytarza prowadzącego za kulisy sceny. Hermiona wyrwała kobiecie kilka włosów i wrzuciła je natychmiast do fiolki z eliksirem wielosokowym. Ron w tym czasie dokonywał błyskawicznej inspekcji torebki oszołomionej.

- Mafalda Hopkirk - przeczytał z karty identyfikującej ją jako asystenta w Urzędzie Niewłaściwego Użycia Czarów. - Weź to lepiej, Hermiono. Tu masz żetony.

Wyciągnął z torebki kilka małych złotych monet z wygrawerowanymi literami M.M. i podał przyjaciółce. Hermiona wypiła jednym haustem zafarbowany na kolor heliotropu eliksir wielosokowy, a po chwili w małym korytarzu były już dwie Mafaldy Hopkirk. Dziewczyna zdjęła tej prawdziwej okulary i sama je założyła, a Harry spojrzał na zegarek.

- Mamy spóźnienie. Pan ze Służby Porządkowej będzie tu lada moment - obwieścił.

Szybko zamknęli drzwi, zostawiając za nimi prawdziwą Mafaldę. Harry z Ronem wrócili pod pelerynę, ale Hermiona pozostała widoczna. Odczekawszy raptem kilka sekund, usłyszeli kolejny cichy trzask i mały, łasicowaty z wyglądu czarodziej pojawił się tuż przed nimi.

- Och, witaj Mafaldo.

- Witam! - przywitała się Hermiona drżącym głosem. - Jak się masz?

- Nie najlepiej, prawdę mówiąc - odparł jej mężczyzna, wyglądając przy tym na naprawdę podłamanego.

Gdy Hermiona odeszła z mężczyzną w stronę ulicy, Harry i Ron podążali za nimi powoli.

- Przykro mi słyszeć, że coś ci leży na wątrobie - odparła dziewczyna, starając się skłonić mężczyznę, aby dał się wciągnąć w rozmowę. Kluczowe dla planu było niedopuszczenie, aby niski czarodziej doszedł do ulicy. - Masz, weź cukierka - zaproponowała mu. - Hm? Nie, dzięki...

- Ależ nalegam! - powiedziała ostro, potrząsając paczką pastylek trzymanych w dłoni. Mężczyzna popatrzył podejrzliwie, ale uległ i wziął jedną. Efekt był natychmiastowy. W momencie, gdy cukierek dotknął jego języka, czarodziej zaczął wymiotować tak mocno, że nie zauważył nawet, jak Hermiona wyrwała mu z głowy całą garść włosów.

- Na Merlina! Może weź lepiej dzień wolnego!

- Nie! Nie mogę! - powiedział między atakami torsji, starając się iść przed siebie, mimo że nie był w stanie zrobić nawet kilku kroków. - Muszę... Dziś... Muszę iść...

- Nie bądź niemądry! - powiedziała zatroskana Hermiona. - Nie możesz iść do pracy w takim stanie! Powinieneś udać się do Świętego Munga, niech się tobą zajmą!

Czarodziej przewrócił się na kolana i podpierając się dłońmi próbował pełznąć w stronę głównej ulicy.

- Zwyczajnie nie możesz iść do pracy! Nie w takiej formie! - krzyknęła dziewczyna.

Do mężczyzny chyba w końcu dotarła prawda zawarta w tych słowach. Wstał, opierając się na Hermionie, obrócił się na pięcie i zniknął, nie zostawiając po sobie nic poza wymiocinami i roboczą torbą, którą wyrwał mu Ron, gdy mężczyzna się deportował.

- Uuuuch! - wzdrygnęła się Hermiona, przytrzymując rąbek szaty z dala od bajorka treści pokarmowej. - Mniej bałaganu byśmy zrobili oszałamiając go.

- Jasne - przyznał jej rację Ron, wychodząc z pod peleryny z torbą czarodzieja w ręku. - Ale w dalszym ciągu uważam, że stos nieprzytomnych ciał bardziej zwróciłby na nas uwagę. Zresztą bardzo gorliwy z niego pracownik, prawda? - spytał. - Dodaj włosy do eliksiru - dorzucił od razu.

W ciągu dwóch minut Ron stał przed nimi jako nieduży, łasicowaty czarodziej w granatowych szatach.

- Dziwne, że dziś ich nie miał na sobie... Przy tym, jak bardzo zależało mu na pójściu do pracy... Nieważne. Sądząc po metce z tyłu, jestem Reg Cattermole.

- Zaczekaj chwilę, Harry - powiedziała Hermiona do Harry'ego, który cały czas był pod peleryną - niewidką. - Za chwilę wrócimy z jakimiś włosami dla ciebie.

Na ich powrót chłopak czekał całe dziesięć minut, dąsając się przy tym. Czas spędzony w pokrytej wymiocinami alejce zdawał się płynąć znacznie wolniej niż zwykle. W końcu jednak Ron i Hermiona pojawili się ponownie.

- Nie wiemy, kim on jest - zaczęła dziewczyna, podając Harry'emu kilka czarnych, kręconych włosów - Ale wrócił do domu z potwornym krwotokiem z nosa. Facet był dość wysoki, będziesz potrzebował innych szat - dodała.

Wyciągnęła z torby stary komplet czarodziejskiej odzieży, który specjalnie na tę okazję Stworek uprał. Harry wziął je od przyjaciółki i wypił eliksir. Gdy transformacja dobiegła już końca, miał ponad sześć stóp wzrostu i sądząc po umięśnionym ramieniu, mocną budowę ciała. Jego twarz porastała broda. Upychając pelerynę - niewidkę i okulary w wewnętrznych kieszeniach swoich nowych szat, dołączył do przyjaciół.

- Kurcze, wyglądasz strasznie - oznajmił Ron patrząc na górującego nad nim Harry'ego.

- Weź jeden z żetonów Mafaldy - upomniała go Hermiona. - I chodźmy już, dochodzi dziewiąta.

Wyszli razem z alejki. W odległości pięćdziesięciu jardów wzdłuż chodnika ustawione były czarne balustrady, oddzielające od siebie dwa rzędy schodów - każdy oznaczony odpowiednio „PANIE" i „PANOWIE".

- To do zobaczenia za moment - rzuciła Hermiona nerwowo, zmierzając w stronę schodów z tabliczką „PANIE". Harry i Ron dołączyli zaś do kolejki dziwnie ubranych mężczyzn, którzy czekali, aby zejść do czegoś, co zdawało się być zwykłą, pospolitą, wyłożoną czarnymi i białymi kafelkami podziemną toaletą.

- Dobry, Reg! - zawołał jakiś czarodziej w takich samych jak Ron, granatowych szatach. Mężczyzna wrzucił do automatu swój żeton i dołączył do kolejki.

- Uciążliwe jak pryszcz na zadku, nie? Zmuszać nas, żebyśmy docierali do pracy w ten sposób! Kogo chcą złapać? Harry'ego Pottera?

Czarodziej zaryczał śmiechem. Ronowi udało się zaledwie wymusić słaby chichot.

- Taaaa, głupie, prawda? - odparł sztywno i wraz z Harrym weszli do kabin.

Z lewej strony dobiegł ich odgłos spłukiwanej wody. Harry kucnął i zobaczył w szparze między kabiną a podłogą, jak para obutych nóg wspina się do muszli klozetowej w kabinie obok. Oderwawszy się od tego widoku, zerknął na Rona, który mrugając w zakłopotaniu, mruknął:

- Mamy się... spłukać?

- Na to wygląda - odszepnął Harry. Jego głos brzmiał nisko i ponuro.

Czując się niewymownie głupio, Harry wszedł do muszli. Nie pomylił się. Jego buty, stopy i szata były suche, mimo że stał w wodzie. Sięgnąwszy ręką przed siebie, pociągnął za łańcuch spłuczki i w następnej chwili mknął już krótką rynną, by wypaść z kominka w Ministerstwie Magii.

Wielkie Atrium zdawało się ciemniejsze, niż Harry je zapamiętał. Gdy był tu ostatnio, fontanna stojąca w centrum pomieszczenia rzucała złote błyski na wypolerowaną, drewnianą podłogę i ściany. Teraz zamiast niej stała tu wielka statua z czarnego kamienia, która sprawiała przerażające wrażenie. Była to rzeźba czarodzieja i czarownicy siedzących na bogato zdobionych tronach, z których spoglądali wyniośle na wychodzących z kominków pracowników ministerstwa. Wysokimi na stopę literami u podstawy pomnika wykuto słowa: MAGIA TO POTĘGA.

Harry poczuł, że coś z dużą siłą uderza w jego nogi. Kolejny czarodziej dopiero co wypadł z kominka, w którym w dalszym ciągu stał Harry.

- Z drogi, nie widzisz... Och, wybacz Runcorn - powiedział wyraźnie przestraszony czarodziej, który odszedł jak najszybciej mógł. Najwyraźniej mężczyzna, w którego Harry się wcielił, Runcorn, budził przerażenie.

- Pssssst! - usłyszał. Rozejrzawszy się dookoła, zobaczył małą czarownicę i czarodzieja ze Służb Porządkowych, machających zza posągów jego stronę. Dołączył do nich pośpiesznie.

- Wszystko dobrze? - szepnęła Hermiona.

- Nie, cały czas jest w skórze tego wieprza - parsknął Ron

- Bardzo zabawne... To potworne, prawda? - zwróciła się do Harry'ego, widząc jak przygląda się pomnikowi. - Widziałeś na czym oni siedzą?

Chłopak przyjrzał się dokładniej. Zdał sobie wtedy sprawę, że to, co wziął za bogato zdobione trony, jest tak naprawdę stosem ciał. Setek nagich ciał mężczyzn, kobiet, dzieci, wszystkich z głupim i obrzydliwym wyrazem twarzy. Ciała były zgniecione i przyciśnięte do siebie, żeby utrzymać ciężar dostojnie odzianych czarodziejów.

- Mugole - znów wyszeptała dziewczyna z mieszaniną przerażenia i obrzydzenia na twarzy. - Na właściwym miejscu. Chodźmy, mamy pracę do zrobienia.

Cała trójka dołączyła do czarodziejów przelewających się strumieniem w stronę złotych bramek na końcu atrium. Rozglądali się dookoła czujnie, jednak w pobliżu nie było śladu po Dolores Umbridge. Minęli bramki i weszli do mniejszego pomieszczenia, gdzie stały już kolejki do dwudziestu wind. Ledwo zdążyli dołączyć do najbliższej z nich, kiedy rozległo się wołanie:

- Cattermole!

Rozejrzeli się. Harry poczuł, jak jego żołądek wywraca się na drugą stronę: w ich stronę zmierzał jeden ze śmierciożerców, którzy byli na Wieży Astronomicznej w noc śmierci Dumbledore'a. Pozostali pracownicy ministerstwa zgromadzeni w pomieszczeniu spuścili głowy i umilkli błyskawicznie. Harry mógł wyczuć ogarniający ich strach.

Groźna, brutalna twarz śmierciożercy w zestawieniu z majestatycznie powiewającymi, haftowanymi na złoto szatami robiła dziwne wrażenie. - Dobry, Yaxley! - powiedział słabo ktoś z zebranych, ale Yaxley zignorował go.

- Wzywałem kogoś ze Służb Porządkowych, Cattermole. W moim biurze wciąż pada.

Ron rozejrzał się z nadzieją, że ktoś trzeci przyjdzie mu z pomocą, ale nikt się nie odezwał.

- Pada... w pańskim gabinecie? To... To niedobrze, prawda? - mówiąc to, zaśmiał się nerwowo, a oczy Yaxleya rozszerzyły się ze zdumienia.

- Śmieszy cię to, Cattermole?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł Ron.

- Masz świadomość, że idę właśnie na dół przesłuchać twoją żonę? Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony, że z nią nie czekasz, nie pocieszasz jej, póki możesz. Już ją sobie odpuściłeś, co? Pewnie, mądra decyzja. Następnym razem żeń się z czystokrwistymi.

Hermiona pisnęła cicho, przerażona. Yaxley spojrzał na nią spod oka. Dziewczyna zakaszlała słabo i odwróciła się do mężczyzny plecami.

- Ja... Ja... - plątał się Ron.

- Ale jeśli to moja żona zostałaby oskarżona o bycie szlamą - kontynuował Yaxley. - Co nie znaczy oczywiście, że kiedykolwiek poślubiłbym kogoś, kto mógłby zostać pomylony z tym brudem, to bez żadnego zbędnego ponaglania wykonałbym pracę zleconą mi przez głowę Departamentu Przestrzegania Prawa Czarodziejów, Cattermole. Zrozumieliśmy się?

- Tak - odburknął cicho Ron.

- To zabieraj się do roboty w tej chwili, Cattermole. A jeśli za godzinę mój gabinet nie będzie suchy jak pieprz, to twój Status Krwi będzie jeszcze bardziej wątpliwy, niż jest teraz.

Złota klatka windy przed którą stali otworzyła się z cichym trzaskiem. Śląc Harry'emu, który zapewne miał pochwalać takie zachowanie, zimny, nieprzyjemny uśmiech, Yaxley odszedł w stronę innej windy. Harry, Ron i Hermiona weszli do tej, która przed nimi się otworzyła. Nikt do nich nie dołączył. Zupełnie, jakby byli chorzy na jakąś zaraźliwą chorobę. Drzwi zamknęły się z metalicznym brzękiem i winda ruszyła do góry.

- I co ja mam zrobić? - spytał Ron z lekką paniką w głosie. - Jeśli się nie wyrobię, to moja żona... znaczy, żona Cattermole'a...

- Pójdziemy z tobą, musimy się trzymać blisko siebie - zaczął Harry, ale Ron przerwał mu, kręcąc głową intensywnie.

- Odpada. Nie mamy tyle czasu. Wy szukajcie Umbridge, ja się zajmę w tym czasie gabinetem Yaxleya... Ale jak ja mam zatrzymać deszcz?

- Spróbuj *Finite Incantatem* - poradziła mu Hermiona natychmiast. - Powinno podziałać, jeśli deszcz jest spowodowany klątwą albo zaklęciem. To może być awaria

Zaklęcia Atmosferycznego, będzie trudniejsza do naprawienia, ale spróbuj *Impervius*, żeby przynajmniej uchronić jego rzeczy przed zniszczeniem.

- Powtórz, powoli... - poprosił Ron, gorączkowo szukając po kieszeniach pióra i pergaminu, ale w tym momencie winda się zatrzymała, a bezcielesny, kobiecy głos poinformował:

- Poziom Czwarty. Departament Kontroli nad Magicznymi Stworzeniami, z Wydziałami Zwierząt, Istot i Duchów, Urząd Łączności z Goblinami oraz Biuro Doradztwa w Zwalczaniu Szkodników.

Kraty rozsunęły się cicho, wpuszczając do środka kilku czarodziejów i parę papierowych, ciemnofioletowych samolocików, które zaczęły krążyć dookoła lampy w suficie windy.

- Dobry, Albert - przywitał się z uśmiechem mężczyzna o bardzo bujnej brodzie. Zerknął na Rona i energicznie tłumaczącą mu coś na ucho Hermionę, po czym nachylił się w stronę Harry'ego i szepnął cicho: - Dirk Cresswell, co? Z Urzędu Łączności z Goblinami? Niezła robota, Albert! Jestem teraz pewien, że dostanę tę posadę! - i mrugnął. Harry odpowiedział mu uśmiechem, mając nadzieję, że to wystarczy.

Winda ponownie stanęła i kraty rozsunęły się jak poprzednio.

- Poziom Drugi, Departament Przestrzegania Prawa Czarodziejów oraz Urząd Niewłaściwego Użycia Czarów, Kwatera Główna Aurorów i Służby Administracyjne Wizengamotu - oznajmił ponownie bezcielesny głos.

Harry dostrzegł, jak Hermiona wypycha lekko Rona, który spiesznym krokiem wyszedł z windy. Za nim wysiedli też i inni czarodzieje, zostawiając Harry'ego i Hermionę samych. Złota klatka zatrzasnęła się za nimi.

- W zasadzie, Harry, myślę, że powinnam z nim iść - powiedziała Hermiona. - Nie sądzę, żeby Ron wiedział, jak sobie poradzić z tym deszczem w gabinecie, a jeśli zostanie złapany, to cały plan...

- Poziom Pierwszy. Kancelaria Ministra Magii.

Kraty rozsunęły się, odsłaniając widok, na który Hermiona lekko podskoczyła. Przed nimi stało czworo ludzi. Dwoje z nich było głęboko pogrążonych w rozmowie: długowłosy czarodziej odziany w bogato zdobione, drogie szaty w kolorze czerni i złota oraz niska, pulchna czarownica, przypominająca ropuchę, z jedwabną kokardą we włosach i podkładką do notowania przyciśniętą do piersi.

Rozdział 13
Komisja Rejestracji Czarodziejów Mugolskiego Pochodzenia

Tłumaczenie: Upupa

- Ach, Mafalda! - zawołała Umbridge, patrząc na Hermionę. - Travers cię przysłał, prawda?

- T - tak - pisnęła Hermiona.

- Świetnie, nadajesz się idealnie.

Umbridge zwróciła się do czarodzieja w czerni i złocie:

- Więc ten problem mamy rozwiązany, panie ministrze. Jeśli Mafalda zostanie oddelegowana do przesłuchań, będziemy mogli zacząć natychmiast. - Zerknęła do notatek. - Dziesięć osób na dzisiaj, a wśród nich żona naszego pracownika! No, no... Nawet tutaj, w samym sercu ministerstwa!

Weszła do windy i stanęła obok Hermiony. Za nią podążyli dwaj czarodzieje, którzy przysłuchiwali się rozmowie Umbridge i ministra.

- Mafaldo, pojedziemy prosto na dół. W sali rozpraw znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. Dzień dobry, Albercie, nie wychodzisz?

- Oczywiście - odrzekł Potter głębokim głosem Runcorna.

Harry wyszedł z windy. Złote kraty zatrzasnęły się za nim z brzękiem. Zerkając przez ramię, dojrzał zaniepokojoną twarz Hermiony znikającą z zasięgu wzroku. Dziewczyna stała między dwoma wysokimi czarodziejami, a na wysokości ramienia miała jedwabną kokardę Umbridge.

- Co cię tu sprowadza, Runcorn? - spytał nowy minister magii. Jego długie, czarne włosy i broda były poprzetykane pasmami siwizny, a wielkie, obwisłe czoło rzucało cień na błyszczące oczy. Kojarzył się Harry'emu z krabem wyglądającym spod skały.

- Musiałem zamienić dwa słowa z... - Chłopiec zawahał się na ułamek sekundy. - Arturem Weasleyem. Ktoś mi powiedział, że znajdę go na pierwszym piętrze.

- Ach. Złapano go na kontaktach z Niepożądanym?

- Nie - powiedział Potter przez suche, zaciśnięte gardło. - Nie, nic takiego.

- No cóż, to tylko kwestia czasu. Gdyby ktoś mnie pytał o zdanie, to zdrajcy krwi nie są w niczym lepsi od szlam. Miłego dnia, Runcorn.

- Miłego dnia, panie ministrze.

Harry patrzył, jak Thicknesse marszowym krokiem idzie przez wyłożony dywanami korytarz. Gdy tylko minister zniknął z pola widzenia, chłopiec wyszarpnął pelerynę - niewidkę spod swojej ciężkiej, czarnej szaty, owinął się nią i podążył korytarzem wiodącym w przeciwną stronę. Runcorn był tak wysoki, że Harry musiał się zatrzymać, by upewnić się, że obie jego stopy są schowane.

Uczucie paniki pulsowało mu w żołądku. Gdy mijał szereg lśniących, drewnianych drzwi (każde opatrzone plakietką z nazwiskiem i stanowiskiem urzędnika), przytłaczały go władza, złożoność i niedostępność ministerstwa. Plan, który klecili uważnie z Ronem i Hermioną, wydawał się śmiesznie dziecinny. Całkowicie skoncentrowali się na tym, jak niezauważenie wejść do ministerstwa, ale nie poświęcili ani chwili na zastanowienie się, co będzie, jeśli zostaną rozdzieleni. Teraz Hermiona utknęła na rozprawie, która będzie się pewnie ciągnęła godzinami; Ron usiłował rzucić zaklęcia będące - Harry nie miał wątpliwości - ponad jego siły, a w dodatku od rezultatu jego wysiłków zależała wolność tamtej kobiety. Sam Potter zaś włóczył się po najwyższym piętrze, wiedząc doskonale, że tropiona zwierzyna przed chwilą wsiadła do windy.

Przystanął, oparł się o ścianę i próbował zdecydować, co dalej. Cisza mu ciążyła - nie było słychać żadnych odgłosów krzątaniny, szmerów rozmów, dźwięku kroków. Wyłożone purpurowymi dywanami korytarze były tak ciche, jakby ktoś rzucił na nie zaklęcie Muffliato.

***Jej biuro musi gdzieś tu być,* pomyślał.**

Nie sądził, żeby Umbridge trzymała biżuterię w swoim gabinecie, ale głupotą byłoby się nie upewnić. Znów zatem ruszył korytarzem, nie spotykając nikogo oprócz czarodzieja ze zmarszczonymi brwiami, który mamrotał jakieś instrukcje do unoszącego się przed nim i gryzmolącego po kawałku pergaminu pióra.

Teraz zwracając już uwagę na nazwiska na drzwiach, Harry skręcił. W połowie kolejnego korytarza jego oczom ukazało się przestronne pomieszczenie, gdzie tuzin czarownic i czarodziejów siedziało w rzędach przy małych biurkach podobnych do szkolnych ławek, tylko dużo bardziej wytwornych i nie zabazgranych. Harry zatrzymał się, by przyjrzeć się hipnotyzującej scenie. Wszyscy równocześnie machali różdżkami, a kwadratowe kawałki kolorowego papieru latały we wszystkie strony, jak małe, różowe latawce. Po chwili zorientował się, że wszystko poruszało się w stałym rytmie, a wzór na każdej kartce był identyczny. Potrzebował jeszcze paru sekund, by dojść do wniosku, że patrzy właśnie na tworzenie broszur, a kawałki papieru były stronami, które po zebraniu, złożeniu i zaczarowaniu, układały się w schludne stosy obok każdego z czarodziejów. Harry ostrożnie podkradł się bliżej, chociaż pracownicy byli tak skupieni na swoim zajęciu, że wątpił, aby ktoś usłyszał tłumione przez dywan kroki. Zabrał gotową broszurkę ze stosu stojącego przy młodej czarownicy. Przyjrzał jej się pod peleryną niewidką. Różowa okładka była ozdobiona złotym tytułem:

SZLAMY

Zagrożenie, jakie stanowią dla pokojowo nastawionej społeczności czystokrwistych

Poniżej znajdowała się ilustracja przedstawiająca czerwoną różę z głupawym uśmieszkiem w samym środku płatków. Kwiat był duszony przez zielone chwasty z kłami i wściekłymi minami. Broszura nie była podpisana, ale Harry'emu zdawało się, że blizny na grzbiecie prawej dłoni zaczęły go boleć podczas lektury. Młoda dziewczyna, siedząca obok niego, potwierdziła szybko jego przypuszczenia, nie przerywając machania:

- Ktoś wie, czy ta stara krowa będzie cały dzień przesłuchiwać szlamy?

- Uważaj - zwrócił jej uwagę siedzący obok czarodziej, rozglądając się nerwowo. Jedna z jego kartek wysunęła się i spadła na podłogę.

- A co, dorzuciła sobie do magicznego oka jeszcze ucho?

Czarownica zerknęła na lśniące, mahoniowe drzwi na wprost miejsca pracy kopistów. Harry również spojrzał i poczuł, jak ogarnia go gniew. Tam, gdzie w mugolskich drzwiach byłby wizjer, tkwiło wielkie, okrągłe oko z jaskrawoniebieską tęczówką - oko dziwnie znajome dla każdego, kto znał Alastora Moody'ego.

Na ułamek sekundy Potter zapomniał, gdzie i po co jest. Zapomniał nawet, że jest niewidzialny. Ruszył prosto w kierunku drzwi, by bliżej przyjrzeć się oku.

Było skierowane ku górze, nieruchome i ślepe. Plakietka poniżej głosiła:

Dolores Umbridge
Starszy Podsekretarz Ministra

Jeszcze niżej znajdowała się nieco bardziej błyszcząca, nowa tabliczka:
Szef Komisji Rejestracji Czarodziejów Mugolskiego Pochodzenia

Harry spojrzał na kopistów. Chociaż byli bardzo skupieni na swojej pracy, raczej nie mógł liczyć na to, że nikt nie zauważy otwierających się im przed nosem drzwi, prowadzących do pustego biura. Toteż wyciągnął z wewnętrznej kieszeni dziwny przedmiot w kształcie gumowej gruszki z małymi, ruszającymi się nóżkami. Skradając się pod peleryną, umieścił detonator pozorujący na ziemi.

Wynalazek braci Weasleyów pomknął w stronę nóg czarownic i czarodziejów, siedzących na wprost. Po kilku chwilach, które Harry spędził na czekaniu z ręką na klamce, dał się słyszeć głośny huk, a z rogu pomieszczenia zaczął wydobywać się gryzący dym. Młoda czarownica z pierwszego rzędu wrzasnęła. Różowe kartki zaczęły latać we wszystkie strony, gdy tylko ona i jej koledzy poderwali się z miejsc, szukając źródła zamieszania. Potter nacisnął klamkę, wszedł do biura Umbridge i zamknął za sobą drzwi.

Miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie. Pokój wyglądał tak samo, jak gabinet Umbridge w Hogwarcie. Koronkowe draperie, serwetki i suszone kwiaty zajmowały każdą powierzchnię. Na ścianach wisiały te same ozdobne talerze, przedstawiające bardzo kolorowe kociaki, baraszkujące i skaczące w obrzydliwie słodki sposób. Biurko było przykryte falbaniastym, kwiecistym materiałem. Za magicznym okiem Moody'ego stało podobne do teleskopu urządzenie, które umożliwiało Umbridge szpiegowanie pracowników, znajdujących się po drugiej stronie drzwi. Harry spojrzał przez nie i zobaczył, że wszyscy nadal są zgromadzeni wokół detonatora pozorującego. Wyrwał teleskop z drzwi, odsłaniając dziurę, z której wyciągnął magiczne oko i włożył je do kieszeni. Potem odwrócił się tyłem do drzwi, podniósł różdżkę i wymamrotał: *Accio medalion!*

Zgodnie z przewidywaniami nic się nie stało. Umbridge bez wątpienia wiedziała wszystko o ochronnych urokach i zaklęciach. Podszedł do biurka i zaczął otwierać wszystkie szuflady. Znalazł pióra, zeszyty, magiczną taśmę, spinacze do papieru, które wyślizgnęły się z szuflady jak węże i trzeba było je wcisnąć z powrotem, przeładowaną ozdobami szkatułkę na biżuterię, pełną wstążek do włosów i klipsów, ale ani śladu medalionu.

Za biurkiem stała kartoteka. Harry zaczął ją przeszukiwać. Zupełnie jak ta w hogwarckim gabinecie Filcha, była pełna teczek opisanych nazwiskami. Dopiero w najniższej szufladzie Harry natrafił na coś, co oderwało go od poszukiwań: akta pana Weasleya. Wyciągnął je i otworzył.

Artur Weasley

Czystość krwi:	**czysta, ale wykazuje nieakceptowalne tendencje promugolskie. Członek Zakonu Feniksa.**
Rodzina:	**żona (czystej krwi), siedmioro dzieci, dwoje najmłodszych w Hogwarcie. UWAGA: najmłodszy syn przebywa obecnie w domu, poważnie**

Uwagi dot. bezpieczeństwa:	**chory, co potwierdzają inspektorzy ministerstwa. ŚLEDZONY. Wszystkie ruchy pod obserwacją. Wysokie prawdopodobieństwo, że Niepożądany Numer Jeden będzie szukał kontaktu (wcześniej przebywał z rodziną Weasleyów).**

- Niepożądany Numer Jeden - wymamrotał pod nosem Harry, odkładając na miejsce teczkę pana Weasleya i zamykając szufladę. Miał wrażenie, że wie o kogo chodzi. Zdobył pewność, gdy wyprostował się i rozejrzał po biurze w poszukiwaniu kolejnych potencjalnych skrytek. Na ścianie zobaczył samego siebie na plakacie, z napisem „NIEPOŻĄDANY NUMER JEDEN", biegnącym przez klatkę piersiową. Do podobizny była przyklejona mała, różowa karteczka z podobizną kociaka w rogu. Potter podszedł bliżej, by przeczytać notkę. „*Do ukarania*".

Wściekły jak nigdy, kontynuował przetrząsanie waz i koszy z suszonymi kwiatami. Nie był zaskoczony, że medalionu nigdzie nie ma. Rzucił jeszcze ostatnie, błyskawiczne spojrzenie na biuro i serce zaczęło mu walić, jak oszalałe. Dumbledore patrzył na niego z małego, prostokątnego lusterka, opartego o regał z książkami, stojący obok biurka.

Harry błyskawicznie przebiegł przez pokój i schwycił je, ale zdał sobie sprawę, że to wcale nie było lusterko. Dyrektor uśmiechał się nostalgicznie z okładki luksusowego wydania książki. Chłopiec nie od razu zauważył zielony, zakręcony napis: *Życie i kłamstwa Albusa Dumbledore'a,* przebiegający przez tiarę profesora, oraz drugi, nieco mniejszy, na wysokości klatki piersiowej: „Rita Skeeter, autorka bestselleru *Armando Dippet: mistrz czy miernota?*".

Potter otworzył książkę w przypadkowym miejscu i natrafił na zajmującą całą stronę fotografię dwóch obejmujących się nastolatków, zanoszących się śmiechem. Dumbledore, wówczas z włosami długimi na łokieć, zapuścił małą bródkę, przypominającą nieco tę, która tak zirytowała Rona u Kruma. Chłopiec, który wybuchał niemym śmiechem obok Albusa, wyglądał dziko i radośnie. Jego złote loki opadały na ramiona. Harry zastanawiał się, czy to nie mógł być młody Doge, ale zanim zdążył sprawdzić podpis, drzwi biura otworzyły się. Harry zdążył narzucić na siebie pelerynę - niewidkę tylko dlatego, że Thicknesse wchodząc oglądał się przez ramię. I tak nie był pewny, czy minister czegoś nie zauważył, bo stał przez moment bez ruchu, wpatrując się z ciekawością w miejsce, z którego przed sekundą zniknął chłopiec. Być może stwierdził, że widział tylko drapiącego się po nosie Dumbledore'a, widniejącego na okładce książki, którą Potter pospiesznie umieścił z powrotem na półce. Thicknesse podszedł wreszcie do biurka i wskazał różdżką na pióro stojące w kałamarzu, a ono szybko wyskoczyło i zaczęło pisać notkę do Umbridge. Bardzo powoli, nie ośmielając się oddychać, Harry wycofał się z biura.

Kopiści nadal byli stłoczeni wokół resztek detonatora pozorującego, który dopalał się, piszcząc cichutko. Chłopak kierował się w stronę korytarza, gdy młoda czarownica powiedziała:

- Założę się, że to się tutaj prześlizgnęło z Zaklęć Eksperymentalnych. Oni są tam tacy lekkomyślni, pamiętacie trującą kaczkę?

Spiesząc w stronę windy, Harry myślał nad dalszymi możliwościami. To, że medalion będzie w ministerstwie, nigdy nie wydawało się zbyt prawdopodobne i nie było nadziei na to, by czarami wyciągnąć jakiekolwiek informacje z Umbridge, dopóki siedziała w zatłoczonej sali rozpraw. Najważniejsze w tej chwili było opuszczenie budynku, zanim zostaną zdemaskowani, by spróbować innym razem. Przede wszystkim należało znaleźć Rona. Wtedy razem mogliby wymyślić, jak wyciągnąć Hermionę z sądu.

Winda przyjechała pusta. Harry wskoczył do niej i zdjął pelerynę - niewidkę, gdy tylko zaczęła zjeżdżać w dół. Ku jego ogromnej uldze, kiedy zatrzymała się ze stukiem na drugim piętrze, do kabiny wsiadł przemoczony do nitki Ron z szaleństwem w oczach.

- Dz - dzień dobry - wyjąkał, gdy winda znów ruszyła.

- Ron, to ja, Harry!

- Kurczę, Harry, zapomniałem, jak wyglądasz... Czemu nie ma z tobą Hermiony?

- Musiała iść z Umbridge na salę rozpraw, nie mogła odmówić i...

Ale zanim Harry zdołał dokończyć, winda znów się zatrzymała. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł pan Weasley, rozmawiając ze starszą czarownicą, której jasne włosy były tak mocno natapirowane, że przypominały mrowisko.

- ...mniej więcej rozumiem, co masz na myśli, Wakando, ale obawiam się, że nie mogę dać się wplątać w...

Pan Weasley urwał, gdy zauważył Harry'ego. Chłopak poczuł się dziwnie, gdy okazało się, że ojciec Rona patrzy na niego z taką niechęcią. Drzwi zamknęły się i czwórka pasażerów powlokła się w dół.

- O, cześć Reg - przywitał się czarodziej. Rozejrzał się, słysząc kapanie wody z mokrej szaty syna. - Czy twoja żona nie jest aby dzisiaj przesłuchiwana? Eee... Co się z tobą stało? Czemu jesteś taki mokry?

- Deszcz w biurze Yaxleya - odpowiedział Ron w stronę ramienia pana Weasleya. Harry był pewny, że chłopak bał się, że ojciec go rozpozna, jeśli tylko spojrzy mu prosto w oczy. - Nie mogli sobie z tym poradzić, więc posłali mnie, żebym przyprowadził Berniego... Pillswortha, jak się zdaje.

- Tak, w wielu biurach ostatnio padało. Próbowałeś Meteoklątwy Recanto? Zadziałała u Bletchleya.

- Meteoklątwa Recanto? Nie, nie próbowałem, dzięki ta... znaczy, dzięki Arturze.

Drzwi windy otworzyły się. Stara czarownica z włosami jak mrowisko wysiadła. Ron wyskoczył za nią, by zniknąć z widoku. Harry chciał pójść za jego przykładem, ale drogę zastąpił mu Percy Weasley z nosem zatopionym w jakichś papierach.

Dopiero kiedy drzwi się zatrzasnęły, rudzielec zorientował się, że jest w jednej kabinie z ojcem. Spojrzał na niego, zrobił się czerwony jak burak i wyszedł z windy, kiedy tylko znowu się otworzyła. Po raz drugi Harry spróbował wyjść, ale tym razem zatrzymało go ramię pana Weasleya.

- Chwileczkę, Runcorn.

Drzwi znów się zamknęły. Kiedy jechali w dół, w stronę kolejnego piętra, pan Weasley powiedział:

- Słyszałem, że dostarczyłeś im informacje o Dirku Cresswellu.

Harry miał wrażenie, że natknięcie się na Percy'ego nie pozostało bez wpływu na gniew pana Weasleya. Postanowił udawać idiotę.

- Słucham?

- Nie udawaj, Runcorn. Wytropiłeś czarodzieja, który sfałszował swoje drzewo genealogiczne, prawda?

- A jeśli tak, to co?

- To, że Dirk Cresswell jest wart dziesięciu takich, jak ty - oznajmił cicho pan Weasley, podczas gdy winda zjeżdżała coraz niżej. - I jeśli przetrwa Azkaban, odpowiesz mu za to. Jemu, jego żonie, synom, przyjaciołom...

- Arturze - przerwał Harry - wiesz, że jesteś śledzony, prawda?

- To ma być groźba, Runcorn?! - zawołał pan Weasley.

- Nie. To fakt! Obserwują każdy twój ruch!

Drzwi się otworzyły. Dojechali do atrium. Artur rzucił Harry'emu wrogie spojrzenie i szybko wyszedł z windy. Wstrząśnięty Harry nie ruszał się z miejsca. Żałował, że podszył się akurat pod Runcorna. Drzwi zatrzasnęły się.

Chłopak znów wyciągnął pelerynę - niewidkę i zarzucił ją na siebie. Miał zamiar sam spróbować uwolnić Hermionę, póki Ron zmaga się z deszczem w biurze. Wysiadł z windy i podążył kamiennym, oświetlonym pochodniami korytarzem, różniącym się znacznie od pomieszczeń na górze. Z lewej strony coś zastukało, a Harry zadrżał lekko na widok oddalonych, czarnych drzwi, będących wejściem do Departamentu Tajemnic.

Nie skierował się tam, wybrał przejście po lewej stronie, za którym, jak pamiętał, znajdowały się schody, prowadzące do sal rozpraw. W głowie huczało mu od pomysłów, gdy wlókł się w tamtą stronę. Nadal miał kilka detonatorów pozorujących, ale może lepiej byłoby po prostu zapukać i poprosić o chwilę rozmowy z Mafaldą? Oczywiście nie wiedział, czy Runcorn jest dostatecznie ważny, żeby sobie na coś takiego pozwolić, a nawet gdyby tak było, to zniknięcie Hermiony zapewne zaowocowałoby rozpoczęciem poszukiwań, zanim zdołaliby opuścić ministerstwo.

Był tak pogrążony w myślach, że nie od razu zwrócił uwagę na mgłę, wypełniającą korytarz i narastający nienaturalny chłód, w miarę jak się w nią zagłębiał. Robiło się coraz zimniej z każdym krokiem, a lodowate powietrze wdzierało się do gardła i rozrywało płuca. Dziwne uczucie rozpaczy i beznadziei wypełniło go, ogarniało coraz bardziej...

***Dementorzy*, pomyślał.**

Gdy doszedł do końca schodów i skręcił w prawo, zobaczył potworną scenę. Ciemne przejście przy salach rozpraw było pełne wysokich postaci w czarnych pelerynach, z twarzami schowanymi pod kapturami. Ich świszczące oddechy były jedynym dźwiękiem słyszalnym w pomieszczeniu. Przerażeni czarodzieje mugolskiego pochodzenia, przyprowadzeni na przesłuchanie, siedzieli stłoczeni i drżący na twardych, drewnianych ławkach. Większość z nich chowała twarze w dłoniach, jakby próbowali się instynktownie zasłonić przed chciwymi ustami dementorów. Niektórym towarzyszyły rodziny, inni siedzieli sami. Dementorzy krążyli między nimi. Zimno, brak nadziei i rozpacz, wypełniające to miejsce, zaciążyły Harry'emu jak przekleństwo.

Nie daj się, powiedział sobie, ale wiedział, że nie może tutaj wyczarować patronusa, jeśli nie chce się natychmiast zdemaskować. Szedł więc tak cicho, jak tylko mógł, a z każdym krokiem ogarniało go coraz większe odrętwienie. Zmusił się do myślenia o Hermionie i Ronie, którzy go potrzebowali.

Poruszanie się między strzelistymi postaciami było przerażające. Schowane pod kapturami twarze bez oczu odwracały się, gdy przechodził, i był pewien, że wyczuwają go - istotę ludzką, która nadal ma trochę nadziei i siły...

Wtedy, gwałtownie i zaskakująco wśród lodowatej ciszy, otworzyły się drzwi jednego z lochów po lewej stronie i dało się słyszeć krzyki.

- Nie, nie, jestem półkrwi, jestem półkrwi, mówię wam! Mój ojciec był czarodziejem, naprawdę, poszukajcie go, Arkie Alderton, jest znanym projektantem mioteł, poszukajcie go, mówię wam! Zabieraj łapy, zabieraj łapy!

- To pańskie ostatnie ostrzeżenie - oznajmił miękki głos Umbridge, magicznie podgłośniony, by mogła przekrzyczeć desperackie ryki mężczyzny. - Jeśli będzie pan stawiał opór, zostanie pan skazany na pocałunek dementora.

Wrzaski ucichły, ale za to w korytarzu rozległ się szloch.

- Zabierzcie go - nakazała urzędniczka.

Dwaj dementorzy pojawili się w przejściu. Ich gnijące, sparszywiałe dłonie chwyciły za ramiona omdlałego czarodzieja. Wywlekli go z łatwością i chwilę później zniknął w ich cieniu.

- Następna: Mary Cattermole! - zawołała Umbridge.

Wstała jakaś drobna kobieta. Trzęsła się od stóp do głów. Miała długie, proste szaty i ciemne włosy upięte w kok. Była blada jak ściana. Gdy przechodziła obok dementorów, Harry dostrzegł jak drży.

Zareagował instynktownie, bez żadnego planu, powodowany złością, jaką poczuł, gdy zobaczył tę czarownicę, wchodzącą do lochu. Gdy drzwi zaczęły się zamykać, wślizgnął się za nią na salę rozpraw.

To nie było to samo pomieszczenie, w którym był przesłuchiwany w sprawie niewłaściwego użycia czarów. To tutaj było dużo mniejsze, choć równie wysokie, co dawało klaustrofobiczne uczucie tkwienia na dnie głębokiej studni.

Było tu więcej dementorów, roztaczających wokół swoją lodowatą aurę. Stali w rogach sali, niczym pozbawieni twarzy strażnicy, oddaleni od wysokiego podium, na którym, za balustradą, siedziała Umbridge z Yaxley'em po jednej, a równie bladą, jak pani Cattermole Hermioną po drugiej stronie. Poniżej krążył srebrzysty, długowłosy kot i Harry zorientował się, że miał za zadanie chronić przesłuchujących przed rozpaczą rozsiewaną przez dementorów, którą czuć mieli tylko oskarżeni.

- Proszę usiąść - powiedziała Umbridge swoim miękkim, jedwabistym głosem.

Czarownica skierowała się w stronę samotnego krzesła, stojącego na środku podłogi przed podwyższeniem. Gdy tylko usiadła, łańcuchy wysunęły się z podłokietników i przykuły ją.

- Mary Elizabeth Cattermole? - zapytała Umbridge.

Kobieta przytaknęła, trzęsąc się.

- Żona Reginalda Cattermole z Departamentu Służb Porządkowych?

Przesłuchiwana wybuchnęła płaczem.

- Nie wiem, gdzie on jest, miał tu do mnie przyjść!

Umbridge ją zignorowała.

- Matka Maisie, Ellie i Alfreda Cattermole?

Jeszcze głośniejszy szloch.

- Boją się, myślą, że mogę nie wrócić do domu...

- Daruj sobie - wycedził Yaxley. - Bachory szlam nie wzbudzą w nas współczucia.

Szlochy pani Cattermole zagłuszyły kroki Harry'ego, który ostrożnie zbliżał się do podwyższenia. Kiedy tylko doszedł do miejsca strzeżonego przez kota, poczuł zmianę temperatury. Było ciepło i komfortowo. Był pewny, że patronus należał do Umbridge i błyszczał tak mocno, bo była tu taka szczęśliwa, wprowadzając w życie pokręcone prawa, które pomagała tworzyć. Powoli i bardzo uważnie Potter przesuwał się za plecami przesłuchujących, po czym usiadł za Hermioną. Bał się, że ją przestraszy. Rozważał rzucenie zaklęcia Muffliato na Umbridge i Yaxleya, ale nawet wyszeptanie inkantacji mogłoby zaalarmować dziewczynę. Po chwili urzędniczka znów zwróciła się do pani Cattermole, więc Harry skorzystał z okazji.

- Jestem za tobą - wyszeptał do ucha Hermiony.

Tak, jak przypuszczał, aż podskoczyła, o mały włos nie przewracając butelki atramentu, którym miała sporządzać protokół. Umbridge i Yaxley byli tak skoncentrowani na swojej ofierze, że nie zwrócili na to uwagi.

- Przy wejściu do ministerstwa skonfiskowano pani dziś różdżkę - mówiła Umbridge. - Osiem i trzy czwarte cala, wiśnia i włos jednorożca. Czy mówi pani coś ten opis?

Kobieta kiwnęła twierdząco głową.

- Czy mogłaby nam pani powiedzieć, której czarownicy lub czarodziejowi zabrała pani różdżkę?

- Zabrała? Nikomu jej nie zabrałam. Kupiłam ją, gdy miałam jedenaście lat, wybrała mnie.

Pani Cattermole rozpłakała się jeszcze bardziej.

Umbridge wybuchnęła miękkim, dziewczęcym śmiechem, na dźwięk którego Harry miał ochotę zrobić jej krzywdę. Wychyliła się przez barierkę, by lepiej przyjrzeć się ofierze. Jakiś złoty przedmiot również przesunął się do przodu i zadyndał w powietrzu - medalion.

Hermiona dostrzegła go. Pisnęła, ale przesłuchujący, nadal skoncentrowani na swojej zwierzynie, byli głusi na wszystko dookoła.

- Nie, nie sądzę, żeby tak było. Różdżki wybierają tylko czarownice i czarodziejów. Pani nie jest czarownicą. Mam tu wypełniony przez panią kwestionariusz. Mafaldo, podaj mi go, jeśli możesz.

Umbridge wyciągnęła małą dłoń. Tak bardzo przypominała w tym momencie ropuchę, że Harry zdziwił się, gdy nie zobaczył błon między jej grubymi palcami. Ręce Hermiony trzęsły się, była w szoku. Zaczęła grzebać w stosie dokumentów ułożonych na krześle obok. W końcu wyciągnęła plik pergaminów podpisanych nazwiskiem pani Cattermole.

- To bardzo ładne, Dolores - odezwała się, wskazując na wisior błyszczący między plisowanymi fałdami bluzki.

- Co? - odezwała się Umbridge, spoglądając w dół. - A, tak... stare, rodzinne dziedzictwo - oznajmiła, poklepując medalion spoczywający na jej wielkim biuście. - S jak Selwyn... Jestem spokrewniona z Selwynami. Zaiste, nie ma wielu czystokrwistych rodzin, z którymi nie byłabym spokrewniona. Szkoda - ciągnęła głośniej, przeglądając kwestionariusz - że nie można tego samego powiedzieć o pani Cattermole. „Zawód rodziców - sprzedawcy warzyw".

Yaxley roześmiał się pogardliwie. Puszysty, srebrny kot nadal stał na straży, a dementorzy w swoich kątach.

Kłamstwo Umbridge sprawiło, że w Harrym zagotowała się krew, nie było już mowy o ostrożności. Medalion, który ta baba przyjęła jako łapówkę od drobnego

złodziejaszka, dawał jej teraz dodatkowe punkty za pochodzenie. Chłopiec uniósł różdżkę, nie kłopocząc się nawet ukrywaniem jej pod peleryną - niewidką i zawołał:

- *Drętwota!*

Błysnęło czerwone światło. Umbridge zgięła się i uderzyła czołem w barierkę. Papiery pani Cattermole ześlizgnęły się na podłogę, a srebrny kot - strażnik rozpłynął się w powietrzu. Lodowate zimno uderzyło ich jak ostry wiatr. Zdezorientowany Yaxley rozglądał się w poszukiwaniu źródła kłopotów. Dostrzegł unoszącą się w powietrzu rękę, trzymającą wycelowaną w niego różdżkę. Próbował dobyć swojej własnej, ale było za późno.

- *Drętwota!*

Śmierciożerca osunął się na ziemię.

- Harry!

- Hermiono, jeśli sądziłaś, że będę tu tak siedział i pozwalał jej udawać...

- Harry, pani Cattermole!

Potter obrócił się, zrzucając pelerynę - niewidkę. Poniżej dementorzy wyszli ze swoich kątów i podążali w stronę kobiety, przykutej do krzesła. Czy to z powodu zniknięcia patronusa, czy dlatego, że wyczuli, że ich panowie nie mogą ich dłużej kontrolować, najwyraźniej porzucili dyscyplinę. Przesłuchiwana czarownica krzyknęła przeraźliwie, gdy oślizgła, gnijąca ręka złapała ją za policzek i odchyliła głowę.

- *EXPECTO PATRONUM!*

Srebrny jeleń wyskoczył z końca różdżki Harry'ego i pobiegł w stronę dementorów, którzy cofnęli się i znów rozpłynęli w cieniu. Światło bijące od jelenia, mocniejsze i cieplejsze, niż ochrona dawana przez kota, wypełniło cały loch, w miarę jak zwierzę galopowało dookoła.

- Bierz horkruksa - nakazał Harry Hermionie.

Zbiegł ze schodów, wpychając pelerynę - niewidkę do torby i podszedł do pani Cattermole.

- Pan? - wyszeptała, wpatrując się w jego twarz. - Ale... Ale Reg mówił, że to pan wskazał mnie do przesłuchania!

- Doprawdy? - wymamrotał Harry, siłując się z łańcuchami, przykuwającymi jej ramiona. - Cóż, doznałem duchowej przemiany. *Diffindo!*

Nic się nie stało.

- Hermiono, jak się tego pozbyć?

- Czekaj, wypróbowuję coś tutaj...

- Jesteśmy otoczeni przez dementorów!

- Wiem, ale jeśli się obudzi i nie znajdzie medalionu... Muszę zrobić duplikat. *Geminio!* No, to powinno ją oszukać.

Dziewczyna zbiegła na dół.

- Spróbujmy... *Relashio!*

Łańcuchy szczęknęły i schowały się z powrotem w podłokietniki. Pani Cattermole wyglądała na straszliwie przerażoną.

- Nie rozumiem - wyszeptała.

- Pójdzie pani z nami - oznajmił Potter, podnosząc ją na nogi. - Proszę iść do domu, wziąć dzieci i uciekać, nawet z kraju, jeśli będzie trzeba. Zamaskujcie się i uciekajcie. Widziała pani, jak to tu wygląda. Nie będzie pani miała uczciwego przesłuchania.

- Jak się stąd wydostaniemy? Za drzwiami jest pełno dementorów - zaniepokoiła się Hermiona.

- Patronusy - odpowiedział Harry, wskazując różdżką na swojego. Jeleń zwolnił i podszedł do drzwi, nadal błyszcząc jasno. - Tak wiele, jak tylko zdołamy. Wyczaruj swojego.

- Expec... *Expecto patronum!* - zawołała dziewczyna. Nic się nie stało.

- To jedyne zaklęcie, z jakim kiedykolwiek miała problem - poinformował Harry nieco zdezorientowaną panią Cattermole. - Pech, doprawdy. No dalej, Hermiono!

- *Expecto patronum!*

Srebrna wydra wyskoczyła z końca różdżki i z wdziękiem popłynęła w powietrzu, by dołączyć do jelenia.

- Dalej! - zakomenderował Potter i poprowadził przyjaciółkę wraz panią Cattermole w stronę drzwi.

Kiedy patronusy wypłynęły z lochu, dało się słyszeć okrzyki zdumienia ludzi czekających na zewnątrz. Harry rozejrzał się. Dementorzy po obu stronach wycofywali się gwałtownie, rozpływając się w ciemnościach i uciekając przed srebrnymi istotami.

- Zdecydowano, że powinniście wszyscy wracać do domów i ukryć się wraz z rodzinami - oznajmił Potter czekającym czarodziejom mugolskiego pochodzenia, oślepionym światłem bijącym od patronusów i nadal nieco skulonym. - Jedźcie za granicę, jeśli możecie. Po prostu trzymajcie się z daleka od ministerstwa. To jest... eee... Nowe oficjalne stanowisko. Jeśli teraz pójdziecie za patronusami, będziecie mogli opuścić atrium.

Zdołali bez przeszkód dostać się do kamiennych filarów, ale gdy skierowali się w stronę wind, Harry zaczął się martwić. Jeśli wpadliby do atrium ze srebrnym jeleniem, szybującą u jego boku wydrą i na oko dwudziestką ludzi, z czego połowa była oskarżona o mugolskie pochodzenie, to prawdopodobnie zwróciliby na siebie uwagę. Ledwie Potter doszedł do tego niezbyt pożądanego wniosku, winda zatrzymała się przed nimi.

- Reg! - zawołała pani Cattermole i rzuciła się Ronowi na szyję. - Runcorn mnie wypuścił, zaatakował Umbridge i Yaxleya, i powiedział nam, żebyśmy uciekali z kraju. Lepiej to zróbmy, Reg, naprawdę to zróbmy, lećmy do domu, bierzmy dzieci... Czemu jesteś cały mokry?

- Woda - mruknął Ron, uwalniając się z jej objęć. - Harry, wiedzą, że ktoś wtargnął do ministerstwa. Mówili coś o jakiejś dziurze w drzwiach gabinetu Umbridge. Na moje oko mamy pięć minut, jeśli...

Patronus Hermiony zniknął z głośnym pyknięciem, gdy odwróciła się do Harry'ego z przerażeniem na twarzy.

- Harry, jeśli nas złapią...

- Nie złapią, jeśli się pospieszymy.

Chłopiec zwrócił się do cichej grupy za nimi. Wszyscy się na niego gapili.

- Kto ma różdżkę?

Mniej więcej połowa podniosła ręce.

- W porządku. Ci, którzy nie mają różdżek, niech trzymają się blisko tych, którzy mają. Musimy się pospieszyć, zanim nas zatrzymają. Chodźmy!

Udało im się wcisnąć do dwóch wind. Patronus Harry'ego stał na straży przed złotymi kratami, gdy zatrzasnęli je i ruszyli do góry.

- Poziom ósmy - oznajmił zimny głos czarownicy. - Atrium.

Potter od razu stwierdził, że mają problem. Pomieszczenie było pełne chodzących od kominka do kominka ludzi, którzy blokowali przejścia.

- Harry! - pisnęła Hermiona. - Co zrobimy?

- STOP! - ryknął chłopak. Potężny głos Runcorna zabrzmiał echem w atrium. Czarodzieje przy paleniskach zamarli.

- Za mną - szepnął Harry do grupy przerażonych mugolaków, którzy szli zwartą grupą, prowadzeni przez Rona i Hermionę.

- Co się dzieje, Albercie? - zapytał ten sam łysiejący czarodziej, który poprzednio wyszedł za Potterem z paleniska. Wyglądał na podenerwowanego.

- Ci ludzie muszą stąd wyjść, zanim zablokujecie kominki. - Harry starał się mówić tak władczo, jak tylko się dało.

Stojący przed nim czarodzieje popatrzyli po sobie.

- Kazano nam zablokować wyjścia i nie pozwolić nikomu...

- Sprzeciwiasz mi się? - oburzył się Potter. - Chciałbyś, żebym przyjrzał się twojemu drzewu genealogicznemu tak, jak zrobiłem to z Dirkiem Cresswellem?

- Przepraszam! - zawołał łysiejący czarodziej, cofając się. - Nie miałem nic złego na myśli, Albercie, po prostu myślałem... Myślałem, że są tutaj na przesłuchaniu i...

- Ich krew jest czysta - głęboki głos Harry'ego brzmiał imponująco. - Czystsza, niż wielu z was, jak sądzę. No, dalej - huknął na mugolaków, którzy zaczęli podbiegać do palenisk i znikać parami. Czarodzieje z ministerstwa zwolnili, jedni wyglądali na zdezorientowanych, inni na przerażonych.

- Mary!

Kobieta spojrzała przez ramię. Prawdziwy Cattermole, już nie wymiotujący, ale blady i wymęczony, wybiegał właśnie z windy.

- R... Reg?

Patrzyła to na swojego męża, to na Rona, który zaklął głośno.

Łysiejący czarodziej spojrzał z niedowierzaniem. Jego głowa odwracała się komicznie od jednego Rega Cattermole'a do drugiego.

- Hej, co się dzieje? Co to jest?

- Zablokować wyjścia! ZABLOKOWAĆ JE!

Yaxley wypadł z windy i biegł w stronę grupy, stojącej przy kominkach, w których zniknęli już wszyscy czarodzieje mugolskiego pochodzenia, poza panią Cattermole. Gdy łysiejący czarodziej zaczął podnosić różdżkę, Harry uderzył go wielką pięścią tak mocno, że biedaka aż odrzuciło.

- Pomagał uciec mugolakom, Yaxley! - wrzasnął Potter.

Koledzy oskarżonego zaczęli się awanturować, co pozwoliło Ronowi złapać panią Cattermole, wepchnąć ją do nadal czynnego kominka i zniknąć wraz z nią. Zdezorientowany Yaxley patrzył to na Harry'ego, to na uderzonego czarodzieja, podczas gdy prawdziwy Reg wrzeszczał:

- Moja żona! Kim był ten człowiek z moją żoną?! Co tu się dzieje?!

Potter widział, jak głowa śmierciożercy się odwraca, widział błysk zrozumienia na jego ordynarnej twarzy.

- Chodź! - zawołał do Hermiony. Złapał ją za rękę i razem wskoczyli do kominka. Zaklęcie Yaxleya przemknęło nad głową Harry'ego. Nim Harry z Hermioną dotarli do ubikacji transportowej, wirowali przez chwilę. Potter z impetem otworzył drzwi kabiny. Ron stał koło umywalek i siłował się z panią Cattermole.

- Reg, nie rozumiem...

- Proszę mnie puścić, nie jestem pani mężem, musi pani wracać do domu!

Coś załomotało w kabinie za nimi. Harry obejrzał się - właśnie pojawił się Yaxley.

- Uciekajmy! - wrzasnął Harry. Złapał rękę Hermiony i ramię Rona, obracając się w miejscu.

Otoczyła ich ciemność, poczuli znajome wrażenie ciśnienia przy aportacji, ale coś poszło nie tak. Hermiona zdawała się wyrywać. Harry nie mógł oddychać, zastanawiał się, czy aby się nie udusi. Nic nie widział, jedynymi trwałymi rzeczami na świecie było ramię Rona i palce Hermiony, które wyślizgiwały mu się powoli...

Po chwili ujrzał drzwi domu przy Grimmauld Place 12 i kołatkę w kształcie węża, ale zanim zdążył zaczerpnąć tchu, usłyszał krzyk i zobaczył błysk fioletowego światła. Nagle dłoń Hermiony złapała go mocno i znowu zrobiło się ciemno.

Rozdział 14
Złodziej

Tłumaczenie: Anonimowy Puchon

Harry otworzył oczy - oślepiał go zielonozłoty blask. Nie miał pojęcia, co się stało - czuł tylko, że leży na czymś, co fakturą przypominało liście i gałęzie. Z trudem próbował złapać oddech, płuca miał jakby spłaszczone. Zamrugał i dostrzegł, że rażące w oczy światło pochodzi od promieni słonecznych, przeświturających przez zasłonę z liści wysoko w górze. Nagle coś drgnęło tuż przy jego twarzy. Podniósł się na łokciach i kolanach, gotowy zmierzyć się z tym nieduzym, agresywnym stworzeniem - które okazało się być stopą Rona. Harry rozejrzał się - oni dwaj i Hermiona leżeli na leśnym poszyciu, najwyraźniej zupełnie sami.

Pierwszym skojarzeniem Harry'ego był Zakazany Las - tylko przez moment, chociaż wiedział, jak głupio i niebezpiecznie byłoby dla nich aportować się na terenach Hogwartu. Jednak w sercu coś mu drgnęło na samą myśl o tym, że mogliby przemknąć się między drzewami do chatki Hagrida. Jednak w ciągu tych kilku chwil, kiedy Ron zaczął głośno jęczeć, a Harry poczołgał się w jego stronę, uświadomił sobie, że nie był to Zakazany Las: drzewa wyglądały na młodsze, nie rosły tak gęsto, teren był bardziej przejrzysty.

Dotarł do Hermiony, skulonej przy głowie Rona. Wszystkie pozostałe zmartwienia znikły z myśli Harry'ego w chwili, kiedy ogarnął spojrzeniem lewy bok przyjaciela, cały mokry od krwi, i jego twarz, kontrastowo szarobiałą na tle liści przykrywających ziemię grubym dywanem. Eliksir Wielosokowy przestawał działać - Ron był w połowie sobą, a w połowie jeszcze Cattermole'em. Jego włosy rudziały coraz bardziej, twarz tymczasem już zupełnie zbielała, tracąc nawet tę ostatnią resztkę koloru.

- Co mu się stało?

- Rozszczepił się - odparła Hermiona, już zajęta manipulowaniem przy rękawie Rona, gdzie krew była niezakrzepła i najciemniejsza.

Zszokowany Harry obserwował, jak dziewczyna rozrywa koszulę. Rozszczepienie zawsze kojarzyło mu się z czymś zabawnym, ale to... W żołądku przewróciło mu się nieprzyjemnie, kiedy ukazało się obnażone przez Hermionę ramię, pozbawione sporego kawałka ciała, wydłubanego czysto jakby za pomocą noża.

- Harry, szybko, w mojej torbie jest mała buteleczka z napisem „Wyciąg z dyptamu".

- Torba... Jasne...

Harry pognał w stronę, gdzie przedtem aportowała się Hermiona, złapał nieduż, inkrustowaną koralikami torebkę i zaczął w niej grzebać. Macając w przepastnym wnętrzu, trafiał na kolejne przedmioty, skórzane grzbiety książek, wełniane rękawy swetrów, obcasy butów...

- ***Szybko!***

Podniósł różdżkę z ziemi i skierował ją do wnętrza bagażu.

- ***Accio dyptam!***

Mała, brązowa butelka wyskoczyła z torby - złapał ją i wrócił szybko do Hermiony i Rona. Jego przyjaciel miał na wpół przymknięte powieki, a spod nich widać było skrawki wywróconych białek oczu.

- Zemdlał - wyjaśniła dziewczyna, sama także dość blada. Nie wyglądała już jak Mafalda, chociaż jej włosy miejscami jeszcze jaśniały siwizną.

- Wyjmij korek, ręce mi się trzęsą!

Harry odkorkował butelkę. Hermiona odebrała mu ją i odmierzyła trzy krople eliksiru na krwawiącą ranę. Zielonkawy dym buchnął do góry, a kiedy się rozwiał, można było zobaczyć, że krwawienie ustało. Rana wyglądała teraz na kilkudniową - świeży naskórek pokrywał miejsce, gdzie dopiero co były porozrywane mięśnie.

- Łał... - odezwał się Harry.

- Tylko tyle mogę zaryzykować - wyjaśniła drżącym głosem Hermiona. - Są zaklęcia, które by go całkiem wyleczyły, ale nie odważę się spróbować... Mogłabym się w czymś pomylić i tylko pogorszyć uszkodzenia... Już i tak stracił tyle krwi...

- Jak to się stało, że został ranny? Mam na myśli... - Harry potrząsnął głową, próbując zrozumieć, poukładać sobie jakoś to wszystko, co dosłownie przed chwilą się stało. - Dlaczego jesteśmy tutaj? Myślałem, że mieliśmy wracać na Grimmauld Place?

Hermiona wzięła głęboki oddech. Wyglądała, jakby zaraz się miała rozpłakać.

- Harry, myślę, że nie będziemy już mogli tam wrócić.

- O czym ty...?

- Kiedy się deportowaliśmy, Yaxley uchwycił się mnie, a ja nie mogłam go odepchnąć, bo był za silny! Ciągle się trzymał, kiedy dotarliśmy na Grimmauld Place i wtedy - no, sądzę, że musiał zobaczyć drzwi i pomyślał, że tam się będziemy zatrzymywać, więc rozluźnił uścisk, a ja zdołałam go z siebie strząsnąć. No i, zamiast tam, skierowałam nas tutaj.

- W takim razie, gdzie on się podział? Zaczekaj... Nie chcesz chyba powiedzieć, że jest na Grimmauld Place? Nie mógłby się tam dostać?!

Oczy dziewczyny zamigotały od powstrzymywanych łez, kiedy przytakiwała.

- Harry, chyba jednak mógł. Ja... ja Zaklęciem Odrazy zmusiłam go, żeby się odczepił, ale już po tym, jak wpuściłam go w zasięg ochrony Fideliusa. Od śmierci Dumbledore'a my jesteśmy Strażnikami Tajemnicy, więc w ten sposób zdradziłam Yaxleyowi adres. Prawda?

Harry nie miał złudzeń - Hermiona się nie myliła. To była solidna wpadka - nie ośmielą się wrócić, jeżeli Yaxley mógł teraz wejść do domu i może nawet teraz planował aportowanie w tamto miejsce innych śmierciożerców. Chociaż Grimmauld Place było mroczne i przytłaczające, stanowiło bezpieczną kryjówkę, a teraz - kiedy Stworek był znacznie szczęśliwszy i bardziej życzliwy - nawet w pewnym sensie dom. Z ukłuciem żalu, które nie miało nic wspólnego z głodem, Harry wyobraził sobie skrzata krzątającego się przy steku i placku z cynaderkami, których oni nigdy nie skosztują.

- Harry, przepraszam, tak strasznie mi przykro!

- Nie wygłupiaj się, to nie twoja wina! Jeżeli już, to tylko moja...

Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął oko Moody'ego. Hermiona wzdrygnęła się, wyraźnie zszokowana.

- Umbridge przytwierdziła je do drzwi swojego biura, żeby szpiegować innych. Nie mogłem tego tak zostawić... Ale w ten sposób dowiedzieli się, że są tam jacyś intruzi.

Zanim dziewczyna zdołała odpowiedzieć, Ron jęknął i otworzył oczy. Wciąż był szaroblady, a twarz lśniła mu od potu.

- Jak się czujesz? - wyszeptała Hermiona.

- Dennie - wychrypiał i skrzywił się, kiedy poczuł ranę na ramieniu. - Gdzie jesteśmy?

- W lasach, tam, gdzie się odbyły Mistrzostwa Świata w Quidditchu - odpowiedziała. - Potrzebowałam jakiegoś osłoniętego miejsca, w odosobnieniu, i to...

- To było pierwsze, o czym pomyślałaś - dokończył za nią Harry, rozglądając się po niewątpliwie opuszczonej polanie. Mimowolnie musiał wspomnieć ostatnią okazję, kiedy aportowali się do pierwszego miejsca, o którym pomyślała Hermiona - wtedy śmierciożercy odnaleźli ich w ciągu kilku minut. Może udało im się dzięki legilimencji? Może Voldemort albo jego ludzie już teraz wiedzieli, dokąd Hermiona ich zabrała?

- Myślisz, że powinniśmy się stąd zabierać? - zapytał Ron, a Harry mógł odgadnąć z jego miny, że tamten myśli o tym samym.

- Bo ja wiem..

Ron wciąż był blady i mokry od potu. Nawet nie próbował usiąść i wyglądało na to, że jest za słaby by to zrobić. Sama perspektywa przenoszenia go z miejsca zniechęcała.

- Może zostańmy na razie tutaj - zaproponował Harry. Hermiona poderwała się na nogi - najwyraźniej kamień spadł jej z serca.

- A ty dokąd? - spytał Ron.

- Skoro zostajemy, powinniśmy rzucić jakieś zaklęcia ochronne na to miejsce - odparła.

Podniosła różdżkę i zaczęła obchodzić towarzyszy wkoło szerokim łukiem, przy każdym kroku inkantując szeptem zaklęcia. Harry dostrzegał w powietrzu niewielkie zamglenia - tak, jakby dziewczyna wyczarowała gorący opar dookoła polany.

- *Salvio hexia... Protego totalum... Repello Mugolum... Muffliato...* Możesz wyciągnąć namiot, Harry.

- Namiot?

- Z torby!

- Z... A, jasne.

Tym razem nie zawracał sobie głowy szukaniem na ślepo, tylko znowu użył Accio. Namiot okazał się wymieszaną jak leci stertą płótna, linek i metalowych drążków. Harry rozpoznał (częściowo po zapachu kotów) ten sam namiot, w którym spali w noc Mistrzostw Świata w Quidditchu.

- Myślałem, że to należy do tego gościa z ministerstwa, Perkinsa? - zapytał, zaczynając wysupływać z kłębu liny śledzie namiotowe.

- Pewnie nie chciał go z powrotem, z jego lumbagiem było naprawdę niedobrze - oznajmiła Hermiona, wykonując właśnie skomplikowany układ ośmiu gestów różdżką. - Więc pan Weasley powiedział, że mogę go pożyczyć. *Erecto!* - dodała, kierując czubek różdżki na pomiętoszony materiał, który jednym płynnym ruchem wzniósł się w powietrze, a opadł na ziemię jako poskładany namiot tuż przed zaskoczonym Harrym. Ostatni śledź wyleciał mu z ręki i wylądował wreszcie z hałasem na końcu naciągu.

- *Cave inimicum*! - dokończyła Hermiona, z rozmachem smagając różdżką ku niebu. - To wszystko, na co mnie stać. W ostateczności powinniśmy zyskać przynajmniej ostrzeżenie, że się zbliżają. Nie mogę obiecać, że to powstrzyma Vol...

- Nie wypowiadaj tego imienia! - Ron ostro wpadł jej w słowo. Harry z Hermioną popatrzyli na siebie.

- Oj, przepraszam - rzucił Ron, pojękując trochę, kiedy się podnosił, żeby na nich spojrzeć. - Tylko że mam wrażenie, jakby tkwiło w tym jakieś złe zaklęcie, albo coś w tym rodzaju... Błagam, nie moglibyśmy go jednak nazywać „Sam - Wiesz - Kto"?

- Dumbledore mówił, że strach przed imieniem... - zaczął Harry.

- Tak na wypadek, gdybyś nie zauważył, kolego, nazywanie Sam - Wiesz - Kogo po imieniu koniec końców nie przyniosło Dumbledore'owi wiele dobrego - odparował Ron. - Po prostu... No, po prostu okażmy Sami - Wiecie - Komu jakiś respekt, dobra?

- *Respekt?!* - powtórzył Harry, ale Hermiona posłała mu ostrzegawcze spojrzenie - najwyraźniej chodziło o to, żeby nie sprzeczał się z przyjacielem, kiedy tamten był w tak kiepskim stanie. Oboje częściowo zanieśli, a częściowo zaciągnęli Rona pod wejście do namiotu. Wnętrze było dokładnie takie, jak Harry je zapamiętał - małe mieszkanko, dodatkowo z łazienką i niedużą kuchnią. Odepchnął na bok stary fotel i ostrożnie umieścił Rona na dolnej części piętrowego łóżka. Nawet ta odrobina ruchu powiększyła jeszcze bladość rannego i kiedy tylko położyli go na materacu, znowu zamknął oczy i na dłuższą chwilę przestał się odzywać.

- Zrobię herbaty - zaproponowała bez tchu Hermiona i popędziła do kuchni z czajnikiem i kubkami wypakowanymi z głębin torby.

Dla Harry'ego coś ciepłego do wypicia było równie krzepiące, co Ognista Whisky w noc śmierci Szalonookiego. Tak jakby uśmierzało częściowo strach ciążący mu w piersi. Po minucie czy dwóch Ron znowu się odezwał.

- Jak myślicie, co z Cattermole'ami?

- Przy odrobinie szczęścia uda im się uciec - odparła Hermiona, dla pokrzepienia ściskając rozgrzany kubek. - Jeżeli pan Cattermole ma głowę na karku i umie się pilnować, będzie transportował żonę ze sobą przez aportację łączoną. Może w tej chwili razem z dziećmi już opuszczają kraj. Tak im poradził Harry.

- Rany, mam nadzieję, że się wymknęli - westchnął Ron, kładąc się z powrotem na poduszkach. Herbata chyba trochę go wzmocniła, bo nabrał odrobinę koloru. - Coś mi się zdaje, z tego, jak wszyscy do mnie gadali, kiedy byłem Regiem Cattermole, że gość nie jest z tych szybko myślących. Kurczę, naprawdę mam nadzieję, że się im udało... Bo gdyby oboje skończyli przez nas w Azkabanie...

Harry zmierzył Hermionę wzrokiem. Pytanie, które zamierzał zadać - czy to, że pani Cattermole nie ma różdżki, przeszkodzi jej w aportacji łączonej razem z mężem - utkwiło mu w gardle. Hermiona obserwowała, jak Ron martwi się o los Cattermole'ów - a na jej twarzy malowała się taka czułość, że Harry poczuł się niemalże, jakby przeszkodził im w pocałunku.

- To co, masz go? - zapytał, częściowo po to, żeby przypomnieć jej o swojej obecności.

- Mam co? - zdziwiła się, wzdrygając się lekko.

- A po co pakowaliśmy się w to wszystko? Medalion! Gdzie jest medalion?

- Masz go?! - krzyknął Ron, podnosząc się wyżej na poduszkach. - Nikt mi nigdy o niczym nie mówi! Rany, mogliście pisnąć chociaż słówko!

- Cóż, uciekaliśmy na złamanie karku przed śmierciożercami, nieprawdaż? - odparła Hermiona. - Proszę bardzo.

Z kieszeni szaty wydobyła naszyjnik i podała mu. Był wielkości kurzego jaja, a ozdobna litera „S", inkrustowana mnóstwem maleńkich zielonych klejnocików, iskrzyła blado w rozproszonym świetle, przepuszczanym przez płócienny dach namiotu.

- Raczej nie ma co liczyć, że ktoś go zniszczył, odkąd Stworek się nim opiekował? - rzucił z nadzieją Ron. - Znaczy, no wiecie, czy to na pewno jest horkruks?

- Myślę, że jest - odpowiedziała Hermiona. Odebrała mu naszyjnik i obejrzała go dokładnie. - Zostałyby jakieś ślady uszkodzeń, gdyby była na nim użyta magia niszcząca.

Przekazała horkruks Harry'emu. Obrócił go w palcach - przedmiot zdawał się być nietknięty. Chłopak wspomniał zniekształcone resztki pamiętnika i kamień w pierścieniu - horkruksie, roztrzaskany, kiedy Dumbledore go zniszczył.

- Uważam, że Stworek miał rację - powiedział. - Będziemy musieli wymyślić, jak to otworzyć, zanim będziemy mogli zniszczyć.

Podczas gdy to mówił, uświadomił sobie nagle, co tak naprawdę trzyma, co żyje pod tą maleńką, złotą pokrywką. Nawet po tych wszystkich wysiłkach żeby zdobyć ów przedmiot, czuł nieprzepartą chęć ciśnięcia naszyjnika jak najdalej od siebie. Opanował się i spróbował rozewrzeć go palcami, a potem użył zaklęcia, którym Hermiona odblokowała drzwi sypialni Regulusa - jednak żadna z tych metod nie poskutkowała.

Oddał naszyjnik przyjaciołom, którzy także starali się jak mogli, ale nie poszło im ani trochę lepiej.

- A przynajmniej możesz go wyczuwać? - zapytał Ron ściszonym głosem, trzymając horkruks w zaciśniętej pięści.

- O czym ty mówisz?

Ron oddał mu medalion. Po kilku chwilach Harry zdał sobie sprawę, o czym była mowa. Coś wyczuwał - tylko czy to jego własna krew tętniła w żyłach, czy to wewnątrz horkruksa coś pulsowało, jak małe, metalowe serce?

- I co z nim zrobimy? - spytała Hermiona.

- Przechowamy bezpiecznie, dopóki nie wymyślimy, jak go zniszczyć - odpowiedział. Wprawdzie w ogóle mu się to nie uśmiechało, ale zawiesił łańcuch na szyi, ukrywając medalion pod szatą - tak, że spoczywał na piersi razem z sakiewką, którą dał mu Hagrid.

- Myślę, że powinniśmy na zmianę trzymać straż na zewnątrz - odezwał się do Hermiony, wstając i prostując plecy. - I będziemy musieli także pomyśleć o jakimś jedzeniu. Ty tu zostajesz - dodał ostro, kiedy Ron spróbował usiąść i od tego paskudnie pozieleniał na twarzy.

Z ustawionym pieczołowicie na stole w namiocie fałszoskopem, który Hermiona podarowała Harryemu na urodziny, oboje spędzili resztę dnia pełniąc na zmianę rolę strażników. Jednak fałszoskop przez cały ten czas pozostał cichy i nieruchomy - czy to dzięki zaklęciom ochronnym i czarom odstraszającym mugoli, które Hermiona rzuciła dookoła nich, czy dlatego, że ludzie rzadko wybierali się w te strony. Ta część lasu była całkiem opuszczona, nie licząc ptaków czy wiewiórek. Tak samo było wieczorem - Harry zapalił światło różdżką, kiedy o dziesiątej zmieniał Hermionę, i wyjrzał na pusty krajobraz. Dostrzegł tylko nietoperze polatujące wysoko nad nim na pojedynczym skrawku nieba, widzialnego poprzez ochronną mgiełkę.

Był głodny, ale ogarnęła go lekka beztroska. Hermiona nie spakowała żadnego prowiantu do swojej magicznej torby, bo przecież zakładała, że wrócą tej nocy na Grimmauld Place, więc nie mieli nic do jedzenia, oprócz leśnych grzybów, które dziewczyna zebrała pod najbliższymi drzewami i udusiła w menażce. Ron skosztował trochę i odsunął swoją porcję - najwyraźniej było mu niedobrze. Harry wmusił w siebie odrobinę, żeby Hermionie nie było przykro.

Wszechobecną ciszę mąciły dziwne szelesty i dźwięki przypominające trzask łamanych gałązek. Harry uznał wprawdzie, że to raczej odgłosy zwierząt niż kroki ludzi, jednak cały czas trzymał mocno różdżkę, gotową na każdą ewentualność. Jego żołądek, już i tak w kiepskiej kondycji po nędznej porcyjce duszonych grzybów, skręcił się z niepokoju.

Zdawało mu się przedtem, że jeśli tylko uda im się wykraść horkruks, będzie zadowolony, ale jakoś nie potrafił wzbudzić w sobie radości. Siedząc tak i spoglądając w mrok, z różdżką rozjaśniającą zaledwie maleńki skrawek ciemności, mógł się tylko martwić, co będzie dalej. Właściwie - chociaż dążył do tego momentu od tygodni, miesięcy, nawet lat - teraz, kiedy tak nagle przyszło się zatrzymać, jakby zupełnie stracił energię.

Gdzieś tam były następne horkruksy, ale nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie mogły się znajdować. Ba, nie wiedział nawet, jak wyglądały. Na dodatek nie potrafił zniszczyć tego jedynego, który zdobyli - horkruksa, który spoczywał teraz na jego nagiej piersi. Ciekawe, że medalion nie rozgrzał się od jego ciała. Mimo kontaktu ze skórą, cały czas pozostawał tak zimny, jakby właśnie wyciągnięto go z lodowatej wody. Co jakiś czas Harry czuł - albo, być może, wyobrażał sobie - że wyczuwa bicie małego serduszka, stukającego nieregularnie obok jego własnego. Kiedy tak siedział w ciemności, ogarnął go nieokreślony lęk. Próbował opanować się, otrząsnąć, ale strach powracał - ciągle i ciągle. *„Żaden nie może żyć, gdy drugi przeżyje…”*

Za jego plecami w namiocie Ron i Hermiona pogrążeni byli w cichej rozmowie - oni mogli się wycofać w każdej chwili, kiedy tylko by zechcieli. On nie mógł tego zrobić. W tym momencie dla Harry'ego, skoncentrowanego na zdławieniu własnego strachu i wyczerpania, horkruks na jego piersi zdawał się odmierzać złowieszczym pulsowaniem czas, jaki mu pozostał.

Głupi pomysł, powiedział sobie. *Nawet tak nie myśl.*

Blizna znowu zaczęła go boleć. Zaniepokoił się, że to z powodu tych rozmyślań i spróbował skierować umysł na inne tematy. Myślał o biednym Stworku, który czekał na nich w domu i zamiast tego doczekał się Yaxleya. Czy skrzat będzie milczał, czy raczej wygada śmierciożercom wszystko, co wie? Harry chciał wierzyć, że w ciągu ostatniego miesiąca Stworek zmienił do niego nastawienie, że będzie lojalny, ale kto mógł przewidzieć, co będzie dalej? Co się stanie, jeśli będą skrzata torturować? W głowie Harry'ego zaroiło się od obrzydliwych obrazów - usiłował je od siebie odsunąć, przecież nic w tej chwili nie mógł dla Stworka zrobić. Już zdecydowali z Hermioną, że nie będą próbowali go wzywać, na wypadek, gdyby jednocześnie zjawił się ktoś z ministerstwa. Nie mogli zakładać, że skrzacia aportacja jest zupełnie bezpieczna - jeden błąd w ich własnej i uczepiony rękawa Hermiony Yaxley trafił na sam próg Grimmauld Place jak po nitce do kłębka

Blizna paliła go teraz, kiedy rozmyślał, jak wiele było rzeczy, o których nie wiedzieli: Lupin miał rację, mówiąc o magii, z którą nigdy się nie zetknęli ani nawet sobie nie wyobrażali. Dlaczego Dumbledore nie wyjaśnił mu więcej? Może zdawało mu się, że jeszcze będzie na to czas? Że będzie żył przez całe lata, albo i stulecia, jak jego przyjaciel, Nicolas Flamel? Jeżeli tak, mylił się... Już Snape o to zadbał... Snape - przyczajony wąż, który uderzył na szczycie wieży.

A Dumbledore spadł... spadł...

- Gregorowicz! Chcę to mieć!

Harry odezwał się wysokim, czystym i zimnym głosem, bladą dłonią o długich palcach trzymając przed sobą różdżkę. Człowiek, na którego ją kierował, zwisał do góry nogami w powietrzu, chociaż nie przytrzymywała go żadna lina. Kołysał się tam, spętany niewidzialnymi więzami, obejmując się rękami, z twarzą wykrzywioną przerażeniem, zaczerwienioną od krwi spływającej z całego ciała, zawieszoną na poziomie twarzy Harry'ego. Miał zupełnie białe włosy i gęstą, krzaczastą brodę, jak Święty Mikołaj pozbawiony reniferów.

- Nie mam tego! Już tego nie ma u mnie! Mnie to już dawno temu ukradli!

- Nie próbuj oszukać Lorda Voldemorta, Gregorowicz. On wie... On zawsze wie.

Źrenice wiszącego były rozszerzone w przerażeniu, zdawały się powiększać jeszcze bardziej i bardziej, aż ich czerń pochłonęła cały...

I nagle Harry biegł ciemnym korytarzem, ścigając niskiego, tęgawego Gregorowicza, który trzymał uniesioną w górę latarnię. Czarodziej wpadł do pomieszczenia na końcu przejścia, a światło latarenki wydobyło z mroku coś na kształt pracowni - w kołyszącym się kręgu światła zajaśniały drewniane wióry i złotości. Na parapecie okiennym, niczym wielki ptak, przysiadł młody mężczyzna o złotawych włosach. W ułamku sekundy, kiedy oświetlił go blask latarni, Harry dostrzegł na jego urodziwej twarzy wyraz ogromnego zadowolenia - zanim intruz rzucił zaklęcie oszałamiające i zwinnie wyskoczył przez okno, zanosząc się od śmiechu. I już Harry wycofywał się spiesznie z tych głębokich, przypominających tunele źrenic, zaś twarz Gregorowicza wykrzywiał strach.

- Kim był ten złodziej, Gregorowicz?! - wyrzekł wysoki, lodowaty głos.

- Nie wiem, nigdy się nie dowiedziałem, jakiś młodzik, nie, proszę, BŁAGAM!!!

I krzyk, który trwał i trwał, i rozbłysk zielonego światła...

- Harry!

Otworzył oczy. Oddychał ciężko, w skroniach mu pulsowało. Musiał się osunąć po ścianie namiotu - ześlizgnął się po płótnie i leżał jak długi na ziemi. Kiedy spojrzał do góry, bujne włosy Hermiony zasłoniły mu ten jedyny skrawek nieba, który dało się zobaczyć przez ciemne konary wysoko ponad ich głowami.

- Sen - wymruczał. Usiadł szybko i odpowiedział na podejrzliwy wzrok dziewczyny niewinnym spojrzeniem. - Musiałem przysnąć, wybaczcie...

- Wiem, że to przez twoją bliznę! Wystarczy spojrzeć na twoją minę! Widziałeś umysł Vol...

- Nie wymawiaj jego imienia! - wtrącił się gniewnie Ron z głębi namiotu.

- Dobrze! - odwarknęła. - Więc umysł *Sam - Wiesz - Kogo!*

- Nie planowałem tego przecież! - krzyknął Harry. - To był sen! A ty niby możesz panować nad tym, co ci się przyśni?!

- Gdybyś tylko nauczył się, jak stosować oklumencję...

Harry nie miał głowy do połajanek Hermiony. Potrzebował chwili spokoju, by rozważyć wizję, której właśnie doświadczył.

- Odnalazł Gregorowicza i chyba go zabił, ale przedtem spenetrował jego umysł i widziałem...

- Zdaje się, że najlepiej będzie, jak sama stanę na warcie, skoro jesteś tak zmęczony, że zasypiasz - oznajmiła chłodno Hermiona.

- Mogę dokończyć swoją wartę!

- Akurat. Od razu widać, że jesteś wykończony. Idź się położyć.

Z niezłomnym uporem przysiadła u wejścia do namiotu. Harry, chociaż zły, nie miał ochoty na sprzeczkę i wszedł z powrotem do środka. Ron, nadal blady, uniósł głowę z dolnego materaca, kiedy Harry wdrapywał się na posłanie piętro wyżej, kładł się i popatrywał na ciemne płótno sufitu. Po paru minutach Ron odezwał się na tyle cicho, żeby nic nie dotarło do Hermiony, skulonej przy wejściu.

- To co robi Sam - Wiesz - Kto?

Harry skoncentrował się mocno i zmrużył oczy, żeby przywołać z pamięci wszystkie szczegóły, wreszcie zaszeptał w ciemność:

- Odnalazł Gregorowicza. Trzymał go związanego i torturował.

- Jak niby Gregorowicz ma mu zrobić nową różdżkę, jeżeli jest związany?

- Nie wiem... Dziwne, prawda?

Harry zamknął oczy, rozmyślając o wszystkim, co zobaczył i usłyszał. Im więcej sobie przypominał, tym bardziej zdawało się to niedorzeczne. Voldemort nawet nie wspomniał o jego różdżce, ani o bliźniaczych rdzeniach, nie kazał Gregorowiczowi stworzyć nowej, potężniejszej różdżki, aby pokonała tę należącą do Harry'ego...

- Chciał czegoś od Gregorowicza - powiedział, wciąż trzymając mocno zaciśnięte powieki. - Kazał mu to oddać, ale tamten się przyznał, że ktoś to ukradł... I wtedy... Wtedy...

Jako Voldemort zdawał się - przypominał sobie teraz - wnikać w oczy wytwórcy różdżek, w jego wspomnienia...

- Spenetrował jego umysł, a ja zobaczyłem jakiegoś młodego faceta, siedział na parapecie, walnął Gregorowicza zaklęciem i hop - zniknął mi z oczu. On to ukradł. Ukradł to, czego szuka Sam - Wiesz - Kto, cokolwiek to jest. I... I tak mi się zdaje, że już go gdzieś widziałem.

Żeby tak mógł jeszcze raz, chociaż przez chwilę, zobaczyć roześmianą twarz młodego człowieka! Gregorowicz powiedział, że kradzież miała miejsce całe lata temu. Czemu młody złodziej wyglądał znajomo?

Namiot tłumił odgłosy otaczającego ich lasu, więc Harry słyszał tylko oddech Rona, który po chwili wyszeptał:

- Nie dałeś rady zobaczyć, co ten złodziej trzymał?

- Nie... To musiało być coś niedużego.

- Harry? - Ron poprawił się na łóżku przy akompaniamencie skrzypienia drewnianych listew. - Myślisz, że Sam - Wiesz - Kto szuka czegoś nowego do przerobienia na horkruks?

- Nie wiem - odparł powoli Harry. - Możliwe. Ale to chyba niebezpieczne dla niego, robić jeszcze jeden? Hermiona, zdaje się, mówiła, że już i tak posunął się z rozdrabnianiem duszy do ostatecznych granic.

- Taa, ale on może tego nie wiedzieć.

- Tak... Może.

Harry był pewien, że Voldemort poszukiwał sposobu na obejście problemu ich bliźniaczych różdżek, że odnalazł rozwiązanie dzięki staremu różdżkarzowi... A jednak zabił go, najwyraźniej w ogóle nie zadając mu pytań o jego rzemiosło.

Co Voldemort próbował odnaleźć? Dlaczego, chociaż miał Ministerstwo Magii i cały świat czarodziejski u stóp, tkwił gdzieś daleko, skoncentrowany na poszukiwaniach tego przedmiotu, który kiedyś posiadał Gregorowicz, a potem skradł nieznajomy złodziej?

Harry ciągle miał przed oczami twarz jasnowłosego, młodego człowieka, rozradowaną i nieujarzmioną - było w nim jakieś podobieństwo do Freda i George'a, ten duch zwycięskich psot. Uleciał z parapetu jak ptak! Harry widział go już wcześniej, tylko nie potrafił sobie uświadomić gdzie...

Skoro Gregorowicz nie żył, to złodziej o wesołej twarzy był teraz w niebezpieczeństwie. Na nim skupiły się wszystkie myśli Harry'ego, zanim pomalutku pogrążył się we śnie przy wtórze gromkiego chrapania Rona z dolnego łóżka.

Rozdział 15
Zemsta goblina

Tłumaczenie: Canary Wharf

Następnego dnia, wczesnym rankiem, zanim pozostała dwójka zdążyła się obudzić, Harry opuścił namiot, aby rozejrzeć się za najstarszym, najbardziej sękatym i wytrzymałym drzewem, jakie mógł znaleźć w lesie. W jego cieniu pochował oko Szalonookiego Moody'ego, zaznaczając to miejsce małym krzyżykiem, który wyżłobił różdżką w korze. Nie było to wiele, ale czuł, że Szalonooki zdecydowanie wolałby być pochowany pod drzewem, niż tkwić w drzwiach należących do Dolores Umbridge. Następnie Harry wrócił do namiotu, aby poczekać aż pozostali się obudzą i omówić z nimi dalszy plan działania.

Wraz z Hermioną byli zdania, że najlepiej będzie nie pozostawać zbyt długo w jednym miejscu, na co Ron zgodził się pod warunkiem, że ich następny ruch znacznie przybliży go do kanapki z bekonem. Dziewczyna usunęła więc zaklęcia chroniące polanę, na której rozbili obóz, a obaj chłopcy zatarli wszelkie ślady ich obecności. Dopiero wtedy wszyscy troje aportowali się na peryferie małego targowego miasteczka.

Kiedy już rozbili namiot w bezpiecznym zagajniku i otoczyli go świeżo rzuconymi zaklęciami ochronnymi, Harry pod osłoną peleryny niewidki udał się na poszukiwanie czegoś do zjedzenia. Niestety, nic nie szło po jego myśli. Ledwie wkroczył do miasteczka, gdy nienaturalny chłód, opadająca mgła i gwałtownie ciemniejące niebo sprawiły, że zamarł w bezruchu.

- Przecież potrafisz wyczarować wspaniałego patronusa! - skarżył się Ron, kiedy Harry wrócił z pustymi rękoma, spazmatycznie chwytając oddech i bezgłośnie wymawiając jedno słowo: "dementorzy".

- Nie mogłem... wyczarować żadnego - wydyszał Harry, łapiąc się za bok, gdyż chwyciła go kolka. - Nie... pojawił się.

Konsternacja i rozczarowanie, malujące się na twarzach jego przyjaciół wprawiły go w zawstydzenie. Przeżycie, jakiego doświadczył w miasteczku, było dla niego koszmarem. Widział, jak dementorzy, szybując w oddali, wyłaniają się z mgły i, w miarę jak paraliżujące zimno coraz bardziej dławiło płuca chłopca, a odległy krzyk wypełniał świadomość, zdawał sobie coraz bardziej sprawę z tego, że nie będzie się w stanie obronić. Całą siłą woli Harry zmusił się do ruchu i zaczął biec, zostawiając za sobą bezokich dementorów, prześlizgujących się między mugolami, którzy wprawdzie nie mogli ich zobaczyć, ale na pewno czuli rozpacz i smutek, tak skutecznie przez nich rozsiewane.

- No to nadal nie mamy nic do jedzenia.

- Zamknij się, Ron - warknęła Hermiona. - Co się stało, Harry? Czemu twierdzisz, że nie mogłeś wyczarować patronusa? Wczoraj udało ci się to bezbłędnie.

- Nie wiem.

Wsunął się głęboko w jeden ze starych foteli Perkinsa, z każdą chwilą czując, jak rośnie w nim uczucie upokorzenia. Bał się, że zaszła w nim jakaś negatywna zmiana. Dzień wczorajszy zdawał się coraz bardziej odległy - dzisiaj Harry mógł znowu uchodzić za trzynastolatka, jedyną osobę, która straciła przytomność w ekspresie do Hogwartu.

Ron kopnął krzesło.

- No, co? - rzucił opryskliwie do Hermiony - Umieram z głodu! Wszystko, co jadłem od czasu, jak nieomal wykrwawiłem się na śmierć, to parę muchomorów!

- No to idź i sam sobie utoruj drogę wśród dementorów - warknął urażony Harry.

- Poszedłbym, tylko mam rękę na temblaku, jeśli jeszcze nie zauważyłeś!

- Niezła wymówka.

- I co to niby miało...?

- No jasne! - nagle krzyknęła Hermiona, uderzając się ręką w czoło. Obaj chłopcy zamilkli ze zdumienia. - Harry, daj mi medalion! No już! - zażądała niecierpliwie, pstrykając na niego palcami, kiedy nie reagował. - Horkruks, Harry, nadal go nosisz!

Wyciągnęła ręce do Harry'ego, a on ściągnął przez głowę złoty łańcuch. Zaledwie medalion stracił kontakt z jego ciałem, Harry poczuł się wolny i dziwnie lekki. Dotąd nie zdawał sobie sprawy ani z odczuwanej ociężałości, ani też z ogromnego ciężaru zalegającego w okolicach żołądka, dopóki to wrażenie nie ustąpiło.

- Teraz lepiej? - zapytała Hermiona.

- O wiele lepiej!

- Harry - powiedziała, kucając przed nim i używając tonu, który nieodmiennie kojarzył mu się z odwiedzinami u ciężko chorych - nie byłeś chyba opętany, prawda?

- Co? Na pewno nie! - odpowiedział obronnym tonem. - Pamiętam wszystko, co robiliśmy, przez cały ten czas, kiedy nosiłem medalion. Gdybym był opętany, chyba nie wiedziałbym, co się działo, nie? Ginny opowiadała mi, że były takie zdarzenia, z których nic nie pamięta.

- Hm... - Hermiona zamyśliła się, spoglądając na ciężki medalion. - Cóż, może nie powinniśmy go nosić. Możemy go po prostu trzymać w namiocie.

- Nie ma mowy. Nie pozwolę, żeby ten horkruks się gdzieś poniewierał - powiedział zdecydowanie Harry. - Jeśli go zgubimy, albo gdyby go ktoś ukradł...

- Och, dobrze, już dobrze - rzuciła Hermiona, zawieszając medalion na własnej szyi i chowając go pod bluzką. - Ale będziemy się zmieniać, tak, aby żadne z nas nie miało go na sobie zbyt długo.

- Świetnie - odezwał się Ron z irytacją w głosie. - A teraz, skoro już to ustaliliśmy, czy moglibyśmy - proszę - poszukać wreszcie czegoś do jedzenia?

- W porządku, tylko że szukać będziemy już gdzie indziej - powiedziała Hermiona, patrząc na Harry'ego. - Nie ma sensu zostawać w miejscu, które roi się od dementorów.

W końcu zatrzymali się na noc na odległym końcu pola, przylegającego do samotnej farmy, gdzie udało im się zdobyć kilka jajek i trochę chleba.

- To nie jest kradzież, prawda? - zapytała Hermiona zmartwionym głosem, kiedy pochłaniali jajecznicę na tostach. - Skoro zostawiłam trochę pieniędzy pod klatką z kurami?

Ron przewrócił oczami i z pełnymi ustami powiedział:

- Emiona za użo sie atwisz. Wyuzuj!

I rzeczywiście, o wiele łatwiej było im się zrelaksować, kiedy wreszcie poczuli się najedzeni. Tego wieczoru wspomnienie o dementorach zostało wymazane przy śmiech, a Harry, obejmując nocną wartę w tę pierwszą z trzech przypadających mu nocy, czuł się radosny i pełen nadziei.

Po raz pierwszy uzmysłowili sobie, że pełny żołądek oznacza dobry nastrój, pusty zaś - kłótnie i przygnębienie. Harry, mający za sobą okresy przymierania głodem u Dursleyów, był tym najmniej zaskoczony. Hermiona trzymała się dość dzielnie w czasie, kiedy do jedzenia mieli tylko jagody i czerstwe herbatniki. Była wtedy jedynie nieco bardziej rozdrażniona, a jej milczenie stawało się posępniejsze. Natomiast Ron, przyzwyczajony do trzech pysznych posiłków dziennie, które otrzymywał od matki albo dzięki uprzejmości hogwarckich skrzatów domowych, stawał się pod wpływem głodu nierozsądny i wybuchowy. Jeśli zaś brak pożywienia zbiegł się dodatkowo z kolejką Rona do noszenia medalionu, chłopak robił się wręcz nieznośny. Jego "no to dokąd teraz?" powracało jak refren. Sam nie miał żadnych pomysłów, ale oczekiwał, że Harry i Hermiona wymyślą jakiś plan, podczas gdy on będzie siedział i kontemplował znikomość zapasów prowiantu. W wyniku tego Harry i Hermiona spędzali bezowocne godziny, naradzając się, gdzie mogliby znaleźć pozostałe horkruksy i jak można zniszczyć ten, który już udało im się zdobyć. Ich rozmowy, z braku nowych informacji, były coraz bardziej jałowe.

Ponieważ Dumbledore podzielił się z Harrym przekonaniem, że Voldemort ukrył horkruksy w miejscach, które były dla niego w jakiś sposób ważne, Harry i Hermiona nie przestawali recytować, niczym posępnej litanii, wszystkich lokalizacji, gdzie, zgodnie z ich wiedzą, Voldemort mieszkał albo które odwiedzał. Począwszy od sierocińca, w którym się urodził i wychował, przez Hogwart, gdzie zdobył wykształcenie, sklep Borgina i Burkesa - jego pierwsze miejsce pracy po opuszczeniu szkoły, aż po Albanię, gdzie spędził lata wygnania. Wszystkie te miejsca stanowiły punkt wyjścia dla ich przypuszczeń.

- Taa, lećmy do Albanii. Przeszukanie całego kraju nie powinno zająć nam więcej niż jedno popołudnie - wtrącił Ron z sarkazmem.

- Niemożliwe, żeby tam coś było. On wykonał przecież aż pięć ze swoich horkruksów, zanim udał się na wygnanie, a ponadto Dumbledore był przekonany, że szóstym jest wąż - powiedziała Hermiona. - Wiemy, że wąż nie znajduje się w Albanii, tylko zazwyczaj towarzyszy Vol...

- Czy ja cię czasem nie prosiłem, żebyś przestała wymawiać to imię?

- Proszę bardzo! Wąż jest zazwyczaj z Sam - Wiesz - Kim. Zadowolony?

- Nieszczególnie.

- Nie wydaje mi się też, żeby on cokolwiek ukrył u Borgina i Burkesa - stwierdził Harry, który dochodził do tego wniosku już wielokrotnie przedtem, ale powtórzył go raz jeszcze, po to tylko, żeby przerwać paskudną ciszę, jaka nastała po kłótni przyjaciół.

- Borgin i Burkes byli ekspertami, jeśli chodzi o przedmioty związane z czarną magią, od razu rozpoznaliby horkruks.

Ron ziewnął demonstracyjnie. Tłumiąc przemożną chęć rzucenia czymś w niego, Harry brnął dalej:

- Ja nadal uważam, że on mógł ukryć coś w Hogwarcie.

Hermiona westchnęła.

- Ale Harry, Dumbledore już dawno by to znalazł!

Harry powtórzył argument, którego ciągle używał w obronie swojej teorii:

- Dumbledore powiedział przy mnie, że nigdy nawet nie zakładał, aby mógł poznać wszystkie tajemnice Hogwartu. Mówię wam, jeśli jest jedno miejsce, w którym Vol...

- Ej!

- SAM - WIESZ - KTO! - wrzasnął Harry, doprowadzony do granic wytrzymałości. - Jeśli istnieje choć jedno miejsce naprawdę ważne dla Sam - Wiesz - Kogo, to tylko Hogwart!

- Ach, daj spokój! Jego *szkoła*?

- Tak, jego szkoła! To był jego pierwszy prawdziwy dom, miejsce, w którym czuł się wyjątkowy. To wiele dla niego znaczyło, a nawet po tym jak odszedł...

- Na pewno rozmawiamy o Sam - Wiesz - Kim, a nie o tobie? - spytał Ron. Szarpał przy tym łańcuch, otaczający jego szyję, na którym wisiał horkruks. Harry'ego ogarnęło pragnienie uduszenia go nim.

- Mówiłeś nam, że Sam - Wiesz - Kto po opuszczeniu szkoły, prosił Dumbledore'a o pracę - powiedziała Hermiona.

- Dokładnie tak - potwierdził Harry.

- Ale Dumbledore był przekonany, że on chciał się dostać do szkoły tylko po to, żeby znaleźć kolejny przedmiot, należący do założyciela i zmienić go w następny horkruks?

- Tak.

- Ale tej pracy nie dostał, prawda? - ciągnęła Hermiona. - Zatem nie miał możliwości odnalezienia żadnego przedmiotu, ani też ukrycia go w szkole!

- Dobrze więc - odparł Harry, czując, że go pokonano. - Zapomnij o Hogwarcie.

Nie mając żadnych innych tropów, cała trójka przeniosła się do Londynu, gdzie, ukryci pod peleryną niewidką udali się na poszukiwania sierocińca, w którym wychował się Voldemort. Hermiona zakradła się do biblioteki i odkryła, że ów budynek został zburzony wiele lat temu. Mimo wszystko, zdecydowali się obejrzeć samo miejsce, ale znaleźli tam jedynie ogromny biurowiec.

- Moglibyśmy spróbować podkopać fundamenty - zasugerowała Hermiona bez przekonania.

- Nie ukryłby horkruksa tutaj - odparł Harry.

Był o tym przekonany od dawna - przecież sierociniec był miejscem, z którego Voldemort za wszelką cenę pragnął się wydostać. Nie ukryłby tam części swojej duszy. Dumbledore ujawnił Harry'emu, że Voldemort, tworząc swoje kryjówki, starał się osiągnąć efekt majestatyczności, bądź szczyt mistycyzmu; temu posępnemu, szaremu zaułkowi Londynu natomiast daleko było do Hogwartu, Ministerstwa Magii, czy też budynku takiego jak bank Gringotta, z jego złotymi drzwiami i podłogami z marmuru.

Harry, Ron i Hermiona, nie mając żadnych nowych pomysłów, przemierzali nadal okolicę, ze względów bezpieczeństwa rozbijając namiot co noc w innym miejscu. Każdego ranka robili wszystko, aby zatrzeć najmniejsze nawet ślady swojej obecności, a następnie wyruszali dalej, aby znaleźć kolejny samotny i odizolowany zakątek. Aportowali się do odległych lasów, mrocznych szczelin, ukrytych pośród nadmorskich klifów, na purpurowe wrzosowiska, zbocza gór porośnięte kolcolistem, a raz nawet do ukrytej, kamienistej jaskini. Mniej więcej co dwanaście godzin przekazywali sobie horkruks, jakby grali w zwolnionym tempie w przewrotną odmianę gry w muzyczne krzesła, bojąc się, że muzyka zaraz ucichnie, a nagrodą nie będzie wygodne miejsce na krześle, tylko dwanaście godzin wzmożonego strachu i niepewności.

Blizna nie przestawała kłuć Harry'ego. Jak zauważył, uczucie to nasilało się, kiedy nosił horkruks. Czasami nie mógł powstrzymać reakcji na ból.

- Co? Co widziałeś? - Ron domagał się odpowiedzi, gdy tylko zauważył, że Harry się krzywi.

- Twarz - mamrotał Harry za każdym razem. - Tę samą twarz. Złodzieja, który okradł Gregorowicza.

Wtedy Ron zwykle odwracał się, nawet nie próbując ukryć rozczarowania. Oczywistym było, że Ron ma nadzieję na otrzymanie jakichkolwiek wieści o swojej rodzinie, lub o pozostałych członkach Zakonu Feniksa, ale przecież Harry nie był anteną telewizyjną. Potrafił jedynie zobaczyć myśli Voldemorta w danej chwili. Nie mógł nastawić się na odbiór tego, na co miał ochotę. Wyglądało zaś na to, że Voldemort bez końca rozmyślał o nieznanym chłopcu o radosnej twarzy, którego ani imienia, ani miejsca pobytu nie znał - co do tego Harry nie miał wątpliwości. Z czasem nauczył się ukrywać oznaki bólu, gdy blizna nie przestawała mu dokuczać, a obraz wesołego, jasnowłosego młodzieńca zwodniczo nawiedzał jego myśli. Pozostała dwójka, na każdą wzmiankę o nim nie potrafiła okazać Harry'emu nic, prócz zniecierpliwienia. Nie mógł za to winić Rona ani Hermiony, skoro tak rozpaczliwie czekali na jakikolwiek trop dotyczący horkruksów.

W miarę, jak dni zmieniały się w tygodnie, Harry zaczął podejrzewać, że Ron i Hermiona rozprawiają o nim za jego plecami. Kilka razy przerywali nagle rozmowę, kiedy wchodził do namiotu, a dwa razy wpadł na nich przypadkowo, przytulonych, głowa przy głowie, rozmawiających w pośpiechu nieopodal obozowiska. Za każdym razem milkli oboje, kiedy tylko zdali sobie sprawę, że się do nich zbliża i starali się wyglądać na bardzo zajętych zbieraniem chrustu albo czerpaniem wody.

Wyprawa poszukiwawcza coraz bardziej przypominała bezsensowną włóczęgę. Harry nie mógł przestać się zastanawiać, czy Ron i Hermiona wybrali razem z nim tylko dlatego, że wierzyli, iż ma jakiś tajemny plan, o którym mieli dowiedzieć się we właściwym czasie. Ron nie starał się już nawet ukrywać swojego złego nastroju i Harry zaczął obawiać się, że Hermiona jest także coraz bardziej rozczarowana jego kiepskim przywództwem. Rozpaczliwie więc starał się odkryć kolejną kryjówkę horkruksa, lecz jedynym miejscem, jakie niezmiennie przychodziło mu do głowy, był Hogwart. Skoro jednak pozostali uczestnicy wyprawy uważali ten pomysł za bardzo mało prawdopodobny, przestał o nim w ogóle wspominać.

Jesień przetoczyła się przez okolicę, a oni nadal przenosili się z miejsca na miejsce. Wreszcie przyszło im rozbić namiot na ściółce z liści. Naturalna mgła łączyła się z tą wytwarzaną przez dementorów, a wiatr i deszcz utrudniały zadanie jeszcze bardziej. Nawet fakt, że Hermiona stawała się coraz lepsza w rozpoznawaniu jadalnych grzybów, nie był w stanie zmniejszyć odczuwanego przez nich poczucia izolacji, ani zrekompensować braku towarzystwa innych ludzi, a także wypełnić braku jakichkolwiek wieści o losach wojny toczonej przeciwko Voldemortowi.

- Moja matka - powiedział Ron pewnej nocy, kiedy siedzieli w namiocie na brzegu rzeki, gdzieś w Walii - potrafi wyczarować dobre jedzenie z niczego.

Markotny, szturchał widelcem kawałki przypalonej, szarej ryby na swoim talerzu. Harry spojrzał odruchowo na szyję Rona, gdzie, tak jak się spodziewał, dostrzegł błysk złotego łańcucha. Udało mu się przemóc impuls i nie przeklinać. Wiedział, że nastawienie Rona, ulegnie poprawie (choć niewielkiej) gdy tylko zdejmie medalion.

- Nawet twoja matka nie potrafi wyczarować jedzenia z powietrza - powiedziała Hermiona. - Tego nikt nie potrafi. Pokarm stanowi jeden z pięciu Podstawowych Wyjątków od Praw Gampa o Elementarnej Transmut...

- Och, czy ty nie potrafisz mówić po ludzku?! - powiedział Ron, wydłubując ość spomiędzy zębów.

- Nie jest możliwe stworzenie jedzenia z niczego! Możesz je przywołać, jeśli wiesz gdzie się znajduje; możesz je transmutować, albo zwiększyć ilość, jeśli już trochę masz...

- Cóż, o zwiększanie ilości tego jedzenia możesz się nie kłopotać. Jest wyjątkowo obrzydliwe - rzucił Ron.

- Harry złowił rybę, a ja zrobiłam co w mojej mocy, żeby przygotować posiłek! Widzę, że to ja zawsze muszę się troszczyć o żarcie, i to, jak przypuszczam, tylko dlatego, że jestem *dziewczyną*!

- Nie z tego powodu, tylko dlatego, że podobno jesteś najlepsza, jeśli chodzi o czary! - wybuchnął Ron.

Hermiona skoczyła na równe nogi, a kawałki pieczonego szczupaka ześlizgnęły się z jej cynowego talerza prosto na podłogę.

- Od jutra ty zajmiesz się gotowaniem, Ron. *Ty* znajdziesz składniki i spróbujesz je zaczarować tak, żeby dało się je zjeść, a ja usiądę tutaj i będę się krzywić i marudzić, wtedy zobaczysz jak to...

- Zamknij się! - przerwał jej Harry, zrywając się z miejsca i podnosząc obie ręce do góry. - Zamknij się *natychmiast*!

Hermiona wyglądała na śmiertelnie oburzoną.

- Jak możesz z nim trzymać, on rzadko kiedy gotu...

- Hermiona, bądź cicho, słyszę kogoś!

Z ciągle podniesionymi rękoma, ostrzegając ich, żeby nie rozmawiali, Harry uważnie nasłuchiwał. Wtedy, poprzez szum i plusk mrocznej rzeki płynącej obok, znowu usłyszał głosy. Obejrzał się na wykrywacz wrogów, ale ten się nie poruszał.

- Rzuciłaś na nas zaklęcie tłumiące, prawda? - wyszeptał do Hermiony.

- Zrobiłam wszystko - odpowiedziała mu szeptem. - Tłumiące *Muffliato*, odstraszające mugoli i zaklęcia kameleona, wszystkie możliwe. Kimkolwiek są, nie powinni nas zobaczyć, ani usłyszeć.

Odgłosy szurania, zgrzytanie osuwających się kamyków i łamanych gałązek mówiły im, że kilka osób schodzi w dół stromego, lesistego zbocza, które prowadziło wprost na wąski brzeg rzeki, gdzie stał ich namiot. Wyciągnęli różdżki i czekali. Zaklęcia, które rzucili dookoła, powinny być, w zupełnych prawie ciemnościach, wystarczającą ochroną przed zagrożeniem ze strony zarówno mugoli, jak i wszystkich czarodziejów. Jeśli jednak zbliżali się śmierciożercy, wtedy ich ochrona po raz pierwszy zostałaby wystawiona na działanie czarnej magii.

Głosy zbliżyły się, ale wciąż nie na tyle, aby dało się zrozumieć słowa, mimo że grupa ludzi dotarła już na brzeg rzeki. Harry ocenił, że znajdują się nie dalej niż sześć metrów od namiotu, ale szum spadającej kaskadą rzeki sprawiał, że nie mógł być tego zupełnie pewien. Hermiona złapała swoją torebkę i zaczęła w niej grzebać. Po chwili wyciągnęła troje Uszu Dalekiego Zasięgu i rzuciła po jednym Harry'emu i Ronowi, którzy pospiesznie wcisnęli jeden koniec cielistego sznurka do własnego ucha, a drugi wysunęli na zewnątrz przez wejście namiotu.

Po kilku sekundach Harry usłyszał zmęczony, męski głos.

- Powinny tu być jakieś łososie, jak myślicie? Chyba że jest jeszcze za wcześnie, może to nie sezon? *Accio łosoś!*

Usłyszeli kilka wyraźnych pluśnięć, a następnie charakterystyczne klaśnięcie ryby o ludzką dłoń. Ktoś chrząknął z uznaniem. Harry wcisnął Ucho Dalekiego Zasięgu głębiej w swoje własne. Poprzez szum rzeki usłyszał więcej głosów, ale tamte nie mówiły w żadnym z ludzkich języków, jakie kiedykolwiek słyszał. Był to raczej twardy język, niemelodyjny potok trzeszczących, gardłowych dźwięków. Harry'emu zdawało się, że rozmówców jest tylko dwóch, jeden o trochę niższym głosie i wolniejszym sposobie mówienia od drugiego.

Po drugiej stronie płótna zapłonął ogień; ogromne cienie przesuwały się między płomieniami a namiotem. Smakowity zapach pieczonego łososia niebezpiecznie dryfował w stronę wygłodniałej trójki. Następnie dał się słyszeć brzęk sztućców na talerzach i pierwszy z rozmówców odezwał się ponownie.

- Proszę, Gryfek, Gornuk...

- *Gobliny!* - Hermiona poruszyła bezgłośnie ustami, Harry pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

- Dziękujemy - powiedziały równocześnie gobliny, tym razem w zrozumiałym dla wszystkich języku.

- A więc, wasza trójka zbiegła. Od jak dawna uciekacie? - zapytał nowy, aksamitny i przyjemny głos. Harry'emu, który natychmiast wyobraził sobie okrągłego mężczyznę o radosnej twarzy, głos ten wydał się jakby znajomy.

- Sześć - siedem tygodni... Nie pamiętam - odrzekł zmęczony mężczyzna. - Po paru dniach spotkaliśmy się z Gryfkiem i niewiele później połączyliśmy siły z Gornukiem. Miło mieć trochę towarzystwa.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której słychać było tylko zgrzyt widelców oraz dźwięk blaszanych kubków, które zostały podniesione, po czym odstawione z powrotem na ziemię.

- Co zmusiło cię do ucieczki, Ted?

- Wiedziałem, że po mnie idą - odpowiedział ten o aksamitnym głosie i wtedy Harry przypomniał, sobie skąd go zna - to był ojciec Tonks.

- Słyszałem, że śmierciożercy byli w okolicy już tydzień temu i zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeśli ucieknę zawczasu. Widzicie, nie dopełniłem obowiązku zarejestrowania się, jako pochodzący z mugolskiej rodziny. Odmówiłem dla zasady, wiedziałem, że w końcu i tak będę musiał odejść. Mojej żonie włos nie powinien spaść z głowy, jest czystej krwi. A potem spotkałem tego tutaj, Deana. Chyba kilka dni temu, prawda, synu?

- Tak - odezwał się następny głos, a Harry, Ron i Hermiona spojrzeli na siebie w ciszy, podekscytowani, rozpoznawszy swojego kolegę Gryfona, Deana Thomasa.

- A ty, też nie jesteś czystej krwi? - spytał pierwszy z rozmówców.

- Nie mam pewności - odparł Dean. - Ojciec opuścił matkę, kiedy byłem mały. Nie mam żadnych dowodów na to, że był czarodziejem.

Na chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami jedzenia, potem znowu przemówił Ted.

- Muszę przyznać, Dirk, że jestem zaskoczony spotkaniem z tobą. Cieszę się, niemniej jestem zaskoczony. Chodziły słuchy, że zostałeś złapany.

- Owszem, zostałem - odpowiedział Dirk. - Byłem w połowie drogi do Azkabanu, kiedy udało mi się zbiec. Oszołomiłem Dawlisha i buchnąłem jego miotłę. To było prostsze, niż byś przypuszczał. Myślę, że nie zdołał jeszcze w pełni dojść do siebie. Ktoś mógł rzucić na niego Confundusa. Jeśli tak, to chciałbym uścisnąć rękę tej czarownicy lub czarodziejowi, bo najprawdopodobniej uratował mi życie.

Nastąpiła kolejna pauza, słychać było tylko trzaskający ogień i szumiącą rzekę. Potem Ted powiedział:

- A wy dwaj? Wy nie bardzo pasujecie do układanki. Cóż, hm, ogólnie rzecz biorąc, zawsze odnosiłem wrażenie, że gobliny wzięły stronę Sami - Wiecie - Kogo.

- To miałeś złe wrażenie - odpowiedział mu goblin o wyższym głosie. - My nie opowiadamy się po niczyjej stronie. To jest wasza wojna.

- Więc jak to się stało, że też się ukrywacie?

- Takie posunięcie uznałem za roztropne - odezwał się drugi goblin. - Po tym, jak odmówiłem wykonania polecenia, które uważałem za bezczelny kaprys, stało się jasne, że moje osobiste bezpieczeństwo jest zagrożone.

- Czego od ciebie żądali?

- Służby, która uwłacza godności mojej rasy - odparł goblin, którego głos zdał się być mniej ludzki i bardziej szorstki, kiedy wypowiadał te słowa. - Cóż, nie jestem przecież domowym skrzatem.

- A ty, Gryfek?

- Z tych samych przyczyn - rzekł goblin o wyższym głosie. - Bank Gringotta, niestety, nie pozostaje już pod wyłączną kontrolą mojej rasy. Ja zaś nie uznaję żadnego czarodzieja za swojego pana.

Po czym wymamrotał coś pod nosem w języku goblinów, na co Gornuk zaczął się śmiać.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Dean.

- Powiedział - wyjaśnił Dirk - że istnieją rzeczy, których czarodzieje nie są w stanie rozpoznać.

- Nie łapię - powiedział Dean po chwili milczenia.

- Zemsta jest słodka. Zanim odszedłem, udało mi się choć w niewielkim stopniu odegrać - powiedział Gryfek w języku zrozumiałym dla wszystkich.

- Jesteś w porządku facetem, a raczej goblinem, powinienem powiedzieć - poprawił się szybko Ted. - Chyba nie zamknąłeś jakiegoś śmierciożercy w jednym z tych dobrze chronionych, starych krypt, co?

- Gdybym był to zrobił, to miecz na pewno nie pomógłby mu się wydostać - odparł Gryfek. Gornuk znowu parsknął śmiechem i nawet Dirk wydał z siebie zdławiony chichot.

- Deanowi i mnie chyba coś umknęło - powiedział Ted, dając do zrozumienia, że nadal nie rozumieją żartu.

- Severusowi Snape'owi najwyraźniej też coś umknęło, tylko że on o tym nie wie - odparł Gryfek i tym razem oba gobliny wybuchnęły złośliwym śmiechem.

W namiocie Harry oddychał płytko z podniecenia. On i Hermiona gapili się na siebie, słuchając rozmowy z najwyższą uwagą.

- Rzeczywiście nie słyszałeś o tym, Ted? - spytał Dirk z niedowierzaniem. - O dzieciakach, które próbowały wykraść miecz Gryffindora z gabinetu Snape'a w Hogwarcie?

Harry zamarł w miejscu, jak przyrośnięty do podłogi. Ciarki przebiegały mu od stóp do głów, niczym prąd elektryczny, drażniąc każdy jego nerw.

- Nie miałem o tym pojęcia - odpowiedział Ted. - "Prorok Codzienny" chyba o tym nie pisał, prawda?

- Żartujesz - zarechotał Dirk. - Mnie powiedział o tym Gryfek, a sam usłyszał to od Billa Weasleya, który pracuje dla banku. Jednym z dzieciaków, które brały w tym udział, była młodsza siostra Billa.

Harry spojrzał na Hermionę i Rona - oboje ściskali w dłoniach sznurki Uszu Dalekiego Zasięgu tak mocno, jakby to były liny ratunkowe.

- Ona i paru jej przyjaciół przedostali się do gabinetu Snape'a, rozbili szklaną gablotę, w której trzymał miecz. Niestety, Snape złapał ich, kiedy próbowali przemycić zdobycz na dół.

- Wielka Helgo, miej ich w opiece! - rzucił Ted. - Co też oni sobie myśleli, że będą w stanie użyć miecza przeciwko Sam - Wiesz - Komu? Czy może od razu przeciwko Snape'owi?

- Cokolwiek chcieli z nim zrobić, Snape po tym incydencie uznał, że miecz nie jest już bezpieczny w Hogwarcie - ciągnął Dirk. - Kilka dni później, kiedy dostał rozkazy - jak sądzę, od Sam - Wiesz - Kogo - wysłał miecz do Londynu, żeby go zdeponować w najbezpieczniejszym miejscu, czyli w banku Gringotta.

Gobliny nie mogły powstrzymać się od śmiechu.

- Nadal nie rozumiem, na czym polega dowcip? - wtrącił Ted.

- To falsyfikat - zachrypiał Gryfek.

- Miecz Gryffindora?!

- Tak, tak, to kopia - doskonała, to prawda, ale zrobiona przez czarodzieja. Oryginał został wykonany wieki temu przez gobliny i w związku z tym ma pewne szczególne właściwości, jakie posiada jedynie goblińskie uzbrojenie. Nie wiem, gdzie znajduje się prawdziwy miecz Gryffindora, wiem za to gdzie go na pewno nie ma - w skarbcu Gringotta.

- Teraz rozumiem - odezwał się Ted. - Wierzę, że nie miałeś potrzeby informowania o tej pomyłce śmierciożerców.

- Nie widziałem powodu, dla którego miałbym ich kłopotać taką błahostką - odparł zadowolony z siebie Gryfek, a śmiech Teda i Deana zmieszał się ze śmiechem Gornuka i Dirka.

Harry zamknął oczy, pragnąc z całych sił, aby ktoś zadał jedno, najważniejsze dla niego pytanie, na które musiał poznać odpowiedź. Po minucie, która zdawała się dziesięć razy dłuższa niż zwykle, Dean spełnił jego życzenie. On też był (to wspomnienie wstrząsnęło Harrym) byłym chłopakiem Ginny.

- Co stało się z Ginny i pozostałymi? Z tą grupą, która próbowała ukraść miecz?

- Och, zostali ukarani, potraktowano ich dość okrutnie - poinformował Gryfek obojętnym głosem.

- Ale chyba nic im nie jest? - zapytał pospiesznie Ted. - Myślę, że Weasleyowie mają dość rannych dzieci.

- Z tego, co mi wiadomo, nie odnieśli żadnych poważnych obrażeń - wyjaśnił Gryfek.

- Mieli szczęście - wtrącił Ted. - Znając ostatnie dokonania Snape'a, trzeba się cieszyć, że te dzieci nadal żyją.

- Zatem wierzysz w tę historię, Ted? - spytał Dirk. - Wierzysz w to, że Snape zabił Dumbledore'a?

- Oczywiście, że tak - odparł Ted. - Chyba nie zamierzasz, siedząc tutaj, wmawiać mi, że Potter miał z tym coś wspólnego?

- W dzisiejszych czasach nie wiadomo, w co wierzyć - mruknął Dirk.

- Znam osobiście Harry'ego Pottera - wtrącił się Dean. - I uważam, że on mówi prawdę, że jest Wybrańcem, czy jakkolwiek chcecie to nazwać.

- Ech, wielu jest takich, którzy chcieliby w to wierzyć, synu - powiedział Dirk. - Łącznie ze mną. Tylko gdzie on jest? Wygląda na to, że się ulotnił. Tylko pomyśl, gdyby on rzeczywiście wiedział coś, czego my nie wiemy, albo miał rzeczywiście szczególne zdolności, walczyłby teraz, mobilizował ruch oporu, zamiast się ukrywać. I wiesz co, "Prorok" postawił mu całkiem słuszne zarzuty...

- "Prorok"? - zadrwił Ted. - Zasługujesz na to, żeby być okłamywanym, jeśli nadal czytujesz tego brukowca, Dirk. Jak chcesz faktów, przerzuć się na "Żonglera".

Nagła eksplozja odgłosów krztuszenia się, dławienia i charczenia, po której nastąpił głuchy łomot, świadczyła o tym, że Dirk połknął ość. Wreszcie wyrzucił z siebie:

- "Żongler"? Ten obłąkańczy szmatławiec należący do Kseno Lovegooda?

- Wcale nie jest taki szalony ostatnimi czasy - odparł Ted. - Powinieneś sam zobaczyć. Kseno publikuje wszystko, co pomija "Prorok", a w ostatnim wydaniu nie było nawet jednej wzmianki o chrapakach krętorogich. Jak długo jeszcze będzie mu to uchodziło na sucho, nie wiem. W każdym wydaniu, na pierwszej stronie Kseno pisze, że każdy czarodziej, który jest przeciwko Sam - Wiesz - Komu, powinien uczynić swoim priorytetem pomoc dla Harry'ego Pottera.

- Trudno udzielić pomocy chłopakowi, który zniknął z powierzchni ziemi - zauważył Dirk.

- Słuchaj, to, że go jeszcze nie złapali, jest cholernym osiągnięciem - powiedział Ted. - Chętnie poprosiłbym go o radę. To przecież dokładnie to samo, co my robimy - próbujemy pozostać na wolności, czyż nie?

- Cóż, masz tu trochę racji - niechętnie zgodził się Dirk. - Biorąc pod uwagę, że szuka go całe ministerstwo wraz ze wszystkimi swoimi informatorami, spodziewałbym się raczej, że już go mają. Pomyśl, kto wie, czy go już nie złapali i nie pozbyli się bez nagłaśniania sprawy.

- Nie mów tak, Dirk - mruknął posępnie Ted.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, przerywana tylko brzękiem noży i widelców. Kiedy znowu zaczęli rozmawiać, była to przeważnie dyskusja na temat tego, czy powinni przenocować na brzegu rzeki, czy też wycofać się na bezpieczne lesiste zbocze pagórka. Dochodząc do wniosku, że drzewa zapewniają o wiele lepszą kryjówkę, wygasili ognisko i zaczęli wspinać się z powrotem po zboczu, którym przyszli. Ich głosy nikły w oddali.

W namiocie cała trójka zwinęła Uszy Dalekiego Zasięgu. Harry, któremu, im dłużej podsłuchiwali, tym trudniej było wysiedzieć w ciszy, teraz nie był w stanie wykrztusić z siebie nic, poza:

- Ginny... Miecz...

- Mam! - rzuciła Hermiona, po czym gwałtownym ruchem sięgnęła po swoją maleńką, ozdobioną koralikami torebkę. Tym razem zanurzyła w niej rękę aż do ramienia.

- J...jest - wycedziła przez zęby, wyciągając z trudem coś, co najwidoczniej leżało na samym dnie. Powoli z przepastnych czeluści torby wyłonił się brzeg ciężkiej, suto zdobionej ramy obrazu. Harry, widząc to, pospieszył Hermionie z pomocą. Kiedy tylko udało im się wydobyć pusty portret Fineasa Nigellusa, dziewczyna stanęła przed nim z wycelowaną weń różdżką, gotowa rzucić zaklęcie w każdej chwili.

- Jeśli ktoś podmienił miecze w gabinecie Dumbledore'a - wysapała, kiedy opierali obraz o ścianę namiotu - Fineas Nigellus na pewno to zauważył, wisi przecież tuż obok gabloty!

- Chyba że właśnie wtedy spał - rzucił Harry, wstrzymując oddech, gdy Hermiona uklękła przed pustym płótnem z różdżką wycelowaną w sam jego środek, odchrząknęła i powiedziała: - Fineas, Fineas Nigellus?

Nic się nie stało.

- Fineasie Nigellusie? - powtórzyła Hermiona. - Profesorze Black? Proszę, czy moglibyśmy z panem porozmawiać? Bardzo proszę?

- "Proszę" zawsze pomaga - ozwał się zimny, drwiący głos, po czym Fineas Nigellus wślizgnął się na swoje miejsce. W tym samym momencie Hermiona krzyknęła: *Obscuro!*

Na obrazie pojawiła się czarna przepaska, zakrywając pełne sprytu, ciemne oczy niczego nie spodziewającego się Nigellusa. Zaskoczony, uderzył o ramę i wrzasnął z bólu.

- Co się dzieje? Jak śmiecie! Kim wy jesteście?

- Bardzo mi przykro, profesorze Black - powiedziała Hermiona - ale jest to niezbędny środek ostrożności!

- Natychmiast usuń ten ohydny dodatek! Usuń to, mówię! Rujnujecie wielkie dzieło sztuki! Gdzie ja jestem? Co się tu dzieje?

- Miejsce nie jest istotne - odezwał się Harry i Fineas Nigellus natychmiast zamarł w bezruchu, porzucając nawet zamiar zdrapania przepaski z oczu.

- Czyżbym słyszał głos nieuchwytnego pana Pottera?

- Być może - odrzekł Harry, doskonale zdając sobie sprawę, że taka informacja zainteresuje Nigellusa. - Mamy do pana kilka pytań... na temat miecza Gryffindora.

- Ach - westchnął Fineas Nigellus i przekrzywiając głowę z jednej strony na drugą, starał się zobaczyć Harry'ego. - No tak. Ta głupia dziewczyna zachowała się wtedy wyjątkowo nieroztropnie.

- Nie mów tak o mojej siostrze! - wtrącił Ron gburowato. Fineas Nigellus uniósł wyniośle brwi.

- Ktoś jeszcze tu jest? - zapytał, wciąż kręcąc głową. - Nie podoba mi się twój ton! Dziewczyna i jej przyjaciele zachowali się w najwyższym stopniu zuchwale. Okradać dyrektora!

- Oni niczego nie kradli - sprzeciwił się Harry. - Miecz nie należy do Snape'a.

- Ale należy do szkoły profesora Snape'a - odparł Fineas Nigellus. - A jakie prawa mogła sobie do niego rościć Weasleyówna? Zasłużyła na karę, tak jak zasłużyli sobie ten idiota Longbottom i wariatka Lovegood!

- Neville nie jest idiotą, a Luna nie jest wariatką! - rzuciła Hermiona.

- Gdzie ja jestem? - powtórzył Fineas Nigellus, ponawiając walkę z przepaską na oczach. - Gdzieście mnie przywlekli? Dlaczego zabraliście mnie z domu mych przodków?

- Nieważne! W jaki sposób Snape ukarał Ginny, Neville'a i Lunę? - Harry był natarczywy.

- *Profesor* Snape wysłał ich do Zakazanego Lasu, żeby wykonali jakąś pracę pod okiem tego głupka, Hagrida.

- Hagrid nie jest głupkiem! - warknęła ostro Hermiona.

- Snape mógł sobie myśleć, że to kara - powiedział Harry - ale Ginny, Neville i Luna prawdopodobnie mieli niezły ubaw z Hagridem. Zakazany Las, też coś... Bywali w gorszych opałach!

Harry'emu ulżyło. Dotąd wyobrażał sobie koszmary, w których klątwa *Cruciatus* była najmniejszym złem.

- Profesorze Black, naprawdę chcielibyśmy wiedzieć to, czy ktokolwiek inny przed nimi w ogóle, hmm, brał miecz? Może został zabrany do czyszczenia, konserwacji, czy czegoś w tym rodzaju?

Fineas Nigellus zaprzestał prób pozbycia się opaski i zachichotał.

- Od razu widać twoje mugolskie pochodzenie - powiedział. - Oręż wykonany przez gobliny nie wymaga czyszczenia, prosta dziewczyno. Srebro goblinów odpycha zwyczajny brud, chłonąc tylko to, co je wzmacnia i konserwuje.

- Nie nazywaj tak Hermiony! - zwrócił mu uwagę Harry.

- Męczą mnie słowne utarczki - odparł Nigellus. - Być może czas już wrócić do gabinetu dyrektora?

Ciągle z zawiązanymi oczyma, po omacku, Fineas Nigellus zaczął przesuwać się wzdłuż ramy, próbując na wyczucie odnaleźć drogę do swojego portretu w Hogwarcie. Harry wpadł na pewien pomysł.

- Dumbledore! Czy nie mógłby pan przyprowadzić tu Dumbledore'a?

- Słucham? - spytał Nigellus.

- Portret profesora Dumbledore'a - czy nie mógłby pan zaprosić go do swojego obrazu tutaj?

Fineas Nigellus odwrócił głowę w kierunku, z którego dochodził głos Harry'ego.

- Jak widać, nie tylko czarodzieje pochodzący z mugolskich rodzin potrafią być ignorantami, Potter. Portrety Hogwartu mogą się między sobą porozumiewać, ale nie mogą podróżować poza granice zamku, chyba że w odwiedziny do własnego portretu wiszącego gdzie indziej. Dumbledore nie może przyjść tu ze mną, a po przyjęciu, jakie mnie tu spotkało, mogę was zapewnić, że więcej moja noga tu nie postanie.

Nieco przybity, Harry patrzył jak Fineas podwaja wysiłki, aby znaleźć wyjście.

- Profesorze Black - odezwała się Hermiona - bardzo pana proszę. Czy mógłby pan nam tylko powiedzieć, kiedy po raz ostatni miecz został wyjęty z gabloty - to znaczy, zanim Ginny go wzięła?

Fineas prychnął zniecierpliwiony.

- Jeśli dobrze pamiętam, po raz ostatni widziałem jak miecz Gryffindora opuszcza gablotę, kiedy profesor Dumbledore użył go, aby rozpłatać pierścień.

Hermiona rzuciła Harry'emu znaczące spojrzenie. Żadne z nich nie odważyło się na komentarz w obecności Fineasa Nigellusa, któremu nareszcie udało się zlokalizować wyjście.

- Cóż, życzę państwu dobrej nocy - powiedział nieco kąśliwie i powoli zaczynał znikać z zasięgu wzroku. Kiedy widać było już tylko rondo jego kapelusza, Harry niespodzianie krzyknął:

- Proszę poczekać! Mówił pan Snape'owi o tym, co widział?

Fineas Nigellus, nadal z zawiązanymi oczyma, wytknął tylko głowę zza ramy.

- Profesor Snape ma znacznie ważniejsze sprawy na głowie, niż zastanawianie się nad rozlicznymi dziwactwami Dumbledore'a. *Dobranoc*, Potter!

Po tych słowach zupełnie zniknął, pozostawiając po sobie jedynie ponure tło.

- Harry! - krzyknęła Hermiona.

- Wiem! - ryknął Harry. Nie mogąc się opanować, uderzył pięścią w powietrze. Uzyskali więcej informacji, niż mogli na to liczyć. Przemierzał namiot długimi krokami, czując, że teraz mógłby przebiec dobrą milę. **Przestał nawet odczuwać głód. Hermiona wciskała portret z powrotem do swojej torby, a kiedy wreszcie zapięła klamrę, rzuciła torebkę w kąt i z promieniejącą twarzą odwróciła się do Harry'ego.**

- Miecz może zniszczyć horkruksy! Broń goblinów absorbuje wszystko, co może ją wzmocnić - Harry, ten miecz jest zaimpregnowany jadem bazyliszka!

- I dlatego Dumbledore nie dał mi go od razu, bo sam chciał się nim posłużyć, chciał nim zniszczyć medalion z jaskini...

- A ponadto musiał zdawać sobie sprawę, że nie pozwolono by ci na posiadanie miecza nawet, gdyby zapisał ci go w testamencie... Więc zrobił kopię... Falsyfikat umieścił w gablocie, a oryginał... Gdzie?

Spojrzeli po sobie; Harry czuł, że są o krok od znalezienia odpowiedzi, jakby wisiała ona gdzieś w powietrzu ponad nimi. Dlaczego Dumbledore mu nie powiedział? A może wręcz przeciwnie, zdradził mu tę tajemnicę, tylko Harry nie był wtedy świadomy wagi informacji?

- Myśl! - szeptała Hermiona. - Myśl! Gdzie mógłby go ukryć?

- Nie w Hogwarcie - powiedział Harry, znowu zaczynając przemierzać namiot.

- Gdzieś w Hogsmeade? - zasugerowała.

- Wrzeszcząca Chata? - poddał pomysł Harry. - Nikt nigdy do niej nie wchodzi.

- Ale Snape wie, jak się do niej dostać, czy zatem nie byłoby to zbyt ryzykowne?

- Dumbledore ufał Snape'owi - przypomniał jej Harry.

- Nie na tyle, żeby mu powiedzieć o zamianie mieczy - odparła.

- Słusznie! - zgodził się Harry; poczuł nawet radość z faktu, że Dumbledore miał jednak pewne, choć niewielkie, zastrzeżenia co do Snape'a.

- Czy zatem ukryłby miecz z dala od Hogsmeade? Co o tym sądzisz, Ron? Ron?

Harry rozejrzał się. Zdumiony, przez chwilę miał wrażenie, że Rona nie ma w namiocie, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Ron, z kamiennym wyrazem twarzy, leży na piętrowym łóżku, ukryty w cieniu górnego posłania.

- O, przypomniałeś sobie o mnie? - powiedział.

- Co?

Ron prychnął, nie przestając gapić się w spód górnego łóżka.

- Nie przeszkadzajcie sobie. Nie chciałbym psuć wam zabawy.

Skonsternowany Harry spojrzał bezradnie na Hermionę w poszukiwaniu pomocy, ale ona pokręciła tylko głową, najwidoczniej tak samo zaskoczona jak on.

- W czym problem? - zapytał Harry.

- Problem? Nie ma żadnego problemu - odparł Ron, nadal nie patrząc na Harry'ego. - Przynajmniej dla ciebie.

Dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk drobnych uderzeń o płótno nad ich głowami. Zaczęło padać.

- Ewidentnie masz jakiś problem - nie dawał za wygraną Harry. - Wyrzucisz to z siebie czy nie?

Ron usiadł na łóżku. Złość malowała mu się na twarzy, wyglądał nienaturalnie, jakby nie był sobą.

- W porządku, wyrzucę to z siebie. Nie oczekuj, że będę skakał z radości, bo okazało się, że jest jeszcze jedna cholerna rzecz, którą musimy znaleźć nie wiadomo gdzie. Po prostu, dodaj to do długiej listy rzeczy, których nie wiesz.

- Ja nie wiem? - powtórzył Harry - *Ja* nie wiem?!

Kap, kap, kap... - deszcz padał coraz mocniej, niepokojąco rozbrzmiewał w ciemnościach, bębniąc o usłany liśćmi brzeg i wpadając do rzeki. Harry'ego opanował paniczny strach, całkowicie wymazując wcześniejszą radość. Od dawna podejrzewał, że jego przyjaciel może w ten sposób myśleć i tego bał się najbardziej, a teraz Ron potwierdził tylko jego obawy.

- To nie jest najprzyjemniejszy okres w moim życiu - ciągnął Ron. - Wiesz, z pokiereszowaną ręką, bez jedzenia, odmrażając sobie tyłek każdej nocy, po prostu miałem nadzieję, że po kilku tygodniach biegania w kółko do czegoś dojdziemy.

- Ron - odezwała się Hermiona tak cicho, że Ron mógł spokojnie udać, że nie słyszy jej poprzez bębniący o namiot deszcz.

- Wydawało mi się, że wiedziałeś na co się piszesz - odparł Harry.

- Tak, mnie też się tak zdawało.

- Zatem, co konkretnie nie spełnia twoich oczekiwań? - zapytał Harry. Wściekłość wzbierała w nim, pomagając mu się bronić. - Myślałeś, że będziemy się zatrzymywać w pięciogwiazdkowych hotelach? Znajdować jeden horkruks dziennie? Myślałeś, że wrócisz do mamusi na Gwiazdkę?

- Myśleliśmy, że ty wiesz co robić! - wrzeszczał Ron, wstając. Jego słowa przeszywały Harry'ego jak ostrza. - Myśleliśmy, że Dumbledore powiedział ci co masz robić, wierzyliśmy, że masz realny plan!

- Ron! - Hermiona tym razem zadbała, żeby było ją słychać przez dudniący o sufit deszcz, ale Ron ponownie ją zignorował.

- Cóż, przykro mi, że cię rozczarowałem - powiedział Harry dość spokojnym głosem, mimo dojmującego poczucia pustki i tego, że sytuacja go przerasta. - Byłem z wami szczery od samego początku, powiedziałem wam wszystko, co przekazał mi Dumbledore. Poza tym, w razie gdybyś nie zauważył, znaleźliśmy jeden horkruks...

- Taa, tylko tak samo nam daleko do zniszczenia go, jak i do znalezienia pozostałych - inaczej mówiąc, do wszystkiego cholernie daleko.

- Zdejmij medalion, Ron! - rozkazała Hermiona cienkim głosem. - Proszę, zdejmij go. Nie mówiłbyś tak, gdybyś go tak długo nie nosił.

- Mówiłby - wtrącił Harry, nie mając ochoty na poszukiwanie usprawiedliwień dla Rona. - Myślicie, że nie zauważyłem, jak oboje szeptaliście za moimi plecami? Myśleliście, że nie domyślę się niczego?

- Harry, my wcale nie... - zaczęła Hermiona.

- Nie kłam! - napadł na nią Ron. - Ty też tak mówiłaś, byłaś rozczarowana, powiedziałaś, że liczyłaś na to, że on ma znacznie więcej do zaoferowania niż....

- Nie powiedziałam tego w ten sposób! Harry, to nie tak! - powiedziała z płaczem.

Deszcz tłukł o namiot, po policzkach Hermiony płynęły łzy, a niedawne podniecenie i radość zniknęły bez śladu, jak nietrwały fajerwerk, który rozbłysnął i zgasł, pozostawiając po sobie tylko zimną, mokrą ciemność. Miecz Gryffindora był ukryty nie wiadomo gdzie, a oni byli tylko nastolatkami w namiocie, których jedynym osiągnięciem, jak dotąd, było pozostawanie przy życiu.

- W takim razie nie wiem, co tu jeszcze robisz? - Harry zapytał Rona.

- Nie mam pojęcia - odparł Ron.

- Idź do domu - powiedział Harry.

- Może pójdę! - wrzasnął Ron i zrobił kilka kroków w kierunku Harry'ego, ale ten się nie cofnął. - Nie słyszałeś, co mówili o mojej siostrze?! Ale ciebie to przecież guzik obchodzi, to tylko Zakazany Las, Harry *Byłem - w - większych - opałach* Potter nie dba o to, co się z nią tam stanie, ale ja dbam, rozumiesz, gigantyczne pająki i te szalone...

- Ja tylko powiedziałem, że jest z innymi, że są z Hagridem...

- Po prostu ci na nich nie zależy, masz to w nosie! A co z resztą mojej rodziny? "Weasleyowie mają dość rannych dzieci", czy to słyszałeś?

- Tak, ja...

- Ale ciebie to nie zastanowiło, nie?

- Ron! - wtrąciła się Hermiona, wpychając się między nich. - Myślę, że nie chodziło im o nic, czego byśmy nie wiedzieli. Nie zdarzyło się nic nowego. Pomyśl, Ron, Bill się boi, mnóstwo ludzi na pewno widziało, że George stracił ucho, a ty podobno leżysz na łożu śmierci z groszopryszczką, jestem przekonana, że nic więcej nie miał na myśli.

- Och, jesteś pewna, nieprawdaż? Świetnie, w takim razie nie będę sobie nimi zawracał głowy. Łatwo wam mówić, po tym jak usunęliście własnych rodziców z drogi...

- Moi rodzice *nie żyją!* - ryknął wściekle Harry.

- Moich rodziców może spotkać to samo! - wrzasnął Ron.

- Więc się wynoś! - zawył Harry. - Wracaj do nich, udawaj, że zwalczyłeś groszopryszczkę, żeby mamusia mogła cię znowu dobrze karmić i....

Ron wykonał gwałtowny ruch, Harry zrobił to samo, ale zanim ich różdżki były w gotowości, Hermiona zdążyła podnieść swoją.

- *Protego!* - krzyknęła i niewidzialna tarcza wyrosła pomiędzy nią i Harrym z jednej, a Ronem z drugiej strony. Wszyscy troje musieli cofnąć się o kilka kroków, odepchnięci energią zaklęcia. Harry i Ron nadal jednak rzucali sobie gniewne spojrzenia przez tę niewidzialną barierę. Po raz pierwszy w życiu dostrzegli w sobie śmiertelnych wrogów. Harry czuł do Rona niszczącą nienawiść, coś się między nimi załamało.

- Zostaw horkruks - powiedział Harry.

Ron zerwał łańcuch z szyi i rzucił medalion na najbliższe krzesło. Odwrócił się do Hermiony.

- Co ty robisz?

- O co ci chodzi?

- Zostajesz, czy co?

- Ja... - Widać było, że dziewczyna cierpi. - Tak, tak... Ja zostaję, Ron. Zdecydowaliśmy, że pójdziemy z Harrym, obiecaliśmy pomóc...

- Właśnie widzę. Po prostu wybrałaś jego.

- Ron, nie... Proszę, wróć, wróć!

Zatrzymało ją jej własne zaklęcie tarczy, a zanim je usunęła, Rona już nie było, wybiegł w ciemność. Harry stał sztywno w milczeniu, słuchał jak Hermiona szlocha pośród drzew, wołając Rona po imieniu.

Po kilku minutach wróciła, jej mokre włosy przykleiły się do twarzy.

- On od... Odszedł! Deportował się!

Opadła na krzesło, skuliła się i zaczęła płakać.

Harry czuł się oszołomiony. Przyklęknął, podniósł horkruks i zawiesił go na własnej szyi. Przyniósł koce z łóżka Rona i zarzucił je na Hermionę. Potem wspiął się na własne łóżko i wpatrywał się w ciemny płócienny dach, słuchając deszczu.

Rozdział 16
Dolina Godryka

Tłumaczenie: Ortwin

Gdy Harry obudził się następnego dnia, kilka sekund zajęło mu przypomnienie sobie tego, co się stało. Przez chwilę miał dziecinną nadzieję, że to wszystko było tylko snem, że Ron wciąż tu jest, nigdy nie odszedł. Jednak wystarczyło spojrzeć w dół, by zobaczyć opuszczone łóżko przyjaciela - jego brak aż kłuł w oczy. Harry wyskoczył z pościeli, starając się nie patrzeć w tamtą stronę. Gdy wszedł do kuchni, Hermiona odwróciła głowę, zamiast powiedzieć mu: "Dzień dobry".

***Odszedł*, powiedział sobie Harry. *Odszedł*. Powtarzał to podczas mycia i ubierania, jakby wielokrotne przywoływanie tych słów mogło stłumić wstrząs. *Odszedł i nie wróci*. To było aż nadto oczywiste - ochronne zaklęcia sprawiały, że gdy opuszczą to miejsce, Ron nie będzie mógł ich odnaleźć.**

Zjedli śniadanie w milczeniu. Oczy Hermiony były zaczerwienione i opuchnięte, najwyraźniej spędziła bezsenną noc. Guzdrała się podczas pakowania. Wiedział, że chciała przedłużyć czas spędzony nad brzegiem rzeki. Kilka razy zauważył, jak się rozgląda, zapewne łudząc się, że usłyszy kroki wśród rzęsistego deszczu. Ale żadna rudowłosa postać nie pojawiła się między drzewami. Za to za każdym razem, gdy Harry naśladował przyjaciółkę i z nieodpartą iskrą nadziei rozglądał się wokół, by nie dostrzec niczego prócz ociekających wodą drzew, wybuchał w nim kolejny atak furii. Niemal słyszał Rona mówiącego: "Myśleliśmy, że wiesz, co robisz" i wznawiał pakowanie, z żalem skłębionym gdzieś w brzuchu.

Mulista rzeka wzbierała pod ich bokiem, wkrótce miała zalać brzeg, na którym rozbili namiot. Zwijali obóz niemal godzinę dłużej niż zwykle, w końcu jednak, po trzykrotnym przepakowywaniu, nawet Hermiona nie była już w stanie wynaleźć kolejnych

pretekstów do opóźniania odejścia. Chwycili się za ręce i deportowali, lądując na smaganym wiatrem, porośniętym wrzosem wzgórzu.

Hermiona natychmiast puściła rękę Harry'ego i odsunęła się od niego. Usiadła na skale nieopodal, kuląc się i trzęsąc tak, że mógł to być tylko szloch. Obserwował ją, wiedząc, że powinien podejść, pocieszyć, coś jednak sprawiało, że stał bez ruchu. Wszystko wewnątrz niego było zimne, ściśnięte. Wciąż widział przed sobą twarz Rona, na której malował się wyraz pogardy. Zaczął maszerować przez wrzosowisko wokół Hermiony, wypowiadając zaklęcia, którymi zwykła zapewniać im bezpieczeństwo.

W ciągu następnych dni nie rozmawiali o Ronie. Harry zdecydował nigdy więcej nie wspomnieć nawet jego imienia, dziewczyna zaś zdawała się wiedzieć, że nie należy o to toczyć sporu. Jednak czasami, nocą, gdy myślała, że on śpi, słyszał jej płacz. W tym samym czasie Harry zaczął regularnie wyciągać Mapę Huncwotów i odczytywać ją w świetle różdżki. Wypatrywał kropki z podpisem "Ron" wśród hogwarckich korytarzy - znaku, że przyjaciel wrócił do zamku, chroniony przez swoją pozycję czystokrwistego. Rona nie było, za to Harry złapał się na studiowaniu imienia Ginny w żeńskim dormitorium i zastanawianiu się, czy jego skupienie może wpłynąć na jej sen, czy powinna wyczuć jego myśli i nadzieję, że jest bezpieczna.

W dzień zajmowali się próbami ustalenia położenia skrytki z mieczem Gryffindora, ale im dłużej rozmawiali o tym, gdzie Dumbledore mógł go umieścić, tym bardziej rozpaczliwe i naciągane były to spekulacje. Niezależnie od tego, jak bardzo wysilał umysł, Harry nie mógł sobie przypomnieć, by dyrektor kiedykolwiek wspominał o jakimkolwiek miejscu, gdzie coś ukrywał. Bywały momenty, że nie wiedział, na kogo jest bardziej zły - na Rona czy na Dumbledore'a. *Myśleliśmy, że wiesz, co robisz... Myśleliśmy, że Dumbledore powiedział ci, co robić... Myśleliśmy, że masz jakiś plan!*

Jednemu nie mógł zaprzeczyć - Ron miał rację. Dumbledore, na dobrą sprawę, nie zostawił im niczego. Jeden horkruks znaleźli, ale nie mieli pojęcia, jak go zniszczyć. Reszta pozostawała tak samo nieosiągalna jak na początku. Opadła go przerażająca beznadzieja - może błędem było przyzwolenie na towarzyszenie sobie w tej zawiłej, bezsensownej podróży. Nie wiedział niczego, nie miał pomysłów, w dodatku wciąż z bólem i strachem wyczekiwał znaków wskazujących, że i Hermiona ma zamiar go opuścić.

Wieczory spędzali w niemal całkowitej ciszy. Dziewczyna zwykła wtedy wyjmować z torby portret Fineasa Nigellusa i stawiać go na krześle, jakby mógł wypełnić lukę pozostałą po odejściu Rona. Wbrew poprzednim deklaracjom, że nigdy więcej ich nie odwiedzi, rezydent portretu nie był w stanie oprzeć się pokusie wysondowania tego, co Potter zamierza, i wracał co kilka dni. Harry'ego nawet cieszył ten nowy, niewymownie złośliwy towarzysz. W końcu mieli jakieś wiadomości z Hogwartu, choć w tym wypadku Fineas nie był idealnym informatorem. Ubóstwiał Snape'a, pierwszego od jego czasów, ślizgońskiego dyrektora. Musieli bardzo uważać, zadając pytania, ponieważ Nigellus opuszczał swój obraz za każdym razem, gdy o nowym dyrektorze wyrazili się krytycznie lub zadali zbyt zuchwałe pytanie.

Mimo wszystko dowiedzieli się kilku interesujących rzeczy. Snape musiał stawiać czoła niezbyt silnemu, ale stale buntującemu się gronu uczniów. Ginny dostała szlaban na wyjście do Hogsmeade, przywrócono stare dekrety Umbridge, zakazujące zgromadzeń trzech i więcej uczniów oraz delegalizujące wszystkie stowarzyszenia poza oficjalnymi.

Harry wywnioskował, że siostra Rona, prawdopodobnie wraz z Neville'em i Luną, robiła co w jej mocy, by kontynuować pracę GD. Te okruchy wiadomości sprawiły, że aż do bólu zapragnął zobaczyć Ginny, ale przypomniały również o Ronie, Dumbledorze i samym Hogwarcie, za którym tęsknił prawie tak mocno, jak za byłą dziewczyną. W gruncie rzeczy, gdy Fineas opowiadał im o represjach Snape'a, w jednej szalonej chwili zapragnął po prostu wrócić do szkoły, by pomóc w zatruwaniu życia nowemu dyrektorowi. Dostawać regularne posiłki, mieć ciepłe łóżko, pozwolić, by ktoś inny był za niego odpowiedzialny - wydawało się to najpiękniejszą wizją na świecie. Ale natychmiast przypomniał sobie, że jest Niepożądanym Numerem Jeden, za jego głowę wyznaczono dziesięć tysięcy galeonów nagrody, i że Hogwart jest dla niego równie niebezpieczny, jak Ministerstwo Magii. Podkreślał to nawet Nigellus, od niechcenia wtrącając pytania o zamiary Harry'ego i Hermiony. Za każdym razem, gdy to robił, Hermiona pakowała go z

powrotem do torby, a on przez kilka dni po tak bezceremonialnym pożegnaniu przestawał się ukazywać.

Z dnia na dzień robiło się zimniej. Nie ośmielili się nigdzie pozostać na dłużej, więc zamiast trzymać się południa Anglii, gdzie ich największym zmartwieniem była zmarznięta ziemia, tułali się wzdłuż i wszerz kraju. Obozowali u podnóża gór, gdzie deszcz ze śniegiem łomotał o dach; na pustych, płaskich łąkach, gdzie ich namiot zalewała lodowata woda, a nawet na maleńkiej wysepce na środku szkockiego jeziora, gdzie pewnej nocy zostali do połowy zasypani przez śnieg.

Zaczęli już zauważać choinki migoczące w niektórych oknach, gdy Harry zdecydował się ponownie wspomnieć o jedynej niesprawdzonej jeszcze poszlace. Właśnie zjedli niezwykle smaczny obiad - Hermiona wybrała się do supermarketu pod osłoną peleryny - niewidki (skrupulatnie podrzucając należność do kas) - więc Harry uznał, że żołądek pełny bolońskiego spaghetti i gruszek z puszki doda jego argumentom mocy przekonywania. Wziął też pod uwagę fakt, że zrobili sobie kilkugodzinną przerwę w noszeniu horkruksa, który zwisał właśnie ze stojącego opodal łóżka.

- Hermiono?

- Hm? - Siedziała skulona na jednym z miękkich foteli, z "Baśniami Barda Beedle'a" w ręku. Chłopak nie miał pojęcia, co jeszcze chciała wyciągnąć z tej cienkiej książki, ale najwyraźniej wciąż coś kombinowała, bo "Sylabariusz Spellmana" leżał otwarty na oparciu.

Harry chrząknął. Czuł się dokładnie tak, jak wtedy, gdy pytał profesor McGonagall, czy może iść do Hogsmeade, mimo braku podpisanego przez Dursleyów pozwolenia.

- Hermiono, dużo o tym myślałem i...

- Harry, mógłbyś mi tu pomóc? - Najwyraźniej wcale go nie słuchała. Wstała, wyciągając w jego kierunku otwarte "Baśnie Barda Beedle'a".

- Spójrz na ten symbol - nalegała, wskazując coś na górze strony. Nad tym, co, jak domyślał się nie znający run Harry, było tytułem opowieści, znajdował się obrazek, przypominający z wyglądu trójkątne oko, o źrenicy przekreślonej prostą pionową linią.

- Nie chodziłem na starożytne runy, Hermiono.

- Wiem, wiem, ale to nie jest znak runiczny i nie ma go w sylabariuszu. Myślałam, że to po prostu rysunek oka, ale nie. To zostało tu dorysowane atramentem. Zobacz, nie jest częścią książki. Zastanów się, widziałeś kiedyś taki znak?

- Nie... Czekaj. - Przyjrzał się uważnie. - Czy to nie ten symbol, który nosił ojciec Luny?

- Tak właśnie myślałam!

- A więc to znak Grindelwalda.

Zagapiła się na niego z otwartymi ustami.

- *Co?*

- Krum mi mówił... - Powtórzył jej historię usłyszaną od Wiktora na weselu Billa. Hermiona wyglądała na zaskoczoną.

- Znak *Grindelwalda?*

Spojrzała na Harry'ego, na znak, potem znowu na Harry'ego.

- Nigdy nie słyszałam, żeby Grindelwald miał jakiś znak. W niczym, co o nim czytałam, nie było o tym wzmianki.

- No, Krum twierdził, że symbol tkwi na jednej ze ścian w Durmstrangu i że to Grindelwald go tam umieścił.

Opadła z powrotem na fotel, marszcząc brwi.

- Dziwne. Jeśli to czarnomagiczny znak, co w takim razie robi w książce z bajkami dla dzieci?

- Taa, to dziwne - mruknął Harry. - Jak myślisz, Scrimgeour go rozpoznał? Był ministrem i, zapewne, ekspertem od czarnej magii.

- Wiem... Może myślał, że to tylko oko. Ja przecież też tak sądziłam. Wszystkie inne opowieści również mają małe rysunki nad tytułami. Zamilkła, ale wciąż wpatrywała się w tajemniczy znak.

Harry postanowił spróbować jeszcze raz.

- Hermiono?

- Hm?

- Myślałem o tym i... Chciałbym pojechać do Doliny Godryka.

Spojrzała na niego niezbyt uważnie, był pewien, że jej myśli wciąż krążyły wokół symbolu w książce.

- Tak - zgodziła się. - Też się nad tym zastanawiałam. Myślę, że nie mamy wyboru.

- Wiesz, o czym mówię? - spytał niepewnie.

- Jasne. Chcesz jechać do Doliny Godryka. Zgadzam się, uważam, że powinniśmy. To znaczy, nie jestem w stanie wymyślić żadnego innego miejsca, gdzie mógłby być. To niebezpieczne, oczywiście, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej prawdopodobne mi się wydaje, że tam jest.

- Eee... *Co* tam jest?

- Miecz, Harry! Dumbledore musiał wiedzieć, że będziesz chciał tam wrócić. Poza tym w Dolinie Godryka urodził się Gryffindor...

- Naprawdę? On jest z Doliny Godryka?

- Harry, czy ty kiedykolwiek chociaż otworzyłeś "Dzieje Magii"?

- Ekhm - wymamrotał, uśmiechając się po raz pierwszy od tak dawna, że nawet dla mięśni jego twarzy to było dziwne. - Pewnie tak. Wiesz, jak ją kupiłem... Raz...

- No, wioska nosi nazwę po nim, myślałam, że związek jest wyraźny. - Hermiona nareszcie zrobiła się bardziej podobna do siebie, niż ostatnimi czasy. Harry prawie już słyszał ją ogłaszającą, że teraz naprawdę już musi iść do biblioteki. - W "Dziejach Magii" jest trochę o tym, chwila...

Otworzyła torebkę i grzebała w niej przez chwilę, w końcu wyciągnęła swój egzemplarz ich starego szkolnego podręcznika, "Dziejów Magii" Bathildy Bagshot, i przeglądała ją tak długo, aż znalazła odpowiednią stronę.

Po wprowadzeniu w życie Międzynarodowych Zasad Tajności w 1689 roku, czarodzieje ukryli się na dobre. Prawdopodobnie w sposób naturalny, w obrębie całej wspólnoty, zaczęły powstawać małe skupiska społeczności czarodziejskiej. Wiele wiosek i małych miasteczek przyciągnęło po kilka magicznych rodzin, zbierających się razem dla wzajemnego wsparcia i ochrony. Tinworth w Kornwalii, Górne Flagley w Yorkshire, Ottery St Catchpole na południowym wybrzeżu Anglii były znanymi miejscami zamieszkania czarodziejów, żyjących tuż obok tolerancyjnych lub czasem będących pod wpływem zaklęcia Confundus mugoli. Jednym z bardziej znanych i najsłynniejszych regionów częściowo zamieszkałych przez czarodziejów jest dziś Dolina Godryka - wioska na zachodzie Anglii, miejsce narodzin Godryka Gryffindora oraz stworzenia pierwszego złotego znicza przez Bowmana Wrighta. Tamtejszy cmentarz pełen jest nazwisk starych czarodziejskich rodów, co bez wątpienia tłumaczy opowieści o duchach nawiedzających niedaleki kościół przez całe wieki.

- Ani słowa o tobie czy twoich rodzicach - dodała Hermiona, zamykając książkę. - Ponieważ profesor Bagshot nie pisze o niczym, co zdarzyło się później niż w dziewiętnastym wieku. W każdym razie widzisz chyba - Dolina Godryka, Gryffindor, jego miecz, nie sądzisz, że Dumbledore mógł przewidzieć, że dostrzeżesz połączenia?

- Taa...

Harry nie chciał się przyznać, że nie pomyślał nawet o mieczu, proponując udanie się do Doliny. Przyciągały go tam groby rodziców, dom, z którego ledwo uszedł z życiem, i Bathilda Bagshot.

- Pamiętasz, co mówiła Muriel? - zapytał w końcu.

- Kto?

- Przypomnij... - zawahał się. Nie chciał wspominać imienia Rona. - Cioteczna babcia Ginny. Na weselu. Ta, która powiedziała, że masz chude kostki.

- Och - westchnęła Hermiona.

To była nieprzyjemna chwila. Harry czuł, że w tle zadźwięczało imię nieobecnego przyjaciela.

- Powiedziała, że Bathilda Bagshot wciąż mieszka w Dolinie Godryka - dodał pospiesznie.

- Bathilda Bagshot - wymamrotała Hermiona, przesuwając wskazującym palcem po wytłoczonym na okładce "Dziejów Magii" nazwisku. - Cóż, przypuszczam... - Urwała tak gwałtownie, że Harry'emu aż coś podskoczyło w środku. Chwycił za różdżkę,

odwracając się gwałtownie w stronę drzwi, przygotowany na widok obcej ręki odsuwającej brzeg klapy. Niczego takiego nie ujrzał.

- Co? - spytał, czując jednocześnie złość i ulgę. - Jak mogłaś mi to zrobić? Myślałem, że to jakiś śmierciożerca właśnie rozpina nam namiot!

- Harry, *a co jeśli Bathilda ma miecz*? Jeśli Dumbledore jej go powierzył?

Harry zastanowił się. Profesor Bagshot musiała być już bardzo stara, a w dodatku, jeśli wierzyć Muriel, nieco pokręcona. Czy to w stylu Dumbledore'a, ukryć u niej miecz? Czuł, że jest na to spora szansa - dyrektor nigdy nie ujawnił podmiany mieczy, podobnie jak nie wspomniał o swojej przyjaźni z Bathildą. W każdym razie, nie był to najlepszy moment na kwestionowanie teorii Hermiony - nie teraz, gdy tak niespodziewanie poszła mu na rękę.

- Jasne, że mógł! To co, jazda do Doliny Godryka?

- Tak, ale trzeba to przemyśleć, Harry. - Wyprostowała się i Harry zobaczył, że perspektywa działania według jakiegoś planu, poprawiła jej humor, tak samo, jak jemu. - Musimy przećwiczyć wspólną deportację pod peleryną - niewidką, tak na początek, i rozsądnie byłoby powtórzyć zaklęcia kamuflujące, chyba że myślisz, żeby pójść na całość i użyć eliksiru wielosokowego, wtedy trzeba też zdobyć jakieś włosy. Właściwie, to nawet lepsze, Harry. Im dokładniejsze będzie nasze przebranie, tym lepiej...

Harry pozwolił jej się wygadać, potakując i kiwając głową za każdym razem, gdy robiła przerwę, w najmniejszym stopniu nie zwracając uwagi na treść jej przemowy. Po raz pierwszy od chwili, gdy odkrył, że miecz spoczywający u Gringotta jest podróbką, czuł podniecenie.

Wracał do domu, do miejsca, gdzie niegdyś miał rodzinę. Gdyby nie Voldemort, to właśnie w Dolinie Godryka dorastałby, spędzał szkolne wakacje, może nawet zapraszał przyjaciół. Może miałby rodzeństwo i to jego własna mama przygotowałaby tort na jego siedemnaste urodziny. Nigdy wcześniej utracone życie nie wydawało mu się tak realne jak teraz, kiedy miał skierować kroki do miejsca, w którym, w którym wszystko to zostało mu zabrane.

Poczekał, aż Hermiona pójdzie spać, i po cichu wyciągnął swój plecak z jej torby, po czym wydobył z niego album, dawny prezent od Hagrida. Po raz pierwszy od miesięcy uważnie przyjrzał się starym zdjęciom rodziców, uśmiechających się i machających do niego z obrazków. To było wszystko, co mu po nich zostało.

Harry chętnie ruszyłby do Doliny zaraz następnego dnia, ale Hermiona zaplanowała to inaczej. Przekonana, że Voldemort spodziewa się powrotu młodego Pottera w miejsce śmierci rodziców, nie pozwoliła na żadne podróże, dopóki się nie upewnili, że podjęte środki ostrożności są najlepsze z możliwych. Zabrało to cały tydzień - musieli potajemnie zdobyć włosy niczego nie podejrzewających mugoli, przećwiczyć wspólną deportację pod peleryną - niewidką - i dopiero wtedy Hermiona zgodziła się wyruszyć.

Minęło już późne popołudnie, zanim w końcu przełknęli Eliksir Wieloskokowy i zmienili się - Harry w łysiejącego mugola w średnim wieku, a Hermiona w jego niską, myszowatą żonę. Wszystko, co mieli, znalazło się w torebce (z wyjątkiem horkruksa, wiszącego na szyi Harry'ego) wciśniętej do kieszeni zapinanego na guziki płaszcza dziewczyny. Okryli się peleryną i ruszyli.

Aportowali się we wiosce pod osłoną ciemności. Z sercem na ramieniu Harry otworzył oczy. Stali ręka w rękę na zaśnieżonej uliczce, nad nimi rozpościerało się niebo, usiane pierwszymi, ledwie widocznymi gwiazdami.

- Domy stały po obu stronach wąskiej ulicy, w ich oknach błyszczały świąteczne dekoracje. Przed nimi, w niewielkiej odległości, złocisty blask ulicznych latarni wskazywał centrum wioski.

- Cały ten śnieg! - szepnęła Hermiona. - Czemu nie pomyśleliśmy o śniegu? Po tych wszystkich środkach ostrożności zostawiamy ślady! Trzeba się ich pozbyć, idź przodem, ja się tym zajmę...

Harry nie miał ochoty wchodzić między domy niczym w jakiejś pokracznej pantomimie, ukrywając się i magicznie zacierając ślady stóp.

- Zdejmijmy pelerynę - postanowił. Spojrzała na niego ze strachem. - Oj, daj spokój, nie wyglądamy jak my, poza tym tu i tak nikogo nie ma! - dodał pospiesznie.

Upchnął pelerynę pod kurtką i ruszyli naprzód bez przeszkód, czując ukłucia mrozu na policzkach. Każda z mijanych po drodze chatek mogła być niegdysiejszym domem Jamesa i Lily, albo obecnym Bathildy. Harry wpatrywał się w drzwi, pokryte śniegiem dachy i przedsionki, zastanawiając się, czy cokolwiek stąd pamięta, chociaż w głębi duszy wiedział, że to niemożliwe, bo opuścił to miejsce jako roczne dziecko. Nie był nawet pewien, czy będzie mógł zobaczyć *tamten* dom - nie wiedział, co się dzieje z własnością tych, którzy umarli, będąc pod Zaklęciem Fideliusa. Nagle niewielka uliczka, którą szli, skręciła w lewo, ukazując im mały plac, serce miasta.

Stało tam coś, co wyglądało jak pomnik poległych, obwieszony kolorowymi lampkami, nieco przesłoniony przez szarpaną wiatrem choinkę. Kilka sklepów, poczta, pub i mały kościół, którego witrażowe okna świeciły jasnym blaskiem - to wszystko, co otaczało plac.

Śnieg był bardzo wydeptany, twardy i śliski tam, gdzie chodzono po nim przez cały dzień. Mieszkańcy kręcili się po placu, ich postacie były wyraźnie oświetlone przez latarnie. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi baru, słychać było wybuchy śmiechu i muzykę, a z wnętrza kościoła dobiegała melodia śpiewanej kolędy.

- Harry, chyba jest Wigilia!

- Tak? - Harry stracił poczucie czasu, nie mieli w ręku gazety od tygodni.

- Jestem pewna - szepnęła Hermiona, wpatrując się w kościół. - Będą... Będą tam, prawda? Twoi rodzice? Widzę cmentarz.

Harry poczuł dreszcz czegoś, co nie było do końca podnieceniem, raczej lękiem. Teraz, kiedy był tak blisko, zastanawiał się, czy naprawdę chce to zobaczyć. Hermiona pewnie wiedziała, jak się czuje, bo wzięła go za rękę i popchnęła naprzód. W połowie drogi przez skwer zamarła.

- Harry, patrz!

Wskazywała na pomnik. Gdy go mijali, zmienił się - zamiast obelisku pokrytego imionami, stała tam rzeźba, przedstawiająca troje ludzi - potarganego okularnika, długowłosą kobietę o miłej, ładnej twarzy trzymającą małego chłopca w ramionach. Śnieg leżał na ich głowach jak białe, puchate czapeczki.

Harry podszedł bliżej, nie odrywając wzroku od twarzy rodziców. Nigdy nie przypuszczał, że będzie pomnik... Jak dziwnie było patrzeć na siebie samego wykutego z kamienia, szczęśliwe dziecko bez blizny na czole...

- Chodźmy - powiedział, napatrzywszy się do syta, i ponownie skierowali się ku kościołowi. Gdy przechodzili przez ulicę, spojrzał na statuę - zdążyła już zmienić się w zwykły kamienny blok.

Śpiew nabierał mocy, w miarę jak zbliżali się do świątyni. Harry poczuł ściskanie w gardle, gdy przypomniał mu się nagle Hogwart, Irytek ryczący przeróbki kolęd z wnętrza zbroi, dwanaście choinek w Wielkiej Sali, Dumbledore w czapce wyciągniętej z cukierka - niespodzianki, Ron w swoim swetrze wydzierganym na drutach...

Na cmentarz weszli przez furtkę, Hermiona pchnęła ją możliwie najciszej i razem przekroczyli próg. Śnieg, po obu stronach śliskiej ścieżki biegnącej do kościoła, był głęboki i nietknięty. Zaczęli brnąć przez zaspy dookoła budynku, zostawiając ślady w postaci odciśniętych rowków i trzymając się cienia poniżej wspaniałych okien.

Za kościołem ich oczom ukazały się przyprószone śniegiem nagrobki, rząd za rzędem, wystające z bladobłękitnej pierzyny, przetykanej oślepiającą czerwienią, złotem i zielenią tam, gdzie padało przebijające zza witraży światło. Z ręką zaciśniętą na różdżce w kieszeni kurtki, Harry podszedł do najbliższego grobu.

- Spójrz, to Abbott, może jakiś daleki krewny Hanny?

- Cicho, bądź cicho - błagała Hermiona.

Zagłębiali się coraz bardziej w cmentarz, wydeptując ciemne szlaki w śniegu, pochylając się nisko, by wytężonym wzrokiem dostrzec inskrypcje wykute na starych pomnikach, a potem natychmiast zerknąć w ciemność, czy aby na pewno nie mają towarzystwa.

- Harry, tutaj!

Hermiona stała dwa rzędy dalej, dobrnął do niej z dziko bijącym sercem.

- To...?

- Nie, ale przeczytaj!

Wskazała na ciemny kamień. Harry schylił się i na zmarzniętym, upstrzonym porostami granicie odczytał słowa:

Kendra Dumbledore* i, zaraz pod datami jej urodzin i śmierci: *jej córka Ariana.

Znalazł także cytat:

Gdzie skarb twój, tam serce twoje.

Więc Rita Skeeter i Muriel miały trochę racji. Rodzina Dumbledore'a naprawdę tu mieszkała, a jej część tutaj umarła.

Zobaczyć grób było gorzej, niż tylko o nim słyszeć. Harry nie mógł powstrzymać myśli, że zarówno on, jak i Dumbledore zostawili część siebie na tym cmentarzu, i że dyrektor powinien był mu o tym powiedzieć, jednak nigdy nawet nie pomyślał o podzieleniu się tą wiedzą. Mogli przyjść tu razem. Przez chwilę Harry wyobraził sobie przybycie z dyrektorem na groby, więź, jaką by to między nimi stworzyło, jej wagę i znaczenie. Ale zdawało się, że dla Dumbledore'a fakt, iż ich rodziny spoczywają na jednym cmentarzu był tylko nieistotnym zbiegiem okoliczności, nie związanym z zadaniem, jakie wyznaczył Harry'emu.

Hermiona patrzyła na niego uważnie, a on cieszył się, że twarz ma ukrytą w cieniu. Przeczytał ponownie wyryte na grobie słowa. *Gdzie skarb twój, tam serce twoje*. Nie miał pojęcia, co to mogło znaczyć. Z pewnością to Dumbledore je wybrał, po śmierci matki był najstarszym członkiem rodziny.

- Jesteś pewien, że nigdy nie wspomniał... - zaczęła Hermiona.

- Tak - odparł krótko Harry. - Szukajmy dalej - powiedział i odwrócił się, marząc, że nigdy nie zobaczył tego kamienia: nie chciał, by jego niepokój pozostawił skazę na rozżaleniu.

- Tutaj! - krzyknęła Hermiona chwilę później, gdzieś z ciemności. - Och, nie, przepraszam. Myślałam, że tu jest napisane Potter.

Skrobała pokruszony i omszały kamień, wpatrując się w niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Harry, chodź tu na chwilę.

Nie chciał znowu zbaczać z drogi, ruszył w stronę Hermiony bardzo niechętnie.

- Co?

- Spójrz na to!

Grób był bardzo stary, Harry ledwo mógł się na nim dopatrzyć nazwiska. Hermiona pokazała mu widniejący nad nim symbol.

- Harry, to ten znak z książki!

Wlepił wzrok we wskazywany punkt - kamień był tak zniszczony, że tylko z największym trudem można było stwierdzić, co zostało na nim wyryte. Jednak rzeczywiście, wydawał się to być trójkątny symbol nad niemal nieczytelnym imieniem.

- Tak, możliwe...

Hermiona różdżką oświetliła nazwisko na nagrobku.

- Tu jest napisane Ig... Ignotus, chyba...

- Będę dalej szukał rodziców, dobra? - powiedział Harry z pewną dozą niechęci i odszedł, zostawiając ją przykucniętą obok starego grobu.

Co chwilę rozpoznawał jakieś nazwisko - podobnie jak Abbott - znane mu z Hogwartu. Czasami leżały razem całe magiczne pokolenia, potrafił wywnioskować z dat, czy ród wygasł, czy wyprowadził się z Doliny. Wchodził coraz głębiej pomiędzy groby i za każdym razem, gdy docierał do kolejnego, czuł lekkie ukłucie niepokoju i oczekiwania.

Ciemność i cisza stały się głębsze. Harry rozejrzał się, zaniepokojony myślą o dementorach, i nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy już kolęd. Rozmowy i ruch wiernych zamierały w miarę, jak ci docierali do placu. Wewnątrz kościoła ktoś właśnie wyłączał światła.

Głos Hermiony po raz trzeci zabrzmiał z atramentowej czerni, ostry i czysty. Stała tylko kilka jardów od niego.

- Harry, są tutaj... Tutaj.

Słyszał w jej głosie, że tym razem to jego matka i ojciec - ruszył we wskazaną stronę, czując jakiś ciężar na piersi, tak samo jak wtedy, gdy zginął Dumbledore, ciężar żalu na sercu i płucach.

Nagrobek był oddalony zaledwie o dwa rzędy od Kendry i Ariany. Wykonano go z białego marmuru, tak jak grób Dumbledore'a. Wydawał się lśnić w ciemności, a napisy były wyraźne. Harry nie musiał klękać ani nawet patrzeć z bliska, by dostrzec wykute słowa.

James Potter,
urodzony 27 marca 1960,
zmarł 31 października 1981

Lily Potter,
urodzona 30 stycznia 1960,
zmarła 31 października 1981

Ostatnim wrogiem do pokonania jest śmierć.

Harry odczytywał te słowa powoli, jakby miał tylko jedną szansę na ich zrozumienie, ostatnią linijkę zaś przeczytał na głos.

- *Ostatnim wrogiem do pokonania jest śmierć...* - Straszna myśl przyszła mu do głowy, a wraz z nią coś na kształt paniki. - Czy to nie jest idea śmierciożerców? Dlaczego to tu jest?

- Nie pokonywanie śmierci na śmierciożerczą modłę, Harry - powiedziała łagodnie Hermiona. - To znaczy... Wiesz, życie po śmierci. Życia poza śmiercią.

***Ale oni nie żyją*, pomyślał Harry. Odeszli. Puste słowa nie mogły ukryć faktu, że rozkładające się szczątki jego rodziców leżały tam, pod śniegiem i kamieniem, obojętne, nieświadome. Łzy przyszły zbyt szybko, by mógł je powstrzymać, pojawiły się w oczach gorące i zamarzały na twarzy, jaki był sens ocierania ich czy udawania, że nie płacze? Pozwolił im płynąć, zaciskając mocno usta, spoglądając w dół na grubą warstwę śniegu, ukrywającą przed jego wzrokiem miejsce, gdzie spoczywały szczątki Lily i Jamesa - teraz zapewne kości albo pył. Nie wiedzą i nie obchodzi ich, że żywy syn stoi tak blisko, jego serce wciąż bije, jest tu tylko dzięki ich poświęceniu, a jednak tylko mały krok dzieli go od pragnienia, by spać wraz z nimi pod śniegiem.**

Hermiona wzięła go za rękę i ścisnęła mocno. Nie był w stanie na nią spojrzeć, ale odwzajemnił uścisk, głęboko wciągając w płuca ostre, nocne powietrze, próbując się uspokoić, odzyskać kontrolę. Powinien był coś dla nich przynieść, nie pomyślał o tym, a wszystkie rośliny na cmentarzu były bezlistne i zmarznięte. Ale Hermiona uniosła różdżkę, zakreśliła nią koło w powietrzu, przed nimi pojawił się świąteczny wieniec z róż. Harry złapał go i przyklęknął, kładąc kwiaty na grobie rodziców.

Gdy tylko wstał, poczuł, że musi odejść, że nie wytrzyma tam ani chwili dłużej. Objął ramiona Hermiony, poczuł jej rękę w pasie i odwrócili się w milczeniu. Mijając grób matki i siostry Dumbledore'a odeszli przez śnieg z powrotem ku ciemnemu kościołowi i niewidocznej furtce.

Rozdział 17
Sekret Bathildy

Tłumaczenie: Numb3rs

- Harry, stój!

- Co się stało?

Właśnie dotarli do grobu nieznanego im Abbotta.

- Ktoś tam jest. Ktoś nas obserwuje. Czuję to. Tam, za krzakami.

Stali nieruchomo, trzymając się blisko siebie. Wpatrywali się w niemal czarne granice cmentarza. Harry niczego nie widział.

- Jesteś pewna?

- Widziałam jakiś ruch. Mogłabym przysiąc, że...

Odsunęła się, by uwolnić prawą rękę.

- Wyglądamy jak mugole - zauważył Harry.

- Mugole, którzy zostawili kwiaty na grobie twoich rodziców? Harry, jestem przekonana, że ktoś tam jest!

Harry pomyślał o "Dziejach magii". Cmentarz podobno był nawiedzony. Może...? Ale nagle usłyszał szelest i zobaczył, jak ze wskazanego przez Hermionę krzaka opada nieco śniegu. Duchy nie mogły poruszać śniegu.

- To kot - powiedział po chwili Harry. - Albo ptak. Gdyby to był śmierciożerca, to już bylibyśmy martwi. Ale chodźmy stąd i załóżmy pelerynę.

Wychodząc z cmentarza co chwila spoglądali za siebie. Chłopakowi ulżyło, gdy w końcu dotarli do bramy i śliskiego chodnika. Tylko udawał pewnego swoich racji, aby uspokoić Hermionę. Założyli na siebie pelerynę. Pub był teraz bardziej zatłoczony niż poprzednio. Słychać było, jak jeszcze więcej głosów śpiewa kolędy, które słyszeli

wcześniej. Przez chwilę Harry zastanawiał się, czy nie zasugerować, by się tam schronili, ale zanim zdążył się odezwać, Hermiona powiedziała "Chodźmy tędy" i pociągnęła go ciemną ścieżką, prowadzącą do wyjścia z wioski. Harry widział, gdzie kończyły się domy i zaczynał znowu teren niezabudowany. Szli najszybciej jak mogli, mijając po drodze okna, w których migotały kolorowe światełka i zza zasłon widać było kształt świątecznych choinek.

- Jak znajdziemy dom Bathildy? - spytała Hermiona. Dziewczyna drżała lekko i co chwila oglądała się przez ramię. - Harry? Jak myślisz? Harry?

Pociągnęła go za ramię, ale chłopak nie zwracał na nią uwagi. Patrzył w stronę ciemnej bryły, znajdującej się na samym końcu rzędu domów. Nagle przyśpieszył, ciągnąc za sobą przyjaciółkę. Hermiona aż się poślizgnęła na lodzie.

- Harry...

- Patrz... Patrz na to, Hermiona...

- Nie... Och!

Widział to. Zaklęcie Fideliusa musiało przestać działać wraz ze śmiercią Lily i Jamesa. Żywopłot urósł przez szesnaście lat od chwili, gdy Hagrid zabrał Harry'ego z gruzowiska, rozsypanego wśród wysokiej trawy. Większość chaty nadal stała, pokryta bluszczem i śniegiem, ale prawa strona górnego piętra wyglądała tak, jakby ją wysadzono w powietrze. Harry był przekonany, że to właśnie tam została rzucona klątwa. Stali z Hermioną przy bramie, spoglądając na ruinę tego, co kiedyś było takim samym domem jak inne.

- Ciekawe dlaczego nikt tego nie odbudował - szepnęła Hermiona.

- Może się nie da? - odparł Harry. - Może to jak z raną zadaną czarną magią - nie można ich wyleczyć.

Wysunął spod płaszcza dłoń i dotknął zaśnieżonej i mocno zardzewiałej bramki. Nie chciał jej otworzyć, tylko poczuć się częścią domu.

- Nie zamierzasz chyba wejść? Nie wygląda zbyt bezpiecznie, może... Och, Harry, patrz!

Tuż przed nimi, prawdopodobnie na skutek dotknięcia, wysunęła się tabliczka, niczym jakiś dziwny, szybkorosnący kwiat. Na drewnie znajdował się napis w kolorze złotym.

W tym miejscu, w nocy 31 października 1981 roku,
Lily i James Potter stracili życie.
Ich syn, Harry, jest jedynym czarodziejem,
który przeżył zaklęcie uśmiercające.
Ten dom, niewidzialny dla mugoli, pozostał
w zrujnowanym stanie, jako monument ku czci Potterów
i jako przypomnienie o przemocy,
która rozerwała ich rodzinę.

Dookoła tych schludnych słów znajdowały się bazgroły czarownic i czarodziejów, którzy przyszli ujrzeć miejsce, gdzie ocalał Chłopiec Który Przeżył. Niektórzy zwyczajnie dopisali wiecznym atramentem swoje imiona, inni wyryli w drewnie swoje inicjały, jeszcze inni pozostawili wiadomości. Najnowsze z nich, jaskrawo wybijając się na tle zbieranego przez szesnaście lat magicznego graffiti, mówiły podobne rzeczy.

Powodzenia, Harry, gdziekolwiek jesteś.

Jeśli to czytasz, Harry, wszyscy jesteśmy z tobą!

Niech żyje Harry Potter.

- Nie powinni pisać na tabliczce! - stwierdziła ze zgorszeniem Hermiona.

Harry spojrzał na nią z radosnym uśmiechem.

- Świetne. Cieszę się, że to zrobili. Ja...

Zamilkł. W ich stronę kuśtykała cicho jakaś postać. W świetle, znajdującym się w dali, widać było tylko jej sylwetkę. Harry podejrzewał, że to kobieta, choć nie był pewien. Poruszała się powoli, zapewne w obawie przed poślizgnięciem na ośnieżonej drodze. Zgarbiona postawa, otyłość i powłóczenie nogami świadczyły o podeszłym wieku. Patrzyli w ciszy jak podchodzi. Harry czekał, żeby zobaczyć, czy skręci do jednego z domów, obok których przechodziła, ale instynktownie wiedział, że tego nie zrobi. W końcu

zatrzymała się kilka metrów od nich i zwyczajnie stała na środku zamarzniętej drogi, patrząc w ich stronę.

Hermiona nie musiała go szczypać w ramię. Nie było szans, żeby ta kobieta była mugolem - wpatrywała się w dom, który byłby dla niej niewidoczny, gdyby nie była czarownicą. Ale nawet w czarodziejskim świecie dziwnym było oglądanie starych ruin w tak zimną noc. Według wszelkich prawideł magii nie powinna była widzieć ani jego, ani Hermiony. A jednak Harry miał dziwne wrażenie, że wiedziała nie tylko to, iż tu są, ale również to kim są. Gdy dotarł do tego niepokojącego wniosku, kobieta uniosła dłoń i skinęła na nich.

Hermiona przysunęła się bliżej chłopaka.

- Skąd ona wie?

Pokręcił głową. Kobieta ponownie poruszyła ręką, nieco energiczniej. Harry miał wiele powodów, aby nie posłuchać wezwania, a jednak im dłużej stał na środku opustoszałej ulicy i wpatrywał się w postać, tym bardziej czuł, że wie kto przed nim stoi.

Czy to możliwe, że przez te wszystkie miesiące czekała na nich? Że Dumbledore powiedział jej, że ma czekać, bo Harry w końcu przyjdzie? Czy to nie prawdopodobne, że to ona była na cmentarzu i szła za nimi aż tutaj? Nawet fakt, że potrafiła ich wyczuć, sugerował jakąś moc, z którą nigdy wcześniej się nie spotkał, coś, co kojarzyło się z Dumbledore'em.

W końcu odezwał się, a Hermiona sapnęła i podskoczyła.

- Czy pani to Bathilda?

Postać skinęła głową i ponownie pokazała im, by ruszyli za nią.

Harry i Hermiona spojrzeli na siebie pod peleryną. Chłopak uniósł brwi, dziewczyna skinęła nerwowo głową.

Podeszli w stronę kobiety, a ona natychmiast odwróciła się i pokuśtykała z powrotem drogą, którą przyszła. Minęli kilka domów, skręcili w bramę i przeszli ścieżką przez ogród prawie tak zarośnięty, jak ten, który niedawno opuścili. Kobieta przez moment grzebała kluczem przy drzwiach wejściowych, a gdy je w końcu otworzyła, cofnęła się, by ich przepuścić.

Brzydko pachniała, a może to jej dom... Harry zmarszczył nos, przechodząc obok niej i ściągnął pelerynę. Dopiero teraz, stojąc obok niej, zauważył jaka była niska i przygarbiona wiekiem; sięgała mu do pachy. Zamknęła za nimi drzwi. Na tle łuszczącej się farby było widać jej sine i pokryte starczymi plamami dłonie. Kobieta odwróciła się i wlepiła wzrok w Harry'ego. Na oczach miała zaćmę, całą twarz pełną popękanych żyłek i plam wątrobowych. Chłopak zaczął się zastanawiać, czy kobieta w ogóle go widzi. Nawet gdyby jednak zobaczyła, to ujrzałaby łysiejącego mugola, któremu ukradł tożsamość.

Odór starości, kurzu, niepranych ubrań i starego jedzenia jeszcze się wzmocnił, kiedy zsunęła z głowy czarną, nadjedzoną przez mole chustę, odsłaniając białe włosy, przez które przeświytywała skóra.

- Bathilda? - spytał ponownie Harry.

Raz jeszcze kiwnęła głową. Harry nagle uświadomił sobie, że nosi na szyi medalion. To coś w nim, co czasami tykało czy pulsowało, obudziło się. Chłopak czuł, jak zimne złoto drga. Czyżby wiedziało, wyczuwało, że w pobliżu jest coś, co je zniszczy?

Bathilda przeszła obok nich, potrącając po drodze Hermionę, jakby jej w ogóle nie widziała i zniknęła w następnym pokoju, prawdopodobnie bawialni.

- Harry, nie jestem pewna czy to dobry pomysł - wysapała Hermiona.

- Spójrz na nią, jest taka mała, że jeśli będziemy musieli, to sobie z nią poradzimy - stwierdził Harry. - Słuchaj, powinnaś mieć świadomość... wiedziałem, że nie jest do końca sobą. Muriel nazwała ją "zramolałą".

- Chodź! - zawołała Bathilda z drugiego pomieszczenia.

Hermiona podskoczyła i chwyciła Harry'ego za rękę.

- W porządku - uspokoił ją Harry i poprowadził do bawialni.

Bathilda krążyła chwiejnym krokiem po pokoju, zapalając świeczki, ale nadal w pomieszczeniu było bardzo ciemno. I niesamowicie brudno. Na podłodze leżała warstwa kurzu, a nos Harry'ego wyczuł coś jeszcze gorszego niż zatęchłe powietrze - zapach rozkładającego się mięsa. Chłopak zastanowił się, kiedy ostatni raz ktoś odwiedził Bathildę, aby zobaczyć, jak sobie radzi. Kobieta chyba zapomniała, że potrafi czarować,

bo świece niezdarnie zapalała ręcznie, omal nie podpalając swoich koronkowych mankietów.

- Ja to zrobię - zaoferował Harry i wziął od niej zapałki. Stanęła i patrzyła na niego, gdy kończył rozpalać ogarki, rozstawione po pokoju na stosach książek i na stole pełnym zapleśniałych, popękanych kubków.

Ostatnia świeczka znajdowała się na komodzie, na której stało wiele fotografii. Kiedy rozświetlił je płomyk, chłopak zobaczył drobny ruch na zdjęciach. Kiedy Bathilda zajęła się klocami drewna na ogień, mruknął *Tergeo*. Kurz natychmiast zniknął i Harry zobaczył, że w sześciu największych i najbardziej udekorowanych ramkach brakuje obrazków. Zastanowił się, kto je usunął - Bathilda czy ktoś inny. Nagle jedna z fotografii przykuła jego uwagę, podniósł ją.

Ze srebrnej ramki uśmiechał się złotowłosy, wesoły złodziej - młodzieniec, który przysiadł na parapecie Gregorowicza. Nagle Harry przypomniał sobie, gdzie już go widział: w *Życiu i kłamstwach Albusa Dumbledore'a* - stał tam tuż przy nastoletnim Dumbledorze. Zapewne właśnie tam znajdowały się wszystkie brakujące zdjęcia - w książce Rity.

- Pani... Bagshot? - spytał drżącym głosem. - Kto to jest?

Bathilda stała na środku pokoju i przypatrywała się rozpalającej ogień Hermionie.

- Pani Bagshot? - powtórzył Harry. Podszedł do niej z fotografią. Kobieta podniosła głowę na dźwięk jego głosu, horkruks zabił mocniej.

- Kim on jest? - zapytał, podsuwając jej zdjęcie.

Spojrzała na nie, a następnie znowu na Harry'ego.

- Wie pani kim on jest? - powiedział powoli i wyraźnie. - Ten mężczyzna? Zna go pani? Jak on się nazywa?

Staruszka patrzyła tylko mętnym wzrokiem. Chłopak poczuł okropną frustrację. W jaki sposób Ricie Skeeter udało się odblokować wspomnienia Bathildy?

- Kim on jest? - powtórzył głośno.

- Harry, co robisz? - spytała Hermiona.

- To zdjęcie. Hermiono, to ten złodziej, który okradł Gregorowicza! Proszę! - zwrócił się do kobiety. - Kim on jest?

Ale Bathilda tylko na niego patrzyła.

- Czemu chciała pani, żebyśmy przyszli z panią? - spytała dziewczyna, podnosząc głos. - Chciała nam pani coś powiedzieć?

Nie pokazując po sobie, że słyszała Hermionę, Bathilda podeszła kilka kroków do Harry'ego. Szarpnęła głową i ponownie wskazała wzrokiem korytarz.

- Chce pani, żebyśmy sobie poszli? - spytał.

Powtórzyła gest, tym razem najpierw patrząc znacząco na niego, potem na siebie, a następnie na sufit.

- Och, jasne... Hermiona, myślę, że ona chce, żebym poszedł z nią na górę.

- Dobrze - odparła dziewczyna. - Chodźmy.

Ale kiedy się ruszyła, Bathilda z zaskakującą energią pokręciła głową, ponownie pokazując na Harry'ego i siebie.

- Chce, żebym poszedł z nią sam.

- Dlaczego? - spytała dziewczyna, a jej głos rozbrzmiał głośno w pokoju, staruszka aż pokręciła lekko głową.

- Może Dumbledore powiedział jej, żeby dała miecz mnie i tylko mnie?

- Naprawdę sądzisz, że wie kim jesteś?

- Tak - odparł, spoglądając na utkwione w nim mleczne oczy. - Myślę, że tak.

- Dobrze, ale pośpiesz się, Harry.

- Niech pani prowadzi - powiedział do kobiety.

Chyba zrozumiała, bo ominęła go i skierowała się do drzwi. Harry uśmiechnął się pocieszająco do Hermiony, ale nie był pewny, czy na pewno to zobaczyła. Dziewczyna stała, obejmując się ramionami i wpatrując w regał z książkami. Wychodząc z pokoju, chłopak, niezauważony przez nikogo, wsunął fotografię nieznanego złodzieja do kieszeni kurtki.

Schody były strome i wąskie, Harry miał ochotę trzymać ręce na dużych plecach Bathildy, aby upewnić się, że staruszka nie przewróci się - co wydawało mu się bardzo

prawdopodobne - i nie spadnie na niego. Powoli, lekko się chwiejąc, wspięła się na piętro, skręciła od razu w prawo i zaprowadziła go do niskiej sypialni.

Było tam zupełnie ciemno i przeraźliwie śmierdziało. Harry zdołał jeszcze dojrzeć wystający spod łóżka nocnik, zanim kobieta zamknęła drzwi i nie było już zupełnie nic widać.

- *Lumos* - powiedział Harry. Z końca różdżki wydobyło się światło. Harry podskoczył przestraszony. W ciągu tych kilku sekund kompletnej ciemności Bathilda zbliżyła się do niego, a on tego nie usłyszał.

- Jesteś Potterem? - wyszeptała.

- Tak.

Skinęła powoli głową. Harry czuł, jak horkruks bije coraz szybciej, szybciej niż jego własne serce. Było to niemiłe, wstrząsające uczucie.

- Ma pani coś dla mnie? - zapytał, ale zdawało się, że światło na końcu różdżki ją rozprasza.

- Ma pani coś dla mnie? - powtórzył.

Zamknęła oczy i kilka rzeczy wydarzyło się równocześnie. Harry'ego zabolała blizna. Horkruks tak drgnął, że aż uniósł sweter. Ciemny, cuchnący pokój rozpłynął się. Chłopak poczuł nagłą radość i wysoki, zimny głos powiedział "Trzymaj go!"

Harry zachwiał się. Mroczny, śmierdzący pokój ponownie się zamknął wokół niego. Nie wiedział co się stało.

- Masz coś dla mnie? - zapytał po raz trzeci. Tym razem o wiele głośniej.

- Tutaj - szepnęła, wskazując na róg pomieszczenia. Harry uniósł różdżkę i zobaczył pod zasłoniętym oknem kształt zaśmieconego stolika.

Tym razem staruszka nie pokazała mu drogi. Harry przesunął się pomiędzy nią a rozgrzebanym łóżkiem, cały czas trzymając w górze różdżkę. Nie chciał odwrócić wzroku od kobiety.

- Co to? - zapytał, kiedy dotarł do stolika, pełnego czegoś, co wyglądało i pachniało jak rzeczy do prania.

- Tam - odparła, wskazując na bezkształtną masę.

Harry złapał za coś, co wydawało mu się rękojeścią miecza. W chwili, gdy odwrócił wzrok od Bathildy, kobieta wykonała dziwny ruch. Chłopak zobaczył to kątem oka. Panika kazała mu się odwrócić. Groza sparaliżowała go. Widział, jak starcze ciało upada na podłogę, a z miejsca, gdzie wcześniej znajdowała się szyja, wysuwa się wielki wąż.

Gad zaatakował, gdy Harry uniósł różdżkę. Siła ukąszenia w ramię sprawiła, że różdżka poleciała pod sufit. Światło zamigotało i zgasło. Potężny cios ogonem w brzuch pozbawił go tchu. Chłopak upadł na stolik i stertę ubrań.

Przetoczył się w bok, ledwo unikając kolejnego uderzenia, które zmiażdżyło stolik. Gdy upadł na podłogę obsypały go odłamki szkła. Z parteru usłyszał Hermionę wołającą "Harry?"

Nie mógł zaczerpnąć wystarczająco dużo powietrza. Wgniotła go w podłogę ciężka, gładka masa. Czuł, jak po nim sunie, potężna i muskularna.

- Nie! - sapnął, przygnieciony do podłogi.

- Tak - szepnął głos. - Tak... Trzymać cię... Trzymać cię...

- *Accio*... *Accio* różdżka...

Nic się nie stało. Potrzebował rąk do próby zrzucenia z siebie węża, który miażdżył mu tors, nie pozwalając oddychać i wgniatając w pierś horkruks - lodowy krąg, tętniący życiem kilka cali od jego serca. Umysł wypełniło mu zimne, białe światło. Zniknęły wszelkie myśli. Słyszał w dali kroki. Wszystko znikało...

Metalowe serce biło poza jego piersią i teraz leciał, leciał z triumfem w sercu, nie potrzebował miotły czy testrala...

Nagle znalazł się w śmierdzącej ciemności. Nagini uwolniła go. Wygramolił się i zobaczył kształt gada. Wąż zaatakował, a Hermiona uskoczyła z krzykiem w bok. Jej klątwa trafiła w okno, szyba rozsypała się. Lodowate powietrze wypełniło pokój. Harry uskoczył, by uniknąć kolejnego prysznica z potłuczonego szkła. Nadepnął stopą na coś, co miało kształt długopisu - swoją różdżkę.

Schylił się i ją podniósł. Wąż smagający ogonem wypełniał niemal cały pokój. Nigdzie nie było widać Hermiony. Przez chwilę Harry obawiał się najgorszego. Nagle

rozległ się huk i rozbłysło czerwone światło. Gad przeleciał w powietrzu, uderzając po drodze w Harry'ego. Zwój za zwojem skręcały się pod sufitem. Chłopak uniósł różdżkę, ale nagle blizna zapiekła go bardzo dotkliwie, tak, jak nie bolała od lat.

- Nadchodzi! Hermiona, on nadchodzi!

Kiedy krzyknął, Nagini upadła, sycząc gniewnie. Wszędzie panował kompletny chaos. Wąż zmiażdżył półki wiszące na ścianach, dokoła latały kawałki porcelany. Harry przeskoczył łóżko i chwycił ciemny kształt, który musiał być Hermioną.

Dziewczyna krzyknęła z bólu, gdy przeciągnął ją przez łóżko. Gad ponownie się podnosił, ale chłopak wiedział, że nadchodziło coś gorszego, może jest już przy bramie. Ból blizny aż rozsadzał mu głowę...

Nagini zaatakowała, gdy skoczył, ciągnąć za sobą Hermionę. Gdy uderzył, Hermiona krzyknęła *Confringo!*. Zaklęcie przeleciało przez pokój, roztrzaskało lustro i pomknęło z powrotem w ich stronę, odbijając się od podłogi i sufitu. Harry czuł, że klątwa poparzyła mu dłoń, a szkło rozcięło policzek, gdy, ciągnąc za sobą Hermionę, skoczył z łóżka w stronę połamanego stolika, a następnie prosto przez potłuczone okno w pustkę. Dziewczyna krzyczała, gdy obracali się w powietrzu...

A potem blizna chłopaka otworzyła się i stał się Voldemortem. Biegł przez cuchnącą sypialnię, długimi palcami chwytał kurczowo parapet. Widział, jak łysy mężczyzna i mała kobieta obracają się i znikają. Wrzeszczał z wściekłości. Jego ryk połączył się z krzykiem dziewczyny, odbił się echem po ciemnych ogrodach, ponad kościelnymi dzwonami, bijącymi na Boże Narodzenie.

I jego krzyk był krzykiem Harry'ego, jego ból był bólem Harry'ego... Że też mogło to się stać tutaj, gdzie stało się to już wcześniej... Tutaj, skąd było widać dom, w którym omal nie dowiedział się, co to znaczy umrzeć... Umrzeć... Ból był tak przeraźliwy... Oderwanie od ciała... Ale jeśli nie miał ciała, to czemu aż tak bolała go głowa? Jeśli umarł, jak mógł się czuć tak okropnie? Czyżby ból nie kończył się wraz ze śmiercią?

Wilgotna, wietrzna noc. Dwoje dzieci przebranych za dynie, idących niezdarnie przez skwer. Witryny sklepów udekorowane papierowymi pająkami. Całe te tandetne, mugolskie ślady świata, w który nie wierzyli... A on szedł, rozpierało go poczucie celu, siły i słuszności, jak to zwykle bywało przy takich okazjach... Nie gniew... To było dla słabszych niż on... Ale triumfu, tak... Czekał na to, z nadzieją czekał...

- Ładny ma pan kostium!

Zobaczył, jak uśmiech na twarzy chłopca znika, gdy ten podbiegł wystarczająco blisko, żeby widzieć, co było pod kapturem. Pomalowaną twarz chłopca wykrzywił strach. Dziecko odwróciło się i uciekło... A on pod szatą poszukał palcami różdżki... Jeden mały gest i dzieciak nie dobiegłby do matki... Ale to niepotrzebne, zupełnie niepotrzebne...

Ruszył inną, ciemniejszą ulicą. Widział w końcu cel podróży. Zaklęcie Fideliusa zostało złamane. Chociaż nie wiedzieli jeszcze o tym... Bezszelestnie sunął chodnikiem, zbliżył się do żywopłotu, przeszedł przez niego...

Nie zasłonili zasłon. Widział wyraźnie, jak siedzą w swojej bawialni. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w okularach puszczał z różdżki obłoczki kolorowego dymu, aby zabawić małego, ciemnowłosego chłopczyka w niebieskiej piżamie. Dzieciak śmiał się i próbował łapać dym, chwycić go mała rączką...

Otworzyły się drzwi i weszła matka, powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Kasztanowe włosy kobiety opadały jej na twarz. Ojciec wziął syna na ręce i podał go matce. Rzucił różdżkę na sofę, przeciągnął się i ziewnął...

Brama zaskrzypiała, gdy ją popchnął, ale James Potter tego nie usłyszał. Bladą dłonią wyciągnął spod peleryny różdżkę i wycelował nią w drzwi, które stanęły otworem...

Był już za progiem, gdy James wybiegł na korytarz. To było proste, za proste. Mężczyzna nawet nie zabrał swojej różdżki...

- Lily, bierz Harry'ego i uciekaj! To on! Idź! Uciekaj! Ja go zatrzymam...

Zatrzyma, bez różdżki w dłoni! Zaśmiał się, zanim rzucił klątwę...

- *Avada Kedavra!*

Zielone światło rozświetliło korytarz. Podświetliło dziecięcy wózek, stojący pod ścianą. Sprawiło, że poręcz zabłysła niczym piorunochron. James Potter upadł na podłogę niczym marionetka, której odcięto sznurki...

Słyszał z góry krzyki kobiety. Była uwięziona, ale jeśli tylko miała wystarczająco dużo rozumu, to nie powinna się niczego bać... Wspiął się po schodach, słuchając z rozbawieniem, jak próbuje się zabarykadować... Też nie miała przy sobie różdżki... Jacy głupi byli. I jakże ufni. Myśleli, że o ich bezpieczeństwo zadbają przyjaciele, że mogą zostawić broń choćby na chwilę...

Wyważył drzwi, odrzucił krzesło i pośpiesznie ułożone kartony leniwym machnięciem różdżki... Stała z dzieckiem na rękach. Na jego widok wstawiła chłopca do znajdującego się za nią łóżeczka i rozłożyła ramiona, jakby to mogło pomóc, jakby zasłaniając go miała nadzieję, że w zamian ją wybierze ...

- Nie Harry, nie Harry, błagam, tylko nie Harry!

- Odsuń się głupia... Odsuń się, i to już...

- Nie Harry, błagam, weź mnie, zabij mnie zamiast niego...

- To ostatnie ostrzeżenie.

- Nie Harry! Błagam... Zlituj się... Zlituj... Nie Harry! Nie Harry! Błagam... Zrobię wszystko...

- Odsuń się... Odsuń się, głupia dziewczyno...

Mógł ją siłą odsunąć od łóżeczka, ale roztropniej było wykończyć ich wszystkich...

W pokoju rozbłysło zielone światło. Kobieta upadła tak, jak jej mąż. Dziecko przez cały czas nie płakało. Stało, trzymając szczebelki łóżeczka i patrzyło w twarz intruza z miną pełną ciekawości. Może chłopiec myślał, że to jego ojciec ukryty pod peleryną wyczarowywał ładne światełka, a matka zaraz wstanie i się zaśmieje...

Bardzo starannie wycelował różdżką w głowę chłopca. Chciał zobaczyć, jak to się stanie - unicestwienie jedynego, niewyjaśnionego niebezpieczeństwa. Dziecko zaczęło płakać. Zobaczyło, że to nie James. Nie podobał mu się płacz, nigdy nie mógł zdzierżyć beczących maluchów w sierocińcu...

- *Avada Kedavra!*

A potem został wyrwany z ciała. Był niczym; niczym poza bólem i przerażeniem. Musi się ukryć, nie tutaj - w zrujnowanym domu, gdzie płakało uwięzione dziecko, ale daleko... Daleko...

- Nie - jęknął.

Wąż szeleścił na brudnej, zaśmieconej podłodze. Zabił chłopaka, a zarazem był chłopakiem...

- Nie...

A teraz stał w wybitym oknie w domu Bathildy, pogrążony we wspomnieniach największej porażki. U jego stóp wielki wąż pełzał po potłuczonej porcelanie... Spojrzał w dół i zobaczył coś... Coś niewiarygodnego...

- Nie...

- Harry, w porządku, nic ci nie jest!

Schylił się i podniósł rozbitą ramkę. Na zdjęciu znajdował się złodziej, nieznajomy złodziej, którego szukał...

- Nie... Upuściłem ją... Upuściłem...

- Harry, już w porządku, obudź się, obudź!

Był Harrym... Harrym, nie Voldemortem... To nie wąż szeleścił... Otworzył oczy.

- Harry - wyszeptała Hermiona. - D - dobrze się czujesz?

- Tak - skłamał.

Znajdował się w namiocie, leżał przykryty kocem na jednym z łóżek. Po bezruchu i zimnym, płaskim świetle pod płóciennym sufitem domyślił się, że jest już prawie ranek. Był spocony, prześcieradło i koc były aż mokre.

- Uciekliśmy.

- Tak - odparła Hermiona. - Musiałam użyć zaklęcia swobodnego zwisu, by położyć cię do łóżka. Nie mogłam cię podnieść. Byłeś... Nie do końca...

Dziewczyna miała podkrążone oczy, a w dłoni ściskała gąbkę. Wycierała mu twarz.

- Byłeś chory - dokończyła. - Bardzo chory.

- Kiedy wróciliśmy?

- Kilka godzin temu. Już prawie rano.

- A ja byłem... nieprzytomny?

- Nie do końca - odparła nieswojo Hermiona. - Krzyczałeś i jęczałeś takie... rzeczy - dodała tonem, który sprawił, że Harry się zaniepokoił. Co robił? Wykrzykiwał klątwy jak Voldemort? Płakał jak dziecko w łóżeczku?

- Nie mogłam zdjąć z ciebie horkruksa - powiedziała. Chłopak wyczuł, że chciała zmienić temat. - Przyczepił się do ciebie, do twojej klatki piersiowej. Masz ślad. Przykro mi, musiałam użyć zaklęcia odcinającego, aby go zdjąć. Wąż też cię ukąsił, ale wyczyściłam ranę i nałożyłam trochę dyptamu...

Zdjął przepoconą koszulkę i spojrzał w dół. Nad sercem miał bolący, owalny, jasnoczerwony ślad. Na ramieniu widział na wpół zaleczone ślady ukąszenia.

- Gdzie schowałaś horkruks?

- W torbie. Sądzę, że przez jakiś czas nie powinniśmy go nosić.

Położył głowę na poduszce i spojrzał na jej ściągniętą, bladą twarz.

- Nie powinniśmy byli iść do Doliny Godryka. To moja wina, to wszystko moja wina. Przepraszam, Hermiona.

- To nie twoja wina. Ja też chciałam tam pójść. Naprawdę myślałam, że Dumbledore mógł zostawić tam dla ciebie miecz.

- Tak, cóż... Źle to wykombinowaliśmy, nie?

- Co się stało, Harry? Co się stało, gdy zaprowadziła cię na górę? Wąż gdzieś się chował? Wyszedł, zabił ją i zaatakował cię?

- Nie - odparł. - Ona była wężem... Albo wąż był nią... Przez cały czas.

- C - co?

Zamknął oczy. Nadal czuł na sobie zapach domu Bathildy. Przez to wszystko wdawało się jeszcze bardziej przeraźliwie jasne.

- Bathilda musiała już od jakiegoś czasu nie żyć. Wąż był... był w niej. Sama - Wiesz - Kto zostawił go w Dolinie Godryka, aby czekał. Miałaś rację. Wiedział, że wrócę.

- Wąż był w niej?

Chłopak otworzył oczy. Hermiona wyglądała tak, jakby jej było niedobrze.

- Lupin powiedział, że napotkamy magię, której nigdy sobie nawet nie wyobrażaliśmy - powiedział. - Nie chciała rozmawiać ze mną przy tobie, bo używała wężomowy, tylko wężomowy, ja tego nie zauważyłem, ale ją rozumiałem. Gdy byliśmy już na górze, wąż wysłał wiadomość do Sama - Wiesz - Kogo, usłyszałem to w głowie, czułem, jak się cieszy, kazał mnie tam trzymać... A potem...

Przypomniał sobie, jak gad wypełzał z szyi Bathildy. Hermiona nie musiała znać szczegółów.

- Zmieniła się, zmieniła w węża i zaatakowała.

Spojrzał na ślady po ukąszeniu.

- Nie miała mnie zabić, tylko zatrzymać do przybycia Sama - Wiesz - Kogo.

Gdyby tylko zdołał zabić węża, byłoby to tego wszystkiego warte... Usiadł i odrzucił pościel.

- Harry, nie. Powinieneś odpocząć!

- To ty potrzebujesz snu. Bez obrazy, ale wyglądasz okropnie. Nic mi nie jest. Przez chwilę zajmę się wartą. Gdzie moja różdżka?

Dziewczyna nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego.

- Hermiona, gdzie moja różdżka?

Przygryzła wargę, do jej oczu napłynęły łzy.

- Harry...

- *Gdzie moja różdżka?*

Sięgnęła obok łóżka i podała mu ją.

Różdżka z ostrokrzewu i pióra feniksa była prawie rozdzielona na dwie części. Jedna słabowita nitka pióra feniksa nadal łączyła je w całość. Drewno całkowicie się przełamało. Harry wziął ją do ręki, jakby była żywą istotą, która otrzymała straszliwą ranę. Nie był w stanie myśleć. Czuł tylko panikę i strach. Podsunął różdżkę Hermionie.

- Napraw ją. Proszę.

- Harry, nie sądzę, żeby tak złamaną...

- Proszę, Hermiono, spróbuj!

- *R - reparo.*

Zwisająca część zespoliła się ponownie. Harry uniósł różdżkę.

- *Lumos!*

Zaświeciło słabe wątłe światełko, a po chwili zgasło zupełnie. Harry wycelował w Hermionę.

- *Expelliarmus!*

Różdżka Hermiony drgnęła lekko, ale nie opuściła dłoni dziewczyny. Słaba próba magii była zbyt dużym wysiłkiem i różdżka Harry'ego ponownie się rozpadła. Chłopak patrzył na nią osłupiały, nie będąc w stanie przyjąć do wiadomości tego, co widział... Ta różdżka tak wiele przetrwała...

- Harry - szepnęła Hermiona tak cicho, że prawie jej nie słyszał. - Tak bardzo mi przykro. Myślę, że to moja wina. Gdy uciekaliśmy, wiesz, wąż zbliżał się do nas, więc rzuciłam zaklęcie wybuchowe, a ono odbiło się i musiało... Musiało trafić...

- To był wypadek - odparł mechanicznie Harry. Czuł się pusty i ogłuszony. - Znajdziemy... Znajdziemy sposób, by ją naprawić.

- Harry, chyba się nie da - odparła, po jej twarzy spływały łzy. - Pamiętasz... Pamiętasz Rona? Gdy złamał różdżkę, wtedy w samochodzie? Nigdy nie była już taka sama, musiał dostać nową.

Harry pomyślał o Ollivanderze, porwanym i więziony przez Voldemorta. O martwym Gregorowiczu. Skąd miał wziąć nową różdżkę?

- Cóż - odparł sztucznie spokojnym głosem - w takim razie, póki co pożyczę twoją. Gdy będę trzymał wartę.

Hermiona, z twarzą zalaną łzami, podała mu swoją różdżkę. Wyszedł, zostawiając przyjaciółkę siedzącą przy łóżku, czując, że bardzo potrzebuje teraz samotności.

Rozdział 18
Życie i Kłamstwa Albusa Dumbledore'a

Tłumaczenie: Zakk

Słońce wstawało - czysty, bezbarwny ogrom nieba rozciągał się nad Harrym, pozostając obojętnym na niego i jego cierpienia. Harry usiadł w wejściu do namiotu i odetchnął głęboko. Wiedział, że powinien docenić to, iż jeszcze żyje i może podziwiać, jak roztańczone promienie wschodzącego słońca błyszczą na zaśnieżonym zboczu wzgórza. Ale nie mógł; utrata różdżki za bardzo nim wstrząsnęła. Spoglądał więc po prostu na pokrytą śniegiem dolinę, słuchając dobiegającego z oddali bicia dzwonów.

Bezwiednie zaczął dotykać świeżych ran, tak jakby to miało powstrzymać ból. Był ranny więcej razy, niż mógł zliczyć. Kiedyś stracił nawet wszystkie kości prawej ręki. Podczas tej podróży zdążył już do kolekcji blizn dodać dwie nowe: na ramionach i klatce piersiowej, które dołączyły do dwóch pierwszych: na dłoni i czole. Nigdy jednak nie czuł się tak osłabiony, wystawiony na atak i zwyczajnie nagi, jak teraz. Jakby ktoś wyrwał z niego część magii. Doskonale zdawał sobie sprawę, co powiedziałaby Hermiona, gdyby usłyszała jego słowa: różdżka jest tylko tak dobra, jak jej czarodziej. Ale tym razem nie miała racji. W jego sytuacji było inaczej. Hermiona nie czuła, jak różdżka obraca się w dłoni niczym igła kompasu, strzelając złotym promieniem w jej wrogów. To on stracił ochronę, jaką dawały bliźniacze rdzenie. I dopiero teraz, gdy już jej nie miał, zdał sobie sprawę, jak bardzo na nią liczył.

Chłopak wyciągnął z kieszeni to, co zostało z różdżki i nie patrząc na nią ani sekundy, schował ją do sakiewki. Była tak przepełniona zniszczonymi i bezużytecznymi rzeczami, że nie dało się wcisnąć tam nic więcej.

Harry dotknął znicza przez skórę wsiąkiewki. Przez chwilę musiał walczyć ze sobą, żeby nie wyciągnąć go i nie wyrzucić jak najdalej się da. Niezgłębiony, bezużyteczny jak wszystko, co pozostawił po sobie Dumbledore...

Złość i furia na Dumbledore'a eksplodowała w nim jak lawa, wypalając od środka każde inne uczucie, jakie napotkała na swojej drodze. Prowadzeni czystą desperacją, wmówili sobie, że w Dolinie Godryka czekają na nich odpowiedzi, że muszą tam wrócić i

podążać jakąś sekretną ścieżką, którą wyznaczył dla nich dyrektor. Nie zostawił jednak mapy. Dumbledore opuścił ich, zmuszając do błądzenia w ciemności, do walki z nieznanym i niewyobrażalnym. Zostawił ich samych, bez perspektywy jakiejkolwiek pomocy. Niczego im nie wyjaśniono, żadnych rozwiązań nie podano na tacy. Nie mieli miecza, a teraz Harry nie miał nawet różdżki. Co gorsza, zgubił w Dolinie Godryka zdjęcie złodzieja, więc Voldemort nie będzie mieć problemów z odkryciem jego tożsamości.

Voldemort ma teraz wszystkie niezbędne informacje...

- Harry?

Hermiona wyglądała na wystraszoną. Jakby bała się, że Harry rzuci na nią klątwę przy użyciu jej własnej różdżki. Przysiadła się obok niego; na twarzy miała ślady łez. W dłoniach trzymała dwa kubki parującej herbaty, a pod pachą coś bardzo nieporęcznego.

- Dzięki - powiedział chłopak, biorąc od niej jeden z kubków.

- Możemy zamienić słówko?

- Jasne - odparł, nie chcąc zranić jej uczuć.

- Chciałeś wiedzieć Harry, kim jest ten człowiek ze zdjęcia - wyjaśniła. - Więc... Mam tę książkę - mówiąc to, trwożnie położyła mu na kolanach nieużywany egzemplarz *Życia i Kłamstw Albusa Dumbledore'a*.

- Ale jak... skąd...?

- Była w salonie u Bathildy. Zwyczajnie tam leżała... Wystawał z niej ten liścik. - Hermiona odczytała na głos kilka linijek tekstu zapisanego jadowicie zielonym atramentem: - *„Droga Batty. Przyjmij tę książkę jako podziękowanie za pomoc. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Powiedziałaś mi wszystko, czego potrzebowałam. Nawet jeśli tego nie pamiętasz. Rita”.* Sądzę, że książka musiała dojść, gdy prawdziwa Bathilda jeszcze żyła, ale może nie była w stanie jej przeczytać?

- Tak, pewnie masz rację.

Harry spojrzał na okładkę ze zdjęciem, z której zerkał na niego Dumbledore. Chłopak poczuł falę dzikiej radości: teraz będzie mógł w końcu dowiedzieć się tego, o czym Dumbledore nigdy nie chciał mówić. Bez względu na to, czy dyrektor chciał tego, czy nie.

- Dalej jesteś na mnie wściekły, prawda? - spytała Hermiona. Harry spojrzał na nią i dostrzegł świeże łzy w kącikach jej oczu. Zdał sobie sprawę, że gniew musiał odbić się na jego twarzy.

- Nie - odparł cicho. - Nie, Hermiono. Wiem, że to był wypadek. Próbowałaś przecież wyciągnąć mnie stamtąd żywego i byłaś wspaniała. Już bym nie żył, gdybyś mi nie pomogła.

Obdarzył ją słabym uśmiechem i skierował całą swoją uwagę na książkę. Miała sztywny, twardy grzbiet, jakby nikt jej jeszcze nigdy nie otwierał. Przerzucał pospiesznie strony w poszukiwaniu zdjęć. Prawie natychmiast natknął się na to, którego szukał: młody Dumbledore i jego przystojny towarzysz, zaśmiewający się z jakiegoś starego, dawno zapomnianego dowcipu. Harry spojrzał na podpis.

Albus Dumbledore, krótko po śmierci swojej matki, w towarzystwie przyjaciela, Gellerta Grindelwalda.

Przez kilka długich minut Harry patrzył tępo na ostatnie słowa. Grindelwald. Jego przyjaciel, Grindelwald. Spojrzał na Hermionę, która wciąż, tak jak on, czytała ostatnie słowa, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Dziewczyna powoli odwróciła wzrok od książki i spojrzała na Harry'ego.

- Grindelwald! - Ignorując zdjęcia, Harry zaczął przeglądać kolejne rozdziały w poszukiwaniu tego fatalnego imienia. Wkrótce odnalazł to, czego szukał i przeczytał wszystko w pośpiechu, ale był jeszcze bardziej zdezorientowany niż wcześniej. Musiał przewrócić kilkanaście kartek do tyłu, by cokolwiek z tego zrozumieć. W końcu, wraz z Hermioną, zaczęli czytać rozdział pod tytułem „Wyższe Dobro”:

Zbliżając się do swych osiemnastych urodzin, Dumbledore opuścił Hogwart w blasku chwały - prefekt naczelny, zdobywca nagrody Barnabusa Finkleya za wyjątkowy talent w dziedzinie zaklęć, brytyjski reprezentant młodzieży do Wizengamotu, czy wreszcie zdobywca złotego medalu na konferencji alchemicznej w Kairze za przełomowe odkrycia w tej dziedzinie. Następnym krokiem, jaki zamierzał wykonać Dumbledore, była

wielka podróż z Elfiasem „Psim oddechem” Doge'em, jego prostodusznym, ale oddanym przyjacielem i szkolnym kolegą.

Tych dwóch młodych mężczyzn zatrzymało się akurat w „Dziurawym Kotle” w Londynie, skąd następnego ranka mieli wyruszyć do Grecji. Plany pokrzyżowała im jednak sowa, która przyniosła Dumbledore'owi wiadomość o śmierci matki. „Psi oddech” Doge, który odmówił udzielenia wywiadu na potrzeby tej książki, zawarł własną, znacznie bardziej sentymentalną wersję tego wydarzenia w pożegnaniu Albusa Dumbledore'a, opublikowanych przez prasę. Według Doge'a śmierć Kendry była wstrząsającym przeżyciem dla jego przyjaciela, który zrezygnował z podróży ze względu na żałobę po matce.

W istocie, Dumbledore natychmiast powrócił do Doliny Godryka, prawdopodobnie by „zadbać” o swoje młodsze rodzeństwo. Ale w jakim stopniu dbał o nich naprawdę?

- On miał coś z głową, ten Aberforth - mówi Enid Smreek, której rodzina mieszkała w tamtym czasie na obrzeżach Doliny Godryka. - Zdziczały. Oczywista, żal mi dzieciaka, który stracił oboje rodziców, ale czy musiał rzucać kozim łajnem w mój dom? Zdaje mi się, że Albus niespecjalnie za nim przepadał. W każdym razie, ja ich nigdy razem nie widziałam.

Co w takim razie robił Albus, jeśli nie zajmował się swoim młodszym, dzikim bratem? Prawdopodobnie zajmował się dalszym więzieniem swojej siostry. Mimo śmierci tej, która jako pierwsza uwięziła Arianę Dumbledore, w życiu dziewczyny nie zaszła żadna zmiana. O jej istnieniu wiedziało tylko kilka tych osób z zewnątrz, które, jak „Psi oddech” Doge mogły uwierzyć w opowieść o „słabym zdrowiu” dziewczyny.

Kolejną osobą, którą zadawalało takie wyjaśnienie, była zamieszkująca w Dolinie Godryka Bathilda Bagshot, znany i poważany historyk magii.

Kendra z początku odepchnęła Bathildę od siebie i swojej rodziny, gdy ta przyszła przywitać Dumbledore'ów w wiosce. Jednak kilka lat później Bagshot, będąc pod wrażeniem artykułu na temat transmutacji międzygatunkowej, zamieszczonego we „Współczesnej Transmutacji” nawiązała z przebywającym w Hogwarcie Albusem kontakt listowny. To z kolei doprowadziło ją do nawiązania przyjaznych stosunków z całą rodziną Dumbledore'ów. Na krótko przed tym, jak Kendra odeszła z tego świata, Bathilda Bagshot była jedyną osobą w Dolinie Godryka, która rozmawiała z panią Dumbledore.

Niestety, dawny geniusz Bathildy przywiądł.

- Płomień wciąż się pali, lecz kociołek jest już pusty - wyjaśnił mi Ivor Dillonsby. Enid Smeek zaś określiła to ciut bardziej dosadniej: - Ona ma świra jak wiewiórka po karuzeli!

Niemniej, kombinacja znanych - i - sprawdzonych technik reportażu pozwoliła mi zdobyć tyle twardych faktów, by utkać całą i kompletną historię tego skandalu.

Podobnie jak reszta czarodziejskiego świata, Bathilda uważa, że przyczyną śmierci Kendry było źle rzucone zaklęcie. Tę też wersję wydarzeń w późniejszych latach powtarzali obaj bracia, Albus i Aberforth. Bagshot powtarza też za rodziną oficjalne informacje dotyczące Ariany - określa ją takimi słowami jak „słabowita” i „delikatna”.

Natomiast pod jednym względem Bathilda i jej wiedza warte były trudu włożonego w zdobycie Veritaserum - ona i tylko ona zna pełną i prawdziwą historię największego sekretu Albusa Dumbledore'a. Teraz, gdy po raz pierwszy prawda ta wyszła na jaw, pod znakiem zapytania staje wszystko to, co podziwiano w Dumbledorze: jego domniemana nienawiść do czarnej magii i sprzeciw przeciwko dyskryminacji mugoli, a nawet jego oddanie rodzinie.

Tego samego lata, gdy Dumbledore jako sierota i głowa rodziny wrócił do Doliny Godryka, Bathilda Bagshot zgodziła się przyjąć pod swój dach swojego ciotecznego wnuka, Gellerta Grindelwalda.

Nazwisko Grindelwald jest równie znane jak Dumbledore: na liście Najniebezpieczniejszych Czarnoksiężników Wszech Czasów stracił pozycję lidera tylko dlatego, iż dekadę później pojawił się Sami - Wiecie - Kto, by skraść mu palmę pierwszeństwa. Jako że Grindelwald nigdy nie rozszerzył swojej kampanii na Wielką Brytanię, szczegóły dotyczące metod, jakimi zdobył swoją moc, nie są znane.

Grindelwald, wykształcony w Durmstrangu, szkole, która nawet wtedy słynęła ze swojej niewiarygodnej tolerancji wobec czarnej magii, przejawiał nie mniejszy geniusz niż

Dumbledore. Jednak zamiast trwonić go na zdobywanie nagród i wyróżnień, Gellert poszedł inną drogą. Gdy miał szesnaście lat, został usunięty ze szkoły, ponieważ nawet Durmstrang nie mógł ignorować jego dziwacznych i przerażających eksperymentów.

Od tamtej pory nie było wiadomo, co dokładnie działo się z Grindelwaldem. Przypuszczalnie „podróżował przez kilka miesięcy". Dziś wiemy, że Gellert postanowił odwiedzić swoją cioteczną babcię w Dolinie Godryka, gdzie nawiązał bardzo bliską przyjaźń (co wielu z was wprowadzi w osłupienie) z nikim innym, jak Albusem Dumbledore'em.

- Zdawał mi się być czarującym chłopcem - wspomina Bathilda - bez względu na to, kim stał się później. Naturalnie, przedstawiłam go biednemu Albusowi, któremu brak było towarzystwa rówieśników. Obaj chłopcy od razu się polubili.

W istocie, polubili się. Bathilda pokazała mi list, który pewnego razu Albus przysłał Gellertowi głęboką nocą.

- Tak, nawet po tym jak spędzali całe dnie na dyskusjach... obaj byli przecież tacy uzdolnieni... słyszałam czasem późnym wieczorem, jak sowa pocztowa puka w okno Gellerta, by dostarczyć mu list od młodego Albusa! Zdarzało się tak w chwilach, gdy wpadł na jakiś genialny pomysł i po prostu musiał się nim podzielić z Gellertem.

A jakież to były idee i pomysły! Zwolennicy Dumbledore'a znajdą się zapewne w głębokim szoku, gdy przeczytają kopię listu, który wysłał ich siedemnastoletni wówczas bohater do swojego nowego, acz najlepszego przyjaciela. (Zdjęcie oryginalnego listu można zobaczyć na stronie 463)

Gellercie...

Twój argument dotyczący dominującej roli czarodziei nad mugolami dla ICH WŁASNEGO DOBRA zdaje się być najważniejszym problemem w naszych dyskusjach.

Tak, dano nam moc i tak, ta moc daje nam prawo do rządzenia, ale daje nam też obowiązek ponoszenia odpowiedzialności za rządzonych. Musimy wyjaśnić sobie tę kwestię, skoro ma być ona kamieniem węgielnym pod to, co chcemy zbudować. Tam, gdzie nie będziemy się ze sobą zgadzać - a do tego na pewno dojdzie - to właśnie musi być podstawą wszystkich naszych kontrargumentów.

Musimy dążyć w naszej władzy do zachowania WYŻSZEGO DOBRA. Stąd nasuwa się wniosek, że jeśli napotkamy kiedyś opór, musimy użyć siły, oczywiście, ale tylko tyle ile należy. Nie więcej. (To był błąd, który popełniłeś w Durmstrangu! Ale nie narzekam. Gdyby cię nie usunięto ze szkoły, nigdy byśmy się nie poznali.)

Albus

Niezależnie od tego jak zdumieni i zbulwersowani będą jego wielbiciele, ten list mówi o obaleniu Zasady Tajności i zakłada władzę czarodziejów nad mugolami.

Jest to potężny cios dla tych, którzy zawsze przedstawiali Dumbledore'a jako największego zwolennika mugoli! Jak teraz wyglądają wszystkie te głębokie przemówienia wygłaszane w obronie praw mugoli w świetle tych nowych, szokujących dowodów! Jak podłym i nikczemnym człowiekiem okazuje się być Albus Dumbledore, gdy na jaw wychodzą jego plany zdobycia władzy i potęgi, w czasie gdy powinien opłakiwać swoją matkę i dbać o siostrę!

Bez wątpienia ci, którzy są zdecydowani, by utrzymać go na piedestale, będą przekonywać, że mimo wszystko nie zrealizował owych planów, że były to błędy młodości, które naprawił w dalszym życiu. Jednakże prawda zdaje się być jeszcze bardziej wstrząsająca.

Zaledwie po dwóch miesiącach wspaniałej przyjaźni, drogi obu chłopców rozeszły się na zawsze. Mężczyźni spotkali się jeszcze tylko raz, wiele lat później, by odbyć swój legendarny pojedynek. (Więcej informacji, rozdział 22.) Co wywołało to nagłe rozstanie? Czyżby Dumbledorew końcu oprzytomniał? Czy może zażądał od Grindelwalda większej roli w jego planach?

Żadne z powyższych.

- Biedna, mała Ariana umierała. To była moim zdaniem przyczyna - mówi Bathilda. - Jej śmierć wywołała straszny wstrząs. Gellert był wtedy w ich domu, gdy to się stało. Wrócił do mnie, cały roztrzęsiony, powiedział, że chce wracać do siebie

następnego ranka. Był niesłychanie wstrząśnięty, wie pani. Zorganizowałam więc dla niego świstoklik. Wtedy widziałam go po raz ostatni. Gdy Ariana zmarła, Albus nie był sobą. Aż przykro było patrzeć na tych dwóch braci pozostawionych tylko sobie. Stracili wszystkich. Nic więc dziwnego, że nerwy ich nieco poniosły. Aberforth obwiniał Albusa, wie pani, to się zdarza w takich strasznych okolicznościach. Ale Aberforth zawsze gadał trochę jak szaleniec, bidulek. Tak czy inaczej, łamanie nosa własnemu bratu na pogrzebie ich siostry nie było niczym dobrym. Gdyby Kendra widziała ich bójkę, i to w takiej chwili, nad ciałem jej córki, serce by jej pękło. Szkoda, że Gellert nie mógł zostać na pogrzebie. Mógłby przynajmniej pocieszyć Albusa...

Ta paskudna walka nad trumną, o której istnieniu wiedzą tylko ci nieliczni, którzy byli na pogrzebie dziewczyny, rodzi kilka pytań. Dlaczego Aberforth Dumbledore winił swojego brata za śmierć Ariany? Czy była to, jak utrzymuje „Batty", manifestacja żalu i cierpienia wywołanego śmiercią siostry? Czy może jednak istniał jakiś konkretniejszy powód, dla którego młodszy brat wpadł w taką furię? Grindelwald, który został wyrzucony z Durmstrangu za niemal śmiertelne w skutkach ataki na uczniów opuścił Brytanię kilka godzin po śmierci dziewczyny, a Dumbledore nigdy więcej (ze wstydu, czy też strachu?) się z nim nie widział, dopóki nie zmusiły go do tego błagania ze strony czarodziejskiego świata.

Żaden z mężczyzn nie wspominał nigdy o ich krótkiej, młodzieńczej przyjaźni. Nie ma jednak żadnych wątpliwości, że z jakiegoś powodu Albus Dumbledore przez całe pięć lat pełne zagadkowych zniknięć, śmierci i tortur zwlekał z przeciwstawieniem się dawnemu przyjacielowi. Czy był to przejaw skrywanej sympatii dla Grindelwalda, czy też strach, że rozejdzie się, iż kiedyś byli najlepszymi przyjaciółmi? I z jak wielką niechęcią Dumbledore wyruszył walczyć z człowiekiem, którego poznanie było dla niego tak wielką przyjemnością wiele lat wcześniej?

No i przede wszystkim: w jaki sposób zginęła tajemnicza Ariana? Czy stała się nieumyślną ofiarą zabaw z czarną magią? Czy natknęła się na coś, na co nie powinna, gdy jej starszy brat wraz z przyjacielem przygotowywał się do przejęcia władzy? Czy to możliwe, że Ariana Dumbledore była pierwszą ofiarą „wyższego dobra"?

Gdy Harry doczytał rozdział do końca, oderwał wzrok od książki. Hermiona skończyła czytać chwilę przed nim. Dziewczyna zabrała mu książkę i zamknęła ją, wyglądając na odrobinę zaniepokojoną miną przyjaciela.

- Harry...

Ale on tylko potrząsnął głową. Coś w nim, jakiś fragment niezachwianej pewności właśnie zniknął. Zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy odszedł Ron. Harry ufał Dumbledore'owi, wierzył w to, że był on ucieleśnieniem dobra i mądrości. I wszystko to nagle runęło. A ile jeszcze może stracić? Ron, Dumbledore, różdżka z piórem feniksa...

- Harry. - Dziewczyna zdawała się słyszeć jego myśli. - Posłuchaj mnie. Wiem, że to... To nie była przyjemna lektura...

- Ta, co ty nie powiesz... - sarknął Harry.

- Nie zapominaj Harry, że napisała to Rita Skeeter.

- Czytałaś ten list do Grindelwalda, prawda?

- Tak, czytałam - zawahała się. Wyglądała na zmartwioną, ciągle obracała w zimnych rękach kubek od herbaty. - To chyba najgorszy fragment, tak sądzę. Wiem, że Bathilda myślała, że to tylko takie gadanie, ale „dla większego dobra" stało się hasłem Grindelwalda, jego usprawiedliwieniem dla wszystkich okrucieństw, których się później dopuścił. I... na podstawie tego... to tak wygląda, jakby Dumbledore podsunął mu ten pomysł. Mówi się, że „dla większego dobra" było nawet wykute nad wejściem do Nurmengardu.

- Co to takiego Nurmengard?

- Więzienie, które Grindelwald zbudował dla swoich przeciwników. Sam tam skończył, po tym, jak Dumbledore go pokonał. W każdym razie, myśl, że pomysły Dumbledore'a pomogły Grindelwaldowi zbudować swoją władzę, jest... jest przerażająca. Z drugiej strony, nawet Rita nie może udawać, że znali się dłużej niż kilka letnich miesięcy, kiedy obaj byli jeszcze bardzo młodzi i...

- Wiedziałem, że to powiesz - powiedział Harry. Nie chciał wyładowywać na niej swojego gniewu, ale trudno mu było mówić spokojnie. - Wiedziałem, że powiesz: „obaj byli bardzo młodzi". Byli w tym samym wieku, co my teraz. A my jesteśmy tutaj, ryzykując własne życie w walce z czarną magią, a on, był wtedy tam, w bliskim towarzystwie swojego nowego, najlepszego przyjaciela, wspólnie planując zdobycie władzy nad mugolami.

Nie potrafił dłużej nad sobą zapanować; wstał i zaczął krążyć, próbując coś z tego zrozumieć.

- Nie zamierzam bronić słów, które napisał Dumbledore - stwierdziła Hermiona. - To całe „prawo do rządzenia" - bzdura, tak samo jak „magia to potęga", w kółko to samo. Ale Harry, jego matka właśnie zmarła, utknął sam w domu...

- Sam? On wcale nie był sam! Miał przy sobie brata i siostrę, tę siostrę - charłaczkę, którą trzymał w zamknięciu...

- Nie wierzę w to - powiedziała Hermiona. Ona też wstała. - Cokolwiek dolegało tej dziewczynie, nie sądzę, żeby była charłaczką. Dumbledore, którego znaliśmy, nigdy, przenigdy by na to nie pozwolił...

- *Wydawało nam si*ę, że znaliśmy! Ten Dumbledore nie chciałby pokonać mugoli siłą! - krzyknął Harry. Jego głos poniósł się echem po okolicy i kilka kosów wzniosło się w powietrze, skrzecząc i kołując prosto w jaśniejące niebo.

- Zmienił się, Harry, zmienił się! Tak po prostu! Może w to wszystko wierzył, kiedy miał siedemnaście lat, ale całą resztę życia poświęcił walce z ciemnymi mocami! To Dumbledore powstrzymał Grindelwalda, to on zawsze wzywał do ochrony mugoli i ustanowienia praw dla osób pochodzenia mugolskiego. On od samego początku zwalczał Sam - Wiesz - Kogo i umarł, próbując doprowadzić go do upadku!

Książka Rity leżała między nimi na ziemi, tak, że widzieli twarz Albusa Dumbledore'a, uśmiechającą się do nich blado.

- Harry, przykro mi, ale uważam, że tak naprawdę jesteś taki rozdrażniony tylko dlatego, że Dumbledore nigdy nie powiedział ci niczego o sobie.

- Może i tak! - wrzasnął Harry i objął mocno głowę rękami. Sam nie wiedział, czy próbuje utrzymać w ryzach gniew, czy osłonić się od ciężaru własnego rozczarowania. - Zastanów się, czego on ode mnie żądał, Hermiono! Ryzykuj życiem, Harry! I znowu! I znowu! I nie oczekuj, że cokolwiek ci wyjaśnię, tylko ślepo mi ufaj, ufaj, że wiem co robię, ufaj mi, chociaż ja tobie nie ufam! I nigdy nie powiedział całej prawdy! Nigdy!

Głos mu się załamał - oboje stali tylko, patrząc na siebie nawzajem pośród białego pustkowia i Harry czuł, jakby byli tak pozbawieni znaczenia, jak owady gdzieś hen, na niebie.

- Kochał cię - szepnęła Hermiona. - Wiem, że cię kochał.

Chłopak opuścił ręce.

- Nie wiem, kogo kochał, ale nigdy nie chodziło mu o mnie. Nie zostawiłby mnie w takim bałaganie, gdyby to miało cokolwiek wspólnego z miłością. Dumbledore chętniej dzielił się swoimi cholernymi przemyśleniami z Gellertem Grindelwaldem, niż ze mną!

Podniósł różdżkę Hermiony, którą upuścił wcześniej w śnieg i usiadł przy wejściu do namiotu.

- Dzięki za herbatę. Dokończę wartę, wracaj się rozgrzać.

Dziewczyna zawahała się. W głosie Harry'ego zabrzmiało jednak coś, co kazało jej zostawić go samego. Podniosła książkę i ruszyła do namiotu, mijając Harry'ego, odruchowo pogłaskała go po głowie. Pod wpływem jej dotyku zamknął oczy, nienawidząc siebie za to, że chciał, aby miała rację - że Dumbledore naprawdę o niego dbał.

Rozdział 19
Srebrna łania

Tłumaczenie: Kamień Księżycowy

Zanim Hermiona stanęła na warcie o północy, zaczęło śnieżyć. Sny Harry'ego były niejasne i niepokojące: pełzała w nich Nagini, najpierw przez ogromny, pęknięty pierścień, a potem przez wieniec z ciemiernika. Budził się raz po raz z uczuciem paniki, przekonany, że ktoś woła go z daleka, słysząc w smagnięciach wiatru kroki i głosy.

Koniec końców poddał się i dołączył do Hermiony, która siedziała opatulona w wejściu i przy świetle różdżki czytała „Dzieje magii". Śnieg padał gęsto. Hermiona z ulgą zgodziła się na propozycję, by spakowali się wcześniej i ruszyli w drogę.

- Pójdziemy w jakieś lepiej osłonięte miejsce - stwierdziła, trzęsąc się podczas zakładania bluzy na piżamę. - Wciąż mi się zdawało, że słyszę, jak ktoś się rusza na zewnątrz. Chyba nawet widziałam kogoś raz czy dwa.

Harry zamarł, wkładając sweter, a potem spojrzał na cichy i spokojny fałszoskop, który leżał na stole.

- Jestem pewna, że sobie wyobraziłam - dodała Hermiona, sprawiając wrażenie podenerwowanej. - Śnieg w ciemnościach potrafi płatać sztuczki... Ale może powinniśmy się deportować pod peleryną - niewidką, tak na wszelki wypadek?

Teleportowali się pół godziny później - namiot został spakowany, Harry trzymał horkruksa, a Hermiona ściskała wyszywaną paciorkami torebkę. Ogarnęło ich znajome uczucie ściśnięcia. Stopy Harry'ego oderwały się od śnieżnego podłoża, a potem uderzyły w coś, co nasuwało na myśl pokrytą liśćmi, zamarzniętą ziemię.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał, rozglądając się po gęstwinie drzew, podczas gdy Hermiona otworzyła torebkę i zaczęła wyciągać słupki od namiotu.

- W Lesie Dziekańskim - odparła. - Byłam tu kiedyś z rodzicami na kempingu.

Tutaj także leżał śnieg i panowało przejmujące zimno, jednak byli osłonięci od wiatru. Większość dnia spędzili w namiocie, skuleni przy jasnych błękitnych płomieniach, jakie Hermiona wyczarowywała z wielką wprawą. Można było je zebrać i nieść ze sobą w słoju. Harry miał wrażenie, jakby wracał do zdrowia po krótkiej, lecz ostrej chorobie, a uczucie to potęgowała troska Hermiony. Po południu przysypał ich świeży śnieg i nawet osłonięta polana została pokryta białym puchem.

Po dwóch źle przespanych nocach zmysły Harry'ego były bardziej wyostrzone niż zwykle. Ucieczka z Doliny Godryka ledwo im się udała, a Voldemort był coraz bliżej i stanowił coraz większe niebezpieczeństwo. Gdy zaczęło się ściemniać, Harry nie pozwolił Hermionie objąć warty i kazał jej iść spać.

Usiadł na starej poduszce u wejścia namiotu, ubrany we wszystkie swetry, jakie posiadał, ale i tak trząsł się z zimna. W miarę upływu czasu ciemność pogłębiała się, aż nie dało się jej przeniknąć wzrokiem. Harry zamierzał wyciągnąć Mapę Huncwotów i popatrzeć przez chwilę na kropkę oznaczającą Ginny, ale przypomniał sobie, że spędza ona ferie bożonarodzeniowe w Norze.

Ogrom lasu sprawiał, że nawet najmniejszy ruch zdawał się tu wyolbrzymiony. Harry wiedział, że las musi być pełen żyjących stworzeń, ale wolałby, aby pozostały one ciche i spokojne, bo wówczas mógłby oddzielić ich niewinne dreptanie i skradanie się od innych odgłosów, które mogły zwiastować zagrożenie. Przypomniał sobie szelest płaszcza przesuwającego się po zeschniętych liściach, jaki słyszał kilka lat temu i nagle zdawało mu się, że znów go słyszy, zanim nie nakazał sobie spokoju. Ich zaklęcia ochronne od tygodni dobrze się sprawiały, więc dlaczego miałyby zawieść akurat teraz? A jednocześnie nie mógł pozbyć się uczucia, że dzisiaj coś jest inaczej.

Kilka razy ocknął się z bolącą szyją, kiedy zdarzyło mu się zapaść w sen i pod niewygodnym kątem oprzeć głowę o ścianę namiotu. Mrok stawał się coraz głębszy i Harry miał wrażenie, że równie dobrze mógłby być zawieszony w niebycie podczas teleportacji. Uniósł dłoń na wysokość twarzy, by sprawdzić, czy jest w stanie dojrzeć w ciemności własne palce, gdy dokładnie przed nim, pomiędzy drzewami rozbłysło srebrzyste światło. Cokolwiek było jego źródłem, poruszało się bezszelestnie. Wydawało się po prostu dryfować w jego stronę.

Głos zamarł mu w gardle, skoczył na równe nogi i uniósł różdżkę Hermiony. Zmrużył oczy, gdy światło zaczęło go oślepiać, sylwetki drzew stały się czarne jak smoła. Tajemnicze coś wciąż się zbliżało...

I wtedy źródło światła wyszło zza dębu. Srebrzystobiała łania, lśniąca oślepiającym, księżycowym światłem, w ciszy szła przed siebie, nie zostawiając na śnieżnym puchu żadnych śladów. Podeszła do niego, wysoko trzymając piękną głowę i patrząc dużymi oczami o długich rzęsach.

Harry patrzył na stworzenie i czuł narastające zdumienie, ponieważ łania nie wydawała mu się obca, a w niewytłumaczalny sposób znajoma. Czuł, jakby od dawna czekał na jej przyjście, ale aż do tej chwili nie pamiętał, że mają się spotkać. Chęć zawołania Hermiony - tak silna jeszcze przed chwilą - zniknęła. Wiedział, i za tę wiedzę był gotów ryzykować życie, że łania przyszła do niego i tylko do niego.

Patrzyli na siebie przez kilka długich chwil, po czym łania odwróciła się i odeszła.

- Nie - powiedział Harry łamiącym się od dłuższego milczenia głosem. - Wróć!

Łania weszła pomiędzy drzewa i wkrótce jej blask został przesłonięty przez grube, czarne pnie. Harry wahał się przez jedną sekundę. Rozwaga szeptała: to może być sztuczka, podstęp, pułapka. Ale instynkt - ten obezwładniający instynkt - podpowiadał mu, że to nie jest czarna magia. Ruszył w pogoń.

Śnieg skrzypiał pod jego stopami, a świetlista łania nie wydawała żadnego odgłosu, przemykając między drzewami. Prowadziła go coraz głębiej w las, a Harry podążał za nią szybko, pewny, że kiedy już się zatrzyma, pozwoli mu się zbliżyć. I wtedy przemówi, a jej głos powie mu to, co powinien wiedzieć.

Wreszcie stanęła. Raz jeszcze obróciła w jego stronę przepiękną głowę i Harry zaczął biec, a pytania kłębiły się w jego głowie. Gdy jednak otworzył usta, by je zadać, łania zniknęła.

Choć pochłonęła ją ciemność, obraz jej połyskującej sylwetki wciąż odbijał się w oczach Harry'ego - przesłaniał wzrok, jaśniał, gdy opuszczał powieki, zbijał z tropu. Teraz nadszedł strach, jednak obecność łani dawała poczucie bezpieczeństwa.

- *Lumos!* - wyszeptał i koniec różdżki zapłonął światłem.

Świetlisty powidok łani zanikał z każdym mrugnięciem. Harry stał, nasłuchując odgłosów lasu, skrzypienia gałęzi w oddali, cichego szelestu śniegu. Czy ktoś go zaatakuje? Czy łania zwabiła go w zasadzkę? Czy wydawało mu się, że ktoś stoi poza kręgiem rzucanego przez różdżkę światła i przygląda mu się?

Ścisnął różdżkę mocniej. Nikt się na niego nie rzucił, a zza drzew nie wypadły smugi zielonego światła. Dlaczego w takim razie przyprowadziła go w to miejsce?

Coś błysnęło i Harry obrócił się gwałtownie. Zobaczył jedynie małą, zamarzniętą sadzawkę; jej ciemna, spękana powierzchnia skrzyła się w świetle uniesionej różdżki.

Ostrożnie podszedł bliżej i spojrzał w dół. Jego zniekształcony cień oraz blask różdżki odbiły się na lodzie, ale w głębi, pod grubym i szarym jak mgła pancerzem coś lśniło. Wielki srebrny krzyż...

Serce podskoczyło mu do gardła, opadł na kolana i najlepiej, jak tylko mógł, oświetlił dno stawku. Błysk głębokiej czerwieni... Miecz z wysadzaną lśniącymi rubinami rękojeścią... Miecz Gryffindora leżał na dnie leśnej sadzawki.

Harry patrzył na niego, ledwo mogąc oddychając. Jak to możliwe? Jakim cudem miecz może leżeć w leśnym jeziorku, tak blisko miejsca, w którym obozowali z Hermioną? Czy jakaś nieznana magia przywiodła dziewczynę w tę okolicę? Czy była to sprawka łani, którą uznał za patronusa jakiegoś tajemniczego strażnika sadzawki? A może miecz został umieszczony w wodzie już po ich przybyciu? I gdzie była osoba, która chciała, by miecz dostał się w ręce Harry'ego? Ponownie skierował różdżkę na pobliskie drzewa i krzewy, szukając ludzkiej sylwetki czy blasku oczu, ale nikogo nie widział. Mimo to ukłucie strachu zmniejszyło jego radość, gdy wrócił myślą do miecza spoczywającego na dnie.

Wskazał różdżką na srebrzysty kształt i wymruczał:

- *Accio miecz.*

Nawet nie drgnął, co nie zdziwiło Harry'ego. Gdyby to było takie łatwe, miecz leżałby na ziemi i czekał, aby go podnieść, a nie spoczywał w głębinach zamarzniętej wody. Harry zaczął chodzić wokół niego, intensywnie myśląc nad tym, w jaki sposób miecz sam do niego przybył ostatnim razem. Znajdował się wówczas w śmiertelnym zagrożeniu i poprosił o pomoc.

- Pomocy - rzekł cicho, ale miecz pozostał na dnie, obojętny i nieruchomy.

***O czym,* zapytał sam siebie Harry, podejmując spacer, powiedział mu wtedy Dumbledore? *Tylko prawdziwy Gryfon mógł wyciągnąć ten miecz z tiary*. A jakie były cechy gryfońskie? Cichy głos w głowie Harry'ego odpowiedział cytatem: *W Gryffindorze, gdzie kwitnie męstwa cnota, gdzie króluje odwaga.*.**

Harry zatrzymał się i westchnął głęboko, a jego parujący oddech zawisł jak obłok w zimnym powietrzu. Wiedział, co musi zrobić. Jeśli miał być szczery z samym sobą, wiedział o tym od momentu, gdy zobaczył miecz pod lodem.

Jeszcze raz rozejrzał się dookoła - teraz był pewien, że nikt go nie zaatakuje. Stanowił łatwy cel, gdy szedł sam przez las i kiedy badał sadzawkę. Zwlekał jedynie dlatego, że zadanie, jakie przed nim stało, było wybitnie mało zachęcające.

Drżącymi palcami Harry zaczął pozbywać się warstw odzieży. Pomyślał żałośnie, że nie jest pewien, czy to co robi, jest męstwem. No, chyba żeby uznać za męstwo to, że nie zawołał Hermiony, by wykonała zadanie za niego.

Gdy się rozbierał, usłyszał, że gdzieś zahukała sowa i z ukłuciem żalu pomyślał o Hedwidze. Trząsł się teraz cały, szczękając okropnie zębami, mimo to wciąż się rozbierał, aż wreszcie, w samej tylko bieliźnie, bosymi stopami stanął na śniegu. Sakiewkę z różdżką, listem matki, okruchem lusterka Syriusza i starym zniczem położył na stercie ubrań, po czym wskazał różdżką Hermiony na lód.

- *Diffindo.*

W otaczającej ciszy odgłos pękania lodu rozległ się niczym wystrzał. Powierzchnia sadzawki została rozbita, a kawałki ciemnej kry obracały się na zmąconej wodzie. Na ile Harry mógł ocenić, sadzawka nie była głęboka, ale by wydobyć miecz, musiał zanurzyć się cały.

Rozmyślania nad czekającym go zadaniem ani niczego nie ułatwią, ani nie zagrzeją wody. Podszedł do brzegu sadzawki i położył na ziemi wciąż świecącą różdżkę Hermiony. Potem, starając się nie myśleć, że za chwilę będzie się trząsł ze znacznie większego zimna, wszedł do wody.

Każda cząstka jego ciała wrzasnęła w proteście. Powietrze w jego płucach zdawało się zamarznąć na stałe, kiedy zanurzył się po ramiona w lodowatej wodzie. Ledwo oddychał. Trzęsąc się tak mocno, że woda wylewała się z brzegów sadzawki, odszukał ostrze skostniałymi stopami. Chciał zanurkować tylko raz.

Harry odkładał moment całkowitego zanurzenia z sekundy na sekundę, łapiąc powietrze raz po raz i drżąc, aż powiedział sobie, że musi to zrobić. Zebrał całą odwagę i zanurkował.

Zimno go zabijało, atakowało niczym ogień. Jego mózg zdawał się także zamarzać, gdy Harry przedarł się przez ciemną wodę do dna, wyciągnął rękę i chwycił miecz. Jego palce zacisnęły się na rękojeści i pociągnął w górę.

Coś ciasno oplotło jego szyję. Pomyślał, że to wodorosty, choć podczas zanurzenia nie czuł żadnych, i uniósł wolną dłoń, by się uwolnić. To nie były wodorosty - w jego szyję wpijał się łańcuch horkruksa i powoli zaciskał jego tchawicę.

Harry dziko wierzgnął, usiłując wrócić na powierzchnię, ale wpadł jedynie na skalistą ścianę sadzawki. Wijąc się, dusząc, próbował dosięgnąć zaciskającego się łańcucha, ale jego palce nie były w stanie go poluzować, przed oczami zaczęły mu wirować czarne płatki. Był pewien, że zaraz się utopi i nie pozostało już nic, co mógłby zrobić, a ramiona, które zaciskały się wokół niego musiały być ramionami Śmierci...

Dusząc się i wymiotując, ociekający wodą i na wpół zamarznięty Harry odzyskał przytomność z twarzą w śniegu. Gdzieś obok niego ktoś zataczał się, głośno łapał powietrze i kaszlał. To pewnie Hermiona znów przybyła mu na ratunek, tak jak wtedy, gdy zaatakował wąż... A jednak te odgłosy, zupełnie do niej nie pasowały - nie to głębokie pokasływanie, nie te głośne kroki...

Harry nie miał dość sił, by unieść głowę i odkryć tożsamość swego wybawiciela. Mógł jedynie dotknąć drżącą dłonią szyi i miejsca, gdzie medalion ciasno werżnął się w jego ciało. Teraz medalionu nie było, ktoś go od niego uwolnił. A potem nad jego głową odezwał się zdyszany głos.

- Czyś... ty... *zwariował?*

Dźwięk tego głosu wprawił Harry'ego w taki szok, że zebrał siły, by wstać. Dygocąc gwałtownie, poniósł się na nogi. Przed nim stał Ron, w ubraniu, ale przemoczony do suchej nitki, z klejącymi się do twarzy włosami. W jednej ręce trzymał miecz Gryffindora, a w drugiej dyndający na zerwanym łańcuchu horkruks.

- Czemu, do *diabła* - wydyszał Ron, unosząc horkruks, który kołysał się w przód i w tył, niczym w jakiejś parodii hipnozy - nie zdjąłeś tego przed nurkowaniem?

Harry nie był w stanie odpowiedzieć. Srebrzysta łania była niczym, zupełnie niczym w porównaniu z pojawieniem się Rona. Nie mógł w to uwierzyć. Trzęsąc się z zimna, zgarnął wciąż leżącą na brzegu sadzawki stertę ubrań i zaczął je na siebie wciągać. Wkładając jeden sweter za drugim, Harry patrzył na Rona, spodziewając się, że zniknie, gdy tylko spuści z niego wzrok. A jednak musiał być prawdziwy - wskoczył do sadzawki i uratował mu życie.

- To byłeś t - ty? - zapytał w końcu słabo Harry, szczękając zębami.

- No, tak - odparł Ron, wyglądając na lekko zmieszanego.

- T - ty wyczarowałeś tę łanię?

- Co? Nie, jasne że nie! Myślałem, że to twoja robota!

- Mój patronus jest jeleniem.

- No tak. Tak mi się wydawało, że wyglądał inaczej. Nie miał rogów.

Harry zawiesił na szyi sakiewkę, wciągnął ostatni sweter, podniósł różdżkę Hermiony i popatrzył na Rona.

- Skąd się tu wziąłeś?

Ron miał najwyraźniej nadzieję, że do tego punktu dojdą (jeśli w ogóle dojdą) o wiele później.

- No, ja... Wiesz... Wróciłem. Jeśli... - odchrząknął. - No wiesz. Jeśli wciąż mnie chcecie.

Zapadła cisza, w której odejście Rona zdawało się wznosić murem pomiędzy nimi. Ale jednak był tutaj. Wrócił. Właśnie ocalił Harry'emu życie.

Ron spuścił wzrok na swoje dłonie. Przez chwilę sprawiał wrażenie zdumionego ich zawartością.

- A, no tak, wyciągnąłem go - powiedział raczej niepotrzebnie, wyciągając miecz w stronę Harry'ego. - To po niego nurkowałeś, tak?

- Tak - odparł Harry. - Ale nie rozumiem. Jak się tu dostałeś? Jak nas znalazłeś?

- Długa historia - stwierdził Ron. - Godzinami was szukałem, to przecież duży las, nie? Kiedy w końcu pomyślałem, że będę musiał przespać się pod drzewem i poczekać do rana, zobaczyłem tę sarnę i ciebie.

- Nie widziałeś nikogo innego?

- Nie - odrzekł Ron. - Ja...

Zawahał się, spoglądając na dwa drzewa stojące razem kilka metrów dalej.

- Wydawało mi się, że kogoś tam widziałem, ale biegłem wtedy do sadzawki, bo wskoczyłeś i nie wynurzałeś się, więc raczej nie zamierzałem zbaczać z trasy, żeby... Hej!

Harry już szedł w miejsce, które wskazał Ron. Rosły tam blisko siebie dwa dęby. Pomiędzy ich pniami, na wysokości oczu, była kilkucalowa szczelina, idealne miejsce, by obserwować, a samemu nie być widzianym. Na ziemi wokół ich korzeni nie było jednak śniegu i Harry nie znalazł żadnych śladów. Wrócił do Rona, który wciąż trzymał miecz i horkruksa.

- Znalazłeś coś? - spytał Ron.

- Nic - odparł Harry.

- To w jaki sposób miecz znalazł się w tej sadzawce?

- Ktokolwiek wyczarował patronusa, musiał go tam umieścić.

Popatrzyli obaj na ozdobny, srebrny miecz, którego wysadzana rubinami rękojeść lśniła w świetle różdżki.

- Myślisz, że jest prawdziwy? - zapytał Ron.

- Jest tylko jeden sposób, by się przekonać, nie? - odrzekł Harry.

Horkruks wciąż zwisał z ręki Rona. Medalion lekko drżał. Harry wiedział, że to, co znajdowało się w jego środku, znów się obudziło. Wyczuło obecność miecza i próbowało zabić Harry'ego, by tylko go nie zdobył. Nie było już czasu na długie dyskusje - nadszedł czas, by zniszczyć medalion raz na zawsze. Harry rozejrzał się, wysoko unosząc różdżkę Hermiony, i znalazł to, czego szukał: płaski kamień leżący w cieniu jaworu.

- Chodź tutaj - powiedział i ruszył przed siebie.

Starł śnieg z powierzchni skały i wyciągnął rękę po horkruksa. Kiedy jednak Ron podsunął miecz, Harry potrząsnął głową.

- Nie, ty powinieneś to zrobić.

- Ja? - zapytał Ron zaszokowany. - Czemu?

- Ponieważ to ty wyciągnąłeś miecz z sadzawki. Sądzę, że to masz być ty - odparł Harry.

Nie był miły czy wspaniałomyślny. To samo przeświadczenie, które mówiło mu, że łania nie była groźna, podpowiadało mu teraz, że to właśnie Ron ma dzierżyć miecz. Dumbledore jednak czegoś nauczył Harry'ego - o pewnych rodzajach magii, o nieobliczalnej potędze pewnych działań.

- Otworzę go - powiedział Harry. - A ty go przebijesz. Od razu, dobrze? Ponieważ to, co jest w środku, będzie walczyć. Cząstka Riddle'a z dziennika próbowała mnie zabić.

- Jak zamierzasz go otworzyć? - spytał Ron. Wyglądał na przerażonego.

- Poproszę w wężomowie, by się otworzył - odparł Harry bez zastanowienia. Pomyślał, że w głębi duszy zawsze musiał to wiedzieć. Możliwe, że ostatnie spotkanie z Nagini pomogło mu to sobie uświadomić. Popatrzył na wygiętą literę S, wyłożoną błyszczącymi, zielonymi kamieniami: łatwo było sobie wyobrazić, że to maleńki wąż, zwinięty na zimnej skale.

- Nie! - zawołał Ron. - Nie, nie otwieraj go! Mówię serio.

- Dlaczego nie? - spytał Harry. - Pozbądźmy się tej przeklętej rzeczy. Przez całe miesiące...

- Nie mogę, Harry, mówię poważnie... Ty to zrób...

- Ale czemu?

- Bo mi zaszkodziło! - zawołał Ron, odsuwając się od spoczywającego na kamieniu medalionu. - Nie mogę tego znieść! Harry, nie usiłuję szukać wymówki dla tego, co zrobiłem, ale to paskudztwo wpłynęło na mnie bardziej niż na ciebie i Hermionę. Sprawiło, że myślałem o takich rzeczach, o których i tak myślałem, ale wtedy było jeszcze gorzej! Nie potrafię tego wytłumaczyć, musiałem to zdjąć i wtedy znów widziałem wszystko jasno, a potem musiałem znów założyć tę cholerną rzecz... Nie potrafię tego zrobić, Harry!

Cofnął się, ciągnąc za sobą miecz i kręcąc przecząco głową.

- Potrafisz to zrobić - powiedział Harry. - Potrafisz! Zdobyłeś miecz, wiem, że musisz być tym, który to zrobi. Proszę, pozbądźmy się tego, Ron.

Dźwięk imienia musiał podziałać na niego mobilizująco. Ron przełknął ślinę i oddychając ciężko przez długi nos, podszedł do kamienia.

- Powiedz mi kiedy - wychrypiał.

- Na trzy - odparł Harry, spoglądając na medalion i mrużąc oczy, skupiając się na literze S i wyobrażając sobie węża, podczas gdy zawartość medalionu zagrzechotała niczym uwięziony karaluch. Łatwo mógłby poczuć litość, gdyby nie fakt, że ślad na jego szyi wciąż piekł.

- Raz... Dwa... Trzy... *Otwórz się*.

Ostatnie słowo było sykiem, który wydobył się z głębi gardła, i złote połówki medalionu rozwarły się z cichym trzaskiem.

Za dwoma szkiełkami medalionu mrugały żywe oczy, ciemne i ładne, jak oczy Toma Riddle'a, zanim stały się czerwone i wąskie.

- Przebij - polecił Harry, przytrzymując medalion na kamieniu.

Ron uniósł miecz w drżących rękach, jego czubek zawisł nad obracającymi się we wszystkich kierunkach oczami i Harry złapał medalion mocniej, przygotowując się i wyobrażając sobie krew tryskającą z przebitych szkiełek.

Wtedy z wnętrza horkruksa dobiegł syczący głos.

- *Widziałem twoje serce, ono należy do mnie.*

- Nie słuchaj go! - powiedział ostro Harry. - Przebij go!

- *Znam twoje marzenia, Ronaldzie Weasley, znam też twoje obawy. Wszystko, czego pragniesz, jest możliwe, tak samo jak wszystko to, czego się obawiasz...*

- Przebij! - krzyknął Harry. Jego głos odbił się od otaczających drzew, czubek miecza zadrżał, a Ron patrzył w oczy Riddle'a.

- *Zawsze najmniej kochany przez matkę, która pragnęła córki... Teraz mniej kochany przez dziewczynę, która wolała twojego przyjaciela... Zawsze ten drugi, wiecznie w cieniu...*

- Ron, przebij go natychmiast! - ryknął Harry. Czuł, że medalion drży w uścisku jego palców, i bał się tego, co nadchodziło. Ron wciąż unosił miecz, wyżej i wyżej, a oczy Riddle'a zaczęły połyskiwać czerwienią.

Z oczu, przesłoniętych szkiełkami medalionu, niczym dwie groteskowe bańki wyrosły głowy Harry'ego i Hermiony, okropnie zniekształcone.

Ron wrzasnął, zaszokowany, i cofnął się, gdy postacie wynurzyły się z medalionu - najpierw klatki piersiowe, potem talie, a wreszcie nogi, aż stały w medalionie, jedno obok drugiego jak drzewa o wspólnym korzeniu, kołysząc się w stronę obu chłopców. Harry oderwał palce od medalionu, który nagle rozpalił się do białości.

- Ron! - krzyknął, ale Ron jak zahipnotyzowany patrzył w twarz Riddle'a - Harry'ego, przemawiającego głosem Voldemorta.

- *Czemu wróciłeś? Było nam lepiej bez ciebie, byliśmy szczęśliwsi bez ciebie, cieszyliśmy się, że cię nie ma... Śmialiśmy się z twojej głupoty, z twojego tchórzostwa, z twojej arogancji...*

- *Arogancji!* - powtórzyła Riddle - Hermiona, która była piękniejsza i jednocześnie bardziej przerażająca niż prawdziwa Hermiona. Kołysała się, rechocząc szyderczo. Ron

patrzył na nią z przerażeniem, ale i fascynacją, a miecz kołysał się bezużytecznie w jego ręku.

- *Kto chciałby na ciebie patrzeć, kto w ogóle patrzyłby na ciebie, stojącego przy boku Harry'ego Pottera? Czy dokonałeś czegokolwiek w porównaniu z Wybrańcem? Czym jesteś w porównaniu z Chłopcem, Który Przeżył?*

- Ron, przebij to, PRZEBIJ TO! - wrzeszczał Harry, ale Ron nie poruszył się. Jego oczy były szeroko otwarte i odbijali się w nich Riddle - Harry i Riddle - Hermiona, których włosy wirowały niczym płomienie, oczy lśniły czerwienią, a głosy wznosiły się w złowrogim duecie.

- *Twoja matka przyznała* - Riddle - Harry uśmiechnął się drwiąco, podczas gdy Riddle - Hermiona gwizdnęła - *że wolałaby mnie jako syna, że cieszyłaby się z zamiany...*

- *Jaka kobieta nie wolałaby jego? Jaka kobieta chciałaby ciebie? Jesteś niczym, niczym, niczym w porównaniu do niego* - zapiała Riddle - Hermiona, wyciągając się niczym wąż i oplatając wokół Riddle - Harry'ego, owijając go w ciasnym uścisku. Ich usta spotkały się.

Na twarzy stojącego przed nimi Rona pojawił się wyraz cierpienia. Drżącymi rękami uniósł wysoko miecz.

- Zrób to, Ron! - wrzasnął Harry.

Ron spojrzał ku niemu i Harry'emu zdawało się, że widzi w jego oczach szkarłatny cień.

- Ron...?

Miecz błysnął i opadł. Harry rzucił się w bok. Potem nastąpił brzęk metalu i długi, gasnący krzyk. Harry obrócił się, ślizgając się na śniegu, trzymając różdżkę w pogotowiu, by się bronić - ale nie było z czym walczyć.

Potworne wersje jego i Hermiony znikły, był tylko Ron, z mieczem zwisającym luźno w dłoni, patrzący na szczątki medalionu na płaskim kamieniu.

Harry powoli podszedł do niego, nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić. Ron oddychał ciężko. Jego oczy nie były już czerwone, ale jak zwykle niebieskie. I wilgotne.

Harry pochylił się, udając, że nic nie widział, i podniósł zniszczony horkruks. Ron przebił oba szkiełka - oczy Riddle'a zniknęły, a splamiony jedwab, wyścielający medalion, lekko dymił. Rzecz, która żyła w horkruksie, odeszła. Jej ostatnim aktem okrucieństwa było torturowanie Rona.

Miecz brzęknął, gdy Ron go upuścił. Opadł na kolana i objął rękami głowę. Trząsł się, ale - jak uświadomił sobie Harry - nie z zimna. Harry wepchnął strzaskany medalion do kieszeni, ukląkł koło Rona i ostrożnie położył dłoń na jego ramieniu. Za dobry znak uznał, że Ron jej nie strząsnął.

- Kiedy odszedłeś - powiedział cicho, wdzięczny, że twarz Rona jest schowana - płakała przez tydzień. Pewnie dłużej, ale nie chciała, żebym widział. Całymi nocami nawet ze sobą nie rozmawialiśmy. Kiedy cię nie było...

Nie był w stanie skończyć. Dopiero teraz, gdy Ron znów tutaj był, Harry zdał sobie sprawę, jak wiele kosztowała ich jego nieobecność.

- Jest dla mnie jak siostra - kontynuował. - Kocham ją jak siostrę i myślę, że ona czuje to samo do mnie. Zawsze tak było. Myślałem, że wiesz.

Ron nie odpowiedział, tylko odwrócił twarz i głośno wytarł nos w rękaw. Harry wstał i poszedł do miejsca, gdzie leżał wielki plecak Rona. Musiał go tam rzucić, gdy biegł ku sadzawce, by ratować przyjaciela przed utonięciem. Harry zarzucił go sobie na plecy i wrócił do Rona, który dźwignął się na nogi. Jego oczy były zaczerwienione, ale spokojne.

- Przepraszam - powiedział grubym głosem. - Przepraszam, że odszedłem. Wiem, że byłem...

Popatrzył na otaczającą ich ciemność, jakby z nadzieją, że odpowiednio potępiające określenie samo rzuci się na niego, a on je złapie.

- Jesteśmy kwita - stwierdził Harry. - Zdobyłeś miecz. Pozbyłeś się horkruksa. Uratowałeś mi życie.

- Gdy tak mówisz, to wydaje się, że byłem o wiele fajniejszy niż w rzeczywistości - wymamrotał Ron.

- Tego typu sprawy zawsze wydają się o wiele bardziej fajne niż w rzeczywistości - powiedział Harry. - Usiłowałem ci to powiedzieć przez te wszystkie lata.

Równocześnie podeszli do siebie i objęli się, Harry złapał wciąż mokry tył kurtki Rona.

- Teraz - powiedział, gdy już się rozdzielili - musimy jeszcze znaleźć namiot.

To nie było trudne. Choć wędrówka za łanią poprzez ciemny las wydawała się długa, z Ronem przy boku zabrała zdumiewająco mało czasu. Harry nie mógł się doczekać, kiedy obudzi Hermionę, i wszedł do namiotu z rosnącym podnieceniem. Ron trzymał się nieco z tyłu.

Namiot zdawał się wspaniale ciepły po kąpieli w sadzawce i chodzeniu po lesie. Jedynym jego oświetleniem były błękitne płomienie, wciąż połyskujące w butelce na podłodze. Hermiona spała głęboko, zwinięta pod kocami, i nie poruszyła się, dopóki Harry nie zawołał jej kilka razy.

- *Hermiono!*

Drgnęła i szybko usiadła, odgarniając włosy z twarzy.

- Co się dzieje? Harry? Wszystko w porządku?

- Nic się nie dzieje, wszystko dobrze. Bardziej niż dobrze. Czuję się świetnie. Ktoś tu jeszcze jest.

- Co masz na myśli? Kto...?

Zobaczyła Rona, który stał, trzymając miecz i kapiąc wodą na stary dywan. Harry cofnął się w ocieniony kąt, pozbył Ronowego plecaka i usiłował wtopić się w płótno.

Hermiona zsunęła się ze swojego posłania i jak lunatyk podeszła do Rona, patrząc na jego bladą twarz. Zatrzymała się przed nim, jej wargi lekko się rozsunęły, a oczy rozszerzyły. Ron obdarzył ją słabym, pełnym nadziei uśmiechem i uniósł ramiona.

Hermiona rzuciła się na niego i zaczęła walić pięścią każdy kawałek, jaki mogła dosięgnąć.

- Auć... Ała... Spadaj! Co do...? Hermiona... AUĆ!

- Ty... kompletny... *dupku*... Ronaldzie... Weasley!

Każde słowo zostało podkreślone uderzeniem. Ron cofał się, osłaniając głowę, podczas gdy Hermiona nacierała.

- Wślizgujesz... się... tutaj... z powrotem... po całych... tygodniach... Och, *gdzie moja różdżka?!*

Wyglądała, jakby zamierzała wyszarpnąć ją Harry'emu z ręki, i chłopak zareagował instynktownie.

- *Protego!*

Niewidzialna tarcza wyrosła miedzy Ronem a Hermioną. Moc odrzuciła na podłogę dziewczynę, która po chwili zerwała się na równe nogi, wypluwając włosy z ust.

- Hermiono! - zawołał Harry. - Uspokój...

- Nie uspokoję się! - wrzasnęła. Harry nigdy wcześniej nie widział, by do tego stopnia straciła nad sobą kontrolę. Sprawiała wrażenie obłąkanej.

- Oddaj mi moją różdżkę! *Oddaj mi ją!*

- Hermiono, czy mogłabyś...

- Nie mów mi, co mam robić, Harry Potterze! - zaskrzeczała. - Nawet się nie waż! Oddaj mi ją natychmiast! A TY...!

Wskazała na Rona oskarżycielsko. To nie wróżyło dobrze i Harry nie mógł winić Rona, że ten cofnął się o kilka kroków.

- Pobiegłam za tobą! Wołałam cię! Błagałam, żebyś wrócił!

- Wiem - powiedział Ron. - Przykro mi, naprawdę...

- Och, *przykro* ci!

Wybuchnęła wysokim, niekontrolowanym śmiechem. Ron popatrzył na Harry'ego błagalnie, ale Harry jedynie skrzywił się bezradnie.

- Wracasz po tygodniach... *tygodniach*... i wydaje ci się, że wszystko będzie w porządku, kiedy powiesz, że ci *przykro?*

- No a co innego mam powiedzieć? - zawołał Ron, a Harry ucieszył się, że jednak postanowił się bronić.

- Och, nie wiem! - wrzasnęła Hermiona z okropnym sarkazmem. - Wysil mózg, Ron, nie powinno to zająć dłużej niż dwie sekundy...

- Hermiono - wtrącił Harry, który uznał, że to było podłe. - Właśnie uratował mi...

- Nie obchodzi mnie to! - krzyknęła. - Nie obchodzi mnie, co zrobił! Całe tygodnie, mogliśmy już *nie żyć* i nawet by o tym nie wiedział...

- Wiedziałem, że żyjecie! - ryknął Ron, po raz pierwszy ją przekrzykując i podchodząc tak blisko, jak tylko umożliwiało zaklęcie tarczy. - Wciąż piszą o Harrym w *Proroku*, wciąż mówią w radio, szukają was wszędzie, wszystkie te plotki i szalone historie, wiedziałem, że usłyszę od razu, jeśli zginiecie, nie macie pojęcia, co to było dla...

- Co to było dla *ciebie?*

Jej głos stał się teraz tak piskliwy, że wkrótce jedynie nietoperz mógłby go usłyszeć. Osiągnęła taki poziom oburzenia, że na chwilę odebrało jej mowę, więc Ron wykorzystał sposobność.

- Chciałem wrócić w tej samej minucie, gdy się deportowałem, ale wpadłem prosto na bandę Łapaczy, Hermiono, i nie mogłem nigdzie iść!

- Bandę kogo? - spytał Harry, podczas gdy Hermiona wcisnęła się w fotel, krzyżując ramiona i nogi tak ciasno, jakby nie miała ich rozpleść przez kilka najbliższych lat.

- Łapaczy - odpowiedział Ron. - Są wszędzie. To gangi, które próbują zarobić na wyłapywaniu ludzi pochodzenia mugolskiego i zdrajców krwi. Za każdego złapanego ministerstwo wyznaczyło nagrodę. Byłem sam i wyglądałem na ucznia, więc się strasznie podniecili. Myśleli, że pochodzę z mugoli i ukrywam się. Musiałem jakoś szybko ich przekonać, żeby mnie nie zaciągnęli do ministerstwa.

- Co im powiedziałeś?

- Że jestem Stan Shunpike. To było pierwsze, co mi przyszło do głowy.

- I uwierzyli?

- Nie byli najmądrzejsi. Jeden z nich musiał być w części trollem, śmierdział...

Ron zerknął na Hermionę, wyraźnie mając nadzieję, że zmięknie na ten przebłysk humoru, ale jej twarz wciąż miała kamienny wyraz.

- W każdym razie wybuchła awantura o to, czy jestem Stanem, czy nie. Szczerze mówiąc, to było trochę żałosne, no ale ich było pięciu, a ja byłem sam jeden i w dodatku mieli moją różdżkę. Wtedy dwóch z nich wdało się w bójkę, a kiedy pozostali się zagapili, walnąłem w żołądek tego, który mnie trzymał, złapałem jego różdżkę, rozbroiłem faceta, który miał moją, i deportowałem się. Nie wyszło mi najlepiej, znów się rozszczepiłem... - Ron uniósł prawą dłoń i pokazał dwa palce, na których brakowało paznokci. Hermiona uniosła brwi, patrząc chłodno. - ... i znalazłem się całe mile od was. Zanim doszedłem do tego brzegu rzeki, na którym obozowaliśmy... was już nie było.

- Rety, co za fascynująca historia - powiedziała Hermiona wyniosłym tonem, którego używała, gdy chciała kogoś zranić. - Musiałeś być przerażony. My tymczasem udaliśmy się do Doliny Godryka i pomyślmy, co się tam wydarzyło, Harry? Ach tak, pojawił się wąż Sam - Wiesz - Kogo i prawie zabił nas oboje, a potem przybył także Sam - Wiesz - Kto i minął się z nami o sekundę.

- Co...? - spytał Ron, przenosząc wzrok z niej na Harry'ego, ale Hermiona zignorowała go.

- Wyobraź sobie utratę paznokci, Harry! To stawia nasze cierpienia w zupełnie innym świetle, prawda?

- Hermiono - powiedział Harry cicho. - Ron uratował mi życie.

Zdawała się go nie słyszeć.

- Chciałabym jednak wiedzieć jedną rzecz - rzekła, utkwiwszy wzrok w punkcie ponad głową Rona. - Jak dokładnie nas tutaj znalazłeś? To ważne. Będziemy się mogli upewnić, że więcej nie odwiedzi nas nikt, kogo nie chcemy widzieć.

Ron łypnął na nią, po czym wyciągnął z kieszeni dżinsów mały srebrny przedmiot.

- To.

Hermiona musiała spojrzeć na Rona, by zobaczyć, co pokazuje.

- Deluminator? - spytała tak zaskoczona, że aż zapomniała wyglądać ozięble i surowo.

- On nie tylko włącza i wyłącza światło - powiedział Ron. - Nie wiem, jak to działa, ani dlaczego zadziałało akurat wtedy, a nie wcześniej, skoro cały czas chciałem wrócić.

Ale słuchałem radia, bardzo wcześnie w świąteczny poranek, i usłyszałem... Usłyszałem ciebie.

Patrzył na Hermionę.

- Usłyszałeś mnie w radio? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie, usłyszałem cię w mojej kieszeni. Twój głos - znów wyciągnął deluminator - dochodził z tego.

- A co konkretnie mówiłam? - spytała Hermiona tym samym tonem, który plasował się pomiędzy sceptycyzmem a ciekawością.

- Moje imię. „Ron". A potem powiedziałaś... Coś o różdżce...

Hermiona zalała się ognistym rumieńcem. Harry przypomniał sobie: to było wtedy, kiedy pierwszy raz od dnia jego odejścia imię Rona zostało powiedziane na głos. Hermiona wspomniała je, gdy rozmawiali o naprawie różdżki Harry'ego.

- Więc go wyciągnąłem - kontynuował Ron, patrząc na deluminator. - I wcale nie wyglądał inaczej, ale byłem pewny, że cię słyszałem. Więc pstryknąłem. W moim pokoju zgasło światło, ale za to inne pojawiło się za oknem.

Ron uniósł pustą dłoń i wyciągnął ją przed sobą, a jego oczy skupiły się na czymś, czego ani Harry, ani Hermiona nie widzieli.

- To była bańka światła, taka pulsująca i niebieskawa jak światło wokół świstoklika, wiecie?

- Tak - odpowiedzieli jednocześnie.

- Wiedziałem, że to jest to - powiedział Ron. - Wziąłem wszystkie rzeczy, spakowałem je, założyłem plecak i wyszedłem do ogrodu. Ta bańka światła wciąż wisiała w powietrzu, czekała na mnie i kiedy się zbliżyłem, trochę sobie poskakała. Poszedłem za nią za szopę i wtedy... No, weszła we mnie.

- Proszę? - spytał Harry, pewien, że źle usłyszał.

- Poleciała w moim kierunku - wyjaśnił Ron, demonstrując ruch palcem wskazującym. - Dokładnie na wysokość mojej piersi, a potem... po prostu weszła do środka. Tu była - wskazał na okolicę swego serca - czułem ją, była gorąca. A kiedy już była we mnie, wiedziałem, co mam robić, wiedziałem, że zabierze mnie tam, gdzie powinienem iść. Więc teleportowałem się i znalazłem na zboczu wzgórza. Wszędzie był śnieg...

- Byliśmy tam - powiedział Harry. - Spędziliśmy tam dwie noce i podczas drugiej wciąż mi się wydawało, że słyszę, jak ktoś porusza się w ciemności i woła!

- Taa, no to musiałem być ja - stwierdził Ron. - Jednak wasze zaklęcia ochronne działały, bo nie mogłem was zobaczyć ani usłyszeć. Byłem jednak pewny, że jesteście w pobliżu, więc ostatecznie wlazłem do śpiwora i postanowiłem zaczekać, aż któreś z was się pojawi. Pomyślałem, że będziecie się musieli pokazać podczas pakowania namiotu.

- Nie - odezwała się Hermiona. - Na wszelki wypadek teleportowaliśmy się pod peleryną - niewidką. I zabraliśmy się naprawdę wcześnie, ponieważ, jak powiedział Harry, słyszeliśmy, że ktoś pałęta się w okolicy.

- Cóż, zostałem na tym wzgórzu cały dzień - ciągnął Ron. - Wciąż miałem nadzieję, że się pojawicie. Ale kiedy zaczęło się robić ciemno, wiedziałem już, że was zgubiłem, więc znów pstryknąłem deluminatorem, błękitne światełko pojawiło się i weszło we mnie, teleportowałem się i znalazłem się tutaj, w lesie. Wciąż was nie widziałem, więc miałem nadzieję, że któreś z was się w końcu pokaże... No i Harry się pokazał. No, najpierw oczywiście zobaczyłem łanię.

- Zobaczyłeś co? - spytała ostro Hermiona.

Wyjaśnili, co się wydarzyło, a w miarę rozwijania się opowieści o srebrnej łani i mieczu w sadzawce, Hermiona patrzyła to na jednego, to na drugiego, marszcząc czoło i koncentrując się tak mocno, że zapomniała o skrzyżowaniu kończyn.

- Ale to musiał być patronus! - zawołała. - Nie widzieliście, kto go wyczarował? Nikogo nie widzieliście? A on was zaprowadził do miecza! Nie mogę w to uwierzyć! Co się potem stało?

Ron wyjaśnił, jak obserwował Harry'ego wskakującego do sadzawki i czekał, aż się wynurzy. Kiedy zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak, zanurkował i uratował Harry'ego, a potem wrócił po miecz. Doszedł już do momentu otwarcia medalionu i zawahał się, a wtedy Harry wtrącił:

- ...i Ron przebił go mieczem.

- I... już po nim? Tak po prostu? - wyszeptała.

- Cóż... krzyczał - powiedział Harry, patrząc ukradkiem na Rona. - Masz.

Rzucił medalion na jej kolana. Uniosła go ostrożnie i przyjrzała się przebitym szkiełkom.

Uznając, że jest już bezpiecznie, Harry machnął różdżką Hermiony i usunął zaklęcie tarczy, po czym obrócił się do Rona.

- Powiedziałeś, że uciekłeś Łapaczom z dodatkową różdżką?

- Co? - zapytał z lekkim roztargnieniem Ron, który przyglądał się Hermionie badającej medalion. - Och... tak.

Odpiął sprzączkę plecaka i wyciągnął krótką, ciemną różdżkę z jednej z kieszeni.

- Proszę. Pomyślałem, że zawsze dobrze mieć pod ręką zapasową.

- Miałeś rację - powiedział Harry, wyciągając rękę. - Moja jest złamana.

- Żartujesz? - spytał Ron, ale w tym momencie Hermiona wstała i znów spojrzał na nią z obawą.

Dziewczyna włożyła unieszkodliwionego horkruksa do torebki z paciorków, po czym wspięła się na łóżko i położyła bez jednego słowa.

Ron podał Harry'emu nową różdżkę.

- To chyba najlepsze, na co mogłeś liczyć - mruknął Harry.

- Taa - odparł Ron. - Mogło być gorzej. Pamiętasz te ptaki, które na mnie nasłała?

- Nadal tego nie wykluczam - dobiegł spod koców stłumiony głos Hermiony, ale Harry widział, że Ron uśmiecha się lekko, wyciągając z plecaka bordową piżamę.

Rozdział 20
Ksenofilius Lovegood

Tłumaczenie: Lisek

Harry nie spodziewał się, że Hermiona ochłonie w ciągu nocy, więc nie był zaskoczony tym, że następnego dnia prezentowała głównie spojrzenia spode łba i przedłużające się milczenie. Ron pozostawał nienaturalnie przygaszony w jej obecności, pokazując, że wciąż jest mu przykro. Kiedy cała trójka przebywała razem, Harry miał wrażenie, jakby był jedynym uczestnikiem skromnego pogrzebu, który nie jest żałobnikiem. Mimo to, w krótkich chwilach, kiedy Ron zostawał jedynie z Harrym (nosząc wodę albo przeszukując runo leśne w poszukiwaniu grzybów), okazywał się niestosownie wręcz wesoły.

- Ktoś nam pomógł! - powtarzał. - Ktoś wysłał tę łanię, ktoś po naszej stronie. Jeden horkruks z głowy, stary!

Rozentuzjazmowani zniszczeniem medalionu, po raz któryś z kolei zaczęli debatować nad hipotetyczną lokalizacją pozostałych horkruksów. Mimo że wielokrotnie wcześniej rozmawiali na ten temat, Harry był pewien, że po pierwszym przełomie przyjdą kolejne. Zły humor Hermiony nie mógł przygasić jego uniesienia: nagły łut szczęścia, pojawienie się tajemniczej łani, odzyskanie miecza Gryffindora, a przede wszystkim powrót Rona sprawiły, że z trudem zachowywał spokojny wyraz twarzy.

Późnym popołudniem on i Ron raz jeszcze uciekli przed żałobnym nastrojem Hermiony. Pod pretekstem przeszukiwania nagich krzaków, rozglądając się za nieistniejącymi jeżynami, kontynuowali wymianę wiadomości. Harry zrelacjonował

Ronowi wszystkie wydarzenia, jakie zaszły pod jego nieobecność; opisał dokładnie, co zdarzyło się w Dolinie Godryka. Ron natomiast przekazał Harry'emu wieści ze świata czarodziejów.

- Jak dowiedzieliście się o Tabu? - zapytał Harry'ego, przedstawiwszy liczne, desperackie wykręty, jakie podejmują urodzeni w rodzinach mugoli, by uniknąć represji ze strony ministerstwa.

- O czym?

- No, przecież ty i Hermiona przestaliście wymawiać imię Sam-Wiesz-Kogo?

- No tak, wpadliśmy w ten nawyk... Ale nie mam problemów z nazywaniem go Vo...

- NIE! - krzyknął Ron, a Harry aż odskoczył, wpadając w krzaki. Hermiona (siedząca z nosem w książce przed namiotem) warknęła coś ze złością.

- Przepraszam - zmitygował się Ron i pomógł Harry'emu wstać. - Ale to imię zostało zaklęte. To w ten sposób śledzą ludzi! Użycie jego imienia przerywa działanie czarów ochronnych, powoduje jakieś magiczne zakłócenia... Właśnie tak nas znaleźli na Tottenham Court Road!

- Ponieważ użyłem jego *imienia*?

- Tak! Musisz przyznać, że to ma sens. Jego imienia używali tylko ci, którzy mieli dość odwagi, aby się z nim mierzyć, tacy jak Dumbledore. Teraz nałożono na nie Tabu, pozwalające łatwo śledzić używających imienia, na przykład członków Zakonu! Prawie dopadli Kingsleya...

- Żartujesz?!

- Nie, kilku śmierciożerców osaczyło go, ale zdołał uciec. Teraz jest poszukiwany, podobnie jak my. - Ron w zamyśleniu poskrobał różdżką policzek. - Myślisz, że to Kingsley przysłał nam tę łanię?

- Jego patronus ma kształt rysia - pojawił się na ślubie, pamiętasz?

- No tak...

Szli dalej, coraz bardziej oddalając się od Hermiony.

- Harry... A może to Dumbledore...?

- Dumbledore co?

Ron wyglądał na zawstydzonego, ale podjął cicho:

- Dumbledore i łania... To znaczy... - Popatrzył na Harry'ego kątem oka. - On był ostatnim właścicielem miecza, prawda?

Harry nie zaśmiał się. Wiedział, co kryło się za tym pozornie śmiesznym pytaniem. Myśl, że Dumbledore zdołał powrócić do nich, że być może patrzy teraz na nich, w niezwykły sposób dodawałaby otuchy. Pokręcił jednak przecząco głową.

- Dumbledore nie żyje - powiedział. - Widziałem jego śmierć. Widziałem ciało. Odszedł na zawsze. Poza tym, jego patronus miał kształt feniksa, nie łani.

- Patronusy mogą się zmieniać, prawda? Na przykład Tonks...

- Tak, ale gdyby Dumbledore żył, czemu miałby się ukrywać? Po prostu dałby nam ten miecz...

- Może nie dał ci go wcześniej tego samego powodu, dla którego zostawił ci ten stary znicz, a Hermionie bajki dla dzieci?

- Czyli jakiego? - Harry obrócił się ku Ronowi, wyczekując odpowiedzi.

- Nie wiem. Kiedyś wydawało mi się, że chciał to wszystko utrudnić, albo że robił to dla żartu. Ale teraz już tak nie myślę. Wiedział, co robi, dając mi deluminator, prawda? Wiedział, że... - Uszy Rona poczerwieniały. Przez chwilę wydawało się, że jest całkowicie pochłonięty kopaniem kępki trawy przed sobą. - Wiedział, że ucieknę.

- Nie - zaprzeczył Harry. - Wiedział, że będziesz chciał do nas wrócić.

Ron rozweselił się, ale nadal wyglądał trochę niepewnie. Harry częściowo zmienił temat:

- Jeśli już mówimy o Dumbledorze, słyszałeś, co pisała o nim Rita Skeeter?

- O, tak - podjął natychmiast Ron. - Ludzie dużo o tym mówią, w końcu to nowe wieści... Dumbledore skumplowany z Grindelwaldem... Powód do radości dla tych, którzy go nie lubili, ale policzek dla tych, którzy myśleli, że jest dobrym gościem. Nawet nie wiem o co ta cała heca, byli naprawdę młodzi, kiedy...

- Byli w naszym wieku - odpowiedział Harry, identycznie jak Hermionie, a wyraz jego twarzy zniechęcił Rona do drążenia tematu.

Duży pająk przysiadł na zmrożonej pajęczynie, rozpiętej pomiędzy gałęziami. Harry wycelował w niego różdżką, którą dostał od Rona poprzedniej nocy, a którą Hermiona określiła jako wykonaną z tarniny.

- *Engorgio!*

Pająk drgnął nieznacznie, odbijając się lekko od pajęczyny. Harry powtórzył zaklęcie, i tym razem pająk urósł odrobinę.

- Przestań! - powiedział ostro Ron. - Przepraszam za tego młodego Dumbledore'a, dobra?

Harry przypomniał sobie, jak bardzo Ron boi się pająków.

- Przepraszam... *Reducio!*

Pająk nie zmniejszył się. Harry spojrzał na tarninową różdżkę. Każdy pomniejszy czar, jaki rzucał z jej użyciem, zdawał się być słabszy niż takie samo zaklęcie, rzucane jego dawną różdżką z rdzeniem z pióra feniksa. Nowa nie leżała pewnie w jego dłoni, Harry czuł się przez to tak, jak gdyby przyczepiono mu na końcu ramienia obcą rękę.

- Musisz po prostu ćwiczyć - powiedziała Hermiona, która bezgłośnie podeszła z tyłu i nerwowo obserwowała, jak Harry starał się zwiększać i zmniejszać pająka. - To tylko kwestia pewności siebie, Harry.

Wiedział, dlaczego Hermiona chciała, aby tak było: wciąż czuła się winna zniszczenia jego własnej różdżki. Powstrzymał się od odpowiedzi, że może oddać jej różdżkę z tarniny i wziąć w zamian jej. Przytaknął jej, zadowolony, że całą trójką są znów przyjaciółmi. Kiedy jednak Ron posłał dziewczynie niepewny uśmiech, umknęła i na powrót skryła twarz za okładką książki.

Wrócili do namiotu, gdy zrobiło się ciemno. Harry wziął pierwszą wartę. Siedząc przy wejściu, starał się zmusić tarninową różdżkę do unoszenia w powietrze niewielkich kamyków, ale jego czary wciąż zdawały się być słabsze i bardziej niezdarne niż wcześniej. Hermiona leżała na swoim posłaniu, czytając, a Ron, po rzuceniu jej kilku nerwowych spojrzeń, wyjął z plecaka drewniane bezprzewodowe radio i zaczął je dostrajać.

- Jest taki jeden kanał - powiedział cicho do Harry'ego - na którym przekazują prawdziwe informacje. Wszystkie inne są kontrolowane przez ministerstwo i Sam-Wiesz-Kogo, ale to... Poczekaj, aż sam posłuchasz, jest świetne. Tylko że nie mogą nadawać każdej nocy, muszą często zmieniać miejsca pobytu, na wypadek pościgu, no i potrzebujesz hasła, żeby móc je odbierać... Problem tkwi w tym, że go zapomniałem....

Uderzył lekko w wierzch radia różdżką, mrucząc pod nosem pojedyncze słowa. Rzucał Hermionie liczne niepewne spojrzenia, spodziewając się wybuchu złości, ale ona kompletnie go ignorowała. Przez blisko dziesięć minut Ron mruczał pod nosem, Hermiona przewracała strony książki, a Harry kontynuował ćwiczenia z tarninową różdżką.

W końcu Hermiona zeszła ze swojej pryczy. Ron natychmiast przestał stukać różdżką w radio.

- Jeśli cię to denerwuje, mogę przestać - powiedział nerwowo.

Hermiona nie zwróciła na niego uwagi, tylko podeszła do Harry'ego.

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

Harry spojrzał na książkę, którą trzymała w zaciśniętych dłoniach. "Życie i kłamstwa Albusa Dumbledore'a".

- O czym? - zapytał niepewnym głosem. Przez myśl przebiegł mu możliwy rozdział, o nim i o dyrektorze. Nie wiedział, czy chce poznać wersję Rity na temat stosunków między nim a Dumbledore'em. Odpowiedź Hermiony jednak zupełnie go zaskoczyła:

- Chcę się zobaczyć z Ksenofiliusem Lovegoodem.

- Że co?

- Ksenofiliusem Lovegoodem. Ojcem Luny. Chcę się z nim zobaczyć!

- Ale po co?

Hermiona wzięła głęboki oddech, jakby dodawała sobie otuchy, i wyjaśniła:

- To ten znak, ten z książki "Baśnie Barda Beedle'a". Spójrz na to!

Podsunęła Harry'emu pod nos "Życie i kłamstwa Albusa Dumbledore'a". Mimo woli zobaczył dowód na nieszczerość Dumbledore'a, prawdziwy, nie wymyślony przez Ritę

Skeeter - list Dumbledore'a do Grindelwalda, pisany znajomym, wąskim charakterem pisma.

- Podpis, Harry, spójrz na podpis!

Przez chwilę nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale kiedy przyjrzał się lepiej, przy świetle różdżki, zobaczył, że Dumbledore zamienił "A" w słowie "Albus" na ten sam trójkątny znak, który narysowano w "Baśniach Barda Beedle'a".

- Ee... Co masz na... - zapytał niepewnie Ron, ale Hermiona uciszyła go spojrzeniem i zwróciła się znów do Harry'ego:

- Ciągle się pojawia, prawda? Wiem, że Wiktor rozpoznał go jako znak Grindelwalda, ale na pewno widzieliśmy go na tym starym grobie w Dolinie Godryka, a daty na nagrobku wskazywały czasy przed Grindelwaldem! A teraz to! Co prawda nie możemy spytać Dumbledore'a ani Grindelwalda, co on oznacza - nie wiem nawet czy Grindelwald nadal żyje - ale możemy spytać pana Lovegooda. Nosił ten symbol na weselu, Harry. Jestem pewna, że to jest ważne!

Harry zwlekał z odpowiedzią. Spoglądał to na jej zaciętą minę, to na otaczającą ich ciemność.

- Hermiono, nie potrzebujemy kolejnej Doliny Godryka - odparł po długim milczeniu. - Wmówiliśmy sobie, że musimy tam pójść i...

- Ale ten znak wciąż się gdzieś przewija, Harry! Jeśli Dumbledore zostawił mi "Baśnie Barda Beedle'a" nie po to, żebym znalazła ten znak, to po co?

- I znów to samo! - zawołał zniecierpliwiony Harry. - Usiłujemy przekonać sami siebie, że Dumbledore zostawia nam sekretne znaki i wskazówki...

- Deluminator okazał się całkiem użyteczny - wtrącił Ron. - Myślę, że Hermiona ma rację, powinniśmy zobaczyć się z Lovegoodem.

Harry rzucił mu ponure spojrzenie. Był przekonany, że Ron popiera Hermionę wcale nie z chęci poznania znaczenia trójkątnego znaku.

- Nie będzie tak, jak w Dolinie Godryka - dodał Ron. - Lovegood jest po twojej stronie, Harry. "Żongler" zawsze cię popierał, ciągle powtarzał, że wszyscy powinni ci pomagać!

- Jestem pewna, że to jest istotne! - wtrąciła Hermiona z uporem.

- Gdyby tak było, to Dumbledore powiedziałby mi przed śmiercią, nieprawdaż?

- Może... może to coś, co musimy odkryć na własną rękę?

- Tak - przyznał usłużnie Ron. - To ma sens.

- Nie, nie ma - rzuciła Hermiona. - Ale nadal sądzę, że powinniśmy zobaczyć się z panem Lovegoodem. Symbol, który łączy Dumbledore'a, Grindelwalda i Dolinę Godryka? Harry, jestem pewna, że powinniśmy się czegoś o nim dowiedzieć!

- Myślę, że powinniśmy zagłosować - powiedział Ron. - Kto za wizytą u Lovegooda...?

Podniósł rękę, zanim Hermiona zdążyła się poruszyć. Spojrzała podejrzliwie na Rona, nim uniosła dłoń.

- Przegłosowany, Harry. - Ron poklepał go po plecach.

- Dobra - odparł Harry, na wpół zdenerwowany, na wpół zaskoczony. - Ale kiedy już będziemy mieli to z głowy, zabierzemy się znowu do szukania horkruksów, zgoda? Gdzie właściwie mieszkają Lovegoodowie, wiecie?

- Taa, niedaleko mojego domu - powiedział Ron. - Nie wiem, gdzie dokładnie, ale mama i tata zawsze wskazują na wzgórza, kiedy o nich mowa. Nie powinniśmy mieć problemów ze znalezieniem.

Kiedy Hermiona wróciła na swoją pryczę, Harry powiedział do Rona zniżonym głosem:

- Zgodziłeś się tylko po to, żeby wrócić do łask!

- W miłości i na wojnie wszystkie chwyty dozwolone - odrzekł Ron, zadowolony z siebie. - A to jest po trochu jedno i drugie. Głowa do góry, są święta, Luna będzie w domu!

Aportowali się następnego ranka na wietrznym wzgórzu, skąd mieli znakomity widok na wioskę Ottery St. Catchpole. Z góry wioska wyglądała jak zestaw zabawkowych domków, oświetlonych kaskadą blasku przebijającego zza chmur. Stali przez minutę czy

dwie, szukając wzrokiem Nory, ale dostrzegli jedynie wysokie krzewy i sad, zasłaniający niewielki domek przed wzrokiem mugoli.

- To dziwne, być tak blisko, a nie móc ich odwiedzić... - powiedział Ron tęsknie.

- Jakbyś jeszcze niedawno nie był z nimi, przecież spędziłeś tu święta - odparła zimno Hermiona.

- Nie byłem w Norze! - Ron zaśmiał się z niedowierzaniem. - Myślisz, że mógłbym do nich pójść i powiedzieć im, że was zostawiłem? Fredowi i George'owi by się to nie spodobało. No i Ginny, taaa, byłaby bardzo wyrozumiała.

- A więc gdzie byłeś? - spytała zaskoczona Hermiona.

- W Muszelce, nowym domu Fleur i Billa. Bill zawsze był w porządku wobec mnie. On... On nie był zachwycony, kiedy usłyszał, co zrobiłem, ale nie wypominał mi tego. Wiedział, że mi przykro. Poza nim nikt z rodziny nie miał pojęcia, gdzie jestem. Bill i Fleur powiedzieli mamie, że nie przyjadą na święta, bo chcą je spędzić sami. No wiecie, pierwsza Gwiazdka po ślubie... Nie wiem czy Fleur w ogóle chciała być u nas... Wiesz jak bardzo nienawidzi Celestyny Warbeck.

Ron odwrócił się plecami do Nory.

- Spróbujmy tędy - powiedział, prowadząc przyjaciół na szczyt wzgórza.

Szli przez parę godzin. Harry uległ namowom Hermiony, by ukryć się pod peleryną-niewidką. Poza jednym małym domkiem, który zdawał się być opuszczony, grupka pagórków była zupełnie pusta.

- Myślisz, że to ich? Może wyjechali na święta? - zapytała Hermiona, spoglądając przez okno na niewielką, czystą kuchnię z geraniami na parapecie. Ron żachnął się.

- Słuchaj, mam takie wrażenie, że starczy jeden rzut oka przez okno i poznamy miejsce, w którym mieszkają Lovegoodowie. Spróbujmy za kolejnymi wzgórzami.

Aportowali się kilka mil dalej na północ.

- Aha! - krzyknął Ron, kiedy wiatr owionął ich ubrania i włosy. Wskazywał na pagórek, gdzie stał najdziwniejszy dom, jaki dotąd widzieli. Wyrastał pionowo ku niebu, niczym wielki, czarny walec z wielkim księżycem w tle, wiszącym tuż za nim na popołudniowym niebie.

- To musi być dom Luny, kto inny mógłby mieszkać w takim miejscu? Wygląda jak wielka figura...

- To w niczym mi nie przypomina posągu - odparła Hermiona, wzdrygając się.

- Miałem na myśli figurę szachową. No wiesz, wieżę... Dla ciebie bardziej zamek.

Ron miał najdłuższe nogi, więc najszybciej stanął na szczycie wzgórza. Kiedy pozostali dotarli, dysząc i trzymając się za boki, zobaczyli go szeroko uśmiechniętego.

- To ich dom - oświadczył Ron. - Zobaczcie sami.

Do połamanej bramy były przyczepione trzy ręcznie malowane tabliczki. Na pierwszej widniał napis: *Żongler. Redaktor naczelny: K. Lovegood*, na drugiej: *Przynieś własną jemiołę*, na trzeciej zaś: *Uwaga na śliwki samosterujące.*

Otworzyli bramę - zgrzytnęła. Kręta ścieżka, prowadząca do drzwi frontowych, była porośnięta gęstwiną różnych dziwacznych roślin, w tym krzewami pokrytymi pomarańczowymi, podobnymi do rzodkiewek owocami, które Luna nosiła czasem jako kolczyki. Harry'emu zdawało się, że rozpoznał też wnykopieńki, więc trzymał się z daleka od postarzałego pniaka. Dwie stare rajskie jabłonie, nadwątlone przez wiatr, obdarte z liści lecz wciąż ciężkie od czerwonych owoców i zdobne w krzaczaste wiechy białej jemioły, pilnowały obu stron drzwi. Niewielka sowa z wąską, jakby nieco sokolą głową spoglądała na gości z gałęzi.

- Lepiej zdejmij pelerynę-niewidkę, Harry - powiedziała Hermiona. - To tobie pan Lovegood chce pomóc, nie nam.

Posłuchał i pozwolił, aby schowała pelerynę do swojej torby. Czarne drzwi frontowe nabite były żelaznymi gwoździami i wisiała na nich kołatka w kształcie orła. Hermiona trzykrotnie zastukała do drzwi.

Minęło zaledwie dziesięć sekund, nim otworzyły się i na progu stanął Ksenofilius Lovegood, bosy i w poplamionej koszuli nocnej. Jego długie, białe, przypominające watę cukrową włosy były brudne i rozczochrane. Wyglądał znacznie gorzej niż na weselu Billa i Fleur.

- Co? Co jest? Kim jesteście? Czego chcecie? - zawołał wysokim, pełnym wyrzutu głosem, spoglądając najpierw na Hermionę, potem na Rona, a na końcu na Harry'ego - przy tym ostatnim jego usta zamieniły się w idealne, komiczne "O".

- Witam, panie Lovegood - powiedział Harry, podając mu rękę. - Jestem Harry, Harry Potter.

Ksenofilius nie uścisnął wyciągniętej dłoni, tylko zezował jednym okiem (tym, które nie było skierowane na jego własny nos) na bliznę na czole Harry'ego.

- Możemy wejść? - zapytał Harry. - Chcielibyśmy pana o coś spytać.

- Ja... Ja nie jestem pewny, czy to dobry pomysł... - szepnął Ksenofilius. Przełknął ślinę i rzucił szybkie spojrzenie na ogród. - Ja... Obawiam się, że nie powinienem...

- To nie zajmie dużo czasu - powiedział Harry, rozczarowany chłodnym powitaniem.

- Ja... No, skoro tak... Zgoda. Wejdźcie, szybko. *Szybko!*

Ledwie zdążyli przekroczyć próg, Ksenofilius zatrzasnął drzwi za ich plecami. Stali w najdziwniejszej kuchni, jaką Harry kiedykolwiek widział. Pomieszczenie miało kształt idealnego okręgu - wydawało się, że są zamknięci w gigantycznej solniczce. Całe umeblowanie zostało przycięte w taki sposób, aby pasowało do ścian: piec, zlewozmywak i szafki, a wszystko pomalowane w kwiaty, ptaki i owady w jasnych, podstawowych kolorach. Harry rozpoznał styl Luny: w tym zamkniętym pomieszczeniu wręcz przytłaczał.

Na środku podłogi znajdowały się spiralne, żelazne schody, prowadzące na górne piętra. Dobiegało stamtąd głośne dudnienie i brzdęk. Harry zastanawiał się, co Luna może tam wyprawiać.

- Lepiej chodźmy na górę - powiedział Ksenofilius i poszedł przodem. Wciąż wyglądał na zaniepokojonego.

Pokój powyżej musiał być czymś pomiędzy salonem a warsztatem, bardziej zagraconym, niż kuchnia. Przypominał Harry'emu Pokój Życzeń, kiedy ten zmieniał się w labirynt ukrytych przez stulecia przedmiotów (pomimo że pokój Ksenofiliusa był o wiele mniejszy i okrągły). Wszędzie leżały stosy książek i papierów. Misternie wykonane modele stworzeń, których Harry nie rozpoznawał, zwisały z sufitu, łopocząc skrzydłami bądź kłapiąc paszczami.

Luny tu nie było: cały ten hałas robiła drewniana maszyneria z obracanymi magią zębatkami i kołami. Wyglądała jak dziwaczna krzyżówka biurka i zestawu starych półek, ale po dłuższej chwili Harry zdał sobie sprawę, że patrzy na staroświecką prasę drukarską, wyrzucającą z siebie kolejne egzemplarze "Żonglera".

- Wybaczcie na chwilę - powiedział Ksenofilius. Podszedł do maszyny i zakrył ją wyciągniętym spod sterty ksiąg i papierów grubym obrusem. Hałas maszyny częściowo przycichł.

- Po co tu przyszliście? - Ksenofilius zwrócił się do Harry'ego.

- Panie Lovegood, co to jest? - Hermiona wskazała na ogromny, szary, spiralnie skręcony róg, przypominający nieco róg jednorożca, długi na kilka stóp, przytwierdzony do ściany pokoju.

- To jest róg chrapaka krętorogiego - wyjasnił Ksenofilius.

- Nie, to niemożliwe!

- Hermiono - szepnął zawstydzony Harry - to nie jest dobry moment na...

- Ale Harry, to jest róg buchorożca! To materiał handlowy klasy B, niezwykle niebezpieczna rzecz do trzymania w domu!

- Skąd wiesz, że to róg buchorożca? - zapytał Ron, odsuwając się od przedmiotu tak szybko, jak mógł.

- Jest opisany w podręczniku "Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć"! Panie Lovegood, musi się pan go pozbyć. Nie wie pan, że może wybuchnąć przy najlżejszym dotknięciu?

- Chrapak krętorogi - powiedział wyraźnie Ksenofilius, z upartym wyrazem twarzy - jest bardzo wrażliwym i silnie magicznym stworzeniem, a jego róg...

- Panie Lovegood, rozpoznaję ten wzór u nasady - to róg buchorożca. I jest niesamowicie niebezpieczny, nie mam pojęcia, gdzie pan go zdobył...

- Kupiłem go - powiedział Ksenofilius nieustępliwie. - Dwa tygodnie temu od pewnego przyjaznego, młodego czarodzieja, który wiedział o moim zainteresowaniu

chrapakiem. Prezent gwiazdkowy dla mojej Luny. Co dokładnie pana do mnie sprowadza, panie Potter?

- Potrzebujemy pomocy - powiedział szybko Harry, nie pozwalając Hermionie dojść do słowa.

- Ach, pomocy. Rzecz w tym, że... - Zdrowe oko Lovegooda ponownie skierowało się na bliznę Harry'ego. Wydawał się być równie mocno przestraszony, co zahipnotyzowany. - ...pomaganie Harry'emu Porterowi... to niebezpieczna sprawa.

- Czy to nie pan powtarza wszystkim, że należy pomagać Harry'emu? W tym pana czasopiśmie?

Ksenofilius obejrzał się za siebie, na zakrytą prasę drukarską, która wciąż wydawała z siebie zgrzyty i piski.

- Tak, wyraziłem taki pogląd. Jednakże...

- To było do wszystkich innych, oprócz pana? - odezwał się Ron.

Ksenofilius nie odpowiedział. Wciąż przełykał ślinę, jego spojrzenie przeskakiwało po całej trójce. Harry miał wrażenie, że odbywał właśnie bolesną, wewnętrzną walkę.

- Gdzie jest Luna? - zapytała Hermiona. - Dowiedzmy się, co ona o tym sądzi.

Ksenofilius wydał z siebie głośny bulgot. Przez chwilę wyglądał, jakby dodawał sobie sił, a w końcu odezwał się drżącym głosem, niewiele głośniejszym od stukotu prasy drukarskiej:

- Luna jest nad strumieniem, łowi plumpki. Na pewno chętnie się z wami zobaczy. Pójdę ją zawołać, a potem... Tak, a potem spróbujemy wam pomóc.

Zszedł po spiralnych schodach, usłyszeli dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Spojrzeli po sobie.

- Tchórzliwy, stary pierdziel - powiedział Ron. - Luna jest dziesięć razy odważniejsza.

- Zapewne martwi się, co będzie, jak śmierciożercy dowiedzą się o mojej wizycie tutaj - uznał Harry.

- Zgadzam się z Ronem - dodała Hermiona. - Okropny, stary hipokryta, mówi wszystkim, że należy ci pomagać, a sam stara się wykręcić. I, na brodę Merlina, trzymajcie się z daleka od tego rogu!

Harry podszedł do okna w oddalonej części pokoju. Zobaczył strumień, wąską, błyszczącą wstążkę leżącą daleko od nich, u stóp wzgórza. Byli bardzo wysoko: ptaki przeleciały przed oknem, kiedy patrzył w kierunku Nory, niewidocznej za linią drzew. Gdzieś tam była Ginny. Byli bliżej siebie niż kiedykolwiek wcześniej od dnia ślubu Billa i Fleur, ale ona nie mogła mieć pojęcia, że Harry jej wypatruje, że o niej myśli. Powinien być z tego zadowolony: zachowanie Ksenofiliusa udowodniło mu, że każdy, kto się z nim styka, jest w niebezpieczeństwie.

Odwrócił się od okna i spojrzał na kolejny dziwaczny przedmiot, stojący na zapchanej, łukowato wygiętej szafce: kamienne popiersie pięknej, ale jednocześnie groźnie wyglądającej wiedźmy, noszącej najdziwniejsze nakrycie głowy, jakie Harry kiedykolwiek widział. Z obu stron opaski sterczało coś w rodzaju dwóch złotych trąbek do uszu, z przodu, na czole zwisała jedna z owych pomarańczowych rzodkiewek, a całość zwieńczona była parą niewielkich, błękitnych skrzydełek.

- Spójrzcie na to - powiedział Harry.

- Chwytliwe - rzucił Ron. - Ciekawe, czemu nie założył tego na wesele.

Usłyszeli stuknięcie zamykanych drzwi wejściowych, a po chwili Ksenofilius wspiął się po spiralnych schodach: miał teraz kalosze, niósł przed sobą tacę pełną niedobranych do siebie filiżanek i parujący czajnik.

- Aa, zauważyliście mój ulubiony wynalazek - powiedział, podając Hermionie tacę i podchodząc do Harry'ego. - Wymodelowany, dobrze dopasowany, na głowie pięknej Roweny Ravenclaw. *Kto ma olej w głowie, temu dość po słowie!*

Sięgnął po przedmioty, przypominające trąbki do uszu.

- To są filtry gnębiwtrysków, aby usunąć wszystkie źródła zakłóceń z najbliższego otoczenia myśliciela. Tutaj - powiedział, wskazując maleńkie skrzydła - jest śmigło żądlibąka, wprowadzające we wzniosły nastrój. Na koniec - tu wskazał na pomarańczową rzodkiewkę - śliwka samosterująca, żeby zwiększyć zdolność pojmowania tego, co niezwykłe.

- Czy mogę zaproponować wam wyciąg z tykwobulwy? Sami go robimy. - Zaczął nalewać do filiżanek napój o głębokiej, fioletowej barwie, przypominającej sok z buraków. - Luna poszła na Dolny Most, jest bardzo podekscytowana waszą wizytą. Niedługo powinna przyjść, ma już niemal dość plumpek na zupę dla wszystkich. Siadajcie, proszę, tu jest cukier.

Ksenofilius wziął na powrót tacę, którą Hermiona odłożyła, dość niepewnie, na jeden z zagraconych stolików.

- A więc - ciągnął, zrzucając stos papierów z fotela i siadając na nim - jak mogę panu pomóc, panie Potter?

- No więc... - powiedział Harry, spoglądając na Hermionę, która skinęła zachęcająco głową. - Chodzi o ten symbol, który nosił pan na szyi podczas wesela Billa i Fleur, panie Lovegood. Zastanawiamy się, co on oznacza...

Ksenofilius uniósł brwi.

- Chodzi wam o znak Darów Śmierci?

Rozdział 21
Legenda o Trzech Braciach

Tłumaczenie: Śmiertelny Rogal i Bóbr Remusa

Harry spojrzał na Rona i Hermionę. Wyglądało na to, że żadne z nich nie wiedziało, o czym mówił Ksenofilius.

- Dary Śmierci?

- Dokładnie - odrzekł ojciec Luny. - Nigdy o nich nie słyszeliście? W sumie to się nie dziwię. Bardzo, bardzo niewielu czarodziejów w nie wierzy. Przykładem może być ten młody mięśniak na ślubie twojego brata - zwrócił się do Rona - który zaatakował mnie za paradowanie z symbolem dobrze znanego czarnoksiężnika! W Darach nie ma ani krzty mroku... Przynajmniej nie w dosłownym znaczeniu. Nosi się ten symbol, żeby dać znać innym, którzy wierzą. W nadziei, że pomogą oni w Poszukiwaniu.

Wrzucił sobie kilka kostek cukru do soku z tykwobulwy, wymieszał i upił łyk.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł Harry - ale nadal nie do końca rozumiem.

Z grzeczności także upił łyk napoju ze swojej filiżanki i niemal natychmiast się zakrztusił. Wywar był obrzydliwy - jakby ktoś upłynnił i wymieszał wszystkie najgorsze rodzaje Fasolek Wszystkich Smaków Bertiego Botta.

- Bo widzicie, osoby, które wierzą, szukają Darów Śmierci - zaczął tłumaczyć pan Lovegood, mlaszcząc z uznaniem nad sokiem.

- Ale proszę nam powiedzieć czym są Dary Śmierci.

Ksenofilius odstawił pustą filiżankę.

- Czy mogę przypuszczać, że wszyscy znacie „Legendę o Trzech Braciach"?

Harry powiedział „nie", ale Ron z Hermioną jednocześnie potwierdzili. Ksenofilius kiwnął głową.

- No cóż, panie Potter, wszystko zaczyna się od „Legendy o Trzech Braciach"... Chyba gdzieś ją mam...

Niepewnie potoczył wzrokiem po pokoju ze stertami pergaminów i książek, lecz zanim zdążył cokolwiek zrobić, odezwała się Hermiona:

- Mam ze sobą książkę, panie Lovegood, zaraz znajdę.

I po chwili wyciągnęła ze swojej torebki „Baśnie Barda Beedle'a".

- Oryginał? - zainteresował się Ksenofilius, a kiedy potwierdziła, dodał: - Więc może przeczytasz nam na głos? W ten sposób chyba wszyscy zrozumiemy.

- Eee... No dobrze - odpowiedziała nerwowo. Otworzyła książkę, a Harry zobaczył narysowany na górze stronicy znak, nad którym tyle rozmyślali. Hermiona odkaszlnęła nerwowo i zaczęła czytać:

- Dawno temu było sobie trzech braci, którzy o brzasku przemierzali odludną, krętą drogę...

- O północy. Nasza mama zawsze nam mówiła, że o północy - wtrącił się Ron, który słuchając wyciągnął się wygodnie na kanapie z rękami pod głową. Dziewczyna rzuciła mu tylko zirytowane spojrzenie.

- No wybacz, po prostu uważam, że o północy byłoby straszniej! - rzekł.

- Taaa, bo w naszym życiu przyda się jeszcze trochę więcej makabry - wtrącił Harry, zanim zdążył się powstrzymać.

Wydawało się, że Ksenofilius nie przykładał zbyt dużej wagi do tego, co się dzieje, bo wyglądał przez okno, patrząc w niebo.

- Dobra, kontynuuj, Hermiono.

- Po pewnym czasie bracia dotarli do rzeki zbyt głębokiej, by przejść ją w bród, i zbyt rwącej, by ją przepłynąć. Jednakże byli dobrymi czarodziejami, machnęli różdżkami, a nad niebezpieczną wodą ukazał się most. Byli już w połowie, kiedy spostrzegli, że drogę zagradza im zakapturzona postać.

A wtedy Śmierć przemówiła do nich...

- Przepraszam - przerwał Harry - ale *Śmierć* z nimi rozmawiała?

- Harry, przecież to bajka!

- No tak, przepraszam. Czytaj dalej.

- A wtedy Śmierć przemówiła do nich. Była wściekła, że dała się oszukać trzem nowym ofiarom. Wszyscy podróżni zazwyczaj tonęli w tej rzece. Lecz Śmierć była przebiegła. Udawała, że gratuluje trzem śmiałkom i powiedziała, że każdy z nich zasługuje na nagrodę za to, że udało im się jej uniknąć.

Najstarszy z braci, który był bardzo waleczny, poprosił o różdżkę potężniejszą niż jakakolwiek istniejąca. Różdżkę, która miała zawsze zwyciężać pojedynki dla swego właściciela; różdżkę wartą człowieka, który pokonał Śmierć! Więc Śmierć podeszła do bzu, rosnącego na brzegu rzeki, zerwała z niego gałąź, którą uformowała w różdżkę, po czym dała ją najstarszemu z braci.

Średni z braci - człowiek arogancki - postanowił upokorzyć Śmierć jeszcze bardziej i poprosił o moc odwoływania zmarłych sprzed oblicza Śmierci. Więc podniosła z brzegu kamień i podając go drugiemu bratu, rzekła, że kamień ten może przywracać umarłym życie.

Na końcu Śmierć zapytała najmłodszego z braci, czego sobie życzy. Był on najskromniejszym i najmądrzejszym z braci, i nie ufał Śmierci. Dlatego też poprosił ją o coś, co pozwoli mu się oddalić z tego miejsca w taki sposób, żeby Śmierć nie mogła za nim podążyć. A wtedy ona oddała mu, bardzo niechętnie, swoją własną Pelerynę Niewidzialności.

- To Śmierć miała pelerynę - niewidkę? - ponownie przerwał Harry.

- Żeby mogła się podkradać - odrzekł Ron. - Czasami jej się może nudzić to ciągłe bieganie za ludźmi, machanie rękami i wrzeszczenie... Przepraszam, Hermiono.

- Wtedy Śmierć pozwoliła im przejść na drugą stronę, by ruszyli w dalszą drogę, co uczynili, rozmawiając ze zdumieniem o przygodzie, którą przeżyli oraz zachwycając się prezentami od Śmierci.

Po pewnym czasie bracia poszli własnymi drogami, każdy zmierzając na spotkanie z własnym losem.

Pierwszy z braci podróżował jeszcze przez tydzień albo i dłużej, a kiedy dotarł do odległej wioski, znalazł czarodzieja, z którym się pokłócił. Jako że walczył Starszą Różdżką, oczywiście wygrał pojedynek. Pozostawiając martwego przeciwnika na ziemi, sam udał się do karczmy, gdzie głośno szczycił się potężną różdżką, którą zabrał samej Śmierci oraz tym, że stał się teraz niepokonany.

Tej samej nocy jakiś czarodziej zakradł się w miejsce, gdzie najstarszy z braci leżał odurzony winem. Złodziej zabrał mu różdżkę i na wszelki wypadek poderżnął gardło.

I w ten sposób pierwszego z braci zabrała Śmierć.

Tymczasem średni brat przybył do własnego domu, gdzie mieszkał sam. Kiedy był już w środku, wyciągnął kamień, który miał moc przywracania do życia i obrócił go w dłoni trzy razy. Ku jego zdumieniu i radości pojawił się przed nim wizerunek przedwcześnie zmarłej dziewczyny, którą kiedyś chciał poślubić.

Lecz niestety była ona smutna i zimna, oddzielona od niego jakby woalem. Mimo że wróciła do świata żywych, to nie pasowała do niego i cierpiała z tego powodu. W końcu i drugi z braci, po tym, jak popadł w szaleństwo, zabił się, by naprawdę dołączyć do swojej ukochanej.

I w ten sposób drugiego z braci zabrała Śmierć.

A chociaż szukała trzeciego z nich przez wiele długich lat, nie zdołała go znaleźć. Dopiero gdy się zestarzał, najmłodszy z braci ściągnął Pelerynę Niewidzialności i przekazał ją swojemu synowi. Wtedy powitał Śmierć jak starą przyjaciółkę i, jak równy z równym, oboje opuścili to życie.

Hermiona zamknęła książkę. Dopiero po kilku chwilach Ksenofilius zdawał się zauważyć, że skończyła czytać. Oderwał wzrok od okna i rzekł:

- No to teraz rozumiecie.

- Słucham? - zapytała zmieszana.

- To są Dary Śmierci - odpowiedział jej pan Lovegood.

Podniósł ze stołu pióro i wyciągnął kawałek pergaminu spomiędzy książek.

- Starsza Różdżka - rzekł, rysując prostą pionową linię na pergaminie. - Kamień Wskrzeszenia - kontynuował, dorysowując okrąg na linii. - Peleryna Niewidzialności - zakończył, zamykając linię i okrąg w trójkącie, tworząc symbol, który tak bardzo intrygował Hermionę. - Razem - dodał - tworzą Dary Śmierci.

- Ale przecież w legendzie ani razu nie padają słowa „Dary Śmierci" - rzekła.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział ojciec Luny, wyglądając na strasznie zadowolonego z siebie. - To bajka dla dzieci - napisana po to, by bawić, a nie po to, by dawać wskazówki. Jednakże dla tych, którzy rozumieją, ta historia odnosi się do trzech przedmiotów, czyli Darów, które, jeśli się je zjednoczy, sprawią, iż ich posiadacz stanie się panem Śmierci.

Gdy zapanowała cisza, Ksenofilius znów wyjrzał przez okno. Słońce wisiało już nisko na niebie.

- Luna już niedługo powinna mieć wystarczająco dużo plumpek - powiedział cicho.

- Kiedy mówi pan „panem Śmierci"... - zaczął Ron.

- Pan - odpowiedział pan Lovegood, machając lekko ręką. - Pogromca. Zwycięzca. Sam sobie wybierz, co wolisz.

- Ale... Czy chce nam pan przez to powiedzieć... - rzekła powoli Hermiona, a Harry mógłby przysiąc, że starała się pozbyć jakiegokolwiek cienia sceptycyzmu z głosu - że wierzy pan w to, że te przedmioty, Dary, naprawdę istnieją?

Mężczyzna uniósł brwi.

- Ależ oczywiście.

- Ale - zaczęła, a Harry słyszał w jej tonie oznaki, że jej starania spełzają na niczym - panie Lovegood, jak pan *może* wierzyć...

- Luna mi o tobie opowiadała, młoda damo - przerwał jej. - Przypuszczam, że nie jesteś mało inteligentna, ale niestety ograniczona. Małostkowa. Racjonalna.

- Może powinnaś przymierzyć ten kapelusz, Hermiono - zażartował Ron, wskazując na idiotyczne nakrycie głowy. Głos trząsł mu się od wstrzymywanego śmiechu.

- Panie Lovegood - zaczęła znowu Hermiona - wszyscy wiemy, że istnieją takie rzeczy jak peleryny - niewidki. Są rzadko spotykane, ale istnieją. Natomiast...

- Och, ale trzeci Dar jest *prawdziwą* Peleryną Niewidzialności, panno Granger! Mam na myśli, że to nie jest jakiś tam zwykły płaszcz, który został nasycony zaklęciem kameleona czy klątwą oślepiającą, albo nawet upleciony z sierści demimoza. Wszystkie te środki sprawiają, że płaszcz potrafi ukryć, lecz tylko tymczasowo, gdyż z biegiem lat, zaklęcia się wyczerpują, a okrycie przestaje działać. Mówię o pelerynie, rzeczywiście i prawdziwie czyniącej osobę, która ją zakłada, niewidzialną. I działa wiecznie, dając stałą kryjówkę i osłonę nie do przebicia, bez względu na to, jakie zaklęcia są rzucane w jej kierunku. Jak wiele *takich* peleryn widziała pani w życiu, panno Granger?

Dziewczyna otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale po chwili je zamknęła, jeszcze bardziej zagubiona. Cała trójka spojrzała na siebie, a Harry wiedział, że wszyscy myślą o tym samym - wyglądało na to, że dokładnie taką pelerynę, jaką opisał Ksenofilius, mają właśnie w tej chwili ze sobą.

- No właśnie - rzekł Lovegood takim tonem, jakby pokonał ich wszystkich tym jednym argumentem. - Żadne z was nie widziało w życiu czegoś takiego. Posiadacz byłby niewiarygodnie bogaty, prawda?

Po raz kolejny wyjrzał przez okno. Niebo już poróżowiało.

- No dobrze - odezwała się nieco zbita z tropu Hermiona. - Powiedzmy, że peleryna istnieje. Ale co z kamieniem, panie Lovegood? Z przedmiotem, który nazywa pan Kamieniem Wskrzeszenia?

- A co ma być?

- No, jak to możliwe, że coś takiego istnieje?

- A udowodnij mi, że nie istnieje - odpowiedział.

Hermiona była oburzona.

- Przecież to... Przepraszam, ale to całkowicie absurdalne! W jaki sposób *mogłabym* udowodnić, że nie istnieje? Oczekuje pan, że będę sprawdzać każdy kamień na tym świecie, czy aby przypadkiem zadziała? Chodzi mi o to, że można w ten sposób udowodnić, że *jakakolwiek* rzecz istnieje, za jedyny argument posiadając tylko to, że nikt nie *udowodnił*, że nie istnieje.

- Oczywiście, że można - powiedział Ksenofilius. - Cieszy mnie ogromnie, że otwiera ci się umysł.

- Uważa pan też - wtrącił szybko Harry, zanim Hermiona zdążyła cokolwiek odpowiedzieć - że Starsza Różdżka też istnieje?

- Och, w tym przypadku istnieje mnóstwo dowodów - odpowiedział mu. - Starszą Różdżkę najprościej wytropić, przez sposób, w jaki wędruje z rąk do rąk.

- Jaki to sposób? - zapytał Potter.

- Trzeba ją odebrać poprzedniemu właścicielowi, by stać się jej prawowitym panem - odrzekł Lovegood. - Na pewno słyszeliście jak różdżka trafiła w ręce Egberta Kapitalnego po tym, jak ten zamordował Emeryka Złego? O tym, jak zginął w lochu Godelot, gdy jego własny syn Hereward odebrał mu różdżkę. O tym, jak przerażający Loksias odebrał różdżkę Barnabasowi Deverill, którego zabił? Krwawy ślad Starszej Różdżki ciągnie się przez karty historii magicznego świata.

Harry spojrzał na Hermionę. Patrzyła krzywym okiem na Ksenofiliusa, ale nie zaprzeczała.

- A wie pan gdzie może teraz być ta cała Starsza Różdżka? - zapytał Ron.

- A któż to wie? - odparł mężczyzna, ponownie wyglądając przez okno. - Kto to wie, gdzie obecnie spoczywa schowana przed światem? Ślad kończy się na Arcusie i Liwiuszu. Nikt nie wie, który z nich zwyciężył Loksiasa i zabrał różdżkę. Tak samo, jak nikt nie ma pojęcia, kto odebrał różdżkę im. Historia nam tego nie mówi.

W końcu, po pewnej przerwie, Hermiona zapytała sztywno:

- Panie Lovegood, czy rodzina Peverellów jest w jakiś sposób powiązana z Darami Śmierci?

Ksenofilius wyglądał na zaskoczonego. Harry miał wrażenie, że gdzieś już słyszał to nazwisko, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

- Oj, wprowadziłaś mnie w błąd, młoda damo! - rzekł ojciec Luny, siadając teraz prościej i wytrzeszczając oczy na Hermionę. - Myślałem, że kwestia Poszukiwania Darów jest ci całkowicie obca! Wielu z Poszukiwaczy wierzy, że Peverellowie są całkowicie, naprawdę *całkowicie* powiązani z Darami!

- Kim są Peverellowie? - zapytał Ron.

- To nazwisko było wypisane na grobie z tym znakiem. W Dolinie Godryka - odpowiedziała Hermiona, cały czas patrząc na Lovegooda. - Ignotus Peverell.

- Dokładnie! - rzekł Ksenofilius, podnosząc do góry palec, by podkreślić powagę sytuacji. - Znak Darów Śmierci na nagrobku jest niepodważalnym dowodem!

- Dowodem na co? - zapytał Ron.

- Jak to? Na to, że trzech braci z legendy, to bracia Peverell - Antioch, Cadmus i Ignotus! Na to, że to oni byli pierwszymi właścicielami Darów!

Gdy po raz kolejny spojrzał w okno, wstał, chwycił tacę i ruszył w stronę schodów.

- Zostaniecie na kolacji? - zawołał już z dołu. - Wszyscy chcą wziąć od nas przepis na zupę ze słodkowodnych plumpek.

- Chyba tylko po to, żeby pokazać go na oddziale zatruć w Świętym Mungu - wymamrotał pod nosem Ron.

Harry odczekał, aż Ksenofilius zacznie się krzątać po kuchni i dopiero wtedy przemówił:

- Co o tym sądzisz? - zapytał Hermiony.

- Ech, Harry - rzekła ze zmęczeniem. - To jest jeden wielki stek bzdur. Ten znak na pewno tego nie oznacza. To pewnie jego własna dziwna wersja wydarzeń. Marnujemy tylko czas.

- No, w końcu to facet, który wymyślił chrapaki krętorogie - wtrącił Ron.

- Też w to nie wierzysz? - zapytał go.

- Nie, to przecież tylko bajka, którą się opowiada dzieciom, żeby je czegoś nauczyć. No, na przykład: „Nie szukaj kłopotów, nie zaczynaj bójek, nie mieszaj się w nie swoje sprawy. Idź przez życie z opuszczoną głową, pilnuj własnego nosa, a wszystko będzie w porządku". Kiedy o tym pomyśleć dłużej - dodał - to chyba od tej legendy wywodzi się przekonanie, że różdżki z bzu mają przynosić pecha.

- O czym ty gadasz?

- No wiecie, to takie powiedzenie, nie? Jeden z tych przesądów, co? „Wiedźmy majowe - mugolskie synowe", „Co zmierzch zaczaruje, północ odczaruje", „Kto bzem czaruje - bogactw nie zyskuje". Musieliście o nich słyszeć, moja mama zna ich pełno.

- Mnie i Harry'ego wychowali mugole - przypomniała Hermiona. - I znamy inne przesądy.

Westchnęła głęboko, gdy dość gryzący zapach dotarł do nich z kuchni. Ksenofilius ją zirytował tak, że zapomniała o swojej złości na Rona.

- Myślę, że masz rację - powiedziała. - To tylko moralizatorska bajeczka, przecież wiadomo, który podarunek jest najlepszy, który byś wybrał...

Cała trójka odezwała się jednocześnie. Hermiona powiedziała: „peleryna", Ron - „różdżka", a Harry - „kamień".

Spojrzeli po sobie, zaskoczeni i rozbawieni jednocześnie.

- Powiedzmy, że wybierzesz pelerynę - oświadczył Ron. - Ale nie potrzebowałabyś być niewidzialna, mając różdżkę. *Niezwyciężoną różdżkę*, Hermiona, daj spokój!

- Pelerynę - niewidkę już mamy - odezwał się Harry.

- I całkiem sporo jej zawdzięczamy, jeśli nie zauważyłeś! - powiedziała Hermiona. - Natomiast różdżka przyciągałaby kłopoty...

- ...tylko wtedy, gdybyś o niej rozpowiadała - sprzeciwił się Ron. - Tylko, jeśli byłabyś na tyle durna, żeby wymachiwać różdżką i podskakiwać dookoła, śpiewając: „Mam niezwyciężoną różdżkę, chodźcie i weźcie ją sobie, jeśli sądzicie, że jesteście wystarczająco twardzi". Tak długo, jak trzymałabyś gębę na kłódkę...

- Tak, tylko czy *dałbyś radę* trzymać gębę na kłódkę? - odparła Hermiona sceptycznie. - Wiesz, jedyne, o czym on opowiedział, a co było zgodne z prawdą, to to, że przez setki lat krążyły historie o niesamowicie potężnych różdżkach.

- Tak? - spytał Harry.

Hermiona sprawiała wrażenie rozdrażnionej. Wyraz jej twarzy był tak przyjemnie znajomy, że Harry i Ron uśmiechnęli się szeroko do siebie nawzajem.

- Berło Śmierci, Różdżka Przeznaczenia... występują pod różnymi imionami od wieków, zazwyczaj są w posiadaniu jakiegoś czarnoksiężnika, który się nimi przechwala. Profesor Binns wspomniał o niektórych z nich, ale... Nie, to bez sensu. Różdżki są równie potężne, co ich właściciele i nic więcej. Niektórzy po prostu lubią rozpowiadać, że są silniejsi i lepsi, niż inni.

- Ale skąd wiesz, że te różdżki... Berło Śmierci, Różdżka Przeznaczenia i tak dalej, że nie są tą samą różdżką, która występowała pod kilkoma nazwami? - powiedział Harry.

- I co, wszystkie są Starszą Różdżką, którą zrobiła Śmierć? - zapytał Ron.

Harry roześmiał się. Dziwny pomysł, który przemknął mu przez głowę, był niedorzeczny. Jego różdżka, jak sobie przypomniał, była z ostrokrzewu, nie bzu, i została

wykonana własnoręcznie przez Ollivandera, niezależnie od tego, co zrobiła w noc, gdy Voldemort ścigał go po niebie. I jeśli była niezwyciężona, to dlaczego się złamała?

- A ty dlaczego wybrałeś kamień? - Ron zapytał Harry'ego.

- Cóż, jeśli mógłbym przywracać ludzi do życia, mielibyśmy z powrotem Syriusza... Szalonookiego... Dumbledore'a... moich rodziców...

Żadne z pozostałej dwójki się nie uśmiechnęło.

- Ale, jak twierdzi Bard Beedle, oni nie chcieliby wrócić, prawda? - powiedział Harry, myśląc o opowieści, jaką właśnie usłyszał. - Nie sądzę, żeby powstała masa innych historii na temat kamienia, który ożywia zmarłych, co? - spytał Hermiony.

- Nie - odpowiedziała ze smutkiem. - Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek poza panem Lovegoodem mógł się tak łatwo na to nabrać. Beedle prawdopodobnie zaczerpnął pomysł z historii o kamieniu filozoficznym. No wiecie, zamiast kamienia, który sprawia, że jesteś nieśmiertelny, napisał o takim, który przywraca zmarłych do życia.

Zapach z kuchni stawał się coraz intensywniejszy, kojarząc się z płonącymi kalesonami. Harry zastanawiał się, na ile jadalne będzie to coś, co gotował Ksenofilius.

- No, a co z peleryną? - powiedział Ron powoli. - Nie zdajecie sobie sprawy, że on ma rację? Przyzwyczaiłem się do peleryny - niewidki Harry'ego i nigdy nie przestałem myśleć o tym, że jest dobra. Nigdy nie słyszeliśmy o innej, podobnej. Jest niezawodna. Nigdy nas nie złapano, kiedy jej używaliśmy...

- Oczywiście, że nie. Pod nią jesteśmy niewidzialni, Ron!

- Ale to wszystko, co mówił o innych pelerynach - a nie są specjalnie tanie - wiecie, że to prawda! Nigdy wcześniej nie przyszło mi to na myśl, ale słyszałem historie o tym jak czar się wyczerpał, gdy peleryna się zestarzała, albo o tym, jak rozdzierają je zaklęcia. Ta, którą ma Harry, należała do jego ojca, więc nie jest nowa, ale i tak jest... idealna!

- Tak, jasne, Ron, ale *kamień*...

Gdy oni dyskutowali szeptem, Harry przeszedł przez pokój, prawie nie słuchając. Kiedy znalazł się przy spiralnych schodach, wzniósł oczy, w roztargnieniu spoglądając na wyższe piętro. Z sufitu spoglądała na niego jego własna twarz.

Po chwili zakłopotania zdał sobie sprawę, że to nie było lustro, ale obraz. Zaciekawiony, zaczął wchodzić wyżej.

- Harry, co ty robisz? Nie powinieneś tam wchodzić, kiedy go nie ma!

Ale Harry już był na następnym piętrze.

Luna udekorowała sufit swojej sypialni pięcioma pięknie namalowanymi twarzami: Harry'ego, Rona, Hermiony, Ginny i Neville'a. Nie poruszały się, jak portrety w Hogwarcie, ale było w nich jednak trochę magii: Harry miał wrażenie, że oddychają. To, co Harry wziął za pięć złotych łańcuchów, splatających się wokół obrazów i łączących je, przy bliższym przyjrzeniu, w rzeczywistości okazało się jednym słowem, powtórzonym setki razy: *Przyjaciele... przyjaciele... przyjaciele...*

Harry nagle poczuł napływ sympatii do Luny. Rozejrzał się po pokoju. Obok łóżka znajdowała się duża fotografia przedstawiająca małą Lunę i kobietę, bardzo do niej podobną. Przytulały się nawzajem. Luna wyglądała na bardziej zadbaną. Zdjęcie było zakurzone, co wydało się mu nieco dziwne. Rozejrzał się dookoła.

Coś było nie tak. Jasnoniebieski dywan również był pokryty kurzem. W otwartej szafie nie było żadnych ubrań. Łóżko sprawiało nieprzyjemne wrażenie, jakby od tygodni nikt w nim nie spał. Spora pajęczyna rozciągała się w poprzek najbliższego okna, na tle czerwonego nieba.

- Co się dzieje? - spytała Hermiona, gdy Harry zszedł ze schodów, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Ksenofilius znalazł się na najwyższym stopniu schodów do kuchni, trzymając tacę zastawioną miseczkami.

- Panie Lovegood, gdzie jest Luna? - zapytał Harry.

- Słucham?

- Gdzie jest Luna?

Ksenofilius utknął na najwyższym stopniu.

- Już... Już wam mówiłem. Jest na Dolnym Moście i łowi plumpki.

- Więc dlaczego przygotował pan jedzenie dla tylko czterech osób?

Lovegood próbował coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie ani słowa. Jedynym dźwiękiem był ciągły warkot prasy drukarskiej i ciche grzechotanie tacy, gdy Ksenofiliusowi trzęsły się ręce.

- Luny nie było tutaj od tygodni - powiedział Harry. - Nie ma jej ubrań, a w łóżku nikt nie spał. Gdzie ona jest? I dlaczego wciąż pan patrzy na okno?

Ksenofilius upuścił tacę: miseczki rozbiły się na podłodze. Harry, Ron i Hermiona unieśli swoje różdżki. Ksenofilius zamarł z ręką przy kieszeni. Nagle prasa drukarska wydała z siebie głośny trzask i liczne numery „Żonglera" spod obrusa popłynęły na podłogę. Urządzenie nareszcie zamilkła.

Hermiona schyliła się i podniosła jeden z magazynów, różdżką wciąż celując w pana Lovegooda.

- Harry, spójrz na to.

Zrobił krok w jej stronę. Na okładce „Żonglera" było jego zdjęcie, ozdobione słowami *Niepożądany Numer Jeden* oraz nagłówkiem o nagrodzie pieniężnej.

- „Żongler" zmierza w nowym kierunku, co? - spytał Harry lodowato, myśląc bardzo szybko. - Czy właśnie to robił pan w ogrodzie, panie Lovegood? Wysyłał pan sowę do ministerstwa?

Ksenofilius oblizał wargi.

- Zabrali moją Lunę - szepnął. - Z powodu tego, co pisałem. Zabrali moją Lunę i nie wiem, gdzie ona jest, co jej zrobili. Ale może mi ją oddadzą, kiedy...

- Wymienisz ją na Harry'ego? - dokończyła Hermiona.

- Nie ma mowy - powiedział Ron stanowczo. - Z drogi, wychodzimy.

Ksenofilius wyglądał strasznie, jakby mu nagle przybyło sto lat; uśmiechał się drapieżnie.

- Mogą tu być w każdej chwili. Muszę uratować Lunę, nie mogę jej stracić. Musicie zostać.

Rozpostarł ramiona przed schodami, a Harry'emu nagle przypomniała się jego matka, która robiła dokładnie to samo przed jego kołyską.

- Proszę nas nie zmuszać do zrobienia panu krzywdy - powiedział. - Proszę zejść nam z drogi, panie Lovegood.

- HARRY! - krzyknęła Hermiona.

W stronę okna zbliżały się postacie na miotłach. Gdy ich trójka spojrzała w tamtą stronę, Ksenofilius wyciągnął różdżkę. Harry zdał sobie sprawę z błędu w odpowiednim momencie: rzucił się w bok, odpychając Rona i Hermionę z drogi zaklęcia ogłuszającego, które przeleciało przez pokój i uderzyło w róg buchorożca.

Nastąpiła potężna eksplozja. Grzmot przetoczył się przez pokój; fragmenty drewna i gruzu poleciały we wszystkich kierunkach, razem z gęstą chmurą białego pyłu. Harry poleciał w powietrze, po czym uderzył w podłogę i zakrył głowę rękoma, nie widząc nic przez odłamki, które na niego spadły. Usłyszał wrzask Hermiony, krzyk Rona i serię przyprawiających o mdłości, metalicznych uderzeń, które świadczyły o tym, że Ksenofilius został zwalony z nóg i spadł w dół po schodach.

Do połowy zakopany w gruzie, Harry próbował się podnieść. Przez pył prawie nie mógł oddychać. Część sufitu runęła i przez dziurę zwisała końcówka łóżka Luny. Popiersie Roweny Ravenclaw leżało tuż za nim, bez połowy twarzy, kawałki podartego pergaminu fruwały w powietrzu, a większa część prasy drukarskiej leżała na boku, blokując wejście do kuchni. Kolejny biały kształt się przysunął się i Hermiona, pokryta kurzem niczym kolejny posąg, położyła palec na ustach.

Drzwi na dole otwarły się z hukiem.

- A nie mówiłem, że nie ma powodu do pośpiechu, Travers? - powiedział nieprzyjemny głos. - A nie mówiłem, że ten dziwak bredzi jak zwykle?

Nastąpiło uderzenie i przepełniony bólem krzyk Ksenofiliusa.

- Nie... Nie... Na górze... Potter!

- Mówiłem ci tydzień temu, Lovegood, przychodzimy tu tylko po wartościową informację! Pamiętasz ostatni raz? Kiedy chciałeś wymienić córkę na ten porąbany, cholerny kapelusz? A jeszcze wcześniej - kolejne uderzenie i pisk - kiedy myślałeś, że ci ją oddamy za dowód istnienia chrapaka - uderzenie - krętorogiego?

- Nie, nie, błagam! - szlochał Ksenofilius. - To naprawdę Potter! Naprawdę!

- A teraz wygląda na to, że sprowadziłeś nas tutaj i próbowałeś wysadzić w powietrze! - ryknął śmierciożerca i nastąpiła fala uderzeń przerywanych bolesnym skomleniem Ksenofiliusa.

- To miejsce wygląda, jakby miało się zaraz zawalić, Selwyn - powiedział zimny głos. - Schody są kompletnie zablokowane. Spróbować je oczyścić? Wszystko może runąć.

- Ty kłamliwa szumowino! - krzyknął śmierciożerca, nazwany Selwynem. - W życiu nie widziałeś Pottera, co? Myślałeś, że zwabisz tu nas i zabijesz, co? I myślisz, że odzyskasz dziewczynę, ot tak?

- Przysięgam... Przysięgam... Potter jest na górze!

- *Homenum revelio* - powiedział głos u stóp schodów.

Harry usłyszał sapnięcie Hermiony. Miał dziwne wrażenie, że coś zawisło nad nim, pogrążając go w cieniu.

- Ktoś jest tu na górze, Selwyn - rzucił ostro drugi mężczyzna.

- To Potter, mówię wam, to Potter! - chlipnął Ksenofilius. - Proszę, proszę, oddajcie mi Lunę, po prostu mi ją oddajcie...

- Dostaniesz swoją dziewczynkę - powiedział Selwyn - jeśli wejdziesz po tych schodach i przyprowadzisz nam Harry'ego Pottera. Ale jeśli to tylko sztuczka, jeśli tam na górze masz wspólnika, z którym zastawiłeś na nas zasadzkę, zobaczymy, czy uda się nam dać ci kawałek twojej córki do zakopania.

Ksenofilius zajęczał ze strachu i rozpaczy. Słychać było tupot i głuche uderzenia: próbował przedostać się przez gruz na schodach.

- Chodźcie - wyszeptał Harry. - Musimy się stąd wydostać.

Zaczął odkopywać się spod odłamków, zagłuszany hałasem, jaki robił Ksenofilius. Ron był zakopany najgłębiej: Harry i Hermiona wspięli się, tak cicho, jak tylko mogli, na szczątki, pod którymi leżał, próbując zepchnąć ciężką bieliźniarkę z jego nóg. Podczas gdy uderzenia i tupanie Ksenofiliusa było coraz bliżej i bliżej, Hermionie udało się uwolnić Rona, używając czaru unoszącego.

- Dobra - odetchnęła, wciąż pokryta białym kurzem, kiedy zepsuta prasa drukarska blokująca schody zaczęła dygotać. Ksenofilius był już naprawdę blisko. - Ufasz mi, Harry?

Harry przytaknął kiwnięciem głowy.

- Okej - szepnęła Hermiona. - Daj mi pelerynę - niewidkę. Ron, włożysz ją.

- Ja? Ale Harry...

- Ron, *proszę!* Harry, trzymaj się mocno mojej ręki. Ron, chwyć mnie za ramię.

Harry wyciągnął lewą rękę, a Ron znikł pod peleryną. Prasa drukarska wibrowała: Ksenofilius próbował podnieść ją, używając czaru unoszącego. Harry nie wiedział, na co czeka Hermiona.

- Trzymajcie się mocno - wyszeptała. - Trzymajcie mocno... za chwilę...

Kredowobiała twarz Ksenofiliusa pojawiła się ponad kredensem.

- *Obliviate!* - krzyknęła Hermiona, wskazując różdżką na niego, a potem na podłogę pod nimi. - *Deprimo!*

W podłodze saloniku pojawiła się dziura. Spadli na parter niczym głazy, Harry wciąż trzymał rękę Hermiony. Słychać było krzyk i zauważył dwóch mężczyzn, próbujących wydostać się spod ogromnej ilości spadającego gruzu. Hermiona zawirowała w powietrzu, a grzmot walącego się domu huczał Harry'emu w uszach, gdy wciągnęła go znów w ciemność.

Rozdział 22
Dary Śmierci

Tłumaczenie: Ehtares

Oddychając ciężko, Harry padł na trawę, lecz od razu podniósł się na nogi. Najwyraźniej wylądowali na skraju okrytego mrokiem pola. Hermiona biegała już wokół nich, machając różdżką.

- *Protego Totalum… Salvio Hexia…*

- Zdradziecka stara pijawka - wydyszał Ron, wynurzając się spod peleryny - niewidki i rzucając ją Harry'emu. - Hermiono, jesteś genialna, po prostu genialna. Nie wierzę, że się z tego wykaraskaliśmy.

- *Cave Inimicum…* A nie *mówiłam*, że to był róg buchorożca? Ostrzegałam go! Rozerwało jego dom na strzępy!

- Dobrze mu tak - rzekł Ron, oglądając swoje podarte dżinsy i skaleczenia na nogach. - Jak myślisz, co z nim zrobią?

- Och, mam nadzieję, że go nie zabiją - jęknęła Hermiona. - Dlatego właśnie chciałam, żeby śmierciożercy zauważyli Harry'ego, zanim znikniemy. Żeby wiedzieli, że Ksenofilius nie kłamał!

- Ale dlaczego kazałaś mi się ukryć? - zapytał Ron.

- Powinieneś leżeć w łóżku z groszopryszczką, Ron! Porwali Lunę, bo jej ojciec wspierał Harry'ego! Co by się stało z twoją rodziną, gdyby wiedzieli, że z nim jesteś?

- A co z *twoimi* rodzicami?

- Są w Australii - wyjaśniła Hermiona. - Powinni być bezpieczni. Niczego nie wiedzą.

- Jesteś genialna - powtórzył Ron, patrząc na nią z szacunkiem.

- Taa, jesteś, Hermiono - zgodził się raźno Harry. - Nie wiem, co byśmy zrobili bez ciebie.

Rozpromieniła się, ale natychmiast spoważniała.

- A co z Luną?

- Cóż, jeśli mówią prawdę i ona nadal żyje... - zaczął Ron.

- Nie mów tak, nie mów! - pisnęła Hermiona. - Musi żyć, musi!

- To pewnie jest w Azkabanie - dokończył Ron. - Ciekawe, czy tam wytrzyma... Wielu nie daje rady...

- Ona da - odezwał się Harry. Nie zniósłby innej myśli. - Luna jest twardsza niż myślicie. Pewnie uczy wszystkich współwięźniów o gnębiwtryskach i narglach.

- Mam nadzieję, że masz rację - powiedziała Hermiona. Uniosła rękę do oczu. - Byłoby mi żal Ksenofiliusa, gdyby...

- ...gdyby właśnie nie próbował wydać nas śmierciożercom, taa - rzucił Ron.

Rozbili namiot i weszli do środka, a Ron zrobił herbaty. Po niedawnej ucieczce to surowe, zatęchłe miejsce wydawało się domem: bezpiecznym, znajomym i przyjaznym.

- Och, po co my w ogóle tam poszliśmy? - jęknęła Hermiona po kilku minutach milczenia. - Miałeś rację, Harry, to było jak powtórka z Doliny Godryka, kompletna strata czasu! Dary Śmierci... Bzdury... Chociaż właściwie - Hermiona wpadła na pomysł - mógł to wszystko wymyślić, prawda? Pewnie nawet nie wierzy w Dary Śmierci, chciał nas tylko zagadać aż do przybycia śmierciożerców!

- Nie jestem pewien - odezwał się Ron. - Cholernie trudno wymyślać takie rzeczy, kiedy się denerwujesz, trudniej niż myślisz. Odkryłem to, kiedy dopadli mnie Łapacze. Było o wiele łatwiej udawać Stana, bo trochę o nim wiem, niż wymyślać kogoś nowego. Stary Lovegood był pod dużą presją, nie chciał, żebyśmy go zdemaskowali. Myślę, że powiedział nam prawdę, albo to, co uważa za prawdę, żeby mówić cokolwiek.

- Cóż, to chyba już nieważne - westchnęła Hermiona. - Nawet jeśli był szczery, to i tak w życiu nie słyszałam tylu bzdur.

- Czekaj moment - zaprotestował Ron. - Komnata Tajemnic też miała być mitem, nie?

- Ale Dary Śmierci *nie mogą* istnieć, Ron!

- Już to mówiłaś. Ale jeden może - powiedział Ron. - Peleryna - niewidka Harry'ego...

- Legenda o Trzech Braciach jest opowieścią - stwierdziła twardo Hermiona. - Opowieścią o ludzkim strachu przed śmiercią. Jeśli przetrwanie zależałoby tylko od schowania się pod peleryną - niewidką, mielibyśmy już wszystko, czego potrzebujemy!

- No nie wiem. Ale z niepokonaną różdżką moglibyśmy mieć wszystko - odezwał się Harry, obracając w palcach tarninową różdżkę, której nie lubił.

- Nie ma czegoś takiego, Harry!

- Mówiłaś, że było wiele różdżek... Berło Śmierci i jakieś tam jeszcze...

- W porządku, nawet jeśli chcecie wmawiać sobie, że Starsza Różdżka jest prawdziwa, to co z Kamieniem Wskrzeszenia? - Hermiona palcami zrobiła znak cudzysłowu, a jej ton ociekał sarkazmem. - Żadna magia nie potrafi wskrzesić umarłych, ot co!

- Kiedy różdżki moja i Sama - Wiesz - Kogo połączyły się, to pojawili się moi rodzice... i Cedrik....

- Ale tak naprawdę nie powstali z martwych, mam rację? - wytknęła mu Hermiona. - Te... blade imitacje to nie to samo, co przywracanie kogoś do życia, Harry.

- Ale ta dziewczyna w legendzie, też tak naprawdę nie wróciła, prawda? Opowieść mówi, że zmarły należy do martwych. Ale drugi brat nadal mógł ją zobaczyć i porozmawiać z nią, nie? Przez chwilę nawet z nią żył...

Mina Hermiony wyrażała zaniepokojenie i coś trudnego do określenia. Kiedy spojrzała na Rona, Harry uświadomił sobie, że to strach. Wystraszył ją swoją gadką o życiu z martwymi ludźmi.

- A ten facet pochowany w Dolinie Godryka, Peverell - powiedział ostro, starając się, by jego ton brzmiał bardzo rozsądnie. - Pewnie nic o nim nie wiecie?

- Nie - odpowiedziała, wyglądając na zadowoloną ze zmiany tematu. - Szukałam czegoś o nim, po tym, jak zobaczyliśmy znak na jego grobie. Jeśli byłby kimś sławnym albo zrobił coś ważnego, jestem pewna, że znalazłabym go w jednej z naszych książek. A jedyną, w jakiej doszukałam się nazwiska Peverell było "Szlachectwo naturalne, czyli genealogia prawdziwych czarodziejów". Pożyczyłam ją od Stworka - wyjaśniła, widząc

uniesione brwi Rona. - Jest tam lista rodzin czystej krwi, w których wygasła męska linia. Najwyraźniej Peverellowie wymarli bardzo wcześnie.

- Wygasła męska linia? - powtórzył Ron.

- To znaczy, że nazwisko nie przeszło dalej - wyjaśniła Hermiona. - U Peverellów stało się to wieki temu. Nadal mogą żyć ich potomkowie, ale nazywają się inaczej.

I w tym momencie na Harry'ego spłynęło olśnienie, dotyczące wspomnienia, w którym słyszał to nazwisko. Widok brudnego mężczyzny, wymachującego okropnym pierścieniem przed twarzą wysłannika ministerstwa.

- Marvolo Gaunt! - wykrzyknął.

- Że co? - zapytali chórem Ron i Hermiona.

- *Marvolo Gaunt!* Dziadek Sami - Wiecie - Kogo! W myślodsiewni! Z Dumbledore'em! Marvolo Gaunt powiedział, że pochodzi od Peverellów!

Hermiona i Ron wyglądali na oszołomionych.

- Pierścień! Pierścień, który był horkruksem! Marvolo Gaunt mówił, że był na nim herb Peverellów! Widziałem, jak przysuwał go do twarzy tego gościa z ministerstwa, prawie wsadził mu go w nos.

- Herb Peverellów? - wtrąciła się Hermiona. - Widziałeś może jak wyglądał?

- Niezbyt dokładnie - powiedział Harry, próbując sobie przypomnieć. - Nie było tam nic nadzwyczajnego, o ile wiem, może kilka kresek. Zobaczyłem je z bardzo bliska dopiero po tym, jak pierścień został rozłupany.

W szeroko otwartych oczach Hermiony pojawiło się zrozumienie. Ron patrzył na dwoje swoich przyjaciół z wyraźnym zdziwieniem.

- Cholibka... Myślicie, że to znowu był ten znak? Znak Darów?

- Dlaczego nie? - odrzekł podekscytowany Harry. - Marvolo Gaunt był ignoranckim starym dupkiem, który żył jak prosię i troszczył się tylko o swoje pochodzenie. Jego pierścień był przekazywany od pokoleń, więc on sam mógł nie wiedzieć, czym jest naprawdę. W tamtym domu nie było żadnych książek i wierzcie mi, on nie był typem człowieka, który czytałby swoim dzieciom bajki. Musiał kochać myśl, że te rysy na kamieniu są herbem, bo zdawał się myśleć, że czysta krew jest niemal równoznaczna z królewskim pochodzeniem.

- Tak... i to wszystko jest bardzo interesujące - odezwała się rozważnie Hermiona - ale Harry, jeśli myślisz o tym, o czym ja myślę, że myślisz...

- Ale dlaczego nie? *Dlaczego nie?* - przerwał jej Harry, porzucając rozwagę. - To był kamień, prawda? - Spojrzał na Rona, oczekując poparcia. - A jeśli to był Kamień Wskrzeszenia?

Ronowi opadła szczęka.

- Cholibka... Ale czy mógłby dalej działać, skoro Dumbledore rozłupał...?

- Działać? *Działać?* Ron, on nigdy nie działał! *Nie ma czegoś takiego jak Kamień Wskrzeszenia!* - Hermiona zerwała się na nogi, zirytowana i zła.

- Harry, próbujesz wpasować wszystko na siłę w tę historię o Darach...

- *Wpasować na siłę?* - powtórzył. - Hermiono, to samo pasuje! Wiem, że na tym kamieniu był znak Darów Śmierci! Gaunt przyznał, że był potomkiem Peverellów!

- Minutę temu powiedziałeś nam, że nigdy dokładnie nie widziałeś tego znaku na kamieniu!

- A gdzie według ciebie ten pierścień jest teraz? - zapytał Harry'ego Ron. - Co Dumbledore z nim zrobił, jak już go rozłupał?

Ale wyobraźnia Harry'ego pędziła już naprzód, zostawiając Rona i Hermionę daleko w tyle...

Trzy przedmioty, czy też Dary, które zjednoczone czynią posiadacza panem Śmierci... Panem... Pogromcą... Zwycięzcą... Ostatnim wrogiem do pokonania jest śmierć...

I zobaczył samego siebie, posiadacza Darów, z którymi horkruksy Voldemorta nie mogły się równać... *Żaden nie może żyć, gdy drugi przeżyje...* Czy to była odpowiedź? Dary przeciw horkruksom? Czy w końcu istniał sposób, by upewnić się, że to on zatriumfuje? Gdyby był panem Darów Śmierci, czy nie byłby bezpieczny?

- Harry?

Ale on prawie nie słyszał Hermiony. Wyciągnął swoją pelerynę - niewidkę i przesuwał palcami po tkaninie, miękkiej jak woda, lekkiej jak powietrze. Przez prawie siedem lat spędzonych w czarodziejskim świecie nie widział niczego, co mogłoby jej dorównać. Peleryna była dokładnie taka, jak opisał to Ksenofilius: *...peleryna, rzeczywiście i prawdziwie czyniąca osobę, która ją zakłada, niewidzialną. I działa wiecznie, dając stałą i nieprzepuszczalną kryjówkę, bez względu na to, jakie zaklęcia są rzucane w jej kierunku...*

I wtedy nagle sobie przypomniał...

- Dumbledore miał tę pelerynę w noc, kiedy zginęli moi rodzice!

Głos mu drżał, czuł, że płoną mu policzki, ale nie obchodziło go to.

- Moja mama napisała Syriuszowi, że Dumbledore pożyczył pelerynę! Właśnie dlatego! Chciał ją sprawdzić, bo myślał, że to trzeci Dar! Ignotus Peverell jest pochowany w Dolinie Godryka... - Harry zaczął spacerować machinalnie dookoła namiotu, mając wrażenie, jakby wszędzie wokół niego pojawiały się nowe i wspaniałe ścieżki prawdy. - On jest moim przodkiem. Jestem potomkiem trzeciego z braci! To wszystko ma sens!

Poczuł się uzbrojony w pewność i wiarę w Dary, jakby sam pomysł ich posiadania zapewniał mu ochronę. Z radością odwrócił się w stronę pozostałej dwójki.

- Harry - powtórzyła Hermiona, ale on był zajęty rozwiązywaniem trzęsącymi się rękami sakiewki na swojej szyi.

- Przeczytaj to - powiedział, wpychając jej do rąk list od matki. - Przeczytaj! Dumbledore miał pelerynę, Hermiono! Z jakiego innego powodu mógłby jej chcieć? Nie potrzebował jej, mógł po prostu rzucić tak silne zaklęcie kameleona, że stałby się niewidzialny bez niej!

Coś upadło na podłogę i błyskając odturlało się pod krzesło. Musiał upuścić znicz, kiedy wyjmował z sakiewki list. Schylił się, by go podnieść i wtedy świeżo powstały strumień fantastycznych odkryć spłynął na niego ponownie, a w nim samym eksplodowała wstrząsająca myśl, którą musiał wykrzyczeć.

- TO JEST TUTAJ! On zostawił mi pierścień... Jest w zniczu!

- Tak... Tak myślisz?

Nie rozumiał, dlaczego Ron wygląda na tak zszokowanego. Dla Harry'ego to było takie oczywiste, takie jasne. Wszystko pasowało, wszystko... Jego peleryna była trzecim Darem, kiedy odkryje, jak otworzyć znicz, będzie miał drugi, a potem będzie musiał tylko znaleźć pierwszy Dar, Starszą Różdżkę, a w końcu...

Ale poczuł, jakby przed tą sceną opadła kurtyna. Całe jego podekscytowanie, nadzieja i radość zgasły jednocześnie, zostawiając go samego w ciemnościach. Cudowne zaklęcie prysło.

- To właśnie tego szuka.

Zmiana w jego głosie jeszcze bardziej wystraszyła Rona i Hermionę.

- Sami - Wiecie - Kto poszukuje Starszej Różdżki.

Odwrócił się od ich napiętych, sceptycznych twarzy. Wiedział, że to prawda. To miało sens, Voldemort nie szukał nowej różdżki, ale starej, rzeczywiście bardzo, bardzo starej. Harry podszedł do wyjścia z namiotu, zapominając o Ronie i Hermionie. Patrzył w noc, rozmyślając...

Voldemort dorastał w mugolskim sierocińcu. Podobnie jak Harry'emu, nikt nie opowiadał mu "Baśni Barda Beedle'a", kiedy był mały. Mało który czarodziej wierzył w Dary Śmierci. Czy to możliwe, że Voldemort o nich wiedział?

Harry wpatrywał się w ciemność. Jeśli Voldemort wiedziałby o Darach Śmierci, na pewno by ich szukał, zrobiłby wszystko, żeby je zdobyć - trzy przedmioty, które czynią posiadacza panem Śmierci. Gdyby wiedział o Darach, przede wszystkim nie potrzebowałby horkruksów. Czy sam fakt, że zamienił Dar w horkruks nie dowodził wystarczająco, że Voldemort nie znał tego ostatniego, wspaniałego sekretu czarodziejów?

To znaczyło, że Voldemort szukał Starszej Różdżki nie znając pełni jej mocy, nie rozumiejąc, że jest jednym z trzech przedmiotów... bo różdżka była Darem, którego nie można było ukryć, o jego istnieniu wszyscy wiedzieli... *Krwawy ślad Starszej Różdżki ciągnie się przez karty historii magicznego świata...*

Harry patrzył na zachmurzone niebo, ciemnoszare i srebrne obłoki przesuwające się na tle jasnego księżyca. Oszołomiony swoimi odkryciami, poczuł zawroty głowy.

Odwrócił się w stronę wnętrza namiotu. Zdziwiło go, że Hermiona i Ron stoją dokładnie tam, gdzie ich zostawił. Ona nadal trzymała list Lily, a on wyglądał na wyraźnie zaniepokojonego. Czy nie dotarło do nich, jaki postęp zrobili w ciągu kilku ostatnich minut?

- Zrozumieliście? - zapytał Harry, próbując wciągnąć ich w blask własnej, zdumiewającej pewności. - To wszystko wyjaśnia. Dary Śmierci są prawdziwe, a ja mam jeden z nich... Może dwa...

Uniósł znicz.

- A Sami - Wiecie - Kto poluje na trzeci, ale nie ma pojęcia... On myśli, że to tylko potężna różdżka...

- Harry - odezwała się Hermiona, podchodząc do niego i oddając mu list Lily. - Przykro mi, ale myślę, że źle to wszystko zrozumiałeś.

- Ty tego nie widzisz? Wszystko pasuje...

- Nie, wcale nie - odpowiedziała. - *Wcale.* Harry, po prostu dajesz się ponieść. Proszę - zaczęła przemowę - odpowiedz mi na to jedno pytanie: jeśli Dary Śmierci naprawdę istnieją i Dumbledore o nich wiedział... Wiedział, że ich posiadacz byłby panem Śmierci... Harry, to dlaczego ci tego nie powiedział? Dlaczego?

Miał na to odpowiedź.

- Przecież sama mówiłaś, Hermiono! Trzeba się o nich dowiedzieć samemu. To poszukiwanie!

- Ale powiedziałam to tylko po to, żeby przekonać cię do odwiedzin u Lovegoodów! - jęknęła z desperacją Hermiona. - Nie wierzyłam w to!

Harry nawet na nią nie spojrzał.

- Dumbledore zwykle pozwalał mi dowiadywać się samemu. Pozwalał mi wypróbowywać moją siłę, podejmować ryzyko. To do niego podobne.

- Harry, to nie jest gra, to nie są ćwiczenia! To jest prawdziwe i Dumbledore zostawił ci wyraźne instrukcje: znajdź i zniszcz horkruksy! Ten symbol nic nie znaczy, zapomnij o Darach Śmierci, nie możemy pozwolić sobie na zbaczanie...

Harry ledwie ją słyszał. Ciągle obracał w dłoniach znicz, prawie oczekując, że się otworzy, by ujawnić Kamień Wskrzeszenia, by udowodnić Hermionie, że to on ma rację, a Dary Śmierci są prawdziwe.

Dziewczyna natomiast zwróciła się do Rona.

- Nie wierzysz w to, prawda?

Harry uniósł wzrok, a Ron się zawahał.

- Nie wiem... Znaczy... Niektóre rzeczy nawet pasują... - powiedział z zakłopotaniem. - Ale kiedy popatrzeć na całość... - Wziął głęboki oddech. - Myślę, że powinniśmy pozbyć się horkruksów, Harry. Tak nam kazał Dumbledore. Może... może lepiej zapomnieć o tych całych Darach.

- Dziękuję, Ron - pochwaliła go Hermiona. - Wezmę pierwszą wartę.

Minęła Harry'ego i usiadła u wejścia do namiotu, dając do zrozumienia, że to definitywny koniec rozmowy.

Ale Harry prawie nie spał tej nocy. Dary Śmierci stały się jego obsesją i nie mógł zasnąć, kiedy wzburzone myśli wirowały mu w głowie. Różdżka, kamień i peleryna, gdyby tylko mógł mieć je wszystkie...

***Otwieram się u kresu...* Ale czym był kres? Dlaczego nie mógł mieć kamienia teraz? Gdyby go miał, mógłby zapytać Dumbledore'a osobiście... I Harry szeptał do znicza w ciemności, próbując wszystkiego, nawet mowy wężów, ale złota piłeczka nie otwierała się.**

A różdżka, Starsza Różdżka, gdzie była ukryta? Gdzie obecnie szukał Voldemort? Harry wręcz chciał, żeby blizna zaczęła go piec i pokazała mu myśli Voldemorta, bo po raz pierwszy w życiu obaj pragnęli dokładnie tego samego... Ksenofilius miał w pewien sposób rację co do Hermiony... *Ograniczona. Małostkowa. Racjonalna.* A tak naprawdę bała się istnienia Darów Śmierci, zwłaszcza Kamienia Wskrzeszenia... Harry jeszcze raz przycisnął usta do znicza, całując go, prawie połykając, ale zimny metal nie zmienił się.

Tuż przed świtem przypomniał sobie Lunę - samą, w celi Azkabanu, otoczoną przez dementorów i nagle poczuł wstyd. W gorączkowych rozmyślaniach o Darach całkiem o niej zapomniał. Gdyby tylko mogli ją uratować... Ale dementorzy w takiej

liczbie byli praktycznie nie do pokonania. Teraz uświadomił sobie, że jeszcze nie próbował wyczarować patronusa różdżką z tarniny... Rano musi się przekonać...

Gdyby tylko udało mu się zdobyć lepszą różdżkę...

Pragnienie znalezienia Starszej Różdżki, niepokonanego Berła Śmierci ogarnęło go ponownie...

Następnego ranka spakowali namiot i w strugach deszczu ruszyli dalej. Ulewa ścigała ich aż do wybrzeża, na którym tej nocy rozbili namiot, i nie ustawała przez cały tydzień, prześladując Harry'ego widokami przemoczonych krajobrazów. Potrafił myśleć tylko o Darach Śmierci. To było tak, jakby wewnątrz niego zapłonął ogień, którego nic nie mogło ugasić, nawet zupełna niewiara Hermiony i nie ustępujące wątpliwości Rona. Im bardziej narastało w nim pragnienie zdobycia Darów, tym mniej był podekscytowany. Obwiniał o to Rona i Hermionę - ich uparta obojętność była tak samo zła, jak nieustanny deszcz. Tłumiła jego ducha walki, choć nie mogła zniszczyć absolutnej pewności. Wiara i pragnienie Darów trawiły Harry'ego tak bardzo, że czuł się odizolowany od pozostałej dwójki i ich horkruksowej obsesji.

- Obsesji? - powtórzyła łagodnie Hermiona, kiedy Harry pewnego wieczora nieostrożnie użył tego słowa, po tym, jak powiedziała mu, żeby zainteresował się wreszcie lokalizacją reszty horkruksów. - To nie my tu mamy obsesję, Harry! My tylko próbujemy robić to, czego chciał od nas Dumbledore!

Ale on był odporny na zawoalowaną krytykę. Dumbledore zostawił Hermionie do odszyfrowania znak Darów, a Harry był przekonany, że on dostał Kamień Wskrzeszenia ukryty w złotym zniczu. *I żaden nie może żyć, gdy drugi przeżyje... Pan Śmierci...* Dlaczego Ron i Hermiona nie rozumieli?

- "Ostatnim wrogiem do pokonania jest śmierć" - zacytował spokojnie Harry.

- Myślałam, że mamy walczyć z Sam - Wiesz - Kim - zripostowała Hermiona, więc Harry dał sobie spokój.

Nawet zagadka srebrzystej łani, którą pozostała dwójka chciała przedyskutować, wydawała mu się teraz mniej ważną, mało interesującą atrakcją. Jedynym, co jeszcze się dla niego liczyło, był fakt, że blizna znowu zaczęła pulsować bólem, ale robił co mógł, by ukryć to przed przyjaciółmi. Przy każdej okazji szukał samotności, ale był rozczarowany tym, co zobaczył. Wizje, które dzielił z Voldemortem pogorszyły się jakościowo: były zamazane i falowały, ciągle zmieniając ostrość. Harry zdołał wyłowić z nich niewyraźne zarysy czegoś, co wyglądało jak czaszka i górzysty krajobraz, który przypominał bardziej cień niż coś materialnego.

Przyzwyczajony do obrazów wyrazistych jak rzeczywistość, był zaniepokojony tą zmianą. Martwił się, że połączenie między nim a Voldemortem uległo zniszczeniu, bo choć się go bał, to niezależnie od tego, co powiedział Hermionie - doceniał je. Harry w jakiś sposób połączył te niesatysfakcjonujące, zamglone obrazy z faktem zniszczenia jego różdżki, tak jakby to ta nowa, z tarniny, była winna temu, że nie może już widzieć umysłu Voldemorta tak dobrze jak kiedyś.

Tygodnie wlokły się, a Harry mimo swojej pasji nie mógł nie zauważyć, że Ron wydaje się przejmować dowodzenie. Może to dlatego, że chciał zatrzeć złe wrażenie po odejściu, a może to izolacja Harry'ego wyzwoliła drzemiące w nim zdolności przywódcze. W każdym razie teraz to Ron był tym, który popychał i namawiał ich do akcji.

- Zostały trzy horkruksy - powtarzał. - Potrzebujemy planu działania, no dalej! Gdzie jeszcze nie szukaliśmy? Pomyślmy jeszcze raz. Sierociniec...

Ulica Pokątna, Hogwart, dom Riddle'ów, sklep Borgina i Burkesa, Albania, wszystkie miejsca, w których żył, pracował, bywał lub zabijał Tom Riddle. Ron i Hermiona po raz kolejny je wymieniali, a Harry dołączył do ich dyskusji tylko po to, by Hermiona przestała go zadręczać.

Najszczęśliwszy byłby, gdyby mógł posiedzieć sam w milczeniu, próbując odczytać myśli Voldemorta, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Starszej Różdżce, ale Ron nalegał na sprawdzenie nawet najbardziej nieprawdopodobnych miejsc, jak podejrzewał Harry, tylko po to, by utrzymać się w ruchu.

- Nigdy nie wiadomo - to było jego ulubione powiedzenie. - Górne Flagley to czarodziejska wioska, w której mógłby chcieć mieszkać. Chodźmy się tam rozejrzeć.

Te częste wypady na czarodziejski teren powodowały, że okazjonalnie widywali też Łapaczy.

- Niektórzy z nich są podobno gorsi niż śmierciożercy - powiedział Ron. - Ci, którzy mnie dostali, byli raczej żałośni, ale Bill mówił, że jest paru naprawdę niebezpiecznych. W *Potterwachcie* mówili...

- W czym? - zainteresował się Harry.

- W *Potterwachcie*, nie mówiłem ci, że tak się nazywa? To ta stacja, którą próbuję złapać przez radio. Jedyna, która mówi prawdę o tym, co się dzieje! Sam - Wiesz - Kto przejął prawie wszystkie programy, oprócz *Potterwachty*. Naprawdę chciałbym, żebyś jej posłuchał, ale chytrze zmienia fale...

Ron spędzał całe wieczory na wybijaniu różdżką dziwnych rytmów o szczyt radioodbiornika i zmienianiu stacji. Czasami łapali fragmenty audycji na temat leczenia smoczej ospy, a raz kilka akordów "Kociołka Pełnego Gorącej, Mocnej Miłości". W międzyczasie Ron nadal próbował odgadnąć właściwe hasło, wyrzucając z siebie szeptem potoki przypadkowych słów.

- Zwykle to ma coś wspólnego z Zakonem - powiedział. - Bill był naprawdę dobry w ich zgadywaniu. Ale w końcu mi się uda...

Szczęście jednak nie dopisywało Ronowi aż do marca. Harry siedział na warcie u wejścia do namiotu, wpatrując się bezmyślnie w szafirowe hiacynty, którym udało się wyrosnąć na surowej ziemi, kiedy Ron z podekscytowaniem zawołał go do wnętrza namiotu.

- Złapałem ją, złapałem! Hasło brzmiało "Albus"! Chodź tu, Harry.

Harry, pierwszy raz od kilku dni ożywiony i oderwany od rozmyślań o Darach Śmierci, pospieszył do środka, gdzie Ron i Hermiona klęczeli obok małego radia. Hermiona, która dla zabicia czasu polerowała wcześniej miecz Gryffindora, teraz siedziała z otwartymi ustami, wpatrując się w malutki głośnik, z którego dochodził bardzo znajomy głos.

- ...przepraszamy za tymczasową nieobecność na falach. Niestety, ostatnio nasiliły się w naszej okolicy wizyty tych czarujących śmierciożerców.

- Ależ to jest Lee Jordan! - wykrzyknęła Hermiona.

- Wiem! - rozpromienił się Ron. - Fajnie, nie?

- ...teraz znaleźliśmy następne bezpieczne miejsce - mówił Lee - i z przyjemnością informuję was, że dwóch spośród naszych stałych współpracowników będzie towarzyszyć mi tego wieczoru. Dobry wieczór, chłopcy!

- Cześć.

- Witaj, Rzeko.

- "Rzeka" to Lee - wyjaśnił Ron. - Wszyscy mają pseudonimy, ale zwykle da się odgadnąć...

- Ciiii! - przerwała mu Hermiona.

- Ale zanim usłyszymy Rycerza i Romulusa - kontynuował Lee - opowiemy o zgonach, których "Wiadomości Czarodziejskiej Rozgłośni Radiowej" i "Prorok Codzienny" nie uznały za wystarczająco ważne, by o nich wspomnieć. Z wielkim żalem informujemy naszych słuchaczy o zamordowaniu Teda Tonksa i Dirka Creswella.

Harry'emu zrobiło się niedobrze. On, Ron i Hermiona spojrzeli po sobie z przerażeniem.

- Goblin imieniem Gornuk także został zabity. Wierzymy, że Dean Thomas, czarodziej mugolskiego pochodzenia i drugi goblin, którzy prawdopodobnie podróżowali z Tonksem, zdołali uciec. Jeśli Dean nas słucha, albo ktokolwiek ma wiadomości o miejscu jego pobytu, jego rodzice i siostry czekają na wiadomość.

W międzyczasie w Gaddley znaleziono pięcioosobową rodzinę mugoli martwą w ich domu. Mugolskie władze przypisują ich śmierć wyciekowi gazu, ale członkowie Zakonu Feniksa poinformowali mnie, że to było zaklęcie uśmiercające - oto następny dowód, w razie, gdybyśmy jeszcze jakichś potrzebowali, że pod nowym reżimem polowania na mugoli stają się czymś więcej niż rekreacyjnym sportem.

Wreszcie z żalem informujemy naszych słuchaczy, że w Dolinie Godryka zostały odkryte szczątki Bathildy Bagshot. Dowody wskazują, że zmarła kilka miesięcy temu.

Zakon Feniksa poinformował nas, że jej ciało nosiło wyraźne znaki ran spowodowanych przez czarną magię.

Drodzy słuchacze, chciałbym was teraz poprosić o minutę ciszy ku pamięci Teda Tonksa, Dirka Creswella, Bathildy Bagshot, Gornuka i nieznanych, ale także nieodżałowanych mugoli zamordowanych przez śmierciożerców.

Zapadła cisza, a Harry, Ron i Hermiona nie odezwali się. Jakaś część Harry'ego chciała usłyszeć więcej, ale bał się tego, co mogłoby nastąpić. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł się w pełni częścią zewnętrznego świata.

- Dziękuję - usłyszeli ponownie głos Lee. - A teraz posłuchajmy naszego stałego współpracownika, Rycerza, który wyjaśni nam, jak nowy czarodziejski świat wpływa na świat mugoli.

- Dziękuję, Rzeko - odezwał się znajomy głos nie dający się pomylić z żadnym innym, głęboki, miarowy i pewny.

- Kingsley! - rzucił Ron.

- Wiemy! - uciszyła go Hermiona.

- Mugole nadal ignorują źródło ich cierpień i zrzucają wszystko na nieszczęśliwe wypadki - powiedział Kingsley. - Jednak słyszeliśmy także inspirujące historie o czarodziejach i czarownicach ryzykujących własne bezpieczeństwo, by chronić mugolskich przyjaciół i sąsiadów, nawet bez ich wiedzy. Chciałbym zaapelować do wszystkich naszych słuchaczy o postępowanie za ich przykładem, najlepiej przez rzucanie zaklęć ochronnych na wszelkie mugolskie zabudowania na waszej ulicy. Wiele istnień może zostać ocalonych tak prostymi sposobami.

- Rycerzu, a co byś powiedział tym słuchaczom, którzy w tych niebezpiecznych czasach deklarują "pierwszeństwo dla czarodziejów"? - zapytał Lee.

- Powiedziałbym, że tylko jeden krok dzieli "pierwszeństwo dla czarodziejów" od "pierwszeństwa dla czystokrwistych", a potem "dla śmierciożerców" - odpowiedział Kingsley. - Wszyscy jesteśmy ludźmi, prawda? Każde ludzkie życie jest warte tyle samo i zasługuje na ratunek.

- Świetnie ujęte, Rycerzu. Jeśli kiedykolwiek wygrzebiemy się z tego bajzlu, masz mój głos, jeśli zechcesz zostać Ministrem Magii - powiedział Lee. - A teraz oddaję głos Romulusowi, który poprowadzi punkt programu "Kumple Pottera".

- Dziękuję, Rzeko - odezwał się następny znajomy głos. Ron chciał coś powiedzieć, ale Hermiona uprzedziła go szeptem:

- *Wiemy, że to Lupin!*

- Romulusie, czy tak jak zawsze uważasz, że Harry Potter nadal żyje?

- Tak - odpowiedział z przekonaniem Lupin. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jego śmierć byłaby rozgłoszona przez śmierciożerców tak szeroko jak tylko się da, bo to ostatecznie uderzyłoby w morale walczących z nowym reżimem. Chłopiec, Który Przeżył pozostaje symbolem wszystkiego, o co walczymy: triumfu dobra, siły niewinności i potrzeby oporu.

W Harrym wybuchła mieszanka wdzięczności i wstydu. Czy Lupin wybaczył mu te straszne rzeczy, które wykrzyczał przy ich ostatnim spotkaniu?

- A co powiedziałbyś Harry'emu, gdybyś wiedział, że słucha, Romulusie?

- Powiedziałbym mu, że duchem wszyscy jesteśmy z nim - odpowiedział Lupin, a potem wyraźnie się zawahał. - Powiedziałbym też, żeby ufał swojej intuicji, która jest świetna i prawie zawsze ma rację.

Harry spojrzał na Hermionę, której oczy były pełne łez.

- Prawie zawsze ma rację - powtórzyła.

- O, a nie mówiłem wam? - odezwał się z zaskoczeniem Ron. - Bill powiedział mi, że Lupin wrócił do Tonks! A ona najwyraźniej robi się coraz grubsza...

- ...i nasze zwyczajowe wiadomości o tych przyjaciołach Harry'ego Pottera, którzy cierpią z powodu swoich przekonań - mówił Lee.

- Cóż, jak wiedzą stali słuchacze, kilkoro bardziej znanych ludzi, wspierających Harry'ego Pottera, znajduje się teraz w więzieniu, w tym Ksenofilius Lovegood, główny wydawca "Żonglera" - powiedział Lupin.

- Przynajmniej wciąż żyje - wymamrotał Ron.

- Kilka godzin temu dowiedzieliśmy się także, że Rubeus Hagrid...

Cała trójka tak głośno wciągnęła powietrze, że prawie przegapili resztę zdania.

- ...dobrze znany gajowy Hogwartu uciekł przed aresztowaniem na terenie szkoły, gdzie, według plotek, wyprawił w swoim domu przyjęcie pod hasłem "Kibicuj Harry'emu Potterowi". Jednak Hagrida nie ma w areszcie, więc wierzymy, że nadal ucieka.

- Podejrzewam, że posiadanie brata wysokości szesnastu stóp bardzo pomaga w uciekaniu śmierciożercom? - zapytał Lee.

- Zapewne daje nieznaczną przewagę - zgodził się Lupin z powagą. - Póki jeszcze podziwiamy w *Potterwachcie* tupet Hagrida, chciałbym dodać, że stanowczo odradzam nawet najbardziej oddanym kibicom Harry'ego naśladowanie Hagrida. Urządzanie tego typu przyjęć w dzisiejszych czasach jest wyjątkowo nierozsądne.

- Zgadzam się, Romulusie - odrzekł Lee. - Sugerujemy więc, byście kontynuowali okazywanie swojego oddania człowiekowi z blizną w kształcie błyskawicy przez słuchanie *Potterwachty!* A teraz przejdźmy do wiadomości o czarodzieju, którzy pozostają tak samo nieuchwytni jak Harry Potter. Będziemy określać go jako Szefa Śmierciożerców i mamy zamiar wyjaśnić kilka co bardziej szalonych plotek na jego temat. Przedstawiam wam nowego korespondenta. Ryjówko?

- *Ryjówko?* - powiedział następny znajomy głos, a Harry, Ron i Hermiona zawołali razem:

- Fred!

- Nie... A może George?

- Myślę, że Fred - orzekł Ron, przysuwając się bliżej, podczas gdy któryś z bliźniaków oburzył się:

- Nie jestem "Ryjówką", nie ma mowy, mówiłem ci, że chcę być "Rapierem"!

- Och, więc dobrze, Rapierze, czy możesz opowiedzieć nam różne historie, które słyszeliśmy o Szefie Śmierciożerców?

- Tak, Rzeko, mogę - powiedział Fred. - Jak nasi słuchacze wiedzą, chyba że schronili się na dnie przydomowego stawu albo w podobnym miejscu, strategią Sami - Wiecie - Kogo jest pozostanie w cieniu i stworzenie miłego klimaciku paniki. Przypominam, że gdyby wszystkie zgłoszenia o jego pojawieniu się były prawdziwe, na zewnątrz musiałoby grasować jakichś dziewiętnastu Sami - Wiecie - Ktosiów.

- Co oczywiście całkiem do niego pasuje - odezwał się Kingsley. - Mgiełka tajemniczości powoduje większy terror niż prawdziwe pojawienie się.

- Zgoda - rzekł Fred. - Więc, ludzie, spróbujmy trochę wyluzować. Jest wystarczająco źle bez dodatkowych wymysłów. Na przykład tej nowej plotki, że Sami - Wiecie - Kto potrafi zabijać ludzi jednym spojrzeniem. Tak robi *bazyliszek*, drodzy słuchacze. Bardzo łatwo się przekonać: sprawdźcie, czy patrzące na was stworzenie ma nogi. Jeśli ma, patrzenie mu w oczy jest bezpieczne, choć jeśli to naprawdę byłby Sami - Wiecie - Kto, to nadal mogłaby być ostatnia rzecz w waszym życiu.

Harry śmiał się po raz pierwszy od tygodni. Czuł, jak opuszcza go napięcie.

- A plotki na temat jego obecności za granicą? - zapytał Lee.

- No cóż, kto by nie chciał miłych, krótkich wakacji po całej tej ciężkiej pracy, którą on wykonał? - zapytał Fred. - Ludzie, chodzi o to, żebyście nie poddali się fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa, myśląc, że nie ma go w kraju. Może jest, może go nie ma, ale on, jeśli zechce, potrafi poruszać się szybciej niż Severus Snape uciekający przed szamponem, więc nie liczcie, że jest daleko i nie ryzykujcie. Nigdy nie myślałem, że to powiem, ale przede wszystkim bezpieczeństwo!

- Bardzo dziękuję za te mądre słowa, Rapierze - przejął głos Lee. - Słuchacze, nadszedł koniec kolejnej *Potterwachty*. Nie wiemy, kiedy znowu nas usłyszycie, ale możecie być pewni, że wrócimy. Trzymajcie się na falach - następne hasło to "Szalonooki". Uważajcie na siebie. Miejcie wiarę. Dobranoc.

Tarcza radia zakręciła się, a światła za panelem zgasły. Harry, Ron i Hermiona nadal promienieli. Dźwięk znajomych głosów wyjątkowo ich podniósł na duchu. Harry tak bardzo przyzwyczaił się do odosobnienia, że prawie zapomniał o reszcie odpierających Voldemorta ludzi. To było jak przebudzenie z długiego snu.

- Niezłe, nie? - odezwał się wesoło Ron.

- Genialne - rzekł Harry.

- I takie odważne - westchnęła z podziwem Hermiona. - Gdyby ich znaleźli...

- Ale ciągle się przemieszczają, nie? - powiedział Ron. - Tak jak my.

- Słyszałeś, co powiedział Fred? - zapytał z podnieceniem Harry. Teraz, kiedy program skończył, jego myśli wróciły do trawiącej go obsesji. - On jest za granicą! Nadal szuka Różdżki, wiedziałem!

- Harry...

- No dalej, Hermiono, dlaczego tak bardzo nie chcesz tego przyznać? Vol...

- HARRY, NIE!

- ...demort szuka Starszej Różdżki!

- Imię to Tabu! - wrzasnął Ron, zrywając się na dźwięk głośnego trzasku na zewnątrz namiotu. - Mówiłem ci, Harry, mówiłem, nie możemy go wymawiać... Musimy z powrotem rzucić zaklęcia ochronne, szybko...Tak właśnie znajdują...

Ale Ron przerwał, a Harry wiedział dlaczego. Stojący na stole fałszoskop rozbłysnął i zaczął wirować. Słyszeli zbliżające się głosy - nieprzyjemne i podekscytowane. Ron wyjął z kieszeni deluminator i kliknął. Ich lampy zgasły.

- Wychodźcie z podniesionymi rękami! - usłyszeli z ciemności chrapliwy głos. - Wiemy, że tam jesteście. Mamy wycelowane w was pół tuzina różdżek i nie obchodzi nas, kogo przeklniemy!

Rozdział 23
Malfoy Manor

Tłumaczenie: Czarnoziem

Harry spojrzał na pozostałą dwójkę, ledwie widoczną w ciemnościach. Dostrzegł, że Hermiona wycelowała różdżkę nie w stronę wejścia, ale w niego. Usłyszał trzask, zobaczył błysk białego światła i wykrzywił się z bólu, oślepiony. Wyczuł, jak jego twarz bardzo szybko puchnie. W tej samej chwili wszędzie wokół nich rozległy się odgłosy ciężkich kroków.

- Wstawaj, gnojku.

Nieznane ręce gwałtownie szarpnęły Harry'ego, podnosząc go z ziemi. Zanim zdołał zrobić cokolwiek, ktoś przeszukał jego kieszenie i zabrał mu różdżkę. Chłopak szczelnie zasłonił nieznośnie obolałą twarz, która zdawała się obca pod dotykiem palców. Była nabrzmiała i spuchnięta, jakby z powodu jakiejś ostrej reakcji alergicznej, natomiast oczy przypominały jedynie szparki, przez które ledwie widział. Okulary Harry'ego spadły, kiedy wywlekano go z namiotu. Jedyne, co potrafił rozpoznać, to sylwetki pięciu ludzi wyciągających na zewnątrz Hermionę i Rona.

- Zostaw ją! - usłyszał krzyk przyjaciela.

Rozległ się charakterystyczny odgłos uderzenia pięści o ciało. Ron jęknął z bólu, a Hermiona krzyknęła:

- Nie! Zostawcie go! Zostawcie go!

- Twojemu chłopakowi grozi o wiele więcej, jeśli okaże się, że jest na mojej liście - odezwał się przerażająco znajomy, chrapliwy głos. - Apetyczna panienka... Cóż za uczta... podoba mi się ta gładkość skóry.

Żołądek Harry'ego omal nie przewrócił się na drugą stronę. Rozpoznał, kto to był: Fenrir Greyback, wilkołak, któremu pozwolono nosić szaty śmierciożerców w zamian za najemne okrucieństwo.

- Przeszukajcie namiot! - zawołał ktoś inny.

Harry został rzucony na ziemię, twarzą w dół. Głuchy odgłos powiedział mu, że obok wylądował Ron. Słyszeli kroki i trzaski - przeszukujący namiot przewracali w środku krzesła.

- A teraz zobaczmy, kogo my tu mamy - rozległ się ponad ich głowami triumfujący głos Greybacka. Harry'ego przewrócono na plecy. Gdy smuga światła z różdżki padła na jego twarz, wilkołak roześmiał się.

- Będę potrzebował piwa kremowego do popicia tego tutaj. Co ci się stało, brzydalu?

Harry zawahał się.

- Zapytałem o coś - rzekł Greyback i uderzył chłopca w splot słoneczny, sprawiając mu jeszcze większy ból. - Co ci się stało?

- Ukąszenie - wymamrotał Harry. - Owady mnie pogryzły.

- Na to wygląda - odezwał się inny głos.

- Nazwisko?

- Dudley.

- A imię?

- Yyy... Vernon. Vernon Dudley.

- Sprawdź na liście, Scabior - polecił Greyback, przesuwając się w bok, by tym razem spojrzeć na Rona. - A co ty nam powiesz, rudzielcu?

- Stan Shunpike.

- Uważaj, bo uwierze - powiedział mężczyzna nazwany Scabiorem. - Znamy Stana Shunpike'a. Robi za konkurencje.

Rozległ się kolejny łomot.

- Bałny - odparł Ron, a Harry był pewien, że jego usta są pełne krwi. - Bałny Weasley.

- Weasley? Nawet jeśli nie szlama, to krewny zdrajców krwi. No i w końcu nasza piękna, mała przyjaciółeczka. - Rozkosz, jaką dało się słyszeć w głosie wilkołaka, sprawiła, że Harry'emu poskręcały się wnętrzności.

- Wyluzuj, Greyback. - Scabior przekrzyczał pozostałych.

- Oj, przecież nie zamierzam jeszcze jej ugryźć. Zobaczymy, czy potrafi sobie przypomnieć własne imię odrobinę szybciej niż Barny. Jak masz na imię, laleczko?

- Penelopa Clearwater - odparła Hermiona. Mimo przerażenia wydawała się przekonywująca.

- Czystość krwi?

- Półkrwi.

- Łatwe do sprawdzenia - powiedział Scabior. - Ale cała ta banda wygląda, jakby powinna jeszcze siedzieć w Hogwarcie.

- Wyjechaliwmy.

- Wyjechani, ta rudzielcu? I se mysleliście, że pojedziecie na kemping? I tak dla jaj chlapneliście imie Czarnego Lorda?

- Nie - zaprzeczył Ron. - Przez przybadeg.

- Przypadek?

Znowu usłyszeli szydercze śmiechy.

- Weasley, wiesz, kto lubi używać imienia Czarnego Pana? - warknął Greyback. - Zakon Feniksa. Mówi ci to coś?

- Afsolutnie nie.

- Cóż, nie okazują mu należytego szacunku, więc na jego imię nałożono Tabu. Namierzyliśmy w ten sposób kilku członków Zakonu. Ale, pożyjemy, zobaczymy. Związać z pozostałymi dwoma więźniami!

Ktoś szarpnął Harry'ego za włosy, ciągnął mały kawałek, a potem pchnął do pozycji siedzącej i zaczął przywiązywać do innych osób tak, że byli do siebie odwróceni plecami. Chłopak nadal był na wpół ślepy, ledwie widział opuchniętymi oczyma.

- Ukrył ktoś różdżkę? - szepnął, kiedy ostatni z wiążących ich ludzi odszedł.

- Nie - ze swoich obu stron usłyszał Rona i Hermionę.

- To wszystko moja wina, ja wypowiedziałem imię, przepraszam...

- Harry?

Nowy, ale znajomy głos dochodził dokładnie zza pleców Harry'ego, od osoby przywiązanej po lewej stronie Hermiony.

- *Dean?*

- To *naprawdę ty*! Gdyby tylko wiedzieli, kogo złapali! To Łapacze, szukają wagarowiczów, żeby ich potem wymienić na złoto.

- Niezły połów jak na jedną noc - powiedział Greyback przechodząc w swoich nabitych ćwiekami butach obok Harry'ego.

Z wnętrza namiotu usłyszeli kolejne trzaski.

- Szlama, zbiegły goblin i trójka wagarowiczów. Sprawdziłeś już ich nazwiska na liście, Scabior?

- Ta. Żadnego Vernona Dudleya, Greyback.

- Ciekawe, bardzo ciekawe.

Przykucnął obok Harry'ego, który poprzez szparki między spuchniętymi powiekami zobaczył zarośniętą twarz i splątane, siwe włosy Greybacka. Wilkołak miał spiczaste, żółte zęby oraz opryszczki w kącikach ust. Śmierdział tak samo, jak na wieży, kiedy zginął Dumbledore.

- Więc nie jesteś poszukiwany, Vernon? A może jesteś na tej liście, tylko pod innym nazwiskiem, co? W jakim byłeś domu w Hogwarcie?

- W Slytherinie - odpowiedział Harry automatycznie.

- Zabawne, wszyscy myślo, że to właśnie chcemy usłyszeć - spośród ciemności usłyszeli drwiący głos Scabiora. - Tyle, że nikt nie potrafi nam powiedzieć, gdzie jest ich pokój wspólny.

- W lochach - padła szybka odpowiedź. - Wchodzi się przez ścianę. Jest pełen czaszek i innych tego typu rzeczy. Znajduje się pod jeziorem, wiec światło jest zielone.

Na chwilę zapadła cisza.

- No, no, wygląda na to, że rzeczywiście zgarnelim małego Ślizgonka - ciagnął Scabior. - To ci dobrze wróży, Vernon - tam jest niewiele szlam. Kim jest twój ojciec?

- Pracuje w ministerstwie - skłamał Harry. Wiedział, że wszystko się wyda przy najmniejszej próbie weryfikacji, ale z drugiej strony to samo stanie się, kiedy jego twarz odzyska normalny wygląd. - W Departamencie Magicznych Wypadków i Katastrof.

- Wiesz co, Greyback? Wydaje mi sie, że tam *jest* jakiś Dudley.

Harry'emu zaparło dech. Czy szczęście, głupie szczęście miało wyciągnąć go cało z tego wszystkiego?

- Pożyjemy, zobaczymy... - Jednak w bezdusznym głosie można było wyczuć maleńką nutkę niepewności. Czy rzeczywiście właśnie zaatakował i uwięził syna jakiegoś oficjela z ministerstwa? Serce Harry'ego waliło jak młotem. Nie byłby zaskoczony, gdyby Greyback to dostrzegł. - Jeśli mówisz prawdę, to mała wycieczka do ministerstwa ci nie zaszkodzi. Sądzę, że twój ojciec wynagrodzi nas za to, że cię zgarnęliśmy.

- Ale - zaschło mu w ustach - gdybyś nas wypuścił...

- Ej! - krzyknął ktoś w namiocie. - Greyback, spójrz na to!

Ciemna postać spieszyła w ich kierunku, w świetle różdżek Harry dojrzał błysk srebra. Znaleźli miecz Gryffindora.

- Pięknie! - zawołał Greyback z wdzięcznością w głosie, biorąc przedmiot od towarzysza. - Wyśmienicie. Wygląda na dzieło goblinów. Skąd masz coś takiego?

- Należy do mojego ojca - skłamał, łudząc się, że było zbyt ciemno, aby dostrzegli imię wyryte tuż pod rękojeścią. - Pożyczyliśmy go, żeby mieć czym rąbać drewno.

- Greyback, czekaj! Patrz no na tego "Proroka"!

Gdy tylko Scabior to powiedział, blizna Harry'ego, mocno rozciągnięta na jego rozdętym czole, zapiekła go niemiłosiernie. Raptem ujrzał bardzo wyraźnie gigantyczny budynek, ponurą fortecę, smoliście czarną i odpychającą. Nagle myśli Voldemorta

ponownie stały się wyraźne. Szybował w kierunku ogromnej budowli, spokojny, a zarazem podekscytowany tym, że upragniony cel jest w zasięgu ręki.

Tak blisko... Tak blisko...

Ogromnym wysiłkiem woli Harry zamknął swój umysł przed myślami Voldemorta, zmuszając się do powrotu na miejsce, w którym siedział, przywiązany w ciemnościach do Rona, Hermiony, Deana i Gryfka oraz do słuchania Łapaczy.

- *Hermiona Granger* - powiedział Scabior. - *Szlama, co to podróżuje z Harrym Potterem.*

Blizna zapiekła znowu, ale z ogromnym wysiłkiem Harry'emu udało się pozostać na miejscu i nie przeniknąć do umysłu Voldemorta. Usłyszał szurnięcie butów Greybacka, gdy ten przykucnął naprzeciw Hermiony.

- Wiesz co, laleczko? To zdjęcie cholernie przypomina ciebie.

- Nie, to nie ja!

Przerażenie, z jakim to powiedziała było równoznaczne z przyznaniem się do winy.

- *...posądza się o podróżowanie z Harrym Potterem* - powtórzył cicho wilkołak.

Wszyscy zamarli. Blizna go niemiłosiernie bolała, ale Harry z całych sił walczył z natłokiem myśli Voldemorta. W tej chwili musiał pozostać sobą.

- To chyba zmienia postać rzeczy, nie sądzicie? - wyszeptał Greyback.

Nikt się nie odezwał. Harry czuł, że Hermiona drży, a obserwująca ich banda łowców zamarła. Greyback wstał, przeszedł kilka kroków w jego stronę i przysiadł ponownie, aby przyjrzeć się dokładniej jego zniekształconym rysom.

- Co my tu mamy na twoim czole, Vernon? - zapytał miękko.

Kiedy przyłożył swój brudny palec do nabrzmiałej blizny, jego oddech wypełnił nozdrza Harry'ego.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknął chłopak, nie mogąc się powstrzymać. Myślał, że zaraz zwymiotuje z bólu.

- Potter, myślałem, że nosisz okulary.

- Znalazłem je! - zawołał jeden z stojących z tyłu Łapaczy. - Były jakieś w namiocie, zaczekaj Greyback...

Kilka sekund później okulary Harry'ego zostały z powrotem wepchnięte na jego nos. Łapacze, przyglądając mu się, podeszli bliżej.

- Tak! - wychrypiał dowódca. - Mamy Pottera!

Wszyscy cofnęli się o kilka kroków, oszołomieni tym, co zrobili. Harry nie mógł już znaleźć żadnego wykrętu. Nadal walczył o to, aby nie stracić przytomności. Strzępy obrazów wdzierały się prosto do jego umysłu

...sunął wzdłuż wysokich ścian czarnej fortecy...

Nie, był Harrym, związanym, bez różdżki i w wielkim niebezpieczeństwie.

...spoglądał w górę na ostatnie okno w najwyższej wieży...

Był Harrym, a ludzie wokół niego właśnie decydowali, co z nim zrobić, dyskutując przyciszonymi głosami

...czas by polecieć...

- ...do ministerstwa?

- Do diabła z ministerstwem! - warknął Greyback. - Przypiszą wszystkie zasługi sobie i nic z tego nie będziemy mieli. Najlepiej zabrać go prosto do Sami - Wiecie - Kogo.

- Przywołasz go? *Tu*? - Scabior był przerażony i pełen szacunku.

- Nie. Nie mam zna... Mówią, że dom Malfoya służy mu za bazę. Zabierzemy chłopaka tam.

Harry sądził, że wiedział, czemu wilkołak nie wezwie Voldemorta. Być może, kiedy jest potrzebny, pozwala mu się nosić szaty śmierciożercy, ale jedynie wewnętrzny krąg został naznaczony Mrocznym Znakiem. On nigdy nie dostąpił tego najwyższego zaszczytu.

Blizna znowu zapiekła.

...i unosił się pośród nocy, lecąc prosto do okna na samym szczycie wieży...

- ...sto procent pewności, że to on? Bo jak nie, to jesteśmy martwi.

- Kto tu dowodzi?! - ryknął Greyback, maskując moment wahania. - Mówię, że to Potter. A on, razem ze swoją różdżką, to dwa tysiące galeonów na wyciągnięcie ręki. Ale

jeśli ty, albo ktokolwiek z was, jesteście zbyt durni, żeby je zgarnąć, będzie więcej dla mnie, a przy odrobinie szczęścia dostanę jeszcze dziewczynę!

...okno było najzwyklejszą szczeliną w czarnym kamieniu, zbyt małą, aby mógł tędy przecisnąć się człowiek... Ledwie było przez nie widać anorektycznie chudą postać, która leżała skulona pod kocem... Nie żyje czy śpi...?

- Dobra! - powiedział Scabior. - Dobra, wchodzimy w to! A co z resztą, co z nimi?

- Równie dobrze mogą chcieć również ich. Mamy dwie szlamy - kolejne dziesięć galeonów. Dawaj miecz. Jeśli to rubiny, to są warte małą fortunkę.

Więźniów postawiono na nogi. Harry słyszał oddech Hermiony - szybki i przerażony.

- Chwyćcie mocno i upewnijcie się, że się wam nie wyślizgną. Ja się zajmę Potterem - powiedział Greyback chwytajac go za włosy; Harry poczuł jak długie, żółte paznokcie drapią jego skórę. - Na trzy! Raz... dwa... trzy!

Deportowali się, pociągając za sobą więźniów. Harry starał się uwolnić od ręki Greybacka, ale jego zmagania okazały się daremne. Ściśnięty pomiędzy Ronem i Hermioną, nie mógł się oddzielić od grupy; gdy już nie był w stanie oddychać, blizna znowu zapłonęła bólem.

...gdy jak wąż przecisnął się przez okienną szczelinę i delikatnie jak obłok pary stanął w podobnym do celi pokoju.

Więźniowie powpadali na siebie podczas lądowania na polnej drodze. Oczy Harry'ego, nadal obolałe, potrzebowały chwili, aby przyzwyczaić się do światła. Potem, na początku czegoś, co wyglądało jak długa aleja, zobaczył bramę z kutego żelaza. Odczuł niewielką ulgę. Najgorsze jeszcze nie nadeszło: nie było tam Voldemorta. Natomiast, jak wiedział, mimo że usiłował oprzeć się wizjom, był on w jakimś dziwnym, przypominającym fortecę miejscu, na szczycie wieży. To, jak dużo czasu będzie potrzebował, by wrócić do Malfoy Manor, kiedy będzie już wiedział, że Harry tu jest, stanowiło już inną kwestię...

Jeden z Łapaczy podszedł do wrót i szarpnął je.

- Jak wejdziemy? Są zamknięte, Greyback, nie mogę... O kurczę!

Ze zgrozą cofnął ręce. Żelazo zakotłowało się. Abstrakcyjne zawijasy i spirale poskręcały się, tworząc przerażającą twarz, która przemówiła metalicznym, odbijającym się głosem.

- Powiedzcie, co was tu sprowadza.

- Mamy Pottera! - triumfująco ryknął Greyback. - Złapaliśmy Harry'ego Pottera!

Wrota otworzyły się.

- Chodźcie! - wilkołak zakrzyknął na swoich ludzi.

Więźniowie zostali pchnięci przez bramę i dalej, wzdłuż alei obsadzonej z obu stron wysokimi żywopłotami, które tłumiły odgłosy ich kroków. Harry zauważył ponad głową niezwykły biały kształt i zdał sobie sprawę, że to paw - albinos. Potknął się, ale Greyback postawił go na nogi. Idąc, zataczał się, przywiązany do czterech pozostałych więźniów. Zamykał swoje opuchnięte oczy, pozwolił, aby ból w jego bliźnie przejął nad nim na chwilę kontrolę. Chciał wiedzieć, co robi Voldemort, czy już wie, kto został złapany...

Wychudzona postać poruszyła się pod cienkim kocem i odwróciła w jego stronę, otwierając wielkie oczy, zapadnięte w obciągniętej skórą czaszce... Mizerny mężczyzna usiadł, skupiając wzrok na nim, na Voldemorcie, a potem się uśmiechnął. Brakowało mu większości zębów...

- Więc przyszedłeś. Wiedziałem, że... pewnego dnia... zobaczę cię tutaj. Ale to na nic. Nigdy jej nie miałem.

- Kłamiesz!

W miarę jak gniew Voldemorta wzrastał, blizna Harry'ego nabrzmiała nowym bólem. Wyszarpnął więc swój umysł i powrócił do własnego ciała, walcząc o to, aby pozostać przytomnym, podczas gdy więźniowie byli pchani żwirową ścieżką.

Nagle nad nimi wszystkimi zapaliło się światło.

- Co to ma znaczyć? - zapytał zimny, kobiecy głos.

- Przyszliśmy, żeby się spotkać z Tym, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać - wychrypiał Greyback.

- Kim jesteś?

- Znasz mnie! - W głosie wilkołaka słychać było urazę. - Fenrir Greyback! Złapaliśmy Harry'ego Pottera!

Chwycił chłopca, obrócił szarpnięciem, ustawiając twarzą w kierunku światła i zmuszając pozostałych więźniów do obrócenia grupki o parę kroków wokół własnej osi.

- Wiemy, że ma przemeblowaną facjatę, psze pani, ale to on! - zaskrzeczał Scabior. - Jeśli się pani troche przyglądnie, zobaczy pani blizne. A ta tutaj mała, widzi pani? To szlama, która z nim podróżuje. Nie ma bata, to on! I mamy też różdżke! Proszę.

Harry zdołał dojrzeć Narcyzę Malfoy, przyglądającą się jego nabrzmiałej twarzy. Scabior wcisnął jej tarninową różdżkę.

- Wprowadźcie ich - powiedziała.

Więźniowie, popychani i kopani, pokonali szerokie stopnie i znaleźli się w holu, którego ściany pokrywały rzędy portretów.

- Chodźcie za mną - powiedziała Narcyza, kierując się wzdłuż korytarza. - Mój syn, Draco, przyjechał na święta wielkanocne. Rozpozna go, jeśli to Harry Potter.

W porównaniu z wcześniejszymi ciemnościami, wielki salon był jasno oświetlony. Nawet poprzez na wpół zamknięte oczy, Harry potrafił ocenić jego rozmiary. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol, a na ciemnej, fioletowej ścianie wisiały kolejne portrety. Kiedy Łapacze wepchnęli więźniów do środka, dwie osoby wstały z krzeseł, stojących naprzeciw ozdobnego, marmurowego kominka.

- Co to ma znaczyć?

Straszliwie znajomy, przeciągający sylaby głos Lucjusza Malfoya dotarł do uszu Harry'ego. Właśnie zaczęła ogarniać go panika. Nie widział żadnego wyjścia. W miarę jak wzrastał strach, łatwiej było blokować myśli Voldemorta, choć blizna nadal paliła.

- Twierdzą, że złapali Pottera - chłodno odpowiedziała Narcyza. - Draco, chodź tutaj.

Harry nie śmiał spojrzeć na Malfoya wprost, ale zerkał ukradkiem. Chłopak, trochę wyższy od niego samego, wstał z fotela, a jego blada, spiczasta twarz wydawała się niewyraźna pod bardzo jasnymi włosami.

Greyback zmusił więźniów do takiego obrotu, aby podejrzany stał dokładnie pod żyrandolem.

- I co, chłopcze? - zachrypiał wilkołak.

Naprzeciw Harry'ego, nad kominkiem wisiało wielkie lustro w pozłacanej, zdobnej w skomplikowane ornamenty ramie. Poprzez szparki, w jakie przekształciły się teraz jego oczy, po raz pierwszy, od kiedy opuścił Grimmauld Place, zobaczył swoje odbicie.

Jego twarz była wielka, błyszcząca i różowa. Zaklęcie Hermiony zniekształciło wszystkie rysy. Włosy sięgały mu do ramion, a wokół brody zarysował się ciemny cień zarostu. Gdyby nie wiedział, że widzi siebie, zastanawiałby się, kto nosi jego okulary. Postanowił się nie odzywać, ponieważ głos zdradziłby go na pewno. Nadal starał się unikać kontaktu wzrokowego ze zbliżającym się Malfoyem.

- I co, synu? - zapytał niecierpliwie Lucjusz. - To prawda? To on?

- Nie... Nie jestem pewien - odparł Draco, uważając, aby nie zbliżyć się zanadto do Greybacka. Wydawało się, że i on, i Harry w równym stopniu boją się spojrzeć na siebie.

- Ale przyjrzyj się dokładnie! Podejdź bliżej!

Harry jeszcze nigdy nie słyszał Lucjusza Malfoya tak podekscytowanego.

- Draco, gdybyśmy to my przekazali Pottera w ręce Czarnego Pana, wszystko zostałoby wybaczo...

- Ale mam nadzieję, że nie zapomnimy, kto faktycznie go złapał, panie Malfoy? - z groźbą w głosie powiedział Greyback.

- Oczywiście, że nie! Oczywiście! - odparł niecierpliwie Lucjusz.

Podszedł do Harry'ego, który nawet przez swoje opuchnięte oczy mógł zobaczyć szczegóły tej zwykle apatycznej, bladej twarzy. Taka obserwacja poprzez nabrzmiałą maskę, jaką była teraz jego głowa, wydawała się mu podobna do wyglądania przez kraty klatki.

- Coście mu zrobili? - zapytał Malfoy Greybacka. - Co doprowadziło go do takiego stanu?

- To nie my.

- To mi wygląda na zaklęcie żądlące.

Jego szare oczy przesunęły się na czoło Harry'ego.

- Coś tu jest - wyszeptał. - To mogłaby być mocno rozciągnięta blizna. Draco, chodź tutaj i przyjrzyj się dokładnie! Jak sądzisz?

Harry zobaczył go z bliska, stojącego już obok ojca. Byli do siebie niezwykle podobni, poza tym, że podczas gdy ojciec patrzył przed siebie podekscytowany, syn wydawał się być pełen niechęci, a nawet strachu.

- Nie wiem - powiedział i odszedł w kierunku kominka, gdzie stała jego matka, obserwując tę scenę.

- Lucjuszu, lepiej, żebyśmy mieli pewność - zawołała do męża swoim zimnym, czystym głosem. - Zanim przywołamy Czarnego Pana, nie możemy mieć żadnych wątpliwości, że to Potter... Powiedzieli, że to jego - przyjrzała się tarninowej różdżce - ale nie pasuje do opisu Ollivandera... Jeśli się mylimy, jeśli na próżno wezwiemy Czarnego Pana... Pamiętasz, co zrobił Rowle'owi i Dołohowowi?

- A w takim razie, co powiesz o szlamie? - warknął Greyback.

Harry prawie się przewrócił, kiedy więźniowie zostali zmuszeni do kolejnego obrotu, aby światło podało teraz na Hermionę.

- Czekaj! - ostro zawołała Narcyza. - Tak, tak! Była z Potterem w sklepie Madame Malkin. Widziałam jej zdjęcie w "Proroku "! Draco, spójrz, czy to nie Grangerówna?

- Ja... Może... Tak.

- Ale w takim razie to jest ten chłopak Weasleyów! - krzyknął Lucjusz, stając naprzeciw Rona. - To oni, przyjaciele Pottera. Draco, spójrz na niego, czy to nie syn Artura Weasleya, jak mu tam...?

- Tak - przytaknął Draco ponownie, stojąc do nich plecami. - Możliwe.

Za Harrym otworzyły się drzwi. Głos kobiety, która się odezwała, wzniósł jego strach na jeszcze wyższy poziom.

- Co to ma znaczyć? Co się stało, Narcyzo?

Bellatriks Lestrange powoli obeszła więźniów, przystając, aby by przyjrzeć się Hermionie.

- Ale czy na pewno to ta szlama? - powiedziała cicho - To Granger?

- Tak, tak! - zawołał Lucjusz. - Sądzimy, że obok niej stoi Potter! Potter i jego przyjaciele! W końcu złapani!

- Potter? - zapiszczała, cofając się kilka kroków, aby zobaczyć go całego. - Jesteś pewien? W takim razie musimy natychmiast zawiadomić Czarnego Pana!

Podciągnęła lewy rękaw. Na jej przedramieniu Harry zobaczył głęboko wypalony Mroczny Znak. Wiedział, że zaraz go dotknie, wzywając swojego ukochanego pana...

- *Ja* właśnie miałem go wezwać - powiedział Lucjusz, chwytając ją za nadgarstek i powstrzymując od dotknięcia znamienia. - Bella, *sam* go przywołam. Pottera przyprowadzono do mojego domu, więc to mnie należy się ten...

- ...się należy! - zaszydziła, próbując wyszarpnąć rękę z jego uścisku. - Nic ci się nie należy, od kiedy straciłeś swoją różdżkę, Lucjuszu! Jak śmiesz?! Zabieraj łapy!

- Nie masz z tym nic wspólnego, nie złapałaś chłopaka...

- Najmocniej przepraszam, *panie Malfoy* - wtrącił Greyback - ale to myśmy go pojmali i to nam się należy złoto.

- Złoto! - parsknęła Bellatriks, nadal próbując uwolnić się od swojego szwagra. Drugą ręką starała się znaleźć w kieszeni różdżkę. - Zabieraj swoje pieniądze, brudny padlinożerco, po co mi one? Chcę jedynie dostąpić zaszczytu...

Przestała się szamotać, a jej ciemne oczy skupiły się na czymś, czego Harry nie widział. Zadowolony z tego, że się poddała, Lucjusz puścił jej rękę i sam podciągnął rękaw.

- STÓJ!! - wrzasnęła. - Nie dotykaj tego! Wszyscy zginiemy, jeśli Czarny Pan przybędzie teraz!

Lucjusz zamarł ze wskazującym palcem nad własnym Mrocznym Znakiem. Bellatriks wyszła z wąskiego pola widzenia Harry'ego.

- Co to? - usłyszał jej głos.

- Miecz - odparł jakiś niewidoczny Łapacz.

- Daj mi go.

- Nie należy do ciebie, paniusiu. Z tego, co pamiętam, to ja go znalazłem.

Rozległ się trzask i zobaczyli błysk czerwonego światła. Harry wiedział, że mężczyzna został oszołomiony. Wśród jego towarzyszy rozległy się pomruki niezadowolenia, a Scabior wciągnął swoją różdżkę.

- W co ty sobie pogrywasz, kobieto?

- *Drętwota!* - krzyknęła. - *Drętwota!*

Była sama przeciw czterem napastnikom, ale żaden nie mógł się z nią równać. Wszyscy upadli tak, jak stali, z wyjątkiem dowódcy, którego zmusiła do uklęknięcia z podniesionymi rękoma. Harry wiedział, że ta kobieta posiada ogromne umiejętności, lecz ani krzty sumienia. Kątem oka zobaczył jak zbliża się do wilkołaka, mocno ściskając w ręku miecz Gryffindora.

- Skąd to masz? - zapytała Greybacka, który nie zrobił nic, gdy zabrała mu różdżkę.

- Jak śmiesz? - warknął. Zmusiła go do popatrzenia w górę; mógł ruszać jedynie ustami. Obnażył swoje spiczaste zęby. - Kobieto, uwolnij mnie.

- Gdzie znaleźliście ten miecz? - powtórzyła, wymachując mu bronią przed oczami. - Snape wysłał go do mojej skrytki u Gringotta!

- Był w ich namiocie. Wypuść mnie, mówię!

Machnęła różdżką i wilkołak skoczył na równe nogi, ale wydawało się, że nie chce się do niej zbliżać. Okrążył fotel i zacisnął swoje brudne paznokcie na oparciu.

- Draco, zrób coś z tymi szumowinami - rozkazała Bellatriks, wskazując na nieprzytomnych mężczyzn. - Jeśli nie masz jaj, żeby ich wykończyć, to zostaw ich na dziedzińcu. Zajmę się nimi później.

- Nie waż się mówić tak do Dracona - wściekle zaprotestowała Narcyza, ale została zakrzyczana przez siostrę.

- Cicho! Sytuacja jest bardziej poważna niż możesz sobie wyobrazić, Narcyzo. Mamy duży problem.

Stała, lekko dysząc. Spoglądała w dół na miecz, badając jego rękojeść, a potem przeniosła wzrok na więźniów.

- Jeśli rzeczywiście to jest Potter, nie może mu się nic stać - wymamrotała bardziej do samej siebie, niż do pozostałych. - Czarny Pan życzy sobie osobiście z nim rozprawić... Ale jeśli się dowie... Muszę... Muszę wiedzieć...

Ponownie obróciła się w stronę swojej siostry.

- Musimy umieścić ich w lochach, dopóki nie wymyślę, co zrobić.

- To mój dom, Bella, nie będziesz wydawać rozkazów...

- Zrób to! Nie masz nawet pojęcia, w jakim jesteśmy niebezpieczeństwie! - wrzasnęła Bellatriks. Była wściekła, wyglądała przerażająco, cienka strużka ognia wydobyła się z jej różdżki i wypaliła dziurę w dywanie.

Narcyza wahała się przez moment, a potem zwróciła się do wilkołaka.

- Zabierz więźniów do piwnicy.

- Czekaj - ostro rzuciła jej siostra. - Wszystkich poza... poza szlamą.

Greyback wydał z siebie pomruk rozkoszy.

- Nie! - krzyknął Ron - Możesz zatrzymać mnie, zostanę!

Bellatriks uderzyła go w twarz. Odgłos ciosu rozniósł się echem po pokoju.

- Jeśli umrze podczas przesłuchania, będziesz następny - powiedziała. - Zdrajcy krwi to prawie jak szlamy. Zabierz ich na dół i upewnij się, że nie uciekną, ale nic ponad to.

Rzuciła wilkołakowi jego różdżkę, a potem z kieszeni szaty wyjęła krótki, srebrny nóż. Odcięła Hermionę od reszty więźniów i wyciągnęła za włosy na środek komnaty, podczas gdy Greyback przepchnął pozostałych przez pokój w kierunku drzwi, prowadzących do ciemnego korytarza. Różdżkę trzymał przed sobą, wytwarzając niewidzialną siłę, której nie sposób było stawić oporu.

- Mam nadzieję, że dostanę kawałek dziewczyny, kiedy ona z nią skończy - wymruczał, kiedy wlekli się korytarzem. - Powiedziałbym kęs albo dwa, jak sądzisz, rudzielcu?

Harry mógł wyczuć, jak Ron się trzęsie. Pokonywali kondygnacje schodów, nadal przywiązani plecami do siebie, co sprawiało, że w każdej chwili mogli potknąć się i

poskręcać karki. Na dole zobaczyli masywne drzwi. Greyback otworzył je za pomocą swojej różdżki, wepchnął jeńców do ciemnego i zatęchłego pomieszczenia, a potem zostawił w całkowitej ciemności. Dźwięk zatrzaskiwanych drzwi piwnicznych nie ucichł jeszcze, kiedy usłyszeli straszny, przedłużający się krzyk, jaki rozległ się dokładnie ponad nimi.

- HERMIONA! - ryknął Ron i tak zaczął się mocować z linami, że Harry prawie stracił równowagę. - HERMIONA!

- Cicho! - powiedział Harry. - Zamknij się, Ron! Musimy znaleźć sposób...

- HERMIONA! HERMIONA!

- Potrzebujemy planu, przestań wrzeszczeć. Musimy pozbyć się lin.

- Harry? - spośród ciemności doszedł ich szept. - Ron? To wy?

Ron przestał krzyczeć. Usłyszeli gdzieś blisko szelest, a potem zobaczyli zbliżający się cień.

- Harry? Ron?

- *Luna*?

- Tak, to ja! O, nie! Nie chciałam, żeby was złapali!

- Możesz nam pomóc zdjąć te liny?

- Tak sądzę. Jest tu stary gwóźdź, którego używamy, kiedy musimy coś rozdzielić. Zaczekajcie chwileczkę.

Znowu ponad nimi ponownie rozległ się wrzask Hermiony, następnie krzyki Bellatriks, ale jej słów nie dało się rozpoznać, więc Ron znowu zaczął:

- HERMIONA! HERMIONA!

- Panie Ollivander? - usłyszeli, głos Luny. - Panie Ollivander, czy ma pan gwóźdź? Gdyby mógł się pan troszeczkę przesunąć... Wydaje mi się, że był obok dzbanka z wodą.

Wróciła po kilku sekundach.

- Musicie stać spokojnie.

Harry czuł jak Luna manipuluje przy linach, aby rozwiązać węzły.

Z piętra wyżej doszedł ich głos Bellatriks.

- Zapytam jeszcze raz! Skąd macie miecz? *Skąd?*

- Znaleźliśmy go, znaleźliśmy... PROSZĘ! - Hermiona ponownie wrzasnęła. Ron wiercił się jeszcze mocniej i zardzewiały gwóźdź prześlizgnął się po nadgarstku Harry'ego.

- Proszę, stój spokojnie - wyszeptała Luna. - Nie widzę, co robię.

- Moja kieszeń! W mojej kieszeni! Tam jest deluminator i ma w sobie mnóstwo światła!

Kilka sekund później usłyszeli kliknięcie i świetliste kule, które urządzenie zassało z lamp w namiocie, poszybowały w przestrzeń lochu. Nie mogąc znaleźć swoich źródeł, po prostu zawisły w powietrzu jak małe słońca, wypełniając światłem podziemne pomieszczenie. Harry zobaczył bladą, zafascynowaną twarz Luny oraz nieruchomego wytwórcę różdżek, Ollivandera, skulonego w kącie lochu. Obracając głowę, ujrzał swoich współwięźniów: Deana i goblina Gryfka, który wydawał się ledwie przytomny, podtrzymywany jedynie przez liny.

- O, to wielkie ułatwienie, dzięki, Ron! - powiedziała Luna i ponownie zabrała się za sznury. - Cześć, Dean!

Z pokoju ponad nimi doszedł ich głos Bellatriks:

- Wiem, że kłamiesz, plugawa szlamo. Byłaś w mojej skrytce u Gringotta! Mów prawdę! *Mów prawdę!*

Rozległ się kolejny straszny krzyk.

- HERMIONA!

- Co jeszcze zabraliście? Co macie? Mów prawdę, albo przysięgam, posmakujesz tego noża!

- Już.

Harry poczuł, jak liny opadają. Obrócił się, masując nadgarstki. Zobaczył biegającego po lochu Rona, który wpatrywał się w sufit w poszukiwaniu jakiejś klapy. Dean, którego twarz była posiniaczona i pokryta krwią, podziękował Lunie. Stał w miejscu, trzęsąc się. Natomiast Gryfek, który opadł na podłogę, wyglądał na zdezorientowanego i oszołomionego, a jego spocona twarz pełna była szram.

Ron próbował się deportować, choć nie miał różdżki.

- Stąd nie ma wyjścia - wyjaśniła Luna, obserwując jego bezowocne wysiłki. - Loch jest kompletnie zabezpieczony przeciw ucieczkom. Z początku też próbowałam. Pan Ollivander jest tu już od dłuższego czasu, sprawdził wszystko.

Hermiona znowu krzyczała, co sprawiało Harry'emu niemal fizyczny ból. Ledwie świadom ostrego kłucia w bliźnie, także zaczął biegać po piwnicy. Obmacywał ściany, pomimo tego, że podświadomie doskonale wiedział, iż nie miało to najmniejszego sensu.

- Co jeszcze zabraliście, co jeszcze? Odpowiadaj! *CRUCIO!*

Wrzaski dziewczyny odbijały się echem od ścian na górze. Ron prawie płakał, uderzając pięściami w mur, a Harry w akcie desperacji sięgnął po sakiewkę Hagrida. Zaczął w niej grzebać na oślep. Wyciągnął znicz od Dumbledore'a i potrząsnął nim, sam nie wiedząc, na co ma nadzieję. Nic się nie stało. Machnął złamanymi połówkami różdżki z piórem feniksa, ale nie miały już żadnej mocy.

Połyskujący fragment lustra upadł na podłogę i Harry zobaczył w nim błysk jasnego błękitu.

Oko Dumbledore'a spoglądało na niego ze zwierciadła.

- Pomóż nam! - krzyknął w krańcowej desperacji - Jesteśmy w podziemiach Malfoy Manor! Pomóż nam!

Ale oko mrugnęło i zniknęło.

Harry nawet nie był pewien, czy rzeczywiście je zobaczył. Przechylił odłamek lustra w taki sposób, że nie odbijało się w nim nic, poza ścianami i sufitem ich więzienia. Na górze Hermiona wrzeszczała jeszcze bardziej niż przedtem, a tuż obok niego wył Ron:

- HERMIONA! HERMIONA!

- Jak dostaliście się do mojej skrytki?! - usłyszeli krzyk Bellatriks. - Czy pomógł ten mały plugawy goblin z piwnicy?

- Spotkaliśmy go dopiero dziś! - załkała dziewczyna. - Nigdy nie byliśmy w twojej krypcie. To nie jest prawdziwy miecz! To podróbka, tylko podróbka!

- Podróbka? O, ładna historyjka!

- Ale przecież możemy się o tym łatwo przekonać - dobiegł ich głos Lucjusza. - Draco, przyprowadź goblina. On może nam powiedzieć, czy miecz jest prawdziwy czy nie.

Harry rzucił się w kierunku miejsca, w którym Gryfek przycupnął na ziemi.

- Gryfek, słuchaj... - wyszeptał do jego spiczastego ucha. - Musisz im powiedzieć, że miecz jest podróbką. Oni nie mogą się dowiedzieć, że to ten prawdziwy, proszę...

Usłyszał, jak ktoś zbiega po piwnicznych schodach i po chwili za drzwi dobiegł drżący głos Draco.

- Cofnijcie się. Ustawcie się w szeregu pod ścianą naprzeciwko. Nic nie kombinujcie, albo was zabiję!

Zrobili jak im kazano, a gdy przekręcił się zamek, Ron kliknął deluminatorem i światła wślizgnęły się do jego kieszeni, przywracając ciemność w lochu. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Malfoy, blady i zdeterminowany, wszedł do środka trzymając przed sobą różdżkę. Chwycił niewielkiego goblina za ramię i wycofał się, ciągnąc go za sobą. Drzwi trzasnęły, zamykając się, a w tym samym momencie głośne trzaśnięcie rozległo się wewnątrz lochu.

Ron kliknął deluminatorem. Trzy kule światła ponownie uniosły się w powietrze, ujawniając obecność skrzata domowego Zgredka, który właśnie aportował się pośród nich.

- ZGR...!

Harry mocno szturchnął Rona, żeby ten siedział cicho. Ron z przerażeniem zasłonił usta, gdy uświadomił sobie swój błąd. Ponad ich głowami rozległy się przytłumione kroki - Draco prowadził Gryfka do Bellatriks.

Ogromne jak piłki tenisowe oczy Zgredka, były szeroko otwarte. Trząsł się od stóp do głów. Znalazł się z powrotem w domu swoich dawnych państwa i jasne było, że go to przeraża.

- Harry Potter - zaskrzeczał dyszkantem. - Zgredek przyszedł pana uratować.

- Jak, w jaki sposób...?

Okropny krzyk stłumił słowa Harry'ego. Hermionę znowu torturowano. Postanowił ograniczyć się do minimum.

- Możesz się deportować z tego lochu? - zapytał Zgredka, który przytaknął, aż jego uszy załopotały.

- Możesz zabrać ze sobą ludzi?

Skrzat ponownie potwierdził.

- Świetnie. Zgredku, chciałbym żebyś wziął Lunę, Deana oraz pana Ollivandera i zabrał ich... zabrał...

- Do Billa i Fleur - podpowiedział Ron. - Do Muszelki na peryferiach Tinworth!

Zgredek po raz trzeci kiwnął głową.

- A potem wróć - polecił Harry. - Możesz to zrobić?

- Oczywiście, Harry Potter, sir - wyszeptał skrzat i pospieszył w stronę pana Ollivandera, który wydawał się być ledwie przytomny. Jedną ręką chwycił dłoń wytwórcy różdżek, a drugą wyciągnął w kierunku Luny i Deana. Żadne z nich się nie poruszyło.

- Chcemy ci pomóc! - wyszeptała Luna.

- Nie możemy cię tu zostawić - poparł ją Dean.

- Idźcie, oboje! Zobaczymy się u Billa i Fleur.

Kiedy to mówił, jego blizna zabolała jeszcze gorzej niż zwykle i przez chwilę widział nie wytwórcę różdżek, ale mężczyznę, który był równie stary i równie chudy, ale śmiał się pogardliwie.

- *Więc mnie zabij, Voldemorcie. Z radością witam śmierć! Ale ona nie da ci tego, czego szukasz. Tak wielu rzeczy nie rozumiesz...*

Harry poczuł wściekłość Voldemorta, ale gdy Hermiona znowu krzyknęła, odepchnął ten gniew, powracając do własnej, koszmarnej rzeczywistości.

- Idźcie - błagał. - Znikajcie. Podążymy za wami, tylko idźcie!

Złapali więc wyciągnięte palce skrzata. Nastąpił kolejny trzask - Zgredek, Luna, Dean i Ollivander zniknęli.

- Co to było? - Lucjusz Malfoy zawołał ponad ich głowami. - Słyszeliście to? Co to za hałas w piwnicy?

Harry i Ron spojrzeli po sobie.

- Draco... Nie, zawołajcie Glizdogona, niech on sprawdzi.

Kroki przemierzyły pokój nad nimi, a potem zapadła cisza. Harry wiedział, że nasłuchują kolejnych hałasów z podziemi.

- Musimy zaryzykować i pokonać go - wyszeptał do Rona. Nie mieli wyboru. W momencie, w którym ktoś wszedłby do celi i zobaczył, że nie ma trójki więźniów, byliby zgubieni.

- Zostaw światła - dodał, kiedy usłyszeli, jak ktoś schodzi po schodach. Stanęli pod ścianą po obu stronach wejścia.

- Odsuńcie się - usłyszeli głos Glizdogona. - Trzymajcie się z dala od drzwi. Wchodzę.

Otworzył celę. Przez ułamek sekundy wpatrywał się w najwyraźniej pusty loch oświetlony przez trzy miniaturowe, unoszące się w powietrzu słońca. W końcu więźniowie rzucili się na niego. Ron chwycił i pociągnął do góry rękę, w której Glizdogon trzymał różdżkę. Harry zacisnął dłoń na jego ustach. Walczyli w ciszy: różdżka Pettigrew strzelała iskrami, a jego srebrna ręka zacisnęła się na gardle Harry'ego.

- Glizdogonie, co się dzieje?! - zawołał z góry Lucjusz Malfoy.

- Nic! - odpowiedział mu Ron, całkiem znośnie imitując chrapliwy głos. - Wszystko w porządku!

Harry ledwo oddychał.

- Zamierzasz mnie zabić? - zadrwił chrapliwie, próbując uwolnić się od metalowych palców. - Po tym, jak uratowałem ci życie? Jesteś mi coś winien!

Uścisk osłabł. Chłopak nie spodziewał się tego. Zdumiony, uwolnił się, nadal przyciskając dłoń do ust Pettigrew. Zobaczył, jak zaskoczenie i przerażenie rozszerza te małe, szczurowate i wodniste oczy. Wydawało się, po tej odrobinie miłosierdzia, jaką na chwilę okazał jest zszokowany w równym stopniu co Harry. Znów zaczął walczyć, teraz jeszcze mocniej, jak gdyby chciał naprawić moment słabości.

- I jeszcze sobie to pożyczymy - wyszeptał Ron, wyszarpując różdżkę z jego drugiej ręki.

Glizdogon był bezradny i rozbrojony. Przerażenie rozszerzyło mu źrenice, a spojrzenie przesunęło się z twarzy chłopaka na coś innego. Srebrne palce nieuchronnie zbliżały się do jego własnego gardła.

- Nie!

Harry bez chwili namysłu próbował odciągnąć srebrną rękę, ale nic nie mogło jej powstrzymać. Magiczne narzędzie, jakim Voldemort obdarzył swojego najtchórzliwszego sługę, obróciło się przeciw swojemu bezbronnemu i już niepotrzebnemu właścicielowi. Pettigrew odbierał swoją nagrodę za chwilę wahania i litości. Był duszony na oczach chłopców.

- Nie!

Ron puścił rękę Glizdogona i razem z przyjacielem starał się rozluźnić uścisk metalowych palców. Ale te wysiłki nic nie dawały. Mężczyzna siniał.

- *Relashio!* - Ron wskazał różdżką na srebrną rękę, ale nic się nie stało. Pettigrew opadł na kolana. W tym samym momencie Hermiona wydała ponad nimi przerażający krzyk.

Fioletowy na twarzy Glizdogon zerknął ku górze, drgnął po raz ostatni, a potem znieruchomiał.

Chłopcy spojrzeli po sobie, a potem, zostawiając na podłodze martwe ciało, pobiegli po schodach, z powrotem do ciemnego korytarza prowadzącego do salonu. Skradali się ostrożnie, dopóki nie dotarli do uchylonych drzwi. Mogli teraz wyraźnie zobaczyć Bellatriks, pochylającą się nad Gryfkiem, który w dłoniach o długich palcach trzymał miecz Gryffindora. Hermiona, słabo się poruszając, leżała u stóp Lestrange.

- I co? - zapytała Bellatriks. - Jest prawdziwy?

Harry wstrzymał oddech, czekając na osąd oraz walcząc z bólem blizny.

- Nie - zabrzmiała odpowiedź. - To falsyfikat.

- Jesteś pewien? Całkowicie pewien?

- Tak.

Napięcie ustąpiło uldze, która rozgościła się na jej twarzy.

- To dobrze - powiedziała i charakterystycznym dla siebie szybkim ruchem różdżki zrobiła kolejne, głębokie nacięcie w twarzy goblina, który wrzasnął upadając u jej stóp. Kopniakiem odsunęła go na bok.

- A teraz - powiedziała głosem pełnym triumfu - możemy wezwać Czarnego Pana.

Podciągnęła rękaw i palcem wskazującym dotknęła Mrocznego Znaku.

W tej samej chwili Harry poczuł, jakby jego blizna znów się otworzyła. Otaczająca go rzeczywistość zniknęła. Był Voldemortem, który stał przed śmiejącym się, bezzębnym, wychudzonym jak szkielet czarodziejem. Wezwanie rozwścieczyło go. Ostrzegł wszystkich, żeby przywołali go jedynie, jeśli znajdą Pottera. Jeśli się mylą...

- *Więc mnie zabij - zażądał starzec. - Nie wygrasz, nie możesz wygrać. Ta różdżka nigdy, przenigdy nie będzie twoja.*

Voldemort wpadł w furię. Błysk zielonego światła wypełnił celę. Stare, wątłe ciało uniosło się ponad twarde łóżko a potem, już nieżywe, opadło z powrotem. Czarny Pan podszedł do okna, ledwie kontrolując wściekłość. Spotka ich surowa kara, jeśli został wezwany bez potrzeby...

- Sądzę - Harry usłyszał głos Bellatriks - że możemy pozbyć się szlamy. Zabieraj ją, jeśli chcesz, Greyback.

- NIEEEEEEEEEEEEEEE!

Ron wpadł do salonu. Zaskoczona kobieta obejrzała się i odwróciła błyskawicznie, aby móc się z nim zmierzyć.

- *Expelliarmus!* - krzyknął, wskazując na nią różdżką Glizdogona. Jej własna uleciała w powietrze i została złapana przez Harry'ego, który wbiegł do pokoju zaraz za przyjacielem. Lucjusz, Narcyza, Draco i Greyback obrócili się, a on ryknął: *"Drętwota"* i ciało starszego Malfoya osunęło się do paleniska. Ze strony pozostałych nadleciały strumienie świateł. By ich uniknąć, Harry padł na podłogę, kuląc się za sofą.

- PRZESTAŃCIE, ALBO ONA ZGINIE!

Dysząc, chłopak wyjrzał zza sofy. Podtrzymując najwyraźniej nieprzytomną Hermionę, Bellatriks przystawiła jej do gardła swój srebrny nóż.

- Rzućcie broń - wyszeptała. - Rzućcie, albo zaraz przekonamy się, jak brudna jest jej krew!

Ron stał sztywno, nadal ściskając różdżkę Glizdogona. Harry wyprostował się, wciąż trzymając w ręku własność Bellatriks.

- Powiedziałam: rzućcie broń! - wrzasnęła, przyciskając ostrze do szyi Hermiony. Harry zobaczył kroplę krwi.

- Zgoda! - krzyknął.

Upuścił swoją różdżkę na podłogę. Ron uczynił podobnie. Obaj podnieśli ręce do góry.

- Doskonale - twarz kobiety wykrzywił uśmiech zadowolenia. - Draco, weź je. Czarny Pan zaraz tu będzie. Twoja śmierć się zbliża, Harry Potterze.

Ale on już o tym wiedział. Jego blizna prawie się otworzyła. Potrafił wyczuć Voldemorta, lecącego gdzieś daleko, wysoko nad ciemnym i wzburzonym morzem. Wkrótce będzie na tyle blisko, żeby się do nich aportować. Nie było żadnego wyjścia.

- A teraz - powiedziała miękko Bellatriks, kiedy Draco wrócił do niej z różdżkami - Narcyzo, myślę, że powinnyśmy ponownie związać tych małych bohaterów. Greyback tymczasem zajmie się panną szlamą. Jestem pewna, że Czarny Pan nie pożałuje ci jej, po tym, czego dziś dokonałeś.

Po tych słowach nad ich głowami rozległ się osobliwy zgrzyt. Wszyscy natychmiast spojrzeli w górę i zobaczyli, jak kryształowy żyrandol drga. Następnie, skrzypiąc i dzwoniąc przeraźliwie, zaczął spadać. Bellatriks, która stała dokładnie pod nim, puściła swoją ofiarę i z krzykiem rzuciła się w bok. Żyrandol, spadając na Hermionę i goblina, wciąż ściskającego miecz Gryffindora, roztrzaskał się o podłogę, rozbryzgując fontannę kryształów i łańcuszków. Błyszczące drobinki szkła leciały we wszystkich kierunkach. Draco odwrócił się, zasłaniając rękoma pokrwawioną twarz.

Podczas gdy Ron rzucił się, aby wyciągnąć Hermionę z pobojowiska, Harry wykorzystał nadarzającą się okazję, przeskoczył fotel i wyrwał z ręki Malfoya wszystkie trzy różdżki. Wskazał nimi na Greybacka i krzyknął *Drętwota!*. Potrójne zaklęcie ścięło go z nóg. Został uniesiony pod sufit, następnie z hukiem spadł na podłogę.

Narcyza odciągnęła syna z pola rażenia. Bellatriks skoczyła na równe nogi. Jej włosy fruwały na wszystkie strony, gdy wymachiwała nożem. Ale pani Malfoy skierowała różdżkę dokładnie na drzwi.

- Zgredku! - krzyknęła tak, że nawet jej siostra zamarła. - To ty! To ty zrzuciłeś żyrandol?

Malutki skrzat przytruchtał do pokoju, trzęsącym się palcem wskazując na swoją dawną panią.

- Nie wolno ci skrzywdzić Harry'ego Pottera! - zaskrzeczał.

- Zabij go, Narcyzo! - wrzasnęła Balletriks, ale rozległ się kolejny głośny trzask i różdżka Narcyzy uleciała w powietrze, lądując na drugim końcu pokoju.

- Ty mała, brudna małpo! - ryknęła starsza z sióstr. - Jak śmiesz zabierać różdżkę czarodzieja? Jak śmiesz przeciwstawiać się swoim panom?

- Zgredek nie ma panów! Zgredek jest wolnym skrzatem! I Zgredek przyszedł uratować Harry'ego Pottera i jego przyjaciół!

Ból blizny prawie oślepiał Harry'ego. Mgliście orientował się, że pozostało im tylko kilka chwil, zanim przybędzie Voldemort.

- Ron, łap! I uciekajcie! - krzyknął, rzucając mu jedną z różdżek.

Następnie pochylił się, aby wyciągnąć Gryfka spod żyrandola. Przerzucając przez jedno ramię jęczącego i wciąż ściskającego miecz goblina, chwycił rękę Zgredka i obrócił się w miejscu, aby się deportować.

Spadając w ciemność, widział jeszcze przez chwilę scenerię salonu - blade, nieruchome sylwetki Narcyzy i Dracona, smugę rudego koloru, która musiała być włosami Rona oraz błękitny blask lecącego srebra - Bellatriks rzuciła nożem w miejsce, w którym właśnie znikali.

Do Billa i Fleur... Muszelka... Do Billa i Fleur!

Znalazł się w nicości. Nie mógł zrobić nic, poza powtarzaniem celu i żywieniem nadziei, że to wystarczy. Ból blizny przeszywał go, a goblin ciążył mu na ramieniu. Miecz Gryffindora odciskał się na plecach. Zgredek szarpnął ręką. Harry zastanawiał się, czy

skrzat nie próbuje przejąć inicjatywy, aby skierować ich we właściwym kierunku. Chłopak ścisnął jego palce, aby dać znać, że z nim wszystko w porządku.

W następnej chwili uderzyli o twardy grunt i wyczuli słonawe powietrze. Harry upadł na kolana, puścił rękę Zgredka i spróbował delikatnie położyć Gryfka na ziemi.

- Nic ci nie jest? - zapytał, gdy goblin się poruszył, ale ten tylko coś skomlał.

Chłopak rozejrzał się. Niedaleko, pod gwieździstym niebem stał dom. Harry widział wokół niego jakiś ruch.

- Zgredku, czy to Muszelka? - wyszeptał, ściskając dwie różdżki, które zabrał z domu Malfoyów, gotów ich użyć, jeśli będzie musiał. - Czy to tu? Zgredku?

Rozejrzał się. Znalazł skrzata tuż obok siebie.

- Zgredku!

Skrzat chwiał się lekko. Gwiazdy odbijały się w jego wielkich, błyszczących oczach. Obaj jednocześnie spojrzeli na srebrną rękojeść noża wystającego z małej, falującej spazmatycznie klatki piersiowej.

- Zgredku! Nie! Pomocy! - Harry ryknął w stronę domku i zbliżających się ludzi. - Pomocy!

Nie wiedział, ani nie obchodziło go to, czy byli czarodziejami czy mugolami, przyjaciółmi czy wrogami. Jedyne, co go teraz zajmowało, to ciemna plama krwi rozlewająca się na piersi skrzata i jego błagalnie wyciągnięte ręce. Harry objął go i położył go na chłodnej trawie.

- Zgredku, nie, nie umieraj, nie umieraj!

Oczy skrzata odnalazły go. Usta Zgredka zadrżały z wysiłku, próbując ułożyć słowa.

- Harry... Potter...

I wtedy niewielki dreszcz przeszył ciało skrzata, który chwilę potem znieruchomiał. Jego oczy były już niczym więcej, jak wielkimi, szklanymi kulami, roziskrzonymi światłem gwiazd, których już nie widziały.

Rozdział 24
Wytwórca różdżek

Tłumaczenie: Numb3rs

To było jak stary koszmar. Przez chwilę Harry czuł się, jakby klęczał przy ciele Dumbledore'a, u stóp wieży w Hogwarcie. W rzeczywistości patrzył na małe ciało, leżące na trawie, ugodzone srebrnym nożem Bellatriks. Chłopak dalej powtarzał: "Zgredek... *Zgredek*...", chociaż wiedział, że skrzat już odszedł i nie odpowie na jego wołanie.

Po minucie czy dwóch zauważył, że rzeczywiście trafił we właściwe miejsce, gdyż dokoła niego zebrali się Bill, Fleur, Dean i Luna.

- Hermiona... - spytał nagle. - Gdzie ona jest?

- Ron zabrał ją do środka - odpowiedział Bill. - Nic jej nie będzie.

Harry ponownie spojrzał na Zgredka. Wyjął ostrze z ciała, ściągnął z siebie kurtkę i okrył nią skrzata jak kocem.

Gdzieś w pobliżu morze uderzało o skały. Harry wsłuchiwał się w szum wody, podczas gdy inni rozmawiali - omawiając sprawy, które i tak, by go nie zainteresowały i podejmując decyzje. Dean zaniósł rannego Gryfka do domu. Fleur pośpieszyła za nimi. Bill zaproponował sposób pochowania skrzata. Harry zgodził się, nie wiedząc nawet dokładnie, co odpowiedział. A kiedy to zrobił, spojrzał w dół na maleńkie ciało i zabolała go blizna, w jakimś zakątku umysłu zobaczył, jak Voldemort karze tych, którzy zostali w Malfoy Manor. Czarny Pan był przeraźliwie wściekły, a jednak żałoba Harry'ego po Zgredku była silniejsza, przez co wizja przypominała burzę grzmiącą za ogromnym, spokojnym oceanem.

- Chcę to zrobić tak, jak powinienem - zabrzmiały pierwsze słowa Harry'ego, których był w pełni świadomy. - Nie magią. Masz łopatę, Bill?

Samotnie zabrał się do pracy, kopiąc grób w miejscu wskazanym mu przez Billa, na końcu ogrodu, między dwoma krzakami. Kopał zajadle, ciesząc się z pracy fizycznej,

dumny z jej niemagiczności. Każda kropla potu i każdy pęcherz na dłoniach były niczym dar dla skrzata, który ocalił im życie.

Chłopca bolała blizna, ale przywykł do bólu; czuł go, ale nie był on jego częścią. W końcu zdołał zamknąć umysł przed Voldemortem, nauczył się kontroli. Dokładnie tego, czego Dumbledore chciał, aby nauczył się od Snape'a. Tak, jak Voldemort nie był w stanie opętać go, gdy pochłaniała go rozpacz po Syriuszu, tak teraz myśli Czarnego Pana nie miały dostępu do Harry'ego, gdy opłakiwał Zgredka. Wyglądało na to, że żałoba skutecznie odstraszała Voldemorta... Choć Dumbledore zapewne powiedziałby, że to miłość.

Harry kopał dalej, coraz głębiej i głębiej w twardej, zimnej ziemi, wyładowując rozpacz poprzez wysiłek, zaprzeczając bólowi blizny. W ciemności, gdzie towarzyszył mu tylko odgłos własnego oddechu i szum morza, powróciły do niego wydarzenia z Malfoy Manor. Doznał olśnienia.

Równy rytm pracy ramion pomagał myśleć. Dary... Horkruksy... Dary... Horkruksy... Dziwna obsesja opuściła Harry'ego. Strata i strach ugasiły ją. Poczuł się, jakby nagle ktoś obudził go uderzeniem w twarz.

Harry kopał coraz głębiej i już wiedział, jakie miejsce dzisiaj odwiedził Voldemort. Kogo zabił w najwyższej celi Nurmengardu. I z jakiego powodu...

Pomyślał o Glizdogonie, który zginął przez jeden, nieświadomy odruch litości... Dumbledore to przewidział... Ile jeszcze wiedział?

Harry stracił poczucie czasu. Zauważył tylko, że było trochę jaśniej, gdy dołączyli do niego Dean i Ron.

- Jak z Hermioną?

- Lepiej - odparł Ron. - Fleur się nią zajmuje.

Harry miał gotową odpowiedz na pytanie, dlaczego po prostu nie wyczarował idealnego grobu, ale nie musiał nic mówić. Jego koledzy wskoczyli do dziury, którą wykopał, i razem pracowali w milczeniu, aż mogiła była już wystarczająco głęboka.

Harry dokładniej owinął skrzata swoją kurtką. Ron usiadł na brzegu grobu, zdjął buty i skarpetki, i włożył je na bose stopy Zgredka. Dean wyczarował wełniany kapelusz, który Harry delikatnie nałożył na głowę skrzata.

- Powinniśmy zamknąć mu oczy.

Harry nie słyszał, kiedy przyszli pozostali. Bill miał na sobie płaszcz, Fleur duży, biały fartuch, z kieszeni którego wystawała buteleczka eliksiru, w którym Harry rozpoznał Szkiele - Wzro. Blada, opatulona pożyczonym szlafrokiem, Hermiona szła chwiejnie. Ron objął ją ramieniem. Luna, ubrana w jedno z palt Fleur, ukucnęła i delikatnie zamknęła oczy skrzatowi.

- Proszę - powiedziała cicho. - Teraz mógłby spać.

Harry włożył ciało do grobu, ułożył drobne kończyny, jak do odpoczynku. Następnie wyszedł na górę i spojrzał ostatni raz na skrzata. Starał się nie załamać, gdy przypomniał mu się pogrzeb Dumbledore'a: rzędy złoconych krzeseł, minister magii na przedzie, recytacja osiągnięć dyrektora, majestat białego, marmurowego grobowca. Uważał, że Zgredek zasługuje na tak samo wspaniały pogrzeb, a jednak miał spocząć między krzakami w nierówno wykopanej dziurze.

- Myślę, że powinniśmy coś powiedzieć - stwierdziła śpiewnym głosem Luna. - Ja zacznę, dobrze?

Kiedy wszyscy spojrzeli na nią, dziewczyna zwróciła się do martwego skrzata.

- Bardzo ci dziękuję, Zgredku, za uratowanie mnie z tamtej piwnicy. To takie niesprawiedliwe, że musiałeś umrzeć, taki odważny i dobry. Zawsze będę pamiętać, co dla nas zrobiłeś. Mam nadzieję, że jesteś teraz szczęśliwy.

Odwróciła się i spojrzała z wyczekiwaniem na Rona. Chłopak odchrząknął.

- Tak... Dzięki, Zgredku - rzekł zdławionym głosem.

- Dzięki - mruknął Dean.

Harry przełknął ślinę.

- Żegnaj, Zgredku. - Tylko tyle był w stanie z siebie wydobyć, ale Luna powiedziała już wszystko za niego.

Bill uniósł różdżkę i przeniósł ziemię, leżącą przy grobie, tak, że zakryła ciało skrzata i uformowała mały kopczyk.

- Zostanę tu jeszcze chwilę, dobrze? - powiedział Harry cicho do pozostałych żałobników.

Mruknęli coś, czego nie zrozumiał. Poklepali go po plecach, a potem wrócili do domu, zostawiając go samego.

Chłopak rozejrzał się. Brzegi grządek kwiatowych zdobiły białe, wygładzone przez morze kamienie. Podniósł największy z nich i położył go niczym poduszkę w miejscu, gdzie znajdowała się głowa skrzata. Sięgnął do kieszeni po różdżkę. Znalazł dwie. Nie mógł teraz sobie przypomnieć, do kogo wcześniej należały. Mgliście wspominał wyrwanie ich komuś z dłoni. Wybrał krótszą z nich, bo lepiej leżała mu w ręce, i wycelował nią w skałę.

Powoli, pod wpływem wymruczanej inkantacji, na powierzchni kamienia pojawiły się głębokie nacięcia. Wiedział, że Hermiona mogła to zrobić staranniej i zapewne szybciej, ale chciał to zrobić sam - tak, jak wcześniej chciał wykopać grób własnymi rękami. Gdy Harry się podniósł, na skale znajdował się napis:

Tu leży Zgredek, wolny skrzat.

Przez kilka sekund patrzył na swoje dzieło, potem odszedł. Blizna nadal go trochę bolała, ale umysł miał pełen myśli, które nawiedziły go, gdy pracował. Idei, które przybrały kształt w ciemności, pomysłów równocześnie fascynujących i przerażających.

Gdy wszedł do sieni, wszyscy siedzieli w bawialni wokół Billa, który coś mówił. Pomieszczenie było jasne, ładne, mały ogień płonął w kominku. Harry nie chciał zostawiać na dywanie śladów błota, więc stał w progu i słuchał.

- ...szczęście, że Ginny wyjechała na ferie do domu. Gdyby była w Hogwarcie, mogliby ją dorwać, zanim do niej dotarliśmy. Teraz wiemy, że też jest bezpieczna. - Rozejrzał się i spostrzegł Harry'ego. - Zabrałem ich wszystkich z Nory - wyjaśnił. - Przeprowadziłem do Muriel. Śmierciożercy wiedzą już, że Ron jest z tobą, więc na pewno uderzą w moją rodzinę. Nie przepraszaj - dodał na widok miny chłopaka. - To była tylko kwestia czasu, tata powtarzał to od wielu miesięcy. Jesteśmy największą rodziną zdrajców krwi.

- Jak są chronieni? - spytał Harry.

- Zaklęciem Fideliusa. Tata jest strażnikiem tajemnicy. Ja jestem strażnikiem tajemnicy Muszelki. Żadne z nas nie może chodzić do pracy, ale to teraz nie jest najważniejsze. Kiedy już Ollivander i Gryfek będą mieli się lepiej, też przeprowadzimy się do ciotki Muriel. Nie ma tu za wiele miejsca, a ona ma duży dom. Nogi Gryfka się zrastają. Fleur dała mu Szkiele - Wzro. Za jakąś godzinę moglibyśmy ich zabrać...

- Nie - przerwał mu Harry, Bill zdziwił się. - Potrzebuję obu tutaj. Muszę z nimi porozmawiać. To ważne. - Słyszał autorytet w swoim głosie, przekonanie, głos celu, jaki do niego przyszedł, gdy kopał grób. Twarze wszystkich zwróciły się w jego stronę, byli zaskoczeni.

- Idę się umyć - powiedział Harry, oglądając swoje pokryte błotem i krwią Zgredka ręce. - Potem będę musiał się z nimi zobaczyć. Od razu.

Poszedł do małej kuchni, do umywalki znajdującej się pod oknem wychodzącym na morze. Na horyzoncie wschodziło powoli słońce, malując niebo na złoto i różowo. Mył się, ponownie myśląc nad tym, do czego doszedł w ogrodzie.

Zgredek już im nie powie, kto go wysłał do piwnicy w domu Malfoyów, ale Harry wiedział, co widział. Przenikliwe niebieskie oko spojrzało na niego z fragmentu lusterka i potem nadeszła pomoc. *Przekonacie się również, że ci, którzy o pomoc poproszą, zawsze ją otrzymają.*

Chłopak wytarł dłonie, niewrażliwy na piękno pejzażu za oknem i mamrotanie osób siedzących w bawialni. Spojrzał na ocean i tego poranka poczuł, że jest bliżej niż kiedykolwiek samego centrum wydarzeń.

A blizna wciąż go kłuła i Harry wiedział, że Voldemort również się tam zbliża. Harry rozumiał, a równocześnie nie rozumiał. Instynkt podpowiadał mu jedno, a mózg coś przeciwnego. Dumbledore w głowie Harry'ego uśmiechnął się, spoglądając na Harry'ego nad palcami, złożonymi jak do modlitwy.

Podarowałeś Ronowi deluminator... Rozumiałeś go... Dałeś mu drogę powrotu...

I rozumiałeś również Glizdogona... Wiedziałeś, że gdzieś w nim tli się iskierka żalu...

A jeśli ich znałeś... Co wiedziałeś o mnie, dyrektorze?

Mam wiedzieć, ale nie szukać? Wiedziałeś, że to będzie dla mnie niełatwe? Czy dlatego tak utrudniłeś? Abym miał czas na rozpracowanie wszystkiego?

Harry stał nieruchomo z błyszczącymi oczami, wpatrując się w miejsce, gdzie oślepiający, złoty promień słońca wzbijał się nad horyzont. Potem spojrzał na czyste ręce i z zaskoczeniem dojrzał w nich ścierkę. Odłożył ją i wrócił na korytarz. Kiedy to zrobił, blizna nagle zabolała go bardzo mocno. Mignęła mu przed oczami wizja, szybka jak błysk skrzydeł ważki lecącej nad wodą - kształt budynku, który znał bardzo dobrze.

Bill i Fleur stali u podnóża schodów na piętro.

- Muszę porozmawiać z Gryfkiem i Ollivanderem - powiedział Harry.

- Nie - odparła Fleur. - Będzies musił poczekać, 'Arry. Obaj są bardzo zmęcieni...

- Przykro mi - przerwał jej spokojnie - ale nie mogę czekać. Muszę teraz z nimi rozmawiać. Prywatnie... I na osobności. To pilne.

- Harry, do cholery, o co chodzi? - spytał Bill. - Pojawiasz się tu z martwym skrzatem domowym i na wpół przytomnym goblinem; Hermiona wygląda, jakby ją torturowano, a Ron upiera się, że nic mi nie powie...

- Nie możemy ci powiedzieć, co robimy - odparł stanowczo Harry. - Jesteś w Zakonie, Bill, wiesz, że Dumbledore zostawił nam misję. Nie możemy o tym rozmawiać z nikim.

Fleur prychnęła, zniecierpliwiona, ale Bill nie spojrzał na nią. Wpatrywał się w Harry'ego. Trudno było coś wyczytać z pełnej blizn twarzy mężczyzny.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Z kim chcesz rozmawiać najpierw?

Chłopak zawahał się. Wiedział, co zależy od jego decyzji. Nie było już prawie czasu, teraz należało zdecydować: horkruksy czy Dary?

- Gryfek - odparł. - Najpierw pomówię z Gryfkiem.

Serce biło mu tak, jakby biegł bardzo szybko i właśnie pokonał ogromną przeszkodę.

- W takim razie, tędy. - Bill wskazał mu drogę.

Harry zrobił kilka kroków, po czym zatrzymał się i spojrzał za siebie.

- Was też potrzebuję - zawołał w stronę Hermiony i Rona, którzy czaili się, na wpół ukryci, w progu bawialni.

Widać było, że obojgu ulżyło.

- Jak się czujesz? - spytał Harry przyjaciółkę. - Byłaś niesamowita... Wymyśliłaś tę historyjkę, gdy się tak nad tobą znęcała...

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, Ron przytulił ją jedną ręką.

- Co teraz zrobimy, Harry? - zapytał.

- Zobaczycie. Chodźmy.

Cała trójka podążyła za Billem na górę. W korytarzu na pięterku zobaczyli troje drzwi.

- Tutaj - powiedział Bill, otwierając drzwi do sypialni swojej i Fleur. Z niej również roztaczał się widok na morze, teraz już złote od słońca. Harry podszedł do okna, odwrócił się do niego plecami i czekał z rękami założonymi na piersi. Blizna wciąż go pobolewała. Hermiona usiadła na krześle przy toaletce, a Ron przysiadł obok niej na podłokietniku.

Bill wrócił po chwili, niosąc goblina, i położył go na łóżku. Gryfek wymamrotał podziękowanie. Mężczyzna wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Przepraszam, że wyciągnąłem cię z łóżka - powiedział Harry. - Jak nogi?

- Bolą - odrzekł goblin. - Ale się zrastają.

Nadal ściskał miecz Gryffindora. Miał dziwną minę: na pół zaczepną, na pół zaintrygowaną. Harry zwrócił uwagę na ziemistą skórę goblina, jego chude palce i czarne oczy. Fleur zdjęła Gryfkowi buty: długie stopy miał brudne. Goblin był niewiele większy od skrzata domowego, jednak okrągłą głowę miał większą niż ludzka.

- Pewnie nie pamiętasz... - zaczął Harry.

- ...że byłem goblinem, który zaprowadził cię do twojej skrytki, gdy pierwszy raz odwiedziłeś Bank Gringotta? - spytał Gryfek. - Pamiętam, Harry Potterze. Nawet wśród goblinów jesteś bardzo sławny.

Harry i goblin nawzajem zmierzyli się uważnie wzrokiem. Blizna nadal bolała chłopaka. Chciał szybko przesłuchać Gryfka i równocześnie bał się popełnić błąd. Gdy Harry jeszcze zastanawiał się nad najlepszym sposobem przedstawienia swojej prośby, goblin przerwał milczenie.

- Pochowałeś skrzata - powiedział z niespodziewaną rezerwą. - Patrzyłem przez okno sąsiedniej sypialni.

- Tak - odparł chłopak.

Gryfek spojrzał na niego skośnymi, czarnymi oczami.

- Jesteś niezwykłym czarodziejem, Harry Potterze.

- Pod jakim względem? - Harry w roztargnieniu tarł bliznę.

- Wykopałeś grób.

- I...?

Gryfek nie odpowiedział. Harry pomyślał, że szydzi z niego, bo zachował się jak mugol. Jednak to, co goblin myślał o grobie Zgredka, nie miało znaczenia. Chłopak przygotował się na atak.

- Gryfku, muszę poprosić cię...

- Uratowałeś też goblina.

- Co?

- Sprowadziłeś mnie tutaj. Uratowałeś mnie.

- Cóż, chyba nie żałujesz tego? - odparł Harry niecierpliwie.

- Nie, Harry Potterze. - Gryfek zakręcił swą rzadką, czarną brodę na palcu wskazującym. - Ale jesteś bardzo dziwnym czarodziejem.

- Dobra. Cóż, potrzebuję pomocy, a ty mógłbyś mi jej udzielić.

Goblin nie wykonał żadnego gestu zachęty, marszczył tylko brwi, patrząc na Harry'ego, jakby nigdy wcześniej nie widział nic podobnego.

- Muszę włamać się do skrytki w Banku Gringotta.

Harry nie zamierzał powiedzieć tego tak dosadnie. Słowa same wydostały się z jego ust, gdy ból na nowo przeszył bliznę i chłopak znowu zobaczył bryłę Hogwartu. Zamknął umysł. Musiał najpierw załatwić sprawy z Gryfkiem. Hermiona i Ron patrzyli na przyjaciela, jakby oszalał.

- Harry... - zaczęła Hermiona, ale goblin jej przerwał.

- Włamać się do skrytki w Banku Gringotta? - powtórzył, krzywiąc się z bólu przy zmienianiu pozycji. - To niemożliwe.

- Nie, nieprawda - zaprzeczył Ron. - Już to zrobiono.

- Tak - potwierdził Harry. - Tego samego dnia, kiedy się poznaliśmy, Gryfku. W moje urodziny, siedem lat temu.

- Rzeczona skrytka była wtedy pusta - warknął goblin i Harry zrozumiał, że chociaż Gryfek opuścił Bank Gringotta, uraził go pomysł przełamania bankowych umocnień. - Jej zabezpieczenia były minimalne.

- Cóż, skrytka, do której musimy się dostać, nie jest pusta i zapewne jej zabezpieczenia będą dość potężne - rzekł Harry. - Należy do Lestrange'ów.

Zobaczył, jak Hermiona i Ron spoglądają po sobie, zdziwieni. Później będzie czas na wyjaśnienia, gdy już Gryfek da im odpowiedź.

- Nie masz szans - stwierdził stanowczo goblin. - Żadnych szans. *Więc jeśli wchodzisz, by zwiedzić loch i wykraść złoto, obrócisz się w proch.*

- *Złodzieju, strzeż się, usłyszałeś dzwon...* Tak, wiem, pamiętam - odparł Harry. - Ale nie staram się ukraść żadnego skarbu. Nie próbuję zabrać nic dla osobistych celów. Wierzysz w to?

Goblin spojrzał ukosem na Harry'ego. Chłopaka znowu zabolała blizna, ale zignorował ból.

- Gdyby żył czarodziej, któremu byłbym w stanie uwierzyć, że nie szuka osobistych korzyści - stwierdził w końcu Gryfek - to byłbyś nim ty, Harry Potterze. Gobliny i skrzaty domowe nie przywykły do ochrony i szacunku, jaki okazałeś dzisiejszej nocy. Nie ze strony dzierżących różdżki.

- Dzierżący różdżki... - powtórzył Harry. Dziwnie brzmiała ta fraza w jego uszach. Znowu zabolała go blizna, gdy Voldemort zwrócił myśli na północ. Harry aż kipiał z chęci przepytania Ollivandera znajdującego się w sąsiednim pokoju.

- O prawo do posiadania różdżki - powiedział cicho goblin - od dawna trwa walka między czarodziejami a goblinami.

- Cóż, gobliny mogą czarować bez różdżek - odparł Ron.

- To nieistotne! Czarodzieje nie chcą się podzielić sekretami wiedzy o różdżkach z innymi magicznymi stworzeniami, odmawiają nam prawa do możliwości rozszerzenia naszych mocy!

- No, ale gobliny nie dzielą się swoją magią - odrzekł Ron. - Nie mówicie nam, jak robić miecze i zbroje, takie jak wasze. Gobliny znają sposoby na obróbkę metalu, o której czarodzieje nigdy...

- To bez znaczenia - przerwał im Harry, zauważając, że Gryfek dostaje wypieków. - Tu nie chodzi o spory czarodziejów i goblinów, czy jakichkolwiek innych magicznych stworzeń...

Gryfek zaśmiał się paskudnie.

- Ależ tak! Dokładnie o to chodzi! W miarę jak Czarny Pan staje się coraz bardziej potężny, wasza rasa coraz silniej ustawia się nad moją! Bank Gringotta dostał się pod rządy czarodziejów, skrzaty domowe są zniewalane, a kto spośród dzierżących różdżkę protestuje?

- My! - odparła Hermiona. Wyprostowała się, oczy jej lśniły. - My protestujemy! Na mnie polują tak samo, jak na goblina czy skrzata! Jestem szlamą!

- Nie mów tak o sobie... - mruknął Ron.

- Dlaczego nie? - spytała dziewczyna. - Jestem szlamą i jestem z tego dumna! W tym nowym porządku nie mam wcale lepszej niż ty, Gryfku, pozycji! To mnie torturowali, wtedy w Malfoy Manor.

Mówiąc to, odsunęła z szyi szlafrok i pokazała szkarłatny ślad cięcia, który zrobiła Bellatriks.

- Wiedziałeś, że to Harry uwolnił Zgredka? - zapytała. - Wiedziałeś, że od kilku lat walczymy o wolność dla skrzatów? - Ron poruszył się niepewnie na poręczy krzesła. - Chcesz tak samo jak my, by Sam - Wiesz - Kto przegrał!

Goblin wpatrywał się w Hermionę z taką samą ciekawością, z jaką wcześniej obserwował Harry'ego.

- Czego chcecie szukać w skrytce Lestrange'ów? - zapytał nagle. - Tamten miecz jest fałszywy. Ten jest prawdziwy. - Patrzył na nich po kolei. - Myślę, że już to wiecie. Prosiłeś mnie, żebym dla was wtedy kłamał.

- Ale fałszywy miecz nie jest jedyną rzeczą, jaka znajduje się w skrytce, prawda? - powiedział Harry. - Może widziałeś tam inne przedmioty?

Jego serce biło bardzo mocno. Zdwoił wysiłki, by ignorować pulsowanie blizny.

Goblin ponownie zakręcił brodę na palcu.

- Mówienie o sekretach Gringotta jest wbrew naszym zasadom. Jesteśmy strażnikami legendarnych skarbów. Mamy obowiązki względem złożonych pod naszą opieką przedmiotów, często wykonanych naszymi rękoma.

Goblin gładził miecz, wzrokiem wędrując między Harrym, Hermioną i Ronem.

- Tacy młodzi - powiedział w końcu - walczący z tak wieloma.

- Pomożesz nam? - spytał Harry. - Bez pomocy goblina nie mamy szans na włamanie. Jesteś naszą jedyną nadzieją.

- Ja... Zastanowię się nad tym - odparł Gryfek wymijająco.

- Ale... - zaczął Ron z irytacją. Hermiona szturchnęła go w żebra.

- Dziękuję - odparł Harry.

Goblin skłonił wielką, okrągłą głowę z uznaniem, potem zgiął krótkie nogi.

- Sądzę - stwierdził, moszcząc się demonstracyjnie na łóżku Billa i Fleur - że Szkiele - Wzro zrobił swoje. Może w końcu uda mi się zasnąć. Wybaczcie...

- Tak, oczywiście - odrzekł Harry, ale zanim wyszedł z pokoju, pochylił się i zabrał leżący obok Gryfka miecz. Goblin nie zaprotestował, ale chłopak dojrzał w jego oczach urazę.

- Mały dupek - wyszeptał Ron już na korytarzu. - Podoba mu się to, że każe nam czekać.

- Harry. - Hermiona zaciągnęła obu chłopców z dala od drzwi, na środek wciąż ciemnego pomieszczenia. - Mówisz to, co myślę, że mówisz? Że horkruks jest w skrytce Lestrange'ów?

- Tak - odparł Harry. - Bellatriks była przerażona. Na samą myśl, że tam byliśmy, wychodziła z siebie. Czemu? Cóż takiego mogliśmy widzieć, co jeszcze mogliśmy stamtąd zabrać? Coś, co sprawiało, że truchlała na samą myśl, że Sama - Wiesz - Kto się dowie.

- Ale sądziłem, że szukamy miejsc, w których był Sam - Wiesz - Kto. Miejsc, w których zrobił coś ważnego? - odrzekł zbity z tropu Ron. - Był kiedykolwiek w skrytce Lestrange'ów?

- Nie wiem czy kiedykolwiek był w Banku Gringotta - odpowiedział Harry. - Gdy był młody, nie miał tam złota, bo nikt mu niczego nie zostawił. Ale na pewno widział bank z zewnątrz, kiedy pierwszy raz przyszedł na Pokątną.

Blizna chłopaka pulsowała bólem, ale zignorował ją. Chciał, żeby Ron i Hermiona zrozumieli sprawę Gringotta, zanim będą rozmawiać z Ollivanderem.

- Myślę, że zazdrościł każdemu, kto miał klucz do skrytki. Zapewne traktował to jako symbol przynależności do świata czarodziejów. I nie zapominajcie, że ufał Bellatriks i jej mężowi. Byli jego najwierniejszymi sługami przed upadkiem. Szukali go, gdy zniknął. Powiedział to tej nocy, kiedy wrócił, słyszałem.

Harry potarł bliznę.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek jej powiedział, że to horkruks. Nigdy nie powiedział Lucjuszowi Malfoyowi prawdy o pamiętniku. Pewnie powiedział Lestrange, że to drogocenna rzecz i rozkazał, aby schowała ją w skrytce. Najbezpieczniejsze miejsce na świecie, jeśli chcesz coś ukryć - Hagrid tak mi powiedział... Poza Hogwartem.

Kiedy Harry skończył, Ron pokręcił głową.

- Naprawdę go rozumiesz.

- Częściowo - odparł Harry. - Kawałki... Po prostu chciałbym tak samo rozumieć Dumbledore'a. Ale zobaczymy. Chodźmy, teraz Ollivander.

Gdy zapukali do sąsiednich drzwi, Hermiona i Ron wyglądali na oszołomionych, ale jednocześnie pod wrażeniem tego, co usłyszeli. Odpowiedziało im słabe: "Proszę".

Wytwórca różdżek leżał na jednym z dwóch identycznych łóżek, tym bardziej oddalonym od okna. Mężczyznę przetrzymywano w piwnicy przez ponad rok i co najmniej raz torturowano. Był wyniszczony, pod żółtawą skórą na twarzy wyraźnie odznaczały mu się kości. Srebrne oczy wydawały się ogromne w zapadniętych oczodołach. Jego leżące na kocu dłonie wyglądały, niemalże jakby należały do szkieletu - skóra i kości. Harry usiadł na pustym łóżku, obok Hermiony i Rona. Stąd nie było widać wschodzącego słońca. Okno pokoju wychodziło na ogród i świeżo wykopany grób.

- Panie Ollivander, przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Harry.

- Mój drogi chłopcze - odparł mężczyzna słabym głosem. - Uratowałeś nas, myślałem już, że tam umrzemy, nigdy nie podziękuję... *Nigdy* nie podziękuję ci... wystarczająco.

- Z przyjemnością to zrobiliśmy.

Blizna Harry'ego znowu zapulsowała boleśnie. Wiedział, był pewien, że nie ma już szans prześcignąć Voldemorta w gonitwie do celu, ani pokrzyżować mu planów. Poczuł wzrastającą panikę... A jednak podjął decyzję, gdy zdecydował się rozmawiać najpierw z Gryfkiem.

Udając spokój, którego nie czuł, chwycił sakiewkę, którą nosił na szyi i wyjął z niej dwie części złamanej różdżki.

- Panie Ollivander, potrzebuję pomocy.

- Wszystko. Cokolwiek zechcesz - zapewnił słabo wytwórca różdżek.

- Może pan to naprawić? Czy to możliwe?

Mężczyzna wyciągnął drżącą dłoń i chłopak położył na niej dwie ledwo ze sobą połączone części.

- Ostrokrzew i pióro feniksa - rzekł Ollivander drżącym głosem. - Jedenaście cali. Ładna i giętka.

- Tak - potwierdził Harry. - Może pan...?

- Nie - wyszeptał mężczyzna. - Przykro mi, bardzo mi przykro, ale różdżki, która ucierpiała do tego stopnia, nie da się naprawić w żaden znany mi sposób.

Harry przygotował się, że to usłyszy, ale i tak był to dla niego cios. Wziął z powrotem kawałki i włożył do sakiewki. Ollivander wpatrywał się w miejsce, gdzie zniknęła połamana różdżka i odwrócił wzrok dopiero, kiedy Harry wyciągnął z kieszeni dwie różdżki, które zdobył u Malfoyów.

- Może je pan zidentyfikować? - spytał Harry.

Wytwórca różdżek wziął pierwszą z nich i zbliżył do oczu. Przeturlał ją w palcach, sprawdził giętkość.

- Orzech włoski i włókno z serca smoka - powiedział. - Dwanaście i trzy czwarte cala. Twarda. Ta różdżka należała do Bellatriks Lestrange.

- A ta?

Ollivander w identyczny sposób zbadał drugą.

- Głóg i włos jednorożca. Dokładnie dziesięć cali. Wystarczająco giętka. To była różdżka Draco Malfoya.

- Była? - powtórzył Harry. - Nie jest nadal jego?

- Możliwe, że nie. Jeśli zabrałeś...

- Tak było.

- ...to może być twoja. Oczywiście, sposób zabierania się liczy. Wiele również zależy od samej różdżki. Jednak zazwyczaj, gdy różdżka została wygrana, zmienia swoje nastawienie.

W pokoju zaległa cisza. Jedynie morze szumiało w dali.

- Mówi pan o różdżkach, jakby miały uczucia - rzekł Harry. - Jakby myślały za siebie.

- Różdżka wybiera czarodzieja - powiedział Ollivander. - To było zawsze oczywiste dla tych z nas, którzy studiowali wiedzę o różdżkach.

- Ale można używać różdżki, która do ciebie nie należy? - dopytał się Harry.

- O tak, każdy czarodziej może kierować swoją magię przez prawie każdy instrument. Najlepsze wyniki osiąga się jednak, gdy między czarodziejem a różdżką istnieje silne przyciąganie. Te powiązania są skomplikowane. Zaczyna się od wzajemnej atrakcyjności, a następnie rozwija przez wspólne poszukiwanie przygód. Różdżka uczy się od czarodzieja, a czarodziej od różdżki.

Fale omywały brzeg, szumiąc smutnie.

- Zabrałem tę różdżkę Draco Malfoyowi siłą - oznajmił Harry. - Mogę jej bezpiecznie używać?

- Tak sądzę. Prawem własności różdżki rządzą subtelne prawa, ale zazwyczaj zdobyta różdżka ugnie swoją wolę do oczekiwań i potrzeb nowego pana.

- Czy więc powinienem używać tej? - zapytał Ron, wyciągając z kieszeni różdżkę Glizdogona i podając ją Ollivanderowi.

- Kasztan i włókno serca smoka. Dziewięć i ćwierć cala. Krucha. Zostałem zmuszony do zrobienia jej krótko po porwaniu, dla Petera Pettigrew. Tak, jeśli ją wygrałeś, będzie bardzo skłonna do słuchania ciebie. I będzie to robić lepiej niż inna.

- I to dotyczy wszystkich różdżek, prawda? - spytał Harry.

- Tak sądzę - odrzekł Ollivander, wpatrując się w niego wypukłymi oczami. - Zadaje pan trudne pytania, panie Potter. Wiedza o różdżkach to złożona i tajemnicza gałąź magii.

- Więc nie trzeba zabijać poprzedniego właściciela, aby zabrać mu różdżkę? - dopytał się Harry.

Ollivander przełknął ślinę.

- Trzeba? Nie, nie powiedziałbym, że trzeba zabić.

- Są jednak legendy - rzekł Harry. Chłopak czuł, jak serce bije mu coraz szybciej, a ból blizny staje się coraz bardziej intensywny. Był przekonany, że Voldemort zdecydował się wprowadzić swój pomysł w czyn. - Legendy o różdżce, albo różdżkach, które przechodziły z ręki do ręki poprzez morderstwo.

Ollivander zbladł. Na tle białej poduszki jego twarz była jasnoszara, a oczy, wielkie i przekrwione, nabrzmiałe strachem.

- Sądzę, że tylko o jednej różdżce - wyszeptał.

- I Sam - Wiesz - Kto interesuje się nią, prawda? - zapytał chłopak.

- Ja... Skąd? - zaskrzeczał mężczyzna, spojrzał błagalnie na Hermionę i Rona, szukając pomocy. - Skąd to wiesz?

- Chciał, żeby mu pan powiedział, jak pokonać połączenie między naszymi różdżkami - dodał Harry.

Ollivander wyglądał na przerażonego.

- Torturował mnie, musisz to zrozumieć! Klątwa Cruciatus, ja... Musiałem mu powiedzieć, co wiedziałem, co odgadłem!

- Rozumiem - stwierdził chłopak. - Powiedział mu pan o bliźniaczych rdzeniach? Powiedział pan, że musi po prostu pożyczyć od kogoś różdżkę?

Ollivander wyglądał na osłupiałego z przerażenia, wręcz sparaliżowanego strachem, słysząc, ile Harry wie. Powoli skinął głową.

- Ale to nie zadziałało - kontynuował Harry. - Moja różdżka nadal pokonała pożyczoną. Wie pan dlaczego?

Ollivander pokręcił głową tak powoli, jak wcześniej przytakiwał.

- Ja nigdy... Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym. Twoja różdżka zrobiła tamtej nocy coś unikalnego. Połączenie między bliźniaczymi rdzeniami jest niewiarygodnie rzadkie, ale dlaczego twoja różdżka złamała pożyczoną, nie wiem...

- Mówiliśmy o innej różdżce, takiej, która zmienia właściciela przez morderstwo. Kiedy Sam - Wiesz - Kto zrozumiał, że moja różdżka zrobiła coś dziwnego, wrócił i zapytał o tę inną, prawda?

- Skąd o tym wiesz?

Harry nie odpowiedział.

- Tak, zapytał - wyszeptał Ollivander. - Chciał wiedzieć wszystko, co mogłem mu powiedzieć, o różdżce znanej jako Berło Śmierci, Różdżka Przeznaczenia czy też Starsza Różdżka.

Harry zerknął na Hermionę. Dziewczyna wyglądała na bardzo zdumioną.

- Czarny Pan - kontynuował cicho i z przestrachem mężczyzna - zawsze był zadowolony z różdżki, jaką dla niego zrobiłem - cis i pióro feniksa, trzynaście i pół cala - aż do chwili, kiedy odkrył połączenie pomiędzy bliźniaczymi rdzeniami. Teraz szuka innej, potężniejszej, jako jedynego sposobu na pokonanie twojej.

- Ale wkrótce się dowie, jeśli jeszcze tego nie wie, że moja została zniszczona i nie da jej się naprawić - rzekł cicho Harry.

- Nie! - wykrzyknęła z przestrachem Hermiona. - Nie może tego wiedzieć, Harry, jak mógłby...?

- *Priori Incantatem* - odrzekł. - Zostawiliśmy twoją i tarninową różdżkę u Malfoyów, Hermiona. Jeśli właściwie je zbadają, odtworzą zaklęcia z nich rzucane. Zobaczą, że twoja złamała moją. Zobaczą, że próbowałaś i nie udało ci się jej naprawić. I zrozumieją, że od tamtego czasu używałem tarninowej.

Dziewczyna straciła wszelkie kolory, jakie odzyskała od czasu powrotu. Ron spojrzał z wyrzutem na przyjaciela.

- Nie martwy się tym teraz... - powiedział.

Ale pan Ollivander przerwał mu.

- Czarny Pan już nie szuka Starszej Różdżki tylko po to, by pana zniszczyć, panie Potter. Jest zdecydowany posiąść ją, bo uważa, że to naprawdę uczyni go niezniszczalnym.

- I będzie tak?

- Właściciel Starszej Różdżki zawsze musi obawiać się ataku - powiedział Ollivander - ale pomysł, że Czarny Pan będzie posiadał Berło Śmierci jest, muszę przyznać, onieśmielający.

Harry'emu nagle przypomniało się, jak podczas pierwszego spotkania nie był pewny tego, czy lubi pana Ollivandera. Nawet teraz, po torturach i uwięzieniu przez Voldemorta, pomysł, że czarnoksiężnik może posiąść legendarną różdżkę, wydawał się w równym stopniu go odrzucać, jak i fascynować.

- Pan... W takim razie pan naprawdę sądzi, że ta różdżka istnieje, panie Ollivander? - spytała Hermiona.

- O, tak - odparł mężczyzna. - Tak, możliwym jest wyśledzenie drogi różdżki w historii. Są, oczywiście, luki, nawet dość długie, gdy znikała z widoku, zagubiona czy

ukryta, ale zawsze pojawiała się ponownie. Ma pewne cechy charakterystyczne, które rozpoznają biegli w wiedzy o różdżkach. Istnieją spisane zeznania, choć niektóre niejasne, które studiowałem wraz z innymi wytwórcami różdżek. Są autentyczne.

- Więc pan... Pan nie uważa, że to legenda czy bajka? - spytała z nadzieją Hermiona.

- Nie - odrzekł Ollivander. - Tego, czy *musi* zostać popełnione morderstwo, by różdżka zmieniła właściciela, nie wiem. Jej historia jest krwawa, ale możliwe, że to tylko dlatego, że jest tak pożądanym przedmiotem i wywołuje taką pasję u czarodziejów. Niezmiernie potężna i niebezpieczna w niewłaściwych rękach. Obiekt niesamowitej fascynacji dla tych, którzy studiują moc różdżek.

- Panie Ollivander - zaczął Harry - powiedział pan Sam - Wiesz - Komu, że Gregorowicz miał Starszą Różdżkę, prawda?

Ollivander zbladł jeszcze bardziej. Wyglądał jak duch. Przełknął głośno.

- Ale jak... Skąd ty...?

- Nieważne, skąd wiem - rzekł chłopak, zamykając na chwilę oczy, gdy zabolała go blizna i zobaczył, przez kilka sekund, wizję głównej ulicy Hogsmeade daleko na północy, pogrążonej w półmroku pochmurnego świtu. - Powiedział pan Sam - Wiesz - Komu, że Gregorowicz miał różdżkę?

- Taka była plotka - wyszeptał Ollivander. - Bardzo stare pogłoski, krążące na długo przed tym, zanim się urodziłem. Sądzę, że sam Gregorowicz je rozpuścił. Sam rozumiesz, jaka to była reklama dla interesu, że studiował i powielał cechy Starszej Różdżki!

- Tak, rozumiem - powiedział Harry i wstał. - Panie Ollivander, ostatnia rzecz i pozwolimy panu odpocząć. Co pan wie o Darach Śmierci?

- O czym...? - spytał mężczyzna, zupełnie oszołomiony.

- O Darach Śmierci.

- Obawiam się, że nie wiem, o czym mówisz. Czy to nadal coś związanego z różdżkami?

Harry spojrzał na zapadniętą twarz Ollivandera i uwierzył, że on nie udaje. Nie wiedział nic o Darach.

- Dziękuję - powiedział. - Bardzo panu dziękuję. Teraz damy panu odpocząć.

Ollivander skulił się, jak pod wpływem uderzenia.

- On mnie torturował! - sapnął. - Klątwa Cruciatus... Nie masz pojęcia...

- Mam - odparł Harry. - Naprawdę mam. Proszę odpocząć. Dziękuję, że mi pan to wszystko powiedział.

Sprowadził przyjaciół po schodach. Dojrzał Billa, Fleur, Lunę i Deana siedzących przy stole w kuchni. Przed każdym stała filiżanka herbaty. Podnieśli głowy gdy Harry stanął w progu, ale chłopak tylko im kiwnął głową i poszedł do ogrodu. Ron i Hermiona podążyli za nim. Poszli do czerwonawego kopca ziemi kryjącego grób Zgredka. Czując wzrastający ból, Harry z wielkim wysiłkiem zamykał umysł przed wizjami, ale wiedział, że będzie musiał wytrzymać jeszcze tylko chwilę. Niedługo ustąpi, ponieważ musiał wiedzieć, czy jego teoria jest słuszna. Zostało mu jeszcze tylko wyjaśnienie wszystkiego przyjaciołom.

- Gregorowicz miał dawno temu Starszą Różdżkę - powiedział. - Widziałem, jak Sami - Wiecie - Kto próbował ją znaleźć. Gdy go odszukał, odkrył, że Gregorowicz już jej nie ma. Ukradł mu ją Grindelwald. Jak Grindelwald odkrył, że Gregorowicz ją miał, tego nie wiem, ale jeśli Gregorowicz był tak głupi, by rozsiewać plotki na jej temat, to nie mogło być trudne.

Voldemort dotarł do wrót Hogwartu. Harry widział, jak stoi tam i widział zbliżającą się czyjąś ciemną postać.

- Grindelwald użył Starszej Różdżki, by stać się potężnym czarodziejem. Gdy był u szczytu potęgi, Dumbledore wiedział, że jest jedynym, który może go powstrzymać, więc pojedynkował się z Grindelwaldem, pokonał go i zabrał mu Starszą Różdżkę.

- *Dumbledore* miał Starszą Różdżkę? - dopytał się Ron. - Ale w takim razie... Gdzie ona teraz jest?

- W Hogwarcie - odparł Harry, walcząc, by pozostać w ogrodzie.

- To ruszajmy w takim razie! - ponaglił Ron. - Harry, ruszajmy i zdobądźmy ją, zanim on to zrobi!

- Za późno - odrzekł Harry. Nie mógł już wytrzymać, chwycił się za głowę. - Wie, gdzie ona jest. Jest tam teraz.

- Harry! - wykrzyknął wściekle Ron. - Od jak dawna to wiesz? Czemu traciliśmy czas? Czemu najpierw rozmawiałeś z Gryfkiem? Mogliśmy iść... Nadal możemy...

- Nie - odparł Harry, opadając na kolana na trawę. - Hermiona ma rację. Dumbledore nie chciał, żebym miał tę różdżkę. Nie chciał, bym ją wziął. Chciał, abym zdobył horkruksy.

- Niepokonana różdżka, Harry! - jęknął Ron.

- Nie mam... Mam zdobyć horkruksy...

I wszystko stało się chłodne i ciemne. Słońce było ledwo widoczne nad górską granią, gdy sunął obok Snape'a poprzez błonia w stronę jeziora.

- Wkrótce dołączę do ciebie w zamku - powiedział wysokim, zimnym głosem. - Teraz mnie zostaw.

Snape skłonił się i odszedł ścieżką. Czarna szata powiewała za nim. Harry szedł powoli, czekając aż postać mężczyzny zniknie zupełnie. Nie byłoby dobrze, gdyby Snape, czy też ktokolwiek inny, zobaczył, co będzie robił. Ale światło w żadnym z okien zamku nie paliło się jeszcze, a on potrafił się zamaskować... Rzucił na siebie zaklęcie kameleona, które ukryło go nawet przed jego własnymi oczami.

I szedł dalej, brzegiem jeziora, spoglądając na ukochany zamek, jego pierwsze królestwo, jego dziedzictwo...

To znajdowało się tutaj, obok jeziora, odbite w ciemnych wodach. Biały, marmurowy grobowiec, niepotrzebna plama na znajomym krajobrazie. Znowu poczuł falę kontrolowanej euforii, to uderzające do głowy poczucie celu zniszczenia. Uniósł swoją starą, cisową różdżkę. Jakie to stosowne, że będzie to jej ostatni, wielki czyn.

Grobowiec rozdzielił się wzdłuż na pół. Odsłonięta postać Dumbledore'a była tak samo chuda jak za życia. Uniósł ponownie różdżkę.

Całun opadł. Twarz była półprzeźroczysta, blada, zapadła, a jednak prawie perfekcyjnie zachowana. Zostawili mu na zakrzywionym nosie okulary. Zaśmiał się szyderczo. Ręce Dumbledore miał złożone na piersi, a tuż pod nimi, pochowana wraz z nim, leżała *ona*.

Czy stary głupiec myślał, że marmur czy śmierć ochronią różdżkę? Czy myślał, że Czarny Pan będzie się wzdragał przed zbezczeszczeniem grobowca? Pajęcza dłoń zanurkowała i wyciągnęła różdżkę z uchwytu Dumbledore'a. Z jej końca posypały się iskry, skrzyła się nad ciałem poprzedniego właściciela, gotowa służyć nowemu panu.

Rozdział 25
Muszelka

Tłumaczenie: Kamień Księżycowy

Dom Billa i Fleur stał samotnie na nadmorskim klifie, a jego bielone ściany wysadzane były muszelkami. Było to miejsce ustronne i piękne. Ilekroć Harry wchodził do małego domku czy ogrodu, słyszał nieustający plusk morskich fal, który przywodził na myśl oddech jakiegoś wielkiego, śpiącego stworzenia. Przez większość następnych dni pod byle pretekstem wymykał się z zatłoczonego domku, tęskniąc za roztaczającym się z klifu widokiem otwartego nieba i ogromnego, pustego morza, a także za dotykiem chłodnego, przesyconego solą wiatru na twarzy.

Ciężar decyzji, by nie brać udziału w wyścigu do różdżki, wciąż przerażał Harry'ego. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej postanowił *nie* działać. Przepełniały go wątpliwości, a to, że Ron wygłaszał je na głos wcale mu nie pomagało.

„Co, jeśli Dumbledore chciał, byśmy rozszyfrowali symbol, a potem zdobyli różdżkę?" „Co, jeśli rozszyfrowanie symbolu sprawiło, że stałeś się *godnym* Daru?" „Harry, jeśli to naprawdę jest Starsza Różdżka, to jak do diabła możemy w ogóle pokonać Sam - Wiesz - Kogo?"

Harry nie znał odpowiedzi. Chwilami zastanawiał się, czy zupełnym szaleństwem było, że nie próbował przeszkodzić Voldemortowi we włamaniu się do grobowca. Nie potrafił nawet wytłumaczyć w zadowalający sposób, dlaczego postanowił tego nie robić. Za każdym razem, gdy usiłował ubrać w słowa swoje wewnętrzne argumenty, brzmiały one coraz słabiej.

Dziwną sprawą było, że poparcie Hermiony wprawiało go w zmieszanie równie mocno, co wątpliwości Rona. Odkąd dziewczyna została zmuszona zaakceptować fakt, że

Starsza Różdżka jest czymś rzeczywistym, utrzymywała, że to artefakt zła, a Voldemort wszedł w jego posiadanie w odrażający sposób, którego nie należało w ogóle rozważać.

„Nie mógłbyś zrobić czegoś takiego, Harry" powtarzała raz po raz. „Nie włamałbyś się do grobu Dumbledore'a."

Prawda była taka, że zwłoki Dumbledore'a przerażały Harry'ego o wiele mniej niż świadomość, że mógł źle zrozumieć intencje starego czarodzieja, kiedy ten jeszcze żył.

Czuł, jakby wciąż szedł po omacku. Wybrał swoją ścieżkę, ale nieustannie obracał się za siebie, niepewny, czy właściwie odczytał znaki, czy nie powinien był pójść inną drogą. Od czasu do czasu czuł złość na Dumbledore'a, równie potężną jak fale rozbijające się o klif poniżej domku - złość, że starzec niczego mu nie wyjaśnił przed śmiercią.

- Ale czy on *naprawdę* nie żyje? - zapytał Ron trzy dni po ich przybyciu do domku. Harry wyglądał ponad murem oddzielającym ogród od klifu, gdy znaleźli go przyjaciele. Wolałby, by na niego nie trafili, ponieważ nie miał ochoty uczestniczyć w ich dyskusji.

- Tak, naprawdę. Ron, *proszę*, nie zaczynaj od nowa!

- Fakty, Hermiono - powiedział Ron, zwracając się do Harry'ego, który wciąż wpatrywał się w horyzont. - Srebrna łania. Miecz. Oko w lusterku Harry'ego...

- On sam przyznał, że mogło mu się tylko wydawać. Prawda, Harry?

- Mogło - odparł tamten, nie patrząc na nią.

- Ale tak naprawdę nie sądzisz, że ci się wydawało, nie? - spytał Ron.

- Nie sądzę - odparł Harry.

- Sama widzisz! - zawołał szybko Ron, zanim dziewczyna zdążyła się odezwać. - Jeśli to nie był Dumbledore, to może sama wyjaśnisz, Hermiono, skąd Zgredek wiedział, że jesteśmy w podziemiach?

- Nie potrafię... Ale może ty wyjaśnisz, jak Dumbledore mógł go do nas przysłać, skoro leży w grobie w Hogwarcie?

- Nie wiem, może to był jego duch!

- Dumbledore nie powróciłby jako duch - powiedział Harry. Było wiele rzeczy na temat Dumbledore'a, jakich nie był już pewien, ale to jedno wiedział. - Poszedłby dalej.

- Co to znaczy *dalej*? - zapytał Ron, ale zanim tamten zdążył powiedzieć coś więcej, usłyszeli za sobą głos, mówiący:

- 'Arry?

Z domu wyszła Fleur, a jej długie, srebrzyste włosy powiewały na wietrze.

- 'Arry, Grifek 'cialbi z tobą mówić. Jest w najmnijszi sipialni, mówi, że nie 'cial, bi go podsluchali.

Jej niechęć do goblina, który wysłał ją, by doręczyła wiadomość, była wyraźna. Fleur cofnęła się do domu raczej poirytowana.

Jak powiedziała Fleur, Gryfek czekał na nich w najmniejszej z trzech sypialni, w której nocowały Hermiona i Luna. Zaciągnął zasłony z czerwonej bawełny na oknie, za którym rozciągało się jasne, pełne obłoków niebo, i pokój pogrążony był teraz w ognistym blasku, co kontrastowało z resztą przestronnego, jasnego domu.

- Podjąłem decyzję, Harry Potterze - powiedział goblin, siedząc ze skrzyżowanymi nogami w niskim fotelu i bębniąc wrzecionowatymi palcami po oparciach. - Choć gobliny z Gringotta uznają to za nikczemną zdradę, postanowiłem ci pomóc...

- Wspaniale! - zawołał Harry, w którym wezbrała ulga. - Gryfku, dziękuję ci, jesteśmy naprawdę...

- ...w zamian za - dokończył goblin stanowczo - zapłatę.

Chłopak zawahał się, nieco zaskoczony.

- Ile chcesz? Mam dużo złota.

- Nie chcę złota - odparł Gryfek. - Nie brakuje mi go.

Jego pozbawione białek oczy rozbłysły.

- Chcę miecz. Miecz Godryka Gryffindora.

Radość Harry'ego gwałtownie opadła.

- Nie mogę ci go dać - powiedział. - Przykro mi.

- W takim razie - odparł cicho goblin - mamy problem.

- Możemy ci dać coś innego - oznajmił niecierpliwie Ron. - Założę się, że Lestrange'owie mają masę różnych rzeczy. Możesz wziąć swoją działkę, kiedy dostaniemy się do skrytki.

Nie powinien był tego mówić. Gryfek poczerwieniał ze złości.

- Nie jestem złodziejem, chłopcze! Nie będę próbował zdobyć skarbu, do którego nie mam prawa!

- Miecz jest nasz...

- Nic podobnego - powiedział goblin.

- Jesteśmy Gryfonami, a on należał do Godryka Gryffindora...

- A wcześniej, zanim dostał go Gryffindor, do kogo należał? - zapytał goblin, prostując się w fotelu.

- Do nikogo - odparł Ron. - Został dla niego zrobiony, prawda?

- Nie! - krzyknął goblin, a włosy na jego głowie zjeżyły się z wściekłości, gdy wycelował w Rona długi palec. - Znów ta arogancja czarodziejów! Miecz należał do Ragnuka Pierwszego, a odebrał mu go Godryk Gryffindor! To zaginiony skarb, arcydzieło gobliniej sztuki! Należy do goblinów! Miecz jest ceną za moją pomoc, gódźcie się albo nie!

Gryfek patrzył na nich złowrogo. Harry zerknął na przyjaciół i powiedział:

- Musimy to przedyskutować, jeśli nie masz nic przeciwko. Zechcesz nam dać kilka minut?

Goblin skinął głową, wciąż spoglądając ponuro.

Zeszli na dół, do pustego salonu. Harry podszedł do kominka, marszcząc brwi i usiłując coś wymyślić. Za jego plecami Ron powiedział:

- To śmiechu warte. Nie możemy mu oddać miecza.

- Czy to prawda? - spytał Harry Hermionę. - Gryffindor ukradł miecz?

- Nie wiem - odrzekła bezradnie. - Historia czarodziejstwa często przemilcza postępowanie czarodziejów w stosunku do innych magicznych ras, ale nigdy nie słyszałam, by Gryffindor ukradł miecz.

- To jedna z goblinich bajek - rzucił Ron. - Jak to czarodzieje zawsze próbują ich wykorzystać. Myślę, że powinniśmy się cieszyć, że nie poprosił o jedną z naszych różdżek.

- Gobliny mają powody, by nie lubić czarodziejów, Ron - powiedziała Hermiona. - Byli przez nich źle traktowani w przeszłości.

- Gobliny nie są puchatymi króliczkami, nie? - odparł Ron. - Zabili wielu naszych. Też grali nieczysto.

- Ale sprzeczanie się z Gryfkiem na temat, która rasa jest bardziej podstępna i brutalna, nie sprawi, że będzie chętniejszy do pomocy, prawda?

Zapadła cisza, w której usiłowali wymyślić, jak obejść ten problem. Harry wyjrzał przez okno na grób Zgredka. Luna układała kwiaty statycji w słoju po dżemie, stojącym obok nagrobka.

- Dobra - odezwał się Ron i Harry odwrócił się, by na niego popatrzeć. - Co wy na to? Powiemy Gryfkowi, że potrzebujemy miecz do czasu, gdy wejdziemy do skrytki, a potem może go wziąć. To nie będzie oszustwo, nie? Zamienimy je wtedy i damy mu fałszywy.

- Ron, on je odróżnia lepiej niż my! - zawołała Hermiona. - On jeden zdał sobie sprawę, że zostały zamienione!

- Tak, ale moglibyśmy nawiać, zanim się zorientuje...

Spojrzała na niego tak, że aż zadrżał.

- To - powiedziała cicho - jest nikczemne. Prosić o pomoc, a potem go wystawić do wiatru? I ty się dziwisz, dlaczego gobliny nie lubią czarodziejów?

Uszy Rona zapłonęły czerwienią.

- Dobra, dobra! To była jedyna rzecz, jaka mi przyszła do głowy! Co ty w takim razie proponujesz?

- Musimy zaoferować mu coś innego, coś równie wartościowego.

- Genialne. Skoczę po następny z naszych starożytnych mieczy gobliniej roboty, będziesz mogła go zapakować.

Ponownie zapadła cisza. Harry był pewien, że goblin nie przyjmie niczego poza mieczem, choćby nawet mogli mu oferować coś równie cennego. Miecz jednak należał do nich, był ich jedyną bronią przeciw horkruksom.

Zamknął na chwilę oczy i wsłuchał się w szum morza. Myśl, że Gryffindor ukradł miecz, była nieprzyjemna. Zawsze dumą napawało go, że jest Gryfonem. Gryffindor był obrońcą czarodziejów pochodzenia mugolskiego, który stał w opozycji do kochającego czystą krew Slytherina...

- Może on kłamie - powiedział Harry, otwierając oczy. - Gryfek. Może Gryffindor nie zabrał miecza. Skąd wiemy, że goblinia wersja wydarzeń jest prawdziwa?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała Hermiona.

- Dla moich uczuć ma - odparł Harry.

Nabrał głęboko powietrza.

- Powiemy mu, że dostanie miecz po tym, jak pomoże nam dostać się do skrytki... Ale ostrożnie pominiemy wiadomość o tym, *kiedy* go dostanie.

Na twarz Rona powoli wpłynął szeroki uśmiech. Hermiona jednak wyglądała na zaniepokojoną.

- Harry, nie możemy...

- Dostanie go - Harry kontynuował - kiedy już rozprawimy się ze wszystkimi horkruksami. Upewnię się, że go dostanie. Dotrzymam słowa.

- Ale to może potrwać lata! - zawołała Hermiona.

- Wiem to, ale *on* nie musi. To nie będzie kłamstwo... naprawdę.

Harry popatrzył jej w oczy z mieszanką buntu i zawstydzenia. Przypomniał sobie słowa, które wyryto ponad bramą Nurmengardu: *IDla większego dobra*. Odepchnął tę myśl od siebie. Jaki mieli wybór?

- Nie podoba mi się to - oświadczyła Hermiona.

- Mnie też nie bardzo - przyznał Harry.

- Cóż, ja uważam, że to genialne - stwierdził Ron wstając. - Chodźmy mu powiedzieć.

Wrócili do małej sypialni, gdzie Harry ostrożnie przedstawił ofertę w taki sposób, by nie określić momentu przekazania miecza. Gdy mówił, Hermiona ze zmarszczonym czołem patrzyła w podłogę. Chłopak był na nią zły, bo bał się, że przez nią gra się wyda. Gryfek jednak patrzył tylko na niego.

- Gwarantujesz własnym słowem, Harry Potterze, że oddasz mi miecz Gryffindora, jeśli ci pomogę?

- Tak - odparł Harry.

- Przybij - powiedział goblin, wyciągając dłoń.

Harry uścisnął ją i potrząsnął. Zastanawiał się, czy te czarne oczy dostrzegły obawę w jego własnych. Gryfek puścił go, klasnął w dłonie i zawołał:

- Dobrze. Zaczynajmy!

To było zupełnie jak planowanie włamania do ministerstwa. Zabrali się do dzieła w najmniejszej sypialni, którą zgodnie z życzeniem Gryfka utrzymano w półmroku.

- Tylko raz byłem w skrytce Lestrange'ów - powiedział im goblin - kiedy kazano mi umieścić w niej fałszywy miecz. To jedna z najbardziej starożytnych komnat. Najstarsze rody czarodziejskie przechowują swoje skarby na najniższych poziomach, gdzie skrytki są największe i najlepiej chronione...

Zamykali się w małym pokoiku na całe godziny. Wkrótce dni zlały się w tygodnie. Musieli uporać się z coraz to kolejnymi problemami, a jednym z większych były znacznie uszczuplone zapasy eliksiru wielosokowego.

- Została tylko jedna porcja - oznajmiła Hermiona, patrząc pod światło lampy na gęsty eliksir o wyglądzie błota.

- To wystarczy - odparł Harry, analizując mapę najniższych korytarzy, którą narysował Gryfek.

Pozostali mieszkańcy Muszelki nie mogli nie zauważyć, że coś się dzieje, skoro Harry, Ron i Hermiona pojawiali się tylko na posiłkach. Nikt o nic nie pytał, choć Harry często czuł spoczywające na całej ich trójce zamyślone i zatroskane spojrzenie Billa.

Im więcej czasu spędzali wspólnie, tym mocniej Harry uświadamiał sobie, że nie bardzo lubi goblina. Gryfek był spragniony krwi, śmiał się na myśl o krzywdzeniu pomniejszych stworzeń, zaś rozkoszą zdawała się napawać go pomysł, że podczas próby dostania się do skrytki Lestrange'ów mogą zranić innych czarodziejów. Harry wiedział, że pozostała dwójka dzieli jego niechęć, ale nie dyskutowali o tym - potrzebowali pomocy.

Goblin jadał z nimi z wyraźnym niesmakiem. Choć jego noga już się zagoiła, cały czas żądał, aby dostarczano mu tacę z jedzeniem do pokoju, jak w przypadku wciąż słabego Ollivandera. W końcu Bill (sprowokowany wybuchem złości Fleur) poszedł do niego na górę i poinformował, że koniec z tym. Gryfek dołączył więc do nich przy zatłoczonym stole, choć nie jadł tych samych potraw, nalegając na surowe mięso, korzonki i najróżniejsze grzyby.

Harry czuł się za to odpowiedzialny. W końcu to on nalegał, by goblin pozostał w Muszelce, by można go było przesłuchać. Jego winą było, że cała rodzina Weasleyów musiała się ukrywać, że Bill, Fred, George i pan Weasley nie mogli już pracować.

- Przepraszam - powiedział któregoś wietrznego, kwietniowego wieczoru do Fleur, pomagając jej przy kolacji. - Nie chciałem ci sprawiać takiego kłopotu.

Fleur zaczarowała właśnie kilka noży, by kroiły steki dla Gryfka oraz Billa, który po ataku Greybacka wolał krwiste mięso. Gdy noże wzięły się do pracy za jej plecami, irytacja na jej twarzy zelżała.

- 'Arry, uratowales życi moji siostri, ja ni zapomniala.

To nie była do końca prawda, ale Harry postanowił nie przypominać jej, że Gabrielle ani przez chwilę nie groziło niebezpieczeństwo.

- Poza tim - ciągnęła Fleur, wskazując różdżką na stojący na piecu garnek z sosem, który natychmiast zaczął bulgotać - pan Ollivander udaji si dzis wieczorem do Muriel. To wiele ulatwi. Ten goblin - nachmurzyła się lekko - przeniesi si na dol, a ti, Ron i Dean możeci zajac jego pokói.

- Nie mamy nic przeciwko spaniu w bawialni - stwierdził Harry, który wiedział, że Gryfek nie przyjmie z entuzjazmem myśli o spaniu na sofie. Tymczasem utrzymanie goblina w stanie zadowolenia było zasadniczą kwestią w powodzeniu ich planu. - Nie martw się o nas. - I zanim zdążyła zaprotestować, kontynuował: - My też wkrótce wyjedziemy, Ron, Hermiona i ja. Już niedługo nas nie będzie.

- Ale o czim ti mówisz? - spytała, marszcząc czoło i wskazując różdżką na naczynie żaroodporne, które zawisło w powietrzu. - Oczywiści nie możeci odejść, tutaj jesteści bezpieczni!

Wyglądała zupełnie jak pani Weasley i ucieszył się, gdy w tym momencie otwarły się drzwi. Do kuchni weszli Luna i Dean z włosami mokrymi od deszczu, każde dźwigając w ramionach naręcze drewna, wyrzucanego na brzeg przez morze.

- ...i malutkie uszy - mówiła Luna - trochę jak hipopotam, tylko że fioletowe i owłosione, tak mówi tata. Jeśli chcesz je przywołać, musisz nucić. Lubią walca, nic zbyt szybkiego...

Dean wzruszył ramionami z dość niepewną miną, gdy mijał Harry'ego, i poszedł za Luną do połączonych ze sobą jadalni i bawialni, gdzie Ron i Hermiona nakrywali do obiadu. Wykorzystując okazję, by umknąć pytaniom Fleur, Harry złapał dwa dzbany z dyniowym sokiem i poszedł za nimi.

- ...a jeśli kiedyś nas odwiedzisz, pokażę ci róg. Tata mi o nim pisał, ale jeszcze go nie widziałam, bo śmierciożercy zabrali mnie z pociągu z Hogwartu i nigdy nie dotarłam do domu na święta - mówiła Luna, gdy wspólnie z Deanem dokładali do ognia.

- Luna, już ci mówiliśmy - zawołała do niej Hermiona. - Ten róg wybuchł. Pochodził od buchorożca, nie od chrapaka krętorogiego...

- Nie, to był bez wątpienia róg chrapaka - oznajmiła z anielskim spokojem Luna. - Tata mi powiedział. Pewnie się już do tej pory odbudował, bo wiecie, one mają zdolność samoleczenia.

Hermiona pokręciła głową i wróciła do układania na stole widelców, gdy pojawił się Bill, prowadząc po schodach pana Ollivandera. Wytwórca różdżek wciąż sprawiał wrażenie niezwykle wątłego i wczepiał się w ramię Billa, który podtrzymywał go, niosąc sporą walizkę.

- Będę za panem tęsknić, panie Ollivander - oznajmiła Luna, podchodząc do staruszka.

- A ja za tobą, kochanie - odparł Ollivander, klepiąc ją po ramieniu. - Nie potrafię wyrazić, jak wielką byłaś dla mnie pociechą w tamtym strasznym miejscu.

- Więc *au revoir*, panie Ollivander - powiedziała Fleur, całując go w oba policzki. - Czi wiswiadczilbi mi pan przisluge i doreczil przesilke cioci Muriel? Ja nigdi ni zwrocila tiari.

- To będzie dla mnie honor - odrzekł Ollivander, kłaniając się lekko - drobnostka w podziękowaniu za waszą wspaniałomyślną gościnność.

Fleur wyciągnęła stary, pokryty aksamitem futerał, a następnie otworzyła, by pokazać Ollivanderowi zawartość. Tiara lśniła i migotała w świetle lampy.

- Kamienie księżycowe i diamenty - oświadczył Gryfek, który wśliznął się niezauważenie do pokoju. - Robota goblinów, prawda?

- Za którą zapłacili czarodzieje - powiedział cicho Bill, a Gryfek obrzucił go spojrzeniem, które było jednocześnie ukradkowe i wyzywające.

Silny wiatr napierał na okna domku, gdy Bill i Ollivander wyruszyli w noc. Pozostali ścisnęli się wokół stołu łokieć przy łokciu i zaczęli jeść, ledwo mając możliwość poruszania się. Ogień trzaskał i strzelał na palenisku. Harry zauważył, że Fleur prawie nie je, co chwilę patrząc w okno. Bill jednak wrócił, zanim skończyli pierwsze danie, a jego długie włosy splątane były od wiatru.

- Wszystko w porządku - oznajmił Fleur. - Ollivander zakwaterowany. Mama i tata przesyłają pozdrowienia. Ginny całusy dla wszystkich. Fred i George doprowadzają Muriel do szału, uprawiając na zapleczu jej domu swój biznes wysyłkowy. Ucieszyła się jednak z odzyskania tiary. Powiedziała, że była pewna, że ją ukradliśmy.

- Ach, twoja ciocia jest *charmante* - oznajmiła Fleur z irytacją, machając różdżką i zbierając brudne talerze na stos. Złapała je i wymaszerowała z pokoju.

- Tata zrobił tiarę - odezwała się Luna. - Tak właściwie to bardziej korona.

Ron spojrzał na Harry'ego i wyszczerzył się. Harry przypomniał sobie absurdalne nakrycie głowy, jakie widzieli podczas wizyty u Ksenofiliusa.

- Tak, usiłuje zrekonstruować zaginiony diadem Ravenclaw. Sądzi, że udało mu się zidentyfikować najważniejsze fragmenty. Po dodaniu skrzydeł żądlibąka wygląda zupełnie inaczej...

Za drzwiami rozległ się głośny hałas. Wszyscy podnieśli głowy. Fleur wybiegła z kuchni, najwyraźniej przestraszona. Bill skoczył na równe nogi, celując w drzwi różdżką. Harry, Ron i Hermiona zrobili to samo. Gryfek bez słowa schował się pod stół i zniknął z widoku.

- Kto tam? - zawołał Bill.

- To ja, Remus John Lupin! - dobiegł zza wyjącego wichru głos. Harry poczuł dreszcz strachu. Czy coś się stało? - Jestem wilkołakiem i mężem Nimfadory Tonks, zaś ty, strażnik tajemnicy Muszelki, podałeś mi adres i prosiłeś o przybycie w przypadku zagrożenia!

- Lupin - wymamrotał Bill i podbiegł do drzwi, które otworzył szarpnięciem.

Lupin wpadł do środka, potykając się na progu. Owinięty był w płaszcz podróżny, jego twarz była biała, a siwiejące włosy potargane od wiatru. Wyprostował się i rozejrzał po pokoju, przyglądając się przebywającym w nim ludziom, po czym zawołał:

- To chłopiec! Nazwiemy go Ted, po ojcu Dory!

Hermiona pisnęła.

- Co...? Tonks... Tonks urodziła dziecko?

- Tak, tak, urodziła! - zawołał Lupin. Wokół stołu rozległy się okrzyki radości i westchnienia ulgi. Hermiona i Fleur zawołały: - Gratulacje! - a Ron powiedział: - Kurczę, dziecko! - jakby nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszał.

- Tak... tak... chłopiec - powiedział znów Lupin, najwyraźniej oszołomiony własnym szczęściem. Obszedł stół i uścisnął Harry'ego, jakby scena w Grimmauld Place nigdy nie miała miejsca.

- Zostaniesz ojcem chrzestnym? - zapytał, wypuszczając Harry'ego.

- J - ja? - wyjąkał Harry.

- Ty, oczywiście... Dora także uważa, że nikt nie nadaje się lepiej...

- Ja... dobra... kurczę...

Harry był oszołomiony, zdumiony i uradowany. Bill przyniósł wino, a Fleur przekonywała Lupina, by został na drinka.

- Nie mogę długo zostać, muszę wracać - oznajmił Lupin, śmiejąc się do wszystkich. Wyglądał na młodszego niż kiedykolwiek. - Dziękuję, dziękuję, Bill.

Bill napełnił wszystkim puchary. Wstali, by wznieść toast.

- Za Teddy'ego Remusa Lupina - powiedział Lupin - przyszłego wielkiego czarodzieja!

- Jak wigląda? - dopytywała się Fleur.

- Ja uważam, że jest podobny do Dory, ale ona uważa, że jest podobny do mnie. Nie ma wiele włosów. Gdy się urodził, były czarne, ale przysięgam, że po godzinie stały się rude. Zanim wrócę, pewnie już będą blond. Andromeda mówi, że Tonks zaczęła zmieniać kolory w dniu narodzin. - Opróżnił puchar. - Och, dalej, jeszcze jeden - dodał, promieniejąc, gdy Bill wziął się za napełnianie.

Wiatr uderzał w mały domek, ogień podskakiwał i trzeszczał, a Bill wkrótce otworzył kolejną butelkę wina. Wieści Lupina zdawały się wydobyć ze wszystkich ich prawdziwe ja, uwolnić na chwilę od poczucia osaczenia. Pojawienie się nowego życia napawało radością. Tylko Gryfek sprawiał wrażenie, że nie wpływa na niego ta nagła atmosfera świąt i po chwili oddalił się chyłkiem do sypialni, którą teraz zajmował w pojedynkę. Harry sądził, że tylko on to zauważył, póki nie zobaczył spojrzenia Billa śledzącego goblina w drodze na górę.

- Nie... Nie... Naprawdę muszę wracać - powiedział w końcu Lupin, odmawiając przyjęcia kolejnego pucharu wina. Wstał i założył płaszcz podróżny. - Do widzenia... Postaram się przynieść jakieś zdjęcia za kilka dni... Wszyscy będą zadowoleni, że się z wami widziałem...

Zapiął płaszcz i pożegnał się, obejmując kobiety i ściskając dłonie mężczyzn, a potem, wciąż promieniejąc, odszedł w dziką noc.

- Ojciec chrzestny, Harry! - powiedział Bill, gdy szli do kuchni, pomagając sprzątać po kolacji. - To prawdziwy zaszczyt! Gratulacje!

Gdy Harry odstawiał puste puchary, Bill zamknął za sobą drzwi, odgradzając ich od głosów pozostałych, którzy, pomimo nieobecności Lupina, wciąż świętowali.

- Chciałem pomówić z tobą na osobności, Harry, a niełatwo znaleźć po temu okazję w małym domu pełnym ludzi.

Bill zawahał się.

- Harry, planujesz coś z Gryfkiem.

To było stwierdzenie, nie pytanie, i Harry nie zaprzeczył. Patrzył jedynie na Billa z wyczekiwaniem.

- Znam gobliny - powiedział Bill. - Pracowałem dla Gringotta, odkąd opuściłem Hogwart. O ile może istnieć przyjaźń między czarodziejami a goblinami, mam pośród goblinów przyjaciół... A przynajmniej są gobliny, które dobrze znam i lubię. - Bill ponownie się zawahał. - Harry, czego chcesz od Gryfka i co mu w zamian obiecałeś?

- Nie mogę ci powiedzieć - odparł tamten. - Przykro mi, Bill.

Drzwi kuchenne otworzyły się za nimi. Fleur niosła więcej pucharów.

- Poczekaj - zwrócił się do niej Bill. - Jeszcze chwilkę.

Cofnęła się i jej mąż ponownie zamknął drzwi.

- Muszę ci więc to powiedzieć - ciągnął. - Jeśli zawarłeś jakikolwiek układ z Gryfkiem, szczególnie, jeśli układ ten dotyczy skarbu, musisz być nadzwyczaj ostrożny. Gobliny postrzegają własność, zapłatę i spłatę inaczej niż ludzie.

Harry poczuł lekki dyskomfort, zupełnie tak, jakby w jego wnętrzu poruszył się mały wąż.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Rozmawiamy o innej rasie - powiedział Bill. - Stosunki pomiędzy czarodziejami a goblinami były napięte przez stulecia... Ale o tym wiesz z historii magii. Błędy leżą po obu stronach, nigdy nie powiem, że czarodzieje byli niewinni. Niektóre gobliny wierzą jednak, a te od Gringotta mają ku temu szczególną skłonność, że czarodziejom nie można ufać w kwestii złota czy skarbów, że nie mają oni poszanowania dla gobliniej własności.

- Ja szanuję... - zaczął Harry, ale Bill potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz, nikt nie jest w stanie zrozumieć, dopóki nie pobędzie z goblinami. Dla nich prawowitym panem przedmiotu jest jego wykonawca, nie nabywca. Wszystkie rzeczy wykonane przez gobliny w oczach goblinów należą prawowicie do nich.

- Ale jeśli się kupiło...

- ...wtedy będą uważać za wypożyczone osobie, która zapłaciła. Mają jednak wielkie trudności, jeśli wyrób goblinów przechodzi z czarodzieja na czarodzieja. Widziałeś minę Gryfka, gdy tiara przemknęła przed jego nosem. Nie był zadowolony. Sądzę, że jest zdania, podobnie jak najbardziej zagorzali z jego pobratymców, że powinna zostać zwrócona goblinom, gdy pierwotny nabywca zmarł. Uważają, że nasz zwyczaj przechowywania przedmiotów wykonanych przez gobliny i przekazywania ich z czarodzieja na czarodzieja bez żadnej zapłaty to coś więcej niż kradzież.

Harry miał teraz złe przeczucia. Zastanawiał się, czy Bill nie domyślił się więcej, niż mu zdradzono.

- Chcę powiedzieć - dokończył tamten, zdejmując rękę z drzwi do bawialni - że trzeba bardzo uważać, co się obiecuje goblinom, Harry. Bezpieczniej jest włamać się do Gringotta niż nie dotrzymać obietnicy złożonej goblinowi.

- Racja - powiedział Harry, gdy Bill otworzył drzwi. - Dobra. Dzięki. Zapamiętam to sobie.

Kiedy szedł za Billem do pozostałych, przyszła mu do głowy zabawna myśl, która niewątpliwie powstała pod wpływem wypitego wina. Był oto na najlepszej drodze, by stać się dla Teddy'ego Lupina równie beztroskim ojcem chrzestnym, jakim dla niego był Syriusz Black.

Rozdział 26
U Gringotta

Tłumaczenie: Possumek

Plany poczyniono, przygotowania zakończono. W najmniejszej sypialni, na kominku, zamknięty w małej szklanej ampułce, leżał długi, szorstki czarny włos (zebrany ze swetra, który Hermiona nosiła w Malfoy Manor).

- I będziesz używała jej prawdziwej różdżki - powiedział Harry, skinąwszy głową w stronę cennej zdobyczy. - Myślę, że będziesz całkiem przekonująca.

Hermiona spojrzała na różdżkę Bellatriks przerażona, jakby bała się, że ją użądli albo ugryzie za każdym dotknięciem.

- Nienawidzę tego czegoś - mruknęła cicho. - Naprawdę, nienawidzę. Nie słucha mnie, nie działa tak jak należy... Jest jakby częścią *niej*.

Harry nie mógł zapomnieć, jak Hermiona swego czasu zbywała jego niechęć do tarninowej różdżki. Twierdziła, że tylko wydaje mu się, iż różdżka nie pracuje tak dobrze, jak jego własna i radziła po prostu ćwiczyć. Jednak nie pokusił się o powtórzenie jej własnych rad. Dzień przed planowanym napadem na Gringotta nie był dobrą okazją do sprzeczek.

- Może to ci pomoże wczuć się w rolę - zasugerował Ron. - Pomyśl co ta różdżka zrobiła!

- Ale o to mi chodzi! - odparła Hermiona nerwowo. - Ta różdżka torturowała rodziców Neville'a, i kto wie ilu jeszcze innych ludzi?! Tą różdżką zabito Syriusza!

Harry'emu aż do tej pory nie przyszło to do głowy. Spojrzał na różdżkę i nawiedziła go przemożna chęć złamania jej, rozcięcia na dwoje mieczem Godryka Gryffindora, który stał oparty o ścianę tuż za nim.

- Tęsknię za moją różdżką - westchnęła smętnie Hermiona. - Chciałabym, by pan Ollivander mnie także zrobił nową.

Tego ranka pan Ollivander przysłał Lunie nową różdżkę. Na trawniczku z tyłu domu właśnie testowała jej możliwości, grzejąc się w popołudniowym słońcu. Dean, który także stracił swoją różdżkę u Łapaczy, obserwował ją posępnie.

Harry spojrzał na głogową różdżkę, tę, która należała przedtem do Draco Malfoya. Był bardzo zaskoczony, ale zadowolony z odkrycia, że służy mu ona równie dobrze, jak ta, która należała do Hermiony. Pamiętając, co pan Ollivander powiedział im o sekrecie działania różdżek, Harry podejrzewał, że wie, co myśli dziewczyna - nie zyskała posłuchu orzechowej różdżki, gdyż nie zabrała jej Bellatriks.

Drzwi otworzyły się i do sypialni wszedł Gryfek. Harry instynktownie sięgnął po rękojeść miecza i przyciągnął go do siebie, ale natychmiast tego pożałował. Był pewien, że goblin zauważył ten gest. Szukając wytłumaczenia dla swojego ruchu powiedział:

- Właśnie sprawdzamy, czy wszystko jest zapięte na ostatni guzik, Gryfku. Powiedzieliśmy Billowi i Fleur, że wyjeżdżamy jutro bardzo wcześnie i uprzedziliśmy ich, by nie wstawali, żeby nas pożegnać.

Co do tego nie było wątpliwości. Hermiona musiała gdzieś się zmienić się w Bellatriks, zanim ruszą do akcji, a im mniej wiedzieć będą Bill i Fleur, tym lepiej. Wyjaśnili również gospodarzom, że nie planują wrócić. Ponieważ w nocy, gdy napadli ich Łapacze, stracili stary namiot Perkinsa, pożyczyli od Billa następny. Był już spakowany w koralikowej torebce Hermiony, którą to, ku zdumieniu Harry'ego, Hermiona zdołała uchronić przed Łapaczami, najzwyczajniej w świecie wpychając ją sobie do skarpetki.

Chociaż Harry przeczuwał, że będzie tęsknił za Billem, Fleur, Luną i Deanem, nie wspominając nawet o domowych wygodach, których zażywali przez ostatnie kilka tygodni, nie mógł się doczekać ucieczki z izolacji w Muszelce. Był już zmęczony ciągłym upewnianiem się, czy nikt ich nie podsłuchuje, znużony ściskiem w malutkiej, ciemnej sypialni. A przede wszystkim miał dość Gryfka. Ale to, jak i gdzie rozstaną się z goblinem, nie oddając mu miecza Gryffindora, nadal pozostawało pytaniem bez odpowiedzi. Nawet nie mogli się spokojnie naradzić w tej sprawie, ponieważ goblin rzadko kiedy zostawiał Harry'ego, Rona i Hermionę samych na dłużej niż pięć minut.

- Moja matka mogłaby się od niego uczyć - warknął Ron w chwili, gdy długie palce goblina pojawiły się na futrynie drzwi.

Mając w pamięci ostrzeżenia Billa, Harry nie mógł się pozbyć wrażenia, że Gryfek stale wietrzy szwindel. Hermiona tak bardzo wzdrygała się przeciwko zdradzie, że Harry zarzucił próby zaprzęgnięcia jej umysłu do pracy. Ron natomiast, w czasie tych rzadkich, wolnych od Gryfka momentów, nie zdobył się na nic lepszego niż:

- Po prostu go świśniemy, stary.

Harry źle spał tej nocy. Czuwając już od wczesnego świtu, wracał myślami do pamiętnej nocy przed wyprawą do Ministerstwa Magii, wspominał tę determinację, graniczącą niemal z podnieceniem. Teraz trząsł się ze strachu, dręczony wątpliwościami: nie mógł pozbyć się wrażenia, że wszystko zmierza w złym kierunku. Powtarzał sobie, że ich plan jest dobry, że Gryfek wie, co ich czeka, i że są dobrze przygotowani na ewentualne trudności, które mogą napotkać. Jednak niepewność nie odstępowała go na krok. Raz czy dwa słyszał jak Ron kręcił się niespokojnie - był pewny, że on także czuwa, ale jako że dzielili sypialnię z Deanem, Harry nie odezwał się ni słowem.

Wybicie godziny szóstej przyniosło im nieopisaną ulgę, mogli wreszcie wypełznąć ze śpiworów, ubrać się w półmroku i wymknąć do ogrodu, gdzie mieli się spotkać z Hermioną i Gryfkiem.

Świt był rześki i wiała delikatna bryza, jak to w maju. Harry spojrzał na gwiazdy ciągle pobłyskujące na granatowym niebie i wsłuchał się w szum fal obmywających klif. Będzie tęsknił za tym dźwiękiem.

Małe zielone kiełki przebiły się już na powierzchnię czerwonej ziemi grobu Zgredka. Za rok kopiec będzie pewnie pokryty kwiatami. Biały kamień, na którym wykuto imię skrzata zdążył już nabrać zwietrzałego wyglądu. Harry stwierdził, że nie mogli

znaleźć Zgredkowi ładniejszego miejsca spoczynku, a jednocześnie ogarnął go smutek na myśl o opuszczeniu go. Patrząc na grób, Harry znów zaczął się zastanawiać, skąd skrzat domowy wiedział, dokąd udać się im na ratunek. Jego palce bezwiednie błądziły w kierunku sakiewki, stale zawieszonej na szyi, gdzie mógł wymacać fragment lusterka, w którym, czego był pewien, przez moment widział oko Dumbledore'a. Odgłos otwieranych drzwi wyrwał go z zadumy.

W ich kierunku, w asyście Gryfka, maszerowała przez trawniczek Bellatriks Lestrange. Idąc, wpychała koralikową torebkę do kieszeni jednej ze starych szat, jakie zabrali z Grimmauld Place. Harry wiedział, że tak naprawdę jest to Hermiona, ale mimo to nie mógł pozbyć się uczucia odrazy. Była teraz wyższa od niego, jej długie włosy spływały na plecy czarną kaskadą, a spod ciężkich powiek patrzyły na chłopca oczy pełne pogardy. Ale po chwili usłyszał głos Hermiony, próbującej naśladować niski głos Bellatriks.

- Smakuje obrzydliwie, gorzej niż tykwobulwy. Okej, Ron, wyłaź, skoro ja mogłam...

- Dobra, ale pamiętaj, że nieładnie mi z długą brodą.

- Och, na Merlina, to nie konkurs piękności...

- Nie o to chodzi. Ale wolałbym, żeby mój nos był ociupinkę krótszy, mogłabyś spróbować przerobić go tak, jak ostatnim razem?

Hermiona westchnęła i przystąpiła do działania, mamrocząc coś pod nosem, rozpracowywała kolejne odsłony Ronowego wyglądu. Stworzono mu kompletnie nową osobowość i mieli nadzieję, że diaboliczna aura, jaka spowijała Bellatriks, obejmie także i jego. W międzyczasie Harry i Gryfek będą ukryci pod peleryną - niewidką.

- Gotowe - orzekła Hermiona. - Jak to wygląda, Harry?

Harry był w stanie rozpoznać przyjaciela pod przebraniem, ale tylko dlatego, że znał go bardzo dobrze. Włosy Rona były teraz długie i falujące, wyrosła mu też gęsta, brązowa broda, wąsy i krzaczaste brwi - do tego krótki, szeroki nos i całkowity brak piegów.

- Ujdzie, chociaż nie jest w moim typie - skomentował Harry. - Pójdziemy już?

Wszyscy troje odwrócili się i spojrzeli na Muszelkę, pogrążoną w ciemności i ciszy, po czym ruszyli w kierunku miejsca, gdzie kończyła się bariera Zaklęcia Fideliusa i można się było teleportować. Gdy mijali furtkę, Gryfek odezwał się:

- Myślę, że powinienem wspiąć się na ciebie, Harry Potterze.

Harry pochylił się, żeby goblin mógł mu wejść na ramiona. Długie ręce Gryfka splotły się w okolicach gardła chłopaka. Nie był ciężki, ale Harry'emu nie bardzo podobał się sam dotyk goblina i zaskakująca siła, z jaką się go trzymał. Hermiona wyjęła z koralikowej torebki pelerynę - niewidkę i zarzuciła na nich.

- Doskonale - stwierdziła, pochylając się, by sprawdzić czy Harry'emu nie wystają stopy. - Nic nie widzę. Idziemy.

Harry z Gryfkiem na ramionach, obrócił się na pięcie i skoncentrował wszystkie swoje myśli na Dziurawym Kotle, gospodzie znajdującej się przy Pokątnej. Goblin ścisnął Harry'ego mocniej, gdy przedzierali się przez ciemność. Sekundę później, gdy stanął pewnie na bruku, Harry otworzył oczy i zobaczył Charing Cross Road. Mugole krzątali się po ulicy z wyrazem porannego rozmemłania na twarzach, nieświadomi istnienia małej gospody.

Bar pod Dziurawym Kotłem był wyludniony. Tom, zgarbiony i bezzębny oberżysta, polerował szklanki za kontuarem. W najdalszym kącie sali kilku czarodziejów prowadzących szeptaną dyskusję spojrzało na Hermionę i natychmiast cofnęło w cień.

- Madame Lestrange... - wymamrotał Tom i ukłonił się, kiedy Hermiona go mijała.

- Dzień dobry - powiedziała Hermiona, a drepczący za nią Harry, niosący na barana Gryfka i otulony peleryną - niewidką, zdołał uchwycić zdziwione spojrzenie barmana.

- Za grzecznie - wyszeptał dziewczynie do ucha, kiedy wychodzili na niewielki dziedziniec na tyłach gospody. - Musisz traktować ludzi jak ostatnią hołotę.

- Okej, okej!

Hermiona uniosła różdżkę Bellatriks i stuknęła nią w jedną z cegieł w burej ścianie. Cegły natychmiast poczęły wirować i przesuwać się. Dziura, która powstała pomiędzy

nimi, poszerzała się i poszerzała, aż w końcu uformowała przejście, zwieńczone łukiem, prowadzące na ulicę Pokątną.

Wokół panowała cisza, pora była zbyt wczesna, by otwierać sklepy i tylko część z nich była czynna. Pokątna - opustoszała i cicha ulica - w niczym nie przypominała tego gwarnego, zatłoczonego miejsca, które Harry odwiedził po raz pierwszy, tuż przed rozpoczęciem nauki w Hogwarcie. Wiele sklepów zostało zamkniętych, za to od czasu jego ostatniej wizyty pojawiło się kilka nowych obiektów, poświęconych czarnej magii. W wielu oknach wywieszono plakaty, z których patrzyła na Harry'ego jego własna twarz, zawsze z tym samym napisem: *Niepożądany Numer Jeden.*

Przy wejściu, kuląc się pod ścianą, siedziała grupka ludzi. Gdy ktoś koło nich przechodził, chłopak słyszał jak zawodzą i błagają o złoto, upierając się, że wciąż są prawdziwymi czarodziejami. Jeden z żebraków miał oko przewiązane zakrwawioną opaską.

Kiedy ruszyli wzdłuż ulicy, żebracy spostrzegli Hermionę. Zdawało się, że ją rozpoznali - zakrywali twarze tiarami i uciekali tak szybko, jak tylko mogli, pragnąc chyba rozpłynąć się w powietrzu. Hermiona patrzyła za nimi zdziwiona, dopóki mężczyzna z opaską na oku nie podszedł do niej chwiejnym krokiem.

- Moje dzieci! - wrzasnął wskazując na nią. Jego głos rwał się, był wysoki i napięty. - Gdzie są moje dzieci?! Co on z nimi zrobił?! Ty wiesz, *ty wiesz!*

- Ja... Ja doprawdy - wyjąkała Hermiona.

Mężczyzna rzucił się jej do gardła, lecz rozległ się trzask i błysk czerwonego światła odepchnął go w tył, tak, że padł na bruk, nieprzytomny. Ron stał z wyciągniętą różdżką, a na jego twarzy ukrytej pod brodą malowała się panika. W oknach po drugiej stronie ulicy zaczęły pojawiać się twarze, a niewielka grupka ciekawych przechodniów, opatuliwszy się szczelnie szatami, przyspieszyła kroku, by jak najszybciej zniknąć z pola widzenia.

Przybycie na ulicę Pokątną mogło przebiegać nieco bardziej konspiracyjnie. Przez chwilę Harry zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby odejść - teraz, natychmiast - i próbować obmyślić inny plan. Zanim jednak zdołali się poruszyć, czy choćby porozumieć, usłyszeli za sobą wołanie:

- Kogo ja widzę, madame Lestrange!

Harry, wciąż obciążony Gryfkiem, który ciasno trzymał się jego szyi, obrócił się. Wysoki, chudy czarodziej z burzą szarych włosów i ostrym nosem, zmierzał w ich stronę.

- To Travers - szepnął goblin wprost do ucha Harry'ego, ale chłopak w tej chwili nie miał czasu się zastanawiać, kim jest ten cały Travers. Hermiona wyprostowała się, prezentując swój imponujący wzrost i odpowiedziała z całą pogardą, jaką była w stanie w sobie zgromadzić.

- A ty czego chcesz?

Travers zatrzymał się, wyraźnie dotknięty.

- On także jest śmierciożercą! - dyszał Gryfek, a Harry cichutko zakradł się do Hermiony, by przekazać jej informację.

- Chciałem się tylko przywitać - odrzekł Travers chłodno - ale skoro moja obecność nie jest mile widziana...

Harry rozpoznał teraz jego głos. Travers był jednym ze śmierciożerców, wezwanych do domu Ksenofiliusa.

- Nie, ależ skąd, Travers - odpowiedziała Hermiona pośpiesznie, starając się zamaskować jakoś swój błąd. - Jak się miewasz?

- Cóż, muszę przyznać, że jestem zaskoczony, widząc cię w terenie, Bellatriks.

- Doprawdy? Czemu? - spytała Hermiona.

- Więc - Travers odkaszlnął - słyszałem, jakoby na mieszkańców Malfoy Manor nałożono areszt domowy, po... ekhm... *ucieczce*.

Harry miał nadzieję, że Hermiona nie straci głowy. Jeśli to była prawda i Bellatriks nie powinna znajdować się w miejscu publicznym...

- Czarny Pan wybacza tym, którzy w przeszłości wiernie mu służyli - powiedziała Hermiona, perfekcyjnie imitując najbardziej pogardliwy ton Bellatriks. - Być może twój kredyt zaufania nie jest tak dobry, jak mój, Travers.

Wyglądało na to, że śmierciożerca znów jest urażony, ale jednocześnie mniej zdziwiony. Spojrzał za to w dół, na mężczyznę, którego właśnie ogłuszył Ron.

- W jaki sposób cię obraził?

- Nie ma znaczenia, i nie powtórzy się więcej - odparła Hermiona chłodno.

- Niektórzy z tych bezróżdżkowych są kłopotliwi - rzekł Travers. - Póki tylko żebrzą, nie mam nic przeciwko, ale właśnie tydzień temu jedna z nich zapytała mnie, czy wstawię się za nią w ministerstwie. *Jestem czarownicą, proszę pana, jestem czarownicą, proszę mi pozwolić to udowodnić!* - zapiszczał. - Że niby ja mam jej dać różdżkę... Czyjej różdżki używasz teraz, Bellatriks? - zaciekawił się nagle. - Słyszałem, że twoja własna została...

- Mam własną różdżkę - przerwała Hermiona zimno, podnosząc różdżkę pani Lestrange. - Nie wiedziałam, że słuchasz plotek, Travers. Wygląda na to, że zostałeś źle poinformowany.

Travers zdawał się być zbity z tropu, zmienił temat, odwracając się do Rona.

- Kim jest twój przyjaciel? Nie znam go.

- To Dragomir Despard - powiedziała Hermiona. Zdecydowali, że fałszywy obcokrajowiec to najbezpieczniejsze przebranie, jakie Ron mógłby przyjąć. - Mówi niewiele po angielsku, ale zaskarbił sobie sympatię Czarnego Pana. Przybył tu z Transylwanii, by zobaczyć nasze rządy.

- Doprawdy? Miło cię poznać, Dragomir.

- Ło mi... - wymamrotał Ron wyciągając do rozmówcy rękę.

Travers wyprostował dwa palce, by potrząsnąć ręką Rona, tak, jakby się bał, że może się ubrudzić.

- Cóż więc sprowadza ciebie i twojego... przemiłego przyjaciela na Pokątną o tak wczesnej porze? - zagadnął śmierciożerca.

- Muszę odwiedzić Gringotta - odpowiedziała Hermiona.

- Niestety, ja również - przyznał Travers. - Złoto, brudne złoto! Nie możemy bez niego żyć, i ubolewam, że muszę odwiedzić naszych długopalczastych przyjaciół.

Palce Gryfka, oplecione wokół szyi Harry'ego zwiększyły nacisk.

- Pójdziemy? - zaproponował Travers i gestem zaprosił Hermionę.

Dziewczyna nie miała innego wyjścia, jak tylko podążać u jego boku przez długą, krzywą, brukowaną ulicę, na końcu której, górując nad sklepami, stał śnieżnobiały Bank Gringotta. Ron dreptał obok nich, a Harry z Gryfkiem sunął za nimi. Towarzystwo podejrzliwego śmierciożercy to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali, a nawet gorzej, gdyż z Traversem maszerującym obok fałszywej Bellatriks, Harry straci jakąkolwiek sposobność, by porozumieć się z Hermioną lub Ronem. Zdecydowanie za szybko dostali się do marmurowych schodów prowadzących do wielkich, brązowych drzwi. Jak ostrzegał Gryfek, gobliny w liberiach, zwykle pełniące obowiązki odźwiernych, zostały zastąpione przez dwóch czarodziejów, trzymających długie złote laski.

- Próbniki tożsamości - westchnął Travers teatralnie. - Takie prymitywne - ale efektywne!

I wszedł na schody, następnie skinął głową w stronę obu strażników, a ci podnieśli swoje złote laski i przesunęli nimi wzdłuż ciała śmierciożercy. Harry wiedział, że próbniki wykrywają zaklęcia maskujące lub ukryte magiczne przedmioty. W mgnieniu oka wycelował różdżką Dracona kolejno w każdego strażnika szepcząc *Confundo*. Travers, który zaglądał przez brązowe drzwi do sali, nie zwrócił uwagi na to, że strażnicy wzdrygali się lekko, w momencie, gdy trafiało ich zaklęcie Harry'ego.

Długie czarne włosy Hermiony falowały, kiedy wspinała się po schodach.

- Jedną chwileczkę, madame - powiedział jeden z strażników i podniósł swój próbnik.

- Ale już to zrobiłeś! - oznajmiła Hermiona, naśladując władczy i arogancki ton Bellatriks. Travers odwrócił się z uniesionymi brwiami. Strażnik był zmieszany. Gapił się w dół, to na w swój złoty próbnik, to na kompana, który w końcu odezwał się lekko niepewnym głosem:

- Taa, dopiero co ją sprawdziłeś, Marius.

Hermiona w asyście Rona ruszyła naprzód, a niewidzialni Harry z Gryfkiem trzymali się tuż za nimi. Harry odwrócił się jeszcze i zobaczył jak strażnicy, drapiąc się po głowach próbowali zrozumieć swoje doznania.

Dwóch goblinów stało przed wewnętrznymi drzwiami, zrobionymi ze srebra, na których wypisano wiersz, ostrzegający, jaki los czeka potencjalnego złodzieja. Harry spojrzał na nie i wtem nawiedziło go wspomnienie dnia, gdy po raz pierwszy znalazł się w tym miejscu. Był to dzień jego jedenastych urodzin, najpiękniejszy, najcudowniejszy dzień w jego życiu, a stojący koło niego Hagrid powiedział:

„Jak mówiłem, trzeba być wariatem, żeby próbować się tu włamać". Bank Gringotta wydawał mu się wtedy pałacem cudów, zaczarowaną skarbnicą pełną złota, które nagle spadło mu jak z nieba. Nigdy, ani przez chwilę nie pomyślał, że może tu wrócić, by go obrabować. Ale już sekundę później weszli do przestronnego, marmurowwego bankowego holu.

Długi kontuar był zajęty przez gobliny siedzące na wysokich stołkach, obsługujące pierwszych klientów tego dnia. Hermiona, Ron i Travers podeszli do starego goblina siedzącego na wprost nich, który przez lupę oglądał złotą monetę. Hermiona, pod pretekstem objaśnienia Ronowi elementów wystroju wnętrza, pozwoliła Traversowi pierwszemu podejść do kasjera. Goblin odrzucił monetę, którą badał i nie zwracając się do nikogo konkretnego powiedział: „Leprokonusowe", a potem pozdrowił Traversa, który przekazał mu malutki złoty kluczyk. Kluczyk został zbadany i oddany właścicielowi.

Hermiona podeszła do kontuaru.

- Madame Lestrange! - powiedział goblin, wyraźnie zaskoczony. - Doprawdy, jak... czym mogę pani służyć?

- Chciałabym otworzyć moją skrytkę - odparła Hermiona.

Stary goblin wzdrygnął się nieznacznie. Harry rozejrzał się wokół. Nie tylko Travers kręcił się pobliżu, ale i kilka innych goblinów oderwało się od pracy i gapiło na Hermionę.

- A czy mógłbym prosić o... identyfikator?

- Identyfikator? Nigdy... Nigdy wcześniej nie proszono mnie o identyfikator! - oburzyła się Hermiona.

- Oni wiedzą! - szeptał Gryfek do ucha Harry'ego. - Musieli zostać ostrzeżeni, że może pojawić się oszust.

- Pani różdżka wystarczy, madame - odrzekł goblin. Wyciągnął dłoń, drżącą delikatnie i Harry doznał nagłego olśnienia: gobliny wiedzą, że różdżka Bellatriks została skradziona.

- Ruchy, ruchy! - syczał Gryfek. - Imperiusem!

Harry podniósł różdżkę z głogu, wycelował w starego goblina i po raz pierwszy w życiu wyszeptał:

- *Imperio!*

Dziwne wrażenie opanowało jego prawe przedramię, jakby wibrujące ciepło spływało z jego mózgu wzdłuż więzadeł i żył, łącząc umysł z różdżką i klątwą, którą właśnie rzucił.

Goblin wziął różdżkę Bellatriks, zbadał ją dokładnie i odpowiedział:

- Ma pani nową różdżkę, madame Lestrange!

- Co? - zdziwiła się Hermiona. - To moja...

- Nowa różdżka? - podchwycił Travers, przysuwając się do kontuaru, a gobliny wciąż obserwowały całą scenę. - A który różdżkarz ją dla ciebie zrobił?

Harry zareagował bez namysłu, wycelował w Traversa i znów szepnął:

- *Imperio!*

- O tak, widzę - podjął Travers, spoglądając na różdżkę Bellatriks. - Jest bardzo ładna. A dobrze się sprawuje? Zawsze powtarzam, że różdżka wymaga niewielkiej rozgrzewki, nie sądzisz?

Hermiona popatrzyła na niego, zaskoczona, ale ku niewysłowionej uldze Harry'ego, bez słowa przyjęła nieoczekiwaną zmianę sytuacji.

Stary goblin klasnął w ręce, przywołując młodego goblina.

- Będę potrzebował Brzękadła - zarządził. Tamten zniknął i po chwili wrócił, dźwigając skórzany wór, w którym coś metalicznie pobrzękiwało, a następnie wręczył go

pryncypałowi. - Dobrze, dobrze, więc proszę za mną, madame Lestrange. - Zeskoczywszy z krzesła, zniknął z pola widzenia. - Zaprowadzę panią do skrytki.

Pojawił się na końcu kontuaru, podskakując wesoło, przy donośnym brzęczeniu zawartości saka. Travers wciąż stał z groteskowo rozdziawionymi ustami. Skonsternowany Ron przyglądał się temu dziwnemu zjawisku.

- Czekaj... Bogrod!

Kolejny goblin wyskoczył zza kontuaru.

- Mamy instrukcje - powiedział, kłaniając się Hermionie. - Pani wybaczy, madame Lestrange, ale otrzymaliśmy szczegółowe wytyczne odnośnie skrytki państwa Lestrange.

I nerwowo począł szeptać coś do ucha Bogroda, ale ten, pod wpływem Imperiusa, odepchnął go.

- Jestem uprzedzony o instrukcjach. Madame Lestrange życzy sobie odwiedzić swoją skrytkę... Bardzo stara rodzina... Starzy klienci... Tędy proszę... - i ciągle dzwoniąc workiem, skręcił w stronę jednych z wielu drzwi dookoła sali. Harry spojrzał jeszcze raz na Traversa, który wciąż stał jak przyrośnięty z bezmyślnym wyrazem twarzy i w jednej chwili podjął decyzję. Jednym machnięciem różdżki zmusił go do podążenia za nimi. Travers potulnie ruszył ich śladem, przez drzwi i dalej - oświetlonym pochodniami korytarzem o nierównej, kamiennej posadzce.

- Mamy kłopoty, chyba coś podejrzewają - szepnął Harry, kiedy drzwi się za nimi zatrzasnęły i mógł wreszcie zrzucić pelerynę - niewidkę. Gryfek zeskoczył z ramion Harry'ego. Ani Travers, ani Bogrod nie okazali najmniejszego zaskoczenia na widok wynurzającego się z niebytu Harry'ego Pottera.

- Są pod wpływem Imperiusa - rzucił w odpowiedzi na zdziwione spojrzenia Hermiony i Rona. - Wydaje mi się tylko, że nie było ono wystarczająco silne, ale nie wiem...

Kolejne wspomnienie stanęło mu przed oczami. Prawdziwa Bellatriks Lestrange wrzeszcząca na niego, kiedy po raz pierwszy spróbował rzucić zaklęcie niewybaczalne: *„Musisz* naprawdę *tego chcieć, Potter!"*

- Co robimy? - zapytał Ron. - Uciekamy, póki jeszcze możemy?

- Jeśli jeszcze możemy - sprostowała Hermiona, patrząc na drzwi prowadzące do głównego holu, za którymi mogły się już dziać różne rzeczy.

- Skoro już dotarliśmy tak daleko, to powinniśmy iść dalej - zdecydował Harry.

- Dobrze! - powiedział Gryfek. - Zatem potrzebujemy Bogroda do prowadzenia wózka, bo ja już nie mam uprawnień. Ale nie zmieści się tam dodatkowy czarodziej.

Harry wycelował różdżkę w Traversa.

- *Imperio!*

Śmierciożerca odwrócił się i ruszył szybko wzdłuż czarnych torów.

- Co mu kazałeś?

- Ukryć się - odparł krótko Harry i machnął różdżką w kierunku Bogroda. Ten zagwizdał, przywołując mały wózek, który chwilę później wyłonił się z ciemności i podjechał do nich. Harry mógłby przysiąc, że kiedy wszyscy ładowali się do wózka, słyszał dolatujące z głównego holu nawoływania. Wsiedli do wózka, Bogrod i Gryfek z przodu, Harry, Ron i Hermiona stłoczeni z tyłu.

Wagonik szarpnął i zaczął się toczyć, nabierając prędkości. Minęli jeszcze Traversa, który starał się wcisnąć w szczelinę w ścianie, po czym wózek, obracając się i skręcając wjechał do labiryntu, cały czas zjeżdżając w dół. Harry nie słyszał nic innego oprócz turkotu kół, pęd powietrza rozwiewał mu włosy. Mijali stalaktyty, wciąż zsuwając się niżej pod ziemię, a on nie przestawał oglądać się za siebie. Równie dobrze mogliby zostawiać za sobą ogromne ślady stóp, im dłużej bowiem o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że cały plan jest idiotyczny, począwszy od przebrania Hermiony za Bellatriks, skończywszy na wzięciu ze sobą jej skradzionej różdżki, podczas gdy wszyscy śmierciożercy doskonale wiedzieli, kto ją ukradł...

Dotarli głębiej, niż Harry kiedykolwiek był w Gringotcie, wzięli bardzo ostry zakręt na pełnej szybkości i w ułamku sekundy Harry dostrzegł przed nimi zalewający tory, huczący wodospad. Usłyszał, jak Gryfek woła: „Nie!", ale nie było hamulców - przelecieli przez ścianę wody. Harry miał ją w oczach i w ustach, nie widział nic, nie mógł oddychać, a na dodatek w tej samej chwili wózek przechylił się i Harry poczuł, że leci. Usłyszał

jeszcze, że ich pojazd z okropnym łoskotem roztrzaskuje się o ścianę. Hermiona krzyczała coś niezrozumiałego, a potem poczuł, że zaczyna powoli opadać, jakby nic nie ważył, aż wreszcie wylądował bezboleśnie na kamiennej posadzce.

- Za... zaklęcie poduszkujące - wyjąkała Hermiona, kiedy Ron pomógł jej wstać. Harry z przerażeniem zauważył, że nie wyglądała już jak Bellatriks, a wręcz przeciwnie, stała we własnej postaci, w za dużych i kompletnie mokrych szatach, podobnie jak Ron, który odzyskał swoje rude włosy, za to stracił brodę. Oni też właśnie zdali sobie sprawę, że eliksir przestał działać.

- To Zguba Złodzieja! - wyjaśnił Gryfek, gramoląc się na nogi i spoglądając na przegradzający tory wodospad, który, jak podejrzewał Harry, składał się nie tylko z wody. - Zmywa wszystkie zaklęcia, cały magiczny kamuflaż. Wiedzą już, że w banku są oszuści. Ustawili na nas dodatkowe pułapki!

Harry zauważył, że Hermiona upewnia się, czy wciąż ma swoją koralikową torebkę i sam natychmiast wsadził rękę pod kurtkę, żeby sprawdzić, czy nie zgubił peleryny - niewidki. Uspokoił się nieco, odwrócił i dostrzegł Bogroda, który, oszołomiony, kręcił głową. Najwyraźniej Zguba Złodzieja zmyła również zaklęcie Imperio.

- Potrzebujemy go - powiedział Gryfek szybko. - Nie otworzymy skrytki bez bankowego goblina. I potrzebujemy Brzękadła!

- *Imperio!* - Głos Harry'ego zabrzmiał echem w kamiennym korytarzu. Znów zawładnęło nim odurzające uczucie kontroli, łączącej umysł z różdżką. Bogrod znów poddał się jego woli, a zadziwioną minę na twarzy goblina znów zastąpiła łagodna obojętność. Ron tymczasem podbiegł i chwycił skórzany wór pełen metalu.

- Harry, wydaje mi się, że słyszę czyjeś kroki! - zawołała Hermiona. Wycelowała różdżkę w wodospad i zawołała: - *Protego!*

Zobaczyli, jak zaklęcie tarczy przecięło kaskadę zaczarowanej wody i pomknęło w głąb korytarza.

- Niezły pomysł - pochwalił ją Harry. - Prowadź, Gryfku!

- Jak zamierzamy się stąd wydostać? - zapytał Ron, gdy biegli za goblinem w ciemność, a tuż za nimi Bogrod dyszał jak stary pies.

- Będziemy się o to martwić, jak nadejdzie właściwy moment - odparł Harry. Usiłował nasłuchiwać, wydawało mu się, że słyszy jakieś poruszenie w pobliżu. - Gryfku, daleko jeszcze?

- Niedaleko, Harry Potterze, niedaleko...

Skręcili za róg i ich oczom okazało się coś, na co Harry co prawda był przygotowany, ale i tak wszyscy stanęli jak wryci.

Dokładnie przed nimi siedział olbrzymi smok. Bronił dostępu do czterech czy pięciu skrytek. Łuski bestii wyblakły i przerzedziły się podczas długich lat podziemnej niewoli, jego oczy były mlecznoróżowe. Tylne łapy miał skute ciężkimi kajdanami, od których odchodził gruby łańcuch. Drugi koniec łańcucha został przymocowany do potężnego pala, wbitego głęboko w kamienną podłogę. Smok złożył swoje olbrzymie, kolczaste skrzydła i trzymał je blisko ciała, a przecież wypełniłby nimi całą salę gdyby je rozłożył. Zwrócił ohydną mordę w kierunku przybyłych i zaryczał tak, że aż kamienie zadrżały, otworzył paszczę i zionął ogniem, zmuszając ich do cofnięcia się do korytarza.

- Jest praktycznie ślepy - uspokoił Gryfek. - Ale przez to jeszcze bardziej dziki. Jednakże potrafimy go kontrolować. Nauczył się, czego może oczekiwać, gdy usłyszy zbliżające się Brzękadło. Proszę mi to podać.

Ron podał Gryfkowi worek, a goblin wysypał z niego mnóstwo malutkich metalowych instrumentów, które potrząsane czyniły okropny jazgot, jakby miniaturowe młoteczki stukały w malutkie kowadełka. Gryfek wydał narzędzie Bogrodowi, który przyjął je potulnie.

- Wiesz, co robić - powiedział, a zwracając się do Harry'ego, Rona i Hermiony, wyjaśnił. - Smok ucieknie, a wtedy Bogrod musi położyć dłoń na drzwiach skrytki.

Po raz drugi wyszli zza węgła, silnie potrząsając Brzękadłem, a echo niosło hałas po skalnych ścianach, potęgując go tak, że Harry'emu wydawało się, że drga od tego jego własny mózg. Smok wydał kolejny, ochrypły ryk, po czym wycofał się. Harry mógł zauważyć, że smok się trzęsie, i w miarę, jak podchodzili bliżej, w poprzek pyska dojrzał

blizny po brutalnych cięciach i domyślił się, że są to ślady po długim procesie tresury smoka, by bał się rozpalonego miecza, kiedy usłyszy dźwięk Brzękadła.

- Zmuś go, by położył dłoń na drzwiach! - polecił Gryfek Harry'emu, a ten znów zwrócił różdżkę w stronę Bogroda. Stary goblin posłuchał i wykonał polecenie. Drzwi skrytki rozpłynęły się, ukazując jaskinię od podłogi po sklepienie wypełnioną złotymi monetami, pucharami, srebrnymi zbrojami, skórami dzikich, tajemniczych stworów o długich kręgosłupach lub o przywiędłych skrzydłach, flaszkami zdobnymi w szlachetne kamienie, zawierającymi tajemne eliksiry, a w głębi leżała czaszka, wciąż jeszcze nosząca koronę.

- Szybko, szukajcie! - krzyknął Harry, gdy wszyscy weszli już do skrytki.

Opisał najdokładniej jak potrafił czarę Hufflepuff, ale mogło się zdarzyć że u Gringotta znajdował się również jakiś nieznany horkruks. Ledwo zdążył się rozejrzeć, gdy drzwi skrytki poczęły odbudowywać się z głuchym szczękiem, pogrążając wnętrze skrytki w całkowitych ciemnościach.

- Nieważne, Bogrod będzie mógł nas stąd uwolnić - uspokoił Gryfek, słysząc jęk Rona. - Zapalcie swoje różdżki - możecie, prawda? I szybciej, mamy bardzo niewiele czasu.

- *Lumos!*

Harry poświecił sobie różdżką dokoła skrytki, światło igrało w klejnotach, zobaczył fałszywy miecz Gryffindora, leżący na najwyższej półce, pomiędzy zwojami łańcuchów. Ron i Hermiona również zapalili różdżki i teraz badali otaczające ich stosy skarbów.

- Harry, czy to może być to...? Ała!

Hermiona krzyknęła z bólu, a Harry odwrócił się i zobaczył jak inkrustowana czara wypadła jej z rąk. Ledwie naczynie dotknęło podłogi rozpadło się, a z sufitu spadł deszcz czarek, i chwilę później z głośnym brzękiem cała niemalże podłoga pokryła się identycznymi pucharkami, niemożliwymi wręcz do rozróżnienia.

- Oparzyło mnie! - poskarżyła się Hermiona, ssąc palec, pokrywający się pęcherzami.

- Dodali jeszcze zaklęcia Geminio i Flagrate! - wyjaśnił Gryfek. - Wszystko, czego dotkniecie, będzie parzyć i powielać się, ale kopie są bezwartościowe. A jeśli nadal będziecie czegoś dotykać to w końcu skarby zmiażdżą was swoją masą.

- Okej! Nie dotykajcie niczego! - zakomenderował Harry desperacko, ale zdążył tylko to powiedzieć, a Ron przypadkiem wdepnął na jedną z fałszywych czarek i dwadzieścia nowych wybuchło mu pod stopami, zmuszając go do skakania na jednej nodze, gasząc but, który zapalił się przy kontakcie z żarzącym się złotem.

- Stój spokojnie, nie ruszaj się! - krzyknęła Hermiona, podtrzymując Rona.

- Po prostu rozejrzyjcie się! - prosił Harry. - Pamiętajcie, pucharek jest malutki i złoty, ma borsuka wygrawerowanego na przedzie i dwa uchwyty... Albo popatrzcie czy coś nie ma symbolu Ravenclawu, orła...

Szperali różdżkami w każdym zakamarku, w każdej szparce, obracając się ostrożnie w miejscu. Było wręcz niemożliwym nie otrzeć się o coś. Harry wywołał wielką lawinę fałszywych galeonów, które spadły i dołączyły do leżących na ziemi pucharków, co dramatycznie zmniejszyło ilość miejsca na stopy, a za to powiększyło ilość błyszczącego, rozgrzanego złota. W krypcie było już gorąco jak w piecu. Światło z różdżki Harry'ego szperało wzdłuż półek, na których leżały hełmy (dzieło goblinów), przeskakiwało na wyższe poziomy, coraz wyżej, aż zatrzymało się niemal na najwyższej półce, na czymś, co sprawiło, że Harry'emu podskoczyło serce, a dłonie zadrżały.

- Tam jest, tam jest!

Ron i Hermiona zwrócili różdżki w punkt wskazany przez Harry'ego, więc mała złota czarka rozbłysła potrojonym blaskiem: puchar należący do Helgi Hufflepuff, w którego posiadanie weszła najpierw Chefsiba Smith, a następnie został skradziony przez Toma Riddle.

- I jak, do diabła, mamy to zdjąć z półki bez dotykania czegokolwiek innego? - zapytał retorycznie Ron.

- *Accio* puchar! - wrzasnęła Hermiona, która będąc najwyraźniej w stanie skrajnej desperacji, zapomniała, co Gryfek mówił im przy planowaniu skoku.

- Nie można, nie można! - warknął Gryfek.

- Więc co mamy zrobić? - odwarknął mu Harry. - Jeśli chcesz miecz, musisz zrobić coś jeszcze, oprócz gapienia się. Czy mogę dotknąć tego mieczem? Hermiono, podaj mi go!

Hermiona poszukała w swoich szatach, wyciągnęła koralikową torebkę, potrząsała nią przez chwilę, by na koniec wyciągnąć błyszczący miecz. Harry ujął rubinową rękojeść i dotknął czubkiem ostrza srebrnego flakonu leżącego najbliżej. Nie było żadnej reakcji.

- Mógłbym po prostu nadziać uchwyt na ostrze miecza... Ale jak mam się tam dostać?

Półka, na której stała czara Hufflepuff, znajdowała się poza zasięgiem któregokolwiek z nich, nawet najwyższego z całej trójki Rona. Gorąco z zaczarowanych skarbów buchało falami, pot zalewał Harry'emu oczy, gdy gorączkowo zastanawiał się, jak dosięgnąć pucharka. Nagle usłyszał ryk smoka po drugiej stronie drzwi do skrytki i coraz głośniejsze brzęczenie.

Teraz naprawdę znaleźli się w pułapce - nie było innej drogi ucieczki, jak tylko przez drzwi, a horda goblinów zbliżała się z drugiej strony. Harry spojrzał na przyjaciół i zobaczył malujące się na ich twarzach przerażenie.

- Hermiono - powiedział podnosząc głos i przekrzykując odgłosy pogoni. - Muszę się tam dostać, musimy się tego jakoś pozbyć...

Uniosła różdżkę, wycelowała ją w Harry'ego i szepnęła:

- Levicorpus!

Uniesiony w powietrze za kostkę, Harry wyrżnął w zbroję, której repliki natychmiast wypełniły resztę wolnego miejsca niczym rozgrzane do czerwoności kukły. Krzycząc z bólu, Ron, Hermiona i oba gobliny zostali rzuceni na piętrzące się wokół drogocenności, które również zaczęły się namnażać. Na wpół zagrzebani w rosnących wciąż stosach gorących skarbów, szamotali się i wrzeszczeli, podczas gdy Harry zdołał jednak zahaczyć mieczem o uszko czary Helgi.

- *Impervius!* - zapiszczała Hermiona, usiłując obronić siebie, Rona i gobliny przed nawałem rozpalonego metalu.

Wtedy przeraźliwy wrzask zmusił Harry'ego do spojrzenia w dół. Hermiona i Ron, zakopani w złocie po pas, usiłowali utrzymać Bogroda na powierzchni, ale z Gryfka widać już było tylko palce. Harry złapał za nie i pociągnął. Pokryty pęcherzami goblin wynurzał się powoli, wyjąc z bólu.

- *Liberacorpus!* - krzyknął Harry. Z okropnym trzaskiem on i Gryfek wylądowali na powierzchni wciąż pęczniejącego skarbu. Miecz Gryffindora wyleciał Harry'emu z ręki.

- Łap go! - wrzasnął Harry, zaciskając zęby, gdy rozżarzone złoto paliło mu skórę, a Gryfek znów wspiął mu się na ramiona, próbując uniknąć kontaktu z metalem. - Gdzie jest miecz? Była na nim czara!

Łomotanie po drugiej stronie drzwi było już niemal głuszące... Było już za późno...

- Tam!

To Gryfek dostrzegł miecz i zanurkował po niego, a Harry w tej samej chwili zrozumiał, że goblin nigdy nie oczekiwał, że dotrzymają słowa. Jedną ręką trzymając się włosów Harry'ego, by nie spaść w gorące morze złota, Gryfek złapał rękojeść miecza i uniósł ją wysoko, poza zasięg rąk Harry'ego.

Mała, złota czarka, zahaczona uszkiem o ostrze, wyleciała w powietrze. Nie bacząc na wciąż siedzącego na nim goblina, Harry zanurkował po nią, złapał i pomimo palącego bólu nie zwolnił uścisku, nawet gdy niezliczone pucharki Hufflepuff wystrzeliły mu spod palców, spływając po nim na posadzkę. Wejście skrytki znów się otworzyło i chłopak został porwany przez lawinę rozpalonego złota i srebra, która poniosła ich wszystkich z powrotem na zewnątrz jaskini.

Ledwie świadom oparzeń, Harry wepchnął do kieszeni stale replikujący się skarb i sięgnął po miecz, ale Gryfek zniknął. Korzystając nadarzającej się okazji, zsunął się z ramion chłopca; dał nura w stronę zbliżających się goblinów, potrząsając zdobytym mieczem i krzycząc:

- Złodzieje! Złodzieje! Pomocy! Złodzieje!

I zniknął w gęstniejącym tłumie goblinów - a każdy z nich był uzbrojony w sztylet. Przyjęli Gryfka bez zbędnych pytań.

Spłynąwszy z fali gorącego metalu, Harry stanął na nogi i zrozumiał, że jest tylko jedna droga na zewnątrz - przez nich.

- *Drętwota!* - krzyknął. Ron i Hermiona zrobili to samo. Smugi czerwonego światła pomknęły w kierunku grupy goblinów i roztrąciły kilku z nich. Ale przybyły nowe, a nawet dojrzeli kilku strażników - czarodziejów, wyłaniających się zza rogu.

Smok miotał się na łańcuchu i zionął ogniem ponad goblinami. Czarodzieje rzucili się do ucieczki. Harry natomiast doznał nagłego olśnienia, lub też szaleństwa. Wycelował różdżką w kajdany przykuwające bestię do posadzki i krzyknął:

- *Relashio!*

Kajdany pękły z głośnym trzaskiem.

- Tędy! - krzyczał Harry i bez przerwy rzucając zaklęcia oszałamiające w kierunku nadciągających goblinów, pognał do ślepego smoka.

- Harry... Harry... Co ty wyprawiasz? - piszczała Hermiona.

- Nie gadaj, właź, no wsiadaj...

Smok jeszcze nie zorientował się, że jest wolny. Stopy Harry'ego znalazły oparcie na krzywiźnie tylnych nóg potwora, więc mógł podciągnąć się na jego grzbiet. Smocze łuski były mocne jak stal, wydawało się, że bestia nawet go nie czuła. Chłopak przechylił się i chwycił wyciągnięte ku niemu ręce Hermiony. Ron wspinał się od tyłu i dosłownie sekundę później smok odkrył, że nie jest już więźniem. Z przeraźliwym rykiem wyprostował się.

Harry skulił się i ścisnął postrzępione łuski, kiedy gad rozłożył skrzydła, roztrącając wrzeszczące gobliny niczym kręgle i wzniósł się w powietrze. Trójka uciekinierów rozpłaszczyła się na smoczym grzbiecie, by nie zderzyć się z sufitem, kiedy smok zanurkował i pomknął wzdłuż otwartego korytarza, pozostawiając za sobą rozwścieczone gobliny, ciskające sztyletami, które odbijały się nieszkodliwie od pancernych boków.

- Nigdy się stąd nie wydostaniemy, jest za duży! - krzyknęła Hermiona, a smok nie zważając na nic otworzył paszczę i plunął ogniem, pod wpływem którego skały sufitu i posadzki zaczęły pękać i kruszyć się. Bestia torowała sobie drogę silnymi szponami. Harry zacisnął szczelnie powieki, chcąc chronić oczy przed gorącem, kurzem i popiołem. Prawie ogłuchł od huku miażdżonych kamieni i smoczego ryku. Mógł tylko kurczowo trzymać się gadziej łuski, spodziewając się, że w każdej chwili może zostać strząśnięty. I wtem usłyszał jak Hermiona krzyczy:

- *Defodio!*

Pomagała smokowi, rozwalając sufit i powiększając przejście. Ten natychmiast skierował się ku górze, do miejsca skąd dochodziło do niego świeże powietrze, daleko od wrzeszczących i brzęczących goblinów. Harry i Ron wysadzili zaklęciami resztę sklepienia. Gdy minęli podziemne jezioro, wielki gad poczuł nareszcie wolność i przestrzeń nad głową. Pod nimi przejście wypełniały wielkie odłamy skalne, olbrzymie strzaskane stalaktyty oraz kolczasty smoczy ogon, miażdżący wszystko dookoła, brzęczenie goblinów brzmiało głucho, a przed nimi strumień smoczego ognia oczyszczał przejście.

I wreszcie, kombinacja smoczej brutalnej siły i wyrafinowanych zaklęć utorowała zbiegom drogę do marmurowego holu. Gobliny i czarodzieje wrzeszczeli, starając się ukryć. Wreszcie smok rozpostarł skrzydła, odwrócił rogatą głowę w stronę chłodnego powierza, które napływało do niego z zewnątrz i ruszył naprzód z Harrym, Ronem i Hermioną na grzbiecie. Smok staranował metalowe drzwi, wywarzając je z zawiasów, wytoczył się na Pokątną, po czym wolny wzniósł się w przestworza.

Rozdział 27
Ostatnia kryjówka

Tłumaczenie: Reginard

Nie było żadnej możliwości pokierowania smokiem, który nie wiedział dokąd leci i Harry zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli ostro zakręci albo obróci się w powietrzu, nie będą mieli możliwości, aby utrzymać się na jego szerokim grzbiecie. Mimo tego, podczas gdy wspinali się coraz wyżej, a Londyn rozpościerał się pod nimi jak szaro - zielona mapa, Harry czuł wdzięczność, że udała się ucieczka, która wcześniej wydawała się niemożliwa. Kuląc się nisko nad szyją bestii, przywarł mocno do metalicznych łusek, chłodny wietrzyk smagał jego poparzoną i pokrytą pęcherzami skórę. Smocze skrzydła uderzały powietrze, jak skrzydła wiatraka. Za swoimi plecami Harry słyszał podniesiony głos Rona, ale nie potrafił powiedzieć, czy jego okrzyki wyrażają zachwyt czy przerażenie, Hermiona natomiast wydawała się płakać.

Po paru minutach fala strachu, że smok ma zamiar ich zrzucić, odrobinę zelżała. Wydawało się, że jedyne, do czego zmierza, to znaleźć się jak najdalej od swojego podziemnego więzienia, ale nadal dręczyło go przerażające pytanie - jak i kiedy uda im się z niego zsiąść? Nie miał zielonego pojęcia, jak długo smoki są w stanie lecieć bez lądowania, a tym bardziej jak ten konkretny, niedowidząc, zlokalizuje odpowiednie miejsce na odpoczynek. Rozglądał się, mając wrażenie, że kłuje go blizna...

Ile czasu upłynie zanim Voldemort dowie się, że włamali się do skrytki Lestrange'ów? Jak szybko gobliny powiadomią Bellatriks? Jak prędko zorientują się, co zostało zabrane? A wtedy, kiedy odkryją, że brakuje złotej czary, Voldemort dowie się ostatecznie, że polują na horkruksy...

Smok prawdopodobnie zapragnął świeższego, chłodniejszego powietrza. Unosił się dopóki nie znaleźli się w chłodnej warstwie chmur i Harry nie mógł już dłużej dostrzec kolorowych kropek, będących masowo napływającymi i wypływającymi ze stolicy

samochodami. Lecieli ponad wsiami, podzielonym na zielone i brązowe płaty, nad drogami i rzekami wijącymi się na tle krajobrazu jak matowe i lśniące wstęgi.

- Jak sądzisz, czego on szuka? - krzyknął Ron, gdy lecieli coraz dalej na północ.

- Nie mam pojęcia - odkrzyknął Harry. Palce zesztywniały mu z zimna, ale nawet nie próbował zmienić uchwytu. Od jakiegoś czasu zastanawiał się, co zrobią, jeśli zobaczą pod sobą wybrzeże i okaże się, że smok zmierza prosto do otwartego morza. Był zmarznięty i odrętwiały, nie wspominając, o tym, jak bardzo chciało mu się jeść i pić. Był też ciekawy, kiedy bestia ostatni raz jadła. Z pewnością niedługo będzie potrzebowała pożywienia. A co, jeśli w tym momencie zorientuje się, że na jej plecach siedzi trójka całkiem jadalnych ludzi?

Słońce zeszło niżej, nadając niebu głęboki, granatowy kolor. Miasta i miasteczka zniknęły im z pola widzenia; smok dalej leciał, a jego ogromny cień przesuwał się nad powierzchnią ziemi niczym gigantyczna, ciemna chmura. Harry każdą częścią swego ciała starał utrzymać się na smoczym grzbiecie.

- Czy mi się wydaje - zawołał Ron po dłuższej chwili milczenia - czy zaczynamy tracić wysokość?

Harry spojrzał w dół i zobaczył wysokie zielone góry i jeziora skąpane w zachodzącym słońcu. Zerknął nad smoczym grzbietem, a krajobrazy wydały mu się większe i wyraźniejsze, zastanawiał się, czy zwierzę wykryło obecność świeżej wody. Smok kołując schodził coraz niżej, najwyraźniej kierując się ku jednemu z mniejszych jezior.

- Kiedy zejdzie wystarczająco nisko to zeskoczymy! - zawołał Harry. - Prosto do wody, zanim zorientuje się, że tu jesteśmy!

Zgodzili się, choć Hermiona niezbyt pewnie. W tym momencie Harry zobaczył szerokie, żółte, smocze podbrzusze odbijające się w tafli wody.

- TERAZ!

Ześlizgnął się po smoczym boku i jako pierwszy spadł do jeziora. Uderzenie było silniejsze niż przypuszczał, runął jak głaz, prosto do lodowatego, zielonego i porośniętego trzciną świata. Wierzgając wydostał się na powierzchnię, ciężko dysząc zauważył pomarszczone kręgi w miejscach, gdzie spadli Ron i Hermiona. Smok raczej niczego nie zauważył, oddalony od nich o pięćdziesiąt stóp, nurkował nisko ponad jeziorem, aby swoim przerażającym pyskiem zaczerpnąć wody. Gdy Ron i Hermiona wynurzyli się z głębin jeziora, krztusząc się i chwytając z trudem powietrze, smok przeleciał nad nimi, uderzając ciężko skrzydłami i w końcu wylądował w odległym miejscu.

Cała trójka popłynęła w kierunku przeciwległego brzegu. Jezioro zdawało się nie być głębokie. Wkrótce okazało się, że mieli więcej problemów z przedarciem się przez trzciny i błoto, niż z płynięciem, ale w końcu przemoczeni, dysząc z przemęczenia opadli na śliską trawę.

Hermiona upadła kaszląc i dygocząc. Harry, chociaż mógł szczęśliwie położyć się i zasnąć, chwiejąc się na nogach, wyciągnął różdżkę i zaczął rzucać dookoła nich standardowe zaklęcia ochronne.

Kiedy skończył, dołączył do pozostałych. Po raz pierwszy, odkąd uciekli ze skrytki, mógł im się dokładnie przyjrzeć. Oboje mieli wściekłe czerwone ślady po oparzeniu na twarzach i ramionach, a ich ubrania były gdzieniegdzie poprzepalane. Krzywili się, nakładając wyciąg z dyptamu na liczne obrażenia. Hermiona podała Harry'emu flakonik, wyciągnęła trzy butelki soku dyniowego, które zabrała z Muszelki i czyste suche szaty dla wszystkich. Przebrali się i jednym haustem połknęli sok.

- Cóż, są plusy - skwitował Ron, przyglądając się swojej regenerującej się na dłoniach skórze. - Zdobyliśmy horkruks. Minusy...

- ... nie mamy miecza - Harry wycedził przez zaciśnięte zęby, gdyż właśnie polewał dyptamem ciężkie oparzenie pod wypaloną w dżinsach dziurą.

- Nie mamy miecza - powtórzył Ron. - Parszywy, dwulicowy drań...

Harry wyciągnął horkruks z kieszeni mokrej kurtki, którą właśnie zdjął i położył go przed nimi. Błyszczał w słońcu, przyciągając ich spojrzenia, podczas gdy opróżniali butelki z sokiem.

- Tym razem nie możemy tego nosić, wyglądałby dziwnie, wisząc na naszych szyjach - powiedział Ron, przecierając usta wierzchem dłoni. Hermiona spojrzała na przeciwległy brzeg, gdzie smok nadal pił.

- Jak sądzicie, co z nim będzie? - zapytała. - Myślicie, że da sobie radę?

- Mówisz jak Hagrid - stwierdził Ron. - To jest smok, Hermiono, sam potrafi się o siebie zatroszczyć. My musimy martwić się o siebie.

- Co masz na myśli?

- Cóż, nie wiem, jak ci to przekazać - zaczął Ron - ale wydaje mi się, że oni mogli się już zorientować, że włamaliśmy się do Gringotta.

Cała trójka wybuchnęła nieopanowanym śmiechem. Harry'ego bolały żebra, miał zawroty głowy z głodu, ale dalej leżał na trawie i śmiał się, aż niemal zdarł sobie gardło.

- Co w takim razie zamierzamy? - zapytała Hermiona przywołując się do porządku. - Dowie się, prawda? Sami - Wiecie - Kto dowie się, że wiemy o horkruksach!

- Może nie będą mieli odwagi mu powiedzieć - Ron odpowiedział z nadzieją w głosie. - Może to przed nim zatają.

Niebo, zapach jeziora i dźwięk głosu Rona były kojące. Rozdzierający ból przeszył głowę Harry'ego, jakby został ugodzony mieczem. Stał w słabo oświetlonym pomieszczeniu, otoczony półkolem przez czarodziejów, a na podłodze klęczała mała trzęsąca się postać.

- Coś ty do mnie powiedział? - Jego głos był wysoki i zimny, ale wściekłość i strach gorzały w nim. Tylko tej jednej rzeczy się obawiał - ale to nie może być prawda, on nie mógł wiedzieć, jak...

Goblin drżał, nie miał odwagi podnieść wzroku w kierunku górujących nad nim czerwonych oczu.

- Powtórz to jeszcze raz! - wyszeptał Voldemort. - Powtórz!

- M - mój Panie - wyjąkał goblin, a czarne oczy rozszerzyły mu się z przerażenia. - M - mój Panie... P - próbowaliśmy ich p - powstrzymać... O - oszustka, mój Panie... Włamała się... włamała się do... do skrytki Lestrange'ów...

- Oszustka? Co za oszustka? Wydawało mi się, że Bank Gringotta ma sposoby na demaskowanie oszustów? Kim oni byli?

- To był... To był... P - potter, ch - chłopiec i dwoje wspólników...

- I zabrali? - zapytał unosząc głos, a okropny strach utrzymywał go kurczowo w napięciu. - Powiedz mi! Co zabrali?

- M - małą, z - złotą czarę, m - mój Panie.

Wrzask wściekłości i chęci zaprzeczenia wydobył się z niego, jakby należał do kogoś obcego. Był oszołomiony, ogarniało go szaleństwo, to nie mogło być prawdą, nikt o tym nie wiedział: jak to możliwe, że chłopak mógł odkryć jego sekret?

Starsza Różdżka przecięła powietrze i zielony promień ogarnął cały pokój. Klęczący goblin przewrócił się martwy. Obserwujący całą scenę czarodzieje rozproszyli się przerażeni. Bellatriks i Lucjusz Malfoy wyprzedzili resztę w wyścigu do drzwi, a jego różdżka wielokrotnie cięła, uśmiercając tych, którzy pozostali w pomieszczeniu, wszyscy po kolei ginęli za wieści, które mu przynieśli i za to, że usłyszeli o złotej czarce.

Samotny pośrodku martwych, stąpał ciężkim krokiem, a one ukazywały mu się w wizjach: jego skarby, zabezpieczenia, szanse na nieśmiertelność - pamiętnik zniszczony a czarka ukradziona. A co, jeśli, jeśli chłopak wiedział o pozostałych przedmiotach? Gdyby tak było, mógłby działać... Czy udało mu się odkryć pozostałe? Czy Dumbledore to zapoczątkował? Dumbledore, który zawsze go podejrzewał... Który zginął na jego rozkaz. Dumbledore, którego różdżka należała teraz do niego, a mimo to dosięgnął go zza grobu, wysługując się chłopakiem, tym chłopakiem...

Jednak z pewnością, gdyby chłopak zniszczył którykolwiek z jego horkruksów, on, Lord Voldemort wiedziałby o tym, poczułby to. On, najwspanialszy ze wszystkich czarodziejów, najpotężniejszy... On, zabójca Dumbledore'a i wielu innych, bezużytecznych i bezimiennych ludzi. Jak Lord Voldemort mógłby nie wiedzieć, że on sam, najważniejszy i najbardziej wartościowy, został zaatakowany i okaleczony?

W prawdzie nie czuł, kiedy pamiętnik został zniszczony, ale uważał, że to dlatego, iż nie posiadał ciała, które mogłoby to odczuwać, był wtedy mniej niż duchem... Nie, z pewnością pozostałe były bezpieczne... Pozostałe horkruksy muszą być nienaruszone...

Ale musi wiedzieć, musi mieć pewność... Przemierzał pomieszczenie, kopnął ciało goblina, gdy koło niego przechodził, a zamazane obrazy kotłowały się w jego głowie: jezioro, chata i Hogwart...

Odrobina spokoju ostudziła jego wściekłość. W jaki sposób chłopak mógłby się dowiedzieć, że ukrył pierścień w chacie Gaunta? Nikt nigdy nie wiedział o jego pokrewieństwie z Gauntami, ukrył te powiązania, a o żadne z zabójstw nawet go nie podejrzewano. Pierścień na pewno był bezpieczny.

Jak chłopak, albo ktokolwiek inny, mógł dowiedzieć się o jaskini? Albo przedostać się przez jej zabezpieczenia? Sam pomysł, że naszyjnik mógłby zostać ukradziony, był absurdalny...

Co do szkoły... Tylko on wiedział, gdzie w Hogwarcie został złożony horkruks, osobiście zaplanował miejsce ukrycia, w najgłębszej tajemnicy...

Pozostaje jeszcze Nagini, która teraz musi pozostawać w pobliżu i nie może już dłużej wypełniać rozkazów bez jego opieki...

Żeby jednak mieć stu procentową pewność, musi ponownie odwiedzić każdą z kryjówek i wzmocnić ochronę każdego z horkruksów... To zadanie, podobnie, jak poszukiwania Starszej Różdżki, musi podjąć osobiście...

Które z miejsc powinien odwiedzić najpierw? Które jest najbardziej zagrożone? Dawny niepokój rozgorzał w nim na nowo. Dumbledore znał jego drugie imię... Mógł odgadnąć jego powiązania z rodziną Gauntów... Ich opuszczony dom był zapewne najmniej bezpieczną kryjówką i to właśnie od tego miejsca powinien zacząć...

Jezioro, całkowicie niemożliwe... Chociaż istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że Dumbledore mógł wiedzieć o niektórych jego dawnych występkach, jeszcze za czasów sierocińca.

Hogwart... Wiedział, że tam horkruks jest bezpieczny; Potterowi nie udałoby się przedostać do Hogsmeade bez wpadki, więc szkołę można na razie pominąć. Jednak przezornie ostrzeże Snape'a, że Potter może chcieć się dostać do zamku... Uświadamianie Snape'owi dlaczego chłopak może chcieć powrócić do zamku, byłoby jawną głupotą. Poważnym błędem było zaufanie Bellatriks i Malfoyowi. Czyż to nie ich głupota i niedbalstwo udowodniły mu, jak niemądre jest zaufanie?

W pierwszej kolejności odwiedzi chatę Gaunta, zabierając ze sobą Nagini. Nigdy więcej nie rozstanie się z wężem... Z pomieszczenia przeszedł na korytarz, następnie wyszedł na zewnątrz do ciemnego ogrodu, gdzie tryskała fontanna. Przywołał zwierzę w mowie wężów i przypełzło, dołączając do niego niczym długi cień...

Harry otworzył oczy, kiedy powrócił do rzeczywistości. Leżał na brzegu jeziora, w słońcu, a Ron i Hermiona spoglądali na niego. Sądząc po ich zmartwionych minach i jego ciągłym pocieraniu blizny, jego nagła wizyta w myślach Voldemorta nie przeszła niezauważona. Próbował opanować drżenie, trochę zaskoczony, że wciąż ma wilgotną skórę i zobaczył przed sobą niewinnie leżącą na trawie czarkę i jezioro, głęboki, niebieski kolor, mieniący się złotem zachodzącego słońca.

- On wie. - Jego własny głos zabrzmiał dziwnie po wysokich krzykach Voldemorta. - Wie i zamierza sprawdzić, czy pozostałe są bezpieczne. A ostatni z nich - zerwał się na równe nogi - jest w Hogwarcie. Wiedziałem. Wiedziałem!

- Co?

Ron gapił się na niego; Hermiona wyprostowała się patrząc na niego z niepokojem.

- Ale co widziałeś, skąd wiesz?

- Widziałem go, kiedy dowiedział się o kradzieży czary. Byłem w jego głowie. On jest... - Harry przypomniał sobie morderstwa. - On jest naprawdę wściekły, a jednocześnie przerażony. Nie rozumie, w jaki sposób dowiedzieliśmy się o horkruksach i teraz zamierza sprawdzić, czy pozostałe są bezpieczne. Na początku pierścień. Uważa, że to, co ukrył w Hogwarcie jest bezpieczniejsze, bo tam jest Snape i ciężko będzie się tam dostać niezauważonym. Myślę, że ten sprawdzi na końcu, ale nadal może się tam pojawić w przeciągu paru godzin.

- Widziałeś, gdzie w Hogwarcie jest ukryty? - zapytał Ron zrywając się na równe nogi.

- Nie, był skoncentrowany na ostrzeżeniu Snape'a, nie myślał nad jego dokładną lokalizacją.

- Poczekaj, poczekaj! - wykrzyknęła Hermiona, gdy Ron dopadł do Harry'ego i horkruksa i wyciągnął ponownie pelerynę - niewidkę. - Nie możemy tam tak po prostu pójść, potrzebujemy planu, potrzebujemy...

- Musimy działać - powiedział Harry stanowczo. Miał nadzieję, że się prześpi, nie mógł się doczekać, kiedy dostanie się do nowego namiotu, ale w tym momencie było to niemożliwe.

- Możesz sobie wyobrazić, co on jest w stanie zrobić, gdy zda sobie sprawę, że pierścień i naszyjnik zniknęły? Co, jeśli przeniesie horkruks z Hogwartu w inne miejsce, uznając, że nie jest tam wystarczająco bezpieczny?

- A jak zamierzamy się tam dostać?

- Udamy się do Hogsmeade - zadecydował Harry. - Sprawdzimy, jak zabezpieczona jest szkoła i spróbujemy coś wykombinować. Hermiono, wejdź pod pelerynę, chciałbym abyśmy teraz wszyscy pozostawali blisko.

- Ale nie zmieścimy się.

- Będzie ciemno, nikt nie zauważy naszych stóp.

Łopot ogromnych skrzydeł rozszedł się echem po ciemnej wodzie. Smok napił się już wystarczająco i wzbił się w powietrze. Przerwali na chwilę swoje przygotowania, aby popatrzeć jak wznosi się coraz wyżej, teraz czarny na tle gwałtownie ciemniejącego nieba, aż zniknął za pobliską górą. Wtedy Hermiona zajęła miejsce pomiędzy nimi, Harry naciągnął pelerynę, najszczelniej, jak to było możliwe i wspólnie z trzaskiem zanurzyli się w ciemność.

Rozdział 28
Brakujące lustro

Tłumaczenie: Ortwin

Stopy Harry'ego dotknęły drogi. Dostrzegł boleśnie znajomą główną ulicę Hogsmeade - ciemne wystawy sklepów, zarys gór za wioską, zakręcająca droga wiodąca do Hogwartu, łuna światła nad Trzema Miotłami - i z ukłuciem w sercu przypomniał sobie, jak niemal rok temu wylądował tu, podtrzymując rozpaczliwie słabego Dumbledore'a. Minęła może sekunda, ledwo zdążył rozluźnić uścisk na ramionach Rona i Hermiony, gdy to się stało.

Powietrze przeciął krzyk podobny do dźwięku, jaki wydał Voldemort, gdy odkrył, że wykradziono czarę - przedarł się przez każdy nerw w ciele Harry'ego, który wiedział dobrze, że przyczyną wycia jest pojawienie się. Gdy spojrzał pod peleryną na pozostała dwójkę, drzwi Trzech Mioteł wyleciały z zawiasów i na ulicę wysypał się tuzin śmierciożerców z uniesionymi różdżkami.

Harry chwycił nadgarstek Rona, gdy ten wyjął różdżkę. Zbyt wielu przeciwników do oszołomienia, pomijając, że to zdradziłoby ich pozycję. Jeden ze śmierciożerców machnął różdżką i krzyk ucichł jak ucięty nożem, tylko jego echo odbijało się jeszcze od gór.

- Accio peleryna! - ryknął któryś ze śmierciożerców.

Harry zacisnął palce na fałdach płaszcza, ale ten ani myślał reagować na zaklęcie.

- Nie w swoim zwyczajowym opakowaniu, Potter? - wrzasnął ten, który próbował czaru, po czym zwrócił się do swoich kompanów. - Rozdzielić się. Jest tutaj.

Minęło ich sześciu śmierciożerców, Harry, Ron i Hermiona cofnęli się tak szybko, jak było to możliwe, odrobinę wzdłuż ulicy. Pościg minął ich o kilka cali. Czekali w ciemności, nasłuchując nerwowo kroków i patrząc, jak światła różdżek poszukujących omiata okolicę.

- Znikajmy stąd! - szepnęła Hermiona. - Deportujmy się!

- Świetny pomysł, spadajmy stąd - zgodził się Ron, ale zanim Harry zdążył odpowiedzieć, rozległ się krzyk jednego z mężczyzn:

- Wiemy, że tu jesteś, Potter! Tym razem się nie wymkniesz! Znajdziemy cię!

- Byli przygotowani na nasze przybycie - syknął Harry. - Mieli zaklęcie alarmujące. Na pewno mają też coś, żeby nas zatrzymać, jakąś pułapkę...

- A dementorzy? - zawołał jakiś inny śmierciożerca. - Dajmy im powęszyć, szybko go znajdą!

- Czarny Pan chce zabić Pottera własnoręcznie...

- A czy dementorzy zabijają? Czarny Pan chce życia Pottera, nie jego duszy. A łatwiej będzie go wykończyć, jeśli wcześniej zostanie wycałowany!

Rozległ się pomruk poparcia. Harry poczuł ogarniający go lęk - aby odeprzeć dementorów musieliby wyczarować patronusy, a to błyskawicznie zdradziłoby ich pozycję.

- Musimy się deportować, Harry! - nalegała Hermiona.

Gdy tylko to powiedziała, poczuł owiewający ulicę nienaturalny powiew zimna. Światło uciekło gdzieś w stronę znikających gwiazd. W atramentowej ciemności poczuł, że Hermiona łapie go za rękę. Zawrócili w miejscu.

Powietrze, zamiast jak zwykle pozwolić im na ruch, nagle stało się bardziej stałe - nie mogli się deportować, zaklęcia śmierciożerców najwyraźniej były skuteczne. Zimno wżerało się w ciało Harry'ego coraz głębiej i głębiej. On, Ron i Hermiona wycofali się w dół ulicy i niepewnie przesunęli wzdłuż ścian, starając się przy tym nie wydać żadnego dźwięku. Nagle zza rogu w absolutnej ciszy wyłonili się dementorzy, dziesięciu, może więcej, widoczni tylko dlatego, że zrobieni z jakby mniej przenikalnej ciemności, ze swoimi czarnymi płaszczami i pokrytymi liszajami dłońmi. Czy mogli wyczuć w pobliżu strach? Harry był tego pewien: zaczęli poruszać się szybciej, słyszał ich znienawidzone, świszczące oddechy, smakujące rozpacz w powietrzu, coraz bliżej...

Harry uniósł różdżkę - nie mógłby, nie zniósłby pocałunku dementora, cokolwiek miałoby się zdarzyć potem. To o Ronie i Hermionie myślał, gdy szepnął *"Expecto patronum"*.

Srebrny jeleń wyskoczył z końca jego różdżki i zaatakował, dementorzy rozproszyli się, w tej samej chwili gdzieś poza ich polem widzenia rozległ się triumfalny okrzyk:

- To on, tam, na dole, widziałem jego patronusa, to był jeleń!

Dementorzy gdzieś zniknęli, na niebie znowu pojawiły się gwiazdy, a kroki śmierciożerców stawały się coraz głośniejsze. Zanim jednak spanikowany Harry zdążył zdecydować, co robić, rozległ się przeraźliwy zgrzyt odsuwanego rygla, po lewej stronie wąskiej uliczki otworzyły się drzwi i usłyszeli szorstki głos:

- Potter, tutaj, szybko!

Posłuchał bez wahania i wszyscy troje błyskawicznie przemknęli przez otwarte wejście.

- Na górę, pod peleryną, i cicho! - szepnął rozkazująco wysoki mężczyzna, mijając ich i zatrzaskując za sobą drzwi.

Harry nie miał bladego pojęcia, gdzie są, dopóki w chybotliwym świetle jedynej świecy nie rozpoznał wnętrza niechlujnego, pełnego kurzu i porozrzucanych sprzętów Świńskiego Łba. Minęli szynkwas i przebiegli przez drugie drzwi, wiodące ku rozpadającym się drewnianym schodom. Weszli na górę najszybciej jak się dało, trafiając prosto do salonu z podłogą przykrytą małym, wyświechtanym dywanem. Dostrzegli mały kominek, nad którym wisiał duży portret jasnowłosej dziewczyny o słodkim, ale pustym spojrzeniu.

Z ulicy dobiegły ich krzyki. Wciąż ukryci pod peleryną - niewidką, przysunęli się do brudnego okna i spojrzeli w dół. Ich wybawca, w którym Harry rozpoznał teraz barmana Świńskiego Łba, był jedyną niezakapturzoną postacią.

- No i co? - wrzeszczał właśnie prosto w twarz jednemu ze śmierciożerców. - Co? Wy wpuszczacie dementory na moją ulicę, ja wypuszczam na nie patronusa! Nie chcę ich tu, mówiłem, że nie chcę!

- To nie był twój patronus! - kłócił się tamten. - To był jeleń, jeleń Pottera!

- Jeleń! - ryknął barman, wyciągając różdżkę. - Jeleń! Ty idioto! *Expecto patronum!*

Coś wielkiego i rogatego wystrzeliło z jej końca i poszarżowało w dół ulicy, znikając im z oczu.

- Nie to widziałem - oświadczył niepewnie śmierciożerca.

- Zlekceważono zakaz przebywania na ulicach, słyszałeś alarm. Ktoś złamał zasady...

- Jak chcę wypuścić kota na dwór, to wypuszczę, i niech szlag trafi wasze capstrzyki!

- Ty uruchomiłeś Zaklęcie Miaukotu?

- A jeśli tak, to co? Wyślesz mnie do Azkabanu? Zabijesz za wytknięcie nosa poza próg domu? Proszę bardzo, rób, co chcesz! Ale wiecie co, tak sobie myślę, że dla własnego dobra nie powinniście przez te wasze Mroczne Znaczki wzywać *jego. On* nie będzie zachwycony, jeśli przybędzie tu tylko dla mnie i mojego starego kota, nie?

- O nas się nie martw, martw się o siebie, złamałeś prawo!

- A skąd weźmiecie swoje eliksiry i trucizny, jak mój pub zostanie zamknięty, hę? Co będzie z waszym bocznym zaopatrzeniem?

- Grozisz...?

- Będę siedział cicho, po to przyszliście, nie?

- Mówię wam, widziałem patronusa - jelenia! - krzyknął pierwszy ze śmierciożerców.

- Jelenia?! - ryknął barman. - To koza, głupku!

- W porządku, nasz błąd - powiedział drugi. - Wyleź na ulicę jeszcze raz, kiedy ci nie wolno, to nie będziemy tacy mili.

Wreszcie odeszli. Hermiona odetchnęła z ulgą, wyplątała się z peleryny i usiadła na chybotliwym krześle. Harry zaciągnął zasłony, po czym ściągnął płaszcz z siebie i Rona,. Słyszeli jak barman rygluje drzwi na dole i wspina się po schodach.

Uwagę Harry'ego przyciągnęło coś na półce nad kominkiem - oparte o nią małe, kwadratowe lusterko, lśniące tuż pod portretem dziewczyny.

Barman wszedł do pokoju.

- Wy kretyni - odezwał się opryskliwie, spoglądając na nich kolejno. - Coście sobie myśleli, przychodząc tutaj?

- Nie wiem, jak panu dziękować - rzekł Harry. - Uratował nam pan życie - dodał, podchodząc bliżej i przyglądając się.

Mężczyzna chrząknął. Trudno było dostrzec, co kryło się pod długimi, splątanymi szarymi włosami i brodą, ale jego oczy za brudnymi szkłami okularów były przenikliwie niebieskie.

- To pana oko widziałem w lustrze.

Zapadła cisza.

- Pan wysłał Zgredka.

Kiwnięcie głową, spojrzenie dokoła.

- Myślałem, że będzie z wami. Gdzie go zostawiliście?

- Nie żyje - wyznał Harry. - Zabiła go Bellatriks Lestrange.

Twarz jego rozmówcy pozostała niewzruszona. Odezwał się dopiero po chwili:

- Przykro mi to słyszeć. Lubiłem tego skrzata.

Odwrócił się i machnięciami różdżki zaczął zapalać lampy. Nie patrzył na żadne z nich.

- Pan jest Aberforth - oświadczył Harry plecom mężczyzny.

Tamten ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, pochylał się właśnie, by rozpalić w kominku.

- Jak to do pana trafiło? - podszedł bliżej do lustra, bliźniaka tego, które stłukł blisko dwa lata wcześniej.

- Od Dunga, jakiś rok temu - odpowiedział Aberforth. - Albus mi powiedział, co to. Miałem na was oko.

Ron złapał oddech.

- Srebrna łania! - rozentuzjazmował się. - To też pan?

- O czym mowa?

- Ktoś wysłał nam patronusa! Srebrną łanię!

- Z takim móżdżkiem to byś się nadał na śmierciożercą, chłopie. Nie widziałeś, że mój patronus to koza?

- Och. Tak... No, jestem głodny! - zawołał obronnie Ron, podczas gdy jego brzuch zaburczał donośnie.

- Mam jedzenie - uspokoił go Aberforth i wyszedł z pokoju, by wrócić po chwili z ogromnym bochenkiem chleba, serem i cynowym dzbanem pełnym pitnego miodu. Wszystko to postawił na stoliku przed kominkiem. Wygłodniali, jedli z wilczym apetytem i przez chwilę ciszę przerywał jedynie trzask ognia, brzęk naczyń oraz odgłosy żucia.

- Dobra - zaczął Aberforth, gdy najedli się do syta, a Harry i Ron rozsiedli się na swoich krzesłach. - Musimy wykombinować jakiś sposób na wyciągnięcie was stąd. Nie nocą, słyszeliście, co się dzieje, jak ktoś wylezie na ulicę w ciemności. Obłożyli wszystko Zaklęciem Miaukotu, będą za wami gonić jak nieśmiałki za bahantczymi jajami. Drugi raz nie przejdzie numer z przepchnięciem kozy jako jelenia. Poczekacie do świtu, aż zaklęcie przestanie działać, peleryna na grzbiet i bierzecie nogi za pas. Będziecie musieli wydostać się z Hogsmeade, idźcie w góry, stamtąd można się bezpiecznie deportować. Może spotkacie Hagrida, ukrywa się z Graupem w jakiejś jaskini, odkąd usiłowali go aresztować.

- Nigdzie się nie wybieramy - udało się wtrącić Harry'emu. - Musimy się dostać do Hogwartu.

- Nie bądź głupi, chłopcze!

- Musimy.

- Musicie to się znaleźć jak najdalej stąd!

- Nie rozumie pan. Musimy dostać się do zamku, nie zostało wiele czasu. Dumbledore, to znaczy pański brat, chciał, żebyśmy...

Blask ognia odbił się w brudnych szkłach okularów Aberfortha, które, płaskie i białe, przywiodły Harry'emu na myśl niewidzące oczy wielkiego pająka Aragoga.

- Mój brat Albus chciał wielu rzeczy - wycedził barman. - I dziwnie często ludziom działa się krzywda, gdy on wprowadzał w życie swoje wielkie plany. Uciekaj od tej szkoły, Potter, uciekaj z kraju, jeśli możesz. Zapomnij o moim bracie i jego intrygach. On odszedł tam, gdzie nie można go dosięgnąć, nic mu już nie jesteś winien.

- Nie rozumie pan - powtórzył Harry.

- Och, nie? - spytał cicho Aberforth. - Myślisz, że nie rozumiem własnego brata? Myślisz, że znałeś go lepiej niż ja?

- Nie to miałem na myśli... - Od zmęczenia i nadmiaru jedzenia oraz wina mózg miał jak wypełniony watą. - Zostawił mi do wykonania zadanie.

- Och, tak? Miłe zadanie, mam nadzieję? Przyjemne? Łatwe? Z rodzaju tych, którym niedokształcony czarodziejski młokos podoła bez wypruwania sobie żył?

Ron zaśmiał się ponuro, Hermiona wyglądała na spiętą.

- Nie jest łatwe - zająknął się Harry. - Ale muszę...

- Musisz? Dlaczego musisz? Umarł, nie? Zostaw to, chłopcze, zanim pójdziesz w jego ślady! Ratuj się!

- Nie mogę.

- Dlaczego nie?

- Ja... - Harry poczuł, że to go przerasta. Nie mógł wytłumaczyć, więc postanowił zaatakować. - Ale pan też walczy, jest pan w Zakonie Feniksa...

- Byłem - sprostował Aberforth. - Zakon Feniksa to przeszłość. Sam - Wiesz - Kto zwyciężył, to koniec, a każdy, kto twierdzi inaczej, sam siebie oszukuje. Nigdy nie będziesz tu bezpieczny, Potter, on za bardzo pragnie twojej krwi. Wyjedź i ukryj się gdzieś za granicą. Ratuj się. Najlepiej zabierz ze sobą tę dwójkę - wskazał palcem Rona i Hermionę. - Jak długo żyją, tak długo będą w niebezpieczeństwie, wszyscy wiedzą, że cokolwiek knułeś, co to z nimi.

- Nie mogę odejść, mam zadanie...

- Przekaż je komuś!

- Nie mogę, to mnie Dumbledore wszystko wyjaśnił...

- Och, wszystko? Wszystko? Wyjaśnił ci wszystko, otwarcie i szczerze?

Harry z całego serca pragnął potwierdzić, ale to proste słowo jakoś nie mogło przejść mu przez gardło. Aberforth jakby czytał w jego myślach.

- Znałem mojego brata, Potter. Z mlekiem matki wyssał tajemniczość. Sekrety i kłamstwa, wśród tego dorastaliśmy, a Albus... Cóż, miał wrodzone zdolności.

Oczy starca powędrowały ku portretowi dziewczyny nad kominkiem. Był to, jak stwierdził Harry, przyjrzawszy się uważniej, jedyny obraz wiszący w tym pokoju. Nie było ani zdjęć Albusa Dumbledore'a, ani żadnych innych.

- Panie Dumbledore - odezwała się nieśmiało Hermiona. - Czy to jest pańska siostra? Ariana?

- Tak - odparł krótko. - Czytałaś Ritę Skeeter, co, panienko?

Nawet w pomarańczowym poblasku ognia widać było, że dziewczyna się zaczerwieniła.

- Elfias Doge nam o niej wspominał - spróbował obronić przyjaciółkę Harry.

- Ten stary głupiec - wymamrotał Aberforth, pociągając duży łyk miodu. - Tak, ten to nie widział Albusa, tylko blask wcielony! Ale w sumie podobnie patrzyło wielu ludzi, łącznie z waszą trójką, co?

Harry zmilczał. Nie chciał demonstrować, z jaką ilością wątpliwości i niedomówień łączących się z postacią Dumbledore'a zmagał się od miesięcy. Dokonał swojego wyboru, kopiąc grób Zgredka - pójdzie niebezpieczną drogą, jaką wyznaczył mu dyrektor, pogodziwszy się z tym, że nie powiedziano mu wszystkiego; postanowił zaufać. Miał dość wątpliwości i nie chciał słuchać niczego, co mogłoby choć na krok odwieść go od powziętych postanowień. Napotkał spojrzenie Aberfortha, tak podobne do spojrzenia Albusa, te same błękitne oczy przeszywające go na wylot. To było tak, jakby starzec znał jego myśli i gardził nim z ich właśnie powodu.

- Profesor Dumbledore troszczył się o Harry'ego - powiedziała cicho Hermiona.

- Troszczył się, tak? Ciekawe jak wielu ludzi, o których troszczył się mój brat, skończyło dużo gorzej niż w wypadku, gdyby się nimi nie zajmował!

- O czym pan mówi? - spytała dziewczyna niepewnie.

- Nieważne.

- To jest poważne oskarżenie! Czy - zawahała się - czy mówi pan o swojej siostrze?

Aberforth przez chwilę poruszał ustami, jakby chciał zatrzymać cisnące się na nie słowa. Potem wybuchnął:

- Moja siostra miała sześć lat, gdy zaatakowało ją trzech mugolskich dzieciaków. Podglądali ją przez żywopłot, gdy czarowała, była dzieckiem, nie kontrolowała swojej magii, w tym wieku żaden czarodziej nie potrafi. Przestraszyło ich to, co zobaczyli, tak myślę, przedarli się przez żywopłot, a kiedy nie mogła pokazać im sztuczki, dali się ponieść... próbom... powstrzymania tego, co robiła mała wariatka.

Blask ognia oświetlił rozszerzone oczy Hermiony i pełną obrzydzenia twarz Rona. Aberforth wstał, był wzrostu Albusa, przerażający w gniewie i intensywności bólu.

- To, co zrobili, zniszczyło ją. Nigdy nie doszła do siebie. Nie używała magii, ale nie mogła się jej pozbyć - to wszystko wracało, doprowadziło ją do szaleństwa, czasami niekontrolowanie w niej wybuchało - wtedy stawała się dziwna, niebezpieczna. Ale poza tymi chwilami była słodka, przestraszona i niegroźna.

- Ojciec poszedł za bydlakami, którzy to zrobili i zaatakował ich. Zamknięto go w Azkabanie. Nigdy nie powiedział, dlaczego zrobił to, co zrobił - gdyby wyjaśnił, ministerstwo wiedziałoby, czym stała się Ariana i zamknęłoby ją w Świętym Mungu na dobre. Widzieliby w niej tylko zagrożenie dla Międzynarodowego Układu o Tajności, była przecież taka chwiejna, a magia tryskała z niej, gdy tylko nie mogła być dłużej utrzymana.

- Musieliśmy bardzo o nią dbać, potrzebowała bezpieczeństwa i ciszy. Przeprowadziliśmy się, twierdząc, że to z powodu jej choroby, matka się nią zajmowała, starała się, by Ariana była spokojna i zadowolona.

- Mnie kochała najbardziej - podkreślił i gdy to mówił, mimo zmarszczek i brody wyglądał jak niesforny uczniak. - Nie Albusa, zawsze zamkniętego w swoim pokoju, jeśli już zajrzał do domu, zawsze z nosem w książkach albo liczącego swoje nagrody, nie jego, ze swoją *korespondencją z najbardziej szanowanymi czarodziejami naszych czasów*. - Aberforth uśmiechnął się szyderczo. - Nie chciało mu się zawracać sobie nią głowy. Mnie lubiła. Potrafiłem namówić ją do jedzenia, gdy matce się to nie udało, potrafiłem ją uspokoić, gdy wpadała w furię, a kiedy była spokojna, pomagała mi karmić kozy.

- A potem, gdy miała czternaście lat... Widzicie, nie było mnie wtedy tam. Gdybym był, to bym ją uspokoił. Dostała ataku furii, a moja matka nie była już taka młoda i... To był wypadek. Ariana tego nie kontrolowała. Ale moja matka zginęła.

Harry poczuł mieszaninę żalu i odrazy. Nie chciał usłyszeć niczego więcej, ale Aberforth wciąż mówił i mówił, tak, że nasuwało się pytanie, kiedy ostatnio o tym opowiadał i czy w ogóle.

- To zrujnowało Albusowi plan podróży dookoła świata z małym Doge'em. Razem przybyli na pogrzeb matki, potem Doge wyjechał, a Albus został, jako głowa rodziny. Ha! - splunął w ogień. - Zaopiekuję się nią, powiedziałem mu wtedy. Nie obchodzi mnie szkoła, zostaję, zrobię to. On mi na to, że muszę zakończyć edukację, on przejmie zadanie matki. Cóż za upadek dla Pana Wspaniałego, nie ma żadnych nagród za opiekę nad w połowie szaloną siostrą, za codzienne odwodzenie jej od wysadzenia domu. Radził sobie... przez kilka tygodni, zanim nie przyjechał on. - W oczach Aberfortha błysnęło coś groźnego. - Grindelwald. Wreszcie mój brat znalazł kogoś, z kim mógł rozmawiać jak równy z równym, kogoś podobnie wspaniałego i utalentowanego jak on sam. Opieka nad Arianą zeszła na drugi plan, zbyt byli zajęci obmyślaniem nowego porządku czarodziejskiego świata, szukaniem Darów czy co tam jeszcze robili. Wielkie plany dla polepszenia życia ogółu, a jeśli kosztem jest zaniedbanie jednej małej dziewczynki, cóż z tego, Albus przecież pracuje dla dobra ogółu!

- Mijały tygodnie i nadszedł czas mojego powrotu do Hogwartu. Miałem dość. Powiedziałem im, tak jak teraz mówię wam, stojąc twarzą w twarz. - Aberforth spojrzał na Harry'ego i nie trzeba było wiele wyobraźni, by zobaczyć go takim, jakim był wtedy: rozzłoszczony, ale stanowczy, stawiający czoła starszemu bratu. - Powiedziałem mu, żeby się lepiej od razu poddał. Nie możesz jej stąd zabrać, nie jest w dobrym stanie, nie możesz jej zabrać, dokądkolwiek chcesz jechać, gdziekolwiek wygłaszasz swoje mądre mowy, gdziekolwiek szukasz głosów poparcia. Nie spodobało mu się to. - Jego okulary znowu rozbłysły na biało w świetle ognia. - Grindelwaldowi nie spodobało się jeszcze bardziej. Wściekł się. Powiedział mi, jakim jestem głupim dzieciakiem, skoro staję na drodze jego i mojego wspaniałego brata. Czy nie rozumiem, że moja biedna siostra nie będzie musiała żyć w ukryciu, gdy zmienią świat, wyprowadzą czarodziejów z ukrycia i pokażą mugolom, gdzie ich miejsce?

Wywiązała się kłótnia... Ja wyciągnąłem różdżkę, on wyciągnął różdżkę i nagle byłem pod Cruciatusem, rzuconym przez najlepszego przyjaciela mojego brata. Albus próbował go powstrzymać, pojedynkowaliśmy się, wszyscy troje, błyski światła i huk wyprowadziły ją z równowagi, nie mogła tego znieść... - Wszystkie kolory zniknęły z twarzy Aberfortha, jakby został śmiertelnie zraniony. - Myślę, że chciała pomóc, ale nie do końca wiedziała, co robi, nie wiem, który z nas to zrobił, to mógł być każdy... i ona nie żyła. - Jego głos załamał się na ostatnim słowie, mężczyzna opadł na najbliższe krzesło. Twarz Hermiony była mokra od łez, Ron zaś wydawała się być niemal tak samo blady jak Aberforth. Harry nie czuł nic prócz odrazy, wolałby tego nigdy nie usłyszeć, marzył, by móc oczyścić umysł z tej wiedzy.

- Tak... Tak mi przykro - wyszeptała Hermiona.

- Odeszła - wychrypiał starzec. - Odeszła na zawsze. - Otarł nos rękawem i odchrząknął. - Oczywiście, Grindelwald prysnął. Już miał spaprane papiery we własnym kraju, nie chciał, żeby Ariana też poszła na jego konto. A Albus się uwolnił, nie? Zniknęła kotwica w postaci siostry, miał wolną rękę, mógł został największym czarodziejem...

- Nigdy się nie uwolnił - powiedział nagle Harry.

- Słucham?

- Nigdy. Tej nocy, gdy umarł, pański brat wypił truciznę i odchodził od zmysłów. Zaczął krzyczeć, błagając kogoś, kogo tam nie było. "Nie krzywdź ich... Błagam cię, rań mnie zamiast nich".

Ron i Hermiona gapili się na niego. Nigdy nie opowiedział im ze szczegółami, co właściwie zdarzyło się na wyspie, historia ta została przyćmiona przez wszystko, co stało się już po powrocie do Hogwartu.

- Myślał, że znowu jest z panem i Grindelwaldem, wiem, że tak myślał... - Przypomniał sobie Dumbledore'a błagającego, Dumbledore'a szlochającego jak zranione dziecko. - Wydawało mu się, że widzi Grindelwalda krzywdzącego pana i Arianę, to było dla niego gorsze niż tortury, gdyby go pan wtedy zobaczył, nigdy nie powiedziałby pan, że uwolnił się od czegokolwiek.

Aberforth wydawał się być całkowicie pochłonięty kontemplacją swoich splecionych, żylastych dłoni. Po długim milczeniu powiedział:

- Skąd możesz wiedzieć, Potter, że mojego brata bardziej obchodziło dobro twoje niż ogółu? Skąd wiesz, że nie jesteś zbędny, jak moja siostra?

Ukłucie bólu przeszyło serce Harry'ego.

- Nie wierzę w to. Dumbledore go kochał - oświadczyła stanowczo Hermiona.

- Więc dlaczego nie kazał mu się ukryć, hę? - odgryzł się Aberforth. - Dlaczego nie powiedział mu "Ukryj się, zatroszcz się o siebie, tak możesz przeżyć"?

- Ponieważ - uprzedził przyjaciółkę Harry - czasami trzeba myśleć o czymś więcej niż tylko o własnej wygodzie! Czasami trzeba pomyśleć o dobru ogółu! To jest wojna!

- Masz siedemnaście lat, chłopcze!

- Jestem pełnoletni i będę walczył, nawet jeśli pan się poddał!

- Kto powiedział, że się poddałem?

- Zakon Feniksa to przeszłość - zacytował Harry. - Sam - Wiesz - Kto zwyciężył, to koniec, a każdy, kto twierdzi inaczej, sam siebie oszukuje.

- Nie mówię, że mi się to podoba, tak po prostu jest!

- Nie, wcale tak nie jest. Pana brat wiedział, jak pokonać Sam - Wiesz - Kogo i przekazał mi tę wiedzę. I zamierzam iść naprzód dopóki nie zwyciężę albo zginę. Proszę nie sądzić, że nie wiem, jak to się może skończyć. Wiem, i to od lat.

Myślał, że Aberforth zacznie drwić lub się wykłócać - doczekał się jedynie grymasu niezadowolenia.

- Musimy dostać się do Hogwartu - powtórzył Harry. - Jeśli nie może pan nam pomóc, poczekamy do świtu i zostawimy pana w spokoju, sami poszukamy jakiejś drogi. Ale jeśli może pan pomóc, cóż, to najlepszy moment na jakieś deklaracje.

Aberforth siedział na krześle jak przyklejony, patrząc przed siebie oczami tak bardzo podobnymi do oczu jego brata. W końcu chrząknął, wstał, obszedł dookoła mały stolik i stanął przed portretem Ariany.

- Wiesz, co robić - rzekł.

Uśmiechnęła się i odeszła, ale nie tak, jak zwykle czyniły to postaci namalowane na czarodziejskich obrazach - w bok - ale jakby w głąb. Obserwowali jej drobną postać, aż w końcu pochłonęła ją ciemność.

- Eee... Co...? - zaczął Ron.

- Teraz jest tylko jedna droga do środka - wyjaśnił Aberforth. - Obstawili z obu stron wszystkie tajne przejścia, dementorzy pilnują murów, a wewnątrz zamku krążą regularne patrole. Hogwart nigdy nie był tak dobrze strzeżony. Nie wiem, co właściwie chcecie robić, jak już się tam dostaniecie, ze Snape'em przygotowanym na wasze przybycie i Carrowsami na każde jego skinienie, ale to w końcu wasza sprawa, podobno jesteście gotowi na śmierć.

- Ale co... - Hermiona zmarszczyła brwi, wpatrując się w pusty portret Ariany.

Mała, biała kropka pojawiła się na samym końcu namalowanego tunelu i po chwili dostrzegli wracającą do nich dziewczynę. U jej boku maszerował ktoś jeszcze - wyższy, utykający i z zaciekawieniem rozglądający się wokół. Miał włosy dłuższe niż te, które zapamiętał Harry, na jego twarzy widniało sporo cięć, a ubranie miał podarte. Dwie postaci stawały się coraz większe i większe, aż w końcu widać było tylko ich głowy i ramiona. Potem coś otworzyło się na podobieństwo drzwi, a oczom obserwatorów ukazało się wejście do prawdziwego tunelu. Z niego zaś wyszedł Neville Longbottom z przydługimi

włosami, z pociętą twarzą i w podartych szatach. Ryknął z radości, odsunął na bok ramy portretu i wrzasnął:

- Wiedziałem, że przyjdziecie! Harry, wiedziałem!

Rozdział 29
Zaginiony diadem

Tłumaczenie: Upupa

- Neville, co do... Jak?

Ale chłopak zauważył już Rona i Hermionę, witał się z nimi, wznosząc radosne okrzyki. Po bliższym przyjrzeniu się, Harry stwierdził, że Neville wygląda nawet gorzej, niż mu się w pierwszej chwili wydawało. Jedno oko Longbottoma było żółto - fioletowe i spuchnięte, na twarzy miał ślady cięć, a ogólne zaniedbanie sugerowało, że swoje przeszedł. Mimo to, jego poharatane oblicze świeciło własnym światłem. Wypuścił z objęć Hermionę i powtórzył:

- Wiedziałem, że przyjdziesz! Powtarzałem Seamusowi, że to tylko kwestia czasu!

- Neville, co się z tobą stało?

- Co? To? - zbagatelizował chłopak. - To nic, Seamus wygląda gorzej, zobaczysz. To jak, idziemy? Aha, Ab, możliwe, że jeszcze parę osób jest w drodze.

- Parę osób? - powtórzył barman złowieszczym tonem. - Longbottom, co to znaczy "parę osób"? Jest godzina policyjna, całą wioskę obłożyli zaklęciem Miaukotu!

- Wiem, dlatego aportują się bezpośrednio do baru. Po prostu skieruj ich do nas, kiedy się pojawią, dobrze? Dzięki.

Longbottom podał Hermionie rękę i pomógł jej wspiąć się na kominek, a potem wejść do tunelu. Dalej szedł Ron, za nim Neville. Harry zwrócił się do Aberfortha:

- Nie wiem, jak panu dziękować. Dwa razy uratował pan nam życie.

- To teraz o nie dbajcie - burknął ze zniecierpliwieniem barman. - Bo za trzecim razem może mi się nie udać.

Harry przeszedł przez dziurę za portretem Ariany. Po drugiej stronie znajdowały się gładkie, kamienne stopnie i tunel, wyglądajacy na dość stary. Na ścianach wisiały brązowe lampy, a ziemia pod stopami była udeptana i równa. Kiedy szli, ich cienie przesuwały się po ścianach.

- Od kiedy to przejście tutaj jest? - zapytał Ron, kiedy wyruszyli. - Nie ma go na Mapie Huncwotów, prawda, Harry? Sądziłem, że do szkoły prowadzi tylko siedem.

- Zablokowali wszystkie jeszcze przed początkiem roku - odpowiedział Neville. - Nie ma szans, żeby się teraz tamtędy przemknąć. Wejścia są obłożone klątwami, a przy wyjściach czekają śmierciożercy i dementorzy. - Zaczął iść tyłem, szczerząc się i wbijając w kolegów rozradowany wzrok. - Ale to nieważne... To prawda? Włamaliście się do Gringotta? Uciekliście na smoku? To jest wszędzie powtarzane, wszyscy o tym mówią. Terry Boot zebrał nawet cięgi od Carrowa za wykrzyczenie wieści w Wielkiej Sali podczas kolacji.

- Prawda - potwierdził Harry.

Neville roześmiał się szczerze.

- Co zrobiliście ze smokiem?

- Wypuściliśmy na wolność. Hermiona nalegała, żebyśmy go zatrzymali.

- Nie wyolbrzymiaj, Ron...

- Ale co robiliście przez cały ten czas? Ludzie mówią, że po prostu się ukrywaliście, ale ja w to nie wierzę. Sądzę, że macie swój cel.

- Masz rację - odparł Harry. - Ale opowiedz nam o Hogwarcie. Nie mieliśmy żadnych wieści.

- Jest... Cóż, tak naprawdę nie przypomina już Hogwartu - zaczął Neville, a jego uśmiech bladł coraz bardziej. - Słyszeliście o Carrowach?

- Tych dwoje śmierciożerców, którzy tu uczą?

- Robią coś więcej, niż tylko nauczanie. Są odpowiedzialni za dyscyplinę. Lubią karać.

- Jak Umbridge?

- Coś ty, ona przy nich to miś spolegliwy. Inni nauczyciele mają obowiązek meldować Carrowom, jeśli zrobimy coś niedozwolonego. Oczywiście milczą, jeśli tylko mogą. Widać, że nienawidzą ich tak samo jak my. Amycus uczy tego, co kiedyś było obroną przed czarną magią. Z tym, że to teraz jest po prostu czarna magia. Mamy ćwiczyć zaklęcie Cruciatus na tych, którzy mają szlaban.

- Co?!

Głosy Harry'ego, Rona i Hermiony odbiły się echem po korytarzu.

- Taaa... Tak się tego dorobiłem. - Neville wskazał palcem na wyjątkowo głęboką szramę na policzku. - Odmówiłem. Ale niektórym się podoba. Crabbe i Goyle normalnie to kochają. Jak przypuszczam, pierwszy raz w życiu są w czymś najlepsi. Alecto, siostra Amycusa, uczy mugoloznawstwa, które jest teraz obowiązkowe. Wszyscy musimy słuchać jej wywodów o tym, że mugole są jak zwierzęta, głupi i brudni, jak to zmusili czarodziejów do ukrywania się, bo byli dla nich podli i jak to teraz przywraca się naturalny stan rzeczy. To pamiątka po tym - wskazał inne rozcięcie na swojej twarzy - jak zapytałem ją, ile mugolskiej krwi mają w sobie ona i jej brat.

- Kurczę, Neville - wtrącił Ron. - Trzeba wiedzieć, kiedy trzymać język za zębami.

- Nie widziałeś jej. Też byś nie zdzierżył. Chodzi o to, że jak się im stawiasz, to to pomaga ludziom, daje nadzieję. Zauważyłem to, kiedy ty tak robiłeś, Harry.

- Ale ty służyłeś im za osełkę do noży! - zawołał Ron, po czym wstrzymał na chwilę oddech. Akurat przechodzili obok lampy i obrażenia Neville'a były jeszcze bardziej widoczne.

Chłopak wzruszył ramionami.

- To nieistotne. Nie chcą przelewać zbyt wiele czystej krwi, więc potorturują nas trochę, jeśli pyskujemy, ale przecież nas nie pozabijają.

Harry nie wiedział, co było gorsze - słowa Neville'a czy obojętny ton jego głosu.

- W prawdziwym niebezpieczeństwie są tylko ci, których przyjaciele i krewni sprawiają kłopoty na zewnątrz. Bierze się ich na zakładników. Stary Kseno Lovegood był w "Żonglerze" trochę zbyt bezpośredni, więc wywlekli Lunę z pociągu, kiedy jechała do domu na Boże Narodzenie.

- Wszystko u niej w porządku, widzieliśmy się z nią...

- Tak, wiem. Udało jej się przesłać mi wiadomość.

Neville wyciągnął z kieszeni złotą monetę. Harry rozpoznał w niej jeden z fałszywych galeonów, których używała Gwardia Dumbledore'a.

- Są rewelacyjne - pochwalił Neville, szczerząc się do Hermiony. - Carrowowie nigdy nie wpadli na to, jak się kontaktujemy i doprowadzało ich to do szału.

Wymykaliśmy się nocą i pisaliśmy na ścianach: "Gwardia Dumbledore'a wciąż żywa", takie rzeczy. Snape tego nie znosił.

- Wymykaliście się? - powtórzył Harry, zwróciwszy uwagę, że Neville mówi w czasie przeszłym.

- Cóż, z czasem to się robiło coraz trudniejsze. W Boże Narodzenie straciliśmy Lunę, Ginny nie wróciła po Wielkanocy, a byliśmy we trójkę czymś w rodzaju przywódców. Carrowowie chyba wiedzieli, że to ja stałem za wieloma sprawami, więc ostro się na mnie uwzięli. A potem Michael Corner dał się złapać na uwalnianiu z łańcuchów pierwszorocznia ka. Dość mocno go wtedy poharatali. To odstraszyło innych.

- Nie? Serio? - wymamrotał Ron, gdy tunel zaczął iść lekko w górę.

- Cóż, nie mogłem prosić ludzi, żeby narażali się na to, co spotkało Michaela, więc darowaliśmy sobie takie akrobacje. Ale nadal walczyliśmy, organizowaliśmy podziemie... Przerwaliśmy dopiero parę tygodni temu. Wtedy, jak sądzę, stwierdzili, że jest tylko jeden sposób, żeby mnie powstrzymać. Przyszli po babcię.

- Co zrobili? - zawołali jednocześnie Harry, Ron i Hermiona.

- Taaak - mruknął Neville, dysząc lekko, bo ścieżka robiła się dość stroma. - Spróbujcie pomyśleć jak oni. Porywanie dzieci, żeby zmusić ich krewnych do posłuszeństwa, świetnie zdawało egzamin. Sądzę, że było kwestią czasu, aby zaczęli też robić na odwrót. Chodzi o to - odwrócił się do nich i Harry ze zdumieniem zobaczył na jego twarzy szeroki uśmiech - że z babcią to trochę trafiła kosa na kamień. Drobna, stara czarownica, mieszka sama, prawdopodobnie stwierdzili, że nie ma sensu posyłać po nią kogoś specjalnie potężnego. W każdym razie - zaśmiał się - Dawlish nadal jest w św. Mungu, a babcia się ukrywa. Przysłała mi list! - Poklepał kieszonkę na piersi. - Napisała, że jest ze mnie dumna, że jestem dzieckiem swoich rodziców i mam trzymać tak dalej.

- Fajnie - mruknął Ron.

- Tak - powiedział radośnie Neville. - Ale jak się połapali, że nie mają już na mnie haka, to stwierdzili, że Hogwart jakoś wytrzyma beze mnie. Nie wiem, czy chcieli mnie zabić, czy wysłać do Azkabanu - tak czy siak, trzeba było zniknąć.

- Ale... - Ron wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. - Czy my nie idziemy prosto w stronę Hogwartu?

Za zakrętem był już koniec trasy. Kilka kolejnych schodków prowadziło do drzwi bardzo podobnych do tych za portretem Ariany. Neville wszedł na górę i otworzył je. Idąc za nim, Harry słyszał, jak wywołuje niewidocznych ludzi.

- Patrzcie, kto tu jest! A nie mówiłem?

Gdy Harry wyszedł z tajnego korytarza, dało się słyszeć wrzaski i okrzyki:

- HARRY!

- To Potter, to POTTER!

- Ron!

- Hermiona!

Przed oczami zawirowały mu kolorowe gobeliny, lampy i mnóstwo twarzy. Po chwili on, Ron i Hermiona byli już otoczeni i ściskani przez ponad dwadzieścia osób. Klepano ich po plecach, wichrzono włosy, ściskano ręce. Zupełnie jakby właśnie wygrali Puchar Quidditcha.

- Dobra, dobra, uspokoić się! - zawołał Neville. Kiedy tłum się odsunął, Harry zdołał się rozejrzeć po otoczeniu.

Nie rozpoznawał tego pomieszczenia. Było ogromne i przypominało raczej wnętrze luksusowego domku na drzewie albo kabinę gigantycznego statku. Różnokolorowe hamaki zwieszały się z sufitu i z galeryjki biegnącej dookoła ścian wyłożonych ciemnym drewnem i pozbawionych okien. Wszędzie wisiały jaskrawe gobeliny. Harry dostrzegł złotego lwa Gryffindoru na purpurowym tle, czarny borsuk Hufflepuffu spoczywał na żółtym, a brązowy orzeł Ravenclawu na błękicie. Brakowało tylko srebra i zieleni Slytherinu. Tu i ówdzie stały półki z książkami, o ściany było opartych kilka mioteł, a w rogu znajdowało się wielkie, drewniane radio.

- Gdzie jesteśmy?

- Oczywiście w pokoju życzeń! - odparł Neville. - Przeszedł samego siebie, nie? Carrowowie mnie gonili i wiedziałem, że mam tylko jedną możliwość ukrycia się. Udało mi się przejść przez drzwi i oto, co zastałem! No, nie wyglądał wtedy dokładnie tak jak

teraz, był dużo mniejszy, wisiał tu tylko jeden hamak i gryfońskie ozdoby. Rozszerzył się, kiedy przybyli następni z GD.

- I Carrowowie nie mogą tu wejść? - zapytał Harry, szukając wzrokiem drzwi.

- Nie - odezwał się Seamus Finnigan, którego Harry rozpoznał dopiero po głosie. Jego twarz była poraniona, a oczy podpuchnięte. - To świetna kryjówka, nie mogą tu wejść, dopóki ktoś z nas tu jest, drzwi się nie otworzą. Wszystko dzięki Neville'owi. Genialnie mu wyszło z tym pokojem. Musisz tylko poprosić dokładnie o to, czego potrzebujesz. Na przykład: "Nie chcę, żeby jakikolwiek zwolennik Carrowów mógł tu wejść" i dokładnie to dostajesz! Musisz tylko uważać na haczyki. Neville wymiata!

- To naprawdę banalne - stwierdził skromnie Longbottom. - Byłem tu jakieś półtora dnia, strasznie zgłodniałem i chciałem czegoś do jedzenia. Wtedy otworzyło się przejście do Świńskiego Łba. Poszedłem tam i spotkałem Aberfortha. Zaopatruje nas w jedzenie, z jakiegoś powodu to jedyna rzecz, której ten pokój nie robi.

- No cóż, jedzenie to jeden z pięciu Podstawowych Wyjątków od Praw Gampa o Elementarnej Transmutacji - oznajmił Ron ku ogólnemu zdumieniu.

- Więc ukrywamy się tu już jakieś dwa tygodnie - powiedział Seamus. - Za każdym razem, kiedy potrzebujemy miejsca, pojawia się więcej hamaków. Wyrosła nam nawet całkiem niezła łazienka, kiedy zaczęły dochodzić dziewczyny...

- ...i stwierdziły, że przydałaby się kąpiel - dodała Lavender Brown, której Harry do tej pory nie zauważył. Gdy rozejrzał się uważniej, rozpoznał wiele znajomych twarzy. Bliźniaczki Patil, Terry Boot, Ernie Macmillan, Anthony Goldstein i Michael Corner.

- Powiedz nam, co zamierzasz - zażądał Ernie. - Krąży mnóstwo plotek, próbowaliśmy śledzić Potterwachtę - wskazał na radio. - Włamaliście się do Gringotta?

- Tak! - zawołał Neville. - I ten smok to też prawda!

Rozległy się słabe oklaski i parę radosnych okrzyków. Ron się ukłonił.

- Czego szukaliście? - dopytywał się Seamus.

Zanim ktokolwiek z nich zdążył odwrócić uwagę wszystkich własnym pytaniem, Harry poczuł ostry, piekący ból w bliźnie. Gdy gwałtownie odwrócił się plecami od zaciekawionych i uradowanych twarzy, Pokój Życzeń zniknął, a on sam stał na środku zrujnowanej, kamiennej chaty. Zgniłe deski podłogi poniewierały się luzem pod jego stopami, złote pudełko leżało puste obok dziury, a wściekły wrzask Voldemorta wibrował mu w głowie.

Z niewyobrażalnym wysiłkiem zdołał wyrwać się z umysłu Czarnego Pana i oto znów znajdował się tam, gdzie poprzednio - w Pokoju Życzeń, z twarzą ociekającą potem i podtrzymywany przez Rona.

- Wszystko w porządku, Harry? - pytał Neville. - Może usiądź? Jesteś zmęczony, prawda?

- Nie - odparł chłopiec. Patrzył na Rona i Hermionę, próbując im przekazać bez słów, że Voldemort właśnie odkrył stratę jednego z pozostałych horkruksów. Czas biegł szybko - jeśli Czarny Pan postanowi teraz odwiedzić Hogwart, stracą swoją szansę.

- Musimy iść - powiedział, a wyraz twarzy pozostałej dwójki wskazywał na to, że zrozumieli.

- Więc co zamierzamy zrobić, Harry? - spytał Seamus. - Jaki jest plan?

- Plan? - powtórzył Harry. Wysilał całą swoją wolę, by nie poddać się znowu wściekłości Voldemorta, blizna nadal go paliła. - Cóż, jest coś, co my - Ron, Hermiona i ja - musimy zrobić, a potem się stąd wydostaniemy.

Nikt już się nie śmiał ani nie wznosił okrzyków radości. Neville wyglądał na zdezorientowanego.

- Co rozumiesz przez "wydostaniemy się stąd"?

- Nie wróciliśmy, żeby tu zostać - wyjaśnił Harry, pocierając bliznę i próbując uśmierzyć ból. - Musimy zrobić coś ważnego.

- Co?

- Ja... Nie mogę wam powiedzieć.

Rozległy się szepty. Neville zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie? To ma coś wspólnego z walką z Sam - Wiesz - Kim, tak?

- No, tak...

- No to pomożemy wam.

Pozostali członkowie Gwardii Dumbledore'a kiwali potakująco głowami - jedni z entuzjazmem, inni uroczyście. Kilku podniosło się z krzeseł, by zademonstrować chęć do natychmiastowego działania.

- Nie rozumiecie - zdawało się, że w ciągu ostatnich paru godzin Harry powiedział to wiele razy. - My... nie możemy wam powiedzieć. Musimy to zrobić sami.

- Dlaczego? - zapytał Neville.

- Bo... - Harry desperacko pragnął szukać brakującego horkruksa, albo chociaż pogadać na osobności z Ronem i Hermioną o tym, gdzie można by rozpocząć. Trudno mu było zebrać myśli. Blizna nadal piekła. - Dumbledore zostawił nam zadanie - powiedział ostrożnie - i nie wolno nam powiedzieć... Chodzi o to, że chciał, żebyśmy my to zrobili. Tylko nasza trójka.

- Jesteśmy jego Gwardią - odparł Neville. - Gwardią Dumbledore'a. Wszyscy razem byliśmy w to zamieszani, kontynuowaliśmy to, kiedy wy zajmowaliście się swoimi sprawami...

- Stary, to nie była niedzielna wycieczka - wtrącił Ron.

- Nie twierdzę, że był, po prostu nie widzę powodu, dla którego mielibyście nam nie ufać. Wszyscy tutaj walczyliśmy i wylądowaliśmy w tym pokoju, bo Carrowowie na nas polowali. Wszyscy udowodniliśmy, że jesteśmy lojalni wobec Dumbledore'a. I wobec was.

- Słuchaj - zaczął Harry. Nie miał pojęcia, co powiedzieć dalej, ale okazało się to nieważne. Drzwi od tunelu właśnie się otworzyły.

- Dostaliśmy twoją wiadomość, Neville! O, cześć... Tak właśnie myślałem, że wasza trójka tu będzie.

To byli Luna i Dean. Seamus wydał gromki okrzyk radości i podbiegł uściskać swojego najlepszego przyjaciela.

- Cześć wszystkim! - zawołała radośnie Luna. - Och, jak wspaniale być tu z powrotem!

- Luna? - zapytał zdezorientowany Harry. - Co ty tu robisz? Jak...

- Posłałem po nią - oznajmił Neville, podnosząc do góry fałszywego galeona. - Obiecałem jej i Ginny, że jeśli się zjawicie, dam im znać. Wszyscy sądziliśmy, że wasz powrót będzie oznaczał rewolucję. Że obalimy Snape'a i Carrowów.

- Oczywiście, że oznacza - stwierdziła radośnie Luna. - Prawda, Harry? Wyrzucimy ich z Hogwartu?

- Słuchajcie - zaczął Harry z narastającym uczuciem paniki. - Przykro mi, ale nie po to wróciliśmy. Jest coś, co musimy zrobić, a potem...

- Zamierzacie nas zostawić z całym tym bałaganem? - zaprotestował Michael Corner.

- Nie! - zawołał Ron. - Wszyscy skorzystają na tym, co teraz robimy, przecież chodzi o pozbycie się Sami - Wiecie - Kogo!

- Więc pozwólcie nam pomóc! - warknął Neville. - Chcemy wziąć w tym udział!

Z tyłu znów dał się słyszeć hałas. Harry się obrócił. Ginny właśnie gramoliła się przez dziurę w ścianie, zaraz za nią szli Fred, George i Lee Jordan. Dziewczyna uśmiechała się promiennie do Harry'ego. Już zapomniał, nigdy w pełni nie doceniał tego, jaka była piękna, ale nigdy też nie cieszył się mniej na jej widok.

- Aberforth zaczyna się trochę denerwować - poinformował Fred, podnosząc dłoń w odpowiedzi na parę okrzyków powitania. - Chce iść w kimono, a z jego knajpy zrobił się dworzec.

Harry otworzył szeroko usta. Zaraz za Lee Jordanem pojawiła się Cho Chang, jego dawna dziewczyna. Uśmiechnęła się do niego.

- Dostałam wiadomość - powiedziała, podnosząc swojego fałszywego galeona, po czym usiadła obok Michaela Cornera.

- Więc jaki jest plan? - zapytał George.

- Nie ma żadnego - odparł Harry, nadal zbity z tropu nagłym pojawieniem się tych wszystkich ludzi. Blizna bolała mocno, uniemożliwiając mu ogarnięcie tego wszystkiego.

- Będziemy improwizować, nie? Uwielbiam to - stwierdził Fred.

- Musisz to zatrzymać - powiedział Harry Neville'owi. - Po co ich tu wezwałeś? To wariactwo!

- Walczymy, prawda? - spytał Dean, wyciągając swojego fałszywego galeona. - Dostałem wiadomość, że Harry wrócił i będziemy walczyć! Tylko będę musiał zdobyć różdżkę...

- Nie masz różdżki? - zaczął Seamus.

Nagle Ron odwrócił się do Harry'ego.

- Dlaczego nie mogliby pomóc?

- Co?

- Mogą pomóc. - Ron zniżył głos i ciągnął tak, by nikt oprócz stojącej między nimi Hermiony nie mógł słyszeć. - Nie wiemy gdzie to jest. Musimy go znaleźć szybko. Nie musimy im mówić, że to horkruks.

Harry zwrócił wzrok na przyjaciółkę, która wymamrotała:

- Sądzę, że Ron ma rację. Nawet nie wiemy, czego szukamy, potrzebujemy ich.

A gdy Potter nie wyglądał na przekonanego, dodała:

- Nie musisz robić wszystkiego sam.

Harry myślał szybko, blizna nadal pulsowała, miał wrażenie, że jego głowa ma zamiar się rozpaść. Dumbledore ostrzegał go, by nie mówił o horkruksach nikomu prócz Rona i Hermiony. *Sekrety i kłamstwa, wśród tego rośliśmy, a Albus... Cóż, miał wrodzone zdolności.* Czy nie zmieniał się przypadkiem w Dumbledore'a, trzymającego się kurczowo swoich sekretów i bojącego się komuś zaufać? Z drugiej strony, Dumbledore zaufał Snape'owi i do czego to doprowadziło? Do morderstwa na szczycie najwyższej wieży.

- W porządku - powiedział Harry cicho do pozostałej dwójki.

- Dobrze! - zawołał w stronę pozostałych zgromadzonych w pokoju i wszystkie hałasy ucichły. Fred i George, którzy zabawiali dowcipami stojących najbliżej, umilkli. Wszyscy wyglądali na podekscytowanych i gotowych na wszystko.

- Musimy coś znaleźć. Coś, co pomoże nam obalić Sami - Wiecie - Kogo. To jest tutaj, w Hogwarcie, ale nie wiemy gdzie dokładnie. Możliwe, że należało do Ravenclaw. Czy ktokolwiek słyszał o takim przedmiocie? Czy ktokolwiek przechodził na przykład obok czegoś, co było ozdobione jej orłem?

Patrzył z nadzieją na grupkę Krukonów - na Padmę, Michaela, Terry'ego i Cho, ale odpowiedziała Luna, siedząca na podłokietniku krzesła Ginny.

- Cóż, jest jej zaginiony diadem. Opowiadałam ci o nim, pamiętasz? Zaginiony diadem Ravenclaw. Tatuś próbuje zrobić replikę.

- Tak, ale to *zaginiony* diadem - przypomniał Michael Corner, przewracając oczami. - Jest zaginiony, Luna. I w tym cały problem.

- Kiedy zaginął?

- Wieki temu - odparła Cho, a z Harry'ego jakby zeszło powietrze. - Profesor Flitwick opowiadał nam, że diadem zniknął wraz z samą Ravenclaw. Ludzie go szukali, ale - zwróciła się do pozostałych Krukonów - nikt nigdy nie znalazł nawet śladu, prawda?

Wszyscy pokiwali głowami.

- Przepraszam, ale co to jest diadem? - zapytał Ron.

- To rodzaj korony - odpowiedział Terry Boot. - Ten, który należał do Ravenclaw, miał mieć magiczne właściwości, dodawać noszącemu mądrości.

- Tak jak filtry gnębiwtrysków u taty...

Ale Harry przerwał:

- I nikt z was nigdy nie widział niczego podobnego?

Krukoni pokręcili głowami przecząco. Harry spojrzał na Rona i Hermionę - odbijało się w nich jego własne rozczarowanie. Przedmiot, który zaginął tak dawno temu i to najwyraźniej bez śladu, nie wydawał się dobrym kandydatem na ukrytego w zamku horkruksa. Zanim jednak zdołał sformułować nowe pytanie, odezwała się Cho:

- Jeśli chcesz zobaczyć, jak podobno wyglądał ten diadem, mogłabym cię zabrać do pokoju wspólnego i ci pokazać. Posąg Ravenclaw ma go na głowie.

Blizna Harry'ego znów zapłonęła. Pokój Życzeń zniknął na chwilę, zamiast niego zobaczył pod sobą dryfującą, ciemną ziemię i poczuł węża owiniętego wokół swoich ramion. Voldemort znów leciał, nie było wiadomo gdzie - do podziemnego jeziora czy tu, do zamku. W każdym razie czas się kurczył.

- Jest w drodze - szepnął do Rona i Hermiony. Zerknął na Cho, a potem znowu na przyjaciół. - Słuchajcie, wiem, że to marny ślad, ale pójdę obejrzeć ten posąg,

przynajmniej zobaczę, jak ten diadem wygląda. Zaczekajcie tu na mnie i starajcie się mieć oko na... No, wiecie na co.

Cho podniosła się, ale Ginny powiedziała dość ostro:

- Nie, Luna zaprowadzi Harry'ego. Prawda, Luna?

- Och tak, z chęcią - odparła radośnie zapytana. Cho usiadła z powrotem, wyraźnie rozczarowana.

- Jak się stąd wydostaniemy? - spytał Harry Neville'a.

- Tędy.

Poprowadził ich do małej szafki w rogu. Za jej drzwiczkami znajdowały się strome schody. - Codziennie prowadzą w inne miejsce, żeby ich nie znaleźli. Uważaj, Harry, w nocy zawsze patrolują korytarze.

- Nie ma problemu. Do zobaczenia niebawem.

Weszli szybko na schody. Korytarz okazał się długi, był oświetlony pochodniami i zakręcał w niespodziewanych miejscach. Na końcu dotarli do czegoś, co wyglądało na litą ścianę.

- Wskakuj - powiedział Harry, owijając siebie i Lunę peleryną. Popchnął lekko ścianę.

Rozpłynęła się pod jego dotykiem i wyślizgnęli się na zewnątrz. Gdy zerknął za siebie, zauważył, że przejścia już nie widać. Stali w ciemnym korytarzu. Harry pociągnął Lunę w cień, zaczął grzebać w zawieszonym na szyi woreczku i wyciągnął z niego Mapę Huncwotów. Trzymając ją przed samym nosem, znalazł w końcu symbolizujące ich kropki.

- Jesteśmy na piątym piętrze - wyszeptał, obserwując oddalającego się od nich Filcha. - Chodź, tędy.

Zaczęli się przemykać korytarzem. Harry wiele razy skradał się nocą po zamku, ale nigdy serce nie biło mu tak mocno, nigdy tak wiele nie zależało od tego, czy przejdą bezpiecznie. Szli między plamami światła księżyca na podłodze, mijali zbroje, których hełmy trzeszczały na dźwięk ich miękkich kroków, pokonywali zakręty, za którymi nie wiadomo co mogło się czaić. Gdy tylko światło pozwalało, zerkali na Mapę Huncwotów. Dwa razy zatrzymali się, by bez zwracania na siebie uwagi przepuścić przodem ducha. Harry spodziewał się, że w każdej chwili mogą się natknąć na jakąś przeszkodę. Najbardziej obawiał się Irytka i za każdym krokiem nadstawiał uszu, by usłyszeć pierwsze oznaki zdradzające, że zbliża się poltergeist.

- Tędy - wydyszała Luna, łapiąc Harry'ego za rękaw i ciągnąc go w stronę spiralnych schodów.

Wspinali się, robiąc małe kółka, od których kręciło się w głowie. Harry nigdy wcześniej tu nie był. W końcu dotarli do drzwi, w których nie było klamki ani dziurki od klucza - nic oprócz gładkiej powierzchni starego drewna i brązowej kołatki w kształcie orła.

Luna wyciągnęła bladą dłoń, która wyglądała upiornie, gdy dryfowała w powietrzu, niepołączona z ramieniem. Stuknęła raz, co w ciszy zabrzmiało jak wystrzał z armaty. W końcu dziób orła otworzył się, ale zamiast krzyku ptaka rozległ się miękki, melodyjny głos:

- Co było pierwsze, feniks czy płomień?

- Hmm... Jak myślisz, Harry? - zapytała Luna z namysłem.

- Co? Nie ma hasła?

- Och nie, musisz odpowiedzieć na pytanie.

- A jeśli odpowiesz źle?

- Cóż, musisz poczekać na kogoś, kto odpowie dobrze. W ten sposób się uczysz, widzisz?

- Aha... Problem w tym, że nie bardzo możemy sobie pozwolić na to, żeby na kogokolwiek czekać.

- Rozumiem, co masz na myśli. W takim razie sądzę, że odpowiedź brzmi: koło nie ma początku.

- Dobrze wykoncypowane - odparł głos, a drzwi się otworzyły.

Opuszczony pokój wspólny Ravenclawu był okrągły, najbardziej przestronny ze wszystkich, jakie Harry widział w Hogwarcie. Wdzięczne łukowate okna tkwiły w ścianach

obwieszonych niebiesko - brązowymi jedwabiami. W ciągu dnia Krukoni mieli stąd wspaniały widok na otaczające zamek góry. Sufit miał kształt kopuły i był pomalowany w gwiazdy, które pojawiły się też na dywanie w kolorze północnego nieba. Pomieszczenie było zastawione stołami, krzesłami i regałami na książki, a w niszy naprzeciwko drzwi stał wysoki posąg z białego marmuru.

Harry rozpoznał Rowenę Ravenclaw dzięki popiersiu, które widział w domu Lovegoodów. Posąg stał obok drzwi prowadzących, jak sądził, do dormitoriów na górze. Podszedł wprost do marmurowej kobiety, a ona zdawała się spoglądać na niego z zagadkowym półuśmiechem na pięknej, acz nieco niepokojącej twarzy. Na głowie miała wykutą w marmurze delikatną opaskę, która nie różniła się zbytnio od tej noszonej przez Fleur na ślubie. Na powierzchni diademu były wyryte drobne literki. Harry wyszedł spod peleryny i wspiął się na postument, by je przeczytać.

- *Kto ma olej w głowie, temu dość po słowie.*

- Aleś się pośliznął na tym oleju, spryciarzu - powiedział skrzekliwy głos.

Harry obrócił się, ześlizgnął z postumentu i zeskoczył na podłogę. Stała przed nim kobieta o spadzistych ramionach - Alecto Carrow. Gdy Harry podnosił różdżkę, przycisnęła krótki palec wskazujący do czaszki i węża, wypalonych na swoim ramieniu.

Rozdział 30
Zwolnienie Severusa Snape'a

Tłumaczenie: Ishq

W tej samej chwili, gdy dotknęła Znaku, blizna Harry'ego zapiekła straszliwie, gwiaździsty pokój zniknął mu sprzed oczu, on sam stał na występie skalnym poniżej klifu; morze szalało wokół niego, a jego rozpierało poczucie zbliżającego się triumfu - *Mają chłopaka.*

Głośny huk przywrócił go do rzeczywistości. Zdezorientowany uniósł różdżkę, ale stojąca przed nim czarownica właśnie padała, uderzyła o podłogę z taką siłą, że aż zadzwoniły szyby biblioteczki.

- Jeszcze nigdy nikogo nie ogłuszyłam Drętwotą, no chyba, że na zajęciach GD - powiedziała Luna z łagodnym zaciekawieniem w głosie. - To zaklęcie jest głośniejsze, niż myślałam.

Jak można się było spodziewać, sufit zaczął się lekko trząść, a tupot stóp i echo kroków stawało się coraz głośniejsze. Najwyraźniej Luna pobudziła Krukonów śpiących w dormitoriach powyżej.

- Luna, gdzie ty jesteś? Muszę się schować!

Stopy Luny zmaterializowały się nagle w pobliżu, podszedł do niej i wsunął się pod pelerynę - niewidkę. W tym sam momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wspólnego wpadli Krukoni w piżamach. Na widok nieprzytomnej Alecto rozległy się okrzyki niedowierzania i przestrachu. Zbliżali się do niej powoli, jakby obawiając się, że krwiożercza bestia w każdej chwili może powstać i rzucić się na nich. Wreszcie jeden odważny pierwszoklasista rzucił się do przodu i dotknął stopą bezwładnego ciała.

- Myślę, że nie żyje! - zawołał z entuzjazmem.

- Popatrz - szepnęła Luna wesoło za plecami tłoczących się wokół śmierciożerczyni Krukonów. - Wyglądają na zadowolonych!

- Taaa, super...

Blizna znów go zapiekła więc zamknął oczy, postanowiwszy po raz kolejny zagłębić się w umysł Voldemorta... Poruszał się wzdłuż tunelu, do pierwszej jaskini. Wolał upewnić się, że medalion jest wciąż bezpieczny, skoro już tam jest... To nie potrwa długo...

Nagle rozległo się stukanie do drzwi wejściowych i Krukoni zamarli. Harry dosłyszał łagodny, melodyjny głos dobiegający z drugiej strony drzwi.

- Gdzie trafiają znikające przedmioty?

- A skąd mam to niby wiedzieć? Zamknij się! - warknął grubiański głos i Harry rozpoznał drugie z rodzeństwa Carrow, Amycusa. - Alecto? *Alecto?* Jesteś tam? Masz go? Otwórz drzwi!

Przerażeni Krukoni szeptali między sobą gorączkowo. Wtem bez ostrzeżenia rozpoczęła się kanonada, jakby ktoś usiłował wyważyć drzwi przy pomocy armaty.

- *ALECTO!* Jeśli on przybędzie, a my nie będziemy mieć Pottera... Chcesz oberwać jak Malfoyowie? ODEZWIJ SIĘ! - wrzeszczał Amycus, szarpiąc drzwi z całych sił, ale te pozostały niewzruszone. Krukoni zgodnie cofali się, a niektórzy, co bardziej przestraszeni, wdrapywali się na schody prowadzące do dormitoriów. Wreszcie - w chwili gdy Harry zastanawiał się, czy nie powinien czasem otworzyć drzwi i oszołomić Amycusa, zanim śmierciożerca zdążyłby zareagować - rozległ się drugi, dobrze znany głos.

- Mogę zapytać, co pan tu wyprawia, profesorze Carrow?

- Usiłuję... Pokonać te pieprzone... drzwi! - warknął zdyszany Amycus. - Idź po Flitwicka! Niech je otworzy!

- Czy mi się wydaje, czy pańska siostra jest już wewnątrz? - zapytała słodko Profesor McGonagall. - Wszak profesor Flitwick wpuścił ją tam dziś wieczór, na pańskie wyraźne żądanie? Może ona mogłaby panu otworzyć? Wtedy nie musiałby pan budzić całego zamku.

- Ona nie odpowiada, ty stara miotło! Ty mi otworzysz! Ruszaj się! No już!

- Ależ oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy... - zgodziła się profesor McGonagall lodowato. Rozległo się delikatne pukanie i melodyjny głos kołatki zapytał ponownie:

- Gdzie trafiają znikające przedmioty?

- W nicość, która jest wszystkim - odparła czarownica.

- Ładnie powiedziane - pochwaliła kołatka i drzwi się otworzyły.

Kilkoro pozostałych w pokoju wspólnym Krukonów uciekło na schody, gdy Amycus wpadł do środka wymachując różdżką. Zgarbiony tak jak jego siostra, miał bladą, ziemistą twarz i małe oczka, które od razu wypatrzyły Alecto rozciągniętą na podłodze.

- Co te szczeniaki najlepszego zrobiły! - wrzasnął, a w jego głosie furia mieszała się z przerażeniem. - Parę Cruciatusów i wyśpiewają, kto to zrobił... Ale co na to Czarny Pan? - jęknął, stojąc nad ciałem siostry i uderzając się pięścią w czoło. - Nie złapaliśmy go, a oni przyszli i ją zabili!

- Jest tylko ogłuszona - przerwała mu profesor McGonagall niecierpliwie, pochylając się, by zbadać Alecto. - Nic jej nie będzie.

- Właśnie, że, kurwa, będzie! Będzie, jak Czarny Pan ją dorwie! Wezwała go, bo poczułem, że Mroczny Znak pali, i on myśli, że mamy Pottera!

- Macie Pottera? - zapytała McGonagall ostro. - Co to znaczy: "macie Pottera"?

- Czarny Pan powiedział nam, że Potter prawdopodobnie będzie próbował dostać się do Wieży Ravenclawu i mamy go zawiadomić, jeśli go złapiemy!

- A po cóż Harry Potter miałby próbować dostać się do Wieży Ravenclawu? Potter jest w moim domu!

Pod niedowierzaniem i złością, w głosie Minerwy McGonagall Harry usłyszał też nutę dumy i poczuł nagły przypływ uczuć do niej.

- Powiedział nam, że mamy przyjść, to przyszedliśmy - warknął Amycus. - A bo ja wiem, po co?

Profesor McGonagall podniosła się z klęczek i rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok prześlizgnął się po miejscu, w którym stali Harry i Luna.

- Możemy to zwalić na te bachory - powiedział Amycus, a na świńskiej buźce pojawiła się chytra mina. - No, tak właśnie zrobimy. Powiemy, że te tam dzieciary zwabiły Alecto w pułapkę. - Spojrzał w górę, wskazując wzrokiem dormitoria Krukonów. - Powiemy, że zmusiły ją do dania sygnału Znakiem i stąd ten fałszywy alarm... Może se ich ukarać. Parę gówniarzy w tę czy we w tę, co za różnica?

- Tylko taka, jak między prawdą a kłamstwem, odwagą a tchórzostwem - odparła profesor McGonagall blednąc nagle. - W skrócie, różnica, której ani pan, ani pańska siostra nie jesteście w stanie pojąć. Ale może jedno do pana dotrze, jeśli wyrażę się

jasno. Uczniowie Hogwartu nie będą ponosić konsekwencji za wasz brak kompetencji. Nie pozwolę na to!

- Słucham?

Amycus podszedł do niej tak blisko, że jego twarz znajdowała się zaledwie parę cali od jej twarzy. Nie cofnęła się, ale spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby był czymś paskudnym, co utknęło w toalecie.

- Nikt się nie pyta, na co *ty* pozwalasz, Minerwo McGonagall. Ty nie masz tu już nic do gadania. Teraz my tu rządzimy, a ty albo będziesz z nami, albo poniesiesz konsekwencje...

I splunął jej w twarz.

Harry wyskoczył spod peleryny, uniósł różdżkę i spokojnie powiedział:

- Nie powinieneś był tego robić.

Amycus obrócił się jak na sprężynie.

- *Crucio!* - wrzasnął Harry.

Siła zaklęcia uniosła śmierciożercę, który wił się w powietrzu wyjąc z bólu, aż wreszcie, z trzaskiem i brzękiem tłuczonego szkła, uderzył w biblioteczkę i - nieprzytomny - runął na podłogę.

- Teraz już wiem, co Bellatriks miała na myśli - rzekł Harry, a krew pulsowała mu w skroniach. - Trzeba naprawdę tego chcieć.

- Potter! - wyszeptała Profesor McGonagall, łapiąc się za serce. - Potter! Ty... tutaj! Co...? Jak...? - z dużym wysiłkiem zdołała się opanować. - Potter, to było głupie!

- Opluł panią.

- Potter, ja... To było bardzo... *rycerskie z twojej strony*... ale czy nie zdajesz sobie sprawy...?

- Zdaję - zapewnił ją Harry. W jakiś sposób jej przerażenie działało na niego uspokajająco. - Pani profesor, Voldemort tu zmierza...

- O, to już możemy wymawiać to imię? - wtrąciła Luna z zainteresowaniem, ściągając z siebie pelerynę - niewidkę. Pojawienie się drugiego zbiega to było najwyraźniej za dużo dla profesorki transmutacji, która opadła na najbliższe krzesło, przyciskając do piersi poły starego, tartanowego szlafroka.

- Teraz to już nie ma znaczenia, jak sądzę - wyjaśnił Harry Lunie. - On i tak wie, gdzie jestem.

Jakąś częścią umysłu - łączącą się z piekącą blizną - widział Voldemorta płynącego przez mroczne jezioro w widmowo zielonej łódce. Już niemal docierał do wyspy, na której stała kamienna misa...

- Musisz uciekać - szepnęła profesor McGonagall. - Teraz, Potter, najszybciej jak potrafisz!

- Nie mogę - odparł krótko. - Mam tu coś do zrobienia. Pani profesor, nie wie pani przypadkiem, gdzie jest diadem Roweny Ravenclaw?

- Diadem Roweny? Oczywiście, że nie... Zaginął wieki temu! - Wyprostowała się na krześle. - Potter, to szaleństwo, czyste szaleństwo, twoja obecność w zamku...

- Musiałem! Pani profesor, w zamku jest coś ukryte, coś, co powinienem znaleźć, i to *może* być właśnie ten diadem... Jeśli mógłbym porozmawiać z profesorem Flitwickiem...

Usłyszeli brzęk szkła, ktoś się poruszył. Amycus powoli odzyskiwał przytomność. Zanim jednak Harry lub Luna zdołali cokolwiek zrobić, Minerwa McGonagall podniosła się, wycelowała różdżkę w ciągle jeszcze oszołomionego śmierciożercę i rzekła:

- *Imperio!*

Amycus wstał, podszedł do siostry, podniósł jej różdżkę, po czym poczłapał do profesor McGonagall i wręczył jej obie różdżki, siostry i swoją własną, a następnie położył się na podłodze koło Alecto. Nauczycielka ponownie machnęła różdżką. Srebrna lina pojawiła się znikąd i ciasno oplotła Carowów. Profesor McGonagall przyglądała im się z najdoskonalszą obojętnością.

- Potter - zwróciła się Harry'ego - jeśli Ten - Którego - Imienia - Nie - Wolno - Wymiawiać naprawdę wie, że tu jesteś...

W tej samej chwili poczuł gniew, powodujący niemal fizyczny ból, a przed oczami stanęło mu puste dno kamiennej misy widoczne przez przeźroczysty eliksir...

- Potter, nic ci nie jest?

Harry wrócił do rzeczywistości. Trzymał się kurczowo ramienia Luny, usiłując się uspokoić.

- Nie mamy czasu, Voldemort jest coraz bliżej. Pani profesor, wykonuję rozkazy Dumbledore'a, muszę znaleźć to, co kazał mi znaleźć! Ale trzeba ewakuować uczniów, kiedy będę przeszukiwał zamek...To mnie Voldemort chce dopaść, ale nie zawaha się zabić wszystkich! Nie teraz... - *Nie teraz, kiedy wie, że niszczę horkruksy* - dodał w myśli.

- Wykonujesz rozkazy Dumbledore'a? - powtórzyła profesor McGonagall z lekkim zdziwieniem. - Więc dobrze. Zabezpieczymy szkołę przed Tym - Którego - Imienia - Nie - Wolno - Wymiawiać, kiedy ty będziesz szukał tego... Tego czegoś.

- To w ogóle możliwe?

- No myślę - odparła cierpko. - Wiesz, my, nauczyciele znamy się odrobinę na magii. Jestem przekonana, że damy radę powstrzymać go przynajmniej przez jakiś czas, jeśli tylko się postaramy. Oczywiście, trzeba będzie unieszkodliwić profesora Snape'a...

- Może ja...

- ... A jeśli Hogwart ma zostać oblężony przez Czarnego Pana, to rzeczywiście najlepiej by było wyprowadzić stąd tylu uczniów, ile się tylko da... Ale jak? Sieć Fiuu jest pod obserwacją, a aportacja jest przecież niemożliwa...

- Jest sposób - przerwał jej Harry i opowiedział o przejściu prowadzącym do Świńskiego Łba.

- Potter, mówimy o setkach uczniów...!

- Wiem, pani profesor, ale jeśli Voldemort i śmierciożercy zajmą się atakiem na szkołę, nikt nie zwróci uwagi na ludzi aportujących się ze Świńskiego Łba...

- Coś w tym jest - zgodziła się. Wycelowała różdżkę w nieprzytomnych Carrowów. Srebrna sieć opadła na nich, oplotła i uniosła do góry tak, że zawiśli pod granatowo - złotym sufitem niczym świeżo wyłowione dwa paskudne, morskie stwory.

- Chodźmy - rzuciła. - Musimy zawiadomić pozostałych Opiekunów Domów. I lepiej załóżcie tę pelerynę.

Ruszyła do drzwi, ponownie unosząc różdżkę, z której wystrzeliły trzy srebrne koty z obwódkami wokół oczu. Patronusy z gracją pobiegły przodem, rozświetlając srebrzystym blaskiem spiralną klatkę schodową. Szeleszcząca szlafrokiem Profesor McGonagall oraz ukryci pod peleryną Harry i Luna pośpieszyli za nimi.

Biegnąc korytarzem widzieli, jak patronusy kolejno odłączają się od ich małego orszaku. Przebiegli jeszcze dwie kondygnacje, gdy usłyszeli za sobą ciche kroki. Harry, którego wciąż bolała blizna, usłyszał je pierwszy, ale zanim zdołał sięgnąć po Mapę Huncwotów, McGonagall też zdała sobie sprawę z towarzystwa. Zatrzymała się, uniosła różdżkę i zapytała:

- Kto to?

- To ja - rzekł cichy głos.

Zza zbroi wyłonił się Severus Snape.

Na sam jego widok Harry zagotował się z wściekłości. Zaprzątnięty potwornością popełnionej przez Snape'a zbrodni zupełnie zapomniał, jak odrażający potrafi być sam nauczyciel, z czarnymi włosami zwieszającymi się tłustą firaną wokół chudej twarzy i zimnym, niemal martwym spojrzeniem czarnych oczu. Snape nie miał na sobie szlafroka, ubrany był w swoje zwykłe, czarne szaty. On również trzymał różdżkę w gotowości bojowej.

- Gdzie Carrowowie? - zapytał cicho.

- Zakładam, że tam, gdzie im kazałeś, Severusie - odparła profesor McGonagall.

Snape przybliżył się, rozglądając się wokół, jakby podejrzewał, że Harry też gdzieś tu jest. Ten uniósł różdżkę, szykując się do ataku.

- Odniosłem wrażenie - rzekł Snape. - Że Alecto napotkała w zamku intruza.

- Doprawdy? - zdziwiła się uprzejmie McGonagall. - A cóż dało ci asumpt do takowej konstatacji?

Snape nieznacznie wskazał na swoje lewe przedramię, gdzie miał wypalony Mroczny Znak.

- Och, ależ oczywiście. Zapomniałam, że wy, śmierciożercy, macie swoje własne sposoby komunikowania się.

Udał, że jej nie słyszy. Wzrokiem wciąż błądził wkoło, i wciąż, jak gdyby nigdy nic, zbliżał się w ich stronę.

- Nie wiedziałem, że dziś masz dyżur na korytarzu, Minerwo.

- Masz coś przeciwko?

- Zastanawiam się, co wyciągnęło cię z łóżka o tak późnej porze?

- Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas.

- Naprawdę? Wydaje się, że wszystko w porządku.

Snape spojrzał jej w oczy.

- Widziałaś Harry'ego Pottera, Minerwo? Bo jeśli tak, to nalegam, byś...

Ku niedowierzaniu Harry'ego, Minerwa McGonagall zadziałała błyskawicznie. Różdżka w jej dłoni przecięła powietrze i przez ułamek sekundy Harry myślał, że Snape upadnie nieprzytomny, ale siła jego zaklęcia tarczy omal nie przewróciła profesorki transmutacji. Nie pozostała mu dłużna: machnęła różdżką w kierunku pochodni wiszącej na ścianie. Harry, który już zamierzał rzucić w Snape'a jakąś klątwą, musiał w ostatniej chwili odciągnąć Lunę z linii płomieni, które formowały się teraz wokół dyrektora w straszliwe, płonące lasso...

I nie były to już płomienie, lecz ogromna, czarna żmija, którą McGonagall rozbiła w kłąb dymu, a ten sekundę później zgęstniał i zmienił się w rój sztyletów. Snape uniknął rozsiekania tylko dzięki stojącej w pobliżu zbroi, za którą uskoczył. Z głośnym brzękiem, jeden po drugim, sztylety wbijały się w napierśnik ze stali...

- Minerwo! - rozległ się za nimi piskliwy głos. Harry, wciąż osłaniając Lunę przed przelatującymi klątwami, odwrócił się i zobaczył profesora Flitwicka i profesor Sprout, w szlafrokach, biegnących ku nim korytarzem. Z tyłu za nimi, dysząc ciężko, podążał ogromny profesor Slughorn.

- Nie! - pisnął profesor Flitwick unosząc różdżkę. - W tej szkole już nikogo więcej nie zabijesz!

Zaklęcie rzucone przez Flitwicka trafiło w zbroję, za którą krył się Snape. Z głuchym zgrzytem zbroja ożyła. Snape z trudem wyswobodził się ze ściskających go stalowych ramion i posłał fragmenty zbroi w kierunku atakujących. Harry i Luna odskoczyli na boki, a pancerz z dużym impetem roztrzaskał się na ścianie. Kiedy Harry ponownie się podniósł, Snape uciekał, a McGonagall, Flitwick i Sprout deptali mu po piętach. Snape wpadł jak burza do jakiejś klasy i chwilę potem doleciał Harry'ego krzyk Minerwy McGonagall:

- Tchórz! *TCHÓRZ!*

- Co się stało, co się stało? - dopytywała się Luna.

Harry pomógł jej się podnieść i ruszyli razem korytarzem, ciągnąc za sobą pelerynę niewidkę, aż do opuszczonej klasy, w której McGonagall, Flitwick i Sprout stali przy wybitym oknie.

- Wyskoczył - powiedziała profesor McGonagall na widok Harry'ego i Luny.

- Myśli pani, że on *nie żyje?* - Harry podskoczył do okna, nie zwracając uwagi na zdziwione okrzyki profesorów Flitwicka i Sprout.

- Nie, myślę, że nie umarł - odrzekła Minerwa gorzko. - W przeciwieństwie do Dumbledore'a nadal miał w ręku różdżkę... I jak widać, nauczył się paru trików od swojego pana.

Z dreszczem przerażenia Harry dostrzegł w oddali ciemną, podobną do nietoperza sylwetkę, lecącą w kierunku murów.

Za nimi rozległy się głośne kroki i ciężkie posapywanie. Slughorn właśnie dobiegł.

- Harry! - wydyszał, łapiąc się za potężną pierś skrytą pod szmaragdowozieloną piżamą. - Mój drogi chłopcze... Co za niespodzianka... Minerwo, wyjaśnij mi proszę... Severus... Co się...?

- Naszemu dyrektorowi właśnie coś wypadło - powiedziała lekko profesor McGonagall, wskazując Snape'okształtną dziurę w oknie.

- Pani profesor! - wrzasnął Harry, przyciskając dłonie do czoła. Widział prześlizgujące się pod dnem łodzi jezioro wypełnione ciałami inferich i poczuł, jak widmowa łódka dobija do brzegu. Voldemort wyskoczył z niej z żądzą mordu w sercu...

- Pani profesor, musimy zabarykadować zamek, on *już tu idzie*!

- W porządku. Ten - Którego - Imienia - Nie - Można - Wymawiać nadchodzi - wyjaśniła pozostałym nauczycielom. Flitwick i Sprout wstrzymali oddech, Slughorn jęknął. - Potter ma do wykonania zadanie, rozkaz Dumbledore'a. Musimy za wszelką cenę utrzymać zamek, dopóki go nie wykona.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że nie będziemy w stanie odpierać jego ataków w nieskończoność? - pisnął Flitwick.

- Ale możemy go przynajmniej powstrzymać przez jakiś czas - rzekła profesor Sprout.

- Dziękuję, Pomono - odparła profesor McGonagall, wymieniając z drugą czarownicą porozumiewawcze spojrzenia. - Sądzę, że zaczniemy od zabezpieczenia zamku, a potem zbierzemy uczniów w Wielkiej Sali. Większość trzeba będzie ewakuować, ale jeśli którzykolwiek z pełnoletnich będą chcieli zostać walczyć, myślę, że powinniśmy dać im szansę.

- Zgoda! - Profesor Sprout ruszyła ku drzwiom. - Spotkamy się w Wielkiej Sali za dwadzieścia minut.

Wybiegła z klasy, ale dosłyszeli jeszcze, jak mruczy pod nosem:

- Tentakula, Diabelskie Sidła i Wnykopieńki. Chciałabym zobaczyć, jak śmierciożercy sobie z tym poradzą...

- Ja mogę zacząć już tu - stwierdził Flitwick i chociaż ledwie wystawał ponad parapet, wystawił różdżkę przez okno mrucząc skomplikowane inkantacje. Harry słyszał dziwny szelest, jakby Flitwick rozpętał wichry na błoniach.

- Profesorze... - zaczął, podchodząc do małego nauczyciela zaklęć. - Profesorze, przepraszam, ze przeszkadzam, ale to bardzo ważne. Nie wie pan może, co stało się z diademem Roweny Ravenclaw?

- *Protego Horribilis*... Diademem Roweny? - pisnął Flitwick. - Trochę mądrości nikomu nie zaszkodzi, Potter, ale nie sądzę, żeby pomogło nam w *tej* sytuacji!

- Ja tylko chciałem... Wie pan, gdzie on jest? Widział go pan kiedyś, profesorze?

- Czy widziałem? Nikt go nie widział! Zaginął przed wiekami, chłopcze!

Harry poczuł, że ogarnia go rozczarowanie pomieszane z paniką. W takim razie co było tym horkruksem?

- Czekamy na twoich Krukonów w Wielkiej Sali, Filiusie! - zawołała profesor McGonagall, dając znak Harry'emu i Lunie, żeby poszli za nią.

Doszli już do drzwi, kiedy Slughorn wreszcie odzyskał głos.

- Niech mnie hipogryf kopnie - wydyszał, blady i spocony, a wielkie wąsy, upodabniające go do morsa, drżały. - Co za zamieszanie! Ale nie jestem pewien, czy to mądry pomysł, Minerwo. Doskonale wiesz, że on i tak wedrze się do środka, a każdy, kto spróbuje mu przeszkodzić, znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie...

- Oczekuję ciebie i twoich Ślizgonów w Wielkiej Sali za dwadzieścia minut - powiedziała spokojnie profesor McGonagall. - Jeśli chcesz opuścić zamek wraz z uczniami, nie będziemy cię zatrzymywać. Ale jeśli w jakikolwiek sposób spróbujesz sabotować nasze wysiłki lub otwarcie przyłączysz się do niego, wtedy, Horacy, będziemy walczyć na śmierć i życie.

- Minerwo! - wykrzyknął, osłupiały.

- Cóż, właśnie przyszedł ten moment, w którym Dom Salazara Slytherina musi zdecydować, komu jest lojalny - przerwała mu. - Idź i obudź swoich uczniów, Horacy.

Harry nie czekał, aż Slughorn wyjąka jakąś odpowiedź. Wraz z Luną pospieszyli za profesor McGonagall, która jednak nagle zatrzymała się na środku korytarza i uniosła różdżkę.

- *Piertotum*... Och, na Merlina, Filch, nie teraz...

Stary woźny nadciągał korytarzem kuśtykając i wrzeszcząc na całe gardło:

- Uczniowie nie śpią! Uczniowie na korytarzach!

- I powinni tam być, skończony idioto! - zawołała McGonagall. - A teraz idź i zrób wreszcie coś konstruktywnego! Znajdź Irytka!

- I - Irytka? - wyjąkał Filch, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszał to imię.

- Tak, *Irytka*, durniu, *Irytka*! Czyś nie uskarżał się na niego przez ostatnie ćwierćwiecze? Idź i sprowadź go tu natychmiast!

Filch najwyraźniej uważał, że profesor McGonagall oszalała, ale posłusznie odkuśtykał, garbiąc się i mamrocząc pod nosem.

- A teraz... *Piertotum locomotor!* - zawołała, a stojące wzdłuż korytarza zbroje i posągi zeskoczyły z cokołów. Z dochodzących zewsząd łomotów Harry domyślił się, że ich towarzysze we wszystkich zakamarkach zamku zrobili to samo.

- Hogwart w niebezpieczeństwie! - krzyknęła profesor McGonagall. - Obsadźcie mury, chrońcie nas, wypełnijcie wasze zobowiązania względem szkoły!

Trzeszcząc i krzycząc horda ruchomych posągów przegalopowała obok Harry'ego. Niektóre z nich były małe, niektóre olbrzymie, było też parę zwierząt. Dźwięczące zbroje wymachiwały mieczami i morgensternami.

- A teraz, Potter - rzekła profesor McGonagall - ty i panna Lovegood powinniście udać się po przyjaciół i przyprowadzić ich do Wielkiej Sali... A ja pójdę po pozostałych Gryfonów.

Rozstali się na szczycie następnych schodów, Harry i Luna zawrócili w kierunku ukrytego wejścia do Pokoju Życzeń. Biegnąc mijali tłoczących się uczniów, których nauczyciele i prefekci prowadzili właśnie do Wielkiej Sali. Większość z nich na piżamy narzuciła peleryny podróżne.

- To był Potter!

- Harry Potter!

- To był on, przysięgam, widziałem go!

Ale Harry nawet się nie obejrzał. Gdy wreszcie dotarli do drzwi Pokoju Życzeń, oparł się o zaczarowaną ścianę, która otwarła się, by ich wpuścić i wraz z Luną zbiegł po stromych schodkach.

- Co...?

Na widok Pokoju Życzeń zaskoczony Harry zleciał z ostatnich paru stopni. Pomieszczenie było zatłoczone o wiele bardziej, niż wtedy, gdy widział je ostatnio. Kingsley i Lupin patrzyli w ich kierunku, podobnie jak Oliver Wood, Katie Bell, Angelina Johnson, Alicja Spinnet, Bill, Fleur oraz pan i pani Weasley.

- Harry, co się dzieje? - spytał Lupin, podchodząc do nich.

- Voldemort się zbliża, nauczyciele bronią szkoły, Snape uciekł... Co wy tu robicie? Skąd wiedzieliście?

- Wysłaliśmy wiadomość reszcie Gwardii Dumbledore'a - wyjaśnił Fred. - Chyba nie sądziłeś, że przegapimy taką frajdę? A GD dała znać Zakonowi, no wiesz, efekt śnieżnej kuli...

- Co robimy? - wtrącił George. - Co najpierw?

- Nauczyciele teraz wyprowadzają młodszych uczniów - odparł Harry. - Wszyscy mamy spotkać się w Wielkiej Sali, żeby zorganizować obronę. Będziemy walczyć.

Zgromadzeni członkowie Zakonu Feniksa, Gwardii Dumbledore'a i starej gryfońskiej drużyny quidditcha unieśli różdżki i z bojowym okrzykiem ruszyli do wyjścia, niemal wprasowując Harry'ego w ścianę.

- Chodź, Luna. - Przechodzący Dean wyciągnął do niej rękę, ujęła ją i podążyła za nim schodami.

Tłum się przerzedzał. Tylko mała grupka pozostała w Pokoju Życzeń i nie myśląc wiele Harry się do nich przyłączył. Pani Weasley kłóciła się z Ginny. Dookoła nich stali Lupin, Fred, George, Bill i Fleur.

- Jesteś nieletnia! - krzyczała pani Weasley. - Nie pozwalam! Chłopcy to co innego, ale ty wracasz do domu!

- Nie wrócę!

Wyrwała ramię z uścisku matki.

- Jestem w Gwardii Dumbledore'a...

- Banda nastolatków!

- Banda nastolatków, ale z jajami. Przeciwstawiliśmy się mu, kiedy nikt inny się nie ważył! - wtrącił Fred.

- Ona ma szesnaście lat! Jest za mała! Coście sobie myśleli, zabierając ją ze sobą...

Fred i George wyglądali na nieco zawstydzonych.

- Mama ma rację, Ginny - powiedział łagodnie Bill. - Nie możesz z nami iść. Każdy, kto nie jest pełnoletni, musi opuścić zamek, takie są zasady.

- Nie mogę wrócić do domu! - W oczach Ginny zalśniły łzy. - Cała moja rodzina jest tutaj, nie mogę siedzieć w domu nie wiedząc, czy...

Po raz pierwszy spojrzała na Harry'ego. W jej wzroku wyczytał błagalną prośbę, by ją poparł, ale w odpowiedzi pokręcił przecząco głową. Odwróciła się od niego.

- Dobrze - rzuciła, wpatrując się w wylot tunelu prowadzącego do Świńskiego Łba. - W takim razie pożegnam się i...

Rozległa się krótka szamotanina, a potem głuche tąpnięcie. Ktoś jeszcze wspiął się do wyjścia, stracił równowagę i runął jak długi. Pozbierał się, rozejrzał wokół przez przekrzywione okulary w rogowej oprawie.

- Spóźniłem się? - wyjąkał. - Już się zaczęło? Dopiero się dowiedziałem i ja... Ja...

Odpowiedziała mu cisza. Najwyraźniej Percy nie spodziewał się zastać w Hogwarcie większej części swojej rodziny. Przedłużające się, pełne zaskoczenia milczenie przerwała wreszcie Fleur, odwracając się do Lupina.

- A więc - zapytała głośno, próbując rozładować atmosferę. - Jak tam mały Teddy?

Lupin gapił się na nią, zbaraniały. Napięcie między Weasleyami zaczynało iskrzyć.

- Co...? A tak... wszystko w porządku! - odpowiedział równie głośno. - Tonks z nim została... U jej matki...

Percy i pozostali Weasleyowie wciąż stali jak zaklęci.

- O tu, mam zdjęcie! - ciągnął, wyciągając fotografię z wewnętrznej kieszeni marynarki. Harry zobaczył bobasa z kępką turkusowych włosków, machającego piąstkami w kierunku aparatu.

- BYŁEM IDIOTĄ! - wrzasnął Percy tak głośno, że Lupin niemal upuścił zdjęcie. - Byłem idiotą, zadufanym dupkiem, byłem...

- Ministerialnym, żądnym władzy kretynem, który miał w dupie całą rodzinę - podsunął Fred. Percy przełknął głośno.

- Byłem!

- Lepiej bym tego nie powiedział - rzekł Fred, wyciągając rękę do Percy'ego.

Pani Weasley wybuchła płaczem. Podbiegła, odsunęła Freda i porwała Percy'ego w objęcia. Ten klepał ją delikatnie po plecach, wpatrując się w ojca.

- Przepraszam, tato.

Pan Weasley zamrugał szybko i on również pośpieszył uściskać syna.

- Percy, co spowodowało, że przejrzałeś na oczy? - zapytał George.

- No, trochę to trwało - odparł Percy, wycierając oczy pod okularami rogiem swej szaty podróżnej. - Ale dotarło i musiałem jakoś się wyrwać z ministerstwa, co wcale nie było takie łatwe, zwłaszcza teraz, kiedy aresztują zdrajców na każdym kroku. Zdołałem się skontaktować z Aberforthem i to on mi dał znać dziesięć minut temu, że Hogwart szykuje się do walki, więc jestem.

- Cóż, w takich przypadkach, jak ten, zazwyczaj prefekci przejmują dowodzenie. - George doskonale imitował najbardziej napuszony z tonów Percy'ego. - A teraz ruszajmy na górę i do walki, albo co lepsi śmierciożercy zostaną skasowani bez naszego udziału...

- Więc jesteś teraz moją szwagierką? - spytał Percy, ściskając rękę Fleur, po czym wraz z Billem, Fredem i George'em ruszyli do drzwi.

- Ginny! - fuknęła pani Weasley.

Korzystając z ogólnego zamieszania Ginny usiłowała wymknąć się wraz z innymi.

- Molly, a może zrobimy tak - wtrącił Lupin - Może Ginny zostanie tu, w Pokoju Życzeń? Wtedy przynajmniej będzie cały czas na miejscu, wiedząc, co się dzieje, a nie będzie na polu walki?

- Ja...

- Dobry pomysł - poparł go pan Weasley. - Ginny, nie ruszysz się z tego pokoju, słyszysz?

Ginny nie wyglądała na zachwyconą, ale widząc wyjątkowo stanowczą minę ojca, skinęła głową. Państwo Weasleyowie i Lupin pośpieszyli ku wyjściu.

- Gdzie jest Ron? - zapytał Harry. - I gdzie Hermiona?

Musieli już pójść do Wielkiej Sali - rzucił pan Weasley, odwracając się przez ramię.

- Koło mnie nie przechodzili.

- Mówili coś o łazience - dodała Ginny. - Zaraz po tym, jak wyszedłeś.

- O łazience?

Harry przebiegł przez Pokój Życzeń, szarpnął znajdujące się w kącie drzwi do łazienki, zajrzał, ale nikogo w niej nie było.

- Na pewno powiedzieli "łazie..."?

Nie skończył, gdyż blizna zapiekła go straszliwie. Na miejscu Pokoju Życzeń wyrosły wielkie wrota z kutego żelaza między dwoma filarami, ozdobionymi uskrzydlonymi dzikami. Harry patrzył w kierunku rozświetlonego zamku na błoniach. Nagini leżała mu na ramionach, a jego przepełniała ta zimna, okrutna premedytacja, z jaką planuje się morderstwo.

Rozdział 31
Bitwa o Hogwart

Tłumaczenie: asdfasdf

Pod ciemnym, rozgwieżdżonym niebem na zaczarowanym sklepieniu Wielkiej Sali, przy długich stołach swoich domów tłoczyli się rozczochrani uczniowie, jedni w podróżnych płaszczach, inni wciąż w szlafrokach. Tu i ówdzie perłowo lśniły sylwetki duchów. Oczy wszystkich skierowane były na profesor McGonagall, przemawiającą z podium do obecnych. Za nią stała reszta nauczycieli, bladozłoty centaur Firenzo i członkowie Zakonu Feniksa, gotowi wziąć udział w walce.

- ... a ewakuację będą nadzorować pan Filch i pani Pomfrey. Prefekci - na mój znak poprowadzicie uczniów ze swoich domów do wyznaczonych punktów ewakuacyjnych.

Uczniowie tkwili nieruchomo na miejscach; Harry szedł wzdłuż ściany, rozglądając się przy stole Gryfonów, szukając Rona i Hermiony. Spośród Puchonów tymczasem podniósł się Ernie MacMillan i spytał głośno:

- A jeśli chcemy zostać i walczyć?

Rozległy się pojedyncze oklaski.

- Pełnoletni mogą zostać.

- Co z naszymi rzeczami? - spytała dziewczynka zza stołu Krukonów. - Z kuframi, sowami...

- Nie ma czasu na pakowanie dobytku. Najważniejsze jest, żebyście się stąd bezpiecznie wydostali.

- Gdzie jest profesor Snape? - krzyknęła jedna ze Ślizgonek.

- Jak to się potocznie mówi, prysnął - odparła profesor McGonagall, co Gryfoni, Puchoni i Krukoni przyjęli gromkim aplauzem.

Harry nadal szedł wzdłuż stołu Gryffindoru, szukając Rona i Hermiony. Każdy obracał się w jego stronę, w ślad za nim biegły szepty.

- Roztoczyliśmy już wokół zamku zaklęcia ochronne - kontynuowała profesor McGonagall - ale nie wytrzymają długo, jeśli nie skierujemy żadnych sił do obrony. Proszę więc, byście szybko i w ciszy, pod nadzorem prefektów...

Końcówkę tego zdania zagłuszył inny głos - zimny, wysoki i wyraźny; jego źródła nie sposób było określić. Zdawało się, że dobiega wprost ze ścian. Brzmiał, jakby w uśpieniu czekał tu od wieków, niczym potwór, który kiedyś słuchał wydawanych tym głosem rozkazów.

- Wiem, że przygotowujecie się do walki. - Wśród uczniów rozległy się krzyki przerażenia, niektórzy chwytali sąsiadów i rozglądali się w poszukiwaniu mówiącego te słowa. - Wasz wysiłek jest daremny. Nie jesteście w stanie mnie pokonać. Nie chcę jednak was zabijać. Darzę wielkim szacunkiem nauczycieli Hogwartu. Moim zamiarem nie jest przelewanie krwi czarodziejów.

W Sali zaległa cisza, od której niemal pękały w uszach bębenki; cisza głębsza od fundamentów starożytnych murów.

- Wydajcie mi Harry'ego Pottera - zażądał Voldemort - a nikomu nic się nie stanie. Jeśli to zrobicie, pozostawię szkołę nietkniętą. Wydajcie Pottera, a zostaniecie wynagrodzeni. Macie czas do północy.

Znów zapanowała cisza. Wszystkie głowy obróciły się w stronę Harry'ego, spojrzenia wszystkich zdawały się chwytać go w sieć z niewidzialnych promieni. A potem nagle podniosła się jedna ze Ślizgonek - Harry rozpoznał Pansy Parkinson - wyciągnęła drżącą rękę i krzyknęła:

- Przecież on jest tutaj! Potter tu jest! Łapcie go!

Nim zdążył zareagować, zapanowało poruszenie. Wstali wszyscy Gryfoni, lecz tym razem nie twarzami do niego, a w stronę Ślizgonów. Po chwili Puchoni, a zaraz potem i Krukoni uczynili to samo, patrząc w stronę Pansy. Harry ujrzał z podziwem, jak wyciągają z kieszeni i rękawów różdżki.

- Dziękuję, panno Parkinson - skomentowała z godnością profesor McGonagall. - A teraz opuści pani Salę, pan Filch panią wyprowadzi. Resztę pani domu również proszę o wyjście.

Skrzypnęły ławy i Ślizgoni pomaszerowali w stronę wyjścia z Sali.

- Teraz Krukoni, proszę!

Powoli pustoszały stoły wszystkich domów. Ślizgoni wyszli wszyscy, spośród Krukonów pozostało na miejscach kilkoro najstarszych, Puchonów zostało więcej, zaś w Gryffindorze nadal siedziała ponad połowa uczniów. Profesor McGonagall zeszła z podium i pośpieszyła wyprosić najmłodszych.

- Creevey, nie pozwalam! Peakes, ty też nie zostajesz!

Harry doszedł do Weasleyów, siedzących razem przy stole Gryfonów.

- Gdzie są Ron i Hermiona?

- A nie widziałeś ich? - zmartwił się pan Weasley. Nie zdążył jednak więcej powiedzieć, bo na podium wszedł właśnie Kingsley i zwrócił się do pozostałych.

- Do północy mamy tylko pół godziny, więc musimy działać jak najszybciej. Plan bitwy uzgodniliśmy już z nauczycielami Hogwartu. Profesorowie Flitwick, Sprout i McGonagall zabiorą grupy bojowe na najwyższe wieże - Ravenclawu, Astronomiczną i Gryffindoru. Jest stamtąd świetny widok, to dobre pozycje do rzucania zaklęć. Tymczasem Remus - wskazał Lupina - Artur - pokazał pana Weasleya - i ja poprowadzimy grupy, które udadzą się na błonia. Będziemy potrzebowali kogoś, kto zorganizuje ochronę wejść i tuneli prowadzących do szkoły...

- To coś dla nas - Fred i George wystąpili naprzód. Kingsley z aprobatą kiwnął głową.

- W takim razie - dowodzący, do mnie! Podzielimy się na oddziały.

- Potter! - Profesor McGonagall ruszyła żwawo w jego stronę, podczas gdy uczniowie już zbierali się tłumnie na podium i wysłuchiwali instrukcji. - Nie miałeś przypadkiem czegoś szukać?

- Słucham? Aha... tak!

O mało nie zapomniał o horkruksie i o tym, że wydają bitwę po to, by miał czas go szukać; myśl o niewytłumaczalnej nieobecności Rona i Hermiony wyparła mu z głowy wszystkie inne.

- No to biegiem, Potter, biegiem!

- Już idę...

Znów czuł na sobie spojrzenia, gdy po raz kolejny biegł przez Wielką Salę do sali wejściowej, gdzie właśnie tłoczyli się uczniowie. Pozwolił im się popchnąć po marmurowych schodach na górę, ale zaraz potem ruszył w stronę pustego korytarza. Strach nie dawał mu myśleć. Próbował się uspokoić i skoncentrować na poszukiwaniu horkruksa, lecz myśli wirowały mu w głowie, niczym złapane do szklanki osy. Bez Rona i Hermiony po prostu nie był w stanie nic przedsięwziąć. Zwolnił, potem zatrzymał się, w końcu usiadł na pustym cokole i wyciągnął z sakiewki na szyi Mapę Huncwotów. Nie widział na niej imion przyjaciół, ale uznał, że w gęstwinie kropek oznaczających idących do Pokoju Życzeń uczniów mógł ich po prostu przeoczyć. Odłożył mapę i zasłonił dłońmi oczy, usiłując się skoncentrować.

Voldemort uważał, że pójdę do Wieży Ravenclawu.

To było to: niepodważalny fakt, punkt wyjściowy do dalszego rozumowania. Voldemort wysłał Alecto Carrow do pokoju wspólnego Ravenclawu i tylko w jeden sposób można było to wyjaśnić - obawiał się, że Harry już wie o powiązaniu jego horkruksa z tym domem. Tyle tylko, że jedyny przedmiot, z którym kojarzono Rowenę Ravenclaw, to zaginiony diadem... A jak horkruks miałby być diademem? Czy to możliwe, by Voldemort, Ślizgon, znalazł coś, co uszło uwadze tylu pokoleniom Krukonów? Kto mu powiedział, gdzie szukać, skoro diademu nikt z żyjących nie widział?

Nikt z żyjących...

Otworzył oczy, a potem opuścił ręce. Zeskoczył z cokołu i popędził z powrotem sprawdzić coś, co dawało ostatnią nadzieję. Zbliżając się do marmurowych schodów usłyszał coraz głośniejsze kroki setek nóg idących do Pokoju Życzeń. Prefekci wykrzykiwali polecenia i usiłowali zapanować nad uczniami ze swoich domów, wszyscy parli naprzód, Zachariasz Smith przewrócił paru pierwszoklasistów, żeby wepchnąć się na początek kolejki, młodsi płakali, starsi nawoływali kolegów i rodzeństwo.

Kątem oka dostrzegł perłowobiałą postać ducha w sali wejściowej poniżej i próbując przekrzyczeć wrzawę, zawołał z całych sił:

- Nick! NICK! Muszę z tobą porozmawiać!

Przepchnął się między idącymi i dotarł na dół schodów, gdzie czekał na niego duch Wieży Gryffindoru.

- Harry! Mój drogi chłopcze!

Nick wyciągnął do niego ramiona; Harry również wyciągnął ręce do uścisku i poczuł się, jakby po dłoniach chluśnięto go lodowatą wodą.

- Nick, musisz mi pomóc. Kto jest duchem wieży Ravenclawu?

Prawie Bezgłowy Nick wyglądał na zdziwionego i lekko urażonego.

- Szara Dama, oczywiście, ale jeśli po prostu potrzebujesz pomocy ducha, to przecież...

- Muszę się z nią zobaczyć. Wiesz, gdzie teraz jest?

- Zobaczmy...

Głowa Nicka zachwiała się nad kryzą, duch zerkał to tu, to tam, patrząc ponad morzem głów.

- Jest tam, Harry. To ta młoda dama z długimi włosami.

Popatrzył tam, gdzie wskazywał przezroczystym palcem Nick. Ujrzał ducha wysokiej kobiety, która, dostrzegłszy jego spojrzenie, uniosła brwi, po czym odwróciła się i poprzez najbliższą ścianę odpłynęła z pola widzenia.

Harry rzucił się za nią w pogoń. Wskoczył w przejście, w którym zniknęła, i ujrzał ją, już prawie na drugim końcu korytarza.

- Hej, zaczekaj! Wracaj!

Usłuchała i zatrzymała się, zawisając parę cali nad podłogą. Odziana w długi płaszcz, z sięgającymi talii włosami, wyglądała pięknie, choć czuło się w niej wyniosłość i dumę. Rozpoznał ją teraz, mijali się już wielokrotnie w korytarzach, lecz nie zamienili dotąd ani słowa.

- Jesteś Szarą Damą?

Skinęła głową, nie odzywając się.

- Duchem Wieży Ravenclawu?

- W rzeczy samej - odparła tonem, który nie zachęcał do konwersacji.

- Proszę... Potrzebuję pomocy. Muszę wiedzieć wszystko, co tylko możesz mi powiedzieć o tym zaginionym diademie.

Uśmiechnęła się zimno.

- Obawiam się - odparła i już zaczynała się odwracać - że ci nie pomogę.

- CZEKAJ!

Nie chciał tego krzyknąć, ale zaczynał ogarniać go gniew i panika zarazem. W chwili, gdy znów przed nim zawisała, spojrzał na zegarek - do północy brakowało kwadransa.

- To bardzo pilne - powiedział pośpiesznie. - Jeśli ten diadem jest w Hogwarcie, muszę go natychmiast odnaleźć.

- Nie jesteś pierwszym uczniem, który zapragnął go zdobyć - odparła ze wzgardą. - Zadręczały mnie o to całe pokolenia...

- Tu nie chodzi o dobre stopnie! - podniósł głos Harry. - Chodzi o Voldemorta, o pokonanie Voldemorta! Nie interesuje cię to?

Nie mogła się rumienić, lecz jej przejrzyste policzki jakby trochę straciły na przezroczystości; w głosie słyszało się teraz ekscytację:

- Oczywiście, że... Jak śmiesz sugerować...

- No to pomóż mi!

Jej opanowanie nagle całkiem prysło.

- To... nie jest kwestia... - zająknęła się. - Diadem mej matki...

- Twojej *matki*?

Zdawało się, że jest na siebie zła.

- Kiedy żyłam - odparła sztywno - byłam Heleną Ravenclaw.

- Jesteś jej *córką*? To znaczy, że... wiesz, co się z nim stało!

- Choć diadem obdarza noszącego mądrością - mówiła, próbując odzyskać panowanie nad sobą - wątpię, by szczególnie zwiększył twe szanse na pokonanie czarnoksiężnika, który nazywa siebie Lordem...

- Przecież ci mówiłem, nie chcę go nosić! - denerwował się Harry. - Nie ma czasu na wyjaśnienia... Ale jeśli ci zależy na Hogwarcie i na tym, żebyśmy pokonali Voldemorta, to powiedz wszystko, co wiesz o diademie!

Wisiała nieruchomo; unosiła się tak w powietrzu, mierząc Harry'ego spojrzeniem z góry, a jego zaczęło ogarniać poczucie beznadziejności. Przecież gdyby coś wiedziała, powiedziałaby Flitwickowi albo Dumbledore'owi, na pewno kiedyś pytali ją o to samo... Potrząsnął głową i miał już się oddalić, kiedy powiedziała cicho:

- Ukradłam ten diadem matce.

- Co... Co zrobiłaś?

- Ukradłam diadem - powtórzyła Helena szeptem. - Chciałam stać się mądrzejsza, znaczyć więcej od matki. Uciekłam z nim.

Nie miał pojęcia, jak zdołał nakłonić ją do tego wyznania, ale nie pytał; słuchał chciwie, a ona kontynuowała:

- Mówili, że nigdy się nie przyznała, że straciła diadem; udawała, że wciąż go posiada. Ukryła prawdę o tym, jak straszliwie nadużyłam jej zaufania. Nie dowiedzieli się nawet pozostali założyciele Hogwartu. A potem matka zachorowała... na chorobę, na którą nie było lekarstwa. Mimo tego, jaką wiarołomną okazałam się córką, rozpaczliwie pragnęła ujrzeć mnie ostatni raz. Wysłała mężczyznę, który od dawna się we mnie kochał, choć odrzuciłam jego zaloty. Wiedziała, że nie spocznie, póki mnie nie odnajdzie.

Czekał cierpliwie. Helena odetchnęła głęboko i odchyliła do tyłu głowę.

- Wyśledził mnie w lesie, gdzie się ukrywałam. Kiedy nie chciałam ruszyć z nim w podróż, od razu zareagował gwałtownie. Baron zawsze był zapalczywy... Rozwścieczyła go ta odmowa, więc z zazdrości o moją wolność zasztyletował mnie.

- Baron? To znaczy...

- Tak, Krwawy Baron - odpowiedziała i rozsunęła poły płaszcza, ukazując ciemniejącą na białym ciele ranę po pchnięciu w pierś. - Poczuł skruchę, kiedy do niego

dotarło, co zrobił. Bronią, którą odebrał mi życie, zabił też siebie. Po tylu wiekach wciąż nosi łańcuchy - to jego pokuta... na którą sobie zasłużył - dokończyła z goryczą.

- A... a diadem?

- Pozostał tam, gdzie był ukryty, kiedy usłyszałam, że baron przedziera się do mnie przez las. Ukryty w wydrążonym pniu drzewa.

- W pniu drzewa? - powtórzył. - Gdzie? Gdzie to było?

- W albańskiej puszczy. W ustronnym miejscu, gdzie matka miała mnie nigdy nie wytropić.

- W Albanii... - powtórzył Harry. Ze strzępów informacji w cudowny sposób zaczynał mu się wyłaniać spójny obraz; teraz już wiedział, czemu poznał historię, której Dama nie wyznała Dumbledore'owi ani Flitwickowi. - Mówiłaś już komuś o tym, prawda? Uczniowi?

Zamknęła oczy i pokiwała głową.

- Nie miałam pojęcia... że mi się przypochlebia... Zdawało mi się... że mnie rozumie... i współczuje...

Zgadza się, pomyślał Harry, Tom Riddle na pewno rozumiał Helenę Ravenclaw i pragnienie posiadania cennego przedmiotu, do którego nie ma się prawa.

- Wiesz, nie jesteś pierwszą osobą, której sekrety zdobył Tom Riddle - powiedział cicho. - Potrafił być czarujący, jeśli tylko chciał...

Zatem Voldemort nakłonił Szarą Damę, by zdradziła mu tajemnicę miejsca ukrycia diademu. Wybrał się do tej odległej puszczy i wyciągnął diadem z kryjówki, prawdopodobnie zaraz po ukończeniu Hogwartu, nawet przed rozpoczęciem pracy u Borgina i Burkesa. I czyż te odludne miejsca w lasach Albanii nie oferowały doskonałego schronienia, gdy nadszedł czas, kiedy Voldemort musiał przeczekać w ukryciu dziesięć długich lat? Diadem jednakże, kiedy stał się już drogim mu horkruksem, nie miał pozostawać dłużej w tym samym miejscu, skryty wewnątrz zwykłego drzewa. Wrócił w tajemnicy do swego prawdziwego domu, a Voldemort z pewnością umieścił go tam...

- ... tej nocy, kiedy przyszedł ubiegać się o pracę! - dokończył myśl na głos.

- Proszę?

- Ukrył diadem w zamku, kiedy przyszedł prosić Dumbledore'a, żeby pozwolił mu nauczać! - powtórzył Harry. Mówienie tego na głos pomagało mu układać wszystko w sensowną całość. - Na pewno ukrył diadem idąc do gabinetu Dumbledore'a, albo stamtąd wracając! A starać się o pracę i tak mu się opłacało, może potem miałby szansę wykraść też miecz Gryffindora... dzięki! Dziękuję!

Zostawił ją osłupiałą i skierował się z powrotem do sali wejściowej. Na rogu korytarza zerknął na zegarek - była za pięć dwunasta. Wiedział już, *czym* jest ostatni horkruks, tylko wciąż nawet nie zbliżył się do odkrycia, *gdzie* może on się znajdować...

Wielu pokoleniom uczniów nie udało się odnalezienie diademu - płynął stąd wniosek, że nie było go w wieży Ravenclawu. Zatem gdzie był? Jakież sekretne miejsce znalazł w Hogwarcie Tom Riddle, że sądził, iż zawsze pozostanie nieodkryte?

Zatopiony w gorączkowych rozmyślaniach Harry zakręcił, ale ledwie zdążył postawić parę kroków, coś z ogłuszającym hukiem wybiło okno po lewej. Natychmiast się cofnął, bo do środka wpadł ktoś ogromny, uderzając w przeciwległą ścianę. Od przybysza odskoczył drugi, mniejszy i pokryty sierścią, który ze skomleniem podbiegł do chłopca.

- Hagrid! - krzyknął Harry do gramolącego się olbrzyma, opędzając się od Kła i jego czułości - Co ty?...

- Harry! Toś ty tutaj!

Hagrid pochylił się, obdarował Harry'ego krótkim, choć jak zwykle niemal łamiącym żebra uściskiem, po czym z powrotem podbiegł do okna.

- Dzięki, Graupku! - ryknął przez dziurę, którą wybił. - Zaraz wracam, czekaj tam! Grzeczny chłopiec!

Za Hagridem Harry dostrzegł w ciemnościach nocy błyski dalekich świateł; zza okien rozległy się rozpaczliwe krzyki. Znów spojrzał na zegarek - była północ. Bitwa się rozpoczęła.

- Rany, Harry - wysapał Hagrid. - To już? Bitwa będzie?

- Hagridzie, skąd ty się tu wziąłeś?

- Słyszał żem Sam - Wiesz - Kogo aż w naszej jaskini - odparł ponuro Hagrid. - Się poniosło, nie? Macie czas do północy, gadał, Pottera mi dajcie. Wiedziałem, żeś ty gdzieś tutaj i co się święci. Kieł, leżeć! No tośmy się z Kłem i Graupkiem wybrali. No i się tu przedarliśmy pędem spod lasu, Graupek nas niósł. Powiedziałem mu, żeby mnie pod zamek podrzucił, to mnie do środka przez okno władował, ale niech mu będzie. Chociażem trochę nie tak chciał... A gdzie Ron i Hermiona?

- Dobre pytanie - powiedział Harry. - Chodźmy.

Ruszyli razem, Kieł deptał im po piętach. Wszędzie wokół słychać było poruszenie, tupot nóg i okrzyki. Za oknami, na ciemnych błoniach, błyskało coraz więcej zaklęć.

- Gdzie idziemy? - dyszał przy Harrym Hagrid, tupiąc w biegu tak, że aż podłoga drżała.

- Nie wiem dokładnie - odparł Harry, skręcając w pierwszą lepszą odnogę korytarza - ale Ron i Hermiona muszą gdzieś tu być...

Na podłodze przed nimi walały się szczątki pierwszych ofiar bitwy: kamiennych gargulców, które dotąd strzegły pokoju nauczycielskiego. Musiało je trafić zaklęcie zza rozbitego teraz okna. Pozostałości poruszały się niemrawo; gdy Harry przeskoczył nad leżącą głową, ta jęknęła słabo: - Ech, nie przejmuj się mną, poleżę sobie tu trochę w kawałkach...

Brzydka, wykuta w kamieniu twarz przypomniała nagle Harry'emu o marmurowym popiersiu Roweny Ravenclaw w domu Ksenofiliusa, z głową przyozdobioną kolekcją dziwacznych przedmiotów... A potem o tym, że w wieży Ravenclawu stoi statua z kamienia, postać z diademem na białych lokach...

Dochodząc do końca korytarza, przypomniał sobie jeszcze czyjąś podobiznę z kamienia - odrażającego, starego czarodzieja, któremu kiedyś założył na głowę starą perukę i zmatowiały diadem. Zszokowany, o mało się nie przewrócił, gdy to wspomnienie rozpaliło go, niczym łyk Ognistej Whisky.

I już wiedział, gdzie ten ukryty horkruks oczekuje na znalazcę.

Tom Riddle nie ufał nikomu i zawsze działał sam. Ktoś tak butny mógł sądzić, że tylko on zgłębił wszystkie tajemnice Hogwartu. Dumbledore i Flitwick, wzorowi uczniowie, nigdy, rzecz jasna, nie zawitali w pewnym miejscu, które jednak odwiedził Harry, omijający często utarte szlaki. W końcu odkrył sekret Voldemorta, o którym Dumbledore nie miał pojęcia...

Nagle z przeciwka wypadła profesor Sprout, a za nią Neville i jeszcze około tuzina uczniów, wszyscy w nausznikach, niosący jakieś rośliny w donicach.

- To mandragory! - krzyknął przez ramię Neville, nie zatrzymując się. - Jak im je zrzucimy na głowy, nie będzie im wesoło!

Harry już wiedział, dokąd ma pójść. Przyśpieszył kroku, a Hagrid i Kieł biegli za nim. Mijali portret za portretem, za nimi z płótna na płótno przeskakiwały namalowane postacie czarodziejów i czarownic, ustrojonych w krezy, bryczesy, zbroje i płaszcze, popychając się nawzajem i wykrzykując wieści z innych części zamku. Kiedy dobiegali do końca kolejnego korytarza, zamek zadygotał, aż obok nich spadła z cokołu wielka waza - gdzieś musiało trafić groźniejsze zaklęcie, niż te rzucone przez Zakon Feniksa i nauczycieli.

- Spokój, Kieł! Spokój! - krzyknął Hagrid, lecz brytan umknął, spłoszony odłamkami porcelany, latającymi dookoła jak pociski. Olbrzym z głośnym tupotem pobiegł za Kłem i Harry został sam.

Z różdżką w dłoni przemierzał kolejne wstrząsane drganiami korytarze. W jednym z nich pobiegł za nim z brzękiem zbroi poprzez malowidła niski rycerz, za którym kłusował kucyk. Sir Cadogan wykrzykiwał zachęcająco:

- Przepędź tych szubrawców i łotrów, Harry Potterze, przegoń te nędzne kanalie!

Pognał dalej i za rogiem wpadł na Freda i grupkę uczniów, wśród których rozpoznał Lee Jordana i Hannę Abbott. Wszyscy stali obok pustego cokołu, mierząc różdżkami w statuę, skrywającą wejście do tunelu, i nasłuchując, czy nikt z niego nie wychodzi.

- Niezła noc na takie akcje! - krzyknął Fred. Zamek znów zadygotał, Harry'ego przepajała duma i strach zarazem. Pobiegł jeszcze dalej i w następnym korytarzu

zobaczył chmarę sów - Pani Norris syczała i biła je łapkami, próbując zapędzić ptaki z powrotem we właściwe miejsce...

- Potter! - Stanął przed nim Aberforth Dumbledore z wyciągniętą różdżką, blokując przejście. - Przez mój pub przetaczają się setki dzieciaków!

- Wiem, ewakuują się - rzucił Harry. - Voldemort...

- Tak, atakuje, bo nikt cię nie wydał, jasne - powiedział Aberforth. - Nie jestem głuchy, całe Hogsmeade go słyszało. Nie przyszło ci do głowy, żeby wziąć kilku zakładników? Ślizgonów? Wysłałeś w bezpieczne miejsce również dzieci śmierciożerców. Nie byłoby rozsądniej przetrzymać je tutaj?

- Voldemorta by to nie powstrzymało - odparł. - A twój brat nigdy by tego nie zrobił.

Aberforth odburknął coś tylko i pobiegł w swoją stronę.

Twój brat nigdy by tego nie zrobił... Tak, to prawda, pomyślał Harry, ruszając dalej biegiem. Dumbledore, który od tak dawna bronił nawet Snape'a, w życiu nie zniżyłby się do brania zakładników spośród uczniów...

Zakręcił z poślizgiem na rogu przy końcu korytarza i aż krzyknął, choć prócz gniewu poczuł też ulgę - zobaczył przed sobą Rona i Hermionę, niosących w ramionach mnóstwo wielkich, zakrzywionych przedmiotów żółtawego koloru. Ron trzymał pod pachą miotłę.

- Gdzie wyście, do ciężkiej cholery, byli?!

- W Komnacie Tajemnic - odparł Ron.

- W Komnacie... Co? - Harry zamarł tuż przed nimi.

- To Ron! Ron to wymyślił! - odpowiedziała bez tchu Hermiona - To tam poszliśmy, kiedy już zniknąłeś! Mówiłam Ronowi, że nawet jak znajdziemy następny horkruks, to niby jak mamy go zniszczyć? Przecież czarki też jeszcze nie zniszczyliśmy! I wtedy nam przyszło do głowy - bazyliszek!

- Co?...

- Coś do psucia horkruksów - oznajmił Ron.

Harry przyjrzał się dokładniej, co Hermiona i Ron ze sobą przynieśli. Były to ogromne, zakrzywione kły, które - jak właśnie sobie uzmysłowił - musieli wyrwać z czaszki martwego bazyliszka.

- Ale jak się tam dostaliście? - patrzył to na kły, to na Rona. - Przecież musiałbyś mówić językiem wężów!

- No to mówił! - wyszeptała Hermiona. - Pokaż mu, Ron!

Chłopak wydał z siebie przerażający, zduszony syk.

- Tak zrobiłeś, żeby otworzyć medalion - dodał, jakby się usprawiedliwiał. - Parę razy musiałem to przećwiczyć, ale... - wzruszył skromnie ramionami - w końcu się udało.

- Był niesamowity! - powtarzała Hermiona. - Po prostu niesamowity!

- No i... - usiłował nadążyć Harry. - No i co?

- No i załatwiliśmy następnego horkruksa - dokończył Ron, wyciągając spod kurtki pogięte coś, co dawniej było czarką Helgi Hufflepuff. - Hermiona go dziabnęła. Należało jej się chyba? Wcześniej nie miała tej przyjemności.

- Ty spryciarzu! - krzyknął Harry.

- Drobiazg, naprawdę - odparł Ron, ale widać było, że jest z siebie zadowolony. - A u ciebie co nowego?

W tym momencie usłyszeli gdzieś nad sobą eksplozję. Unieśli wzrok - z sufitu sypnął się tynk, a w oddali rozległy się krzyki.

- Wiem, jak wygląda ten diadem, i wiem, gdzie jest - powiedział szybko Harry. - Voldemort ukrył go tam, gdzie ja kiedyś schowałem podręcznik do eliksirów, tam, gdzie od wieków każdy coś chowa. Myślał, że tylko on będzie umiał go znaleźć. Idziemy!

Ściany zadygotały ponownie, gdy wiódł przyjaciół z powrotem przez ukryte przejście do schodów, prowadzących w stronę Pokoju Życzeń. Na miejscu było już pusto, ujrzeli tylko trzy kobiece postacie. Były to Ginny, Tonks i starsza pani w nadjedzonym przez mole kapeluszu - Harry natychmiast rozpoznał babcię Neville'a.

- A oto i Potter - rzekła krótko, jakby właśnie na niego czekała. - Ty nam powiesz, co się dzieje.

- Nikomu nic się nie stało? - spytały chórem Ginny i Tonks.

- O ile wiem, nikomu - odparł. - Czy w przejściu do gospody Pod Świńskim Łbem ktoś jeszcze jest? - Pamiętał, że Pokój Życzeń nie może się przemieniać, kiedy ktoś z niego korzysta.

- Ja przeszłam ostatnia - odpowiedziała. - I zapieczętowałam przejście, bo skoro Aberforth jest tutaj, nierozsądnie by było zostawić je otwarte. Spotkałeś mojego wnuka?

- Jest z walczącymi.

- Naturalnie - rzekła z dumą. - Wybaczcie, ale muszę iść mu na pomoc - dodała i zadziwiająco szybko oddaliła się w stronę kamiennych schodów. Harry tymczasem patrzył na Tonks.

- Myślałem, że będziesz z Teddym u matki?

- Nie wytrzymałabym tam, muszę wiedzieć... - powiedziała z lękiem. - A Teddym mama się zajmie. Gdzie jest Remus?

- Miał dowodzić grupą bojową na błoniach...

Tonks wybiegła bez słowa. Harry zwrócił się do Ginny.

- Słuchaj... Nie gniewaj się, ale też musisz stąd wyjść. Tylko na trochę. A potem będziesz mogła wrócić.

Ale Ginny wyglądała na wprost zachwyconą perspektywą opuszczenia schronienia.

- A potem wrócisz! - krzyknął za nią, kiedy już szła śladem Tonks po schodach. - Musisz wrócić!

- Zaraz, moment! - wtrącił Ron. - Zapomnieliśmy o kimś!

- O kim? - spytała Hermiona.

- O skrzatach. Wszystkie siedzą w kuchni, prawda?

- Mamy kazać im walczyć? - zdziwił się Harry.

- Nie. Mamy kazać im się ewakuować - odparł Ron z powagą. - Nie chcemy, żeby zrobiły to, co Zgredek, prawda? Nie można im powiedzieć, żeby za nas umierały...

Kły bazyliszka wypadły Hermionie z rąk i ze stukotem rozsypały się po podłodze. Ruszyła biegiem w stronę Rona, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go prosto w usta. Ron, odrzuciwszy miotłę i swój zapas kłów, uścisnął ją z takim entuzjazmem, że uniósł ją w powietrze.

- Myślicie, że to odpowiednia chwila? - spytał niepewnie Harry. Kiedy nie zareagowali, poza tym, że przycisnęli się do siebie jeszcze mocniej, chwiejąc się lekko, uniósł głos: - EJ! Tu jest wojna!

Odsunęli się trochę od siebie, nie przestając się obejmować.

- Wiem, stary... - Ron wyglądał trochę, jakby niedawno dostał tłuczkiem. - No, ale teraz albo nigdy, nie?

- Dajcie spokój, a co z tym horkruksem? Nie możecie sobie... dać na wstrzymanie, póki nie znajdziemy diademu?

- Eee... racja. Przepraszam. - Ron i Hermiona, wciąż zarumienieni, wzięli się ze zbieranie kłów bazyliszka z podłogi.

Wychodząc z powrotem na korytarz, szybko przekonali się, że podczas tych paru chwil, które spędzili w Pokoju Życzeń, sytuacja w zamku zdążyła się poważnie pogorszyć. Sufit i ściany trzęsły się, powietrze wypełniał pył, a przez najbliższe okno widać było bardzo już bliskie rozbłyski zielonego i czerwonego światła - śmierciożercy musieli być u samych bram. Harry wyjrzał i zobaczył kluczącego po błoniach Graupa, który wymachując zerwanym pewnie z dachu gargulcem, wycofywał się z rykiem zawodu.

- Mam nadzieję, że kogoś nadepnie! - krzyknął Ron; odgłosy walk na zewnątrz słychać było już całkiem blisko.

- Oby tylko nie naszych! - odpowiedział mu ktoś. Harry zerknął i zobaczył Ginny i Tonks, mierzące w dół różdżkami z niedalekiego okna, w którym brakowało większości szyb. Na jego oczach Ginny posłała celne zaklęcie w tłum walczących.

- Dzielna mała! - ryknął mężczyzna, który właśnie wybiegał przed zasłaniającą widok chmurę pyłu. Harry rozpoznał w biegnącym Aberfortha, z rozwianym włosami, a za nim ujrzał grupkę uczniów. - Przyprowadzili ze sobą olbrzymów, chyba sforsują blanki od północy!

- Widziałeś gdzieś Remusa? - zawołała za nim Tonks.

- Tak, walczył z Dołohowem! - odkrzyknął Aberforth. - Nie spotkałem go potem!

- Tonks... - mówiła Ginny - Tonks, na pewno nic mu nie będzie... - Ale Tonks ruszyła za Aberforthem i już znikała w kłębiącym się pyle. Ginny bezradnie popatrzyła na trójkę przyjaciół.

- Będzie dobrze - rzekł Harry, świetnie wiedząc, że to puste słowa. - Ginny, zaraz wrócimy, nie stój na widoku, schowaj się gdzieś... Chodźcie! - zawołał Rona i Hermionę; razem dobiegli do fragmentu ściany, za którym Pokój Życzeń oczekiwał na rozkazy zwiedzających.

***Potrzebujemy miejsca, gdzie wszyscy coś chowają*, powtarzał w myślach Harry. Kiedy przechodzili przed ścianą po raz trzeci, zmaterializowały się na niej drzwi.**

Zgiełk bitewny ścichł, gdy tylko przekroczyli próg i zamknęli się w pokoju. Wewnątrz, w pomieszczeniu wielkości katedry, zalegała zupełna cisza. Wnętrze wyglądało jak miasto, z piętrzącymi się niczym mury stosami przedmiotów, ukrytych tu przez tysiące nieżyjących już pewnie uczniów.

- Nigdy nie wpadł na to, że tu *każdy* może wejść? - zdziwił się Ron. Jego głos poniosło echo.

- Myślał, że tylko on sam potrafi - odparł Harry. - Miał pecha, bo pewnego razu i ja musiałem coś dobrze schować... Chodźmy tędy, to chyba gdzieś tutaj.

Minął wypchanego trolla i komodę, którą rok wcześniej - z tragicznym skutkiem - naprawił Draco Malfoy. Zawahał się chwilę, rozglądając się po uliczkach między piętrzącymi się stertami gratów i próbując przypomnieć sobie, w którą stronę należy pójść.

- *Accio diadem!* - zawołała zdesperowana Hermiona, ale nic nie poleciało w ich stronę. Najprawdopodobniej Pokój Życzeń, podobnie jak krypta u Gringotta, nie zamierzał łatwo oddawać swoich skarbów.

- Rozdzielmy się - powiedział Harry. - Szukajcie kamiennego popiersia mężczyzny z założoną na głowę peruką i diademem! Stoi na kredensie, na pewno tu gdzieś będzie...

Ruszyli sąsiednimi alejkami; Harry słyszał kroki pozostałych, rozbrzmiewające pośród usypanych wokół zwałów śmieci, butli, kapeluszy, skrzyń, krzeseł, ksiąg, uzbrojenia, mioteł, pałek...

- Gdzieś tu niedaleko... - mruczał do siebie. - Gdzieś... tutaj...

Zapuszczał się w labirynt coraz głębiej i głębiej, rozglądając się za przedmiotami, które widział ostatnim razem, własny oddech huczał mu w głowie. I nagle przeszył go dreszcz emocji: miał przed sobą ten poplamiony jakimś kwasem kredens, w którym schował kiedyś stary podręcznik do eliksirów. Ten sam kredens, na którym wtedy stanęło i wciąż stało kamienne popiersie czarodzieja o poznaczonej bliznami po ospie twarzy, przystrojone zakurzoną peruką i starą zmatowiałą koroną.

Już wyciągał rękę, choć do celu brakowało kilku kroków, gdy niespodziewanie usłyszał zza pleców:

- Stój, Potter!

Zatrzymał się i obejrzał za siebie. Stali tam ramię w ramię Crabbe i Goyle, uśmiechnięci szyderczo, mierząc w niego różdżkami. Za nimi widać było Draco Malfoya.

- Masz moją różdżkę, Potter - odezwał się Draco spomiędzy kolegów i również w niego wycelował.

- Już nie jest twoja - odparł, zaciskając mocniej dłoń na wykonanej z głogu różdżce. - Kto przegrywa, ten się pozbywa. A tą od kogo pożyczyłeś?

- Od matki - wycedził Draco.

Harry roześmiał się, choć wcale nie było mu do śmiechu. Nie słyszał Hermiony ani Rona - w poszukiwaniu diademu musieli oddalić się poza zasięg głosu.

- A jak to się stało, że nie jesteście przy Voldemorcie? - spytał.

- Dostaniemy za ciebie nagrodę - odparł Crabbe. Miał zadziwiająco łagodny głos, jak na kogoś tak potężnie zbudowanego; Harry przypomniał sobie, że właściwie nigdy nie słyszał, by Crabbe coś mówił, do tego głosem małego dziecka, któremu obiecano torbę cukierków. - Czekaliśmy na ciebie. Pomyśleliśmy, że jeszcze sobie nie pójdziemy. I że mu cię dostarczymy.

- Dobra robota - udał podziw Harry. Wprost nie mógł uwierzyć - był już tak blisko, a Malfoy, Crabbe i Goyle mieli pokrzyżować mu plany! Zaczął ostrożnie posuwać się

tyłem w stronę popiersia, na którym spoczywał horkruks. Gdyby tylko udało mu się go złapać, nim dojdzie do walki...

- No to powiedzcie, skąd się tu wzięliście - zagaił dla odwrócenia uwagi.

- W szóstej klasie praktycznie mieszkałem w Pokoju Ukrytych Rzeczy - odpowiedział Malfoy. Głos mu drżał. - Wiem, jak tu trafić.

- Się przyczailiśmy w korytarzu - burknął Goyle. - Umiemy rzucić Zaklęcie Kamelona! A ty - wyszczerzył się - żeś wylazł prosto na nas i gadał, żeby się znaleźć z jakimś dziadem. Gadaj, z jakim dziadem?

- Harry? - Głos Rona niespodziewanie zabrzmiał zza usypanej z gratów ściany. - Rozmawiasz tam z kimś?

Crabbe machnął różdżką, jakby strzelał z bata, w stronę piętrzącej się na pięćdziesiąt stóp góry starych mebli, poobijanych kufrów, pożółkłych ksiąg, szat i innego śmiecia, krzycząc:

- *Descendo!*

Ściana zachwiała się i jej górna część runęła w stronę, gdzie musiało być przejście, którym właśnie szedł Ron.

- RON! - wrzasnął Harry; jednocześnie gdzieś daleko krzyknęła Hermiona, a niezliczone przedmioty, ustawione w niestabilną piramidę, sypnęły się na podłogę. Skierował na nie różdżkę, wyskandował: - *Finite!* - i ściana znieruchomiała.

- Nie! - krzyknął Malfoy, chwytając ramię Crabbe'a, by ten nie mógł ponownie rzucić zaklęcia. - Jak rozwalisz pokój, to zasypiesz ten ich diadem!

- Kogo to obchodzi? - rzucił Crabbe, wyszarpując się z uchwytu. - Czarny Pan chce Pottera, nieważne, co będzie z jakimś tam dziadem!

- Potter tu po to przyszedł - tłumaczył Malfoy; widać było, że denerwuje go, jak powoli koledzy pojmują proste rzeczy - więc na pewno...

- Na pewno? - Crabbe obrócił się do niego, nie kryjąc wściekłości. - Mam gdzieś twoje kombinowanie! Nie będziesz mi rozkazywał, Draco. Jesteś skończony, i twój stary też.

- Harry? - wołał Ron zza najbliższego stosu gratów. - Co tam się dzieje?

- Harry! - przedrzeźniał go Crabbe - Co tam się... Nie ruszaj się, Potter! *CRUCIO!*

Harry rzucił się po diadem. Klątwa Crabbe'a chybiła go, lecz uderzyła w kamienne popiersie, wybijając je w powietrze; tam, gdzie przedtem stało, diadem zatoczył w powietrzu łuk, wpadł w stertę śmieci i zniknął patrzącym z oczu.

- PRZESTAŃ! - wrzasnął Malfoy, aż poniosło się echo. - Czarny Pan chce go żywcem!...

- No co, przecież go nie mordują? - odkrzyknął Crabbe, opędzając się od Malfoya, próbującego łapać go za rękę. - Zresztą mogę, jak Czarny Pan i tak go chce wykończyć, to co za róż...

Promień czerwonego światła błysnął ledwie parę centymetrów od głowy Harry'ego; to Hermiona wybiegła zza rogu i posłała Crabbe'owi zaklęcie oszałamiające prosto w twarz. Trafiłaby, gdyby Malfoy nie szarpnął kolegi.

- To ta szlama! *AVADA KEDAVRA!*

Harry widział, jak Hermiona rzuca się w bok; furia na Crabbe'a wyparła z jego głowy wszystkie myśli. Strzelił, chcąc go ogłuszyć, ale Crabbe odskoczył, wytrącając Malfoyowi różdżkę, która wtoczyła się między rozrzucone obok kości i góry połamanych mebli.

- Nie zabijajcie go! NIE ZABIJAJCIE! - darł się Malfoy. Crabbe i Goyle zawahali się tylko na moment, mierząc do Harry'ego, któremu jednak ten moment wystarczył w zupełności.

- *EXPELLIARMUS!*

Różdżka Goyle'a wyfrunęła z dłoni i zniknęła w pobliskiej stercie gratów, a właściciel bez zastanowienia skoczył za nią. Malfoy uchylił się przed kolejnym zaklęciem oszałamiającym Hermiony, Crabbe'a o mało nie trafił czar porażenia ciała, rzucony przez Rona, który niespodziewanie wyszedł zza rogu alejki.

Crabbe obrócił się i znów zawołał: - *Avada Kedavra!*, Ron uchylił się przed zielonym promieniem. Pozbawiony różdżki Malfoy przycupnął za szafą o trzech nogach, chowając się przed Hermioną, która następnym zaklęciem właśnie dosięgła Goyle'a.

- Jest gdzieś tutaj! - krzyknął do niej Harry, wskazując na stertę śmieci, w którą wpadła stara korona. - Zobacz, czy go znajdziesz, ja idę pomóc Ronowi...

- HARRY! - wrzasnęła nagle.

W tej samej chwili usłyszał zza pleców jakiś narastający hałas. Obrócił się i zobaczył Rona i Crabbe'a, biegnących co sił w jego stronę.

- Lubisz ciepełko, brudasie? - wrzeszczał w biegu Crabbe. Chyba jednak nie miał żadnej kontroli nad tym, co wywołał. Za nimi buchały ogromne płomienie, zmieniając w popiół wszystko, czego się tknęły.

- *Aguamenti!* - ryknął Harry, ale tryskający z różdżki w powietrze strumień wody po prostu wyparował.

- WIEJEMY!

Malfoy chwycił ogłuszonego Goyle'a i pociągnął go za sobą, przerażony Crabbe wysunął się na czoło grupy, Harry, Ron i Hermiona pędzili za nim ile sił w nogach, a ogień mknął ich śladem. I nie był to zwykły ogień - Crabbe rzucił czar, o którym Harry w życiu nie słyszał. Gdy zakręcili, płomienie skręciły również, żywe, świadome, spragnione mordu. Zmieniały teraz kształt, formując się w wielkie stado ognistych bestii - ziejące ogniem węże, chimery i smoki wznosiły się, padały i znów się unosiły; nagromadzone przez wieki śmieci wzlatywały, podrzucane szponiastymi łapami, trafiały w zębate paszcze i znikały w gorejącym piekle.

Malfoy, Crabbe i Goyle gdzieś zniknęli. Harry z Ronem i Hermioną zatrzymali się nagle; stwory okrążały ich i podchodziły, otaczał ich murem bijący od nich żar, rogi, ogony i pazurzaste łapy przecinały powietrze coraz bliżej.

- Co robić?! - przekrzyczała huk ognia Hermiona. - Co robimy?!

- Łapcie!

Harry pochwycił z najbliższego stosu gratów dwie ciężkie miotły i rzucił jedną Ronowi; Ron dosiadł jej, a za sobą posadził Hermionę. Na drugą miotłę wskoczył sam i obaj natychmiast odbili się mocno od podłogi, śmigając w powietrze obok rogatego łba, bo jeden z potworów kłapał dziobem już tylko parę stóp od nich. Dym i gorąco były wszędzie, poniżej wywołana magią pożoga trawiła skrywane tu od pokoleń przez ściganych uczniów owoce zakazanych eksperymentów i niezliczone tajemnice wszystkich, którzy w Pokoju Życzeń szukali azylu. Nigdzie nie było widać śladu Malfoya, Crabbe'a ani Goyle'a; Harry zniżył lot na tyle, na ile odważył się zbliżyć do szalejących płomieni, ale nie zobaczył niczego prócz ognia. Co za okropna śmierć, nigdy im tego nie życzył...

- Harry, uciekaj, uciekaj! - wołał Ron, choć przez kłęby czarnego dymu nie było widać, z której strony jest wyjście.

I wtedy nagle usłyszeli wśród hałasu przerażone krzyki, dobiegające ze środka pożaru.

- Nie ryzykuj! - krzyknął Ron, ale Harry już zawracał. Okulary dawały mu odrobinę ochrony przed dymem, więc przeczesywał ogarnięte ogniem obszary, rozglądając się za oznakami życia, za jakąś twarzą albo kończyną, która jeszcze nie płonęła, tak, jak drewno wokół. I wreszcie ich wypatrzył i zanurkował: Malfoy trzymał nieprzytomnego Goyle'a na szczycie stosu nadpalonych biurek. Kiedy go zobaczył, wyciągnął w górę rękę, lecz Harry wiedział, że nic z tego nie będzie - Goyle był za ciężki, a spocona dłoń Malfoya natychmiast wyślizgnęła mu się z dłoni.

- HARRY, JAK TU ZA NICH ZGINIEMY, TO CIĘ ZAMORDUJĘ! - ryknął Ron. Razem z Hermioną załadowali na swoją miotłę Goyle'a i znów wzbili się w powietrze, chwiejąc się we wszystkie strony, bo ognista chimera już prawie miała spaść im na głowy, tymczasem zaś Malfoy wdrapał się na miejsce za Harrym.

- Do drzwi, do drzwi! Leć do drzwi! - krzyczał mu w ucho. Harry przyśpieszył, podążając za Ronem, Hermioną i Goyle'em przez kłęby czarnego dymu; ledwo był w stanie oddychać. Wokół nich w powietrze śmignęły ostatnie przedmioty, których nie strawiły żarłoczne płomienie - ogniste stwory wyrzuciły je w powietrze, zupełnie jakby świętowały. Przelatywały puchary i tarcze, połyskujący naszyjnik, zaśniedziały diadem...

- Co robisz? Co ty wyprawiasz? Drzwi są z tamtej! - wrzeszczał Malfoy, ale Harry już zakręcił niemal w miejscu i zanurkował. Zdawało mu się, że diadem opada w zwolnionym tempie, błyskając i wirując; nim wleciał w rozdziawiony pysk wielkiego węża,

miał go już na nadgarstku. Znów skręcił, unikając ataku gada, śmignął w górę i skierował się w stronę, gdzie miał nadzieję znaleźć wyjście. Rona, Hermiony i Goyle'a nie było widać; Malfoy krzyczał, trzymając go w bolesnym uchwycie. I wreszcie wśród kłębów dymu Harry wypatrzył prostokątny kształt drzwi i skierował w jego stronę miotłę, a już po chwili zachłysnął się czystym powietrzem i uderzył w ścianę korytarza.

Malfoy spadł z miotły i pozostał twarzą do podłogi, kaszląc, krztusząc się i łapiąc oddech. Drzwi Pokoju Życzeń zniknęły; Harry przetoczył się i wyprostował, obok zdyszany Ron i Hermiona siedzieli niedaleko nadal nieprzytomnego Goyle'a.

- Crabbe... - wykrztusił Malfoy, kiedy już był w stanie mówić. - Crabbe...

- Nie żyje - odparł krótko Ron.

Zapadła cisza, słyszeli przez chwilę tylko własne oddechy i kaszel. Zaraz potem zamkiem zatrzęsło kilka wybuchów, a jednocześnie obok przecwałowała konna kawalkada przezroczystych sylwetek, trzymających głowy pod pachami, w krzykach jeźdźców była żądza krwi. Harry wstał i zachwiał się - Polowanie bez Głów już się oddalało, lecz krzyki rozbrzmiewały nadal, i to nie duchy krzyczały.

- Gdzie Ginny? - spytał nagle ze strachem. - Była tutaj, miała się z powrotem schować do Pokoju Życzeń.

- O rany - Ron pozbierał się i rozglądnął dookoła. - A myślisz, że Pokój po tym pożarze dalej będzie na chodzie? Rozdzielmy się może...

- Lepiej nie - Hermiona też już się podniosła. Malfoy i Goyle nadal leżeli bez ruchu na środku korytarza; nie mieli różdżek. - Zostańmy razem. Chodźmy... Harry, co ty masz na ręce?

- Co? A, to...

Uniósł do oczu ściągnięty z nadgarstka diadem. Był gorący i uwalany sadzą, lecz z bliska wciąż dawało się odczytać wyryte na nim drobnymi literami zdanie:

Kto ma olej w głowie, temu dość po słowie

Z diademu ciekło coś smolistego, niczym ciemna krew. Nagle szarpnął się Harry'emu w dłoni i rozpadł z odgłosem, który zabrzmiał jak daleki wrzask, choć nie dobiegł z głębi zamku ani zza okien, lecz z tego, co właśnie rozsypało mu się w palcach.

- To musiały być Ognie Piekielne! - pisnęła Hermiona, nie odrywając wzroku od szczątków.

- Proszę?

- Ognie Piekielne! To magiczny ogień, jedna z rzeczy, które niszczą horkruksy. Tylko że w życiu bym się nie ośmieliła tego używać, to bardzo niebezpieczne... Skąd Crabbe wiedział?...

- Pewnie Carrowowie go nauczyli - odparł ponuro Harry.

- Szkoda tylko, że nie uważał, kiedy mówili jak to się gasi - Ron, podobnie jak Hermiona, miał nadpalone włosy i okopconą twarz. - Gdyby nie ten drobiazg, że próbował nas pozabijać, to nawet byłoby mi przykro, że zginął.

- Zdajecie sobie sprawę, co zrobiliśmy? - wyszeptała Hermiona. - Przecież teraz, jak jeszcze tylko złapiemy tego węża...

Nie dokończyła, bo w pobliżu rozległy się krzyki i odgłosy walki. Harry obejrzał się i serce w nim zamarło - śmierciożercy wtargnęli do Hogwartu. Ujrzał Freda i Percy'ego, broniących się przed ludźmi w maskach i kapturach.

Razem z Ronem i Hermioną rzucili się na pomoc. We wszystkie strony śmignęły promienie światła. Mężczyzna, który walczył z Percym, cofnął się gwałtownie, z głowy spadł mu kaptur, a spod kaptura wyjrzała twarz, wysokie czoło i przetykane siwizną włosy.

- Witam, panie ministrze! - powiedział głośno Percy, częstując Piusa Thicknesse zaklęciem, po którym trafiony upuścił różdżkę i momentalnie złapał się za przód szaty, jakby poczuł coś strasznie nieprzyjemnego. - Czy mówiłem już panu, że składam rezygnację?

- Percy, chyba żartujesz! - krzyknął Fred. Śmierciożerca, z którym walczył, padł trafiony trzema zaklęciami oszałamiającymi, Thicknesse tymczasem właśnie przewracał się na podłogę, a na całym ciele rosły mu kolce, niczym jakiemuś jeżowcowi. Fred popatrzył na brata z zadowoleniem.

- Ty naprawdę żartujesz... Chyba pierwszy raz, odkąd się...

Nagle nastąpiła eksplozja. Byli obok siebie, Harry, Ron, Hermiona, Fred i Percy, a u ich stóp dwóch śmierciożerców - ogłuszony i transmutowany - i właśnie w tej sekundzie, kiedy zdawało się, że niebezpieczeństwo na chwilę ustąpiło, powietrze rozdarł wybuch. Chłopak czuł, że leci, był w stanie tylko zacisnąć dłoń na różdżce, jego jedynej broni, i zasłonić głowę rękami. Słyszał krzyki towarzyszy i nie miał pojęcia, co się z nimi dzieje.

A potem świat rozpadł się i pozostał tylko ból i półmrok. Harry leżał przysypany fragmentami gruzu, w jaki obrócił się zaatakowany odcinek korytarza. Zimny powiew mówił mu, że ściana zamku musiała wylecieć w powietrze, lepka, gorąca ciecz na policzku - że właśnie obficie krwawi. Usłyszał okropny, mrożący krew w żyłach wrzask, krzyk cierpienia, jakiego ogień ani klątwy nie były w stanie zadać; stanął niepewnie na nogi, czując większy strach, niż do tej pory przez cały dzień, a może i przez całe życie... Obok próbowała się podnieść spod gruzów Hermiona; ujrzał trzech rudowłosych mężczyzn obok miejsca, gdzie ściana przestała istnieć. Podał dłoń dziewczynie i razem, chwiejąc się i potykając, wydostali się ze sterty drewna i kamieni.

- Nie, nie, nie! - krzyczał ktoś. - Nie, Fred! Nie!

Percy szarpał brata, Ron klękał właśnie obok nich, lecz Fred już tylko patrzył niewidzącym wzrokiem, a na jego twarzy nieruchomiał cień ostatniego uśmiechu.

Rozdział 32
Starsza Różdżka

Tłumaczenie: Hella

To było jak koniec świata. Tylko dlaczego bitwa nie ustała, zamek nie pogrążył się w przerażającej ciszy, a żaden z walczących nie złożył broni? Umysł Harry'ego nie był do końca świadomy tego, co się dzieje, bo przecież Fred Weasley nie mógł być martwy, własne zmysły musiały go okłamywać...

Nagle czyjeś ciało wypadło z otwartej w murze wyrwy. Z ciemności nadleciały zaklęcia, uderzając w ścianę nad ich głowami.

- Padnij! - krzyknął Harry, gdy coraz więcej zaklęć przecinało nocne powietrze. Wraz z Ronem złapali Hermionę i popchnęli ją na ziemię, ale Percy wciąż leżał na ciele Freda, jakby chciał ochronić je przed kolejnymi ranami.

- Percy, chodź, musimy iść dalej! - krzyknął Harry, ale on tylko potrząsnął głową.

- Percy! - Harry widział ślady łez na twarzy Rona, kiedy ten chwycił swojego starszego brata za ramiona i próbował zmusić do wstania, ale Percy ani drgnął.

- Percy, już nic nie możesz dla niego zrobić! Musimy...

Hermiona krzyknęła, a Harry obróciwszy się, nie musiał pytać dlaczego. Monstrualny pająk, o rozmiarach małego samochodu, próbował wspiąć się przez ogromną dziurę w ścianie: jeden z potomków Aragoga przyłączył się do walki. Ron i Harry krzyknęli razem; ich zaklęcia zderzyły się i potwór został odrzucony w tył - jego nogi zadrgały ohydnie, nim zniknął w ciemnościach.

- Przyprowadził przyjaciół! - zawołał Harry, wyglądając na zewnątrz poprzez wyrwę w murze, przez którą wciąż śmigały zaklęcia. Więcej ogromnych pająków,

uwolnionych z Zakazanego Lasu, zapewne spenetrowanego przez śmierciożerców, wspinało się po ścianie budynku. Harry rzucał na nie zaklęcia oszałamiające, przewracając ich przywódcę na pozostałe monstra, aż w końcu spadły z muru, znikając z zasięgu wzroku. Coraz więcej zaklęć przelatywało nad głową Harry'ego, tak blisko, że czuł jak ich pęd rozwiewa mu włosy.

- Ruszamy, JUŻ!

Harry popchnął Hermionę i Rona przed sobą, a potem zatrzymał się, aby chwycić Freda pod pachami. Percy, rozumiejąc, co Harry chce zrobić, przestał kurczowo obejmować ciało brata i pomógł. Razem - kuląc się nisko, aby uniknąć zaklęć - odholowali je na bok.

- Tutaj - polecił Harry i umieścili je w niszy, w której wcześniej stała zbroja. Nie mógł patrzeć na Freda ani sekundy dłużej, niż było to konieczne i po upewnieniu się, że ciało zostało dobrze schowane, pobiegł za Ronem i Hermioną. Malfoy i Goyle zniknęli, ale na końcu korytarza, który był teraz pełen kurzu, gruzu i wybitego z okien szkła, ujrzał wielu ludzi biegających w różnych kierunkach, nie wiadomo - przyjaciół czy wrogów. Mijając róg, Percy wydał z siebie odgłos podobny do ryku zranionego byka: ROOKWOOD! I pognał w kierunku wysokiego mężczyzny, ścigającego kilku uczniów.

- Harry, tutaj! - krzyknęła Hermiona.

Udało jej się wciągnąć Rona za gobelin. Wyglądało jakby się siłowali, i przez krótką chwilę Harry pomyślał, że znów się obejmują; ale zobaczył, że Hermiona próbuje powstrzymać Rona od pobiegnięcia za Percym.

- Posłuchaj mnie! POSŁUCHAJ, RON!

- Chcę pomóc... Chcę zabijać śmierciożerców!

Jego twarz była wykrzywiona z furii, osmalona i brudna od kurzu; drżał z żalu i wściekłości.

- Ron, tylko my możemy to skończyć! Proszę, Ron, trzeba znaleźć węża, musimy zabić węża! - powtarzała Hermiona.

Ale Harry wiedział, jak musi czuć się Ron; pościg za kolejnym horkruksem nie mógł zaspokoić żądzy zemsty. On też chciał walczyć, chciał, by ludzie, którzy zabili Freda za to zapłacili. I pragnął odnaleźć pozostałych Weasleyów, a przede wszystkim upewnić się, upewnić się całkowicie, że Ginny nie... - ale nie pozwolił sobie na dokończenie tej myśli.

- *Będziemy* walczyć! - powiedziała Hermiona. - Musimy dostać się do węża! Tylko my... Tylko my możemy to skończyć!

Też płakała i kiedy mówiła, wycierała sobie twarz podartym i nadpalonym rękawem, ale wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Ciągle trzymając mocno Rona, zwróciła się do Harry'ego:

- Musisz dowiedzieć się, gdzie jest Voldemort, bo wąż będzie razem z nim, prawda? Zrób to Harry, spojrzyj w głąb jego umysłu!

Dlaczego to było takie łatwe? Czy dlatego, że blizna płonęła od wielu godzin, usiłując pokazać mu myśli Voldemorta? Zamknął oczy, zgodnie z jej życzeniem i natychmiast krzyki, huki i zgiełk bitwy zaczęły się wyciszać, aż stały się odległe, jakby stał daleko, daleko od nich...

Znalazł się w środku opuszczonego, choć dziwnie znajomego pokoju, z odpadającymi ze ścian tapetami i zabitymi oknami - wszystkimi z wyjątkiem jednego. Odgłosy walki były przytłumione i odległe. Przez jedyne niezablokowane okno widać było dalekie rozbłyski światła - wnętrze pokoju oświetlała jedynie samotna lampa naftowa.

Kręcił różdżką między palcami, patrząc na nią, ale jego myśli krążyły wokół Pokoju w zamku, sekretnego Pokoju, który tylko jemu było dane odnaleźć; miejsca, które - podobnie jak Komnata Tajemnic - wymagało od swego odkrywcy, aby był mądry, przebiegły i dociekliwy... Był pewien, że chłopak nie mógł znaleźć diademu... Jednakże ta marionetka Dumbledore'a zaszła i tak o wiele dalej, niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać... Za daleko.

- Mój panie - odezwał się zdesperowany i chrapliwy głos. Obrócił się: był tam Lucjusz Malfoy, siedzący w najciemniejszym kącie, obdarty i ciągle noszący ślady kary, jaka go spotkała po ostatniej ucieczce chłopaka. Jedno oko miał zamknięte i opuchnięte. - Mój panie... Proszę... Mój syn...

- Jeśli twój syn zginął, Lucjuszu, to nie moja wina. Nie przyszedł i nie przyłączył się do mnie jak reszta Ślizgonów. Może zdecydował się zaprzyjaźnić z Harrym Potterem?

- Nie, nigdy - wyszeptał Malfoy.

- Musisz mieć tę nadzieję.

- Czy... Czy nie obawiasz się, mój panie, że Potter mógł zginąć z ręki innej niż twoja? - spytał Malfoy drżącym głosem. - Czy nie byłoby...wybacz mi... roztropne, odwołać bitwę, wkroczyć do zamku i poszukać go s - samemu?

- Nie udawaj, Lucjuszu. Chciałbyś, aby bitwa ustała, żebyś mógł dowiedzieć się, co się stało z twoim synem. Ale ja nie muszę szukać Pottera. Zanim noc się skończy, Potter sam mnie znajdzie.

Voldemort raz jeszcze spojrzał na różdżkę w swoim ręku. To go niepokoiło... A sprawy, które niepokoiły Lorda Voldemorta, musiały ulec zmianie.

- Idź i sprowadź Snape'a.

- Snape'a, m - mój panie?

- Snape'a. Jest mi teraz potrzebny. Jest pewna... usługa, której od niego wymagam. Idź.

Przerażony, potykający się nieco w ciemnościach, Lucjusz opuścił pokój. Voldemort wciąż stał, wpatrując się w różdżkę, którą obracał między palcami.

- To jedyny sposób, Nagini - wyszeptał i spojrzał w bok, gdzie wielki, gruby wąż był zawieszony w powietrzu i wił się z gracją wewnątrz ochronnej, migotliwej sfery, którą dla niego stworzył - gwieździstej, przezroczystej kuli - czymś z wyglądu pomiędzy świecącą klatką, a zbiornikiem.

Z westchnieniem Harry wycofał się i otworzył oczy. W tym samym momencie jego uszy zaatakowały trzaski, krzyki i grzmoty bitwy.

- Jest we Wrzeszczącej Chacie. Wąż jest z nim, ma wokół siebie jakiś rodzaj magicznej ochrony. Właśnie wysłał Lucjusza Malfoya, żeby znalazł Snape'a.

- Voldemort siedzi we Wrzeszczącej Chacie? - spytała oburzona Hermiona. - To on nawet... on nawet *nie walczy*?

- Sądzi, że nie musi walczyć - odparł Harry. - Myśli, że sam do niego przyjdę.

- Ale dlaczego?

- Wie, że szukam horkruksów - trzyma więc Nagini blisko siebie. Oczywiście będę musiał przyjść do niego, żeby się do niej dostać...

- Racja - powiedział Ron, prostując ramiona. - Więc nie możesz iść. On właśnie tego chce, tego się spodziewa. Ty zostaniesz tutaj i zaopiekujesz się Hermioną, a ja pójdę i dorwę...

Ale Harry przerwał Ronowi.

- Wy dwoje tutaj zostajecie, ja założę pelerynę - niewidkę, pójdę i wrócę tak szybko, jak...

- Nie - powiedziała Hermiona. - O wiele sensowniej będzie, jeśli ja wezmę pelerynę - niewidkę i...

- Nawet o tym nie myśl - odburknął jej Ron.

Zanim Hermiona zdążyła powiedzieć coś więcej poza: Ron, jestem tak samo zdolna... - gobelin u szczytu schodów, na których się znajdowali, został rozdarty.

- POTTER!

Stało za nim dwóch zamaskowanych śmierciożerców, ale zanim zdołali do końca podnieść różdżki, Hermiona krzyknęła: - Glisseo!

Schody zupełnie się rozpłaszczyły, tworząc zjeżdżalnię, i cała trójka pojechała w dół, niezdolna kontrolować swojej prędkości, ale na tyle szybko, że zaklęcia oszałamiające śmierciożerców cięły powietrze wysoko nad ich głowami. Wylatywały spod kryjącego ich gobelinu, kręciły się nieszkodliwie po podłodze i trafiały w przeciwległą ścianę.

- *Duro*! - krzyknęła Hermiona, kierując różdżkę na gobelin. Usłyszeli dwa głośne, obrzydliwe chrupnięcia, kiedy gobelin zamienił się w kamień i atakujący ich śmierciożercy zostali nim przygniecieni.

- Cofnąć się! - zawołał Ron i wszyscy troje przycisnęli się płasko do drzwi, kiedy stado ławek przegalopowało tuż obok nich, kierowane przez profesor McGonagall, która

zdawała się nie dostrzegać niczego poza tym. Miała rozwichrzone włosy i rozcięty policzek. Gdy tylko skręciła za róg, usłyszeli jak krzyczy:

- DO ATAKU!

- Harry musisz założyć pelerynę - niewidkę - powiedziała Hermiona. - Mniejsza o nas...

Ale on zarzucił pelerynę na siebie i na nich; chociaż byli wysocy, wątpił, by ktokolwiek zauważył ich pozbawione reszty ciała stopy, pośród błyskających zaklęć i spadających odłamków, w kurzu, który wypełniał powietrze.

Zbiegli następnymi schodami i znaleźli się w korytarzu pełnym pojedynkujących się ludzi. Portrety po obu stronach walczących były wypełnione postaciami wykrzykującymi rady i zachęcającymi do walki, podczas gdy śmierciożercy walczyli z uczniami i nauczycielami. Dean zdobył różdżkę i teraz walczył twarzą w twarz z Dołohowem, a Parvati z Traversem. Harry, Ron i Hermiona natychmiast podnieśli różdżki, gotowi uderzyć, ale walczący poruszali się i zmieniali pozycję tak szybko, że istniało bardzo duże prawdopodobieństwo trafienia kogoś ze swoich. Kiedy tak stali, ściśnięci pod peleryną, szukając sposobności do działania, usłyszeli głośne: "Łłiiiiiiiiiiii!". Spojrzawszy w górę, Harry zobaczył Irytka, przelatującego nad nimi i upuszczającego strąki wnykopieńków prosto na śmierciożerców, których głowy zostały nagle oblepione przez zielone bulwy, wijące się jak grube robaki.

- Aaa!

Garść bulw trafiła w pelerynę nad głową Rona; oślizgłe, zielone korzenie zawisły dziwacznie w powietrzu, kiedy Ron próbował je strząsnąć.

- Tam jest ktoś niewidzialny! - krzyknął jakiś śmierciożerca, wskazując w ich stronę.

Dean wykorzystał moment jego nieuwagi, nokautując go zaklęciem oszałamiającym. Dołohow próbował mu się odwzajemnić lecz Parvati rzuciła w niego *Petrificus Totalus*.

- IDZIEMY! - wrzasnął Harry. Zacisnęli mocniej pelerynę wokół siebie i pognali ze schylonymi głowami poprzez środek bitwy, ślizgając się chwilami w kałużach soku z wnykopieńków, w kierunku marmurowych schodów do Sali Wejściowej.

- Jestem Draco Malfoy, jestem Draco, jestem po twojej stronie!

Stojący na półpiętrze chłopak błagał kogoś zamaskowanego. Harry oszołomił śmierciożercę zaklęciem, kiedy przechodzili obok; uśmiechając się, Malfoy rozglądał się wokół w poszukiwaniu swojego wybawcy. Ron, pod peleryną - niewidką, popchnął go tak, że Ślizgon upadł na śmierciożercę, otumaniony, a z jego ust pociekła krew.

- To już drugi raz tej nocy, kiedy uratowaliśmy ci życie, ty dwulicowa świnio! - krzyknął Ron.

Było jeszcze wielu walczących na całych schodach i w Sali. Harry wszędzie widział śmierciożerców: Yaxley, blisko wejściowych drzwi, w walce z Flitwickiem, zamaskowany śmierciożerca pojedynkujący się z Kingsleyem, zaraz obok nich. Uczniowie biegali we wszystkich kierunkach, niektórzy nieśli lub ciągnęli rannych przyjaciół. Harry rzucił zaklęcie oszałamiające na jakiegoś śmierciożercę. Spudłował, prawie przy tym trafiając Neville'a, który pojawił się jakby znikąd, potrząsając pękiem jadowitych tentakuli; te ochoczo pochwyciły najbliższego śmierciożercę i zaczęły owijać się wokół niego.

Harry, Ron i Hermiona popędzili w dół marmurowych schodów. Szkło posypało się po ich lewej stronie, gdy z klepsydry, która pokazywała punkty Slytherinu, rozsypały się wszędzie szmaragdy, a ludzie zaczeli ślizgać się i zataczać. Dwa ciała spadły z galerii nad ich głowami, kiedy dostali się na dół i jakaś szara plama, którą Harry wziął za czworonożne zwierzę, popędziła przez hol, aby zatopić w kimś zęby.

- NIE! - wrzasnęła Hermiona i z ogłuszającym wybuchem z jej różdżki, Fenrir Greyback został odrzucony w tył od lekko drgającego ciała Lavender Brown. Uderzył w marmurową balustradę i walczył, by znowu stanąć na nogi. Wtem, z białym błyskiem i trzaskiem, spadła mu na głowę kryształowa kula - upadł i już się nie poruszył.

- Mam więcej! - krzyknęła profesor Trelawney sponad poręczy. - Więcej dla każdego, kto zechce! Proszę! - I z takim ruchem, jakby serwowała w tenisie, dźwignęła następną, wielką, kryształową kulę ze swojej torby, machnęła różdżką w powietrzu, powodując, że kula przeleciała przez hol i roztrzaskała okno. W tym samym momencie

ciężkie drzwi wejściowe stanęły otworem i więcej gigantycznych pająków wtargnęło do Sali Wejściowej.

Krzyki przerażenia wypełniły powietrze: walczący rozproszyli się - tak śmierciożercy, jak i hogwartczycy - a czerwone i zielone promienie poleciały w stronę stada nadciągających potworów, które kotłowały się i wymachiwały odnóżami, jeszcze bardziej przerażające niż wcześniej.

- Jak się wydostaniemy? - Głos Rona przedarł się przez tumult, ale zanim Harry, czy Hermiona zdołali odpowiedzieć, zostali roztrąceni na boki; Hagrid nadszedł, spiesząc po schodach, machając swoim kwiecistym, różowym parasolem.

- Nie krzywdźcie ich, nie krzywdźcie ich! - wołał.

- HAGRIDZIE, NIE!

Harry zapomniał o wszystkim innym; wyskoczył spod peleryny i ruszył zgięty wpół, aby uniknąć zaklęć latających po całej Sali.

- HAGRIDZIE, WRACAJ!

Ale nie był nawet w połowie drogi, kiedy półolbrzym zniknął miedzy pająkami, które w wielkim pośpiechu, wstrętnym, stadnym ruchem, zaczęły wycofywać się pod nawałem zaklęć, z Hagridem w środku, między nimi.

- HAGRID!

Harry słyszał kogoś wołającego jego imię, ale nie dbał, czy to przyjaciel, czy wróg; gnał w dół frontowymi schodami w kierunku ciemnych błoni, a pająki uchodziły skłębioną masą wraz ze swoją ofiarą, której w ogóle nie było już widać.

- HAGRID!

Zdawało mu się, że rozpoznał wielkie ramię machające ze środka stada pająków, ale gdy tylko zaczął je ścigać, został zatrzymany przez ogromną stopę, która pojawiła się z ciemności i spowodowała, że ziemia zadrżała. Harry spojrzał w górę - stał przed nim olbrzym, wielki na dwadzieścia stóp, jego głowa ginęła w mroku, a jego podobne drzewom, owłosione łydki świeciły odbitym blaskiem, padającym z otwartych, zamkowych drzwi. Jednym brutalnym, płynnym ruchem masywnej pięści roztrzaskał górne okno i szkło posypało się na błonia, zmuszając Harry'ego do wycofania się pod ochronę sklepienia nad wejściem.

- O rety! - krzyknęła Hermiona, gdy wraz z Ronem dogonili Harry'ego i spojrzeli w górę na olbrzyma, próbującego teraz chwytać ludzi przez okno.

- NIE! - krzyknął Ron, łapiąc Hermionę za rękę, kiedy chciała podnieść różdżkę. - Oszołomisz go i zmiażdży połowę zamku.

- HAGGER? - Chwiejąc się, Graup wyłonił się zza węgła muru; dopiero teraz Harry zdał sobie sprawę, że Graup był w istocie niewyrośniętym olbrzymem. Gargantuiczny potwór próbujący zmiażdżyć ludzi na wyższych piętrach rozejrzał się i wydał zwierzęcy ryk. Kamienne stopnie drżały, kiedy stąpał w kierunku swego mniejszego współplemieńca. Krzywe usta Graupa otworzyły się, ukazując żółte zęby wielkości połowy cegły i olbrzymy rzuciły się na siebie z dzikością lwów.

- BIEGIEM! - ryknął Harry. Noc była pełna przerażających wrzasków i grzmotów siłujących się olbrzymów, a on złapał rękę Hermiony i pognał po stopniach na błonia. Ron podążał za nimi. Harry nie porzucił nadziei na odnalezienie i uratowanie Hagrida; biegł tak szybko, że byli już w połowie drogi do Zakazanego Lasu, kiedy znowu coś ich powstrzymało.

Powietrze wokół nich zamarzło; oddech zatrzymał się i zgęstniał w piersi Harry'ego. Z ciemności wyłoniły się wirujące kształty, plamy skoncentrowanej czerni o zakapturzonych twarzach i świszczących oddechach - sunęły wielką falą w kierunku zamku.

Ron i Hermiona stanęli blisko Harry'ego, kiedy dźwięki walki za nimi nagle zamarły, ponieważ zapadła tak nieprzenikniona cisza, jaką tylko dementorzy potrafią wywołać.

- Dalej, Harry! - Głos Hermiony dobiegał jakby z bardzo daleka. - Patronusy, Harry, już!

Podniósł różdżkę, ale tępy brak nadziei wypełniał go całego: Fred odszedł na zawsze i Hagrid z pewnością był bliski śmierci, a może już martwy. Ilu jeszcze poległo, o których na razie nie wiedział; czuł się, jakby połowa duszy już opuściła jego ciało...

- HARRY, RUSZ SIĘ! - krzyczała Hermiona.

Setka dementorów nadciągała, szybując w ich kierunku, jakby pochłaniając drogę, bliżej rozpaczy Harry'ego, która była dla nich niczym zapowiedź uczty...

Zobaczył srebrnego teriera Rona, pojawiającego się w powietrzu; jak słabo zamigotał i zgasł; wydra Hermiony zachybotała się w powietrzu i znikła, a jego własna różdżka drżała mu w ręku, i prawie oczekiwał nadchodzącego zapomnienia, obietnicy nicości, uwolnienia od uczuć...

Nagle srebrny zając, dzik i lis przeleciały obok głów Harry'ego, Rona i Hermiony - dementorzy wycofali się, ustępując przed nadchodzącymi patronusami. Trzy nowe osoby nadeszły z ciemności, aby stanąć obok z wyciągniętymi różdżkami: Luna, Ernie i Seamus.

- Teraz dobrze - powiedziała Luna zachęcającym tonem, jakby znowu znajdowali się w Pokoju Życzeń na prostych ćwiczeniach z zaklęć Gwardii Dumbledore'a. - Teraz dobrze... No, Harry... pomyśl o czymś szczęśliwym...

- Czymś... szczęśliwym? - spytał łamiącym się głosem.

- Wciąż tu jesteśmy - wyszeptała. - Wciąż walczymy. No, dawaj...

Najpierw pojawiła się iskra, potem chwiejne światło, a potem, z największym wysiłkiem jeleń wystrzelił z różdżki Harry'ego. Pogalopował naprzód i dementorzy rozproszyli się na dobre. Nagle noc była znowu łagodna, a dźwięki toczącej się bitwy brzęczały im w uszach.

- Nie wiem, jak wam dziękować - powiedział trzęsący się Ron do Luny, Erniego i Seamusa. - Uratowaliście...

Rycząc i wstrząsając ziemią, inny olbrzym wyszedł chwiejnym krokiem z ciemności, od strony Zakazanego Lasu, machając maczugą większą od człowieka.

- BIEGIEM! - krzyknął znowu Harry, ale innych nie trzeba było do tego zachęcać: wszyscy się rozbiegli. W samą porę, gdyż w następnej sekundzie ogromna stopa opadła dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą stali. Harry rozejrzał się wokół: Ron i Hermiona podążali za nim, ale pozostała trójka zniknęła z powrotem w zamęcie bitwy.

- Wyjdźmy spoza jego zasięgu! - zawołał Ron, gdyż olbrzym machnął maczugą, a jego wycie niosło się echem przez błonia, gdzie wybuchy czerwonego i zielonego światła rozświetlały ciemności.

- Wrzeszcząca Chata - powiedział Harry. - Idziemy!

Jakoś odsunął wszystkie nieszczęścia w swoim umyśle, zamurował w małej przestrzeni, do której nie mógł teraz zaglądać: myśli o Fredzie i Hagridzie, przerażenie i strach o tych, których kochał, rozsypanych wewnątrz i na zewnątrz zamku - wszystko musiało zaczekać, bo teraz trzeba biec, dostać się do węża i Voldemorta. Bo to był, jak powiedziała Hermiona, jedyny sposób, by to wszystko zakończyć...

Biegł sprintem, prawie wierząc, że mógłby prześcignąć samą śmierć, ignorując promienie światła latające w ciemności naokoło niego, jezioro, huczące jak morze i trzaski w Zakazanym Lesie, chociaż noc zdawała się być bezwietrzna. Biegł po ziemi, która sama wydawała się powstawać w buncie. Biegł szybciej niż kiedykolwiek w życiu i to właśnie on pierwszy zobaczył wielkie drzewo, skrywające wśród swych korzeni tajemnicę - wierzbę z gałęziami smagającymi jak baty.

Dysząc i ciężko łapiąc powietrze, Harry zwolnił, obchodząc trzepoczące konary, uważnie wypatrując w ciemności grubego pnia, próbując zlokalizować pojedynczy sęk na korze starego drzewa, który pozwalał na jego sparaliżowanie. Ron i Hermiona dogonili go; dziewczyna nie mogła złapać oddechu, ani wydobyć słowa.

- Jak... jak tam wejdziemy? - wydyszał Ron. - Widzę... to miejsce... gdybyśmy tylko mieli... przy sobie Krzywołapa...

- Krzywołapa? - wydyszała Hermiona, na wpół zgięta, trzymająca się za klatkę piersiową. - *Taki z ciebie czarodziej, jak z koziej rzyci mandolina*.

- No wiesz... cóż... no dobra...

Ron rozejrzał się wokół, następnie skierował różdżkę na jakiś patyk, mówiąc: - *Wingardium Leviosa*!

Patyk uniósł się z ziemi, przeleciał w powietrzu, jakby złapany podmuchem wiatru, i poszybował wprost do pnia między złowrogo bijącymi konarami. Dźgnął miejsce blisko korzenia, a ruchliwe drzewo uspokoiło się momentalnie.

- Doskonale! - powiedziała Hermiona.

- Zaczekajcie.

W ciągu tej jednej, niepewnej sekundy, kiedy odgłosy bitwy wypełniały powietrze, Harry zawahał się. Voldemort chciał, żeby właśnie to zrobili, żeby Harry do niego przyszedł... czy nie prowadził przyjaciół prosto w pułapkę?

Lecz wtedy okrutna i wyraźna rzeczywistość dała o sobie znać: jedynym sposobem było zabicie węża, a wąż był tam, gdzie Voldemort, zaś Voldemort znajdował się na końcu tego tunelu...

- Harry, idziemy, po prostu właź tam! - powiedział Ron, popychając go na przód.

Harry wcisnął się w ziemne przejście ukryte między korzeniami drzewa. Było mu dużo ciaśniej, niż kiedy wchodził tu ostatnim razem. Tunel był bardzo niski; prawie cztery lata temu musieli się zginać wpół, żeby się w nim poruszać, a teraz nie mieli innego wyjścia, jak tylko czołgać się. Harry ruszył pierwszy, oświetlając sobie drogę różdżką, w każdej chwili spodziewając się jakichś barier, ale żadnej nie było. Poruszali się cicho, wzrok Harry'ego był utkwiony w migotliwym świetle różdżki, którą trzymał w ręku.

W końcu tunel zaczął się podnosić i Harry ujrzał przed sobą srebrne światło. Hermiona szarpnęła go za kostkę.

- Peleryna! - wyszeptała. - Nałóż pelerynę!

Sięgnął do tyłu, a ona wcisnęła mu do ręki śliski zwój materiału. Z trudem naciągnął go na siebie, mrucząc: *Nox* - gasząc światło swojej różdżki i ruszając dalej na czworakach, tak cicho, jak to możliwe. Wszystkie jego zmysły były wyostrzone i w każdej chwili spodziewał się, że zostanie wykryty, że usłyszy zimny głos i zobaczy rozbłysk zielonego światła.

I wtedy usłyszał głosy dochodzące z pokoju dokładnie przed nimi, jedynie lekko przytłumione, jako że wyjście na końcu tunelu było zablokowane czymś, co wyglądało jak stara skrzynka. Prawie nie odważając się oddychać, Harry dotarł do samego końca przełazu i wyjrzał przez maleńką szparę między skrzynią a ścianą.

Światło w pokoju było przytłumione, ale dostrzegł Nagini, która ruszała się i zwijała jak podwodny wąż, bezpieczna w swojej zaczarowanej, gwieździstej kuli, unoszacej się w powietrzu. Widział skraj stołu i białą dłoń z długimi palcami, bawiącą się różdżką. Wtem Snape przemówił, a serce Harry'ego zadrżało: mężczyzna stał zaledwie kilka cali od miejsca od jego kryjówki.

- ...mój panie, ich opór słabnie...

- I to wszystko dzieje się bez twojej pomocy - odparł Voldemor, swoim wysokim, czystym głosem. - I chociaż zdolny z ciebie czarodziej, Severusie, nie sądzę, żeby twój udział coś tu zmienił. Już prawie jesteśmy... prawie.

- Pozwól mi znaleźć chłopaka. Pozwól mi przyprowadzić do ciebie Pottera. Wiem, że potrafię go znaleźć, mój panie. Proszę.

Snape przeszedł obok szpary i Harry wycofał się nieznacznie, wciąż wpatrując się w Nagini i zastanawiając, czy istnieje jakieś zaklęcie mogące spenetrować otaczającą ją strefę ochronną, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Jedna nieudana próba i zdradziłby swoją pozycję...

Voldemort wstał. Chłopiec mógł go teraz zobaczyć - czerwone oczy, płaską, wężową twarz, jego bladość jaśniejącą lekko w półmroku.

- Mam problem, Severusie - powiedział gładko Voldemort.

- Mój panie...? - odezwał się Snape.

Voldemort podniósł Starszą Różdżkę, trzymając ją tak delikatnie jak pałeczkę dyrygenta.

- Czemu ona nie działa dla mnie, Severusie?

W ciszy Harry wyobraził sobie, że słyszy, jak wąż syczy cicho, zwijając się i rozwijając, a może było to syczące westchnienie Voldemorta.

- Mój panie? - powiedział Snape obojętnie. - Nie rozumiem. Ty... Ty czynisz absolutnie wyjątkową magię za pomocą tej różdżki.

- Nie - odparł Voldemort. - Czynię swoją zwyczajną magię. Ja jestem wyjątkowy, ale ta różdżka... nie. Nie dokonała obiecanych cudów. Nie czuję żadnej różnicy między tą różdżką, a tamtą, którą nabyłem u Ollivandera przed laty.

Jego głos był zadumany i spokojny, ale blizna Harry'ego zaczęła pulsować: czoło zaczynało go boleć i wyczuwał kontrolowaną furię, wzrastającą wewnątrz Voldemorta.

- Żadnej różnicy - powtórzył Voldemort.

Snape nie odpowiedział. Harry nie widział jego twarzy i zastanawiał się, czy wyczuł niebezpieczeństwo, a teraz próbuje znaleźć właściwe słowa, żeby uspokoić swojego pana.

Voldemort zaczął chodzić po pokoju: chłopak tracił go co chwilę z oczu, kiedy krążył, mówiąc tym samym wyważonym tonem, podczas gdy w Harrym rosły ból i wściekłość.

- Myślałem nad tym długo i dokładnie, Severusie... Czy wiesz, dlaczego odwołałem cię z pola bitwy?

I przez jedną krótką chwilę Harry zobaczył profil Snape'a: jego wzrok był utkwiony w wężu zwiniętym w swojej zaczarowanej klatce.

- Nie, mój panie, ale błagam, żebyś pozwolił mi wrócić. Pozwól mi znaleźć Pottera.

- Zupełnie jakbym słyszał Lucjusza. Żaden z was nie rozumie Pottera, tak jak ja. Żadne poszukiwania nie są potrzebne. Chłopak przyjdzie do mnie. Znam jego słabość - widzisz, jego jedyną, wielką skazę. On nie zniesie widoku tego, jak inni padają wokół niego, wiedząc, że to dzieje się z jego powodu. Będzie chciał to zakończyć za wszelką cenę. Przyjdzie tu.

- Ale, mój panie, on może być zabity przypadkowo przez kogoś innego, niż ty sam...

- Moje instrukcje dla śmierciożerców były całkowicie jasne. Pochwycić Pottera. Zabić jego przyjaciół - im więcej, tym lepiej - ale jego nie. Ale to z tobą chciałem rozmawiać, Severusie, a nie z nim. Byłeś bardzo cenny dla mnie. Bardzo cenny.

- Mój pan wie, że nie pragnę niczego więcej, jak tylko służyć mu. Ale... pozwól mi odejść i znaleźć chłopaka, mój panie. Pozwól mi przyprowadzić go do ciebie. Wiem, że mogę...

- Powiedziałem już: nie! - powiedział Voldemort i Harry dostrzegł błysk czerwieni w jego oczach, kiedy znów się obrócił, a szelest jego płaszcza przypominał szmer pełznącego węża. Czuł zniecierpliwienie Voldemorta w swojej bolącej bliźnie. - W tej chwili moim zmartwieniem jest, co się stanie, kiedy w końcu spotkam chłopaka!

- Mój panie, chyba nie ma co do tego cienia wątpliwości?

- Ależ *jest*, Severusie. Właśnie, że jest.

Voldemort zatrzymał się i Harry mógł teraz widzieć wyraźnie, jak obraca Starszą Różdżkę między białymi palcami, wpatrując się w Snape'a.

- Czemu obie, używane przeze mnie różdżki nie zadziałały, kiedy wycelowałem je w Harry'ego Pottera?

- Ja... ja nie potrafię na to odpowiedzieć, mój panie.

- Czyżby?

Harry poczuł w głowie ukłucie wściekłości niczym cios nożem: wcisnął sobie zaciśniętą pięść w usta, aby powstrzymać się od okrzyku bólu. Zamknął oczy i nagle stał się Voldemortem, patrzącym prosto na bladą twarz Snape'a.

- Moja różdżka z cisu robiła wszystko, co rozkazałem, z wyjątkiem zabicia Harry'ego Pottera. Dwa razy zawiodła. Ollivander pod torturami powiedział mi o bliźniaczych rdzeniach, powiedział też, żebym wziął inną różdżkę. Tak też zrobiłem, ale ta Lucjusza uległa zniszczeniu podczas starcia z różdżką chłopaka.

- Ja... ja nie znajduję żadnego wyjaśnienia, mój panie.

Snape nie patrzył na Voldemorta. Jego ciemne oczy ciągle wpatrywały się w węża.

- Poszukiwałem trzeciej różdżki, Severusie. Starszej Różdżki, Różdżki Przeznaczenia, Berła Śmierci. Zabrałem ją poprzedniemu właścicielowi. Zabrałem ją z grobu Albusa Dumbledore'a.

Teraz Snape spojrzał na Voldemorta, a jego twarz przypominała śmiertelną maskę. Marmurowo biała i tak nieruchoma, że kiedy mówił, trudno było uwierzyć, że ktoś jeszcze żyje za tymi oczami pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu.

- Mój panie, pozwól mi iść po chłopaka...

- Przez tę całą długą noc, w której jestem już na progu zwycięstwa, siedziałem tutaj - mówił Voldemort głosem ledwie głośniejszym od szeptu - zastanawiając się, rozmyślając, dlaczego Starsza Różdżka odmawiała stania się tym, czym być powinna, odmawiała takiego działania, jakie, według legendy, jest winna swojemu prawowitemu właścicielowi... I sądzę, że mam odpowiedź.

Snape milczał.

- Być może już to wiesz? Ostatecznie, jesteś mądrym człowiekiem, Severusie. Byłeś dobrym, wiernym sługą i żałuję tego, co musi nastąpić.

- Mój panie...

- Starsza Różdżka nie służy mi odpowiednio, Severusie, ponieważ nie jestem jej prawdziwym panem. Starsza Różdżka należy do tego, kto zabije jej poprzedniego właściciela. To ty zabiłeś Albusa Dumbledore'a. Dopóki żyjesz, Severusie, Starsza Różdżka nie może być w pełni moja.

- Mój panie! - zaprotestował Snape, podnosząc różdżkę.

- Nie ma żadnego innego wyjścia - powiedział Voldemort. - Muszę być panem tej różdżki, Severusie. Panem tej różdżki i panem Pottera, w końcu.

I Voldemort przeciął powietrze Starszą Różdżką. Snape'owi nic się nie stało i przez ułamek sekundy prawie uwierzył, że został ułaskawiony; lecz wtedy intencje Voldemorta stały się jasne. Klatka węża popłynęła w powietrzu i zanim Snape zdążył zrobić cokolwiek, jego głowa i ramiona znalazły się w środku, a Voldemort przemówił w języku węży:

- *Zabij*.

Rozległ się przerażający krzyk. Harry zobaczył, jak twarz Snape'a traci ostatnie resztki koloru - zbielała, podczas gdy jego czarne oczy rozszerzały się, kiedy kły węża wbiły mu się w szyję. Nie zdołał uwolnić się z zaczarowanej klatki. Kolana się pod nim ugięły i opadł na podłogę.

- Żałuję - powiedział zimno Voldemort, ale nie było w nim żadnego smutku, żadnego żalu.

Nadszedł moment, by opuścił tę chatę i dowodził, z różdżką, która mogła teraz spełnić jego wszystkie żądania. Skierował ją na świecącą, dryfującą klatkę z wężem. Uwolniony Snape upadł bokiem na podłogę, krew tryskała z ran na jego szyi. Voldemort wyszedł z pokoju bez oglądania się za siebie, a wielki wąż leciał za nim w swojej wielkiej, ochronnej kuli.

Harry otworzył oczy, znowu był w tunelu i w swoim własnym umyśle. Poczuł, że próbując powstrzymać się od krzyku, pogryzł rękę do krwi. Teraz znowu patrzył przez maleńką szparę między ścianą a skrzynią, przed sobą widział stopę w czarnym bucie drgającą na podłodze.

- Harry! - wyszeptała Hermiona za jego plecami, ale on sam już wskazał różdżką skrzynię blokującą widok. Uniosła się nieco w górę i bezszelestnie odsunęła na bok. Tak cicho, jak tylko zdołał, Harry wsunął się do pokoju.

Nie wiedział, dlaczego to zrobił, dlaczego podszedł do konającego mężczyzny: nie wiedział, co czuł, widząc białą twarz Snape'a i palce próbujące zatamować upływ krwi z ran. Harry zdjął pelerynę - niewidkę i spojrzał w dół, na człowieka, którego nienawidził. Rozszerzone, czarne oczy Snape'a znalazły Harry'ego i mężczyzna próbował coś powiedzieć. Harry pochylił się nad nim; Snape chwycił go za ubranie i przyciągnął bliżej.

Okropny, chrapliwy, bełkotliwy głos wydobył się z gardła mężczyzny.

- Weź... to... Weź... to...

Coś więcej, niż tylko krew, wyciekało z niego. Coś srebrzystoniebieskiego - ni to gaz, ni ciecz - wydobywało się z jego ust, uszu i oczu. Harry pojął, co to jest, ale nie wiedział, co zrobić.

Buteleczka, wyczarowana przez Hermionę, została wepchnięta w jego trzęsące się dłonie. Harry za pomocą różdżki umieścił w środku srebrną substancję. Kiedy buteleczka wypełniła się, a Snape wyglądał, jakby nie została w nim ani jedna kropla krwi, jego uścisk na szacie Harry'ego zelżał.

- Spójrz... na... mnie... - wyszeptał.

Zielone oczy odnalazły czarne, ledwie na sekundę, zanim w głębi czarnej pary coś zdało się zniknąć, zostawiając je nieruchome, puste i bez wyrazu. Ręka ściskająca Harry'ego opadła na podłogę. Snape znieruchomiał na zawsze.

Rozdział 33
Opowieść Księcia

Tłumaczenie: Kamień Księżycowy

Harry wciąż klęczał przy boku Snape'a i po prostu na niego patrzył, gdy zupełnie nagle, tuż obok, rozległ się głośny i zimny głos. Mocno ściskając flakonik, Harry zerwał się na nogi pewien, że Voldemort wrócił do pomieszczenia.

Głos Voldemorta dobiegał ze ścian i podłogi, a Harry zdał sobie sprawę, że czarnoksiężnik przemawia do Hogwartu i jego okolic, chcąc, by mieszkańcy Hogsmeade oraz obrońcy zamku mogli usłyszeć go tak wyraźnie, jakby stał tuż przy nich. Sprawić, że niemal czuli na karkach jego oddech, powiew śmieci.

- Walczyliście mężnie - mówił silny, zimny głos. - Lord Voldemort potrafi docenić odwagę.

- Ponieśliście jednak wielkie straty. Jeśli wciąż będziecie się opierać umrzecie wszyscy, jeden po drugim. Nie tego chcę. Każda przelana kropla czarodziejskiej krwi to niepotrzebna strata.

- Lord Voldemort jest łaskawy. Nakazuję moim oddziałom natychmiastowy odwrót.

- Macie godzinę. Zajmijcie się z godnością zmarłymi. Opatrzcie rannych.

- Zwracam się teraz, Harry Potterze, bezpośrednio do ciebie. Pozwoliłeś swoim przyjaciołom umrzeć, zamiast zmierzyć się ze mną. Zaczekam godzinę w Zakazanym Lesie. Jeśli przed upływem tego czasu nie stawisz się przede mną i nie poddasz się, bitwa rozgorzeje na nowo. I tym razem sam wezmę w niej udział, Harry Potterze. Odnajdę cię i ukarzę każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko, starające się zasłonić cię przede mną. Masz godzinę.

Ron i Hermiona gorączkowo potrząsnęli głowami, patrząc na Harry'ego.

- Nie słuchaj go - powiedział Ron.

- Wszystko będzie dobrze - rzuciła Hermiona zapalczywie. - Chodźmy. Wracajmy do zamku, skoro on odszedł do Lasu, musimy wymyślić nowy plan.

Popatrzyła na ciało Snape'a, a potem pobiegła ku wyjściu z tunelu. Ron podążył za nią. Harry zarzucił na siebie pelerynę - niewidkę, a potem spojrzał na leżącą postać. Nie wiedział, co ma czuć - sposób w jaki Snape został zabity, i powód, dla którego tak się stało wprawiał go w osłupienie...

Wyczołgali się z tunelu, nie odzywając się do siebie, a Harry zastanawiał się, czy Ron i Hermiona wciąż słyszą głos Voldemorta, który nadal dźwięczał, przynajmniej w jego głowie.

Pozwoliłeś swoim przyjaciołom umrzeć, zamiast zmierzyć się ze mną. Zaczekam godzinę w Zakazanym Lesie... Godzinę...

Na trawniku przed zamkiem leżały zawinięte w całuny ciała. Do świtu została jakaś godzina, jednak wciąż było zupełnie ciemno. Cała trójka pospieszyła ku kamiennym schodom, przed którymi leżał pojedynczy chodak wielkości małej łodzi. Nie było więcej śladów po Graupie i jego przeciwniku.

W zamku panowała nienaturalna cisza. Nie było rozbłysków światła, huków, płaczu i krzyków. Posadzka w hallu wejściowym splamiona była krwią. Szmaragdy wciąż leżały rozrzucane po całej podłodze wraz z kawałkami marmuru i odłamkami drewna. Balustrady zostały miejscami zupełnie zniszczone.

- Gdzie się wszyscy podziali? - wyszeptała Hermiona.

Podążyli za Ronem do Wielkiej Sali. Harry zatrzymał się w drzwiach.

Cztery stoły zniknęły, a pomieszczenie było pełne ludzi. Ocaleni stali w grupach, obejmując się wzajemnie. Na specjalnie wzniesionym podwyższeniu pani Pomfrey wraz z grupą pomocników zajmowała się rannymi. Znajdował się pomiędzy nimi Firenzo, którego bok ociekał krwią - dygotał cały, nie będąc w stanie się podnieść.

Zmarłych ułożono w rzędzie na środku sali. Harry nie widział ciała Freda, ponieważ otaczała go jego rodzina - George klęczał na zimnej posadzce, tuż przy głowie brata, wodząc dokoła nieprzytomnym spojrzeniem. Pani Weasley szlochała, dotykając czołem piersi zmarłego syna. Pan Weasley głaskał ją po włosach, zaciskając zęby - sprawiał wrażenie człowieka, który ze wszystkich sił starał się nie rozpłakać.

Ron i Hermiona oddalili się bez słowa. Harry zobaczył, że Hermiona podchodzi do Ginny i obejmuje ją. Twarz dziewczyny była napuchnięta i czerwona od płaczu. Ron dołączył do Billa, Fleur i Percy'ego, który objął go ramieniem. Gdy Ginny i Hermiona przesunęły się bliżej rodziny, Harry zobaczył, kto leży koło ciała Freda. Remus i Tonks, bladzi i nieruchomi, ze spokojem na twarzach, jakby spali pod ciemnym, zaczarowanym sklepieniem.

Wielka Sala odleciała, zmalała i skurczyła się, gdy Harry cofnął się chwiejnym krokiem za próg. Nie mógł oddychać. Nie był w stanie patrzeć na pozostałych poległych, zobaczyć, kto jeszcze przez niego zginął. Nie był w stanie dołączyć do Weasleyów, spojrzeć im w oczy - bo miał świadomość, że gdyby poddał się Voldemortowi, Fred mógłby wciąż żyć...

Odwrócił się i pobiegł w górę po kamiennych schodach. Lupin, Tonks... Chciał przestać odczuwać cokowiek. Móc wyrzucić z siebie to wszystko, co się w nim kotłowało.

Zamek był całkowicie pusty, nawet duchy zdawały się dołączyć do zbiorowej żałoby w Wielkiej Sali. Harry biegł, nie zatrzymując się, ściskając kryształową fiolkę z ostatnią myślą Snape'a, i nie zwolnił, dopóki nie dotarł do kamiennej chimery, strzegącej biura dyrektora.

- Hasło?

Dumbledore! - zawołał Harry bez zastanowienia, ponieważ to jego chciał zobaczyć. Ku jego zdziwieniu chimera przesunęła się na bok, odsłaniając krętą klatkę schodową.

Kiedy Harry wpadł do okrągłego gabinetu, odkrył, że coś się zmieniło. Portrety na ścianach były puste. Nie pozostał ani jeden dyrektor i ani jedna dyrektorka. Wszyscy musieli się wcześniej oddalić, mknąc przez zamkowe malowidła, by dowiedzieć się, co się dzieje.

Harry popatrzył na opuszczony portret Dumbledore'a, wiszący dokładnie za krzesłem dyrektora, a potem obrócił się do niego plecami. Kamienna myślodsiewnia znajdowała się w tej samej szafce, co zawsze. Harry postawił ją na biurku i wpuścił wspomnienia Snape'a do szerokiej misy z runicznymi znakami na brzegach. Ucieczka w umysł kogoś innego była teraz błogosławieństwem... Nawet to, co zostawił mu Snape, nie mogło być gorsze od jego własnych myśli. Wspomnienia wirowały, srebrnobiałe i dziwaczne, Harry zanurkował bez wahania, niemal zuchwale, jakby to miało pomóc mu w oderwaniu się od wszystkiego, co działo się w Wielkiej Sali.

Spadał, w blasku słońca, dopóki jego stopy nie natrafiły na ciepłą ziemię. Wyprostował się i ujrzał, że stoi na niemal zupełnie pustym placu zabaw. W oddali widać był wielki komin. Na huśtawkach bujały się dwie dziewczynki, a zza kępy krzewów przyglądał się im chudy chłopiec. Miał przydługie czarne włosy, a jego ubranie było do tego stopnia niedopasowane, że wydawało się to celowe: zbyt krótkie dżinsy, wytarty, zbyt duży płaszcz, który mógł należeć do dorosłego mężczyzny, oraz dziwna koszula przypominająca fartuch.

Harry podszedł do chłopca. Snape nie wyglądał na więcej niż dziewięć czy dziesięć lat. Był blady, mały i chudy. Wpatrywał się z chciwością w młodszą z dziewczynek, która huśtała się dużo wyżej niż jej siostra.

- Lily, nie rób tego! - pisnęła starsza dziewczynka.

Wzywana puściła huśtawkę w momencie, gdy znajdowała się najwyżej i wzbiła się w powietrze. Dosłownie poleciała, wznosząc się ku niebu z głośnym śmiechem i zamiast rozbić na asfalcie, obracała się niczym akrobatka na trapezie, szybując w powietrzu o wiele za długo i lądując o wiele za lekko.

- Mamusia powiedziała ci, że masz tego nie robić!

Petunia zatrzymała huśtawkę, a obcasy jej sandałków zaryły w ziemię, po czym zerwała się i oparła ręce na biodrach.

- Mamusia powiedziała, że ci nie wolno, Lily!

- Ale nic mi nie jest - zawołała Lily, wciąż chichocąc. - Tunia, patrz. Zobacz, co potrafię.

Petunia rozejrzała się. Na placu zabaw nie było nikogo poza nimi. I Snape'em, ale o nim przecież nie wiedziały. Lily podniosła kwiatek, który opadł z krzewu, za którym czaił się Severus. Petunia podeszła, bliżej, z jednej strony zaciekawiona, z drugiej zdegustowana. Jej siostra zaczekała, aż dojdzie wystarczająco blisko, a potem otworzyła rękę. Kwiatek na jej dłoni rozchylał i zwijał płatki, jak jakaś dziwny ukwiał.

- Przestań! - pisnęła Petunia.

- Nic ci nie zrobi - uspokoiła siostrę Lily, ale zacisnęła dłoń na kwiatku i wyrzuciła go z powrotem na ziemię.

- To nie jest w porządku - powiedziała Petunia, ale jej oczy uważnie śledziły kwiatek. - Jak ty to robisz? - dodała, a w jej głosie brzmiała wyraźna zazdrość.

- Przecież to chyba oczywiste? - Snape nie był w stanie dłużej się powstrzymywać i wyskoczył zza krzaka. Petunia krzyknęła i odskoczyła w stronę huśtawek, jednak Lily, choć przestraszona, została na miejscu. Chłopak wyglądał, jakby żałował swojego nagłego pojawienia. Na jego ziemiste policzki wpłynął ciemny rumieniec, gdy spoglądał na Lily.

- Co jest oczywiste? - spytała .

Snape był podekscytowany. Zerknął na Petunię, która stała przy huśtawkach, a potem zniżył głos i powiedział:

- Wiem, kim jesteś.

- To znaczy?

- Jesteś... Jesteś czarownicą - wyszeptał Snape.

Popatrzyła z urazą.

- *To* nie było miłe!

Obróciła się, uniosła głowę do góry i pomaszerowała w stronę siostry.

- Nie! - zawołał Snape. Był teraz zupełnie czerwony, a Harry zastanowił się, dlaczego nie zdejmie tego śmiesznego, wielkiego płaszcza, chyba że nie chciał pokazywać tego, co ma pod spodem. Pobiegł za dziewczynkami, łopocząc komicznie połami stroju. Już będąc dzieckiem przywodził na myśl nietoperza.

Siostry popatrzyły na niego z niechęcią, trzymając się słupków huśtawki, jakby dawało im to poczucie bezpieczeństwa.

- *Jesteś* - powiedział Snape do Lily. - Przyglądałem ci się od jakiegoś czasu. Naprawdę *jesteś* czarownicą. Ale to nic złego. Moja mama też jest czarownicą, a ja jestem czarodziejem.

Śmiech Petunii był jak zimny prysznic.

- Czarodziejem! - powiedziała butnie, gdy minął szok wywołany niespodziewanym pojawieniem się intruza. - *Ja* za to wiem, kim *ty* jesteś. Jesteś tym chłopakiem od Snape'ów! Oni mieszkają na Spinner's End, nad rzeką - wyjaśniła Lily, a jej ton wyraźnie wskazywał, że nie uważa tego adresu za porządną okolicę. - Czemu nas śledzisz?

- Nie śledzę - powiedział Snape. Spocony i z brudnymi włosami, w jasnym świetle słońca, wyraźnie czuł się nieswojo. - *Ciebie* i tak bym nie śledził - dodał złośliwie. - *Ty* jesteś mugolem.

Choć Petunia nie zrozumiała określenia, jej uwadze nie uszedł ton wypowiedzi.

- Chodź, idziemy stąd! - oświadczyła piskliwie, a Lily posłuchała bez protestów, na odchodnym rzucając Snape'owi złowrogie spojrzenie. Chłopak patrzył, jak wychodzą przez bramę, a Harry, jedyny który pozostał, widział jego rozczarowanie. Zrozumiał, że Snape planował tę chwilę od dawna i że wszystko poszło źle...

Obraz rozmył się i zanim Harry zdążył zauważyć, pojawił na nowo. Tym razem wylądował w małej kępie drzew. Przez ich pnie widział połyskującą w słońcu rzekę. Cienie rzucały cień. Naprzeciwko siebie, po turecku, siedziało na ziemi dwoje dzieci. Snape nie miał już płaszcza, a jego dziwna koszula wyglądała w półcieniu mniej osobliwie.

- ...i ministerstwo może cię ukarać, jeśli będziesz czarować poza szkołą. Przyślą ci listy.

- Ale ja *czarowałam* poza szkołą!

- Nam nic nie grozi. Nie mamy jeszcze różdżek. Nic ci nie zrobią, bo jesteś dzieckiem i nic nie możesz na to poradzić. Ale kiedy skończysz jedenaście lat - pokiwał głową z powagą - i zaczniesz się uczyć, wtedy musisz uważać.

Zapadła cisza. Lily podniosła z ziemi gałązkę i machnęła nią w powietrzu, a Harry wiedział, że wyobraża sobie strzelające z niej iskry. Potem wypuściła patyk, pochyliła się ku chłopcu i spytała:

- To wszystko jest prawdą, nie? To nie jest żart? Petunia mówi, że mnie okłamujesz. Petunia mówi, że Hogwart nie istnieje. Ale on istnieje, prawda?

- Istnieje dla nas - odparł Snape. - Nie dla niej. My dostaniemy listy, ty i ja.

- Naprawdę? - szepnęła Lily.

- Zdecydowanie - powiedział Snape i nawet z nędzną fryzurą i w dziwacznym ubraniu, wydawał się być zdumiewająco pewny siebie w kwestii własnej przyszłości.

- I naprawdę przyniosą je sowy? - szepnęła Lily.

- Tak jest normalnie - odparł Snape. - Ale ty pochodzisz z mugolskiej rodziny, więc przybędzie ktoś ze szkoły i wytłumaczy wszystko twoim rodzicom.

- Czy to jakaś różnica, że pochodzi się z mugolskiej rodziny?

Snape zawahał się. Jego błyszczące w półmroku oczy przesunęły się po jej bladej twarzy i ciemnorudych włosach.

- Nie - powiedział. - To nie ma żadnego znaczenia.

- To dobrze - stwierdziła Lily, rozluźniając się. Wydawało się oczywiste, że była tym zaniepokojona.

- Świetnie czarujesz - dodał Snape. - Widziałem. Cały czas, kiedy ci się przyglądałem...

Zamilkł. Nie słuchała. Wyciągnęła się na pokrytej liśćmi ziemi i patrzyła w górę poprzez liściasty baldachim. Obserwował ją równie zachłannie, jak wtedy na placu zabaw.

- Jak tam u ciebie w domu? - spytała Lily.

Pomiędzy jego oczami pojawiła się mała zmarszczka.

- W porządku - odparł.

- Już się nie kłócą?

- Och, kłócą - odrzekł Snape. Złapał garść liści i zaczął je drzeć na kawałki, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. - Ale już niedługo mnie nie będzie.

- Twój tata nie lubi magii?

- On niczego nie lubi - odparł Snape.

- Severusie?

Uśmiechnął się lekko, gdy usłyszał swoje imię.

- Tak?

- Odpowiedz mi jeszcze o dementorach.

- Po co chcesz o nich wiedzieć?

- Jeśli użyję magii poza szkołą...

- Nie oddadzą cię za to dementorom! Dementorzy zajmują się ludźmi, którzy zrobili coś naprawdę złego. Są strażnikami czarodziejskiego więzienia, Azkabanu. Przecież nie skończysz w Azkabanie, jesteś zbyt...

Znów poczerwieniał i gwałtownie poszarpał kolejną kupkę liści. Cichy szelest za Harrym kazał mu się odwrócić: to Petunia, która chowała się za drzewem, straciła równowagę.

- Tunia! - zawołała z radosnym zaskoczeniem Lily, ale Snape zerwał się na nogi.

- Kto kogo szpieguje? - krzyknął. - Czego chcesz?

Petunia nie była w stanie odpowiedzieć, wściekła, że ją odkryto. Harry domyślał się, że usiłuje znaleźć jakąś zjadliwą ripostę.

- Co ty w ogóle na sobie masz? - zapytała, wskazując na pierś Snape'a. - Sukienkę twojej mamy?

Rozległ się *trzask* a zaraz po nim krzyk Lily. Spadający z góry konar uderzył Petunię w ramię; dziewczynka zatoczyła się w tył i wybuchnęła płaczem.

- Tunia!

Ale Petunia już uciekała. Lily odwróciła się do Snape'a.

- Ty to zrobiłeś?

- Nie. - Patrzył buntowniczo, ale i ze strachem.

- Zrobiłeś! - Odwróciła się od niego. - *Zrobiłeś!* Skrzywdziłeś ją!

- Nie... To nieprawda!

Kłamstwo wcale nie przekonało Lily. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie i pobiegła za siostrą, zostawiając Snape'a stojącego z żałosną, zdezorientowaną miną.

Sceneria znów się zmieniła. Harry powiódł wzrokiem dookoła. Znajdował się na peronie dziewięć i trzy czwarte. Snape stał obok, lekko zgarbiony. Towarzysząca mu chuda kobieta o bladej cerze i ponurym spojrzeniu, była do niego bardzo podobna. Patrzył na stojącą niedaleko czteroosobową rodzinę. Dwie dziewczynki odeszły na ubocze; Lily zawzięcie gestykulowała, jakby usiłowała wytłumaczyć coś siostrze. Harry podszedł bliżej, chcąc posłuchać, o czym mówią.

- ...przepraszam, Tunia, przykro mi! Posłuchaj... - Złapała dłoń siostry i nie puściła, choć Petunia starała się wyrwać. - Może jak już tam będę... nie, posłuchaj, Tunia! Może jak już tam będę, uda mi się pójść do profesora Dumbledore'a i przekonać go, by zmienił zdanie!

- Ja... nie... chcę... iść! - zawołała Petunia i wyrwała rękę z uścisku siostry. - Wydaje ci się, że chcę iść do jakiegoś głupiego zamku i uczyć się, jak zostać...

Rozejrzała się po peronie, na koty miaucząc w ramionach właścicieli, na sowy trzepoczące się i pohukujące w klatkach, na uczniów, z których część przywdziała już w długie, czarne szaty wierzchnie, pakujących kufry do pociągu z czerwoną lokomotywą albo witających się z okrzykami radości po wakacyjnej przerwie.

- ...wydaje ci się, że chcę być... dziwakiem?

Oczy Lily wypełniły się łzami.

- Nie jestem dziwakiem - powiedziała Lily. - Nie mów tak, to okropne.

- Tam właśnie jedziesz - oświadczyła Petunia, rozkoszując się tymi słowami. - Do specjalnej szkoły dla dziwaków. Ty i ten Snape... Dziwolągi, oto kim jesteście. Dobrze, że oddziela się was od normalnych ludzi. To dla naszego bezpieczeństwa.

Lily zerknęła na rodziców, którzy rozglądali się po peronie z ciekawością, wyraźnie podekscytowani. Ponownie spojrzała na siostrę. Kiedy się odezwała, jej głos był cichy i jednocześnie zawzięty.

- Nie uważałaś jej za szkołę dla dziwaków, kiedy pisałaś do dyrektora i błagałaś go, żeby cię przyjął.

Petunia spurpurowiała.

- Błagałam? Nie błagałam!

- Widziałam jego odpowiedź. Bardzo uprzejma.

- Nie powinnaś była czytać... - szepnęła Petunia. - To była moja prywatna... Jakim cudem...?

Lily zdradziła się, rzucając ukradkowe spojrzenie w kierunku Snape'a. Petunia gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Ten chłopak to odkrył! Ty i ten chłopak zakradliście się do mojego pokoju!

- Nie... Nie zakradliśmy się... - Lily przeszła do defensywy. - Severus zobaczył kopertę i nie mógł uwierzyć, że mugol mógł się skontaktować z Hogwartem, to wszystko! Mówi, że na poczcie muszą pracować przebrani czarodzieje, którzy zajmują się...

- Najwyraźniej czarodzieje wszędzie wtykają nosy! - powiedziała Petunia, teraz równie blada, jak wcześniej czerwona. - *Dziwadła!* - rzuciła siostrze i ruszyła zamaszystym krokiem w stronę rodziców.

Obraz znów się rozmył. Snape spieszył korytarzem hogwarckiego ekspresu, który pędził przez wiejski krajobraz. Przebrał się już w szkolne szaty, przy pierwszej sposobności, pozbywając się okropnych, mugolskich ubrań. Wreszcie zatrzymał się przed drzwiami przedziału, w którym głośno rozmawiała grupa chłopców. Skulona w kącie przy oknie siedziała Lily, przyciskając twarz do szyby.

Snape odsunął drzwi i usiadł naprzeciw niej. Popatrzyła na niego i ponownie odwróciła się do okna. Płakała.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - powiedziała przez zaciśnięte gardło.

- Dlaczego?

- Tunia mnie n - nienawidzi. Ponieważ widzieliśmy list od Dumbledore'a.

- I co z tego?

Spojrzała na niego z głęboką niechęcią.

- To, że jest moją siostrą!

- Ona jest tylko... - Szybko się powstrzymał. Lily, zbyt zajęta ukradkowym wycieraniem łez, nie słyszała go.

- Ale my jedziemy! - powiedział z nieskrywaną radością w głosie. - O to chodzi! Jedziemy do Hogwartu!

Kiwnęła głową, ocierając oczy, ale wbrew sobie uśmiechnęła się lekko.

- Mam nadzieję, że będziesz w Slytherinie - rzucił Snape zachęcony faktem, że nieco się rozweseliła.

- W Slytherinie?

Jeden z chłopców, dotychczas nie okazujących żadnego zainteresowania Snape'owi i Lily, podniósł nagle głowę. Harry, którego uwaga skupiona była całkowicie na parze pod oknem, zobaczył swego ojca: drobnego i ciemnowłosego - jak Snape. Jednak w przeciwieństwie do niego, wyglądał na kogoś, o kogo dbano i kogo nawet podziwiano, czego Snape'owi brakowało w sposób rzucający się w oczy.

- Kto chciałby być w Slytherinie? Prędzej bym wrócił do domu, a ty? - spytał James chłopca rozpartego na siedzeniu naprzeciko. Harry ze wstrząsem uświadomił sobie, że to Syriusz. Black - nie uśmiechnął się.

- Cała moja rodzina była w Slytherinie - stwierdził.

- Kurczę - powiedział James - a wydawałeś mi się w porządku!

Syriusz wyszczerzył się.

- Być może złamię tradycję. Gdzie byś chciał być, gdybyś mógł wybrać?

James uniósł niewidzialny miecz.

- *W Gryffindorze, gdzie kwitnie męstwa cnota!* Jak mój tata.

Snape prychnął lekceważąco. James odwrócił się do niego.

- Masz jakiś problem?

- Nie - odparł Snape, choć jego uśmieszek mówił co innego. - Jeśli wolisz mieć mięśnie zamiast mózgu...

- A ty gdzie masz nadzieję trafić, skoro nie masz ani jednego, ani drugiego? - wtrącił Syriusz.

James zaniósł się śmiechem. Zarumieniona Lily usiadła prosto i spojrzała na Jamesa i Syriusza z niechęcią.

- Chodź, Severusie, znajdziemy inny przedział.

- Uuu...

James i Syriusz naśladowali jej wysoki głos, a Potter spróbował podstawić Snape'owi nogę.

- Bywaj, Smarkerusie! - dobiegło, zanim drzwi przedziału zatrzasnęły się.

A obraz rozmył się po raz kolejny.

Harry stał obok Snape'a i obaj patrzyli na oświetlone blaskiem świec stoły czterech domów. Wszędzie wokół twarze ludzi wyrażały skupienie i uwagę. Profesor McGonagall zawołała:

- Evans, Lily!

Patrzył, jak jego matka podchodzi na drżących nogach i siada na chybotliwym stołku. Profesor McGonagall opuściła Tiarę Przydziału na jej głowę i ułamek sekundy po tym, jak dotknęła ona ciemnorudych włosów, Tiara wykrzyknęła:

- *Gryffindor!*

Harry usłyszał, że Snape cicho jęknął. Lily zdjęła Tiarę, wręczyła ją nauczycielce i pospieszyła do wiwatujących Gryfonów, ale przechodząc obok, popatrzyła na Snape'a, a na jej twarzy widniał smutny uśmiech. Harry zauważył, że Syriusz przesuwa się na ławie, by zrobić jej miejsce. Popatrzyła na niego, rozpoznała w nim chłopaka z pociągu, skrzyżowała ramiona i stanowczo odwróciła się plecami.

Lista szła naprzód. Harry patrzył, jak Lupin, Pettigrew i jego ojciec dołączają do Lily i Syriusza przy stole Gryffindoru. Wreszcie, gdy pozostał już nie więcej niż tuzin uczniów, profesor McGonagall wywołała Snape'a.

Harry podszedł do stołka razem z nim i obserwował, jak nakłada Tiarę na głowę.

- *Slytherin!* - wykrzyknęła Tiara Przydziału.

I Severus Snape udał się na drugą stronę sali, z dala od Lily, gdzie przywitali go Ślizgoni, gdzie Lucjusz Malfoy, z błyszczącą odznaką prefekta na piersi, poklepał go po plecach, kiedy Snape usiadł obok niego.

I obraz znów się zmienił...

Lily i Snape szli przez zamkowy dziedziniec, ewidentnie się sprzeczając. Harry podbiegł do nich, by posłuchać. Gdy był już blisko, uświadomił sobie, że są znacznie wyżsi. Od przydziału musiało upłynąć kilka lat.

- ...choć mieliśmy być przyjaciółmi? - mówił Snape. - Najlepszymi przyjaciółmi?

- *Jesteśmy*, Sev, ale nie podobają mi się ludzie, z którymi się zadajesz! Przykro mi, ale nie znoszę Avery'ego i Mulcibera! *Mulciber!* Co ty w nim widzisz, Sev? On jest straszny! Wiesz, co próbował zrobić przedwczoraj Mary Macdonald?

Lily dotknęła kolumny i oparła się o nią, podnosząc wzrok na szczupłą, bladą twarz rozmówcy.

- To nic takiego - powiedział Snape. - To była zabawa, nic więcej...

- To była czarna magia i jeśli uważasz, że to zabawne...

- A co z Potterem i jego kumplami?! - zawołał Snape. Mówiąc to, poczerwieniał, z wściekłości.

- Co ma do tego Potter? - spytała Lily.

- Wykradają się w nocy. Z Lupinem jest coś mnie tak, coś dziwnego. Dokąd wciąż chodzi?

- Jest chory - stwierdziła Lily. - Mówią, że jest chory...

- Co miesiąc podczas pełni księżyca? - spytał Snape.

- Znam już twoją teorię - odparła chłodno Lily. - Czemu w ogóle masz taką obsesję na ich punkcie? Dlaczego obchodzi cię to, co robią w nocy?

- Usiłuję tylko uświadomić tobie, że nie są tacy wspaniali, jak się wszystkim wydaje.

Zarumieniła się pod jego intensywnym spojrzeniem.

- Nie używają jednak czarnej magii - ściszyła głos. - A ty jesteś naprawdę niewdzięczny. Słyszałam, co stało się poprzedniej nocy. Zakradłeś się do tunelu pod Wierzbą Bijącą i James Potter uratował cię przed tym, co się tam znajduje...

Twarz Snape'a wykrzywiła się i prychnął.

- Uratował? Uratował??? Uważasz go za bohatera? Ratował własną skórę, i swoich kumpli! Nie będziesz... Nie pozwolę ci...

- Nie *pozwolisz* mi? Nie *pozwolisz?*

Lily zmrużyła zielone oczy. Snape wycofał się momentalnie.

- Nie miałem na myśli... Nie chcę tylko, byś się ośmieszyła... On się w tobie kocha. James Potter się w tobie kocha! - wyrwało mu się. - A on nie jest... Wszyscy myślą... Wspaniały bohater quidditcha... - Rozgoryczenie i niechęć Snape'a sprawiły, że zaczął mówić bez związku. Brwi Lily unosiły się coraz wyżej.

- Wiem, że James Potter jest aroganckim gnojkiem - powiedziała, zgadzając się ze Snape'em. - Nie musisz mi tego mówić. Ale poczucie humoru Mulcibera i Avery'ego jest spaczone. *Spaczone*, Sev. Nie rozumiem, jak możesz się z nimi przyjaźnić.

Harry wątpił, by Snape w ogóle słuchał jej zdania na temat Mulcibera i Avery'ego. W momencie, gdy przyznała mu rację co do Pottera, Snape'owi od razu poprawił się nastrój i gdy ruszyli dalej, jego kroki były radosne i sprężyste.

A obraz się rozmył...

Harry ponownie patrzył, jak Snape opuszcza Wielką Salę po napisaniu SUMa z obrony przed czarną magią, jak wychodzi z zamku i nieświadomie kieruje się do miejsca, gdzie w cieniu brzozy siedzieli razem James, Syriusz, Lupin i Pettigrew. Tym razem Harry trzymał się z dala, ponieważ wiedział, co stało się, gdy James zawiesił Snape'a w powietrzu i szydził z niego. Wiedział, co James zrobił i powiedział, i nie miał żadnej ochoty słyszeć tego raz jeszcze. Patrzył, jak Lily dołącza do grupy i staje w obronie Snape'a. Słyszał z oddali, jak Snape krzyczy do niej, poniżony i wściekły, niewybaczalne słowo: *szlama*.

Obraz zmienił się.

- Przepraszam.

- Nie jestem zainteresowana.

- Przepraszam!

- Oszczędź sobie.

Była noc. Lily w koszuli nocnej stała z założonymi rękami przed portretem Grubej Damy u wejścia do Wieży Gryffindoru.

- Przyszłam tylko dlatego, bo Mary powiedziała mi o twojej groźbie, że będziesz tu spać.

- Tak. I zrobiłbym to. Nigdy nie chciałem nazwać cię szlamą, po prostu...

- Wymknęło ci się? - W głosie Lily nie było współczucia. - Już za późno. Usprawiedliwiałam cię przez całe lata. Nikt z moich przyjaciół nie rozumie, dlaczego w ogóle z tobą rozmawiam. Z tobą i twoimi kolegami, śmierciożercami. Widzisz, nawet nie zaprzeczasz! Nawet nie zaprzeczasz, kim zamierzacie się stać! Nie możecie się doczekać, aż dołączycie do Sam - Wiesz - Kogo, prawda?

Otworzył usta, po czym zamknął je, bez słowa.

- Nie mogę już udawać. Wybrałeś swoją drogą, ja wybrałam swoją.

- Nie... Słuchaj, nie zamierzałem...

- ... nazwać mnie szlamą? Przecież wszystkich pozostałych tak nazywasz, Severusie. Dlaczego miałabym być wyjątkiem?

Usiłował coś powiedzieć, ale odwróciła się z pogardliwym spojrzeniem i cofnęła się do przejścia za portretem.

Korytarz rozwiał się, zastępowany powoli inną scenerią. Wszystko dokoła zmieniało się jak w kalejdoskopie, aż w końcu obraz stał się stabilny. Harry stał teraz na szczycie opustoszałego, pogrążonego w ciemności wzgórza, a wiatr kołysał gałęziami kilku bezlistnych drzew. Dorosły Snape ciężko dyszał, obracał się w miejscu, mocno ściskając różdżkę, czekał na coś lub kogoś... Harry'emu udzielił się jego strach, chociaż wiedział, że to tylko myślodsiewnia i jest bezpieczny. Zerkał ponad ramieniem Snape'a, zastanawiając się, kogo lub czego oczekuje czarodziej.

Przez powietrze przemknęła zygzakowata, oślepiająca wiązka białego światła. Harry sądził, że to błyskawica, ale Snape padł na kolana, a różdżka wypadła mu dłoni.

- Nie zabijaj mnie!!!

- Nie mam takiego zamiaru.

Wycie wiatru całkowicie zagłuszyło odgłos aportacji Dumbledore'a. Stał teraz przed Snape'em, jego szaty falowały, a twarz oświetlał blask bijący z różdżki.

- Więc, Severusie? Jaką wiadomość przesyła mi Lord Voldemort?

- Nie... żadnej wiadomości... Przyszedłem tutaj z własnej inicjatywy!

Snape załamał ręce. Z rozwianymi, poplątanymi czarnymi włosami sprawiał wrażenie lekko szalonego.

- Ja... Przychodzę z ostrzeżeniem... Nie, z prośbą... proszę...

Dumbledore machnął różdżką. Wokół nich wiatr unosił z ziemi suche liście, ale w miejscu, gdzie stali obaj, było spokojnie.

- O co może mnie prosić śmierciożerca?

- Ta... przepowiednia... proroctwo... Trelawney...

- A tak - powiedział Dumbledore. - Jak wiele przekazałeś Lordowi Voldemortowi?

- Wszystko... Wszystko, co usłyszałem! - odrzekł Snape. - Dlatego... Z tego powodu... On myśli, że chodzi o Lily Evans!

- Przepowiednia nie mówi nic o kobiecie - stwierdził Dumbledore - tylko o chłopcu, urodzonym pod koniec lipca...

- Wiesz, o co mi chodzi! On myśli, że to jej syn, będzie ich ścigać i wszystkich zabije!

- Jeśli ona tyle dla ciebie znaczy, to jestem pewien, że Lord Voldemort ją oszczędzi. Nie mógłbyś poprosić o łaskę dla matki w zamian za życie jej syna?

- Ja... Poprosiłem go...

- Brzydzę się tobą - odparł Dumbledore, a Harry nigdy nie słyszał w jego głosie tak wielkiej pogardy. Snape zgarbił się. - Nie obchodzi cię więc śmierć jej męża i dziecka? Mogą zginąć, jeśli będziesz miał to, czego pragniesz?

Snape nic nie powiedział, patrzył tylko na Dumbledore'a.

- Ukryj więc ich wszystkich - wychrypiał. - Zapewnij jej... im... - poprawił się - bezpieczeństwo. Proszę.

- A co mi dasz w zamian, Severusie?

- W... w zamian? - Snape patrzył na Dumbledore'a i Harry oczekiwał, że zacznie protestować, ale po dłuższej chwili usłyszał odpowiedź. - Co tylko zechcesz.

Wzgórze rozmyło się i Harry stał w gabinecie Dumbledore'a. W pomieszczeniu dźwięczał straszliwy krzyk, przypominający ryk zranionego zwierzęcia. Snape siedział pochylony na krześle, a Dumbledore stał za nim z ponurym wyrazem twarzy. Po chwili Snape podniósł głowę i wyglądał jak człowiek, który po zejściu ze wzgórza przeżył sto lat nieszczęścia.

- Myślałem... miałeś... zapewnić jej... bezpieczeństwo...

- Ona i James zaufali złej osobie - stwierdził Dumbledore. - Podobnie jak ty, Severusie. Czy nie miałeś nadziei, że Lord Voldemort ją oszczędzi?

Snape oddychał płytko.

- Jej syn przeżył - powiedział Dumbledore.

Snape szarpnął głową, jakby odpędzał dokuczliwą muchę.

- Jej syn żyje. Ma jej oczy, dokładnie takie same. Jestem pewien, że pamiętasz kształt i kolor oczu Lily Evans?

- PRZESTAŃ! - krzyknął Snape. - Ona odeszła... Nie żyje...

- Czy to wyrzuty sumienia, Severusie?

- Chciałbym... *Sam* chciałbym umrzeć...

- I jaki byłby z tego pożytek? - zapytał chłodno Dumbledore. - Jeśli kochałeś Lily Evans, jeśli naprawdę ją kochałeś, to twoja droga jest jasna.

Do Snape'a zdawało się nic nie docierać i wiele czasu minęło, nim zareagował na słowa Dumbledore'a.

- Co... Co masz na myśli?

- Wiesz, jak i dlaczego zginęła. Postaraj się o to, by jej śmierć nie poszła na marne. Pomóż mi chronić syna Lily.

- Dzieciak nie potrzebuje ochrony. Czarny Pan odszedł...

- ... Czarny Pan powróci, a Harry Potter będzie wówczas w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Nastąpiła długa przerwa i powoli Snape odzyskał panowanie nad sobą i własnym oddechem. W końcu powiedział:

- Dobrze. Dobrze. - zgodził się. - Ale nigdy... Nigdy tego nie zdradzisz, Dumbledore! - podniósł głos. - To musi zostać między nami! Przysięgnij! Nie zniósłbym... Zwłaszcza syn Pottera... Chcę twojego słowa!

- Moje słowo, Severusie, że nigdy nie ujawnię tego, co w tobie najlepsze? - Dumbledore westchnął, spoglądając na zmęczoną twarz Snape'a. - Skoro nalegasz...

Obraz gabinetu rozmył się, by po chwili znów stać się wyraźnym. Snape chodził w tę i z powrotem przed Dumbledore'em.

- ...słaby w nauce, arogancki jak jego ojciec, uparcie łamie reguły, z przyjemnością szuka sławy i uwagi, impertynencki...

- Widzisz to, co chcesz widzieć, Severusie - powiedział Dumbledore, nie odrywając spojrzenia od egzemplarza *Współczesnej Transmutacji*. - Inni nauczyciele twierdzą, że chłopiec jest skromny, sympatyczny i utalentowany. Osobiście uważam go za ujmujące dziecko.

Dumbledore przewrócił stronę i dodał, wciąż nie podnosząc wzroku:

- Miej oko na Quirrella, dobrze?

Zawirowały kolory i nagle wszystko pociemniało. Snape i Dumbledore stali w Hallu Wejściowym, ostatni uczniowie opuszczający Bal Bożonarodzeniowy mijali ich w drodze do łóżek.

- Tak? - wymruczał Dumbledore.

- Znak Karkarowa też pociemniał. Wpadł w panikę, boi się kary. Wiesz, jak wielkiej pomocy udzielił ministerstwu po upadku Czarnego Pana. - Snape spojrzał z ukosa na profil Dumbledore'a. - Karkarow zamierza uciec, jeśli Znak zapłonie.

- Naprawdę? - spytał cicho Dumbledore, gdy do środka weszli rozchichotani Fleur Delacour i Roger Davies. - Masz ochotę do niego dołączyć?

- Nie - powiedział Snape, odprowadzając wzrokiem ostatnich uczniów. - Nie jestem takim tchórzem.

- Nie - zgodził się Dumbledore. - Jesteś znacznie dzielniejszym człowiekiem niż Igor Karkarow. Wiesz, czasem myślę, że zbyt pochopnie dokonujemy przydziału...

Odszedł, a Snape odprowadził go wzrokiem pełnym urazy.

Teraz Harry ponownie stał w gabinecie dyrektora. Była noc, a półprzytomny Dumbledore niemal zsuwał się z przypominającego tron krzesła. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie, poczerniała i spalona. Snape mamrotał inkantacje, wskazując różdżką na nadgarstek, a drugą ręką przyciskał do ust Dumbledore'a puchar gęstego, złocistego eliksiru. Po chwili powieki Dumbledore'a zadrgały i otworzyły się.

- Czemu - powiedział Snape bez wstępów - *czemu* włożyłeś ten pierścień? Musiałeś zdawać sobie sprawę, że jest przeklęty. Czemu go w ogóle dotykałeś?

Pierścień Marvolo Gaunta leżał przed Dumbledore'em na biurku. Był pęknięty. Obok leżał miecz Gryffindora.

Dumbledore wykrzywił się.

- Byłem... głupcem. Nie oparłem się pokusie...

- Jakiej?

Dumbledore nie odpowiedział.

- To cud, że w ogóle tu wróciłeś! - W głosie Snape pobrzmiewała wściekłość. - Klątwa pierścienia ma wielką moc, możemy ją tylko ograniczyć. Uwięziłem ją w dłoni. Na razie...

Dumbledore uniósł poczerniałą, bezużyteczną rękę i przyjrzał się jej niczym interesującej osobliwości.

- Bardzo dobrze sobie poradziłeś, Severusie. Jak myślisz, ile zostało mi czasu?

Dumbledore powiedział to lekkim tonem, jakby pytał o prognozę pogody. Snape zawahał się, a potem odparł:

- Nie jestem w stanie powiedzieć. Może rok. Nie da się powstrzymać takiego zaklęcia na zawsze. W końcu się rozszerzy. To tego typu klątwa, która z czasem nabiera mocy.

Dumbledore uśmiechnął się. Wiadomość, że nie zostało mu więcej niż rok życia, zdawała się go niewiele martwić, o ile w ogóle się tym przejął.

- Mam szczęście, nadzwyczajne szczęście, że mam ciebie, Severusie.

- Gdybyś tylko wezwał mnie trochę wcześniej, mógłbym zrobić więcej. Kupić ci więcej czasu! - powiedział Snape gwałtownie. Zerknął na pęknięty pierścień i na miecz. - Sądziłeś, że zniszczenie pierścienia zniszczy klątwę?

- Coś w tym rodzaju... Byłem w malignie, to nie ulega wątpliwości... - stwierdził Dumbledore. Z wysiłkiem wyprostował się na krześle. - Cóż, to naprawdę znacznie upraszcza sprawy...

Snape spojrzał na niego z konsternacją. Dumbledore uśmiechnął się.

- Mówię o planie, jaki ma wobec mnie Lord Voldemort. Planie, by zamordował mnie ten biedny chłopiec, Malfoy.

Snape usiadł po drugiej stronie biurka, na krześle, które Harry tak często zajmował. Było widać, że chciał jeszcze nawiązać do tematu klątwy, ale dyrektor uniósł stanowczo ranną dłoń, ucinając rozmowę. Snape odezwał się po chwili.

- Czarny Pan nie spodziewa się, że Draco odniesie sukces. To jedynie kara za ostatnie niepowodzenia Lucjusza. Powolna tortura dla rodziców, by patrzyli, jak ich dziecko zawodzi i ponosi konsekwencje.

- W skrócie, chłopak ma nad sobą wyrok śmierci równie pewny, jak ja - powiedział Dumbledore. - Sądzę, że jeśli Draco zawiedzie, jego naturalnym następcą będziesz ty, prawda?

Nastąpiła krótka przerwa.

- Taki jest, jak sądzę, plan Czarnego Pana.

- Czyżby Lord Voldemort przewidywał, że w najbliższej przyszłości nie będzie już potrzebował szpiega w Hogwarcie?

- Wierzy, że niedługo szkoła znajdzie się w jego rękach, zgadza się.

- A jeśli rzeczywiście znajdzie się w jego rękach - stwierdził Dumbledore, jakby rzucał nieznaczącą uwagę - mam twoje słowo, że ze wszystkich sił będziesz chronił uczniów Hogwartu?

Snape sztywno skinął głową.

- Dobrze. Więc do dzieła. Najpierw musisz odkryć, co planuje Draco. Przestraszony nastolatek jest równie niebezpieczny dla innych, jak i dla siebie. Zaoferuj mu pomoc i radę, powinien je przyjąć, lubi cię...

- ...znacznie mniej, odkąd jego ojciec wypadł z łask. Obwinia mnie. Uważa, że pragnąłem zająć pozycję Lucjusza.

- Tak czy owak, spróbuj. O wiele mniej martwię się o siebie, niż o przypadkowe ofiary jego planu. Możliwe, że będziemy musieli zrobić to, co konieczne, jeśli chcemy, by przeżył.

Snape uniósł brwi, a w jego głosie zabrzmiał sarkastyczny ton, gdy zapytał:

- Zamierzasz pozwolić mu się zabić?

- Bynajmniej. *Ty* musisz mnie zabić.

Zapadła długa cisza, którą przerywały jedynie dziwne, klekocące odgłosy wydawane przez Fawkesa jedzącego mątwę.

- Życzysz sobie, bym zrobił to teraz? - spytał sarkastycznie Snape. - Czy chcesz kilku chwil na ułożenie epitafium?

- Och, jeszcze nie teraz - powiedział Dumbledore, uśmiechając się. - Obawiam się, że okazja sama się pojawi w odpowiednim momencie. Biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia - wskazał na uschniętą dłoń - wiemy, że stanie się to przed upływem roku.

- Jeśli nie masz nic przeciwko śmierci - rzucił Snape gwałtownie - czemu nie pozwolić, by Draco to zrobił?

- Dusza tego chłopca nie jest jeszcze na tyle zepsuta - odparł Dumbledore. - Nie pozwolę, by została rozdarta z mojej winy.

- A moja dusza, Dumbledore? Moja?

- Ty sam będziesz wiedział, czy twoją duszę zrani pomoc staremu człowiekowi w uniknięciu bólu i upokorzenia - powiedział Dumbledore. - Proszę cię o tę jedną, wielką przysługę, Severusie, ponieważ umieram i jest to równie pewne, jak to, że Armaty z Chudley zakończą sezon na dole tabeli. Przyznam, że wolę szybkie i bezbolesne odejście niż przedłużającą się agonię, gdyby na przykład miał się mną zająć Greyback. Słyszałem, że Voldemort go zwerbował? Albo kochana Bellatriks, która przed posiłkiem lubi się pobawić swoim jedzeniem.

Jego ton był lekki, ale niebieskie oczy przeszywały rozmówcę - tak jak często przeszywały Harry'ego - jakby widział duszę, o której mówili. W końcu Snape po raz kolejny skinął głową.

Dumbledore był usatysfakcjonowany.

- Dziękuję ci, Severusie...

Biuro znikło i teraz Snape i Dumbledore przechadzali się o zmierzchu po opuszczonych, zamkowych błoniach.

- Co robisz z Potterem przez te wszystkie wieczory, gdy się razem zamykacie? - spytał nagle Snape.

Dumbledore popatrzył ze znużeniem.

- Czemu pytasz? Chyba nie próbujesz mu dać *kolejnych* szlabanów, Severusie? Chłopak wkrótce więcej czasu będzie spędzał na nich niż poza nimi.

- Jest jak jego ojciec...

- Z wyglądu, być może, z usposobienia jednak znacznie bardziej przypomina matkę. Spędzam czas z Harrym, ponieważ muszę z nim przedyskutować wiele spraw, udzielić mu informacji, zanim będzie za późno.

- Informacji - powtórzył Snape. - Ufasz jemu... Mnie nie.

- Nie chodzi o zaufanie. Jak obaj wiemy, mój czas jest ograniczony. Najistotniejsze jest, bym przekazał chłopcu wystarczająco wiele informacji na temat tego, co musi zrobić.

- A czemu ja nie mogę uzyskać tych samych informacji?

- Wolę nie wkładać wszystkich sekretów do jednego koszyka. Zwłaszcza do koszyka, który tyle czasu spędza, wisząc na ramieniu Lorda Voldemorta.

- Robię to z twojego polecenia!

- I robisz to nadzwyczaj dobrze. Nie sądź, że nie rozumiem ciągłego zagrożenia, w jakim się znajdujesz, Severusie. Dostarczanie Voldemortowi pozornie wartościowej wiedzy, zatrzymując samo sedno dla siebie, to zadanie, jakiego nie mógłbym powierzyć nikomu poza tobą.

- Jednak znacznie więcej powierzasz chłopcu, który nie opanował oklumencji, którego moc magiczna jest mierna i który jest bezpośrednio połączony z umysłem Czarnego Pana!

- Voldemort obawia się tego połączenia - powiedział Dumbledore. - Nie tak dawno temu miał okazję przekonać się, co oznacza dla niego dzielenie umysłu z Harrym. Doznał bólu, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Nie spróbuje ponownie połączyć się z Harrym, tego jestem pewien. Nie w taki sposób.

- Nie rozumiem.

- Okaleczona dusza Lorda Voldemorta nie jest w stanie znieść bliskiego kontaktu z duszą taką, jak dusza Harry'ego. To jak język na zamarzniętej stali, jak ciało w płomieniach...

- Dusze? Mówiliśmy o umysłach!

- W przypadku Harry'ego i Lorda Voldemorta to właściwie to samo. - Dumbledore rozejrzał się, by upewnić, że byli sami. Znajdowali się blisko Zakazanego Lasu, jednak w zasięgu wzroku nie było nikogo.

- Po tym, jak mnie zabijesz, Severusie...

- Odmawiasz mi jakiejkolwiek informacji, a jednocześnie oczekujesz ode mnie przysługi! - warknął Snape, a na jego wychudzonej twarzy płonął prawdziwy gniew. - Za wiele się spodziewasz, Dumbledore! Być może zmieniłem zdanie!

- Dałeś mi swoje słowo, Severusie. A skoro mówimy o przysługach... Zdawało mi się, że obiecałeś mieć oko na naszego młodego przyjaciela w Slytherinie?

Snape patrzył twardo, ze złością. Dumbledore westchnął.

- Przyjdź dziś wieczorem do mojego gabinetu, Severusie. O jedenastej. Nie będziesz więcej narzekał, że nie mam do ciebie zaufania.

Znajdowali się z powrotem w biurze Dumbledore'a; za oknami było ciemno, a Fawkes siedział równie cicho jak Snape, gdy Dumbledore chodził wokół niego i mówił:

- Harry nie może wiedzieć, aż do ostatniej chwili, aż to będzie konieczne, bo jak inaczej miałby znaleźć siły, by zrobić to, co musi?

- Ale CO musi zrobić?

- To pozostanie pomiędzy Harrym a mną. A teraz słuchaj uważnie, Severusie. Nadejdzie czas... po mojej śmierci... Nie kłóć się ze mną i nie przerywaj! Nadejdzie czas, gdy Lord Voldemort zacznie się obawiać o życie swojego węża.

- O Nagini? - Snape wyglądał na zaskoczonego.

- Dokładnie. Sądzę, że kiedy Lord Voldemort przestanie wysyłać tego węża z rozkazami, ale zacznie trzymać go blisko siebie, pod magiczną ochroną, wtedy będzie bezpiecznie powiedzieć Harry'emu.

- Co mu powiedzieć?

Dumbledore nabrał głęboko powietrze i zamknął oczy.

- Powiedzieć mu, że tej nocy, gdy Lord Voldemort próbował go zabić, kiedy pomiędzy nimi niczym tarcza znalazło się życie Lily, kiedy zaklęcie uśmiercające odbiło się i uderzyło Lorda Voldemorta, fragment duszy Voldemorta oderwał się od reszty i uczepił jedynej żyjącej duszy, jaka została w zniszczonym budynku. Część Lorda Voldemorta żyje we wnętrzu Harry'ego i to daje mu możliwość rozmawiania z wężami oraz połączenie z umysłem Lorda Voldemorta, którego nigdy nie zrozumiał. I jak długo ten fragment duszy, o którym Voldemort nie wie, pozostaje w Harrym i jest przez niego chroniony, tak długo Lord Voldemort nie może umrzeć.

Harry'emu wydawało się, że obserwuje scenę z przeciwległego końca długiego tunelu. Głosy dwóch mężczyzn, mimo że tak oddalone od niego, odbijały się echem i dźwięczały głucho w jego uszach.

- Więc chłopak... Chłopak musi umrzeć? - spytał Snape zupełnie spokojnie.

- I Voldemort sam musi tego dokonać, Severusie. To jest najważniejsze.

Cisza zapadła na kolejną długą chwilę. Potem Snape powiedział:

- Sądziłem... Przez te wszystkie lata... że chronimy go dla niej. Dla Lily.

- Chroniliśmy go, ponieważ trzeba go było nauczyć, wyszkolić, pozwolić mu wypróbować swoją siłę - odparł Dumbledore, a jego oczy wciąż były zamknięte. - W międzyczasie połączenie pomiędzy nimi stawało się coraz mocniejsze, czerpało z nich siły. Czasem miałem wrażenie, że Harry się domyśla. Jeśli go znam, urządzi wszystko tak, że kiedy faktycznie wyruszy na spotkanie własnej śmierci, będzie to oznaczać koniec Voldemorta.

Dumbledore otworzył oczy. Snape wyglądał na przerażonego.

- Pozwalałeś mu żyć, by mógł umrzeć w odpowiednim momencie?

- Nie bądź taki zszokowany, Severusie. Ilu mężczyzn i kobiet zginęło na twoich oczach?

- Ostatnio jedynie ci, których nie byłem w stanie ocalić - odparł Snape. Wstał. - Wykorzystałeś mnie.

- To znaczy?

- Szpiegowałem dla ciebie. Kłamałem dla ciebie. Narażałem się dla ciebie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Wszystko po to, by syn Lily Evans był bezpieczny. Teraz mówisz mi, że hodowałeś go jak bydło na rzeź...

- Ależ to wzruszające - powiedział Dumbledore poważnie. - Czyżbyś jednak zaczął troszczyć się o chłopca?

- O *niego?* - krzyknął Snape. - *Expecto patronum!*

Z jego różdżki wystrzeliła srebrna łania. Uderzyła kopytami o podłogę, przebiegła przez gabinet i zniknęła za oknem. Dumbledore patrzył na nią, aż jej srebrzysty blask zniknął w ciemnościach. Odwrócił się wtedy do Snape'a, a jego oczy były pełne łez.

- Po tak wielu latach?

- Zawsze - powiedział Snape.

Obraz zadrżał.

Teraz Harry patrzył, jak Snape rozmawia z wiszącym za biurkiem portretem Dumbledore'a.

- Musisz podać Voldemortowi dokładną datę, kiedy Harry opuści dom ciotki i wuja - mówił Dumbledore. - Voldemort wierzy w twoje informacje, więc w przeciwnym razie mogliby nabrać podejrzeń. Musisz jednak zaszczepić pomysł pozorantów, który powinien zapewnić Harry'emu bezpieczeństwo. Spróbuj skonfundować Mundungusa Fletchera. I, Severusie, jeśli zostaniesz zmuszony wziąć udział w pościgu, musisz grać przekonująco... Liczę na ciebie, musisz zachować względy u Lorda Voldemorta tak długo, jak to możliwe, inaczej Hogwart zostanie na łasce Carrowów...

Teraz Snape siedział naprzeciwko Mundungusa w nieznanej tawernie. Twarz Fletchera pozbawiona była wyrazu. Snape marszczył czoło w skupieniu.

- Zasugerujesz Zakonowi Feniksa - szeptał Snape - by użyli pozorantów. Eliksir wielosokowy. Zgraja identycznych Potterów. To jedyne, co może poskutkować. Zapomnisz, że ja ci to zasugerowałem. Przedstawisz to jako swój własny pomysł. Rozumiesz?

- Rozumiem - wymamrotał Mundungus, a jego spoglądały nieprzytomnie.

Teraz Harry leciał obok Snape'a na miotle przez głęboką, ciemną noc. Towarzyszyli mu inni śmierciożercy w kapturach, a przed nimi znajdowali się Lupin i Harry, którym tak naprawdę był George. Jeden ze śmierciożerców wysunął się przed Snape'a i uniósł różdżkę, celując w plecy Lupina...

- *Sectumsempra!* - krzyknął Snape.

Ale zaklęcie, wycelowane w rękę śmierciożercy, chybiło i trafiło George'a...

A potem Snape klęczał na podłodze starej sypialni Syriusza. Z czubka jego zakrzywionego nosa kapały łzy, gdy czytał stary list Lily. Na drugiej kartce znajdowało się tylko kilka słów:

mógłby się kiedykolwiek przyjaźnić z Gellertem Grindelwaldem. Moim zdaniem zaczyna tracić zmysły!

Wyrazy miłości,
Lily

Snape wziął kartkę z podpisem Lily i wsunął w kieszeń szaty. Następnie rozdarł trzymaną fotografię, zachowując część ze śmiejącą się Lily, zaś resztę - z Jamesem i Harrym - rzucając na podłogę, pod komodę...

A teraz Snape znów stał w gabinecie dyrektora, gdy na swoim portrecie pojawił się zdyszany Fineas Nigellus.

- Dyrektorze! Obozują w Lesie Dziekańskim! Szlama...

- Nie używaj tego słowa!

- ...wobec tego, ta Granger, wspomniała miejsce, gdy otwierała torbę, i słyszałem!

- Dobrze. Bardzo dobrze! - zawołał portret Dumbledore'a za krzesłem dyrektora. - Teraz, Severusie, miecz! Nie zapomnij, że musi zostać zdobyty w potrzebie i z męstwem... Harry nie może wiedzieć, że to ty mu go dałeś! Jeśli Voldemort zobaczy w jego umyśle, że mu pomagasz...

- Wiem - powiedział szorstko Snape. Podszedł do portretu Dumbledore'a i nacisnął ramę. Obraz przesunął się, ukazując zamaskowaną wnękę, z której Snape wyciągnął miecz Gryffindora.

- I wciąż nie zamierzasz powiedzieć mi, dlaczego tak ważne jest, by dać Potterowi miecz? - zapytał Snape, zarzucając płaszcz podróżny na szatę.

- Nie, niestety - odparł Dumbledore z portretu. - On będzie wiedział, co z nim zrobić. I, Severusie, bądź bardzo ostrożny, po nieszczęściu George'a Weasleya nie przyjmą twojego pojawienia się z rado...

Snape obrócił się w drzwiach.

- Nie obawiaj się, Dumbledore - powiedział chłodno. - Mam plan...

I Snape wyszedł. Harry podniósł się z myślodsiewni i chwilę potem znalazł na podłodze tego samego pokoju. Snape mógł właśnie zamknąć za sobą drzwi.

Rozdział 34
Las po raz wtóry

Tłumaczenie: Rakieta

Wreszcie. Prawda. Leżąc z twarzą wciśniętą w zakurzony dywan w gabinecie Dumbledore'a, gdzie kiedyś spodziewał się poznać sekret swojego zwycięstwa, Harry zrozumiał w końcu, że nie miał przeżyć. Jego zadaniem było spokojnie wejść w oczekujące ramiona śmierci. Po drodze miał się pozbyć tego, co jeszcze trzymało Voldemorta przy życiu, żeby, kiedy wreszcie miał mu wyjść naprzeciwko i nie podnieść w obronie różdżki, koniec był czysty, żeby zadanie zaczęte w Dolinie Godryka zostało wreszcie ukończone. *Żaden nie może żyć, gdy drugi przeżyje.*

Serce waliło mu w piersi. Co dziwne, że teraz, w obawie przed śmiercią, biło o tyle mocniej, mężnie utrzymując go przy życiu. Ale to musiało się skończyć, i to niedługo. Uderzenia były policzone. Jak długo potrwa, zanim po raz ostatni wstanie, przejdzie przez zamek i błonia do lasu?

Kiedy tak leżał na podłodze, a w piersi bił mu dzwon na trwogę, nagle poczuł grozę. Czy śmierć będzie bolała? Tyle razy się jej spodziewał i zdołał uniknąć, a nigdy tak naprawdę o tym nie pomyślał. Jego pragnienie życia zawsze było silniejsze niż strach przed śmiercią. Ale teraz nie przeszło mu nawet przez myśl, by próbować uciekać, przechytrzyć Voldemorta. To był koniec, Harry wiedział o tym, a jedyne, co mu pozostało, to umrzeć.

Gdyby tylko zginął w tamtą letnią noc, kiedy opuścił dom pod numerem czwartym, Privet Drive po raz ostatni, gdy ocaliła go szlachetna różdżka z piórem feniksa! Gdyby tylko mógł umrzeć tak, jak Hedwiga, tak szybko, że nawet by nie zauważył! Albo gdyby udało mu się w obronie kogoś, kogo kochał, gdyby mógł stanąć na drodze wrogiego zaklęcia... Teraz zazdrościł rodzicom ich śmierci. Pójście z zimną krwią na spotkanie własnej zguby wymagało innego rodzaju odwagi. Palce lekko mu drżały i spróbował się

opanować, chociaż nikt go przecież nie widział. Ramy wszystkich obrazów na ścianach były puste.

Powoli, bardzo powoli usiadł i poczuł się bardziej żywy i świadomy własnego żyjącego ciała, niż kiedykolwiek wcześniej. Dlaczego nigdy dotąd nie doceniał, jakim cudem były mózg, nerwy i bijące serce? To wszystko miało zniknąć... A przynajmniej on miał to opuścić. Oddychał powoli i głęboko. Nie tylko usta i gardło miał zupełnie suche, oczy również.

Zdrada Dumbledore'a była niemal niczym. Oczywiście, że istniał większy plan: Harry był po prostu zbyt wielkim ignorantem, by to zauważyć i teraz zdał sobie z tego sprawę. Nigdy nie kwestionował tego, że dyrektor chciał, żeby on żył. Teraz pojął, że długość jego istnienia była zawsze ograniczona przez czas, jaki był potrzebny na wyeliminowanie wszystkich horkruksów. Dumbledore przekazał mu zadanie zniszczenia ich i Harry grzecznie nie ustawał w staraniach, by niszczyć to, co wiązało zarówno Voldemorta, jak i jego samego z życiem! Jakie to schludne, jakie eleganckie, żeby nie marnować żadnego innego życia, tylko przekazać niebezpieczną misję chłopcu, który był już skazany na kaźń i którego śmierć nie byłaby katastrofą, tylko kolejnym ciosem wymierzonym w Voldemorta.

I Dumbledore wiedział, że Harry nie stchórzy, że da sobie radę do końca, nawet jeśli miałby to miał być *jego* koniec, bo dyrektor zadał sobie trud, żeby jego, Harry'ego poznać, prawda? Dumbledore, podobnie jak Voldemort, wiedział, że Harry nie pozwoliłby nikomu za niego teraz zginąć. Nie od czasu, kiedy odkrył, że jest w stanie temu wszystkiemu położyć kres. Obraz Freda, Lupina i Tonks martwych na podłodze Wielkiej Sali znowu stanął mu przed oczami i przez moment miał problemy z oddychaniem. Śmierć była niecierpliwa...

Ale Dumbledore go przecenił. Poniósł porażkę - wąż przetrwał. Jeden jedyny horkruks pozostał, żeby wiązać Voldemorta ze światem, nawet wtedy, kiedy Harry już zginie. To prawda, że dla kogoś oznaczałoby to łatwiejsze zadanie. Zaczął się zastanawiać, kto mógłby się go podjąć... Ron i Hermiona zapewne wiedzieliby, co należy zrobić... To pewnie dlatego Dumbledore chciał, żeby im zaufał... żeby mogli kontynuować misję, kiedy Harry wypełni swoje prawdziwe przeznaczenie trochę za wcześnie...

Te myśli uderzały o twardą skorupę niezaprzeczalnej prawdy: że musiał umrzeć. *Muszę umrzeć.* To musiało się skończyć.

Ron i Hermiona wydawali się być bardzo daleko, w jakimś innym świecie. Miał wrażenie, jakby rozstał się z nimi dawno temu. Nie miało być żadnych pożegnań ani żadnych wyjaśnień, tego był pewien. To była podróż, której nie mogli odbyć razem i tylko marnowałby cenny czas, gdyby Ron i Hermiona usiłowali go powstrzymać. Spojrzał na używany złoty zegarek, który dostał na swoje siedemnaste urodziny. Minęło już prawie pół godziny wyznaczonej mu przez Voldemorta.

Stanął prosto. Serce kołatało mu w piersi jak oszalały ptak. Może wiedziało, jak mało czasu mu pozostało, może chciało uderzyć tyle razy, ile powinno przez całe, długie życie, zanim nadejdzie koniec. Kiedy zamykał drzwi gabinetu, nie oglądał się za siebie.

Zamek był opustoszały. Harry czuł się jak duch, kiedy szedł przez korytarze zupełnie sam, jakby już umarł. Ludzie z portretów nadal nie pojawiali się w swoich ramach. Otoczenie wydawało się dziwnie wyludnione, jakby wszyscy zgromadzili się w Wielkiej Sali, by rozpaczać nad martwymi.

Harry założył pelerynę - niewidkę i zszedł na parter po marmurowych schodach wiodących do głównego wejścia. Być może jakaś część jego jeszcze żywiła nadzieję, że zostanie wyczuty, zauważony, zatrzymany, ale peleryna była jak zawsze doskonała i bez przeszkód dotarł do drzwi.

I wtedy Neville prawie na niego wpadł. Był jedną z dwóch osób, które wnosiła z błoni jakieś martwe ciało. Harry spojrzał w dół i poczuł się, jakby ktoś go uderzył w żołądek: Colin Creevey, chociaż niepełnoletni, musiał wemknąć się z powrotem do zamku, tak jak Malfoy, Crabbe i Goyle. Martwy, wydawał się taki mały.

- Wiesz co? Poradzę sobie z nim sam, Neville - powiedział Oliver Wood, przerzucił sobie Colina przez ramię i poniósł do Wielkiej Sali.

Neville na chwilę oparł się o framugę i otarł czoło z potu grzbietem dłoni. Wyglądał jak starzec. Potem zszedł ze schodów w ciemność, szukać kolejnych ciał.

Harry jeszcze raz spojrzał w kierunku wejścia do Wielkiej Sali. Kręcili się tam ludzie, usiłując wzajemnie się pocieszać, pijąc, klęcząc przy zmarłych, ale nie widział nikogo, kogo kochał, nie było Hermiony, Rona, Ginny, reszty Weasleyów czy Luny. Chciałby oddać cały czas, jaki mu pozostał, żeby tylko po raz ostatni na nich spojrzeć: ale czy wtedy potrafiłby przestać zmusić się, by iść dalej? Jednak tak było lepiej.

Zszedł po schodach w ciemność. Była prawie czwarta rano i na błoniach panował śmiertelny bezruch, jakby wszystko wstrzymywało oddech w oczekiwaniu na to, czy Harry zrobi to, co musi.

Ruszył w stronę Neville'a, który pochylał się nad kolejnymi zwłokami.

- Neville.

- Rany, Harry, prawie zawału dostałem!

Harry ściągnął pelerynę. Pewien pomysł przyszedł do niego jakby znikąd, zrodzony z pragnienia, żeby zyskać stuprocentową pewność powodzenia.

- Gdzie idziesz sam? - zapytał podejrzliwie Neville.

- To część planu - odrzekł Harry. - Muszę coś zrobić. Słuchaj, Neville...

- Harry! - Neville wyglądał nagle na przestraszonego. - Harry, chyba nie chcesz się oddać w ich ręce?

- Nie - skłamał gładko Harry. - Oczywiście, że nie. Chodzi o coś innego. Ale być może zniknę na jakiś czas. Słyszałeś o wężu Voldemorta, Neville? On ma takiego wielkiego węża, który nazywa się Nagini...

- Słyszałem, tak... i co z nim?

- Musicie go zabić. Ron i Hermiona o tym wiedzą, ale jakby co...

Groza tej perspektywy na chwilę go uciszyła, ale znowu wziął się w garść: to było bardzo ważne, musiał być jak Dumbledore, myśleć rozsądnie, upewnić się o zabezpieczeniu, innych, którzy mogli przejąć zadanie. Dumbledore umarł, wiedząc, że troje ludzi nadal wiedziało o horkruksach. Teraz Neville zająłby miejsce Harry'ego i tajemnicę nadal znałoby troje.

- Jakby byli, wiesz, zajęci i gdybyś ty miał okazję...

- Zabić węża?

- Zabić węża - powtórzył Harry.

- Dobrze, Harry. Z tobą wszystko w porządku, prawda?

- Tak. Dzięki, Neville.

Ale Neville złapał Harry'ego za nadgarstek, kiedy ten chciał ruszyć dalej.

- My będziemy dalej walczyć, Harry. Wiesz o tym?

- Tak, ja...

Uczucie dławienia w gardle sprawiło, że urwał zdanie. Nie mógł dalej mówić. Neville nie był tym zdziwiony. Poklepał Harry'ego po ramieniu, puścił go i wrócił do swojego zajęcia.

Harry narzucił na siebie pelerynę i ruszył naprzód. Ktoś jeszcze poruszał się po okolicy, pochylony nad inną nieruchomą postacią leżącą na ziemi. Harry znajdował się w odległości kilku stóp od tej osoby, kiedy zdał sobie sprawę, że to Ginny.

Znieruchomiał. Ginny klęczała nad dziewczyną, która pytała szeptem o swoją matkę.

- Wszystko w porządku - mówiła Ginny. - Wszystko okej. Zabierzemy cię do środka.

- Ale ja chcę do *domu* - wyszeptała dziewczyna. - Nie chcę już walczyć!

- Wiem - odparła Ginny. Głos jej się załamał. - Wszystko będzie w porządku.

Harry dostał dreszczy. Chciał krzyczeć w noc, chciał, żeby Ginny o nim wiedziała, chciał, żeby wiedziała, gdzie idzie. Chciał być zatrzymany, zawleczony z powrotem, wysłany do domu...

Ale był w domu. Hogwart był pierwszym i najlepszym domem, jaki znał. Harry, Voldemort, i Snape, opuszczeni chłopcy, wszyscy znaleźli tutaj dom...

Ginny klęczała teraz obok rannej dziewczyny, trzymając ją za rękę. Harry ruszył do przodu z wielkim wysiłkiem. Wydawało mu się, że Ginny rozejrzała się dookoła, gdy przechodził obok i zaczął się zastanawiać, czy wyczuła kogoś w okolicy, ale nie odezwał się ani nie obejrzał.

Chatka Hagrida wyłoniła się z ciemności. Nie było żadnych świateł, żadnego drapania Kła w drzwi, dźwięku jego szczekania na powitanie. Wszystkie te wizyty u Hagrida, błysk miedzianego czajnika na piecu, twarde jak kamień ciasteczka i krajanka, ta wielka, brodata twarz, Ron wymiotujący ślimakami, Hermiona pomagająca ratować Norberta...

Ruszył dalej i dotarł na skraj lasu, a potem się zatrzymał.

Między drzewami poruszało się stado dementorów. Harry czuł chłód i nie był pewien, czy dałby radę bezpiecznie między nimi przejść. Nie miał dość siły na patronusa. Nie panował już nad własnym drżeniem. W końcu nie tak łatwo było umrzeć. Każda sekunda, kiedy oddychał, czuł zapach trawy, powiewy chłodnego wiatru na twarzy, była taka cenna. I pomyśleć, że ludzie mieli czas do stracenia, całe lata, tyle czasu, że aż się ciągnął - a on trzymał się każdej sekundy. Jednocześnie myślał, że nie da rady iść dalej i wiedział, że musi. Gra się skończyła, znicz został złapany, czas zejść na ziemię...

Znicz. Harry przez chwilę grzebał zdrętwiałymi palcami w sakiewce na szyi, a potem go wyciągnął.

Otwieram się u kresu.

Harry patrzył na ten mały przedmiot, oddychając szybko i mocno. Teraz, kiedy pragnął, by czas poruszał się jak najwolniej, wydawał się on przyspieszać i zrozumienie przyszło tak szybko, że prawie mu umknęło. To był ten kres. To była ta chwila.

Przycisnął znicza do warg i wyszeptał:

- Niedługo umrę.

Metalowa skorupa się otworzyła. Harry opuścił drżącą rękę, podniósł różdżkę Dracona pod peleryną i powiedział cicho *Lumos*.

W podzielonym na połowy zniczu leżał czarny kamień z poszarpaną szczeliną pośrodku. Kamień Wskrzeszenia pękł według linii oznaczającej Starszą Różdżkę. Trójkąt i okrąg symbolizujące pelerynę i kamień były jednak nadal widoczne.

I znowu Harry zrozumiał, zanim nawet zdążył pomyśleć. Nie chodziło o wskrzeszanie zmarłych, bo to on miał do nich dołączyć. Tak naprawdę ich nie przywoływał: to oni przywoływali jego.

Zamknął oczy i obrócił kamień w dłoni trzy razy.

Wiedział, że coś się stało, bo słyszał lekkie poruszenie dookoła. Przynosiło ono na myśl kogoś delikatnie przestępującego z nogi na nogę na miękkiej, pokrytej gałązkami ziemi na skraju lasu. Otworzył oczy i rozejrzał się.

Nie byli ani duchami, ani żyjącymi ludźmi, to było widać. Najbardziej przypominali tego Riddle'a, który uciekł z pamiętnika tak dawno temu i który był wspomnieniem, które niemal stało się ciałem. Mniej cieleśni niż żyjący, ale bardziej realni niż duchy. Ruszyli w jego kierunku i na każdej twarzy widniał ten sam kochający uśmiech.

James był dokładnie tego samego wzrostu, co Harry. Miał na sobie ubrania, w których zginął, jego włosy były rozczochrane, a okulary nieco przekrzywione, jak u pana Weasleya.

Syriusz był wysoki, przystojny i o wiele młodszy, niż Harry go kiedykolwiek widział. Kroczył z niedbałym wdziękiem, ręce trzymał w kieszeniach, na jego twarzy widniał psotny uśmiech.

Lupin też był młodszy i mniej zaniedbany, a jego włosy gęstsze i ciemniejsze. Wyglądał na szczęśliwego z wylądowania w tej znajomej okolicy, miejscu tylu młodzieńczych wypraw.

Uśmiech Lily był najszerszy ze wszystkich. Podchodząc do Harry'ego, odrzuciła swoje długie włosy na plecy, a jej zielone oczy, tak podobne do jego oczu, nie opuszczały twarzy syna, jakby nigdy nie miała się na niego napatrzeć.

- Byłeś taki dzielny.

Harry nie był w stanie się odezwać. Sycił się jej widokiem i był przekonany, że mógłby tak stać i patrzeć wiecznie i dopiero wtedy miałby dość.

- Już prawie jesteś na miejscu - powiedział James. - Bardzo blisko. Jesteśmy... tacy z ciebie dumni.

- Czy to boli?

To dziecinne pytanie wyrwało mu się z ust, zanim w ogóle zdążył się powstrzymać.

- Śmierć? Nie, w ogóle - odparł Syriusz. - To prostsze i łatwiejsze niż zasypianie.

- A on będzie chciał zrobić to szybko. Chce już z tym skończyć - dodał Lupin.

- Nie chciałem, żebyś umarł - powiedział Harry, jakby wbrew własnej woli. - Żeby nikt z was. Przepraszam... - mówił bardziej do Lupina niż pozostałych, próbując go jakoś ubłagać. - Zaraz po tym, jak urodził ci się syn... Remus, tak mi przykro...

- Mnie też jest przykro - odrzekł Lupin. - Przykro, że nigdy go nie poznam... Ale będzie wiedział, czemu zginąłem i mam nadzieję, że to zrozumie. Chciałem tylko takiego świata, w którym mógłby prowadzić szczęśliwsze życie.

Chłodny wietrzyk, który wydawał się wiać z serca lasu, poruszył włosami Harry'ego. Wiedział, że przybyli nie mogli kazać mu odejść, że to musiała być jego własna decyzja.

- Zostaniecie ze mną?

- Do samego końca - odrzekł James.

- Nie będą was widzieć? - zapytał Harry.

- Jesteśmy częścią ciebie - odparł Syriusz. - Nikt inny nas nie widzi.

Harry spojrzał na swoją matkę.

- Idźcie blisko mnie - powiedział cicho.

I ruszył dalej. Chłód ciągnący od dementorów go nie sparaliżował. Przeszedł przezeń ze swoimi towarzyszami, którzy zadziałali jak patronusy. Razem pomaszerowali przez gęstwinę starych drzew ze splątanymi gałęziami i powykrzywianymi korzeniami. Harry owinął się ciaśniej peleryną: kroczył coraz dalej i dalej w głąb lasu, nie mając pojęcia, gdzie dokładnie znajduje się Voldemort, ale pewien, że go znajdzie. U jego boku, w niemalże całkowitej ciszy, szli James, Syriusz, Lupin i Lily, a ich obecność stanowiła dla niego źródło odwagi i jedyny powód, by dalej stawiać jedną stopę przed drugą.

Jego umysł i ciało były teraz dziwnie ze sobą rozłączne, a kończyny pracowały nieświadomie, jakby w tym ciele, które miał opuścić, stanowił pasażera, a nie kierowcę. Umarli, z którymi maszerował przez las, byli dla niego znacznie bardziej prawdziwi od tych żyjących w zamku: to Ron, Hermiona, Ginny i wszyscy pozostali wydawali się duchami podczas jego chwiejnej podróży do końca życia, do Voldemorta...

Głuche uderzenie i szept: jakieś inne żywe stworzenie poruszyło się w okolicy. Harry zatrzymał się pod osłoną peleryny, rozglądając się dookoła i nasłuchując. Jego rodzice, Lupin i Syriusz również przystanęli.

- Ktoś tam jest - wyszeptał chrapliwy głos. - A on ma przecież pelerynę - niewidkę. Czy to może...

Dwie postaci wyszły zza pobliskiego drzewa. Ich różdżki się rozjarzyły i Harry zobaczył Yaxleya i Dołohowa wpatrujących się w ciemność, w dokładnie to miejsce, gdzie stali Harry i jego towarzysze. Śmierciożercy najwyraźniej nie byli w stanie niczego dojrzeć.

- Na pewno coś usłyszałem - upierał się Yaxley. - Jakieś zwierzę, myślisz?

- Ten czubek, Hagrid, trzymał tu pełno różnych rzeczy - mruknął Dołohow, oglądając się przez ramię.

Yaxley zerknął na zegarek.

- Czas prawie się skończył - ciągnął drugi Śmierciożerca. - Potter miał swoją godzinę. Już nie przyjdzie.

- Lepiej wracajmy - stwierdził Yaxley. - Trzeba sprawdzić, jaki teraz jest plan.

Śmierciożercy odwrócili się i ruszyli w głąb lasu. Harry poszedł za nimi. Wiedział, że zaprowadzą go dokładnie tam, gdzie chciał trafić. Zerknął w bok. Mama uśmiechnęła się do niego, a tata pokiwał głową w geście zachęty.

Maszerowali zaledwie od kilku minut, kiedy Harry zauważył światło z przodu, a Yaxley i Dołohow weszli na polanę znaną jako siedlisko potwornego Aragoga. Pozostałości jego obszernej pajęczyny wciąż się tam znajdowały, ale stada pajęczych potomków zostały najwyraźniej zapędzone przez śmierciożerców do walki po ich stronie.

Palące się pośrodku polany ognisko rzucało chwiejne cienie na tłum milczących, czujnych śmierciożerców. Część z nich nadal miała na sobie maski i kaptury, inni odsłonili twarze. Dwóch gigantów siedziało na skraju zgromadzenia, zacieniając część okolicy. Ich twarze były jak wykute z kamienia i pełne okrucieństwa. Harry zauważył też Fenrira, zgarbionego i obgryzającego swoje długie paznokcie. Masywny blondyn Rowle skubał

krwawiącą wargę. Lucjusz Malfoy wyglądał na przerażonego i pokonanego, a Narcyza miała podkrążone, pełne obaw oczy.

Spojrzenia wszystkich skierowane były na Voldemorta, który stał z opuszczoną głową i białymi rękami splecionymi na Starszej Różdżce. Mógł się modlić albo liczyć po cichu i Harry, nadal stojący na uboczu, absurdalnie pomyślał nagle o dziecku odliczającym w zabawie w chowanego. Za głową Czarnego Pana Nagini unosiła się w swojej lśniącej, zaczarowanej klatce jak potworna aureola.

Kiedy Dołohow i Yaxley dołączyli do zgromadzenia, Voldemort podniósł głowę.

- Ani śladu chłopca, mój Panie - powiedział Dołohow.

Wyraz twarzy Czarnego Pana w ogóle się nie zmienił. Jego czerwone oczy wydawały się świecić w blasku ogniska. Powoli przesunął Starszą Różdżkę pomiędzy swoimi długimi palcami.

- Mój Panie...

To Bellatriks się odezwała. Siedziała najbliżej Voldemorta, potargana, trochę zakrwawiona na twarzy, ale poza tym bez szwanku.

Voldemort podniósł rękę, aby ją uciszyć i Bellatriks nie odezwała się już ani słowem, patrząc na niego z pełną podziwu fascynacją.

- Myślałem, że się zjawi - powiedział wpatrzony w płomienie Voldemort wysokim, czystym głosem. - Oczekiwałem, że się zjawi.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wydawali się równie przerażeni, co Harry, którego serce kołatało w klatce piersiowej, jakby chciało uciec z tego ciała skazanego na zgubę. Pociły mu się dłonie, kiedy ściągał pelerynę - niewidkę i upychał ją pod szatą razem z różdżką. Nie chciał czuć pokusy walki.

- Najwyraźniej się... myliłem - rzekł Voldemort.

- Nie myliłeś się.

Harry powiedział to tak głośno, jak tylko potrafił, z całą siłą, na jaką było go stać. Nie chciał, by pomyśleli, że jest przestraszony. Kamień Wskrzeszenia wymknął się spomiędzy jego palców i kątem oka zauważył, jak jego rodzice, Syriusz i Lupin znikają. W tym momencie nikt nie był równie ważny jak Voldemort. Chodziło tylko o nich dwóch.

Ta iluzja szybko się rozwiała. Giganty wydały z siebie ryk, śmierciożercy zgodnie wstali i rozległo się wiele okrzyków, westchnień i nawet śmiechów. Voldemort zastygł w miejscu, ale jego czerwone oczy zatrzymały się na Harrym. Patrzył na niego cały czas, podczas gdy chłopak podchodził coraz bliżej, aż pomiędzy nimi było tylko ognisko.

Wtedy jakiś głos zawołał:

- HARRY! NIE!

Harry się odwrócił - To był Hagrid, skrępowany i przywiązany do pobliskiego drzewa. Konary trzęsły się od jego siły, kiedy w desperacji walczył z więzami.

- Nie, nie, Harry, co ty wyra...

- Cisza! - ryknął Rowle i uciszył Hagrida jednym machnięciem różdżki.

Bellatriks, która skoczyła na nogi, patrzyła to na Voldemorta, to na Harry'ego. Jej pierś falowała w rytm gwałtownych oddechów. Jedyne, co się ruszało, to płomienie i wąż, zwijający się i rozwijający w lśniącej klatce za głową Voldemorta.

Harry pod szatą wyczuwał swoją różdżkę, ale nie uczynił żadnego ruchu, by ją wyciągnąć. Wiedział, że wąż był za dobrze chroniony, że gdyby usiłował skierować na Nagini różdżkę, zdążyłoby go uderzyć pięćdziesiąt zaklęć. Voldemort i Harry nadal patrzyli sobie w oczy i Czarny Pan przekrzywił nieco głowę, przyglądając się stojącemu przed nim chłopcu. Na jego bezwargiej twarzy pojawił się uśmiech zupełnie pozbawiony radości.

- Harry Potter - powiedział tak cicho, że równie dobrze mogłoby to być syczenie płomieni. - Chłopiec, Którzy Przeżył.

Żaden ze śmierciożerców się nie poruszył. Zamarli w oczekiwaniu. Wszystko zamarło. Hagrid usiłował się uwolnić, Bellatriks głośno oddychała, a Harry, nie wiedzieć czemu, pomyślał o Ginny, jej gorącym spojrzeniu i dotyku jej warg...

Voldemort podniósł różdżkę. Nadal miał przekrzywioną głowę i wyglądał jak ciekawskie dziecko, zastanawiające się, co się dalej może stać. Harry patrzył w jego czerwone oczy i chciał, by to się już wydarzyło, szybko, dopóki wciąż mógł stać, dopóki nie stracił panowania nad sobą, dopóki nie okazał strachu...

Zobaczył ruch ust Czarnego Pana, błysk zielonego światła - i wszystko zniknęło.

Rozdział 35
King's Cross

Tłumaczenie: Różowy Dementor

Leżał twarzą do ziemi, wsłuchując się w ciszę. Całkowicie sam. Nikt na niego nie patrzył. Nikogo innego tam nie było. Właściwie nie był pewien, czy on sam istnieje.

Minęło sporo czasu (a może czas w ogóle nie płynął?) zanim dotarło do niego, że musi istnieć, musi być czymś więcej niż bezcielesną myślą, ponieważ leżał (tak, zdecydowanie leżał) na jakiejś powierzchni. Posiadał zmysł dotyku i ta rzecz, na której leżał, zdawała się całkiem realna.

Prawie równolegle z tym odkryciem, Harry zdał sobie również sprawę z tego, że jest nagi. Przekonany o swoim całkowitym odosobnieniu, nie kłopotał się tą myślą, choć fakt ten nieco go intrygował. Zastanawiał się, czy - skoro potrafi odczuwać - może też widzieć. Stwierdził, że posiada oczy, dopiero wtedy gdy je otworzył.

Otaczała go jasna mgła, jakiej nie widział nigdy wcześniej. Mętne opary nie tyle skrywały otoczenie, co dopiero się w nie formowały. Podłoga, na której leżał, wydawała się biała, ni ciepła, ni zimna, po prostu była - płaskie coś.

Usiadł. Jego ciało zdawało się nietknięte. Dotknął twarzy. Nie miał już okularów.

I wtedy, przez bezkształtną nicość, która go otaczała, dotarły do niego dźwięki: słabe odgłosy, wydawane przez coś, co gdzieś się szamotało. Był to żałosny i jednocześnie odrobinę niepokojący dźwięk. Harry czuł się niezręcznie, miał wrażenie, że podsłuchuje coś potajemnego, wstydliwego.

Po raz pierwszy pożałował, że nie jest ubrany.

Ledwo ta myśl zaświtała mu w głowie, tuż obok pojawiły się szaty. Podniósł je i włożył, były miękkie, czyste i ciepłe. To niezwykłe, że pojawiły się ot tak sobie, z niczego, w momencie, gdy tylko ich zapragnął.

Wstał, rozglądając się. Czy znajdował się w jakimś wspaniałym Pokoju Życzeń? Im dłużej patrzył, tym więcej rzeczy było do oglądania. Wysoko nad nim błyszczał w słońcu olbrzymi szklany dach. Być może to pałac? Wszystko było tu wyciszone i spokojne, nie licząc dziwnego łkania dochodzącego gdzieś z bliska, z mgły.

Harry obracał się powoli w miejscu i okolica zdawała się modelować tuż przed jego oczami. Otwarta przestrzeń, jasna i czysta, hol dużo większy od tego przy Wielkiej Sali. Pusty. Był tam jedyną osobą, z wyjątkiem...

Wzdrygnął się. Zauważył to *coś*, wydające dziwne odgłosy. Miało kształt małego nagiego dziecka zwiniętego na podłodze, o skórze obtartej i chropowatej - trzęsąc się, leżało pod krzesłem, gdzie porzucone, niechciane i odepchnięte walczyło o każdy oddech.

Bał się tego. Było małe, kruche i chyba ranne, jednak Harry nie chciał się do niego zbliżać. Mimo to podszedł nieco bliżej, gotowy odskoczyć w każdej chwili. Wkrótce stał wystarczająco blisko, by dotknąć dziecka, jednak nie mógł zmusić, by to uczynić. Czuł się jak tchórz. Powinien był je pocieszyć, ale sama myśl o tym instynktownie napełniała go obrzydzeniem.

- Nie możesz temu pomóc.

Odwrócił się. Ku niemu żwawo kroczył Albus Dumbledore, wyprostowany i odziany w szaty w kolorze nocnego nieba.

- Harry. - Rozpostarł szeroko ramiona, a obie jego dłonie były całe, białe i zdrowe. - Ty wspaniały chłopcze. Odważny, odważny chłopcze. Przejdźmy się.

Oszołomiony Harry podążył za Dumbledore'em, gdy ten oddalił się od miejsca, gdzie leżało łkające dziecko, i skierował się w stronę ustawionych niedaleko dwóch krzeseł, których Harry wcześniej nie zauważył. Dumbledore usiadł na jednym z nich, a on opadł na drugie, wpatrując się w twarz swego byłego dyrektora. Jego długie, srebrne włosy i broda, przejrzyście niebieskie oczy za okularami połówkami, haczykowaty nos... Wszystko było takie, jak Harry to pamiętał. A jednak...

- Ale pan jest martwy - odezwał się.

- Och, tak - odpowiedział rzeczowo Dumbledore.

- W takim razie... Ja też jestem martwy?

- Ach! - Dumbledore uśmiechnął się szeroko. - Oto jest pytanie, prawda? Ale patrząc na całość, drogi chłopcze, myślę, że nie. Nie jesteś martwy.

Spojrzeli na siebie, staruszek wciąż był rozpromieniony.

- Nie? - powtórzył Harry.

- Nie.

- Ale... - Harry instynktownie podniósł dłoń ku bliźnie. Wyglądało na to, że jej tam nie ma. - Ale powinienem był umrzeć. Nie broniłem się! Pozwoliłem mu się zabić!

- I to właśnie, jak sądzę - odparł Dumbledore - czyni różnicę.

Szczęście zdawało się promieniować z niego jak światło, jak żar ognia. Harry nigdy nie widział tego człowieka tak całkowicie, bez reszty zadowolonego.

- Niech pan mi to wytłumaczy - poprosił Harry.

- Przecież wiesz - odpowiedział.

- Pozwoliłem mu się zabić - zaczął chłopiec. - Prawda?

- Tak jest - przytaknął Dumbledore. - Kontynuuj.

- Więc część jego duszy, ta, która była we mnie...

Dumbledore potakiwał bardziej entuzjastycznie, a na jego twarzy malował się szeroki, zachęcający uśmiech.

- ...czy ona zniknęła?

- Och, tak! Tak, zniszczył ją. Twoja dusza jest cała i całkowicie twoja, Harry.

- Ale...

Harry spojrzał przez ramię w kierunku, gdzie małe okaleczone stworzenie drżało pod krzesłem.

- Co to jest, profesorze?

- Coś, czemu nie jesteśmy w stanie pomóc.

- Ale jeśli Voldemort użył zaklęcia uśmiercającego - ciągnął Harry - i tym razem nikt za mnie nie zginął, jak to możliwe, że wciąż żyję?

- Myślę, że wiesz. Pamiętasz, co zrobił przy całej swojej ignorancji, w swojej chciwości i okrucieństwie?

Harry zamyślił się, pozwalając by jego wzrok prześlizgiwał się po otoczeniu. Jeśli rzeczywiście był to pałac, to jakiś dziwny, z krzesłami ustawionymi w krótkich rzędach i kawałkami torów rozrzuconymi to tu, to tam... a Harry, Dumbledore i karłowate stworzenie nadal byli tam jedynymi istotami. I wtedy odpowiedź z łatwością, bez żadnego wysiłku, wypłynęła z jego ust.

- Zabrał moją krew.

- Dokładnie! Zabrał twoją krew i odbudował przy jej pomocy własne ciało! Twoja krew w jego żyłach, Harry. Ochrona, którą zapewniła ci Lily, była wewnątrz was obu. Tym samym zapewnił ci życie wtedy, kiedy on żyje.

- Ja żyję... kiedy on żyje? Ale ja myślałem... Myślałem, że jest wręcz odwrotnie! Myślałem, że obaj musimy umrzeć? A może to jedno i to samo?

Łkanie cierpiącego potworka za plecami rozpraszało chłopca i zerknął na niego ponownie.

- Jest pan pewien, że nic nie możemy zrobić?

- Nie możemy mu pomóc.

- W takim razie, proszę wyjaśnić... więcej - powiedział Harry i Dumbledore uśmiechnął się.

- Byłeś siódmym horkruksem, Harry. Horkruksem, który nigdy nie miał powstać. Dusza Voldemorta była tak rozdarta, tak niestabilna, że rozpadła się, gdy popełnił te akty niewypowiedzianego zła - zamordował twoich rodziców i próbował zabić dziecko. Ale to, co uciekło wtedy z pokoju, było czymś słabszym, niż myślał sam Voldemort. Zostawił tam coś więcej, prócz swego ciała. Zostawił część siebie zatrzaśniętą w tobie, w niedoszłej ofierze, która przeżyła. A jego wiedza pozostała żałośnie niepełna, Harry! Voldemort nie trudzi się, by pojąć rzeczy, których nie ceni. Skrzaty domowe, baśnie dla dzieci, miłość, lojalność i niewinność - te słowa brzmią dla niego obco. W ogóle ich nie rozumie. W ogóle. Nie wie, że posiadają one moc większą niż jego własna, moc poza zasięgiem jakiejkolwiek magii. Oto prawda, której nigdy nie pojął. Zabrał twoją krew, wierząc, że ona go wzmocni. Tymczasem, czyniąc to, przyjął do swojego ciała niewielką część czaru, który twoja matka złożyła w tobie, gdy za ciebie zginęła. Jego ciało utrzymuje ten czar wielkiej ofiary i jak długo trwa ten czar, tak długo żyjesz ty i ostatnia nadzieja Voldemorta dla samego siebie.

Dumbledore uśmiechał się do Harry'ego, a on wpatrywał się intensywnie w twarz profesora.

- I pan wiedział? Cały czas?

- Strzelałem. Ale moje strzały są zazwyczaj celne - powiedział Dumbledore wesoło. Przesiedzieli w milczeniu, jak się wydawało, dość długą chwilę, podczas gdy stworzenie za nimi skomlało i trzęsło się.

- Jeszcze coś - powiedział w końcu Harry. - Jest jeszcze coś. Dlaczego moja różdżka złamała różdżkę, którą on pożyczył?

- Nie jestem pewien, czy to rozumiem.

- Więc niech pan strzela - rzekł Harry i Dumbledore roześmiał się.

- Wiedz, Harry, że ty i Lord Voldemort podróżowaliście razem w rejony magii nieznane i niespenetrowanie przez nikogo nigdy wcześniej. Myślę, że to, co się wydarzyło, jest tak niespotykane, że żaden wytwórca różdżek nie mógł tego przewidzieć, ani wytłumaczyć. Jak już teraz wiesz, kiedy Voldemort powrócił do ludzkiej postaci, niechcący podwoił więź między wami. Część jego duszy była ciągle przywiązana do twojej, a w dodatku, błędnie myśląc, że go to wzmocni, przyjął w siebie część ofiary, którą złożyła twoja matka. Gdyby tylko mógł zrozumieć znaczenie i olbrzymią moc tego poświęcenia, prawdopodobnie nie ośmieliłby się dotknąć twojej krwi. Choć gdyby był to w stanie zrozumieć, nie mógłby być Lordem Voldemortem i być może nigdy nie popełniłby morderstwa. Wzmocniwszy tę więź, połączywszy wasze przeznaczenia w sposób, w jaki dwóch czarodziejów nigdy w historii nie było połączonych, Voldemort zaatakował cię różdżką, która dzieliła rdzeń z twoją. I wtedy stało się coś dziwnego. Rdzenie

zareagowały w sposób, jakiego Voldemort, który nie miał pojęcia, że wasze różdżki są bliźniacze, nigdy się nie spodziewał. Tamtej nocy był bardziej przerażony niż ty, Harry. Ty zaakceptowałeś, nawet przywitałeś z ulgą możliwość, że umrzesz, uczyniłeś coś, do czego on nigdy nie był zdolny. Twoja odwaga wygrała, twoja różdżka przezwyciężyła jego. Wówczas coś stało się między nimi; coś, co odzwierciedlało relację między ich właścicielami. Wierzę, że twoja różdżka wchłonęła nieco z mocy i możliwości różdżki Voldemorta, co jest równoznaczne z powiedzeniem, że zawarła w sobie trochę samego Voldemorta. Tak więc twoja różdżka rozpoznała go, gdy cię ścigał, rozpoznała człowieka, który był jednocześnie przyjacielem i śmiertelnym wrogiem. Wykorzystała przeciw niemu trochę jego własnej magii - dużo potężniejszej niż wszystko, co różdżka Lucjusza kiedykolwiek wykonała. Twoja różdżka natomiast zawierała w sobie zarówno moc twojej olbrzymiej odwagi i morderczych umiejętności Voldemorta. Jaką szansę mógł mieć ten kawałek drewna Lucjusza Malfoya?

- Ale jeśli moja różdżka jest taka potężna, jakim cudem Hermiona zdołała ją złamać?

- Mój drogi chłopcze, jej niezwykłe zdolności są skierowane wyłącznie w stronę Voldemorta, który tak nierozsądnie majstrował w najgłębszych rejonach magii. Tylko przeciwko niemu twoja różdżka była tak niesłychanie potężna. W innym wypadku, była to różdżka jak każda inna... Choć, jestem pewny, że bardzo dobra - dokończył uprzejmie Dumbledore.

Harry na dłuższą chwilę (bądź też na kilka sekund) zatopił się w rozmyślaniach. W takim miejscu jak to, nie można być pewnym takich rzeczy, jak czas.

- Zabił mnie pańską różdżką.

- Nie zdołał zabić cię moją różdżką - poprawił go Dumbledore. - Myślę, że obydwaj zgadzamy się co do tego, że nie jesteś martwy. Oczywiście - dodał szybko, jakby bał się, że było to nieuprzejme - nie minimalizuję twojego cierpienia, które, jestem pewien, było ogromne.

- Jednak chwilowo czuję się wspaniale - powiedział Harry, zerkając w dół na swoje czyste, nietknięte dłonie. - Gdzie my właściwie jesteśmy?

- Cóż, sam zamierzałem o to zapytać - odpowiedział Dumbledore, rozglądając się. - Gdzie jesteśmy według ciebie?

Dopóki Dumbledore nie zadał tego pytania, Harry nie wiedział. Teraz jednak odkrył, że ma już gotową odpowiedź.

- Wygląda - rzekł powoli - jak stacja King's Cross. No, pomijając fakt, że jest tu dużo czyściej i pusto, i jak daleko sięgam wzrokiem, nie widzę żadnych pociągów.

- Stacja King's Cross! - Dumbledore chichotał bez umiaru. - Wielki Merlinie, naprawdę?

- A pan myśli, że gdzie jesteśmy? - zapytał Harry, nieco urażony.

- Mój drogi chłopcze, nie mam pojęcia. To jest, że tak powiem, *twoja* impreza.

Harry nie wiedział, co to oznacza. Dumbledore zachowywał się trochę irytująco. Chłopak wpatrywał się w profesora i wtedy przypomniał sobie dużo ważniejsze pytanie, niż to o miejsce ich obecnego pobytu.

- Dary Śmierci - powiedział i z zadowoleniem stwierdził, że jego słowa zmyły uśmiech z twarzy Dumbledore'a.

- Ach, tak - rzekł czarodziej. Wyglądał nawet na odrobinę zmartwionego.

- Więc?

Po raz pierwszy od momentu, gdy Harry poznał Dumbledore'a, dyrektor nie wyglądał jak stary człowiek. Właściwie, to wydawał się dużo, dużo młodszy. Jak mały chłopiec przyłapany na psotach.

- Czy możesz mi wybaczyć? - powiedział. - Możesz wybaczyć mi, że ci nie ufałem? Że nie powiedziałem? Obawiałem się tylko, że zawiedziesz, Harry, tak, jak ja zawiodłem. Bałem się, że powielisz moje błędy. Błagam cię o wybaczenie. Już od pewnego czasu wiedziałem, że jesteś lepszym człowiekiem.

- O czym pan mówi? - zapytał Harry, zaskoczony tonem głosu Dumbledore'a i łzami, które nagle zalśniły w jego oczach.

- Dary, Dary Śmierci... - wymamrotał. - Sen desperata.

- Ale one są prawdziwe!

- Prawdziwe, niebezpieczne i wabią głupców - odrzekł Dumbledore. - I ja byłem takim głupcem. Ale to już wiesz, prawda? Już nie mam przed tobą sekretów, już nie. Ty wiesz.

- Co wiem?

Dumbledore obrócił się całym ciałem do Harry'ego, łzy wciąż lśniły w jego przejrzyście niebieskich oczach.

- Pan Śmierci, Harry, Pan Śmierci! Czy w ostatecznym rozrachunku byłem lepszy od Voldemorta?

- Oczywiście, że był pan lepszy - powiedział Harry. - Oczywiście... Jak może pan o to w ogóle pytać? Pan nigdy nie zabił, jeśli tylko mógł pan tego uniknąć.

- Prawda, prawda - rzekł Dumbledore, niczym dziecko szukające usprawiedliwienia. - A jednak, ja również szukałem sposobu, by pokonać śmierć, Harry.

- Nie tak jak on - odpowiedział chłopak. Jakże dziwnie było, po całym gniewie, jaki jeszcze niedawno odczuwał w stosunku do dyrektora, siedzieć tutaj, pod wysokim sklepieniem i bronić Dumbledore'a przed jego własnymi oskarżeniami. - Z pomocą Darów, nie horkruksów.

- Darów, nie horkruksów - wymamrotał Dumbledore. - Dokładnie.

Przerwali. Stworzenie za nimi załkało, ale tym razem Harry się nie obejrzał.

- Grindelwald też ich szukał? - zapytał.

Dumbledore na moment zamknął oczy i przytaknął.

- To właśnie przede wszystkim nas łączyło - rzekł cicho. - Dwójka mądrych, aroganckich chłopców, dzielących wspólną obsesję. Chciał udać się do Doliny Godryka, jak zapewne już zgadłeś, ze względu na grób Ignotusa Peverella. Chciał zbadać miejsce, gdzie umarł trzeci z braci.

- Więc to prawda? - zapytał Harry. - Wszystko to prawda? Bracia Peverell...

- ...byli braćmi z baśni - dokończył Dumbledore, przytakując. - Tak, tak myślę. Czy jednak podczas swych wędrówek spotkali Śmierć? Jestem raczej skłonny przypuszczać, że bracia Peverell byli po prostu utalentowanymi, niebezpiecznymi czarodziejami, którym udało się stworzyć te potężne artefakty. Opowieść o nich, jako o właścicielach Darów Śmierci wydaje mi się rodzajem legendy, którą zwykle obrastają takie przedmioty. Peleryna, jak już jesteś tego świadom, przez wieki była przekazywana z ojca na syna, z matki na córkę, prosto w ręce ostatniego żywego potomka Ignotusa, który urodził się, tak jak sam Ignotus, w Dolinie Godryka.

Dumbledore uśmiechnął się do Harry'ego.

- Do mnie?

- Do ciebie. Zapewne już zgadłeś, dlaczego tej nocy, kiedy zginęli twoi rodzice, peleryna znajdowała się u mnie. James pokazał mi ją zaledwie kilka dni wcześniej. Wyjaśniało to wiele z jego nie wykrytych wycieczek po szkole! Ciężko było mi uwierzyć w to, co widziałem. Poprosiłem, aby mi ją pożyczył, bym mógł ją sprawdzić. Już dawno porzuciłem moje marzenia o połączeniu wszystkich Darów, ale nie mogłem się powstrzymać, nie mogłem oprzeć się, by nie przyjrzeć się pelerynie bliżej... Była to peleryna, jakiej nie widziałem nigdy wcześniej - niewiarygodnie stara, perfekcyjna pod każdym względem... I wtedy twój ojciec zginął, a ja posiadałem na własność już dwa Dary!

Jego ton był nieznośnie gorzki.

- Peleryna nie pomogłaby im przeżyć - powiedział szybko Harry. - Voldemort wiedział, gdzie moi rodzice przebywali. Peleryna nie uczyniłaby ich odpornymi na zaklęcie.

- Prawda - westchnął Dumbledore. - Prawda.

Harry czekał, ale Dumbledore nie odzywał się, więc zachęcił go do podjęcia rozmowy.

- Więc dał pan sobie spokój z Darami, kiedy zobaczył pan pelerynę?

- Och tak - rzekł słabo Dumbledore. Zdawało się, że zmusza się, by spojrzeć Harry'emu w oczy. - Wiesz, co się stało. Wiesz. Nie możesz pogardzać mną bardziej, niż ja pogardzam samym sobą.

- Ale ja panem nie pogardzam...

- W takim razie powinieneś. - Dumbledore wziął głęboki oddech. - Znasz sekret tajemniczej choroby mojej siostry, wiesz, co zrobili ci mugole. Że mój biedny ojciec zemścił się i zapłacił za to, umierając w Azkabanie. Wiesz, jak moja matka poświęciła swoje własne życie, by zadbać o Arianę. Ja... Ja miałem o to pretensje.

Dumbledore wygłosił ostatnie zdanie chłodno, bezceremonialnie, stawiając sprawę jasno. Patrzył teraz w przestrzeń ponad głową Harry'ego.

- Byłem utalentowany, genialny, pragnąłem uciec. Chciałem błyszczeć w chwale. Nie zrozum mnie źle - dodał, a cień bólu przemknął przez jego twarz, sprawiając, że znów wyglądał staro. - Kochałem ich, kochałem moich rodziców, mojego brata i siostrę, ale byłem samolubny, Harry, dużo bardziej samolubny niż możesz sobie to wyobrazić - ty, który jesteś nadzwyczajnie bezinteresownym człowiekiem. Kiedy umarła moja matka, a ja zostałem obarczony odpowiedzialnością za upośledzoną siostrę i marnotrawnego brata, wróciłem do mej osady w gniewie i żalu. Uwięziony i zmarnowany, myślałem. I wtedy, oczywiście, przybył on...

Dumbledore spojrzał prosto w oczy Harry'ego.

- Grindelwald. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak przemawiały do mnie jego pomysły, Harry, jak mnie porwały. Mugole zmuszeni do podporządkowania się triumfującym czarodziejom. Grindelwald i ja, dwójka młodych przywódców nowej rewolucji. Och, miałem skrupuły, ale moje wyrzuty sumienia uciszałem pustymi słowami. To wszystko byłoby dla większego dobra, a każda wyrządzona krzywda przyniosłaby czarodziejom stokrotnie większe korzyści. Czy w głębi serca wiedziałem, kim jest Gellert Grindelwald? Myślę, że tak, ale przymykałem na to oczy. Ziszczenie naszych planów oznaczało spełnienie wszystkich moich snów. A w samym środku naszych planów... Dary Śmierci! Jakże one go fascynowały, jak fascynowały nas obu! Niepokonana różdżka - broń, która poprowadziłaby nas do władzy! Kamień Wskrzeszenia - dla niego, choć udawałem, że nic o tym nie wiem, oznaczało to armię inferiusów! Dla mnie, przyznaję, powrót moich rodziców i zdjęcie całej odpowiedzialności z mych ramion. No i peleryna... Jakoś nigdy dużo o niej nie dyskutowaliśmy, Harry. Obydwaj potrafiliśmy ukryć się wystarczająco dobrze i bez niej, jej prawdziwa magia polegała na tym, że równie dobrze co właściciela, mogła chronić i osłaniać innych. Myślałem, że gdybym kiedykolwiek ją znalazł, byłaby przydatna w ukryciu Ariany, ale nasze zainteresowanie nią ograniczało się głównie do skompletowania całej trójki. Legenda głosiła, że ten, kto zbierze wszystkie trzy artefakty, stanie się prawdziwym Panem Śmierci, co dla nas równało się z byciem "niezwyciężonym". Niezwyciężeni władcy śmierci, Grindelwald i Dumbledore! Były to dwa miesiące szaleństwa, okrutnych snów i zaniedbywania członków rodziny, którzy mi pozostali. I wtedy... wiesz, co się wydarzyło. Rzeczywistość powróciła do mnie w postaci mojego nieokrzesanego, niewykształconego i nieskończenie bardziej godnego podziwu brata. Nie chciałem słuchać prawd, które wykrzykiwał mi w twarz. Nie chciałem słuchać, że nie mogę wyruszyć na poszukiwanie Darów, nie z kruchą i niezrównoważoną siostrą u boku. Kłótnia przeistoczyła się w walkę. Grindelwald stracił panowanie nad sobą. To, co zawsze w nim wyczuwałem - choć udawałem, że jest inaczej - wówczas ujawniło się w całej swej potworności. A Ariana... Po całej opiece i uwadze, którą poświęciła jej matka... leżała martwa na podłodze.

Dumbledore westchnął i zaczął szczerze płakać. Harry wyciągnął rękę i z zadowoleniem odkrył, że może dotknąć dyrektora. Uścisnął mocno jego ramię i Dumbledore stopniowo odzyskiwał panowanie nad sobą.

- Cóż, Grindelwald uciekł, i każdy, prócz mnie, mógł to przewidzieć. Zniknął wraz ze swoimi planami zdobycia władzy, ze swoim programem torturowania mugoli i ze swoimi marzeniami o Darach Śmierci, do których go zachęcałem i pomagałem. Uciekł, podczas gdy ja zostałem, by pogrzebać mą siostrę i nauczyć się żyć z brzemieniem winy i okropnym żalem. Mijały lata. Pojawiły się plotki, które mówiły, że Grindelwald zdobył różdżkę o ogromnej mocy. W międzyczasie zaoferowano mi stanowisko Ministra Magii i to nie raz, lecz wielokrotnie. Naturalnie odmówiłem. Nauczyłem się, że nie mogę sobie ufać, jeśli w grę wchodzi władza.

- Ale pan byłby lepszy, dużo lepszy, niż Knot czy Scrimgeour! - wybuchnął Harry.

- Tak? - zapytał ponuro Dumbledore. - Nie jestem tego taki pewien. Już w bardzo młodym wieku udowodniłem, że władza jest moją słabością i pokusą. To ciekawe, Harry,

ale prawdopodobnie najlepsi do sprawowania władzy są ci, którzy nigdy jej nie szukali. Ludzie tacy jak ty, którym przywództwo zostaje narzucone, przyjmują obowiązki, bo nie mają innego wyjścia, i z zaskoczeniem zauważają, że radzą sobie nienajgorzej. Czułem się pewniejszy w Hogwarcie. Myślę, że byłem dobrym nauczycielem...

- Był pan najlepszy.

- Jesteś bardzo uprzejmy, Harry. Jednakże, kiedy ja zajmowałem się kształceniem młodych czarodziejów, Grindelwald zbierał armię. Powiadają, że się mnie bał i może była to prawda, ale to ja obawiałem się go bardziej. Och, nie śmierci z jego ręki - dodał Dumbledore, odpowiadając na pytające spojrzenie Harry'ego. - Nie obawiałem się tego, co może mi zrobić swoją magią. Wiedziałem, że byliśmy równorzędnymi przeciwnikami. Możliwe, że byłem odrobinę bardziej utalentowany. To prawdy się obawiałem. Bo widzisz, Harry, nigdy nie dowiedziałem się, który z nas, podczas naszej ostatniej, straszliwej walki, rzucił zaklęcie, które zabiło moją siostrę. Możesz nazwać mnie tchórzem. Miałbyś rację, Harry. Niewiarygodnie przerażała mnie myśl, że to ja przyniosłem jej śmierć - nie tylko przez moją arogancję i głupotę, ale dosłownie przez zadanie ciosu, który pozbawił ją życia. Wydaje mi się, że Grindelwald wiedział o moim lęku. Odkładałem nasze nieuniknione spotkanie tak długo, że kontynuowanie tego jeszcze trochę byłoby zbyt haniebne. Ludzie umierali, a on zdawał się być niepowstrzymany. Musiałem zrobić, co tylko mogłem. Cóż, wiesz, co stało się potem. Wygrałem pojedynek. Wygrałem różdżkę.

Znowu zapadła cisza. Harry nie zapytał, czy Dumbledore dowiedział się, kto zabił Arianę. Nie chciał wiedzieć, a jeszcze mniej pragnął zmuszać profesora do wyznania mu prawdy. Przynajmniej wiedział, co Dumbledore widział w lustrze Ain Eingarp i dlaczego był taki wyrozumiały względem fascynacji, jaką owe lustro wzbudzało w Harrym.

Długo siedzieli w ciszy, łkania stworzenia za nimi Harry ledwo zauważał. W końcu odezwał się:

- Grindelwald próbował powstrzymać Voldemorta przed dalszym poszukiwaniem różdżki. Skłamał, wie pan, udawał, że nigdy jej nie miał.

Dumbledore przytaknął, patrząc w dół na swoje kolana, łzy błyszczały na jego zakrzywionym nosie.

- Powiadają, że okazał skruchę w późniejszych latach spędzonych samotnie w celi Nurmengardu. Mam nadzieję, że to prawda. Chciałbym myśleć, że odczuwał przerażenie i wstyd z powodu tego, co zrobił. Być może okłamanie Voldemorta było próbą naprawienia... powstrzymania go przed zdobyciem Daru.

- A może przed włamaniem do pańskiego grobowca? - zasugerował chłopak. Dumbledore otarł oczy. Po krótkiej przerwie Harry powiedział:

- Próbował pan użyć Kamienia Wskrzeszenia.

Dumbledore przytaknął.

- Kiedy po tych wszystkich latach odkryłem go, zakopanego w opuszczonym domu Gauntów - Dar, którego pragnąłem najbardziej, choć w młodości chciałem go z zupełnie innych powodów - straciłem głowę, Harry. Zupełnie zapomniałem, że kamień był już wtedy horkruksem, że pierścień z pewnością miał na sobie klątwę. Podniosłem go i wsunąłem na palec. Przez sekundę wyobrażałem sobie, że zaraz zobaczę Arianę, moją matkę i ojca, że w końcu powiem im, jak bardzo, bardzo żałuję, byłem... Byłem takim głupcem, Harry. Niczego się nie nauczyłem przez te wszystkie lata. Nie byłem godny, by zjednoczyć Dary Śmierci - udowadniałem to ciągle, a to był dowód ostateczny.

- Dlaczego? - zapytał Harry. - To naturalne! Chciał pan ich zobaczyć. Co w tym złego?

- Jeden człowiek na milion może zjednoczyć Dary, Harry. Ja byłem odpowiedni tylko do posiadania najpodlejszego z nich, najzwyczajniejszego. Byłem odpowiedni, by władać Starszą Różdżką, nie przechwalając się nią, nie zabijając. Miałem zezwolenie, by ją obłaskawić i by jej używać, ponieważ zabrałem ją nie dla zysku, lecz by ochronić przed nią innych. Natomiast pelerynę wziąłem z próżnej ciekawości i dlatego nie mogłem z niej korzystać w pełni, jak ty, jej prawowity właściciel. Kamienia użyłbym, by sprowadzić z powrotem tych, którzy spoczywali w spokoju, a nie po to, by umożliwić swe własne poświęcenie, tak jak zrobiłeś to ty. Ty jesteś godnym właścicielem Darów.

Dumbledore poklepał Harry'ego po dłoni, a chłopak spojrzał w górę na staruszka i uśmiechnął się; nic nie mógł na to poradzić. Jak teraz mógłby być zły na dyrektora?

- Dlaczego musiał pan to tak utrudniać?

Uśmiech Dumbledore'a był niepewny.

- Niestety, liczyłem na to, że panna Granger cię nieco spowolni. Bałem się, że twoja gorąca głowa zdominuje dobre serce. Gdybym zaprezentował ci fakty o tych kuszących przedmiotach, mógłbyś sięgnąć po nie tak, jak ja - w złym czasie, ze złych powodów. Chciałem, byś, gdy już położysz ręce na Darach, posiadł je bezpiecznie. Jesteś prawdziwym Panem Śmierci, ponieważ on nie szuka sposobu, by przed nią uciec. Akceptuje fakt, że musi umrzeć, rozumie, że są na tym świecie dużo, dużo gorsze rzeczy niż ona.

- Voldemort nigdy nie wiedział o Darach?

- Nie sądzę, ponieważ nie rozpoznał Kamienia Wskrzeszenia, który przeistoczył w horkruks. Ale nawet gdyby o nich wiedział, wątpię, by był zainteresowany którymś, z wyjątkiem pierwszego. Uważałby, że nie potrzebuje peleryny, a co do kamienia, kogo mianowicie miałby wskrzesić? Voldemort boi się martwych. Voldemort nikogo nie kocha.

- Ale pan spodziewał się, że będzie szukał różdżki?

- Byłem pewny, że będzie tego próbował od dnia, w którym twoja różdżka pokonała jego różdżkę na cmentarzu w Little Hangleton. Początkowo bał się, że pokonałeś go dzięki lepszym umiejętnościom. Jednakże, gdy porwał Ollivandera, odkrył istnienie bliźniaczych rdzeni. Myślał, że to wyjaśnia wszystko. Jednak pożyczona różdżka wcale nie spisała się lepiej w walce. Zamiast zapytać samego siebie, jaka twoja cecha czyniła twoją różdżkę tak silną, jaki talent, którego on nie ma, posiadałeś, Voldemort, oczywiście, wyruszył na poszukiwania różdżki, która pokonałaby każdą inną. Starsza Różdżka stała się dla niego idee fixe, które konkurowało z obsesją na twoim punkcie. Voldemort wierzy, że Starsza Różdżka usunie jego ostatnią słabość i uczyni go naprawdę niezwyciężonym. Biedny Severus...

- Jeśli wraz ze Snape'em planował pan swoją śmierć, zapewne chciał pan, by to on skończył ze Starszą Różdżką, tak?

- Przyznaję, że taka była moja intencja, ale nie wyszło tak, jak planowałem, prawda?

- Nie. Ta część nie wyszła.

Stworzenie za nimi podskoczyło i jęknęło, a Harry i Dumbledore siedzieli w ciszy przez dłuższą chwilę. Podczas tych minut, świadomość tego, co wydarzy się dalej, docierała do Harry'ego powoli, niczym lekko padający śnieg.

- Muszę wrócić?

- To zależy od ciebie.

- Mam wybór?

- Oczywiście. - Dumbledore uśmiechnął się do niego. - Mówisz, że jesteśmy na King's Cross? Podejrzewam, że jeśli postanowisz nie wracać, będziesz miał możliwość... powiedzmy... wsiąść do pociągu.

- I dokąd by mnie zabrał?

- Dalej - odpowiedział Dumbledore z prostotą.

Ponownie zapadła cisza.

- Voldemort ma Starszą Różdżkę.

- Prawda. Voldemort ma Starszą Różdżkę.

- Ale pan chce, bym wrócił?

- Myślę - rzekł Dumbledore - że jeśli zdecydujesz się wrócić, istnieje duża szansa, że to będzie jego ostateczny koniec. Nie mogę nic obiecać. Ale wiem jedno, Harry, masz mniej powodów, by się bać, niż on.

Harry spojrzał ponownie na rzecz, która drżała i krztusiła się w cieniu pod odległym krzesłem.

- Nie współczuj zmarłym, Harry. Współczuj żywym, a szczególnie tym, którzy żyją bez miłości. Powracając, możesz sprawić, że mniej dusz będzie okaleczonych, mniej rodzin rozdzielonych. Jeśli wydaje ci się to godnym celem, wówczas, na dzień dzisiejszy, powiemy sobie do widzenia.

Harry kiwnął głową i westchnął. Opuszczenie tego miejsca będzie nieporównywalnie lżejsze niż wejście w Las, ale było tu ciepło, jasno i spokojnie, a Harry wiedział, że tam, gdzie zmierza, będzie ból i strach przed stratą.

Harry wstał, Dumbledore zrobił to samo i przez długą chwilę patrzyli na siebie.

- Proszę mi powiedzieć ostatnią rzecz. Czy to jest prawdziwe? Czy to wszystko działo się po prostu w mej głowie?

Dumbledore rozpromienił się, a jego głos zabrzmiał głośno i wyraźnie w uszach Harry'ego, choć jasna mgła znowu zaczęła gęstnieć, przysłaniając postać dyrektora.

- Oczywiście, że działo się to w twojej głowie, ale dlaczego, na niebiosa, miałoby tym samym nie być prawdziwe?

Rozdział 36
Nieudany plan

Tłumaczenie: Ehtares

Znowu leżał twarzą do ziemi. Nozdrza wypełniał mu zapach lasu. Pod policzkiem czuł zimne, twarde podłoże, a oprawka przekrzywionych przy upadku okularów wbijała mu się w skroń. Bolał go każdy cal ciała, a miejsce, w które trafiło zaklęcie uśmiercające, było jak siniak po zderzeniu z czymś pancernym. Harry nie poruszył się, pozostając dokładnie w miejscu, w którym upadł, z lewym ramieniem zgiętym pod dziwnym kątem i rozdziawionymi ustami.

Oczekiwał, że usłyszy okrzyk triumfu i odgłosy świętowania jego śmierci, ale zamiast tego powietrze wypełniły dźwięki szybkich kroków, szepty i zatroskane pomruki.

- Mój panie... *Mój panie...*

Był to głos Bellatriks, przemawiającej tonem jak do kochanka. Harry nie odważył się otworzyć oczu, ale reszcie zmysłów pozwolił ocenić sytuację. Wiedział, że różdżkę nadal ma ukrytą pod szatami, ponieważ wyczuwał ją, przyciśniętą pod klatką piersiową. Delikatna miękkość na poziomie brzucha uświadomiła mu, że peleryna - niewidka też jest na miejscu, upchnięta pod szatą tak, by nie było jej widać.

- *Mój panie...*

- Dość tego - rozległ się głos Voldemorta.

Więcej kroków, jakby kilkunastu ludzi cofało się z tego samego punktu. Chcąc zobaczyć, co i dlaczego się dzieje, Harry odrobinę uchylił powieki.

Voldemort zdawał się właśnie podnosić na nogi. Niektórzy śmierciożercy odstępowali od niego i wracali do reszty tłumu na polance. Bellatriks jako jedyna została, klęcząc obok Voldemorta.

Harry ponownie zamknął oczy i rozważył ten widok. Śmierciożercy stłoczyli się wokół Voldemorta, który prawdopodobnie upadł na ziemię. Coś się wydarzyło, kiedy rzucił na Harry'ego zaklęcie uśmiercające. Czy Voldemort też zemdlał? Na to wyglądało. Obaj najwyraźniej stracili przytomność, a teraz obaj powrócili...

- Mój panie, pozwól mi...

- Nie potrzebuję asysty - uciął zimno Voldemort i choć Harry nie widział tego, wyobraził sobie Bellatriks wyciągającą pomocną dłoń. - Chłopak... Nie żyje?

Na polanie zapadła kompletna cisza. Nikt nie podszedł do Harry'ego, ale on czuł, jak skupiają się na nim spojrzenia wszystkich obecnych. Wydawało mu się, że jeszcze bardziej przyciskają go do ziemi - przerażonego, że zdradzi go drgnienie palca czy rzęs.

- Ty - odezwał się Voldemort, po czym rozległ się odgłos uderzenia i cichy jęk bólu. - Sprawdź go. Powiedz mi, czy jest martwy.

Harry nie wiedział, kogo wysłano do weryfikacji. Mógł tylko leżeć z bijącym zdradliwie sercem i czekać na dotyk. Zauważył jednak znamienny fakt - choć wcale nie poczuł się przez to lepiej - że Voldemort nie odważył się do niego podejść, że podejrzewał, iż nie wszystko poszło zgodnie z planem...

Czyjeś ręce, delikatniejsze niż oczekiwał, dotknęły jego twarzy, a potem wyczuły serce. Słyszał szybki oddech i czuł ciepłe kobiece dłonie na swoich żebrach.

- *Czy Draco żyje? Jest w zamku?*

Szept był ledwie słyszalny, jej usta znajdowały się zaledwie o cal od jego ucha, a głowę opuściła tak nisko, że długie włosy zasłoniły jego twarz przed resztą spojrzeń.

- *Tak* - odszepnął.

Czuł, jak dłoń na jego piersi zaciska się, kłując go paznokciami, a potem cofa. Narcyza Malfoy wyprostowała się.

- Jest martwy! - oznajmiła obserwatorom.

I teraz wreszcie zaczęli krzyczeć, wyli triumfalnie i tupali, a Harry przez kurtynę rzęs widział czerwone i srebrne ognie, strzelające w niebo na znak radości.

Nadal leżąc i udając, że nie żyje, Harry zrozumiał. Narcyza wiedziała, że może wejść do Hogwartu i poszukać syna tylko jako część armii wroga. Nie obchodziło jej już, czy Voldemort wygra.

- Widzicie?! - Voldemort przekrzyczał ryk tłumu. - Harry Potter zginął z mojej ręki i nikt nie może mi już zagrozić! Patrzcie! *Crucio!*

Harry oczekiwał tego, wiedział, że jego ciału nie pozwolą tak po prostu leżeć pośród lasu. Musiało zostać zbezczeszczone, by przypieczętować zwycięstwo Voldemorta. Zaklęcie uniosło go w górę i użył całej siły woli, by pozostać bezwładny, jednak ból nie nadszedł. Był wyrzucany w powietrze raz, drugi i trzeci. Spadły mu okulary i poczuł, jak różdżka wsuwa mu się głębiej w szaty, ale nadal udawał zwiotczałego i pozbawionego życia. Kiedy za trzecim razem przestał czuć grunt, polana rozbrzmiała szyderczym, głośnym śmiechem.

- A teraz - zaczął Voldemort - pójdziemy do zamku i pokażemy im, co zostało z ich bohatera. Kto poniesie ciało? Nie... Czekajcie...

Rozległ się ponowny wybuch śmiechu i kilka chwil później Harry poczuł, że ziemia lekko się pod nim trzęsie.

- Ty go poniesiesz - rzekł Voldemort. - Będzie dobrze widoczny na twoich rękach, czyż nie? Schyl się po swojego małego przyjaciela, Hagridzie. I okulary... Załóżcie mu je... Musi być rozpoznawalny...

Ktoś brutalnie wepchnął okulary Harry'emu z powrotem na nos, ale ogromne dłonie, które go podniosły, były wyjątkowo delikatne. Harry czuł, jak ręce Hagrida trzęsą się od szlochu. Kapały na niego łzy, kiedy olbrzym tulił go w ramionach, ale Harry nie odważył się słowem czy gestem pokazać Hagridowi, że jeszcze nie wszystko stracone.

- Ruszaj - odezwał się Voldemort i Hagrid zaczął iść przez las, przeciskając się między rosnącymi blisko siebie drzewami.

Gałęzie czepiały się szat i włosów Harry'ego, ale on leżał nieruchomo, z otwartymi ustami i opuszczonymi powiekami. W ciemności ani tłoczący się wokół śmierciożercy, ani

łkający rozpaczliwie Hagrid nie dostrzegli, że na odsłoniętej szyi Harry'ego Pottera widać bijący puls...

Dwóch olbrzymów przedzierało się za śmierciożercami. Harry słyszał, jak łamią i przewracają drzewa na swojej drodze. Robili tyle hałasu, że ptaki z wrzaskiem wzbijały się do lotu i zagłuszali nawet okrzyki samych śmierciożerców. Zwycięska procesja maszerowała w stronę otwartej przestrzeni i po chwili, kiedy światło rozbłysło mu pod powiekami, Harry domyślił się, że drzewa zaczynają się przerzedzać.

- ZAKAŁO!

Ryk Hagrida omal nie skłonił Harry'ego do otwarcia oczu.

- Wesoło wam teraz, żeście nie walczyli, tchórzliwa bando szkap? Wesoło wam, że Harry Potter nie... nie żyje?

Hagrid nie był w stanie mówić dalej i zalał się łzami na nowo. Harry zastanawiał się, ile centaurów obserwuje ich wędrówkę. Nie odważył się otworzyć oczu, by sprawdzić. Niektórzy śmierciożercy obrzucali centaury wyzwiskami, mijając je. Jakiś czas później Harry poczuł świeższe powietrze, co oznaczało, że dotarli do skraju lasu.

- Stójcie.

Harry pomyślał, że Hagrid musiał zostać zmuszony do wykonania rozkazu Voldemorta, bo lekko się zatoczył. W tym samym momencie chłód ogarnął miejsce, w którym stali i Harry usłyszał świszczący oddech dementorów, którzy kręcili się w pobliżu. Teraz jednak nie mieli na niego wpływu.

Fakt własnego przetrwania rozgrzewał go jak ochronny talizman, jakby jeleń ojca strzegł jego serca.

Ktoś przeszedł obok Harry'ego, a on domyślił się, że to Voldemort, bo przemówił chwilę później magicznie nagłośnionym tonem, który wprawiał w wibrację ziemię i bębenki uszu.

- Harry Potter nie żyje. Został zabity, kiedy uciekał, próbując ocalić własne życie, podczas gdy wy zawierzyliście mu swoje. Przynosimy wam jego ciało, jako dowód, że wasz bohater odszedł. Wygraliśmy tę bitwę. Straciliście połowę walczących. Moi śmierciożercy zdziesiątkowali was, a Chłopiec, Który Przeżył dokonał żywota. Wojna musi się skończyć. Każdy, kto dalej będzie stawiał opór - mężczyzna, kobieta czy dziecko - zostanie stracony razem z całą rodziną. A teraz wyjdźcie z zamku i uklęknijcie przede mną, a zostaniecie oszczędzeni. Wasi rodzice i dzieci, bracia i siostry otrzymają przebaczenie, a wy dołączycie do mnie w nowym świecie, który razem zbudujemy.

Na błoniach i w zamku panowała cisza. Voldemort był tak blisko niego, że Harry nie odważył się ponownie otworzyć oczu.

- Chodź - odezwał się Czarny Pan i Harry słyszał, jak rusza dalej, a Hagrid zostaje zmuszony do podążania za nim. Teraz Harry uchylił powieki i zobaczył Voldemorta idącego przed wszystkimi, niosącego na ramionach Nagini, uwolnioną z zaczarowanej klatki. Ale Harry nie miał żadnej możliwości wyjęcia różdżki spod szaty tak, by nie zauważyli tego pobliscy śmierciożercy, którzy maszerowali po obu stronach przez szarzejącą powoli ciemność...

- Harry - szlochał Hagrid. - Och, Harry... Harry...

Harry ponownie mocno zacisnął powieki. Wiedział, że dochodzą do zamku i skupił się, by dosłyszeć tamtejsze oznaki życia wśród radosnych głosów śmierciożerców i ich nieregularnych kroków.

- Stójcie.

Śmierciożercy zatrzymali się. Harry na sekundę otworzyło oko, by zobaczyć, jak ustawiają się w szeregu naprzeciw otwartych wrót wejściowych szkoły. Nawet przez zamknięte powieki widział lekki poblask, który zdradzał światło wylewające się z głównego holu. Czekał. Ludzie, dla których próbował umrzeć, w każdej chwili mogą zobaczyć jego pozornie martwe ciało w ramionach Hagrida.

- NIE!

Krzyk ten był tym okropniejszy, że Harry nigdy nie oczekiwał ani nie śnił, że profesor McGonagall potrafiłaby wydać taki dźwięk. Usłyszał jeszcze jedną kobietę, śmiejącą się gdzieś blisko i wiedział, że to Bellatriks cieszyła się z rozpaczy profesorki. Zerknął znów na sekundę i zobaczył ludzi tłoczących się na progu, jakby ci, którzy przetrwali bitwę, wychodzili na frontowe schody, by zobaczyć swoich pogromców i

przekonac się o śmierci Harry'ego na własne oczy. Zobaczył Voldemorta, stojącego tuż przed nim, głaszczącego głowę Nagini jednym białym palcem. Ponownie zamknął oczy.

- Nie!

- *Nie!*

- Harry! HARRY!

Głosy Rona, Hermiony i Ginny były gorsze niż ten należący do McGonagall. - Harry niczego nie pragnął bardziej, niż ujawnienia się, ale zmusił się do leżenia cicho. Za ich krzykiem falą podniosły się następne: ci, którzy przetrwali, zaczęli krzyczeć i wywrzaskiwać obelgi na śmierciożerców, póki...

- CISZA! - wrzasnął Voldemort i rozległ się trzask poparty wybuchem jasnego światła. Zmuszono ich do milczenia. - To koniec! Hagridzie, połóż go u moich stóp, gdzie jego miejsce!

Harry poczuł, że olbrzym opuszcza go na trawę.

- Widzicie? - odezwał się Voldemort, przechadzając się tuż obok miejsca, w którym leżał chłopak. - Harry Potter nie żyje! Teraz rozumiecie, oszukani? Nigdy nie był niczym więcej niż chłopcem, który polegał na innych, by się dla niego poświęcali!

- Pokonał cię! - wrzasnął Ron, a czar prysł i obrońcy Hogwartu znowu krzyczeli i wrzeszczeli, póki drugi, o wiele mocniejszy trzask nie stłumił ich głosów ponownie.

- Został zabity, kiedy próbował wyślizgnąć się poza błonia zamku - oznajmił Voldemort kłamliwie. - Zabity, kiedy próbował się ratować...

Ale Voldemort przerwał - Harry usłyszał odgłosy bójki i krzyk, potem następny trzask, błysk światła i pełne bólu stęknięcie. Nieznacznie uchylił powieki. Ktoś wyrwał się z tłumu i pobiegł w stronę Voldemorta. Harry zobaczył, jak samotna postać upada, rozbrojona, a Voldemort odrzuca jej różdżkę w bok i śmieje się.

- A to kto? - spytał z delikatnym wężowym sykiem. - Kto zgłosił się na ochotnika, by pokazać, co stanie się z tymi, którzy będą dalej walczyć po przegranej stronie?

Bellatriks zaśmiała się rozkosznie.

- To Neville Longbottom, mój panie! Chłopiec, który sprawił tyle kłopotów Carrowom! Syn aurorów, pamiętasz?

- Och tak, pamiętam - przytaknął Voldemort, spoglądając w dół na Neville'a, który podnosił się na nogi, rozbrojony i odsłonięty, pozostawiony na ziemi niczyjej pomiędzy ocalałymi a śmierciożercami. - Ale ty jesteś czystej krwi, prawda, mój odważny chłopcze? - spytał Voldemort Neville'a, który stał przed nim z pustymi rękami zaciśniętymi w pięści.

- I co z tego? - odparł chłopiec głośno.

- Pokazujesz ducha i odwagę, i masz szlachetne pochodzenie. Byłbyś bardzo cennym śmierciożercą. Potrzebujemy takich jak ty, Neville'u Longbottomie.

- Prędzej piekło zamarznie, niż do ciebie dołączę - odpowiedział Neville. - Gwardia Dumbledore'a! - wrzasnął, a z tłumu dobiegł pełen otuchy krzyk, którego uciszające zaklęcia wydawały się nie powstrzymywać.

- Dobrze więc - oznajmił Voldemort, a Harry usłyszał w aksamicie jego głosu więcej niebezpiecznych tonów niż w najpotężniejszej klątwie. - Jeśli taki jest twój wybór, Longbottom, to wracamy do wcześniejszego planu. Będziesz - rzekł cicho - doskonałym przykładem.

Spoglądając przez rzęsy, Harry zobaczył, jak Voldemort podnosi różdżkę. Sekundę później przez jedno z roztrzaskanych zamkowych okien wyleciało coś, co w półmroku wyglądało jak zdeformowany ptak i wylądowało Voldemortowi na dłoni. Uniósł wyświechtany przedmiot za ostro zakończony czubek, pozwalając mu zawisnąć żałośnie. Była to Tiara Przydziału.

- W Hogwarcie nie będzie już więcej przydzielania - powiedział Voldemort. - Nie będzie już domów. Znak, godło i kolory mojego szlachetnego przodka, Salazara Slytherina, będą obowiązywać wszystkich. Zaprzeczysz, Neville'u Longbottomie?

Wskazał na niego różdżką, zmuszając go do znieruchomienia, po czym wcisnął mu tiarę na głowę, aż ześlizgnęła się poniżej uszu. Obserwujący sprzed zamku tłum poruszył się, a śmierciożercy jednocześnie unieśli różdżki, osaczając i powstrzymując obrońców Hogwartu.

- Neville właśnie zademonstruje nam, co dzieje się z każdym, kto jest wystarczająco głupi, by dalej mi się sprzeciwiać - odezwał się Voldemort i machnięciem różdżki sprawił, że tiara stanęła w płomieniach.

Podniosły się krzyki, a Neville płonął, przykuty w jednym miejscu i niezdolny do ruchu. Harry nie mógł tego znieść. Musiał działać...

I wtedy wiele rzeczy wydarzyło się w tym samym momencie.

Z dalekiego krańca szkoły dobiegł hałas, który brzmiał jak skłębione setki ludzi, wychodzących spoza niewidzialnych ścian i rzucających się w stronę zamku z głośnym wojennym okrzykiem. W tym samym czasie Graup niezdarnie wybiegł zza węgła zamku i wrzasnął:

- HAGGER!

Na jego krzyk odpowiedziały ryki olbrzymów Voldemorta. Rzucili się na Graupa jak stado słoni, aż zatrzęsła się ziemia. Wtedy rozległ się odgłos kopyt i świst łuków, a strzały nagle zaczęły spadać wśród śmierciożerców, którzy złamali szyk, krzycząc z zaskoczenia. Harry wyciągnął spod szat pelerynę - niewidkę i przykrył się nią, po czym uniósł się na nogi. Neville ruszył w tym samym momencie - nagłym ruchem przezwyciężył wiążącą go klątwę. Płonąca tiara sfrunęła w dół, a on wyciągnął z jej wnętrza coś srebrnego z błyszczącą, wysadzaną rubinami rękojeścią...

Świst srebrnego ostrza był niedosłyszalny wśród ryków nacierającego tłumu i odgłosów walki olbrzymów czy galopu centaurów, a jednak wydawał się przyciągnąć wszystkie spojrzenia. Jednym ruchem Neville odciął głowę wielkiemu wężowi, aż ta wzleciała wysoko w powietrze, łapiąc odblask delikatnego światła z głównego holu. Usta Voldemorta otwarły się we wrzasku wściekłości, którego nikt nie mógł słyszeć, gdy ciało węża upadło u jego stóp...

Ukryty pod peleryną - niewidką Harry rzucił między Neville'em a Voldemortem zaklęcie tarczy. Zanim ten drugi zdołał przebić się przez walczące olbrzymy, wrzaski Hagrida wybiły się ponad ogólny tumult.

- HARRY! - krzyczał. - HARRY... GDZIE JEST HARRY?

Zapanował chaos. Nacierające centaury przerzedzały szeregi śmierciożerców, wszyscy czuli łomot stóp olbrzymów, a przybyłe nie wiadomo skąd posiłki zbliżały się coraz bardziej. Harry zobaczył piękne, uskrzydlone stworzenia, szybujące nad głowami olbrzymów Voldemorta. Były to: hipogryf Hardodziob i testrale, atakujące ich oczy, podczas gdy Graup walił i rozbrajał gigantów. Teraz czarodzieje, obrońcy Hogwartu i śmierciożercy zostali zepchnięci do zamku. Harry rzucał uroki i klątwy na każdego śmierciożercę w zasięgu wzroku, miażdżąc ich, nieświadomych co lub kto ich uderzył, a wycofujący się tłum tratował ich ciała. Ciągle kryjąc się pod peleryną, Harry rzucił się w stronę głównego holu: szukał Voldemorta i zobaczył go po drugiej stronie pomieszczenia, wystrzeliwującego z różdżki zaklęcia i wycofującego się do Wielkiej Sali. Nadal wywrzaskiwał polecenia i jednocześnie rozdawał na prawo i lewo klątwy. Harry rzucił więcej zaklęć tarczy na niedoszłe ofiary swojego wroga. Seamus Finnigan i Hanna Abbott przebiegli obok niego do Wielkiej Sali i dołączyli do trwającej tam bitwy.

I nagle pojawiło się więcej, o wiele więcej ludzi, szturmujących frontowe schody. Harry zobaczył Charliego Weasleya prześcigającego Horacego Slughorna, który nadal ubrany był w swoją szmaragdową piżamę. Wydawali się wracać na czele grupy, wyglądającej na rodziny i przyjaciół każdego ucznia Hogwartu, przybyłe, by walczyć na równi ze sklepikarzami i mieszkańcami Hogsmeade. Centaury Zakała, Ronan i Magorian wtargnęły do holu z głośnym tętentem kopyt, a znajdujące się za plecami Harry'ego drzwi do kuchni wyleciały z zawiasów.

Hogwarckie skrzaty domowe wlały się do sali wejściowej, wrzeszcząc i wymachując nożami i tasakami, a na ich czele, z medalionem Regulusa Blacka podskakującym na piersi, biegł Stworek, zaś jego żabi głos przebijał się nawet przez panujący gwar.

- Walczyć! Walczyć! Walczcie dla mojego pana, obrońcy skrzatów! Walczcie z Czarnym Panem w imię dzielnego Regulusa! Walczcie!

Z małymi twarzami wykrzywionymi w grymasie złośliwości, skrzaty uderzały i dźgały kolana i łydki śmierciożerców. Gdziekolwiek Harry spojrzał, widział śmierciożerców ustępujących przed liczebną przewagą, pokonywanych przez zaklęcia, wyciągających z

ran strzały, ranionych przez skrzaty albo po prostu próbujących uciec, ale pochłanianych przez nadchodzące tłumy.

Ale to jeszcze nie był koniec. Harry przecisnął się między walczącymi i szarpiącymi się jeńcami, by dotrzeć do Wielkiej Sali.

Voldemort znajdował się w centrum bitwy, rażąc wszystko w swoim zasięgu. Harry nie miał czystego pola, wywalczył sobie więc drogę naprzód, nadal pozostając niewidzialny, a Wielka Sala robiła się coraz bardziej zatłoczona, gdy wszyscy będący wciąż na nogach siłą wdzierali się do środka.

Harry zobaczył Yaxleya, powalonego na podłogę przez George'a Weasleya i Lee Jordana, krzyczącego Dołohowa ginącego z ręki Flitwicka, Waldena Macnaira ciśniętego na wskroś sali przez Hagrida, uderzającego w ścianę naprzeciwko i ześlizgującego się bez przytomności na ziemię. Zobaczył Rona i Neville'a pokonujących Fenrira Greybacka, Aberfortha oszałamiającego Rookwooda, Artura i Percy'ego Weasleyów nacierających na Thicknesse'a oraz Lucjusza i Narcyzę Malfoyów, biegnących przez tłum, nawet nie próbujących walczyć, zajętych wołaniem syna.

Voldemort walczył teraz jednocześnie przeciw McGonagall, Slughornowi i Kingsleyowi, a na jego twarzy malowała się zimna odraza, gdy otaczali go i robili uniki, nie mogąc zdobyć przewagi...

Bellatriks też nadal walczyła, pięćdziesiąt jardów od Voldemorta, podobnie jak jej mistrz pojedynkując się z trzema przeciwniczkami: Hermioną, Ginny i Luną. Walczyły zacięcie, ale Bellatriks była równie zajadła. Uwagę Harry'ego zwróciło zaklęcie uśmiercające, wystrzelone tak blisko Ginny, że ta uniknęła go zaledwie o cal...

Zmienił kurs, rzucając się na Bellatriks zamiast Voldemorta, ale zanim zrobił kilka kroków, został odepchnięty w bok.

- NIE MOJA CÓRKA, TY SUKO!

Pani Weasley w biegu zrzuciła płaszcz, uwalniając ramiona. Bellatriks odwróciła się w miejscu, wybuchając śmiechem na widok nowej przeciwniczki.

- Z DROGI! - krzyknęła pani Weasley na trzy dziewczyny i z prostym machnięciem różdżką zaczęła walczyć. Harry z przerażeniem i euforią patrzył, jak różdżka Molly Weasley tnie ze świstem powietrze, a uśmiech Bellatriks Lestrange blednie i przeradza się w grymas. Z obu różdżek tryskały świetlne promienie, a posadzka wokół stóp czarownic stała się nierówna i popękana. Obie kobiety walczyły, by zabić.

- Nie! - nakazała pani Weasley, gdy kilkoro uczniów ruszyło naprzód, chcąc jej pomóc. - Cofać się! *Cofać!* Ona jest moja!

Setki ludzi przylgnęły do ścian, obserwując dwa pojedynki - Voldemorta i trójki jego przeciwników oraz Bellatriks i Molly, a Harry stał, niewidzialny, rozdarty pomiędzy chęcią ataku i obrony, niepewny, czy przypadkiem nie trafi kogoś niewinnego.

- Co się stanie z twoimi dziećmi, kiedy cię zabiję? - rzuciła złośliwie Bellatriks, równie wściekła jak jej pan, uchylając się, gdy klątwy Molly tańczyły wokół niej. - Kiedy mamusia odejdzie tak samo jak Freddie?

- Nigdy... więcej... nie... dotkniesz... naszych... dzieci! - krzyknęła pani Weasley.

Bellatriks roześmiała się w taki sam radosny sposób, jak jej kuzyn Syriusz, tuż przed tym nim wpadł tyłem za zasłonę i nagle Harry wiedział, co się stanie, zanim to się wydarzyło.

Klątwa Molly poszybowała pod uniesionym ramieniem Bellatriks i trafiła ją prosto w pierś, idealnie nad sercem.

Jasny uśmiech śmierciożerczyni zamarł, a jej oczy wyszły z orbit. Przez krótką chwilę wiedziała, co się stało, a potem runęła. Tłum obserwatorów ryknął chóralnie, a Voldemort krzyknął.

Harry poczuł się, jakby czas wokół niego zwolnił. Zobaczył McGonagall, Kingsleya i Slughorna odrzuconych w tył, młócących ramionami i przecinających powietrze, gdy furia Voldemorta eksplodowała jak bomba na widok upadku ostatniej, najlepszej ze swych przybocznych. Czarny Pan uniósł różdżkę i skierował ją na Molly Weasley.

- *Protego!* - wrzasnął Harry, a zaklęcie tarczy zawisło pośrodku Sali, zmuszając Voldemorta do rozejrzenia się za jego źródłem. Harry zdjął wreszcie pelerynę - niewidkę.

Ze wszystkich stron rozległy się zszokowane okrzyki i wiwaty: "Harry!" i "ON ŻYJE!" wywrzeszczane naraz. Tłum bał się i zaraz potem zapadła kompletna cisza,

podczas gdy Harry i Voldemort spojrzeli na siebie nawzajem i jednocześnie zaczęli krążyć wokół siebie.

- Nie chcę niczyjej pomocy - oznajmił głośno Harry, a jego głos rozbrzmiał w idealnej ciszy jak dźwięk trąby. - To musi być właśnie tak. To muszę być ja.

Voldemort syknął.

- Potter nie ma tego na myśli - powiedział z szeroko otwartymi, czerwonymi oczami. - To nie działa w ten sposób, prawda? Kogo dzisiaj użyjesz jako tarczy, Potter?

- Nikogo - odpowiedział Harry. - Nie ma już horkruksów. Jesteśmy tylko my. Żaden nie może żyć, gdy drugi przeżyje i jeden z nas musi odejść na dobre...

- Jeden z nas? - podchwycił Voldemort, z napiętym ciałem i wpatrzonymi w niego oczami, wyglądając jak wąż tuż przed atakiem. - Myślisz, że to będziesz ty - ty, który przeżyłeś przez przypadek i ponieważ Dumbledore pociągał za sznurki?

- Śmierć matki w mojej obronie była przypadkiem? - odparł Harry. Nadal krążyli razem w tym idealnym kręgu, pozostając tak samo oddaleni od siebie i dla Harry'ego nie istniał nikt poza Voldemortem. - Przez przypadek zdecydowałem się stawić ci czoła wtedy na cmentarzu? Przez przypadek nie broniłem się dzisiaj, a mimo to przeżyłem i powróciłem, by znowu walczyć?

- *Przypadki!* - wrzasnął Voldemort, ale nadal nie uderzał. Obserwujący tłum zastygł jak spetryfikowany i z setek obecnych w sali tylko oni dwaj zdawali się oddychać. - Przypadek i zbieg okoliczności, że kuliłeś się i chlipałeś w szaty większych mężczyzn i kobiet i pozwalałeś mi zabić ich zamiast ciebie!

- Nikogo już dziś wieczór nie zabijesz - odpowiedział Harry, gdy krążyli i wpatrywali się sobie wzajemnie w oczy, zieleń przeciw czerwieni. - Nie będziesz już zdolny ich zabić. Nie rozumiesz? Byłem gotów umrzeć, by powstrzymać cię od krzywdzenia tych ludzi...

- Ale nie umarłeś!

- Miałem zamiar i to właśnie zadziałało. Zrobiłem to samo, co moja matka. Są przed tobą chronieni. Nie zauważyłeś, że żadne z twoich zaklęć ich już nie wiąże? Nie możesz ich torturować. Nie możesz ich dotknąć. Nigdy nie uczysz się na błędach, co, Riddle?

- *Ośmielasz się...*

- Tak, ośmielam - odparł Harry. - Wiem o rzeczach, których nie znasz, Tomie Riddle. Wiem o wielu ważnych rzeczach, a ty nie. Chcesz o nich usłyszeć, zanim zrobisz kolejny wielki błąd?

Voldemort nie odezwał się, ale stanął, a Harry wiedział, że udało mu się go oszołomić i powstrzymać samą myślą, że on rzeczywiście może znać największy sekret...

- Czy to znowu miłość? - spytał Voldemort z wykrzywioną szyderczo twarzą. - Ulubione rozwiązanie Dumbledore'a, *miłość*, która według niego konkuruje ze śmiercią, choć nie powstrzymała go od upadku z wieży i roztrzaskania się jak stara woskowa figura? *Miłość*, która nie powstrzymała mnie od zgniecenia twojej szlamowatej matki jak karalucha, tak, Potter? I nikt nie wydaje się kochać cię na tyle mocno, by wybiec na środek i przyjąć moją klątwę. Więc co powstrzyma cię od śmierci, gdy teraz zaatakuję?

- Tylko jedno - odpowiedział Harry, gdy znów podjęli ten dziwny zabójczy taniec, skupieni na sobie nawzajem, rozdzieleni tylko przez ostatni sekret.

- Jeśli to nie miłość ocali cię tym razem - odezwał się Voldemort - to musisz wierzyć, że posiadasz moc, której ja nie mam albo broń potężniejszą od mojej.

- I to, i to - oznajmił Harry i zobaczył szok odbijający się na wężowej twarzy, który jednak natychmiast zbladł. Voldemort zaczął się śmiać, a dźwięk ten był bardziej przerażający niż krzyk - pozbawiony radości i szalony, odbijający się echem od ścian cichej sali.

- Myślisz, że *ty* znasz potężniejszą magię niż ja? - rzekł. - Niż *ja*, Lord Voldemort, który opanował magię, o jakiej Dumbledore nie śnił?

- Och, ależ śnił - odpowiedział Harry. - Ale wiedział więcej niż ty, wiedział wystarczająco dużo, by nie robić tego, co ty.

- To znaczy, że był słaby! - krzyknął Voldemort. - Zbyt słaby, by się odważyć; zbyt słaby, by wziąć, co mogło być jego, a będzie moje!

- Nie, był od ciebie mądrzejszy - zaprzeczył Harry. - Był lepszym czarodziejem i lepszym człowiekiem.

- Sprawiłem, że Albus Dumbledore umarł!

- Tak myślałeś - oznajmił Harry. - Ale myliłeś się.

Po raz pierwszy cały obserwujący ich tłum wydał jakiś dźwięk, gdy ludzie wokół ścian jednocześnie gwałtownie wciągnęli powietrze.

- *Dumbledore nie żyje!* - Voldemort cisnął tymi słowami w Harry'ego tak samo, jak zaklęciem w marmurowy grobowiec na błoniach zamku. - Widziałem go, Potter, on nie wróci!

- Tak, Dumbledore nie żyje - zgodził się spokojnie Harry. - Ale to nie ty sprawiłeś, że umarł! Sam wybrał sposób, w jaki zginął, a wybrał go kilka miesięcy wcześniej i zaplanował wszystko z człowiekiem, którego uważałeś za swojego sługę.

- Co to za dziecinne mrzonki? - zapytał Voldemort, ale nadal nie atakował i nie spuszczał czerwonych oczu z Harry'ego.

- Severus Snape nie należał do ciebie - oznajmił Harry. - Służył Dumbledore'owi. Był jego człowiekiem od momentu, w którym zacząłeś polować na moją matkę. A ty nigdy tego nie odkryłeś, przez to, czego nie potrafisz zrozumieć. Nigdy nie widziałeś Snape'a rzucającego zaklęcie patronusa, prawda, Riddle?

Voldemort nie odpowiedział. Dalej krążyli wokół siebie jak wilki, mające zamiar wzajemnie rozerwać się na strzępy.

- Patronus Snape'a był łanią - rzekł Harry. - Taką samą jak patronus mojej matki, ponieważ on kochał ją prawie całe życie, odkąd byli dziećmi. Powinieneś to odkryć - dodał, widząc jak Voldemortowi rozszerzają się nozdrza. - Poprosił cię o oszczędzenie jej życia, pamiętasz?

- Pragnął jej, to wszystko - zadrwił Voldemort. - Ale kiedy odeszła, zgodził się, że istnieją inne kobiety, bardziej czystej krwi, więcej warte...

- Oczywiście, że tak ci powiedział - przerwał mu Harry. - Ale był szpiegiem Dumbledore'a, odkąd jej zagroziłeś i od tego czasu pracował przeciwko tobie! Dumbledore umierał już, gdy Snape z nim skończył!

- To nieważne! - wrzasnął Voldemort, który wysłuchał jego słów z wielką uwagą, po czym pozwolił sobie na wybuch szalonego śmiechu. - Nieważne, czy Snape był mój, czy Dumbledore'a i jakie drobne przeszkody próbowali postawić mi na drodze! Zmiażdżyłem ich tak jak twoją matkę, tę wielką *miłość* Snape'a! Och, ale to wszystko ma sens, Potter, i to ty go nie rozumiesz! Dumbledore próbował utrzymać Starszą Różdżkę z dala ode mnie! Chciał, by Snape stał się jej prawdziwym panem! Ale byłem tam przed tobą, mały chłopczyku... Sięgnąłem po różdżkę, zanim położyłeś na niej ręce, zrozumiałem prawdę przed tobą. Zabiłem Severusa Snape'a trzy godziny temu i Starsza Różdżka, Berło Śmierci, Różdżka Przeznaczenia naprawdę należy do mnie! Ostatni plan Dumbledore'a nie wypalił, Harry Potterze!

- Rzeczywiście - odrzekł Harry. - Masz rację. Ale zanim spróbujesz mnie zabić, radzę ci pomyśleć o tym, co zrobiłeś... Pomyśleć i poszukać skruchy, Riddle...

- To znaczy?

Ze wszystkich rzeczy, które powiedział mu Harry, wszystkich rewelacji i drwin nic nie uderzyło Voldemorta bardziej niż to. Harry zobaczył, jak źrenice zwężają mu się cienkie kreski, a skóra wokół oczu bieleje.

- Masz ostatnią szansę - oznajmił Harry. - Tylko to ci zostało... Widziałem, czym w przeciwnym razie się staniesz... Bądź mężczyzną... i spróbuj... Poszukaj skruchy...

- Ośmielasz się...? - powtórzył Voldemort.

- Tak, ośmielam - odparł Harry. - Ponieważ ostatni plan Dumbledore'a wcale nie obrócił się przeciwko mnie, lecz przeciwko tobie, Riddle.

Trzymająca Starszą Różdżkę dłoń Voldemorta drżała, więc Harry mocno ścisnął różdżkę należącą do Dracona. Wiedział, że zaraz nastąpi odpowiednia chwila.

- Ta różdżka nadal nie działa w twoich rękach właściwie, bo zamordowałeś niewłaściwą osobę. Severus Snape nigdy nie był prawdziwym panem Starszej Różdżki. Nigdy nie pokonał Dumbledore'a.

- Zabił...

- Nie słuchasz mnie? *Snape nigdy nie pokonał Dumbledore'a!* Jego śmierć była między nimi zaplanowana. Dumbledore chciał umrzeć niepokonany, jako ostatni prawdziwy pan różdżki! Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, moc różdżki umarłaby wraz z nim, bo nigdy nie zostałaby mu odebrana!

- Ale w końcu, Potter, Dumbledore wręcz dał mi tę różdżkę! - podniósł głos Voldemort ze złośliwą satysfakcją. - Ukradłem ją z grobowca ostatniego władcy! Wziąłem ją wbrew jego ostatnim życzeniom! Moc jest moja!

- Nadal nie rozumiesz, Riddle, prawda? Samo posiadanie różdżki nie wystarczy! Trzymanie i używanie nie czyni jej twoją własnością! Nie słuchałeś tego, co mówił Ollivander? *Różdżka sama wybiera czarodzieja...* Starsza Różdżka poznała nowego pana, zanim Dumbledore umarł. Kogoś, kto nigdy jej nie dotknął. Nowy pan odebrał ją Dumbledore'owi wbrew jego woli, nigdy nie uświadamiając sobie, co właściwie zrobił i że najniebezpieczniejsza różdżka na świecie przekazała mu swoje posłuszeństwo...

Klatka piersiowa Voldemorta falowała gwałtownie, a Harry czuł nadchodzącą klątwę, czuł, jak rośnie ona w różdżce skierowanej prosto w jego twarz.

- Prawdziwym panem Starszej Różdżki był Draco Malfoy!

Na obliczu Voldemorta odmalował się czysty szok. Lecz tylko przez chwilę, a potem zniknął.

- Ale jakie to ma znaczenie? - odezwał się cicho Voldemort. - Nawet jeśli masz rację, Potter, nie robi to żadnej różnicy. Nie masz już różdżki z piórem feniksa. Liczy się tylko zręczność... A kiedy cię zabiję, mogę znaleźć Dracona Malfoya...

- Już za późno - powiedział Harry. - Przegapiłeś swoją szansę. Byłem pierwszy. Rozbroiłem Dracona tygodnie temu. Zabrałem mu różdżkę.

Harry machnął różdżką z głogu, czując na sobie wzrok wszystkich obecnych w sali.

- Więc wszystko sprowadza się do tego, prawda? Czy różdżka w twojej dłoni wie, że jej ostatni władca został rozbrojony? Bo jeśli tak... To ja jestem jej prawdziwym panem.

Zaczarowane sklepienie sali rozświetlił nagle czerwony blask, gdy wschodzące słońce wychyliło się znad parapetu najbliższego okna. Światło naraz uderzyło w ich twarze, a Voldemort nagle rozmył się w ognistą plamę. Harry usłyszał, jak wysoki głos krzyczy równocześnie z nim i skierował swe nadzieje ku niebu, wycelowując różdżkę Dracona.

- *Avada Kedavra!*

- *Expelliarmus!*

Rozległ się wystrzał jak z armaty i między nimi wybuchł złoty ogień, dokładnie w środku wyznaczonego przez nich kręgu, znacząc miejsce, w którym zderzyły się zaklęcia. Harry zobaczył, jak zieleń Voldemorta dosięga jego własnej czerwieni, zobaczył, jak Starsza Różdżka wzlatuje wysoko, ciemna na tle wschodzącego słońca, wirując pod zaczarowanym sufitem jak wcześniej łeb Nagini, lecąc w stronę swego pana, którego nie zabije, który wreszcie w pełni ją posiadł. A Harry, z bezbłędną zręcznością szukającego złapał ją wolną ręką, gdy Voldemort upadł w tył, z rozrzuconymi rękami i szkarłatem oczu znikającym pod powiekami. Tom Riddle uderzył o ziemię z prozaiczną ostatecznością, wątłym i skurczonym ciałem, pustymi białymi dłońmi i wężową twarzą zastygłą w wyrazie niezrozumienia.

Voldemort był martwy, zabity przez jego własną, odbitą klątwę, a Harry stał nad nim z dwiema różdżkami w dłoni, patrząc na pozostałą po swoim wrogu pustą skorupę.

Nastała chwila drżącej ciszy i wszystkich ogarnął szok. A potem wokół Harry'ego rozbrzmiał tumult, a powietrze przecięły wrzaski, wiwaty i ryki obecnych. Jaskrawe słońce przyświecało dziko przez okna, gdy wszyscy pospieszyli w jego stronę. Pierwsi dopadli go Ron i Hermiona, i to ich ramiona oplotły go, ich niezrozumiałe okrzyki ogłuszyły. Byli tam też Ginny, Neville i Luna, wszyscy Weasleyowie, Hagrid, Kingsley i McGonagall, Flitwick i Sprout. Harry nie rozumiał ani słowa z ich wrzasków, nie wiedział, czyje ręce go obejmują, przyciągają, próbują przytulić, było ich setki, wszystkie chcące dotknąć Chłopca, Który Przeżył i pokonał tego, który pośrednio nadał mu takie miano...

Słońce powoli wschodziło nad Hogwartem i Wielka Sala rozbłysła życiem oraz światłem. Harry był nieodłączną częścią chaotycznej wylewności świętowania i żałoby, radości i smutku. Chcieli, by był tam z nimi - ich lider i symbol, ich wybawca i

przewodnik. To, że nie spał i że pragnął towarzystwa tylko kilkorga z nich, wydawało się do nikogo nie docierać. Musiał rozmawiać o smutku, wymieniać uściski i doświadczać łez, odbierać podziękowania, wysłuchać wiadomości napływających ze wszystkich stron od nastania poranku: że potraktowani Imperiusem wracali do siebie, że śmierciożercy uciekli lub zostali złapani, a niewinni są w tym momencie uwalniani z Azkabanu i że Kingsley Shacklebolt został tymczasowym Ministrem Magii.

Przenieśli ciało Voldemorta i ułożyli je w komnacie poza Salą, z dala od ciał Freda, Tonks, Lupina, Colina Creeveya i pięćdziesięciu innych, którzy zginęli w walce. McGonagall usunęła stoły domów, by nikt nie siedział już zgodnie z nimi. Wszyscy tłoczyli się razem, nauczyciele i uczniowie, duchy i rodzice, centaury i skrzaty, Firenzo, dochodzący do siebie w kącie i Graup, zaglądający przez rozbite okno oraz ludzie wrzucający jedzenie do jego uśmiechniętej gęby.

W końcu wyczerpany i zmęczony Harry znalazł się na ławce. Obok siedziała Luna.

- Na twoim miejscu poszukałabym spokoju i ciszy - odezwała się.

- Z miłą chęcią - odpowiedział.

- Odwrócę ich uwagę - szepnęła. - Użyj peleryny.

I zanim zdążył powiedzieć choć słowo, krzyknęła:

- Oooch, patrzcie, ględatek niepospolity! - I wskazała za okno. Wszyscy, którzy ją słyszeli, podążyli wzrokiem za jej spojrzeniem. Harry narzucił na siebie pelerynę i wstał.

Teraz mógł bez przeszkód przejść przez salę. Zauważył Ginny, siedzącą dwa stoły dalej - położyła głowę na ramieniu matki. Potem nadejdzie czas na rozmowę - godziny, dni, a może nawet lata. Zobaczył Neville'a i miecz Gryffindora leżący obok jego talerza, gdy jadł, otoczony wianuszkiem rozgorączkowanych wielbicieli. Idąc między stołami, zauważył trójkę Malfoyów, stłoczonych razem, jakby niepewnych, czy powinni tu być, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Gdziekolwiek Harry spojrzał, widział zjednoczone rodziny i wreszcie dostrzegł tych, których towarzystwa pragnął najbardziej.

- To ja - wyszeptał, przykucając obok nich. - Pójdziecie ze mną?

Wstali jednocześnie, razem z Ronem i Hermioną opuścił Wielką Salę. Na marmurowej klatce schodowej brakowało sporych kawałków kamienia, odpadła część balustrady, a cała ich droga w górę poznaczona była gruzem i plamami krwi.

Gdzieś w oddali słyszeli Irytka, przenikającego przez korytarze i śpiewającego pieśń zwycięstwa własnej kompozycji:

Rozbili, skończyli, a Potter jest gość,
Wykończył Voldy'ego, bo miał go już dość!

- To naprawdę oddaje klimat tragedii tego wszystkiego, co nie? - zapytał Ron, popychając drzwi i pomagając Harry'emu i Hermionie przejść.

Radość nadejdzie, pomyślał Harry, ale teraz przytłaczało ją wyczerpanie i ból po stracie Freda, Lupina i Tonks palący go co kilka kroków jak świeża rana. Przede wszystkim czuł zdumiewającą ulgę i potrzebę snu. Ale najpierw był winien wyjaśnienie Ronowi i Hermionie, którzy utknęli z nim na tak długo i zasługiwali na prawdę. Z bólem opowiedział to, co widział w myślodsiewni i co stało się w lesie, a oni nawet nie zaczęli wyrażać całego szoku i zdumienia, gdy wreszcie dotarli do miejsca, do którego zmierzali, choć żadne z nich nie wymieniło celu.

Odkąd widział je ostatni raz, ktoś przewrócił na bok chimerę, strzegącą wejścia do dyrektorskiego gabinetu. Stała koślawo, wyglądając jak nieco pijana i Harry zastanawiał się, czy będzie w stanie nadal rozróżniać hasła.

- Możemy wejść? - zapytał chimery.

- Czujcie się zaproszeni - odpowiedział posąg.

Przekroczyli go i wspięli na spiralne schody, które powoli ruszyły w górę. Harry otworzył drzwi na ich szczycie.

Zdążył jedynie rzucić okiem na kamienną myślodsiewnię stojącą na biurku, kiedy rozdzierający uszy hałas sprawił, że jęknął i pomyślał o klątwach, powracających śmierciożercach i odrodzonym Voldemorcie...

Ale to był aplauz. Na wszystkich ścianach dawni dyrektorzy i dyrektorki Hogwartu nagradzali go owacją na stojąco. Wymachiwali tiarami, a w niektórych przypadkach perukami, sięgali przez ramy, by uścisnąć ręce innych. Tańczyli na krzesłach, z którymi

byli namalowani. Dilys Derwent szlochała bezwstydnie. Dexter Fortescue dmuchał w trąbkę słuchową. A Fineas Nigellus wołał wysokim, piskliwym głosem:

- Niech zostanie zauważone, że Dom Slytherina też odegrał swoją rolę! Nie zapomnijcie o naszym udziale!

Ale Harry patrzył tylko na człowieka, który stał na największym portrecie, tuż nad krzesłem dyrektora. Za okularami - połówkami spływały łzy, znikając w długiej, siwej brodzie, a duma i wdzięczność emanująca od niego wypełniła Harry'ego spokojem takim samym, jak pieśń feniksa.

W końcu Harry uniósł ręce, a portrety zamilkły z szacunkiem, promieniejąc i trąc oczy, czekając, aż przemówi. Skierował słowa do Dumbledore'a i wybierał je z wyjątkową troską. Jakkolwiek wyczerpany i z zaczerwienionymi oczami, musiał zdobyć się na jeszcze jeden wysiłek, po raz ostatni poszukać rady.

- Ta rzecz, która była ukryta w zniczu - zaczął. - Upuściłem ją w lesie. Nie wiem dokładnie gdzie, ale nie mam zamiaru jej szukać. Zgadza się pan?

- Oczywiście, mój drogi chłopcze - odpowiedział Dumbledore, podczas gdy reszta portretów wyglądała na oszołomioną i zaciekawioną. - Mądra i odważna decyzja, ale oczekiwałem po tobie tylko takiej. Czy ktoś jeszcze wie, gdzie upadł?

- Nikt - odpowiedział Harry, a Dumbledore z satysfakcją pokiwał głową.

- Jednak mam zamiar zatrzymać prezent od Ignotusa - rzekł Harry, a Dumbledore rozpromienił się.

- Ależ oczywiście, Harry, jest twój na zawsze, póki go nie przekażesz dalej.

- I jest jeszcze to.

Harry uniósł Starszą Różdżkę, a Ron i Hermiona spojrzeli na nią z respektem, który nie podobał się Harry'emu nawet mimo jego zamroczenia i senności.

- Nie chcę jej - odezwał się.

- Co? - powiedział głośno Ron. - Zwariowałeś?

- Wiem, że jest potężna - zaczął ostrożnie Harry. - Ale byłem szczęśliwszy z moją. Więc...

Wsunął dłoń do sakiewki na szyi i wyciągnął z niej dwie połówki ostrokrzewu, złączone jedynie cienkim paskiem pióra feniksa. Hermiona mówiła, że nie da się jej naprawić, że jest zbyt mocno uszkodzona. Ale on wiedział tylko, że jeśli to nie zadziała, nie zadziała już nic.

Położył złamaną różdżkę na biurku dyrektora i dotknął jej końcem Starszej Różdżki, mówiąc:

- *Reparo.*

Różdżka złączyła się i z jej końca wytrysnęło kilka czerwonych iskier. Harry wiedział, że mu się udało. Podniósł różdżkę z ostrokrzewu z piórem feniksa i poczuł w palcach nagłe ciepło, jakby różdżka ucieszyła się z ponownego połączenia.

- Odłożę Starszą Różdżkę - powiedział Dumbledore'owi, który obserwował go z wyjątkową czułością i podziwem - tam, skąd przybyła. Może tam zostać. Jeśli umrę naturalną śmiercią, jak Ignotus, jej moc zostanie złamana, prawda? Poprzedni pan pozostanie niepokonany. I tak to się skończy.

Dumbledore przytaknął. Uśmiechnęli się do siebie.

- Jesteś pewien? - zapytał Ron. W jego głosie brzmiała delikatna nuta pragnienia, gdy patrzył na Starszą Różdżkę.

- Myślę, że Harry ma rację - odezwała się cicho Hermiona.

- Ta różdżka sprawia więcej kłopotów niż jest tego warta - rzekł Harry. - A mówiąc szczerze... - Odwrócił się tyłem do portretów, myśląc już tylko o łożu z czterema kolumienkami, czekającym na niego w wieży Gryffindoru i zastanawiając się, czy Stworek mógłby dostarczyć mu tam kanapkę. - Mam dosyć kłopotów na resztę życia.

EPILOG
Dziewiętnaście lat później

Tłumaczenie: Ishqr

Tego roku jesień przyszła niespodziewanie. Poranek pierwszego dnia września był orzeźwiający i złoty jak sok dyniowy, a oddechy przechodniów i spaliny samochodowe unosiły się w zimnym powietrzu niczym pajęczyny. Mała rodzina przebiegła przez zatłoczoną ulicę ku wielkiemu, okopconemu budynkowi dworca. Dwie sowy pohukiwały w dwóch wielkich klatkach kołyszących się na wierzchu dwóch obładowanych wózków popychanych przez rodziców. Mała, ruda dziewczynka człapała ze łzami w oczach za swoimi braćmi, uczepiona ręki ojca.

- Już niedługo i ty też pojedziesz - uspokajał ją Harry.

- Dwa lata - chlipnęła Lily. - Ja chcę jechać już!

Podróżni na stacji King's Cross patrzyli ze zdziwieniem na pohukujące z oburzeniem sowy, gdy rodzina przeciskała się przez tłum w kierunku barierki oddzielającej perony dziewiąty i dziesiąty. Poprzez normalny zgiełk Harry dosłyszał głos Albusa, najwyraźniej jego synowie kontynuowali sprzeczkę rozpoczętą jeszcze w samochodzie.

- Nie będę! Nie będę w Slytherinie!

- James, daj spokój - upomniała chłopca Ginny.

- Ja tylko powiedziałem, że *mógłby* - James wyszczerzył się do młodszego brata. - No przecież nic w tym złego. *Mógłby* być w Sly...

Dostrzegł wzrok matki i zamilkł. Pięcioro Potterów zbliżyło się do barierki. James rzucił Albusowi zarozumiałe spojrzenie, wziął od matki wózek i ruszył biegiem. Po chwili już go nie było.

- Będziecie do mnie pisać, prawda? - zapytał rodziców Albus, błyskawicznie wykorzystując chwilową nieobecność brata.

- Każdego dnia, jeśli tylko chcesz - obiecała Ginny.

- Nie codziennie - odparł natychmiast. - James mówi, że większość uczniów dostaje listy z domu raz w miesiącu.

- W zeszłym roku pisaliśmy do Jamesa trzy razy w tygodniu - uśmiechnęła się Ginny.

- Nie wierz we wszystko, co twój brat opowiada o Hogwarcie - wtrącił Harry. - On uwielbia się wygłupiać.

Razem popchnęli drugi wózek, lekko przyspieszając. Gdy barierka była już naprawdę blisko Albus skrzywił się, ale nic się nie stało i cała rodzina znalazła się na peronie dziewięć i trzy czwarte, spowitym w kłębach białej pary wydobywającej się z czerwonej lokomotywy. Niewyraźne sylwetki tłoczyły się wokół.

- Gdzie oni się podziali? - zapytał niespokojnie Albus, przyglądając się mijającym ich zamglonym postaciom wędrującym wzdłuż peronu.

- Znajdziemy ich - zapewniła go Ginny.

Ale para była na tyle gęsta, że trudno było cokolwiek dojrzeć. Pozbawione twarzy głowy wydawały się nienaturalnie głośne, Harry miał wrażenie, że słyszy Percy'ego dyskutującego żywo o prawnych regulacjach dotyczących mioteł, więc nawet się ucieszył, że nie musi zatrzymywać się i witać ze szwagrem...

- Myślę, że to oni, Al - rzekła Ginny nagle.

Cztery sylwetki wynurzyły się z mgły, stojąc obok ostatniego wagonu, jednak Harry, Ginny, Lily i Albus zdołali ich rozpoznać dopiero, gdy do nich podeszli.

- Cześć - Albusowi wyraźnie ulżyło.

Rose, która już włożyła swe nowiutkie szaty hogwarckie uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Zaparkowałeś bez problemów? - zapytał Ron Harry'ego. - Bo ja owszem. Hermiona do dziś nie może uwierzyć, że zdałem egzamin na mugolskie prawo jazdy, czujesz? Uważa, że rzuciłem *Confundusem* w egzaminatora.

- Wcale nie - zaprzeczyła natychmiast Hermiona. - Zawsze w ciebie wierzyłam.

- Prawdę mówiąc, to był *Confundus* - szepnął Ron Harry'emu, gdy razem ładowali kufer i sowę Albusa do przedziału. A przecież tylko zapomniałem spojrzeć w boczne lusterko, no i, spójrzmy prawdzie w oczy, normalnie użyłbym zaklęcia superczułego.

Wróciwszy na peron, zastali Lily i Hugona, młodszego brata Rose, pochłoniętych ożywioną dyskusją, do którego hogwarckiego domu zostaną przydzieleni, kiedy już przyjdzie ich kolej.

- Jeśli nie będziesz w Gryffindorze, to cię wydziedziczę - oświadczył Ron. - Ale spokojnie kochanie, nie ma presji...

- Ron!

Lily i Hugo roześmieli się, ale Albus i Rose miny mieli poważne.

- Tata wcale tak nie myśli - uspokajały dzieci Hermiona i Ginny, ale Ron nie zwracał na nie uwagi. Skinąwszy na Harry'ego, ukradkiem wskazał miejsce oddalone od nich o jakieś pięćdziesiąt jardów. Para na chwilę się przerzedziła, ukazując trzy postacie odcinające się na tle unoszącej się mgły.

- Zobacz, kto tam stoi.

Draco Malfoy, w czarnym płaszczu zapiętym pod szyję, stał w towarzystwie żony i syna. Lekko łysiał na skroniach, przez co twarz zrobiła mu się jeszcze bardziej pociągła. Towarzyszący mu chłopiec przypominał go w tym samym stopniu, w jakim Albus przypominał Harry'ego. Draco spostrzegł przyglądających mu się Harry'ego, Rona, Hermionę i Ginny, skłonił się im ceremonialnie i odwrócił w drugą stronę.

- A więc to jest mały Scorpius - mruknął Ron pod nosem. - Postaraj się być od niego lepszą na każdej klasówce, Rosie. Na szczęście inteligencję masz po mamie.

- Ron, na miłość boską! - zawołała Hermiona z udawaną surowością. - Nie nastawiaj ich wrogo, zanim jeszcze dotrą do szkoły!

- Masz rację, przepraszam - odparł Ron, ale nie mógł się powstrzymać, by nie dodać - Nie spoufalaj się z nim zbytnio, Rosie. Jeśli wyjdziesz za czystokrwistego, dziadek Weasley nigdy ci tego nie wybaczy.

- Ej!

W tej samej chwili pojawił się James. Pozbył się już wózka, kufra i sowy i teraz najwyraźniej rozpierały go nowiny.

- Teddy tu jest! - krzyknął zdyszany, wskazując na wielki kłąb pary za swoimi plecami. - Właśnie go spotkałem. I wiecie co on robił? Podwalał się do Victoire!

Spojrzał na dorosłych z wyrzutem, oburzony brakiem właściwej reakcji.

- Nasz Teddy! Teddy Lupin! Podwalał się do naszej Victoire! Naszej kuzynki! A jak zapytałem Teddy'ego, co on wyprawia...

- Przeszkodziłeś im? - zapytała Ginny niedowierzająco. - Zupełnie jak Ron...

- ...to mi powiedział, że ją odprowadza! I kazał mi spływać! On ją podrywa! - dorzucił po namyśle, jakby się bał, że nie wyraża się jasno.

- Och, jakby to było cudnie, gdyby się pobrali - westchnęła rozmarzona Lily. - Wtedy Teddy naprawdę byłby rodziną...

- Już teraz przychodzi na obiad przynajmniej cztery razy w tygodniu - roześmiał się Harry. - Może po prostu powiemy mu, żeby z nami zamieszkał i będzie spokój?

- Taaak! - zawołał James entuzjastycznie. - Ja mogę spać z Alem, a Teddy dostanie mój pokój!

- O nie - zaprotestował Harry stanowczo. - Pozwolę wam spać w jednym pokoju, jeśli będę chciał wysadzić dom w powietrze.

Spojrzał na stary, podniszczony zegarek należący kiedyś do Fabiana Prewetta.

- Dochodzi jedenasta, lepiej już wsiadajcie.

- Nie zapomnij przekazać Neville'owi buziaków od nas! - przypomniała Ginny, tuląc Jamesa na pożegnanie.

- Mamo! Nie mogę przekazać nauczycielowi *buziaków*!

- Ale przecież znasz Neville'a...

James przewrócił oczami.

- W domu tak, ale w szkole to jest profesor Longbottom, prawda? Nie mogę wejść na zielarstwo i przekazać mu *buziaków*!

Wzdychając ciężko nad bezmyślnością własnej matki, na odchodnym postanowił jeszcze dokopać Albusowi.

- Do zobaczenia na uczcie, Al. I uważaj na testrale.

- Myślałem, że one są niewidzialne? Mówiłeś, że są niewidzialne!

Ale James tylko się roześmiał, łaskawie zezwolił matce się pocałować, uścisnął ojca i wskoczył do pociągu. Zobaczyli go jeszcze jak pomachał im przez okno, a potem pomknął korytarzem poszukać kolegów.

- Nie martw się testralami - pocieszał Harry Albusa. - Są bardzo łagodne, nie ma co się ich bać. A poza tym nie będziesz jechał do szkoły powozem, tylko popłyniecie łódkami.

Ginny pocałowała Albusa na pożegnanie.

- Do zobaczenia w święta.

- Cześć, Al - rzekł Harry, tuląc syna. - Nie zapomnij o Hagridowym zaproszeniu na herbatkę w przyszły piątek. Nie zadzieraj z Irytkiem. Nie pojedynkuj się z nikim, zanim nie nauczysz się, jak się to robi. I nie dawaj się nabierać Jamesowi.

- A jeśli będę w Slytherinie?

Wyszeptane niemal bezgłośnie słowa były przeznaczone tylko dla uszu ojca i Harry zrozumiał, jak bardzo chłopiec się tym przejmuje. Przyklęknął przed nim i zatroskana buzia synka znalazła się nieco wyżej jego własnej. Ze wszystkich dzieci Harry'ego tylko Albus odziedziczył oczy Lily.

- Albusie Severusie - Harry mówił tak cicho, że tylko syn i żona mogli go usłyszeć, ale Ginny taktownie udawała, że jest szalenie zajęta machaniem do Rose, która właśnie pojawiła się w oknie wagonu. - Dostałeś imiona po dwóch dyrektorach Hogwartu. Jeden z nich był Ślizgonem i prawdopodobnie najodważniejszym człowiekiem, jakiego znałem.

- Ale jeśli...

- ...wtedy Slytherin zyska znakomitego ucznia, nieprawdaż? Al, dla nas to naprawdę nie jest istotne. Ale jeśli to jest ważne dla ciebie, będziesz mógł wybrać między Gryffindorem a Slytherinem. Tiara Przydziału zapyta cię o zdanie.

- Naprawdę?

- Mnie zapytała.

Nigdy nie mówił o tym swoim dzieciom i teraz widział, jak oczy Albusa rozszerzają się ze zdziwienia. W tej samej chwili zaczęły trzaskać zamykane drzwi, zaczęto wymieniać ostatnie pożegnalne pocałunki, rodzice wykrzykiwali ostatnie upomnienia i porady. Albus wskoczył do wagonu i Ginny zamknęła za nim drzwi. Z okien wychylali się uczniowie. Coraz więcej twarzy, w pociągu i na peronie, odwracało się w stronę Harry'ego.

- Na co oni się gapią? - zapytał Albus, kiedy wraz z Rose dopchnęli się do okna i wyjrzeli.

- Nie przejmuj się - zawołał wesoło Ron. - To wszystko przeze mnie, jestem taki sławny...

Albus, Rose, Lily i Hugo zachichotali. Pociąg ruszył. Harry szedł wzdłuż peronu, patrząc na zarumienioną z podniecenia buzię syna. Wciąż uśmiechał się i machał, choć zdał sobie sprawę, że na widok oddalającego się chłopca robi mu się coraz smutniej...

- Nic mu nie będzie - szepnęła Ginny.

Harry spojrzał na nią i z roztargnieniem potarł bliznę na czole.

- Wiem.

Przez ostatnie dziewiętnaście lat blizna nie zabolała go ani razu. Wszystko było w porządku.

KONIEC